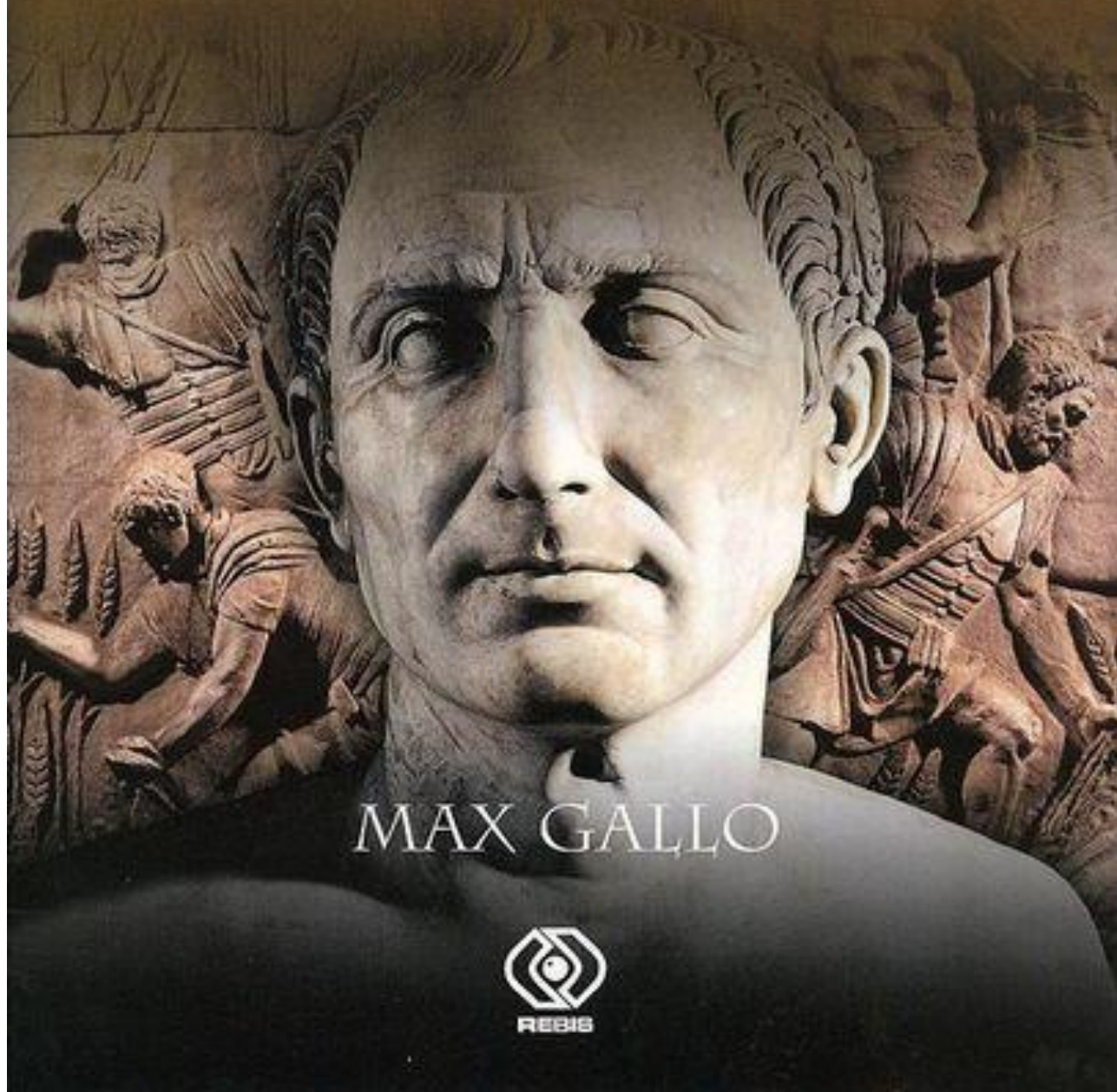




# CEZAR



MAX GALLO



REBIS

**MAX GALLO**

**CEZAR**

Tchórz wiele razy umiera, nim umrze.

Człowiek waleczny kona tylko raz.

Ze wszystkich dziwów, o jakich słyszałem.

Najbardziej zawsze zdumiewał mnie jeden.

Że ludzie boją się śmierci, choć wiedzą.

Iż nadejść musi i prędzej czy później.

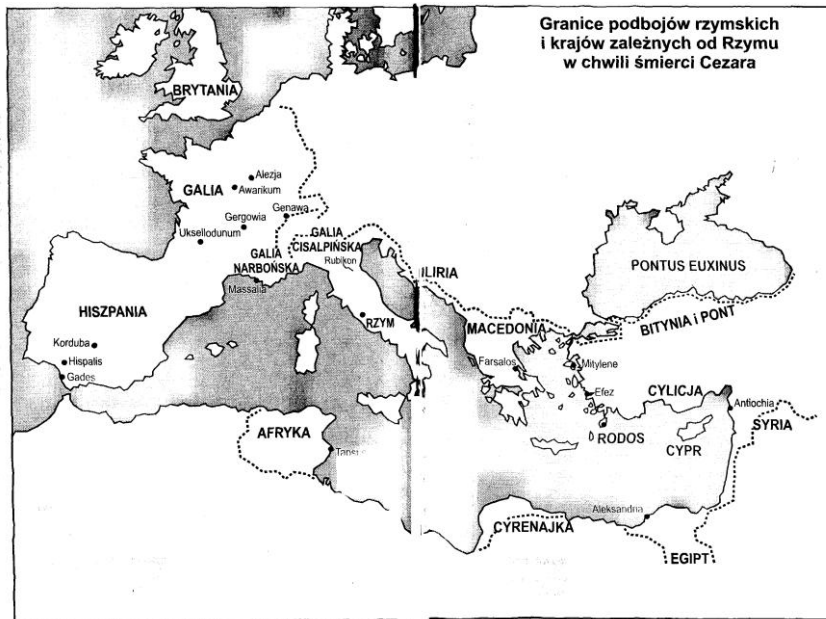
Nadejdzie.

William Szekspir *Juliusz Cezar*, II, 2 (przet. S. Barańczak)

Wiele się mówi o szczęściu Cezara: lecz przecież ten nadzwyczajny człowiek miał tak wiele świetnych i nieskazitelnych przymiotów, że nawet przy wszystkich swoich przywarach musiałby z pewnością okazać się zwycięzcą, jakkolwiek by armią dowodził; i w jakimkolwiek by się państwie urodził, z pewnością by panował.

Monteskiusz.

*Uwagi nad przyczynami wielkości i upadku Rzeczypospolitej Rzymskiej, rozdz. XI*



## Prolog

Idźmy tam, dokąd wzywają nas znaki wieszczce bogów i niesprawiedliwość wrogów!

*Alea iacta est*

Prokonsul Gajusz Juliusz Cezar kroczy ulicami Rawenny. Rękami przytrzymuje poły swej togi rozwiewane mroźnym wiatrem zimowego dnia. Za sobą słyszy szemrania idących o kilka kroków z tyłu centurionów XIII legionu. Obok niego idzie Azyniusz Pollio, młodzieniec o kręconych włosach, którego Cezar darzy całkowitym zaufaniem. Na skraju otaczających miasto pastwisk Cezar przystaje.

Trawy pochylają się kładzione podmuchami wiatru, za tą pofałdowaną równiną wyczuwa się bliskość krótkich szarych fal Adriatyku. Do niego właśnie wpada Rubikon, niewielka rzeczka, właściwie strumień, który toczy błotniste wody ze stoków Apeninów i wyznacza granicę między Galią Przedalpejską a Italią.

Prawo rzymskie jest w tej kwestii wyraźne: prokonsul, który na czele swych wojsk przekroczy Rubikon, przechodząc z brzegu galijskiego na rzymski, staje się automatycznie wrogiem Rzeczypospolitej.

Czy warto ryzykować?

Cezar przypomina sobie sen, który miał tej nocy: śniła mu się kobieta o twarzy ukrytej pod zasłoną. Wabiła go, lubieżna i kusząca, na swoje łożo. Podeszedł do niej, oplótł ramionami jak spragniony kochanek, zaczął się z nią kochać i doznał przy tym bardzo intensywnej rozkoszy, najsilniejszej może, jaką przeżył kiedykolwiek - a posiadał przecież tyle kobiecych i męskich ciał... W chwili jednak, gdy wstawał, kobieta odsłoniła twarz i wówczas rozpoznał w niej rysy własnej matki, Aurelii Kotty.

Obudził się zlany potem, usiłując dociec sensu tego kazirodczego snu. Przypomniał sobie, że podobny miał już kiedyś w Hiszpanii, na początku swej kariery, prawie dwadzieścia lat wcześniej. Ale co może teraz oznaczać to zespolenie z matką? Czy powinien złamać zakaz i wejść ze swymi legionami do Italii, a potem do samego Rzymu?

Juliusz Cezar podnosi wzrok. Tego dnia, 11 stycznia 49 roku\*[\* 49 rok przed Chrystusem; całe życie Cezara (ur. w Rzymie w 101 p.n.e., zm. tamże w 44 p.n.e.) rozgrywa się przed narodzeniem Chrystusa (przyp. autora).], niebo ma barwę ciemnego błękitu, który ponad morzem przechodzi niemal w czerń. Czy bogowie nakreślą jakiś znak na niebie? Czy przemówią? Czy chcą, by przekroczył Rubikon i został panem Rzymu, stał się czymś więcej niż tylko ambitnym pięćdziesięciodwulatkiem, prokonsulem, który podbił całą Galię leżącą

po drugiej stronie Alp, wysłał do Rzymu łupy wojenne i jeńców? Znajdował się wśród nich Wercyngetoryks, wódz Arwernów, który pod murami Alezji przyszedł paść na kolana przed zwycięskim Cezarem, rzucając swą broń u jego stóp.

Czyż takie zwycięstwo nie stanowi znaku? Czyż Fortuna nie sprzyja mu już od chwili narodzin, 13 lipca 101 roku w rodzinie, która wywodzi swój ród od bogów? Czyż nie jest dziedzicem i potomkiem Wenus, a przy tym od roku 63 *pontifex maximus*, najwyższym kapłanem Rzymu?

Czy bogowie mogliby go opuścić właśnie teraz, w chwili, która ma być ukoronowaniem i sensem jego życia: gdy chce wokół Rzymu - wokół siebie - zgromadzić wszystkie podbite ziemie, prowincje Wschodu i Hiszpanii, Grecję, a także ową Galię, którą ujarzmił i przyłączył do Rzymu?

Musi przekroczyć Rubikon!

Czego może się spodziewać po senatorach rządzących w Rzymie - który jest już tylko bladym cieniem republiki?

Cezar odwraca się. Ruchem głowy wzywa do siebie ludzi, którzy uciekli z Rzymu i przybyli do niego tutaj, do Rawenny. Patrzy w ich twarze: Kurion, Antoniusz, Kasjusz i wreszcie Hircjusz - może najwierniejszy z nich wszystkich, jego główny sekretarz. Niektórzy musieli opuszczać miasto w przebraniu, aby ich nie \ schwymano i nie zamordowano. Hircjusz opisał mu, z jaką determinacją senatorowie chcą pozbawić Cezara wszelkiej władzy - tak bardzo boją się jego legionów i jego chęci samodzielnego rządzenia przy poparciu ludu. Aby go pognębić, wybrali Pompejusza, zwycięskiego imperatora na Wschodzie. Bronią nie republiki, lecz jedynie swoich wpływów, majątków i interesów. Nie chcą dopuścić do reform Cezara. Co by się z nimi stało, gdyby Cezar zasiadł na tronie?

Cezar pochyla się, słucha, jak Kurion raz jeszcze powtarza, że 7 stycznia senatorowie postanowili odebrać mu stanowisko prokonsula Galii i powierzyć je Domicjuszowi Ahenobarbusowi, jednemu z jego wrogów. Co mu pozostanie w takim razie? Bez legionów nie będzie nic znaczył. Nie będzie miał już żadnej przyszłości politycznej. Lecz jeśli nie podporządkuje się decyzji senatu, stanie się w Rzymie wrogiem publicznym!

Cezar kuli się z zimna. Czy miał już kiedyś takie uczucie, jakby lodowata dłoń zaciskała mu się na karku? A przecież często walczył w pierwszym szeregu swoich legionów. Wydierał sztandary z rąk uciekinierów i rzucał się naprzód. Kazał odprowadzać swego konia z pola bitwy, aby wszystkim pokazać, że będzie walczył z mieczem w dłoni jak prosty legionista. Stawiał czoło piratom, żeglował po Oceanie wzdłuż brzegów Armoryki. Przebył morze i jako pierwszy Rzymianin postawił stopę na ziemi Brytów. A także dwa razy

przeprowiał się przez najszerszą z rzek, płynący wśród lasów Germanii Ren.

Teraz jednak się waha, czy przekroczyć ten strumień, Rubikon...

Nachylając się do Azyniusza Polliona, szepcze:

- Jeśli jej nie przekroczę, będę przegrany, lecz jeśli to zrobię, stanie się to może nieszczęściem dla ludzkości.

Trzeba będzie walczyć legion przeciw legionowi, Rzymianie przeciwko Rzymianom, prowadzić wojnę z senatem i Pompejuszem. Lecz czy jest jeszcze jakieś inne prawo oprócz prawa siły?

Czy boginie Fortuna i Victoria mogłyby upodobać sobie człowieka wyrzekającego się użycia siły?

Cezar ściska rękojeść miecza. Tyle już razy, od czasu pierwszych walk, kiedy miał zaledwie dwadzieścia lat i brał udział w wojnie na Wschodzie, wykonywał ten gest i wypowiadał zdanie, które teraz powtarza ochrypłym głosem raz jeszcze:

- Oto, co mnie obroni.

Miecz o wszystkim rozstrzygnie.

Zaczyna szybko wydawać rozkazy otaczającym go ludziom. Centurionowie i jazda, ludzie pewni i wypróbowani, mają pod dowództwem Kwintusa Hortensjusza przekroczyć Rubikon...

Kładzie dłoń na ramieniu młodego Kwintusa.

Mają być uzbrojeni tylko w miecze, ich zadaniem jest opanowanie Ariminum, najbliższego miasta italskiego po drugiej stronie rzeki. Niech nie wzniesą zgielku, nie wolno im nikogo zabić ani zranić, po opanowaniu miasta niech zaczekają.

Cezar opiera się na ramieniu Hortensjusza. Czując, jak jego młode ciało napina się niby cięciwa łuku, doznaje podniecenia połączonego ze wzruszeniem. Jest wodzem, ludzie go słuchają i gotowi są za niego oddać życie, ponieważ jest dla nich wcieleniem siły. I ponieważ widzieli już przedtem, jak pokonał wodza germańskiego Ariowista i Gala Wercyngetoryksa.

- Naprzód - rozkazuje. Żołnierze oddalają się.

Teraz przez cały dzień - 11 stycznia 49 roku - trzeba będzie stwarzać fałszywe pozory, ponieważ w Rawennie na pewno roi się od szpiegów Pompejusza i senatu, a siła uderzenia rośnie wielokrotnie, gdy działa się przez zaskoczenie.

Cezar zasiada na stopniach małego amfiteatru. Na arenie wśród krzyków ścierają się gladiatorzy. Udając, że śledzi ich pojedynki, naprawdę jednak patrzy w dal, w kierunku pastwisk, między którymi płynie Rubikon, i w kierunku morza, do którego wpada rzeka.

Później przegląda plany szkoły gladiatorów, starając się okazać zainteresowanie. Od czasu do czasu podnosi wzrok ku ściemniającemu się niebu. Zapada noc. To będzie chwila decyzji. Lecz czy bogowie przemówią?

Wolnym krokiem opuszcza amfiteatr. Za nim z respektem podążają inni. Wraca do siebie, chcąc się przygotować do kolacji. Niewolnicy krzątają się w pośpiechu. Cezar wyciąga się na łożu w sali wypełnionej gorącą parą. Ręce robiące mu masaż ślizgają się po jego skórze, po łysej głowie, po całym jego kościstym i muskularnym ciele. Lubi tę chwilę, gdy pod pieszczotą palców i naciskiem dłoni rozluźniają się kolejno wszystkie mięśnie. Zamyka oczy.

Nie jest to jednak odpowiednia pora na rozkosze, którym tak często się oddawał. A zresztą żadna rozkosz nie daje się porównać z chwilą, gdy bogini Victoria nagradza zwycięską siłę. Powoli, z półprzymkniętymi jeszcze oczami i zaciśniętymi wargami, podnosi się i gestem każe nalać zimnej wody. Znów całe jego ciało napina się, czuje się młody i niezwykły. Wchodzi do sali jadalnej, zaprosił dziś na kolację kilka najbliższych osób. Z uśmiechem obserwuje swoich gości, niecierpliwie czekając, aż całkiem zapadnie noc.

Wówczas nadejdzie pora, aby wprowadzić gości w błąd i wyjść, poprosiwszy ich, aby dalej ucztowali. Dołączy do niego kilku uprzedzonych ludzi, wyznaczy im spotkanie o świcie nad brzegiem Rubikonu, a sam odjedzie w przeciwną stronę wozem zaprzężonym w muły pożyczone od piekarza z sąsiedztwa.

Noc z 11 na 12 stycznia 49 roku jest czarną mroźną otchłanią. Czy bogowie przemówią?

Krok mułów jest powolny i niepewny. Wiatr zgina krzewy, W ciemności Cezar i jego ludzie gubią drogę. Czy to jest znak? Ostrzeżenie ze strony bogów? Jakiś przechodzący człowiek pokazuje im, jak dojść nad rzekę.

Widać już brzegi Rubikonu wynurzające się stopniowo z mroku, lecz wciąż pogrążone w gęstej mgłę. Cezar zeskakuje z wozu, idzie w stronę mostka przerzuconego przez rzekę. Spozstrzega tuż obok ustawione kohorty trzynastego legionu, ich chorągwie lśnią wśród szarówki. Czuje się zdecydowany i zarazem pełen wahania.

- Teraz jeszcze możemy się cofnąć - mówi - ale gdy już przekroczymy ten most, o wszystkim będzie musiał rozstrzygnąć oręż.

Z mgły wyłaniają się łagodnie schodzące ku rzece, nawadniane jej wylewami łąki. Cezar gestem każe wypuścić stado koni na pastwisko nad brzegami Rubikonu. Ma to być ofiara, aby zjednać przychylność bogów.



- Ostatecznie - mówi, przyglądając się długo koniom, które galopują, ocierają się o siebie, skubią trawę, rżą, podnosząc wysoko łby - trzeba tylko wykonać jeden niebezpieczny ruch. Jedźmy!

Takie jest życie. Nic niewarte, jeśli człowiek nie potrafi się w nim zachowywać równie swobodnie jak te konie. Ich lekki galop wzdłuż brzegów Rubikonu to obraz losu człowieka, którego bogowie wybrali, aby zwyciężał.

Naraz od strony rzeki dobiega wysoki dźwięk.

Siedzi tam jakiś człowiek, niemal nagi pomimo chłodu, jego długie włosy mieszają się z kędzierzawą brodą. Gra na fujarce, ruchliwe palce przebiegają wzdłuż instrumentu, z którego wydobywa się stopniowo wypełniająca świt melodia. Otoczyli go pasterze, a niebawem przyłączyli się do nich także żołnierze. Niektórzy z legionistów mają zawieszona na szyi trąbki.

Cezar przygląda się tej scenie, rozświetlanej coraz żywszym blaskiem dnia. Nagle grajek wstaje. Jest wysoki, w promieniach wschodzącego słońca jego piękno olśniewa.

Czy to jest wreszcie znak?

Grajek bierze trąbkę od jednego z legionistów i kierując się w stronę Rubikonu, zaczyna grać na niej z radosną i porywającą siłą. Przechodzi na drugą stronę rzeki, nie przestając grać.

Trzeba wykorzystać tę chwilę. Cezar zbliża się do mostka. Z każdym krokiem czuje, jak jego pierś wzbiera i napęnia się energią, a całe ciało pochyla się do przodu. Odwraca się w stronę kohort.

- Idźmy tam, dokąd wzywają nas znaki wieszczce bogów i niesprawiedliwość wrogów!

- woła. - *Alea iacta est* \ Kości zostały rzucone!

# CZEŚĆ I

## Rozdział 1

Musisz nauczyć się walczyć nie tylko siłą ramion, lecz także, wykorzystując moc słów i umysłu...

Cezar przypomina sobie najpierw matkę.

Widzi ją, jak dumnie wyprostowana przyjmuje gości w wielkiej rzymskiej willi w dzielnicy Subura, nad którą górują wzgórza Eskwilinu, Wiminalu i Kwirynału. Jest duszno i gorąco. Lecz ogród willi jest rozległy. Stłumione odgłosy ulicznego handlu, hałasy dobiegające z wielopiętrowych budynków, gdzie gnieździ się plebs, okrzyki poganiaczy wołów zagłusza trochę szmer ogrodowych fontann.

Matka stoi w pobliżu jednej z nich, przyozdobionej posągiem Wenus, w cieniu pinii, której wysoka korona okrywa parasolem cienia cały róg ogrodu.

Goście, którzy drogą do Argiletum schodzą z patrycjuszowskich willi wybudowanych na Eskwilinie, kłaniają się przed nią, wnuczką i córką konsula, kuzynką trzech senatorów.

Cezar czeka, aż matka położy dłoń na jego ramieniu i powie głosem wyraźnym i zdecydowanym:

- Oto mój syn, Gajusz Juliusz Cezar, który poprzez swego ojca pochodzi od założycieli Rzymu: Julusa (Askaniusza), syna Eneasza, władcy Troi, który sam był synem bogini Wenus.

Czuje matczyną rękę, która opiera się na nim tak, jakby chciała, aby to, co mówi, wniknęło mu do duszy, by nigdy nie zapomniał, że należy do rodu spokrewnionego z bogami i z jednym z ostatnich legendarnych królów Rzymu Ankusem Marcjuszem.

Słyszy. Jest potomkiem bogów, królów.

Musi okazać się godnym potomkiem matki i *gens Julit* - rodu ojca, Gajusza Juliusza, który w karierze urzędniczej doszedł jedynie do stanowiska pretora. Ojciec, milczący i skromny, często nieobecny, podróżujący do Grecji, po powrocie do domu zdaje się nie dostrzegać chuderlawego syna o czarnych włosach i błyszczących przenikliwych oczach w bladej twarzy.

Chłopiec pobiera już lekcje władania bronią, podczas których zwinnie odparowuje

ciosy, mocno uderza w tarczę nauczyciela fechtunku, który chwali go, a potem każe mu biegać i pływać; gdy słabnie, nauczyciel przypomina mu, że nosi przecież imię Cezar.

Przydomek ten wybrał jeden z jego przodków, aby upamiętnić, że zabił kartagińskiego słonia - słowo *caesar* znaczyło właśnie „słoń” w języku tego miasta, niegdyś rywalizującego z Rzymem, a teraz już zburzonego. Musi pamiętać, że jest także potomkiem bohatera, jednego z tych, którzy obronili Rzym i pokonali Kartaginę. Musi okazać się godny także tej tradycji.

Aurelia Kotta podchodzi do syna; nie chwali go jednak, tak jak się spodziewał, lecz zabiera go z dala od nauczyciela fechtunku, do tej części ogrodu, gdzie nigdy nie dociera słońce. Rosną tu gęste zarośla, woda spływa kaskadami. Cezar siada obok niej na marmurowej ławeczce.

Matka mówi mu:

- Musisz nauczyć się walczyć nie tylko siłą ramion, lecz także wykorzystując moc słów i umysłu. Będziesz mógł służyć Rzymowi i przyniesiesz zaszczyt twemu rodowi tylko wtedy, gdy będziesz umiał działać, wykorzystując wszystkie siły, jakie masz do dyspozycji. Słuchaj... - Matka wstaje z ławki i podprowadza go do ceglanego muru okalającego ogród. Niewolnicy przycinają tu drzewa, kopiają. Na jej widok usuwają się. - Posłuchaj - powtarza matka.

Krzyki i wycia dochodzące z miasta uderzają o mur jak potężne fale.

Aurelia Kotta mówi, że jej syn musi wiedzieć, iż życie potomka bogów i królów przypomina podróż po rozszalałym morzu. Mimo to nie wolno jednak pozostać w porcie. Trzeba wyruszyć w drogę, posługując się tak siłą, jak i rozumem, a wówczas będzie go prowadziła Venus Victrix - Wenus Zwycięska.

Matka, wskazując na wzgórza, sąsiednie Forum, Suburę, ciągnie:

- W Rzymie toczy się walka. Ściga się ludzi, morduje. Tropi się ludzi wyjętych spod prawa.

On, Cezar, musi to rozumieć, choć jest jeszcze dzieckiem i urodził się tak niedawno, zaledwie siedem lat temu.

Zmienia temat, opowiada mu, że w roku 101 było wyjątkowo gorąco, zboże było dojrzałe, powietrze nieruchome, wszyscy - ojciec i ona - oczekiwali, że po kolejnych narodzinach dwóch córek przyjdzie wreszcie na świat chłopiec. I urodził się on, Gajusz Juliusz Cezar.

Julia, siostra jego ojca, jest żoną konsula Mariusza, wodza, który wraz ze swymi legionami powstrzymał Teutonów i Cymbrów i ocalił Rzym przed germańskimi

barbarzyńcami.

- Lud chciał, aby Mariusz został konsulem - dodaje matka - i sześć razy senat ugiął się przed wolą plebsu, ale senatorowie, ci najbardziej wpływowi, których nazywa się patrycjuszami, obawiali się o swoje przywileje i tym razem wybrali jego przeciwnika, Sullę. Od tej pory toczą się walki, ludzie się nawzajem mordują, rozpętała się wojna domowa, która osłabia państwo i w rezultacie podbite dawniej ludy buntują się dziś przeciwko Rzymowi. Dzieje się tak w Grecji i na Wschodzie!

Cezar słucha. Matka opowiada mu o Cynnie, sojuszniku Mariusza, który pozwala się kusić, przekupywać, przechodzi z jednej strony na drugą. Wygrywają ci, którzy mają pieniądze i legiony...

Krzyki przybierają na sile. Niewolnicy przestają pracować, nasłuchują ze spuszczonej głowami, jakby chcąc ukryć błyski w oczach i nienawistne uśmieszki.

- Wybuchł bunt na Sycylii - ciągnie Aurelia Kotta. - Tylko siła wymusić może w Rzymie przestrzeganie prawa.

Chłopiec idzie w ślad za matką, która przechodzi przez ogród i zatrzymuje się przy fontannie, pośrodku której stoi posąg Wenus.

Matka przypatruje się synowi, gładzi jego włosy, policzki, potem oznajmia stłumionym głosem:

- Będziesz żył w epoce wojen, które już się rozpętały i nie wygasną aż do dnia, gdy jakiś silny człowiek, zwycięski wódz pod opieką bogów, nie powstrzyma Rzymian przed wzajemnym zabijaniem się. Jesteś jednak jeszcze taki młody, mój synu, że będziesz musiał najpierw ujrzeć, jak zwolennicy Mariusza i Cynny walczą przeciwko żołnierzom Sulli. Lud także będzie podzielony. I do tego będzie trzeba jeszcze prowadzić wojnę z barbarzyńcami. - Otacza ramieniem syna, rozgląda się dookoła. - Sulla został wyznaczony przez senat na dowódcę legionów, które będą walczyły przeciwko królowi Mitrydatesowi... kazał on wymordować wszystkich obywateli rzymskich i wszystkich klientów Rzymu. Pewnego dnia ty także będziesz musiał stawić czoło barbarzyńcom, tym ze Wschodu i tym z puszczy Północy...

Hałasy dochodzące od Subury stają się jeszcze głośniejsze. Słychać piski kobiet, przekleństwa żołnierzy, rozkazy centurionów, groźby przywódców tłumu gwałtowne jak ujadanie psów.

- Trzeba będzie oddać ludowi jego część - ciągnie Aurelia Kotta. - Bogaci, senatorowie, patrycjusze - pokazuje wille rozrzucone na zboczu wzgórza Eskwilinu - nie mogą zatrzymywać dla siebie wszystkich łupów wojennych z podbojów Rzymu i całej ziemi.

Rozsądek nakazuje podzielić się z ludem.

Cezar podąża za matką do perystylu.

Nadeszła pora, aby pójść do biblioteki, gdzie Marek Antoniusz Gniphos rozłożył już na pewno tabliczkę woskową i rysik do ćwiczeń w pisaniu oraz abakus do nauki rachunków. Potem przyjdzie czas na lekturę. Cezar najbardziej lubi powtarzać wersy z Homera.

Lubi język grecki, który stopniowo, dzień po dniu, staje mu się tak dobrze znany jak łacina. W końcu Marek Antoniusz Gniphos każe mu deklamować, jakby był oratorem. Cezar spostrzega matkę, która staje na progu biblioteki i słucha go. Wówczas prostuje się, nabiera pewności siebie, improwizuje po grecku i po łacinie, chcąc ujrzeć na jej twarzy ów wyraz zachwytu, który tak go uszczęśliwia.

Potem Marek Antoniusz Gniphos będzie mu opowiadał o Galii Przedalpejskiej, leżącej po drugiej stronie Padu, oddzielonej od Italii Rubikonem, i o Galii Zaalpejskiej, znajdującej się po drugiej stronie Alp. Jest ona od północy zagrożona przez Germanów, a od południa, wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego, graniczy z Galią Narbońską.

*Grammaticus* Gniphos z zapalem mówi o tych krajach, sam bowiem pochodzi z Galii; potem opowiada o swoich podróżach do

Aleksandrii, do Aten i na Rodos, tam, gdzie w znakomitych szkołach retoryki można się zapoznać ze spuścizną pisarzy i filozofów.

Te lekcje z nauczycielem odbywają się codziennie po ćwiczeniach cielesnych, nauce walki i władania bronią.

Potem nadchodzą słodkie i pachnące godziny kąpieli i masażów. Kobiety i młodzi chłopcy myją go, wcierają w skórę oliwę, która usuwa zmęczenie, rozluźnia i zmiękcza mięśnie; ich dłonie nie pomijają żadnej części jego ciała.

Czasami Cezar odgaduje, że matka go obserwuje, i leżąc nagi wśród ciepła napelniającego łaźnię szarym oparem, czuje zakłopotanie.

Matka zbliża się do niego i chłopiec sztywnieje. Wie, że zaraz rozkaże, aby skropiono go lodowato zimną wodą. Powie, że nie wolno mu się trząść, ma pozostać niewzruszony jak marmurowy posąg. Musi być silny, inaczej nigdy nie zwycięży.

- Gdyż ty, Gajuszu, będziesz zmuszony walczyć, z Rzymianami i z barbarzyńcami, i nie ufać nikomu, także tym tutaj - pokazuje niewolników - którzy jak szakale czyhają na chwilę słabości wolnych ludzi.

Znów idą razem przez perystyl. Gajusz patrzy na freski, z których w cieniu kolumn wyłaniają się postaci Wenus, Marsa, Apolla, Jowisza - opiekuńczy bogowie królów

założycieli Rzymu - a także sceny bitew wydanych przez Rzymian Galom, Teutonom i Cymbrom. A na jednej z mozaik widać pierwszego Juliusza Cezara, jak włócznią zabija kartagińskiego słonia.

- Musisz być silniejszy od dzikiego zwierzęcia i od człowieka - mówi jeszcze Aurelia Kotta. - I jeśli nie wystarczy ci sama siła cielesna, wykorzystuj bystrość umysłu. Jesteś synem boga, synem króla, synem wspaniałych rodów Kotta i Juliuszów. Jesteś moim synem, Gajuszu.

## **Rozdział 2**

Nie ma jeszcze szesnastu lat... Ale już wie, że pieniądze, tak samo jak siła miecza i słowa, stanowią jedno ze źródeł władzy.

Cezar odwraca się, wzrokiem szuka matki. Aurelia Kotta stoi o dwa kroki za nim i spojrzeniem dodaje mu odwagi. Jej twarz jest poważna. Otaczają ją mężczyźni w białych togach i kobiety w strojnych sukniach, senatorowie i patrycjuszki należący do rodów Juliuszów i Aureliuszów. W pierwszym szeregu tej grupy zajmującej atrium znajdują się Mariusz i Cynna - obaj rządzą Rzymem od czasu, gdy Sulla wyruszył wraz ze swymi legionami na wojnę z Mitrydatesem, królem Pontu nad Morzem Czarnym. Mówią, że w Grecji żołnierze tego barbarzyńcy wymordowali ponad osiemdziesiąt tysięcy obywateli rzymskich.

Odwraca się jeszcze raz. Matka kiwa głową, zachęcając go, aby podszedł do larów i złożył na ich ołtarzu w lararium złotą bullę z amuletem, który ojciec zawiązał mu na szyi w dniu narodzin, aby chronił go od złych czarów, i który nosił przez całe dzieciństwo.

Dzisiejszy dzień to koniec dzieciństwa. Tego ranka niewolnicy przynieśli mu po raz pierwszy białą męską togę. Po chwili do pokoju weszła matka i, wzruszona, zabrała mu tę, którą dotąd nosił - *toga praetexta* - białą, ale z czerwonym szlakiem na brzegu.

Cezar składa złotą bullę na ołtarzu larów, potem odwraca się do matki i do zgromadzonych krewnych. Całe atrium skąpane jest w świetle marcowego słońca przedostającym się przez *compluvium*, otwór w dachu. Aurelia Kotta ściska go, lecz wydaje się, że jej stosunek do niego się zmienił. Matka zachowuje teraz większy dystans, przejawia pewien rodzaj respektu. Gajusz Juliusz odbiera tę zmianę z dumą i uniesieniem, ale także odrobiną żalu.

To on stanie na czele orszaku, który poprzedzany niewolnikami torującymi przejście wśród tłumu w Suburze uda się aż na Forum, gdzie Cezar zostanie wpisany na listę obywateli

Rzymu.

Kroczy wolno, nie zwracając uwagi na barwny i hałaśliwy tłum, plebs, wśród którego spotkać można zarówno obywateli rzymskich, jak i italskich sprzymierzeńców, którzy brali udział w wojnie u boku Mariusza, aby otrzymać tytuł i prawa obywatela Rzymu. Chcą mieć prawo głosu w komicjach wybierających trybunów ludowych. Chcą otrzymać ziemię z parcelacji wielkich majątków bądź w koloniach. Do wprowadzenia projektu tego rodzaju dążą Mariusz i Cynna wbrew opinii większości patrycjuszy i senatorów. Ich prawo rolne przypominałoby ustawy, które niemal pięćdziesiąt lat wcześniej usiłowali wcielić w życie trybunowie ludowi, bracia Tyberiusz i Gajusz Grakchowie. Obaj zginęli - jeden został zamordowany, drugi zaś, nie mając wyjścia, rozkazał swojemu niewolnikowi, aby go zabił.

Cezar wyczuwa, że ten hałaśliwy plebs z Subury jest mu przychylny, wiedzą, że jest bratankiem konsula Mariusza - należącego wraz z Cynną do grupy patrycjuszy popierających zmiany prawa rolnego, szukających oparcia w ludzie i pomagających najuboższym.

Tłum wiwatuje na cześć orszaku wkraczającego na Forum. Podnoszą się okrzyki na cześć popularów, a jednocześnie wrogo są witani trzymający się na uboczu, na stopniach prowadzących do Kurii, senatorowie należący do optymatów, którzy nie zgadzają się na nowe prawo rolne.

Tutaj właśnie, w północnej części Forum, Juliusz Cezar zostanie obywatelem Rzymu. Nie ukończył jeszcze szesnastu lat.

Patrzy na wysokie kolumny świątyń wznoszących się po obu stronach Via Sacra. Wie, że jego życie będzie się rozgrywać tutaj: jego przebieg będzie zależeć od tego, co zostanie postanowione w Kurii, na posiedzeniach senatu, wśród rozgrywek i intryg, a także i od tego, co uchwali lud na swoich zgromadzeniach. To plebs wybiera bowiem kandydatów na niektóre urzędy. I potrafi się także buntować. Należy więc tym ludziom schlebiać, przekupywać ich i karmić, gdyż głodni mogą stać się nieobliczalni. Trzeba się także nauczyć utrzymywać ich w ryzach i w razie potrzeby karać.

W tych marcowych dniach Cezar zaledwie przeczuwa te problemy. Ale jeśli ma stać się godny swojego rodu, musi nauczyć się sztuki rządzenia ludźmi.

Wraca do willi. W ogrodach atrium niewolnicy usuwający ślady po uroczystości kłaniają mu się z respektem i pokorą, gdy ich mija.

Oni są niczym.

On musi dotrzeć na sam szczyt. W tym celu musi teraz, tak samo jak nauczył się posługiwać słowem i władać bronią, powrócić na Forum, zacząć uczestniczyć w posiedzeniach senatu, w komicjach, spotykać się z patrycjuszami z rodów plebejskich, poznać

kwestorów i pretorów, słuchać, jak mówią najświetniejsi oratorzy. Musi się dowiedzieć, kim są owi plebejscy ekwici, którzy, jak wie od ojca, posiadają pieniądze, zajmują się poborem podatków i bogacą się na udzielaniu pożyczek, ograbiają najbiedniejszych i spekulują cenami zboża albo ziemi.

Już wie, że pieniądze, tak samo jak siła miecza i słowa, stanowią jedno ze źródeł władzy. Może nawet najpotężniejsze źródło. Musi więc także je mieć.

Wchodzi do biblioteki, przypominając sobie sentencję, której nauczył go Marek Antoniusz Gniphos. Jej autorem jest grecki filozof Platon. Miał on zdaniem Gniphona napisać: „Złoto i *arete*, prawość, są jak dwa ciężary położone na szalach wagi”. Co oznacza, że gdy jedno z nich idzie w górę, drugie musi się obniżyć.

Lecz czy to prawość daje siłę?

Cezar często zanurza się w tłum zapelniający Forum, otaczający Kurię. Chudy wyrostek z krótkimi włosami słucha senatorskich przemówień, oskarżycielskich wystąpień trybunów ludowych. Nie ucieka, gdy pojawiają się bandy uzbrojonych ludzi ścigających zwolenników Mariusza i Cynny, a w innych znów okresach bandy tropiące stronników Sulli, o którym mówi się, że po zwycięstwie nad królem Mitrydatesem ma niebawem powrócić do Rzymu na czele swych legionów.

Mariusz znalazł się swego czasu w niebezpieczeństwie i musiał uciekać, aby uniknąć śmierci. Teraz Cezar widzi, jak Mariusz powraca, w podartych szatach, z rozczochraną brodą, lecz otoczony swoimi żołnierzami. I oni na jego rozkaz zabijają ludzi Sulli. Sterroryzowani i podporządkowani senatorowie wyznaczają Mariusza na urząd konsula po raz siódmy.

Siła może zdziałać wszystko! Zmusza ludzi do zmiany poglądów, tak że Mariusz i Cynna zostają wybrani na konsulów, mimo że wcześniej byli proskrybowani. A i plebs postępuje tak, jak sobie życzą ci, którzy mu płacą, nadają ziemię albo rozdają zboże, którzy umieją go poruszyć, przekonać albo zastraszyć.

Cezar zafascynowany jest tymi zmianami nastrojów tłumu, który faluje jak morze. Ma wrażenie, że można wykorzystać ten lud tak samo, jak korzysta się z miecza, aby ugodzić przeciwnika, owych zaślepionych patrycjuszów, optymatów troszczących się nie o Rzym, lecz jedynie o swoje majątki i władzę.

Obserwuje wszystko. Czasami spędza wiele godzin na Polu Marsowym wśród tłumu cisnącego się przed listami proskrypcyjnymi i odczytującego imiona ofiar kolejnych czystek ogłaszanych przez Sullę, Mariusza i Cynnę.

A na kamiennych płytach, na marmurowych kolumnach widzi ślady krwi. Czy nie można powstrzymać tej rzezi wśród Rzymian? Czy bez końca trzeba się mordować? Czy nie



można uciszyć tej szalejącej burzy, zdobyć władzy, aby potem rządzić już łagodnie, trzymając jednak w zanadru siłę?

Wchodząc do willi w Suburze, czuje niepokój. Legiony Sulli są już w drodze; jeśli zwyciężą, strach padnie na zwolenników Mariusza i Cynny. I on, Cezar, bratanek Mariusza, będzie zagrożony... Chce go chronić. Mariusz zamierza wyznaczyć go na urząd kapłana Jowisza, *flamen Dialis*. Mógłby się wtedy nie obawiać politycznych porachunków. Spełnia także wstępne wymagania: aby zostać kapłanem, trzeba należeć do rodziny patrycjuszowskiej.

Cezara kusi zaszczytna propozycja, dzięki tej funkcji od razu uplasowałby się pośród dostojników rzymskich, mimo że jest młodzieńcem dopiero od niedawna noszącym męską togę.

Podniecony i nieco upojony tą rysującą się perspektywą świetności spaceruje samotnie po ogrodzie willi. Zbliża się do niego matka. Dziwi go gwałtowność, z jaką się do niego zwraca, jej sroga mina.

Nie wolno *mu się zgodzić, oznajmia* stanowczo Aurelia Kotta. Urząd ten wymaga, aby kapłan nigdy nie opuszczał Rzymu, nie wolno mu spać więcej niż dwie noce poza Rzymem. Nie będzie mu wolno dosiąść konia, wziąć miecza do ręki ani dowodzić uzbrojonymi ludźmi. Czy to jest przyszłość dla potomka bogów i królów, dla jej syna, który powinien osiągnąć najwyższe stanowiska i którego ambicją powinno być rządzenie Rzymem?

Ale jak odmówić przyjęcia tej godności tak, aby nie zrywać z Mariuszem i 7. Cynną, z partią plebejską, a zarazem nie sprawiać wrażenia, że przyłącza się do obozu Sulli?

Matka wpatruje się w niego nieruchomym wzrokiem, niemal bez drgnienia.

- Należy - mówi - chcieć jak najwięcej i każdy czyn podporządkować swemu celowi, usuwać wszystko, co mogłoby przeszkodzić w wypełnieniu przeznaczenia.

Gajusz Juliusz spuszcza głowę. Nie będzie kapłanem Jowisza. Podporządkuje się decyzji matki.

Wystarczy zaledwie paru dni, aby Aurelia Kotta zaaranżowała małżeństwo z córką jednego z ekwitów, finansisty, którego jedynym szlachectwem jest jego bogactwo. I oto dziewczyna - ma na imię Kosucja - stoi przed nim. Jest nieśmiałą brunetką, właściwie jeszcze dzieckiem. Jest ona jednak plebejuską i to sprawia, że Cezar nie może już zostać kapłanem. Podstęp jest zręczny!

Cezar wpatruje się w Kosucję zakłopotany jej biernością, jej uległym wzrokiem i po raz pierwszy ma ochotę chwycić dziewczynę i przycisnąć do siebie, wyobraża sobie jej świeżą skórę, delikatne dłonie, jak u tych niewolnic, które masują go po lekcjach

posługiwania się bronią.

Wreszcie jest z nią sam. Ona stoi nieruchomo, ciało ma ściśnięte tuniką. Cezar czuje tak silne poruszenie, że zamyka oczy. Ogarnia go pożądanie, które jest jednym ze sposobów wyrażania siły.

Zsuwa z jej ramion okrywający ją wielki szal. Pragnie tego nagiego ciała.

Życie to siła, a więc pożądanie; zdobycie ciała, jego posiadanie to także zwycięstwo, podobnie jak posiadanie władzy.

- Dość zabaw... - stwierdza po tygodniu matka. Zaaranżowała jego małżeństwo. A teraz, kiedy Cezar już nie może zostać kapłanem, *flamen Dialis*, chce szybkiego rozwodu. Chłopak podporządkowuje się i tym razem.

- Trzeba zacząć karierę! - nalega matka.

Niedawno zmarł Mariusz, a niewiele dni później umiera także jego ojciec. Ciała odprowadzane są do grobowca poza granicami Rzymu, niewolnicy niosą woskowe portrety zmarłych, podczas gdy płaczki wyją, zagłuszając swymi lamentami fanfary i śpiewy.

Cezar u boku matki idzie w orszaku za ciałem ojca. Aurelia Kotta kroczy z zastygłą twarzą. Syn nie może widzieć jej oczu, lecz słyszy jej głos, mówiący cicho, że nadciągają burze.

Zrozumiano już, twierdzi Aurelia Kotta, że jej syn może się stać niebezpieczny, i chcą go zniszczyć, zanim urośnie w siłę. Wielki kapłan Metellus skazał Cezara na grzywnę za poślubienie plebejuszki Kosucji. Chcą zrujnować Cezara, pozbawić go władzy, jaką dają pieniądze. A Mariusz już go nie obroni.

Musi on więc, matka podnosi nieco głos, poślubić córkę Cynny, Kornelię: dzięki temu będzie miał sojuszników w tej potężnej i bogatej rodzinie. Taka jest jej wola.

A jeśli Sulla powróci do Italii, trzeba będzie walczyć. Gdyby zaś wygrał walkę zbrojną i wkroczył znów do Rzymu, to trzeba będzie go pokonać, posługując się siłą umysłu.

### **Rozdział 3**

Czy można ufać słowu Sulli, który właśnie ogłosił się dyktatorem?

Cezar wręcza Kornelii ciasto z orkiszu, którym dzielą się pan młody i panna młoda w dniu ślubu. Spieszno mu zakończyć ceremonię, gdyż atmosfera jest bardzo napięta. Jedyne jego matka się uśmiecha, wydaje się szczęśliwa, widząc, że syn wchodzi do rodziny Cynny, który od śmierci Mariusza rządzi Rzymem jako dyktator, terroryzując miasto, narzucając

senatowi swoją politykę, faworyzując ekwitów i plebs, sprzeciwiając się hegemonii nobilew, organizując rozdawnictwo zboża wśród najbiedniejszych, a wreszcie - każąc ogłosić Sullę wrogiem publicznym.

Wystarczy jednak, by Cezar spojrział na pełną napięcia twarz Cynny, aby zrozumiał, że boi się on powrotu byłego konsula z Azji. Wiadomo, że Sulla podpisał pokój w Dardanos na łagodnych warunkach wobec króla Pontu, lecz potem kazał legionom złupić Azję, żądając od miast wielkich haraczy. Napęlił swoje skrzynie i wzbogacił żołnierzy, którzy są mu z tego powodu oddani, a teraz myśli tylko o wylądowaniu w Prundyzjum, na adriatyckim wybrzeżu Italii, aby odzyskać władzę w Rzymie. Napisał do senatu, zapowiadając, że pomści swoich przyjaciół i wszystkie ofiary terroru rozpętanego przez Mariusza i Cynnę w czasie rządów popularów. Senat i optymaci czekają na jego powrót, chcąc także wyrównać swoje porachunki oraz znieść przywileje plebsu.

Każdy z ludzi otaczających Aurelię Kottę dobrze zna sytuację, zastanawiają się, co będzie, gdy terror odwróci swe ostrze. Dzisiejsi władcy jutro mogą stać się ofiarą proskrypcji!

Cezar wyczytuje w ich twarzach strach. Cynna otoczony jest strażą, jakby się obawiał, że zabójcy opłacani przez Sullę nawet w dniu ślubu jego córki mogliby przyjść tutaj, do willi Juliuszów. Julia, wdowa po Mariuszu i ciotka Cezara, trzyma się na uboczu, wyrażając całym swoim zachowaniem wyniosłą pogardę. Cezar idzie w jej stronę. Kocha i szanuje tę kobietę, która w tym zgromadzeniu tchórzki umie okazać godność. Nikt inny się jednak do niej nie zbliża, jakby goście obawiali się zawczasu narazić tym spośród zgromadzonych, którzy staną się zausznikami Sulli, jeśli powróci on zwycięsko do Rzymu.

Cezar ściska ciotkę, potem obejmuje matkę. Nie odczuwa żadnego niepokoju. Ma dopiero siedemnaście lat, nie potrafi nawet sobie wyobrazić, by jego życie miało się zakończyć na samym początku, skoro jego przyjściu na świat patronowali bogowie.

Czuje pełnię sił witalnych. Chciałby już znaleźć się sam na sam z Kornelią. Od czasu małżeństwa z Kosucją zna już smak kobiecego ciała.

Nie wyobraża już sobie teraz, aby miał zostać pozbawiony tej przyjemności. W dniach po swoim rozwodzie oddawał się w ręce młodych, biegłych w tej sztuce niewolnic. Uwielbiał leżeć z półprzymkniętymi oczami w wilgotnym gorącu łaźni w willi, pozwalając się pieścić. Starał się pozostawać w bezruchu, aby lepiej się skoncentrować na rozchodzącej się po całym ciele rozkoszy. I doświadczał ostrej, niemalże bolesnej przyjemności opóźniania chwili spełnienia, dumny z panowania nad sobą, szczęśliwy, że potrafi narzucić swoją wolę ciału.

Odkrył, że uprawianie miłości wymaga nauki, podobnie jak sztuka posługiwania się

słowem i władania bronią, tak samo jak polityka - sztuka rządzenia ludźmi, przyciągania ich i zdobywania. I że także w dziedzinie miłości, jak w każdej innej sferze ludzkiej działalności, pierwsze miejsce zajmują umysł i wola.

Zrozumiał, że jego ciało, aby mogło być posłuszne duszy, musi mieć sprężystość i twardość metalu.

Musi pozostać szczupły, zdecydowany, ostry, nie może się stać jednym z tych grubych senatorów, mężczyzn wypełnionych tłuszczem i strachem o własne życie.

Wyciąga do Kornelii kawałek orkiszowego ciasta. Nie ma jednak wielkiego kapłana i większości kapłanów Jowisza, którzy powinni odczytać wróżby i wypowiedzieć zdania chroniące zawierany związek. Kapłani także czekają na powrót Sulli i uważają, że gdyby związali się z Cynną, to nawet ich kapłański stan nie uchroni ich od siepaczy na służbie pogromcy Mitrydatesa.

Przed udaniem się w towarzystwie Kornelii do swej sypialni Cezar patrzy na tych mężczyzn i kobiety, którzy spieszenie wychodzą z atrium, chcąc uciec z willi Juliuszów, znaleźć się z dala od Cynny i od wdowy po Mariuszu, aby nie pamiętano im, że poddali się dyktaturze przywódców popularów. Teraz przygotowują się do przejścia do obozu Sulli i optymatów, ponieważ nowy terror znowu każe im ugiąć kark.

Cezar czuje do nich pogardę, ale też i litość. To z tego właśnie tchórzostwa, z tej ludzkiej gliny musi budować swój los.

Zabiera Kornelię.

Sam musi być jak żelazne ostrze, wyostrzone na bloku marmuru o ostrych krawędziach, ponieważ ludzie są z piasku i błota.

Lubi ciało Kornelii. Wprawdzie rozkosz z nią nie osiąga tej intensywności, jaką potrafią wyzwolić w nim niewolnice, pieszcząc go powoli palcami i wargami, ale ta łagodna młoda kobieta pozwala się kochać i wydaje się szczęśliwa, jest małżonką, której dusza i ciało przypomina krystaliczną wodę z fontanny. Wygląda na to, że nie ma żadnych wymagań, zadowolona się czekaniem na powrót męża.

Od czasu ślubu Cezar rzadko bywa w willi w Suburze, gdzie u boku Aurelii Kotty zamieszkała teraz jego młoda żona. Cezar ma liczne obowiązki na Forum i w mieście, asystuje w posiedzeniach senatu w Kurii. Miesza się z tłumem plebejuszy. Przygląda się senatorom, którzy zgadzają się na prawa, jakie narzuca im Cynna, konsul, który sam się desygnował, nie pytając ich o zdanie. Opiera się na plebsie, któremu stara się schlebiać, dostarczając żywności, by mieć siłę stawić czoło Sulli.

Cezar milczy, uczy się polityki. Poznaje ludzi, tajniki władzy, a więc i zdrady, tchórzostwa, pochlebstwa i próżności, ambicji i chciwości, i także nietrwałości rządów opartych na sile.

Widzi, jak Cynna usiłuje zgromadzić wojska, napęlić zbożem magazyny, ściągnąć podatki, aby zorganizować obronę przeciwko legionom Sulli, których okręty są już niedaleko Brundyzjum. Ale kiedy legiony zejną na ląd, kto będzie w stanie stawić opór żołnierzom, którzy są coraz bardziej zniecierpliwieni, pragnąc po łupach, jakie zagarnęli w Azji, otrzymać wreszcie zadośćuczynienie za lata wojny z dala od Italii i Rzymu w postaci pieniędzy, ziemi i praw dla weteranów?

Cezar nie jest zdziwiony, gdy się dowiaduje, że Cynna, który pojechał do Ankony, by stanąć na czele wojsk, podczas rozruchów został zamordowany. Co można zrobić, gdy z galer Sulli zeszło w Brundyzjum na ląd sześć legionów: prawie trzydzieści sześć tysięcy żołnierzy zdecydowanych zwyciężyć i cieszących się w Rzymie poparciem stronnictwa optymatów, większości senatu, wszystkich tych, którzy ucierpieli na nowym prawie rolnym bądź tych, którzy jedynie pod presją się zgodzili, by Mariusz przyznał obywatelstwo rzymskie wszystkim sprzymierzeńcom italskim mieszkającym na południe od Padu? Już teraz ludy z Galii Przedalpejskiej żądają tego samego przywileju dla siebie! A optymaci, którzy uważali, że zagrożona jest hegemonia nobilów, także pragną zwycięstwa Sulli.

Cezar nie chce uczestniczyć w walkach, które toczą ostatni zwolennicy Cynny z wojskami uformowanymi w dużej części z italskich sprzymierzeńców. Jakim cudem mieliby oni pokonać zaprawione w bojach legiony Sulli?

Czeka. Korzysta z tych niepewnych dni. Kornelia spodziewa się dziecka. W chwili, gdy wojska Sulli wkraczą do Rzymu, Cezarowi rodzi się córka, której da na imię Julia.

Nawet w ogrodzie willi Juliuszów słyszą triumfalne krzyki wojska. Wszędzie na trasie swego przemarszu, w miastach, gdzie napotykali opór, mordowali, ludność wybijali w pień. Teraz chcą przelać krew w Rzymie. Niedaleko Subury masakrują wiele tysięcy jeńców, którzy zostali doprowadzeni do Circus Flaminius, blisko Kapitolu, Forum i Kurii.

Senatorowie, tak samo jak Cezar ze swej willi, słyszą krzyki i błagania ofiar.

Zbrojne bandy przemierzają ulice, zabijając wszystkich, którzy - wydają im się wrogo nastawieni; najczęściej napadają na bogatych ekwitów, którzy popierali Mariusza i Cynnę i których zabicie pozwala zagrabić i podzielić między siebie ich majątek. Tymczasem Sulla każe się obwołać dyktatorem, co senat, który znowu nie ma nic do powiedzenia, skwapliwie czyni.

Cezar postanowił nie uciekać. Kto może uniknąć swego przeznaczenia? A jemu, synowi bogów i królów, przeznaczone jest wspiąć się kiedyś na sam szczyt, a nie zginąć w wieku osiemnastu lat od siepacza Sulli.

Często przebywa w pobliżu swej córeczki Julii albo ćwiczy się we władaniu bronią w ogrodzie. Potem wychodzi, przemierzając miasto i nie zważając na niebezpieczeństwo, ochraniający jedynie przez kilku niewolników. Kto ośmieli się napaść na potomka Wenus i Marsa? Wreszcie, młodego człowieka, który nie sprawuje jeszcze żadnej funkcji politycznej i zdaje się interesować jedynie przyjemnościami. Zaczyna się już o nim mówić, że lubuje się w rozkoszach ciała bardziej, niż nakazywałby to rozsądek, że wciąż się ugania za jakąś kobietą albo chłopcem.

To prawda, że jest bratankiem Julii, wdowy po Mariuszu, i że poślubił Kornelię, córkę Cynny. Ale nie brał udziału w prześladowaniach. A do tego jest patrycjuszem, członkiem jednej z najbardziej godnych rodzin Rzymu. Wie, że jego matka próbuje działać za pośrednictwem wszystkich członków rodu Kotta, chcąc uzyskać od Sulli zapewnienie, że nie będzie nastawał na życie młodego, nieszkodliwego człowieka. Ale czy można ufać słowu Sulli, który właśnie ogłosił się dyktatorem?

Senatorowi, który prosi go o ujawnienie listy przyszłych ofiar, gdyż, jak twierdzi, „Nie chcemy cię prosić o ułaskawienie tych, których postanowiłeś uśmiercić, ale usunąć wątpliwości u tych, których postanowiłeś oszczędzić”, Sulla odpowiada, że jeszcze nie wie, kogo postanowi oszczędzić.

- Ogłoś przynajmniej, kogo pragniesz uśmiercić - nalegają.

Wedle relacji, którą zdano Cezarowi, Sulla miał się na to uśmiechnąć i zgodzić opublikować listy proskrybowanych, lecz jedynie tych, których imiona mu się przypomniały. Tak więc jednego dnia na ogłoszeniach widnieje osiemdziesiąt nazwisk, a nazajutrz dwieście dwadzieścia. Zgromadzonemu ludowi Sulla oznajmił, że „proskrybuje codziennie tych, którzy mu przyjdą do głowy”.

Cezar słucha.

Jedynie bogowie decydują o jego losach. Ale trzeba umieć im dopomóc.

Toteż nie pozwoli się zarżnąć jak baran.

## ***Rozdział 4***

Po raz pierwszy jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, po raz pierwszy wyszedł naprzeciw wyrokom bogów...

Cezar chodzi po ulicach Rzymu, z dala od Forum i Kurii. Przygląda się dziewczętom, pozwala im się kusić, podąża za nimi, ulega ich wdziękom. Wychodząc z ich objęć ze „źle przepasaną” togą, wygląda jak jeden z tych młodych sybarytów, którzy z ramion kobiety przechodzą w ramiona chłopca. I rzeczywiście, patrząc na tego młodzieńca, który perfumuje się, depiluje, każe po kilka razy dziennie golić, masować i stale dba, aby jego ciało namaszczone było pachnącym olejkiem, można by pomyśleć, że to jeszcze jeden z potomków bogatych rodzin, którzy przedkładają rozkosz nad władzę, a luksusy ponad cnotę.

To prawda, że lubi rozkosze cielesne, ale przez cały czas ma się na baczności. Chce w ten sposób zmylić wrogów, nie rzucić się w oczy siepaczom Sulli. Pragnie, aby uważano go za beztroskiego młodzieńca - ma niespełna dwadzieścia lat - recytującego poematy po grecku i po łacinie.

Gdy jednak Cezar wraca do swej willi, matka opowiada mu, co wie o polityce Sulli. Zabijanie jest metodą jego rządzenia, chce on przywrócić senatowi władzę przejętą przez ekwitów i trybunów ludowych, starając się zarazem przywiązać do siebie weteranów legionów, a nawet lud, poprzez rozdawanie działek ziemi, a także niepodejmowanie na nowo kwestii obywatelstwa przyznanego italskim sojusznikom. I chce utrzymać senat w zależności, nawet gdy stronnictwo popularów zostanie już pokonane. Wszyscy muszą wiedzieć, że cała, nieograniczona władza spoczywa w jego rękach.

Cezar słucha opowieści matki. Kto zamorduje proskrybowanego, otrzymuje nagrodę wysokości dwóch talentów. Nawet gdyby miał to być jego ojciec, syn, brat albo pan. Tak, bo także niewolnik otrzymać może nagrodę za zamordowanie obywatela Rzymu! A ktoś, kto okazał szlachetność i przyjął u siebie bądź ukrył poszukiwanego, sam zostaje umieszczony na liście proskrypcyjnej. Także dzieci osób proskrybowanych wyjęte są spod prawa, a ich majątki ulegają konfiskacie. Wiele imion pojawia się na listach tylko dlatego, że zabójcy chcą zagarnąć dla siebie majątki ofiar. Kwintus Aureliusz, który nigdy nie brał udziału w żadnych sporach politycznych, gdy znalazł swoje imię na liście wyjętych spod prawa, wykrzyknął podobno: „O ja nieszczęsny! Biada! Oto mój dom w Albie mnie zabija!”

Aurelia Kotta nachyla się bliżej i dodaje cicho, że Kwintus Aureliusz nie zdążył odejść nawet paru kroków: śledzono go i zaraz zabito.

Cezar chmurzy się.

Czy sam zdoła ująć proskrypcjom? A nawet masakrom? Podobno Sulla udał się do Preneste i kazał zgromadzić się tam dwunastu tysiącom ludzi, których następnie wybito do nogi! Strach, jaki dyktator wzbudza, rozdawane przez niego lupy, grabieże i wywłaszczenia, które odbywają się za jego przyzwoleniem, przyciągają do niego wielu zwolenników.

W Rzymie jeden spośród zabójców, Lucjusz Sergiusz Katylina, wyróżnił się tym, że kazał wpisać na listy proskrypcyjne własnego brata, którego zabił jeszcze przed powrotem Sulli! A w podzięcie dyktatorowi zabił jednego z jego przeciwników!

Aurelia Kotta zniża głos.

- Potem przyniósł jego głowę i publicznie wręczył ją Sulli siedzącemu pośrodku Forum. A gdy to zrobił, poszedł obmyć swoje splamione krwią ręce w świętej czaszy w świątyni Apollina.

Wszyscy pogodzili się z tym terrorem.

Taki na przykład Marek Licyniusz Krassus najpierw dopomógł wojskom Sulli wejść do Rzymu, a teraz wzbogacił się, ograbiając proskrybowanych i odkupując na licytacjach ich majątki. Stał się w ten sposób jednym z najbogatszych ludzi w Rzymie. Sulla cieszy się z tego, podobnie jak może sobie pogratulować, że przyłączył się do niego Pompejusz, bogaty młodzieniec, który zgromadził u swego boku ludzi i zorganizował z nich legion. Sulla przyznał mu tytuł imperatora, lecz zażądał, aby Pompejusz rozszedł się z żoną. I młody patrycjusz zgodził się - tak wielki strach wzbudza dyktator.

Cezar wmieszany w tłum przypatruje się jego triumfowi. Przygląda się uważnie twarzom mężczyzn i kobiet, przedstawicielom rzymskiego plebsu, zafascynowanym widokiem zdobyczy wojennych rozmieszczonych na rydwanach, jeńców zakutych w łańcuchy, a zwłaszcza potężnych patrycjuszy, którzy wygnani za czasów Mariusza i Cynny, teraz triumfalnie wracają i tworzą orszak Sulli, nazywając go swoim ojcem i zbawcą.

Tłum jest niestały w sympatiach, uwielbia blask złota, parady i fanfary. A ten, kto posiada władzę i pieniądze, zawsze może go olśnić, przyciągnąć.

Cezar wraca do swej willi.

Czy ktoś, kto zaszedł tak daleko i kogo ożywia taka mściwa i mordercza determinacja, mógłby tak po prostu zapomnieć, że Cezar jest mężem córki Cynny oraz siostrzeńcem Mariusza? Młodzieniec czeka przekonany, że rozpustne życie, jakie prowadzi, nie może długo zwodzić dyktatora.

Nie pomylił się. W willi pojawiają się wysłannicy Sulli i żądają od Cezara, aby odtrącił żonę. Będzie to gwarancja, że przyłącza się do Sulli, zrywa ze stronnictwem popularów i rodziną Cynny. W razie odmowy zostanie wpisany na listy proskrypcyjne, jego majątek oraz posag Kornelii zostaną skonfiskowane. A także oczywiście wyznaczona zostanie nagroda za jego głowę.

Cezar nie waha się ani chwili.

Kto ustępuje przed groźbą, kto zapiera się swoich poglądów i porzuca bliskich,



pragnąc ocalić własne życie, ten przecina więź z bogami i z Fortuną. Musi więc uciec, aby ocalić coś więcej niż tylko życie: swoje przeznaczenie. Matka przyciska go do siebie, pochwała jego zamiar. Trzeba uciekać szybko, póki jeszcze trwa noc. Chce dotrzeć do pasma Gór Sabińskich na północny wschód od Rzymu. Są one poprzecinane wąskimi dolinami i pełno w nich grot.

Bandy opryszków jednak tropią proskrybowanych i należy co noc zmieniać miejsce pobytu, a za dnia ukrywać się, czekać. Po kilku dniach Cezar czuje osłabienie, całe jego ciało pokrywa się potem. Czy to skutek tutejszej wody? Bliskości bagien? Traci przytomność. Kiedy znowu otwiera oczy, wokół niego są jacyś ludzie. Są to siepacze Sulli, na ich czele zaś stoi Korneliusz Fagita.

Na widok tych mężczyzn o dzikich i okrutnych twarzach Cezar czuje, że wracają mu siły. Teraz trzeba pokazać bogom, że jest się godnym ich wyboru. Nie przeżywa rozterek. Mówi z wielką pewnością siebie i odgaduje, że jego spokój oraz logika jego słów robią wrażenie na dowódcy najemników. Czuje się kimś stojącym o wiele wyżej od niego, jakby należał do jakiejś innej rasy, rasy ludzi wybranych. Proponuje Korneliuszowi Fagicie, że zapłaci mu od razu więcej, niż wynosi nagroda za schwytanie Cezara. Co zresztą robiłby Fagita z człowiekiem chorym, którego należałoby zawieźć aż do Rzymu, i kto może go zapewnić, że gdy dotrze przed oblicze Sulli, ten nie zmieni zdania? Ponieważ w otoczeniu dyktatora wielu krewnych Cezara zabiega o odwołanie przez Sullę proskrypcji względem młodego Gajusza Cezara.

Korneliusz go słucha. Cezar nie naciska nawet zbyt. Wie, że musi wygrać. I Fagita zgadza się na dobicie targu.

Cezar nigdy nie czuł się tak silny. Po raz pierwszy jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, po raz pierwszy wyszedł naprzeciw wyrokom bogów. I z pomocą Fortuny zwyciężył. Odczuwa większą niż kiedykolwiek pewność, że bogowie pozwolą mu wypełnić jego przeznaczenie do końca.

W końcu może też powrócić do Rzymu. Ze wszystkich stron interweniowali w jego sprawie krewni, Gajusz Aureliusz Kotta, potem Mamerk Emiliusz Lepidus. I pod naciskami rodzin Juliuszów i Kottów ustąpiły także westalki, dziewice, które są kapłankami Westy, i to one, strażniczki świętego ognia w świątyni na Forum, zdołały nakłonić Sullę do zmiany decyzji.

Cezar dowiaduje się jednak, że dyktator był rozgniewany.

- Wygrałyście, weźcie go sobie! - wykrzyknął. - Ale musicie wiedzieć, że ten

człowiek, którego ocalenie tak bardzo leży wam na sercu, sprowadzi pewnego dnia zgubę na stronnictwo optymatów, którego broniłyście wraz ze mną. W tym Cezarze drzemie wielu Mariuszów!

Gajusz każe sobie powtarzać to zdanie. Słyszy w nim jakby wyrocznię. Bogowie nad nim czuwają. Lecz za każdym razem należy wyjść im na spotkanie, sprowokować ich interwencję, podjąć wyzwanie, jakie oni stawiają.

Zgadza się z opinią matki. Nie powinien pozostawać w Rzymie, powtarza mu Aurelia Kotta. Sulla jest okrutny i nieobliczalny, ulega naciskom swego otoczenia, a ponadto majątki Juliuszów i Cynnów także mogą wzbudzić czyjeś apetyty.

Nie należy uciekać, ale wyjechać daleko, służąc zarazem Rzymowi: pojechać do prowincji Azji rządzonej przez zaufanego Sulli, propretora Marka Minucjusza Termusa. Tam, na rubieżach, występuje się w obronie Rzymu, a nie jego chwilowego dyktatora.

## CZEŚĆ II

### Rozdział 5

Pali się do działania. Wzruszają ramionami.

Ma dopiero dziewiętnaście lat i żadnego doświadczenia wojennego...

Cezar stoi na dziobie galery. Patrzy, jak przybliża się ku niemu skalisty brzeg, który w świetle zachodu wznosi się niczym czarna ściana ponad morzem zalanym jeszcze purpurową pozągą słonecznego światła.

Musi zapanować nad swoimi emocjami. Od wielu już tygodni czekał na tę chwilę, gdy przybędzie do Kolofonu, portu w prowincji Azji, gdzie ma swoją siedzibę namiestnik Marek Minucjusz Termus.

Od wypłynięcia z Brundyzjum, od chwili, gdy patrzył, jak oddalają się brzegi Italii, odczuwa zniecierpliwienie, ukrywając prawdziwe uczucia przed towarzyszącymi mu w podróży centurionami, przed kapitanem galery, przed wszystkimi tymi ludźmi, których ciekawość wyczuwa i którzy go wciąż obserwują.

Ma dziewiętnaście lat. Po raz pierwszy opuścił Italię, żegluje po pełnym morzu i ma do czynienia z tymi prostymi ludźmi, galernikami, marynarzami i żołnierzami. Patrzy, jak kilku legionistów śpi zawiniętych w swoje płaszcze. Głowy mają oparte na tarczach albo na plecach zawierających kociołki, na których gotują sobie kleik z pszenicy.

Niewątpliwie wiedzą, że jest bratankiem konsula Mariusza, który był jednym z wielkich wodzów rzymskich, zreorganizował armię, stawiał wyżej zasługi niż urodzenie, dopuszczał najbiedniejszych do armii i dbał, żeby w każdej centurii, w każdym manipule, w każdej kohorcie wynagrodzeni zostali najlepsi. Ci ludzie obserwują go, ale nigdy się do niego nie zwracają. Jest dla nich jednym z młodych nobilew, którzy jadą służyć u boku wodza, aby zapoznać się z funkcjonowaniem armii, zanim *rozpoczną* dalszą karierę. Ci oficerowie wiedzą, że będzie przebywać w pobliżu wodza, w jego sztabie generalnym, że będzie mieszkać w jednym namiocie z innymi młodymi arystokratami i że choć nigdy nie uczestniczył w walce, będzie traktowany ze względami należnymi trybunowi wojskowemu.

Cezar dostrzega ten podszyty nieco wrogością respekt, toteż podczas podróży ukrywa swoje uczucia. Musi być niewzruszony, nie mogą się domyślać uniesienia, jakie odczuwa na widok przesuających się wolno brzegów Grecji, gdzie na każdej z wysp, między którymi

prześlizguje się galera, dostrzega świątynie, amfiteatry i posągi wznoszące się na wysuniętym skraju przylądka, niczym marmurowi świadkowie helleńskiej świetności, dziś podporządkowanej potędze Rzymu.

Dumny jest z tych podbitych przez Rzym prowincji, wzdłuż których brzegu płynie okręt, z tych portów, do których czasem zawijają. Na molo widzi wtedy uzbrojonych żołnierzy z krótkimi mieczami, włóczniami i tarczami, którzy strzegą przycumowanych galer bojowych.

Rzym jest wszędzie obecny. To jest *Marę nostrum* - nasze morze.

Co jeszcze zostało do podbicia? Egipt. Ale najpierw należy obronić zdobyte prowincje.

W chwili opuszczania Brundyzjum przybył kurier z wiadomością, że wojna z Mitrydatesem rozpoczęła się od nowa, że walki toczą się na wybrzeżach Pontus Euxinus, Morza Czarnego.

Cezar od tamtej chwili nie może się doczekać, żeby wziąć udział w wojnie, uszczęśliwiony, że wyjeżdża, aby w armii, gdzie będzie służył, znowu odnaleźć Rzym: potężny, zjednoczony, zdyscyplinowany.

Zdaje się, że Rzym powinien być jak okręt prowadzony pewną ręką, dowodzony w imię dobra ogólnego, gdzie każdy trwa na swoim posterunku. Gdzie kapitan dysponuje prawem życia i śmierci wobec wioślarzy i załogi, zna drogę, unika raf i potrafi zwyciężyć wroga bądź za pomocą forteli unikać spotkania z nim.

Marynarze obserwujący horyzont, odkąd okręt opuścił Adriatyk i wpłynął na Morze Jońskie, wiele razy sygnalizowali obecność podejrzanego żagla, który mógł należeć do jednego z szybkich okrętów pirackich będących plagą mórz...

Cezar zacisnął tylko pięści, gdy kapitan wydał rozkaz zmiany kursu i prześlizgnięcia się z tyłu za jakąś wyspą.

Czy Rzymianin może uciekać?

Należałoby sprawić, aby w każdym miejscu, gdzie rządzi Rzym, respektowane były porządek i prawo. Coś takiego właśnie powiedział. Spostrzegł jednak ironię we wzroku kapitana i centurionów. Piraci są robactwem, które rozprzestrzeniło się wszędzie. Pochodzą z Cylicji, chronią się w jej zatoczkach. Łądują na wybrzeżach, nawet na brzegach Italii. Ograbiają odizolowane miasta, nawet leżące blisko Puteoli, Ostii czy Brundyzjum. Opanowują statki handlowe, chwytają pasażerów, mordują ich bądź sprzedają jako niewolników; albo, gdy są bogaci, żądają okupu od ich rodzin.

Cezar się oburza. Trzeba narzucić pokój rzymski - *pax Romana*! Pali się do działania.

Wzruszają ramionami. Ma dopiero dziewiętnaście lat i żadnego doświadczenia wojennego. Dowodził dotąd jedynie swoimi niewolnikami, a nie żołnierzami, którzy idą walczyć, a więc muszą się pogodzić z niebezpieczeństwem śmierci.

On także chce się bić! Chce pokazać swoją siłę! Wie, że pierwszy stan polityczny to stan wojskowy. Nie ma władzy bez legionów. Aby narzucić pokój i porządek wszystkim ludom, nad którymi panuje Rzym, trzeba najpierw zostać wodzem armii.

Chce działać - oznajmia namiestnikowi Markowi Minucjuszowi Termusowi, który przyjmuje go życzliwie, dając jednak do zrozumienia, że zna przyczyny, jakie skłoniły młodzieńca do opuszczenia Rzymu. Nie przyjechał tutaj zapoznawać się z prowincją Azji i ze sztuką wojenną. Chciał znaleźć się daleko od Sulli, nieprawdaż? Ale mnie, mówi Marek Minucjusz Termus, leży tu przede wszystkim na sercu wielkość Rzymu, a więc to, jak pokonać jego wrogów.

Cezar się zgadza. Od pierwszej chwili rozumie, że Marek Minucjusz Termus, towarzysz Sulli z czasów wojen przeciwko Mitrydatesowi, nie będzie miał mu za złe jego pochodzenia. Tutaj, w obliczu barbarzyńców, każdy jest przede wszystkim obywatelem rzymskim. Walki o władzę w Rzymie wydają się stąd odległe, tu liczy się tylko dokładne i inteligentne wykonywanie poleceń.

Cezar kocha to wojskowe życie. Obecny jest na wszystkich spotkaniach trybunów legionów przy Termusie. Uczestniczy w kolacjach w wielkiej sali pałacu. Nie ustępuje on zbytkiem najbogatszym willom Rzymu. Dania bywają czasami nieznanne. Pełno jest pięknych niewolników, tak mężczyzn, jak i kobiet o posępnym spojrzeniu, brązowej skórze i czarnych włosach. Cezar ma wrażenie, jakby życie nagle się przed nim otwarło i poszerzyło. Zdaje mu się, że głębiej oddycha.

Cwałuje obok wodza po pustynnych górach zawieszonych ponad morzem. Ze skalnych szczytów widać Morze Egejskie i wielkie wyspy, które są jak wysunięte placówki, jak linia twierdz ochraniających prowincję Azji.

Tam leży Rodos, mówi Termus, pokazując grubą, ciemną linię. To na tej wyspie, przypomina sobie Cezar, zdaniem jego gramatyka Gniphona zdobyć można najlepsze wykształcenie na świecie. Tu właśnie greccy filozofowie prowadzą wykłady dla uczniów przybyłych ze wszystkich prowincji Rzymu. Uczy się tam sztuki wymowy, historii Grecji, studiuje Pitagorasa, teksty Homera, Ajschylosa i Sofoklesa, i heroiczną mądrość stoików, którzy potrafią godnie umierać.

Tam, naprzeciwko portu w Kolofonie, leży Samos, a tam, dodaje Termus, wyciągając rękę w stronę horyzontu ku wąskiemu przesmykowi dzielącemu Europę od Azji, zwanemu

Hellespontem, tam leży Lesbos i owo miasto pyszne niczym państwo: Mitylene.

Głos Termusa się zmienia. Mitylene, mówi, to kolec wbity w piętę Rzymu, należy go wyrwać!

Cezar słucha. Dowiaduje się, że czasem wystarczy niewielka rana, aby unieruchomić człowieka, i że Mitylene, które kontroluje Hellespont i sprzymierzyło się z Mitrydatesem, odmawiając podporządkowania się Rzymowi, jest dla niego taką właśnie raną.

- Na co czekamy? - pyta.

Cezar jest w pałacu zajmowanym przez Marka Minucjusza Termusa, którego perystyl otwiera się na port w Kolofonie.

Marek podchodzi do niego. Pokazuje basen portowy, w którym zacumowane są tylko dwie galery. Jak pokonać Mitylene bez floty, nie mogąc wprowadzić blokady morskiej? Namiestnik mówi Gajuszowi o flocie, którą król Bitynii, sprzymierzeniec Rzymu, powinien przysłać w celu zaatakowania Mitylene. Ale król Bitynii zwleka, wykręca się.

Termus staje naprzeciw Cezara. Czy ten młody arystokrata o ogolonej, wyperfumowanej i wydepilowanej skórze mocno naciągniętej na mięśniach wie chociaż, kto jest królem Bitynii? Nazywa się Nikomedes. Jest przebiegły, skorumpowany, zręczny. Panuje na południowym brzegu Pontus Euxinus. Kocha się w zbytku i rozkoszach i w swym pałacu w Nikomedii zgromadził dywany, posągi, skrzynie skarbów, wszystko, co okręty pirackie przywożą ze swych łupieżczych wypraw.

- Ale jest on naszym sojusznikiem przeciwko Mitrydatesowi - dodaje Termus. - Płaci mu się w łupach, w okupie pobieranym za prawo przejścia od statków płynących przez Hellespont. Jest chytry i zdeprawowany.

Spacerują między kolumnami perystylu.

- Nikomedes IV - ciągnie Marek - podczas wojny między Sullą a Mitrydatesem schronił się w Rzymie. Zna nasze wady, naszą siłę i nasze podziały. Przyrzekł wprowadzić wesprzeć nas swoją flotą w wojnie przeciwko Mitylene, lecz jest mu na rękę, gdy mamy kolec wbity w piętę i utykamy akurat w takim stopniu, żeby on miał więcej swobody, ale żeby nie przeszkodziło to nam ochraniać go przed Mitrydatesem. Trzeba go przekonać, żeby wypełnił swoje zobowiązania. On tęskni za Rzymem - mówi cicho Termus.

To tylko dreszcz, ale Cezar zna już to uczucie, owo podrażnienie prześlizgujące się pod skórą wzdłuż pleców. Odczuwał je za każdym razem, gdy stawał przed nową sytuacją lub zbliżał się do nowego ciała ofiarowującego się jego pożądaniu.

- Będzie mu pochlebiał, będzie czuł się zaszczycony i oczarowany, że młody

Rzymianin z takiego rodu, Gajusz Juliusz Cezar, przybywa do niego, aby w ten sposób przypomnieć mu o jego obowiązkach wobec Rzymu - kontynuuje Termus.

Cezar wzdyga się. Czemu odmawiać posmakowania przygody, jaką zsyłają mu bogowie? Wreszcie może działać, służyć Rzymowi, pokazać, do czego jest zdolny, i odnieść sukces. Może stać się głosem i twarzą Rzymu w tych barbarzyńskich królestwach, które tak dziwnie kuszą jak miejsca, gdzie niebezpieczeństwo graniczy z rozkoszą i gdzie wszystko jest możliwe.

Płynie, aby spotkać się z Nikomedesem IV, królem Bitynii, w jego pałacu nad brzegami Pontus Euxinus.

## **Rozdział 6**

Żyj tak, jak zapragniesz, wszystko tu jest dla ciebie, jeśli tylko będziesz chciał - mówi  
Nikomedes.

Cezar idzie powoli pałacowym korytarzem, jego ściany obwieszane są złotymi tkaninami. W pomalowanych na niebiesko bocznych niszach stoją posągi z marmuru i złota, z oczami błyszczącymi jak brylanty. Ma wrażenie, jakby wkraczał w jedwabny świat, miękkim niczym te dywany, w których zapadają się głęboko jego stopy. Tu i ówdzie rozsypane są płatki róż. Czuje się pijany ich upajającym zapachem i natarczywą, piskliwą muzyką. Kiedy myśli o Rzymie, widzi surowe, zimne budowle, marmurowe złomy, tymczasem tutaj, w pałacu króla Bitynii, wszystko jest lekkie jak te cienkie szaty, które sprawiają, że smukłe ciała młodych niewolników stają się jeszcze bardziej ponętne - owe ciała tak jeszcze młodzieńcze, że nie wiadomo, czy należą do dziewcząt, czy chłopców. Zdają się oni ledwie dotykać ziemi, tak zwinne i wdzięczne są ich ruchy. W tym pałacu króluje zbytek, pożądanie, rozkosz.

Do Cezara podchodzi z otwartymi ramionami mężczyzna, którego twarz dzięki przyszytych w szpic brodzie wydaje się bardziej pociągła. Ma czarne kędzierzawe włosy puklami spadające na uszy, na palcach pierścienie. Jedwabna tunika rozchyła się, ukazując błyszczącą oliwą, muskularną pierś.

- Jesteś wysłannikiem Marka Minucjusza Termusa. Witaj ty, którego ciało ma piękno Rzymu!

To król Nikomedes IV. Cezar pozwala się zaprowadzić do obszernej sali, pośrodku której wirują tancerze, podczas gdy nadzy niewolnicy napelniają puchary. Tułści mężczyźni

leżą wyciągnięci na dywanach i poduszkach. Rozpoznaje obywateli rzymskich, kupców, którzy przyjechali nad brzegi Pontus Euxinus kupić jedwab, złoto, biżuterię i broń. Napotyka ich ironiczne spojrzenia. Widząc ich, przypomina sobie na chwilę atmosferę Rzymu, w której plotki, intrygi i rachuby wiążą bądź dzielą ludzi. Cezar odwraca głowę. Wszystko jedno. Podają mu słodzone wino. Niewolnicy pochylają się i pieszczą go.

- Żyj tak, jak zapragniesz, wszystko tu jest dla ciebie, jeśli tylko będziesz chciał - mówi Nikomedes, kładąc się obok niego.

Cezar czuje na swoim udzie jego dłoń. W Rzymie nie widział nigdy takiego przepychu, takiej obfitości ciał, które same się ofiarowują, nie pił nigdy tak słodkiego wina i nie był nigdy blisko króla, którego musi przekonać i oczarować.

Nikomedes nachyla się do niego.

- Czy chcesz teraz odejść, wysłanniku Rzymu?

Władczym gestem przywołuje strażników i niewolników, nakazuje im zaprowadzić młodego i pięknego arystokratę rzymskiego do królewskiej sypialni, aby mógł odpocząć po długiej podróży.

Cezar przemierza wielką salę, korytarze i zatrzymuje się na progu komnaty, której drzwi przed nim otworzono. Łoże okryte jest tu złotogłowiem, leżą na nim szaty barwy purpury.

Młodzi niewolnicy prowadzą go do sąsiednich pomieszczeń, gdzie płynie zimna, pachnąca woda. Pozwala się rozebrać ich rękami, które ledwie go muskają, a potem zaczynają lekko namaszczać jego ciało oliwą.

Jest potomkiem Wenus, może, a nawet powinien zanurzyć się w rozkoszy i zbytku. Zażywanie rozkoszy jest sposobem oddawania czci tej bogini. Pije. Przywdziewa purpurową tunikę. Wyciąga się na złotym łożu.

Służba zapala pochodnie, widocznie dzień się już skończył. Czas płynie lekko jak woda, która pieści ciało. Cezar zasypia, ale szybko się budzi. Podają mu pić. Młodzi ludzie robią mu masaż, dziewczęta muskają go nagimi piersiami. Potem w blasku pochodni podchodzi do niego król i kładzie się obok. Jego ciało jest napięte, ale uścisk - łagodny.

- Jesteś wysłannikiem Rzymu. Ja jestem sojusznikiem Rzymu. Kocham Rzym.

Cezar czuje ręce Nikomedesa przesuwające się po jego ciele i między udami. Poddaje się pieszczocie. Jest w krainie Wenus, Apollina i Dionizosa. Bogowie chcieli, aby się tu znalazł, leżał obok tego barbarzyńskiego i bogatego króla, który bierze go w ramiona, wchodzi w niego, dając mu ten rodzaj rozkoszy, którego Cezar nie znał do tej pory i której teraz się oddaje.



Król wstaje i Cezar idzie za nim do sali bankietowej. Chwyta za amforę, nalewa z niej królowi, który uśmiecha się z półprzymkniętymi oczami, trzymając w wyciągniętej ręce czarę.

Jest jasno, potem znowu ciemno i w blasku pochodni Cezar spostrzega szydercze twarze rzymskich kupców. Słyszy ich szepty, domyśla się słów. „Prostytutka” - mówi jeden z nich, pokazując go ruchem głowy; „Królowa Bitynii” - mówi inny ze śmiechem. On jest tylko dziewczyną... Zajął miejsce niewolnicy... Piją, szyderczo chichocząc, obłapiają za talię przechodzące dziewczęta i zmuszają je do przyklęknięcia.

Cezar się oddał. Nie można go zranić, mimo że zdaje sobie sprawę, iż będą oni rozgłaszali plotki na jego temat, ledwie tylko znajdą się z powrotem na ziemi włoskiej, gdy powrócą do Rzymu, do rywalizacji i swoich koterii. Ich słowami będą mogli się posłużyć ci, którzy zechcą szkodzić mu w karierze politycznej, ale nie czuje niepokoju, Fortuna nad nim czuwa. A on kocha rozkosze zmysłów, te młode i mocne ciała, które ściskają go w objęciach, a także ciało króla, tak silne, a przecież tak jeszcze młodzieńcze.

Przestał już liczyć dni i tygodnie. Błądzi bez końca po labiryntach rozkoszy. Uwielbia, gdy jego ciało jest kochane. I uwielbia czuć przejrzyste woale, złotogłowie i leżeć otoczony ramionami króla.

W końcu nadchodzi czas na rozmowę. Cezar zaczyna: - Co z okrętami, które winien jesteś Rzymowi, twojemu sojusznikowi? Są potrzebne, by ujarzmić Mitylene - mówi. - Kiedy dostarczysz flotę, którą zobowiązałeś się posłać Markowi Minucjuszowi Termusowi?

Cezar sam jest zdziwiony łatwością, z jaką porzuca rozkosze cielesne na rzecz tej rozkoszy umysłu, jaką jest sukces osiągnięty w działaniu.

- Zabierz okręty i zaprowadź je - odpowiada Nikomedes.

Wypełnił więc swoją misję! Zwycięstwo to największa rozkosz.

Cezar wsiada na największy z okrętów. Dowodzi tą flotą. Patrzy, jak dziób statku pruje wody Propontydy, otwierając w nich czarną bruzdę białą obrębianą pianą. Potem będzie Hellespont i wreszcie Morze Egejskie.

Widzi brzegi Lesbos. Spostrzega mury Mitylene. Niebawem zobaczy okręty, na które czeka.

*Dalem Rzymowi broń potrzebną do zwycięstwa. Nieważne, w jaki sposób.*

## **Rozdział 7**

Takie jest prawo. Pokonany umiera albo zostaje niewolnikiem.

Ktokolwiek powstaje przeciwko Rzymowi, powinien znać swój los...

Wjhcce być razem z centurionami, chorążymi, legionistami z pierwszej centurii, którzy zeskakują z okrętów na nabrzeże Mitylene. Wymachuje swym krótkim mieczem, *gladius*, którym tyle razy ćwiczył w ogrodach willi z nauczycielem fechtunku. Ale teraz to już nie ćwiczenia. Z murów miasta wylatują chmury strzał, grad kamieni, które uderzają żołnierzy, odbijają się od tarcz.

Biegnie ze swymi ludźmi z pierwszej linii natarcia, ale wiele razy odrzucany jest do tyłu przez uderzające w jego pancerz strzały. Nie czuje jednak żadnego strachu. Nie zostanie zabity. Bogowie tego nie chcą, jest tego pewien.

Z bramy miasta z krzykiem wybiegają Grecy z podniesionymi włóczniami. Okrążają grupę kilku rzymskich żołnierzy, jeszcze chwila i ich zmasakrują! Cezar rzuca się naprzód, pociąga za sobą żołnierzy, atakuje zaskoczonych Greków, którzy się wycofują, wracają do miasta, ale nie mają już czasu, aby zamknąć za sobą bramy. Tymczasem na ląd schodzą już dalsze centurie, dołączają do pierwszych szeregów, ruszają zwartymi kolumnami i wdzierają się na uliczki Mitylene. Rozchodzi się mdlący zapach krwi, padają trupy, słychać jęki, dobija się pokonanych.

Ma dwadzieścia jeden lat. Po raz pierwszy bierze udział w walce. To nowa rozkosz. Idzie aż do świątyni Wenus i Apollina wzniesionej w najwyższej położonej części miasta. Wszędzie wokół zbierają się Grecy. Rzucają broń, klękają, błagają, aby ich oszczędzić. Lecz legionieści zatapiają miecze w ich gardłach, tubylcy padają jedni po drugich, spieniona krew ciemną czerwień barwi ich tuniki. Cezar obserwuje legionistów, którzy wkraczają do domów, rabują, wyciągają za włosy kobiety. Słyszy ich krzyki, potem głosy słabną. Cezar jest spokojny i pogodny. Nic z tego, *co* tu widzi, nie stanowi dla niego zaskoczenia. Takie jest prawo. Pokonany ginie albo zostaje niewolnikiem. Kto powstaje przeciwko Rzymowi, powinien znać swój los. Taki jest porządek świata.

Otoczają go trybunowie i centurionowie. Patrzą na niego z respektem i zdumieniem. Co oni sobie wyobrażali? Że strach go obleci jak babę, że jest jednym z tych zniewieściałych młodych arystokratów, którzy potrafią tylko używać rozkoszy, jakich dostarczyć może ciało młodej dziewczyny albo chłopca? Czy nie wiedzą, że Wenus ma dwa oblicza, że jest ona także Venus Victrix, Wenus Zwycięską w boju, i że wśród jego przodków byli także legendarni królowie, a nawet sam Mars, bóg wojny?

Stara się nie okazywać żadnych uczuć, a jednak przepelnia go duma i radość. Jest żołnierzem. Nie tylko widział, jak przelewana jest krew, lecz sam także przelewał krew wrogów Rzymu!

Nie jest „królową Bitynii”, jak szydzili kupcy, ani „ prostytutką”, która oddała się królowi Bitynii, aby otrzymać od niego okręty dla Rzymu.

Wszystko jest dla niego możliwe! I chce wszystko zdobyć!

Nieporuszony słucha, jak Marek Minucjusz Termus gratuluje mu odwagi. Dzięki jego natarciu ocalone zostało życie rzymskich obywateli, owych okrążonych żołnierzy. Zasluguje na wieniec dębowy: *corona civica*, który wszem i wobec zaświadczy, iż Cezar jest mężnym i bohaterskim synem Rzymu, godnym służyć w jego legionach. Gajusz nie odpowiada.

- Czego chcesz jeszcze? - pyta Termus.

Cezar czuje, że wódz zwraca się do niego innym tonem, jakby on także był zaskoczony, że teraz patrzy już na młodego żołnierza jak na zaprawionego w bojach legionistę, który potrafił okazać spokój i obojętność w obliczu śmierci.

- Czego chcesz? - powtarza Termus.

Cezar występuje o krok do przodu. Marzą mu się rozkosze, jakich zaznał w pałacu Nikomedesa, zbytek i przepych, którym otoczył go król. Chce odetchnąć od odoru krwi, zanurzyć się na nowo w zapachu zmysłowej rozpusty. Mówi, że powinien wrócić do Bitynii, aby odzyskać dług u pewnego wyzwolénca. Słowa nasunęły mu się same, nie musiał ich wcale szukać.

Termus waha się. Kto uwierzy w taki pretekst? Ale pozory także tworzą prawdę.

- Rób, jak uważasz - mówi.

Cezar pojedzie więc do Nikomedesa, odnajdzie złotogłowy i czary napełnione słodkim winem. Wydaje mu się, że w ten sposób oddaje cześć Wenus, która podarowała mu zwycięstwo w walce.

Po kilku tygodniach powraca uszczęśliwiony, czuje lekkość w' ciele, które po trudach wojny zaznało teraz rozkoszy miłości. Widzi ironię w spojrzeniu Termusa i trybunów, wystarczy jednak, że zatrzyma na dłużej spojrzenie na twarzy rozmówcy, aby ten spuścił wzrok. Ma wrażenie, że wszyscy w jego otoczeniu, zarówno ci najdzielniejsi, jak i ci najbardziej zdeprawowani, ci, którzy walczyli u boku Sulli w kampaniach przeciwko Mitrydatesowi - jak i ci, którzy myślą jedynie o zagrabieniu jak najliczniejszych trofeów, aby móc się po całych dniach nurzać w rozpuście - uważają go za kogoś z innej gliny niż oni. Także Cezar - patrząc na nich, domyślając się ich miątkich ambicji i nieświatłej przyszłości - czuje się kimś zupełnie innego pokroju, jednostką wybitną, którą czeka wyjątkowe przeznaczenie.

Został wybrany przez bogów, był kochankiem króla. Skończył dopiero dwadzieścia

jeden lat. Może dlatego nie odczuwa niecierpliwości? Bogowie są panami czasu, wedle swojej woli stawiają na drodze przeszkody do pokonania. Oni też podsuną mu sytuację, którą będzie musiał wykorzystać, aby o kolejny krok zbliżyć się do swego przeznaczenia.

Ta droga, którą ma *do* przebycia, jest dziełem wspólnej woli bogów i jego własnej woli. Jego rzeczą jest rozpoznać znaki i zamysły bogów, dostrzec wyzwania, jakie mu stawiają, bramy, jakie przed nim otwierają. I on sam będzie musiał wybierać, zdecydować, czy powinien pójść tą albo inną drogą.

Życie jest labiryntem, który wykreślają bogowie, ale to człowiek nim przechodzi. Za jedyną nić pomagającą uniknąć niebezpieczeństw ma tylko wiarę w bogów i w siebie samego, swoją inteligencję i upór.

Nie ma sensu zachowywać się jak ślepy byk, rozdzierający ziemię racicami: spuszczać głowę i szarżować. Każdy krok wymaga zastanowienia i przygotowania.

Cezar więc bez oporu godzi się z tym, że spędza długie miesiące w sztabie Marka Minucjusza Termusa, zajmując się zadaniami nie przynoszącymi chwały. Ale dzięki temu dowiaduje się, jak utrzymuje się legion i jak służy się samemu sobie, zapominając o służbie Rzymowi. Poznaje potęgę publikanów, ekwitów, którzy wypłacają Rzymowi sumy należne z podatku, a potem ściągają je z korzyścią dla siebie w prowincjach. Demaskuje trybuna, który sprzeniewierzył żołd i trofea żołnierzy. I odkrywa, że wszędzie zżera republikę chciwość i że siła pieniądza jest równie duża jak siła legionów.

Lichwiarze mają w kieszeni najdzielniejszych centurionów. Ekwici przetrzymują w swych spichrzach zboże, którego brakuje w Rzymie, aby jego cena wzrosła. Ale są też ludzie, którzy mają dar wzbudzania posłuchu i miłości. To także jest sztuka. Trzeba okazać się najodważniejszym w boju, udowodnić, że nie drży się o własne życie. Trzeba czarować, rozdawać, obiecywać. Steranym walkami weteranom należy zaofiarować działkę ziemi, a ludowi - dostarczać rozrywki, urządzając igrzyska, dzięki którym zapomina on o swoim losie.

Na oczach rozentuzjasmowanego i zafascynowanego tłumu wydaje się barbarzyńskich jeńców dzikim bestiom na pożarcie. Albo organizuje się walkę gladiatorów, w której wszyscy po kolei giną. A ostatni pozostały przy życiu zostaje z kolei wśród wycia tłumu wydany na pastwę rozwścieczonej zgrai, której nie może ująć.

Cezar patrzy nieporuszony. Więc takie są prawa rządzenia ludźmi.

Na sugestię Termusa udaje się do prokonsula Cylicji, Publiusza Serwiliusza Vatii, który nosi przydomek Izaurycki, ponieważ podbił Izaurię. W tej prowincji na południowym wybrzeżu Azji

Mniejszej Cezar z dumą odkrywa, że Rzym, choć odległy o wiele tygodni żeglugi, panuje i tutaj.

Chodzi wraz z prokonsulem po pokładzie galer, które w pościgu za okrętami piratów zapuszczają się w głąb małych zatoczek. Ci rabusie są zręczni i okrutni, wiedzą, że nie będzie dla nich wybaczenia. Cezar asystuje przy ukrzyżowaniu tych, którzy zostali schwytani. Śmierć jest karą za porażkę. I jeśli się chce, aby prawo rzymskie było przestrzegane, należy w jego imieniu zabijać.

Uczy się tego na wybrzeżach Cylicji. I ma wrażenie, że każdy mijający dzień, każda stoczona walka, każda zdobyta kobieta, przelana krew i zaznana rozkosz odmienia go.

Nie jest już tym samym młodzieńcem, który uciekał z Rzymu, pragnąc uniknąć prześladowań ze strony Sulli. Minęły blisko cztery lata. Jego skóra ogorzała od morskich wiatrów, ciało jest teraz jeszcze bardziej umięśnione. Jest chudy, ma kościstą twarz. Potrafi się cieszyć wojną i miłością.

Kiedy pewnego dnia 78 roku dowiaduje się, że umarł Sulla, spieszy z powrotem do Rzymu. Tam, w sercu władzy, będzie mógł pokazać całą siłę, jaką w sobie czuje. To właśnie w Rzymie bowiem, na Forum, w Kurii, dzięki głosom plebejuszy i senatu zbiera się owoce sławy zdobytej wraz z legionami na rubieżach republiki.

## CZEŚĆ III

### Rozdział 8

To Pompejusza należy pokonać!

Kiedy on zostanie zniszczony, a jego miecz złamany, senat będzie bezsilny...

Cezar idzie ulicami Rzymu. Wydaje mu się, jakby pierwszy raz kroczył ulicami tego miasta, które go upaja. Zna jego zabytki, zapachy, odgłosy wrzasków, skrzywienia kół powozów, przekleństwa i nawoływania handlarzy winem, sprzedawców, a także stręczycieli wystających na progach ciemnych izb. Cezar widzi rozebrane kobiety, które ukazują się na ulicy, a potem wycofują, gestem dłoni zachęcając do wejścia. Ma ochotę to zrobić, aby posiadając je, wejść niejako w posiadanie tego miasta, miasta jego królewskich przodków.

Ale idzie dalej swoją drogą. Chce pójść na Kapitol, zobaczyć znowu Kurię, Circus Maximus, Pole Marsowe, świątynie. Niczego nie zapomniał, ale jednak teraz na nowo uświadamia sobie potęgę tego miasta tak rozległego i ludnego, pełnego zwykłego motłochu, prostytutek, ale i strojnych dam, senatorów noszonych w lektykach, kupców i niezliczonych rzesz niewolników, wyzwolenców, weteranów, którzy wyglądają na wygłodzonych i szukają okazji do jakiejś drobnej kradzieży, wyłudzenia datku czy wzniesienia zamieszek.

Myśli o miastach Bitynii, Cylicji, prowincji Azji, Mitylene - wszystkie pomieściłyby się w jednym Rzymie.

Rzym jest stolicą świata i ten, kto nim zawładnie, będzie panem wszystkich.

Powraca do swej willi. Oczekują tam na niego bliscy. Podchodzi do żony Kornelii. Czuje wobec niej tliwość. Poznał już jednak tyle młodych ciał i zaznał rozkoszy tak intensywnych, że nie odczuwa wobec niej pożądania. Obserwuje ją. Ona niczego nie żąda. Uśmiecha się. Opowiada o ich córeczce Julii. Cezar spostrzega nagle stojącą nieco z boku matkę. Podchodzi do niej, schyla się i obejmuje ją. Aurelia Kotta odsuwa się, przytrzymując go za ramiona. Cezar ma wrażenie, że wzrok matki go przenika, że ona wie wszystko o życiu, jakie prowadził podczas tych czterech lat z dala od domu. Z pewnością jej doniesiono, że pojechał do króla Nikomedesa... Jest zmieszany, ale Aurelia sprawia wrażenie, jakby niczego nie spostrzegła.

- Rzym ciebie potrzebuje - mówi matka - nigdy o nim nie zapominaj, gdziekolwiek jesteś i cokolwiek robisz!

Cezar siada. Niewolnicy stawiają przed nim owoce i chłodne wino. Chce zrozumieć, co się działo od czasu jego wyjazdu. Nowiny docierały do niego spóźnione o całe tygodnie. Sulla nie żyje, ale co z republiką, z dwoma konsulami mianowanymi przez senat, Lepidusem i Katulusem? Czy to prawda, że Sulla zrzekł się dobrowolnie władzy, abdykował?

Pochylają się ku niemu, opowiadają. Nie rozumie, jak Sulla mógł wyrzec się siły, on, który terroryzował Rzym, ścigał i mordował swoich wrogów? Cóż za szaleństwo go ogarnęło? Czy nie wiedział, że władzy raz zdobytej nie oddaje się nigdy, że zrzeczenie się jej stanowi obrazę dla bogów, którzy pozwolili na odniesienie zwycięstwa?

Cezar potrząsa głową, kiedy mu tłumaczą, że w istocie to senat, który odzyskał dzięki Sulli swoją władzę oraz przywileje, zmusił go następnie do ustąpienia. Uśmiecha się. Mógłby powiedzieć, że jeśli on pewnego dnia znajdzie się na szczytach władzy, to pozostanie tam dopóty, dopóki będzie w nim się tlić jakaś iskra życia. Sulla nie zasługiwał na władzę. A zresztą sposób, w jaki po swym zwycięstwie prześladował i pozbawiał majątków wszystkich, którzy się do niego nie przyłączyli, ujawnił jego charakter, całe jego zaślepienie.

Cezar przypomina sobie owe dni i noce, kiedy musiał się ukrywać i jak został zmuszony do wyjazdu z Rzymu do prowincji Azji.

- Sulla nie był godny zaszczytów i władzy - szepcze. - Człowiek silny, taki, który wie, że kieruje nim przeznaczenie, który otrzymał znaki od bogów, nigdy nie odrzuca tego, co zostanie mu ofiarowane.

Spogląda po kolei na otaczających go ludzi. To jego krewni. Należą do rodu Aureliuszów Kottów albo Juliuszów. Związali z nim swoje losy, oczekują od niego, że będzie działał szybko. Chcą odzyskać majątki, których pozbawił ich Sulla. Tłumaczą, że konsul Lepidus, choć był sullańczykiem, zmienił obóz z chwilą, gdy dyktator ustąpił. Nie zwrócił bogactw, które ukradł proskrybowanym, ale starał się przypodobać plebsowi. Kazał przegłosować prawo zbożowe, gwarantujące biedakom w Rzymie ponad czterdzieści trzy litry darmowego zboża co miesiąc. Teraz podburza popularów do zemsty na bogaczach. Zebrał też armię. Tymczasem drugi konsul, Katulus, oddał się w służbę senatu. I bogaci wezwali młodego wodza Pompejusza, który otrzymał tytuł imperatora.

Cezar nadal słucha, mając wółprzymknięte powieki. Krewni przemawiają z pasją. Cezar słyszy niepokój w ich głosach. Zadają sobie pytanie, czy stanęli po właściwej stronie, czy może znowu zostaną pokonani? Powtarzają z naciskiem, że Lepidus przysłał do nich emisariuszy. Chce na swoją stronę przeciągnąć wszystkich dawnych wrogów Sulli. W Cezarze widzi bratanka Mariusza i męża córki Cynny, Kornelii. Zdaje sobie sprawę, że plebs,

słyszając imię Cezara, przypomni sobie o dwóch wielkich ludziach, którzy działali na jego rzecz.

Już nawet nie kryją zniecierpliwienia. Mówią, że czekając, Cezar niczego nie zyska. Gdyby brał udział w ceremoniach pogrzebowych Sulli zorganizowanych przez senat, konsula Katulusa i imperatora Pompejusza, wiedziałby, że optymaci nie chcą ani na krok ustąpić, że trzeba złamać ich potęgę. I że staną mu oni na drodze prędzej czy później.

- Gdybyś ty widział, Cezarze, weteranów Sulli... - wtrąca Emiliusz, młodzieniec, który służy mu jako sekretarz i doradca. - Zgromadzili się wokół swoich sztandarów na Polu Marsowym. Błyszczały one wśród dymów kadzideł, płonących w misach rozmieszczonych na dwustu dziesięciu kandelabrach. A senatorowie złożyli ponad dwa tysiące złotych wieńców! Jak zamierzasz, Cezarze, pokonać sam taką siłę? Pompejusz jest taki sławny, że żołnierze w Afryce nazwali go Wielkim!

Cezar otwiera oczy. Czuje, że matka go obserwuje.

- Imperator Pompejusz, Wielki Pompejusz - kontynuuje Aurelia Kotta - jest młodym człowiekiem. Czy wiesz, że czesze się tak, by przypominać Aleksandra Wielkiego? I że pochlebcy, od których w jego otoczeniu roi się jak od robactwa, wciąż mu powtarzają, że jest takim zdobywcą jak Aleksander?

Zapada długie milczenie, potem Emiliusz ciągnie nieco ostrzejszym głosem:

- Jeśli nie znajdziesz, Cezarze, sojuszników, nic nie zdziałasz. Lepidus pragnie, abyś się do niego przyłączył, żebyś pociągnął za sobą lud, który pamięta Mariusza i Cynnę. Lepidus myśli także o zawarciu sojuszu z zastępcą Mariusza, Sertoriuszem, który nadal walczy w Hiszpanii i uzyskał pomoc piratów. Jeśli wszystkie te siły złączą się w jedno, to dopiero wówczas będą w stanie zatriumfować. I ty zostaniesz zwycięzcą! Lepidus bowiem nie ma nic...

Cezar wstaje, zaczyna chodzić po ogrodzie. Zdumiony jest swoim spokojem. Wznosi oczy ku niebu, jego błękit jest jaśniejszy niż ten, na który patrzył przez te lata spędzone z dala od Rzymu.

- Jeszcze nie pora - mówi cicho.

Uśmiecha się. Wszyscy pozwieszali głowy rozczarowani.

- Ja dopiero zaczynam kroczyć swoją drogą - wyjaśnia. Odstępuje na kilka kroków. Mógłby im tłumaczyć, że nie ma zaufania do Lepidusa, człowieka, który zmieniał stronnictwa i zasady zależnie od swego interesu. Dziś szuka on przymierza z rodzinami Kottów i Juliuszów, sławi pamięć Mariusza i Cynny, a jutro może przyłączyć się do Pompejusza.

- Pompejusz jest ode mnie starszy o sześć lat - ciągnie Cezar. - Jest imperatorem. A



kimże ja jestem?

Rozkłada ręce, ukazując wnętrza dłoni.

- Możesz tyle, ile zechcesz! - silnym głosem rzuca Aurelia Kotta. Cezar potrząsa głową, podchodząc do matki.

- Chcę być w stanie utrzymać to, co zdobędę - mówi. - Sulla, abdykując, okazał się niegodny swego wyniesienia. Nie wolno oszukiwać bogów, skoro już okazali zaufanie, należy także zawierać przymierze z ludźmi. A to znaczy zgromadzić wokół siebie nie tylko tych, którzy cię kochają i postanowili walczyć razem z tobą, ale że trzeba zebrać pod swoimi sztandarami także tych, którzy cię nienawidzili. Człowiek silny to ten, który potrafi wybaczać, który przedkłada łagodność nad prześladowania. Tego właśnie trzeba Rzymowi, a nie krętaskich wybiegów jakiegoś Lepidusa czy sojuszu jakiegoś Sertoriusza z wrogami republiki, z piratami, z którymi walczyłem w Cylicji. Niech pozostawią ich Mitrydatesowi!

- Mówisz jak ktoś, kto wie i kto może... - mówi Aurelia Kotta. Cezar podchodzi do niej.

- Właściwa chwila jeszcze nie nadeszła - powtarza.

Cezar przechodzi przez perystyl, atrium i wchodzi do westybulu. Słychać tu już hałasy z ulicy. W ostatniej chwili, gdy ma już wyjść i niewolnicy przygotowują się, aby mu towarzyszyć i torować drogę, Cezar nieruchomieje.

Przez chwilę ma ochotę zawrócić, przyłączyć się do grupy krewnych w ogrodzie i wychodząc naprzeciw ich zniecierpliwieniu, powiedzieć im, że mogą uprzedzić Lepidusa, poinformować go, że Gajusz Juliusz Cezar angażuje się po jego stronie. I kto wie, może wspólnie, przy pomocy tego Sertoriusza w Hiszpanii, pokonaliby legiony Pompejusza i siły senatu? Wystarczyłoby podburzyć plebs... Gdyby złożył takie oświadczenie, wszyscy by go ściskali i gratulowali mu zdecydowania.

Mimo to robi krok w stronę ulicy. Dobrze wie, że jeszcze za wcześnie na działanie. Że obecnie należy raczej wprowadzać wszystkich w błąd, sprawiać wrażenie kogoś nie zainteresowanego walką o władzę rozgrywającą się pomiędzy senatem, konsulem Katulusem i Pompejuszem z jednej strony, a Lepidusem i Sertoriuszem z drugiej.

Zresztą ci dwaj przegrają, ponieważ Lepidus jest człowiekiem gnuśnym i przeciętnym, a Sertoriusz gotów jest wchodzić w sojusze z wrogami Rzymu. A także dlatego, że Pompejusz jest młody i ufają mu jego żołnierze.

Cezar wychodzi na ulicę, gdzie oślepią go blask, ogłusza hałas. Naraz czuje irytację. Nie powinien rozmyślać o Pompejuszu. To jest prawdziwy rywal, prawdziwe zagrożenie! Nawet jeśli w swoim czasie ugiął się wobec Sulli i rozwiódł się z żoną.

To Pompejusza należy pokonać! Kiedy on zostanie zniszczony, a jego miecz złamany, senat będzie bezsilny i Rzym wpadnie w ręce ich zwycięzcy.

Trzeba jednak czekać na znak bogów. Siła rodzi się z cierpliwości. I rośnie w cieniu przebiegłości.

Chce uchodzić za młodzieńca, który ugania się tylko za uciechami cielesnymi i wydaje wspaniałe uczyty.

Pod wielkimi piniami w ogrodzie willi ustawiono stół. Wokół rozłożone są azjatyckie dywany, dziewczęta pływają. Cezar odmawia odpowiedzi na pytania gości na temat walk toczących się w Italii między wojskami Lepidusa oraz wojskami Pompejusza i Katulusa. Pokazuje młode tancerki i ich instrumenty, falowanie ich ciał. Biję brawo, okazuje hojność.

Zdążył już roztrwonić swój majątek. Wzywa więc finansistów, lichwiarzy. Potrzebne mu są pieniądze, nie targuje się o odsetki. Potrzebuje sesterców, talentów, złota, wszystkiego, *co* pozwala używać, urządzać każdego dnia nową zabawę. Cóż znaczą długi? Skoro pożyczają mu coraz wyższe sumy, to znaczy, że wierzą, iż pewnego dnia będzie tak potężny, zgromadzi tyle łupów, że będzie mógł spłacić lichwiarzy.

Obserwuje tych ludzi, chciwych i pieszczących się, lecz ścisłych w swoich rachunkach. Tworzą oni pajęczą sieć, w którą wpada każdy Rzymianin, tak samo najbogatsi, jak i lokatorzy najbiedniejszych, brudnych wielopiętrowych budynków zwanych *insulae*. Cezar traktuje lichwiarzy z pogardliwą wyniosłością. Pokazuje swemu zarządcy woreczki z pieniędzmi, które złożyli na stole w bibliotece. Jego wierzyciele stawiają na niego. Są więc z nim związani, muszą mu pomagać, aby pewnego dnia doczekać się spłaty ogromnych sum, jakie jest im winien.

A za wszystkimi tymi wierzycielami stoi chciwy Krassus, najbogatszy człowiek w Rzymie, wielki finansista o ogromnych ambicjach, który odkupuje skrypty dłużne, a potem posyła swoich ludzi, aby przepędzili biednych z ich domostw. W ten sposób Krassus może zawładnąć ich majątkiem, aby wynagrodzić sobie po wie, lekroć sumy pożyczek, jakie zaciągnęli ci nieszczęśnicy. Niewątpliwie ten bogacz ma się już na baczności, zbiera informacje na temat

Gajusza Juliusza Cezara, który, jak się zdawało, ma wielkie plany polityczne i z całą siłą młodości przystąpi do walki, a który zamiast tego bankietuje, włóczy się po podejrzanych spelunkach, przyjmuje u siebie na wystawnych ucztach, a czasem orgiach wszystkich, którzy się w Rzymie liczą.

Przed jego willą gromadzi się plebs, pragnąc zobaczyć nadciągające lektyki, kobiety, których ciała odgaduje się pod cienkimi szatami, senatorów i trybunów. Czasami ktoś z tłumu rzuca: „Królowa Bitynii przyjmuje” i wszyscy śmieją się do rozpuku. Mówią, że to miasto jest lupanarem, a młody Juliusz prostytutką.

Cezar słyszy, ale żaden muskuł na jego twarzy nawet nie drgnie. Uwielbia te uczty, rozpustę, młode ciała, ale są to zarazem maski, które go ochraniają.

Kto uwierzy, że „królowa Bitynii” aspiruje do rządzenia Rzymem?

Donoszą mu, że jeden z najświetniejszych mówców w senacie, Cynceron, młodzieniec, któremu wszyscy przepowiadają wielką przyszłość, perorował, stojąc pośrodku grupy senatorów:

- Kiedy przyglądam się włosom Cezara, tak starannie uczesany i dziwacznie utrefiony, kiedy widzę, jak drapie się w głowę samym koniuszkiem palca, to uważam, że takiego człowieka, wbrew temu, co można by pomyśleć, nigdy nie poniesie nieszczęsna ambicja zniszczenia Rzeczypospolitej Rzymskiej!

Cezar milczy, powolnym ruchem ręki nasuwa sobie włosy nad czoło tak, aby zakryły zaczątki łysiny, która martwi go i złości, lecz żaden płyn ani masaż nie może powstrzymać jej powiększania się. Potem wznosi swój puchar, pozdrawia biesiadników, zaprasza ich, by wypili z nim za wielkość i chwałę Rzymu.

## ***Rozdział 9***

Niech lud rzymski wie, że Gajusz Juliusz Cezar jest dumnym potomkiem Wenus...

Cezar unosi rękę, chcąc uciszyć Emiliusza, najwyraźniej jednak nie włożył w ten gest dostatecznie wiele stanowczości, gdyż młodzieniec dalej opowiada z takim uniesieniem i zapalem, że Cezar opuszcza ramię. Lubi pełnego entuzjazmu i oddania sekretarza, który podziwia go bezgranicznie. Emiliusz nie skończył jeszcze dwudziestu lat, ma smagłą skórę, umięśnione ciało. Nosi długie włosy, odrzucone do tyłu, a kiedy mówi, podkreśla słowa ruchem całego ciała. Jest piękny. Lecz w jego relacji o ostatnich dniach i o śmierci Lepidusa nie ma nic, co by mogło zaskoczyć Cezara.

Czego mógł dokonać człowiek tak pozbawiony zasad, który najpierw był stronnikiem optymatów, poplecznikiem Sulli, a potem chciał się przypodobać plebejuszom, rozdzielając za darmo zboże i podburzając lud przeciwko bogaczom, choć sam obłowił się na majątkach ludzi proskrybowanych? Legiony senatu dowodzone przez Katulusa wraz z armią Pompejusza zadawały mu klęskę za klęską, aż musiał się schronić na Sardynii.

Głos Emiliusza drży, gdy opowiada on, jak Lepidusa opuścili nawet jego najbliżsi zausznicy. Ukrywał się po grotach i zmarł z rozpaczy. Rzucono jego nagie ciało na stos byle jak ułożony z gałęzi. I nikt nie rozrzucił jego prochów, które wpadły jak kurz do ognia. Biada mu!

Cezar spostrzega zmieszanie młodego człowieka. Emiliusz był jednym z tych, którzy chcieli, by Cezar przyłączył się do Lepidusa i zaangażował po jego stronie.

- Bogowie - wzdycha - byli łaskawi. Dali ci jasną wizję przyszłości. Posłuchałeś ich. Ja tymczasem byłem ślepy i głuchy.

Cezar potrząsa głową. Kładzie dłoń na ramieniu Emiliusza.

- Bogowie tylko z rzadka przemawiają. Czekają. Obserwują. Ten, kto zbłądzi, nie jest godny ich zaufania, więc go opuszczają. W chwilach wyboru człowiek jest pozostawiony samemu sobie.

Emiliusz wydaje się zbity z tropu. Co on sobie właściwie wyobrażał? Że bogowie biorą człowieka za rękę i prowadzą go tam, gdzie marzyło mu się dojść?

- Lepidus wydawał się głównym rozgrywającym - szepcze sekretarz, spuszczaając głowę. - Pociągnął plebs za sobą. Ogłosił się kontynuatorem Mariusza i Cynny...

Cezar opuszkami palców muska gładki policzek Emiliusza, niemal pozbawiony jeszcze zarostu.

- Plebs jest równie kapryśny jak morze - mówi.

Wychodzi z atrium, przechadza się po ogrodzie. Czuje potrzebę zaczerpnięcia do płuc świeżego powietrza poranka. Od paru miesięcy ma wrażenie, że wciąż napotyka przeszkody, że każdej nocy i każdego dnia powtarza w kółko te same gesty. Zmieniają się ciała i twarze, ale on ma uczucie, jakby wyczerpał już wszystkie odmiany rozkoszy. Potrzebuje jej wprawdzie, tak jak wody do picia, ale nie żyje się przecież po to, aby zaspokajać pragnienie.

Szuka oczu sekretarza, który idzie o kilka kroków za nim, pragnąc uszanować zamyślenie Gajusza Juliusza.

- Co sądzisz o naszym życiu, Emiliuszu? - pyta Cezar, przystając.

Ale nie oczekuje odpowiedzi.

Nie żałuje żadnego ze swych postępów. Zażywał rozkoszy w pałacu Nikomedesa i we wszystkich lupanarach Rzymu. Niech lud rzymski wie, że Gajusz Juliusz Cezar jest dumnym potomkiem Wenus i że oddaje cześć tej bogini za każdym razem, gdy zatapia się w rozkoszy. Kochać to znaczy być wiernym czcicielem bogini. Uśmiecha się. Jego reputacja jest już mocno ugruntowana. Wciąż proponują mu jakieś nowe przyjemności, młode niewolnice dziewice, jakieś spryciary pochodzące z krańców Azji, mężatki też go prowokują. To jego

nazywają „łysym gachem”.

Przystaje. Czy tak ma wyglądać jego los? Myśli o Gnejuszu Pompejuszu i natychmiast odczuwa zniechęcenie i gorycz. Pompejusz Wielki oraz senat są pogromcami Lepidusa i budzą lęk. Nie można ich otwarcie zaatakować. Czy zatem przyszłość należy do nich, a on musi się zadowolić jedynie ujarzmianiem chętnych albo opornych ciał, wydawaniem bitew li tylko na arenie rozkoszy?

- Uważasz, Emiliuszu, że jestem stworzony tylko do tego? Wyczytuje na jego twarzy zaskoczenie.

- Jesteś największy - woła Emiliusz z zapalem.

- Wielki jest Pompejusz - odpowiada Cezar i podejmuje przechadzkę w cieniu pinii.

Trzeba zacząć budować wokół Pompejusza i partii optymatów fortece, aby ich otoczyć i później, gdy przyjdzie czas, pogrążyć.

Cezar czeka, aż Emiliusz go dogoni. Zadaje mu pytania. Co wiadomo o Gajuszu Korneliuszu Dolabelli?

Emiliusz przez chwilę milczy, potem nagle się ożywia.

- Chcesz...

Jego oczy błyszczą. Cezar nie może się powstrzymać od gestu czułości. Ujmuje Emiliusza za ramię.

- Cóż ty myślisz? Że umiem zwyciężać jedynie w łóżku? Odsuwa się. Ma wrażenie, że całe jego ciało się napięło, że myśli stały się ostre jak miecz.

Widział Dolabellę kilka dni temu na Forum, otoczonego kręgiem senatorów, wśród których byli najlepsi mówcy Rzymu, Kwintus Hortensjusz i wuj, którego uważał za swego sojusznika, Gajusz Aureliusz Kotta. Przypomnieli mu się wtedy Macedończycy, którzy musieli wyjechać na wygnanie do prowincji Azji, uciekając przed Dolabellą, będącym wówczas w Macedonii prokonsulem. Ludzie ci, poddani Rzymu, lamentowali i oskarżali Dolabellę o zdzierstwa, zgrabianie ich majątków, wysysanie z nich krwi. Czy taki powinien być namiestnik rzymski? Macedończycy gotowi byli, jak mówili, świadczyć przeciwko Dolabelli, lecz potrzebowali obywatela Rzymu, który mógłby wnieść oskarżenie.

- Jeszcze mnie poznają! - mówi Cezar. Bierze Emiliusza pod ramię. - To odpowiedni moment.

Zapomina o ucztach, dziewicach i wiarołomnych mężatkach, zamyka się w willi. Będzie adwokatem Macedończyków, ich rzecznikiem w sprawie przeciwko Dolabelli! Wie, że oskarżony wybrał sobie na obrońców Hortensjusza i Aureliusza Kottę. Wie, że po Rzymie

rozchodzą się plotki ośmieszające obywatela rzymskiego, który stał się „rywalką królowej Bitynii” i kładł się w lektyce króla Nikomedesa.

Emiliusz jest zły. Jak można wygrać proces przeciwko jednemu z ludzi rządzących Rzymem, który może przekupić sędziów, pozwolić sobie na najlepszych mówców i którego niewolnicy chodzą po mieście i rozpowszechniają oszczerstwa?

- Czego się spodziewałeś? - pyta Cezar.

Czuje się taki spokojny. Od czasów chłopięcych wie, że walka polityczna to rodzaj wojny, w której nikogo się nie oszczędza. Słabych się niszczy, dobija, gdy tylko zostaną zranieni. Nie czuje się zaskoczony napaściami Dolabelli. Jest on mniej groźny niż Sulla, który opłacał siepaczy.

- Kto znał Sullę... - zaczyna Cezar.

Urywa. Nie wolno sobie pozwalać na zwierzenia, lepiej nie przypominać, jak mimo gróźb odmówił odprawienia Kornelii, swojej żony.

- Pompejusz - mówi tylko - podporządkował się, oddalił żonę, tak jak mu nakazał Sulla.

Więc nawet Pompejusz Wielki może być słaby i tchórzliwy. A jest przecież sto razy silniejszy od Dolabelli.

Nie ma znaczenia, że Dolabella wygra ten proces. Cezar słucha, jak Hortensjusz i Kotta wygłaszają swoje mowy obrończe.

- Kotta wydiera mi z rąk najlepszą sprawę karną - stwierdza.

Będzie musiał ponieść koszty procesu, zapłacić grzywnę, to znaczy znowu pożyczyć pieniądze i jeszcze głębiej wpaść w szpony wierzycieli.

Nie czuje się jednak pokonany. Stawił czoło możnym Rzymu, najlepszym mówcom, partii senatorskiej. Pokazał się jako zdecydowany przeciwnik optymatów, godny krewniak Mariusza i Cynny.

A także jako obrońca prawa rzymskiego i poddanych Rzymu, którzy w prowincjach znoszą niesprawiedliwości ze strony skorumpowanych przedstawicieli republiki.

Zwracają się do niego też inni. Czy zechce bronić miast greckich, które zostały ogołoczone przez Gajusza Antoniusza pod pretekstem, że mają one wnieść swój wkład do wojny z Mitrydatesem? Antoniusz nie uszanował granic nałożonych przez prawo rzymskie, dla własnej korzyści zniszczył miasta i splądrował świątynie.

Cezar przyjmuje sprawę. I tłum tych, którzy przychodzą go słuchać, jest jeszcze większy niż poprzednio. Ma poczucie, że broni z jeszcze większą siłą. Być może wygra ten drugi proces... Potem nagle przychodzą wysłannicy trybunów ludowych i ogłaszają, że proces

został wszczęty bezprawnie i Antoniusz musi zostać uniewinniony.

Cezar odwraca się ku tłumowi, który protestuje i obrzuca przekleństwami trybunów. Jednym gestem ucisza ludzi.

- Prawo Rzymu obowiązywać musi wszystkich! - krzyczy i odchodzi.

Chwałą go. Gratulują mu. Nie odniósł wprawdzie zwycięstwa politycznego, ale stał się kimś więcej niż bogaci patrycjusze żyjący jedynie wyszukiwaniem wciąż nowych przyjemności.

Matka czeka na niego na progu willi.

- Teraz wiadomo, kim jesteś - wykrzykuje, biorąc go za rękę. - Ale Rzym nie jest jeszcze gotów, aby cię uznać!

Cezar odpowiada - a słowa przychodzą mu same, bez zastanowienia - że wyjeżdża z Rzymu: do Grecji, do Azji Mniejszej.

Aurelia Kotta obejmuje go.

Ma chęć jej powiedzieć, że po trzech latach spędzonych w Rzymie czuje się uwięziony. Dusi się. Ta republika to bagno, roi się tu od intryg, spisków, wzajemnych zawiści. Wprawdzie tutaj trzeba wygrać, ale siłę zdobywa się gdzie indziej: tam, gdzie są otwarte horyzonty.

Chce zobaczyć szeroki horyzont.

I chce na nowo widzieć, jak dziób okrętu pruje wody Morza Czarnego, Pontus Euxinus.

Marzy o pałacu króla Nikomedesa.

## ***Rozdział 10***

Powinieneś zażądać tysiąc osiemset kilogramów złota. Obrażasz mnie, każąc zapłacić tak mało!

Cezar krzyżuje ramiona, bez pośpiechu przypatruje się twarzom otaczających go ludzi. Nie odczuwa żadnego niepokoju, przygląda się piratom z ciekawością bliską niemal rozbawienia. Nie są oni więcej warci niż dzikie zwierzęta, należy ich ujarzmić, nawet jeśli wpadło się w ich ręce.

Podchodzi dowódca piratów. To on pierwszy wskoczył na okręt rzymski, gdy widać jeszcze było brzegi Cylicji. Zabił kapitana. Jest to krępy mężczyzna o ogorzalej cerze. Jego głowę spowija turban z czerwonej tkaniny.

Cezar trwa nieporuszony, gdy dowódca pokazuje sztyletem na jego gardło, a potem

się śmieje. W swej twardej grece powtarza mu żądanie: za uwolnienie rzymskiego nobila musi uzyskać dwadzieścia talentów, to znaczy siedemset pięćdziesiąt kilogramów złota okupu. Mówi, nie kryjąc ironii, że do czasu, gdy okup zostanie wypłacony, jeńcy trzymani będą tutaj, na wyspie Farmakuza.

Cezar wskazuje Emiliusza i dwóch niewolników.

- Ci zostają ze mną - mówi. - A pozostałych - pokazuje niewolników ze swej świty - zawieź na brzeg, oni zbiorą pieniądze.

Potem pozwala dowódcy odbyć naradę z resztą piratów.

Sam przechadza się po wyspie. Ziemia jest tu sucha, porośnięta jedynie krzewami. To skalisty bastion, poprzecinany tu i ówdzie małymi zatoczkami, w których ukrywają się okręty piratów. Później, kiedy okup zostanie wypłacony, trzeba będzie tu wrócić i ukarać tych barbarzyńców, którzy porywają się na godność i chwałę Rzymu.

Odwraca się. Zbliży się dowódca piratów i daje swoją zgodę, mówi, że życie nobila rzymskiego jest teraz w rękach jego niewolników. Jeśli nie uda im się z miast Cylicji, z Azji albo z Rzymu uzyskać żądanej sumy, to nic nie będzie mogło ocalić głowy biednego nobila rzymskiego, ani legiony, ani bogowie.

- Najpierw na twoich oczach obedrzemy ze skóry jego - dotyka ostrzem miecza Emiliusza.

Cezar mierzy pirata wzrokiem. Trzeba zmusić tego człowieka, aby spuścił wzrok, dać mu od razu poznać, z kim ma do czynienia.

- To ty zostaniesz ukrzyżowany, przysięgam ci to! Ty i twoi ludzie - mówi Cezar.

Stara się mówić spokojnie, niemal łagodnie.

Pirat śmieje się do rozpuku, tłumaczy słowa Cezara swoim ludziom, którzy rechoczą, wymachując sztyletami i mieczami. Zaczynają stawać się groźni.

- Najpierw jednak zapłacę ci okup - kontynuuje Cezar. - Ty nie wiesz, kim jestem. Wart jestem nie dwadzieścia, lecz pięćdziesiąt talentów. Powinieneś zażądać tysiąca ośmiuset kilogramów złota. Obrażasz mnie, każąc płacić tak mało! Za moją osobę miasta i urzędnicy rzymscy zapłacą tyle, ile zażadasz. Żądaj pięćdziesięciu talentów, naprawdę, uwierz mi, piracie!

Widząc zdumienie tego człowieka, który zaniemówił, powtarza:

- Zarobisz tysiąc osiemset kilogramów złota, potem powrócę i ty oraz twoi ludzie zostaniecie wzięci na tortury. Oto, co ci przyrzekam.

Dowódca mamrocze, śmieje się, wrzeszczy:

- Pięćdziesiąt talentów, tak, tyle zażadam!



Rozkazuje, aby wysadzono niewolników rzymskiego nobila na brzegu Cylicji, skąd mają dotrzeć do Miletu, zebrać pięćdziesiąt talentów i powrócić.

- Ty, Rzymianinie, będziesz mieszkał razem z nami na naszej wyspie.
- Gdzie znajdzie się obywatel rzymski, tam jest Rzym - mówi Cezar.

Trzeba okiełznać te dzikie bestie.

Podchodzi do Emiliusza. Mówi mu, jak spędzą czas na wyspie. Codziennie odbywać będą ćwiczenia rozwijające ciało oraz umysł. Będą deklamować. Będą układać wiersze.

- Zaczynamy - dodaje.

Wykorzystuje zdziwienie piratów, których czasem bierze na świadków. Cezar spostrzega, że po upływie kilku dni odnoszą się do niego z respektem. Usługują mu, jakby byli jego niewolnikami. Milkną, kiedy każe im być cicho. Rozkładają na ziemi dywany, by mógł ćwiczyć zapasy z Emiliuszem. Słuchają ze zdumieniem w oczach tyrad i wierszy, które recytuje. Z łatwością narzuca ludziom swoją przewagę.

Ten dar jest najcenniejszym prezentem, jakim go obdarzyli bogowie.

Także wódz piratów posiada zdolności tego rodzaju. Utrzymuje posłuch wśród swoich ludzi, nie uciekając się nawet do wydawania rozkazów, i Cezar ma dla niego pewien rodzaj poważania. Ten człowiek mógłby zaciągnąć się w służbę Rzymu i ścigać piratów, lepiej bowiem niż ktokolwiek inny zna ich zwyczaje, ich siłę i ich kryjówki.

Cezar zwraca się do Emiliusza.

- Wygrać można tylko, zawierając sojusz z bratem twojego wroga - mówi - rozumiesz? Ale trzeba też karać, ponieważ strach przed śmiercią skłania do posłuszeństwa. Różne ludy muszą słuchać Rzymu. I muszą wiedzieć, że nie minie ich kara, jeśli przeciwko niemu powstaną.

Nie zauważa mijających dni, nie odczuwa niecierpliwości ani lęku. Miasta z pewnością wypłaciły okup... Zresztą nie czuje się więźniem. Nie boi się piratów, oni uwolnią go, gdy dostaną swoje złoto. Piraci sprawiają wrażenie, że nie boją się kary, jakby sobie wyobrażali, że jeśli dotrzymają swego przyrzeczenia, to kara ich ominie.

Gdy okręt przywożący okup rzuca cumy, Cezar wcale nie ukrywa przed piratami swej determinacji. Mówiąc do nich w ten sposób, wzbudza niepokój u Emiliusza. Chce jednak zapowiedzieć tym ludziom ich los. Bogowie ich zaślepiają. Toteż nie wierzą oni w to, co przyrzeka im ich więzień: że zginą ukrzyżowani. Czy przez te trzydzieści osiem dni spędzonych razem nie stali się sobie bliscy?

Cezar patrzy ze swego odpływającego okrętu. Piraci pozostali na brzegu, w głębi tej

zatoczki, która jest jak rozcięcie w wysokim stromym brzegu. Wymachują rękami, uczują, tańczą dokoła skrzyń z monetami. Nie wyobrażają sobie tego, co ma nadejść.

Gajusz Juliusz każe Emiliuszowi zapamiętać każdy szczegół tego wybrzeża, aby można było odnaleźć tę zatoczkę.

- Oni doświadczą naszej zemsty!

Nie czuje wobec nich żadnej osobistej nienawiści, lecz kara jest konieczna. I tą karą nie może być nic innego niż śmierć. Kto rzuca wyzwanie Rzymowi, kto dopuszcza się zamachu na prawa obywatela rzymskiego, popełnia świętokradztwo.

Cezara ogarnia niebywała chęć działania, chce zaskoczyć piratów, zanim opuszczą oni swoją kryjówkę na Farmakuzie. Pożycza w miastach Cylicji pieniądze, aby zwerbować marynarzy i żołnierzy. Wynajmuje okręty.

Stoi na dziobie, by jako pierwszy zeskoczyć na skały. Rzuca się z mieczem w rękę w stronę piratów, którzy rozbiegają się wśród skał, niemal nie stawiając oporu, sparaliżowani zdumieniem, jakby przygnieceni świadomością, że oto dosięgły ich wyroki przeznaczenia.

Cezar widzi strach w ich oczach. Wydaje rozkazy: należy ich zakuć w kajdany, odebrać im łupy, przetrząsnąć grotty, w których ukrywają swoje bogactwa. Kilkoma zdaniem opisuje ich położenie, ustalił te miejsca podczas pobytu w niewoli. Podchodzi teraz do tych ludzi i do ich wodza, który wydaje się najbardziej spośród nich przygnębiony, jakby czuł się za wszystko odpowiedzialny.

- Teraz - mówi Cezar bez gniewu, spokojnym głosem - poznasz wartość Gajusza Juliusza Cezara. Otrzymasz wszystko, co ci obiecałem.

- Zabijesz nas - burczy tamten, podnosząc głowę.

- Stanie się tak, jak zapowiedziałem - odpowiada Cezar. Patrzy na nich, jak przykuci jedni do drugich wchodzą do ładowni statku. Rozkazał zawieźć ich do Pergamonu. Musi się spotkać z pretorem Junkusem Silanusem, w którego gestii leży wydanie na nich wyroku.

Kilka tygodni później Cezar nie czuje się zaskoczony wykrętami pretora; choć żeby się z nim spotkać, musiał pojechać aż do pałacu króla Nikomedesa do Bitynii. Król bowiem zmarł. Cezar przechodzi przez ciemne teraz sale, po których kręcą się ludzie pretora pragnący zawładnąć majątkiem. Na pierwszy rzut oka widzi, że pretor jest jedynie chciwym człowiekiem, który chce przywłaszczyć sobie skarby piratów, ale wcale mu nie zależy na tym, aby ich skazać. Cezar ignoruje pytania pretora. Wraca do Pergamonu. Ci ludzie i ich majątek należą do niego. Musiał pożyczyć pieniądze, aby zapłacić okup i zebrać swą niewielką flotę oraz zorganizować ekspedycję karną. Potrzebuje także pieniędzy, aby utworzyć milicję walczącą z najemnikami Mitrydatesa, którzy zapuszczają się do prowincji

Azji. Nie musi czekać na rozkazy z Rzymu albo od pretora, aby stawić czoło barbarzyńcom.

Przechodzi przed szeregami swych oddziałów. Lubi czuć na sobie spojrzenie ludzi, doświadczać nad nimi przewagi. Z ich oczu najlepiej i najwyraźniej wyczytać może swoje przeznaczenie. I pewien jest, że bogowie darzą go swymi względami. Ci żołnierze są mu posłuszni, narażają dla niego własne życie, ponieważ widzą w nim „wybrańca” bogów, człowieka, który ma zrealizować wielkie plany.

Kiedy zbliża się do uwięzionych piratów, ich przerażone spojrzenia także odsłaniają mu to samo przeświadczenie. Będą musieli umrzeć, skoro on tak postanowił. Zemsta Rzymu musi się dokonać. Nie próbują nawet błagać go o łaskę. On jest dla nich przeznaczeniem.

Cezar obserwuje, jak robotnicy wnoszą krzyże. Przypomina mu się, jak na wyspie stykał się z tymi ludźmi na co dzień przez trzydzieści osiem dni. Łowili dla niego ryby i zbierali figi. Przynosili mu ze źródła zimną i czystą wodę. Wywiązali się ze swoich zobowiązań.

Teraz on musi dotrzymać swoich, nie ukrywał ich zresztą przed nimi. Musi być im wierny.

Waha się przez chwilę, po czym odwraca się do Emiliusza.

- Niech najpierw ich uduszą - mówi - a dopiero potem ukrzyżują.

To jedyna łaska, jakiej może im udzielić.

Teraz może popłynąć na wyspę Rodos, która była pierwotnym celem jego podróży. Poznaje tę spokojną, dużą i ukwieconą wyspę, gdzie znajdują się liczne świątynie i szkoły, w których uczą retoryki Apolloniusz, syn Molona, i Posejdoniusz. Tu spotykają się wszyscy Rzymianie, którzy chcą poznać myśl grecką.

Aby podbić Rzym, należy przyjechać najpierw na Rodos. Gościli tu Cyncero i Pompejusz.

Cezar objeżdża wyspę w towarzystwie Apolloniusza i niektórych jego uczniów. To kolejna przyjemność: słuchać, prowadzić dialog z tym filozofem, potem czytać i komentować dawne teksty.

Ale czy można poprzestać jedynie na tym?

Cezar chciałby wiedzieć wszystko, wszystko poczuć, kochać młode ciała i doznawać rozkoszy, walczyć i doświadczać upojenia zwycięstwem, pragnie myśleć, ale także rządzić ludźmi. Wszystko robić, wszystko zrozumieć i nie odrzucać niczego z tego, co oferuje los. Ma dwadzieścia siedem lat. Czas wracać do Rzymu, zbliża się bowiem chwila, gdy będzie mógł pełnić urzędy w republice.

Dowiedział się, że wyznaczono go, aby zasiadł w kolegium kapłanów. Musiała za tą decyzją stać jego matka... Zastąpi swego wuja, Aureliusza Kottę, który bronił Dolabelli. Może chcą w ten sposób go przyciągnąć, nakłonić, by dołączył do stronnictwa senatorów, do optymatów? Może pragną mu w ten sposób przypomnieć, że przecież on także należy do najstarszej rzymskiej arystokracji i że w swoim interesie powinien służyć ich sprawie.

- Pozostanę sobą - mruczy, informując Emiliusza, że wracają do Rzymu.

## CZEŚĆ IV

### Rozdział 11

Plebs domaga się drugiej walki.

Trzeba więc wstać i zwracając się do nich, zawołać:

„Obywatele Rzymu, ofiarowuję wam tę walkę”.

Cezar przygląda się matce. Aurelia Kotta spoczywa, na wpół leżąc, w eksedrze - salonie, którego jedne drzwi wychodzą na ogród, a drugie na perystyl rodzinnej willi. Nie wie, co myśleć. Matka wydaje się znużona i postarzała, a zarazem pełna energii i determinacji. Cezar obserwuje każdy jej ruch i pilnie słucha. Aurelia leży oparta na prawym łokciu, dłonią podpira policzek. Wzdycha i przywołuje niewolnicę, każąc sobie przynieść poduszki. Uskarża się, że republika ginie. Pieniądze, rozpusta i greckie obyczaje psują obywateli. Plebs żyje z comiesięcznego rozdawnictwa. Gdy nie otrzyma tyle zboża, ile mu się we własnej opinii należy, wznieca zamieszki. Ale ludzie wybrani na urzędy, kwestorzy, edylowie, trybunowie, pretorzy, konsulowie są jeszcze gorsi niż biedni obywatele. Kupują głosy i sami się sprzedają.

Aurelia Kotta zwierza mu się:

- Jestem już taka stara. Bałam się, że cię już nie zobaczę...

Cezara ogarnia wzruszenie i niepokój. Potrzebuje matki. Czy ona domyśla się tego, co on czuje? Aurelia podnosi się, odpycha poduszki, wybucha gniewem na niewolników; mówi, że zarządca nie odważa się już ich karać. Wstaje, chodzi od drzwi do drzwi, zatrzymując się przed synem.

- Nigdy nie zapominaj - mówi - że jesteś z rodu Juliuszów i Aureliuszów. - Podniosła dumnie podbródek, przymykając oczy. -

Należysz do kolegium kapłanów, to pierwszy stopień. - Wyciąga rękę. - Gdyby odmówili wyznaczenia ciebie na miejsce Aureliusza Kotty, pożarłabym ich! - Śmieje się bezgłośnie. - Ale oni szybko się zgodzili. Mają nadzieję tak cię uściskać, żebyś się udusił. Już teraz się ciebie boją. Wiedzą, jak ukarałeś piratów. - Potrząsa głową. - Mówią, że okazałeś łaskawość. Że kazałeś przybić do krzyży trupy.

Podchodzi do niego. Cezar wzdryga się, gdy matka dotyka jego ramienia. Aurelia

ciągnie:

- Niech łaskawość nigdy cię nie powstrzymuje od zadawania śmierci. To śmierć jest władczynią, przed którą korzą się ludzie. Wzywaj jej zawsze, kiedy trzeba, a będzie ci posłuszna. Śmierć słucha tych, którzy się jej nie boją. A ty i ja, mój synu, oboje jesteśmy ludźmi tego pokroju.

Matka odchodzi. Wydaje mu się, że widzi jakąś niewyraźną postać kroczącą obok niej pod kolumnami perystylu. Odwraca się, patrzy na ogród pogrążony w zmierzchu.

Odkąd znalazł się z powrotem w Rzymie, ma uczucie, jakby ze wszystkich stron napotykał śmierć. Jest ona obecna nawet tutaj, w willi. Kiedy ujrzał Kornelię, zdumiały go jej siwe włosy i pomarszczona skóra. Jego żona jest przecież jeszcze młoda, lecz Cezar odniósł wrażenie, jakby na jej ramionach przysiadł czarny ptak i poorał szponami jej ciało, żłobiąc zmarszczki i zmuszając ją, aby chodziła zgarbiona jak staruszka. Co dopiero mówić o ciotce Julii... Wdowa po Mariuszu jest już taka chuda, że jej szaty zdają się okrywać jedynie cień człowieka.

Ma pewność, że im obu, Kornelii i Julii, pisana jest rychła śmierć. Ucieka od nich, zagłębiając się w uliczki Subury, wdychając ponownie cierpkie wonie Rzymu. Miasto wydaje mu się jeszcze rozleglejsze, jeszcze bardziej hałaśliwe i przeludnione. Wszędzie jednak wyczuwa bliską obecność śmierci, gotowej skoczyć na każdego, kto nie będzie się miał dostatecznie na baczności. Spojrzenia przechodniów naładowane są nienawiścią. Co krok wybuchają jakieś bójki. Niewolnicy poczynają sobie coraz zuchwalej.

Nagle tłum wokół niego ryczy, wznosi okrzyki na cześć przechodzących gladiatorów prowadzonych przez ich nauczycieli, lanistów - organizatorów spektakli, którzy sami mają wygląd drapieżnych bestii.

W Circus Maximus walczyć będzie sto par gladiatorów, wykrzykują ludzie wokół niego. Na rogach ulic zaczynają już robić zakłady. Mówi się, że będą sceny myśliwskie, że wypuszczone zostaną lwy i słonie z Afryki, niedźwiedzie z Tracji, wilki z Azji. Igrzyska skończą się dopiero wtedy, gdy żółty piach zbroczony zostanie krwią ludzi i zwierząt.

Cezar idzie za gestykującym tłumem. Ochroniają go niewolnicy z jego domu, czasem jednak z jakiejś grupy padają obelgi. Słysząc nawet okrzyki: „Na śmierć!” Potem krzyczą na jego cześć, gdyż jest krewnym Mariusza i Cynny, obrońcą plebejuszy i stronnikiem popularów, prześladowanym przez Sullę.

Nie czuje strachu. Przeciwnie, idzie wolniej, chcąc wszystko widzieć i wszystkiego zakosztować. Plebs jest jak zwierzę, które należy poskromić i ujarzmić, nauczyć służyć swojemu panu. A wówczas to on skoczy do gardła tym, którzy będą jemu zagrażać. Aby to

jednak osiągnąć, należy go karmić i dostarczać mu rozrywki. Skoro trzeba dostarczyć mu igrzysk, to on je zorganizuje. Każe walczyć nie stu, lecz trzystu parom gladiatorów. Wypuści na arenę cyrku wiele dziesiątków lwów, jeśli tak trzeba. Napcha tę bestię - plebs - zbożem i krwią, jeśli tak trzeba, a kiedy bestia będzie obzarta i nasycona, położy mu się u stóp i niech ktoś go wtedy spróbuje zaatakować!

A na prowincji będzie potrzebował wiernych legionów, aby pokonać barbarzyńców, zamienić ich w niewolników, poddanych. Wówczas będzie można przegnać z Rzymu śmierć i przywrócić miastu jego chwałę, zjednoczyć obywateli i położyć wreszcie kres wojnom domowym, stanowiącym śmiertelną ranę, przez którą wciąż wypływa rzymska krew.

Przywołuje Emiliusza, każe mu się położyć obok siebie w bibliotece willi. Niechaj podadzą im owoce i słodzone wino i niech Emiliusz opowie, czego się dowiedział.

Sekretarz wstaje, mówi z egzaltacją. Chodzi po pokoju pogrążonym w półmroku. Cezar go obserwuje. Ciało młodzieńca jest tak lekkie, że zdaje się ledwie dotykać marmurowych płyt posadzki.

W senacie, podczas komicjów i na Forum, w całym Rzymie mówi się tylko o zwycięstwie Pompejusza Wielkiego nad Sertoriuszem w Hiszpanii. Sertoriusz pozostał wierny pamięci Mariusza. Opowiadają, że sprzymierzył się z piratami z Cylicji oraz zawarł pokój z Mitrydatesem i że w ostatnich miesiącach żył jak wieprz, nurzając się w orgiach; z każdym dniem stawał się coraz bardziej okrutny, mordował swoich zauszników, zakładników, aż w końcu zasztyletował go jego zastępca, Perperna. Jego zaś z kolei kazał zabić Pompejusz. Lecz nie chciał czytać dokumentów, listów senatorów, którzy byli po stronie Sertoriusza.

- Jest bardziej roztropny niż Sulla - uznaje Cezar. - Umie sprawić, aby się go lękano, robiąc zarazem wrażenie wspaniałomyślnego.

Cezar zamyka oczy. Oto jest rywal. Senat drży przed Pompejuszem i używa go jako swego miecza oraz tarczy. A Pompejusz wykorzystuje senat, strasząc go, ale też chroniąc.

- Pompejusz może zrobić wszystko - mówi Emiliusz, podchodząc i siadając na skraju łoża. - Ma wierne legiony, senatorowie pieją peany na jego cześć. Plebs czeka, by go powitać z radością.

Cezar jest wzruszony młodością i słabością swego sekretarza. Bierze go za rękę. Jest zimna i delikatna.

- Nie rób sobie złudzeń, Emiliuszu, jeden tylko Jowisz może wszystko. Czasami zdarza się, że bogowie przyznają taką władzę jakiemuś człowiekowi. Ale Pompejusz nie jest takim człowiekiem.

Cezar z przyjemnością dostrzega pełne podziwu spojrzenie, jakie posyła mu Emiliusz.

- Pompejusz wraca do Rzymu - kontynuuje sekretarz. - Kazał na szczycie jednej z przełęczą pozwalających przekroczyć Pireneje wznieść trofeum - pomnik na cześć swoich zwycięstw. Utrzymuje, że podbił sześćset siedemdziesiąt sześć miast i twierdz. Chce nadać obywatelstwo rzymskie wszystkim żołnierzom, którzy walczyli w jego legionach.

- Jest zręczny - mruczy Cezar. Pieści kark Emiliusza. - Wielki, imperator - ciągnie ironicznym tonem - mądry, przebiegły, zwycięski, senat ma przed nim respekt i się go boi, czego mu brak?

Emiliusz poddaje się pieszczocie, odchylając głowę do tyłu i nadstawiając twarz z wpółotwartymi wargami.

- Poparcia bogów - szepcze Emiliusz - twojego poparcia, Gajuszu Juliuszu Cezarze.

Cezar milczy. Dłonią zakrywa usta młodzieńca. Znienacka energicznie wstaje.

- Jestem bratankiem Mariusza i zięciem Cynny. Lud ich pamięta, Emiliuszu. Lud musi należeć do mnie!

Gajusz Juliusz zasiada na stopniach Circus Maximus. Chce, żeby plebs go widział podczas walk gladiatorów, widział, jak Cezar wstaje w chwili, gdy Gal unosi swój miecz, aby poderznąć gardło Trakowi, i gdy lanista wypuszcza tygrysa na Gala. Rozentuzjasmowany tłum podskakuje, dopinguje Gala, z którego niebawem zostają tylko rozdarte na strzępy, rozszarpane szczątki. Plebs domaga się drugiej walki. Trzeba więc wstać i zwracając się do nich, zawołać: „Obywatele Rzymu, ofiarowuję wam tę walkę”. Plebs wznosi okrzyki na jego cześć.

Trzeba tych ludzi przekupić. To plebejusze głosują w komicjach. Nie można się bać ich ujadania. Ani też dać się zwieść skowytami radości. Wykorzystać plebs do tego, żeby przejść kolejno wszystkie szczeble: trybuna wojskowego, kwestora, pretora, konsula i wreszcie prokonsula, namiestnika prowincji! Trzeba także uzyskać poparcie senatu i trybuna ludowego. Pamiętając, że w Rzymie piastuje się te urzędy tylko przez jeden rok, a na prowincji przez pięć lat. Dopiero tam, na prowincji, będąc prokonsulem, można się w końcu wzbogacić, zgromadzić łupy zdobyte na barbarzyńcach i spłacić zaciągnięte wcześniej długi.

Do tego czasu jednak trzeba się pogodzić z nękaniami przez wierzycieli, trzeba ich uspokajać, powołując się na przyszłe dochody, uzyskiwać od nich nowe pożyczki, roztaczając przed nimi miraż władzy, jaką się zdobędzie, i prowincji, którą będzie się eksploatować dla korzyści własnej, dla Rzymu i dla nich. Muszą być przekonani, że jeśli chcą kiedyś być spłaceni, to muszą na nowo sięgnąć do sakiewki.

Cezar chce się spotkać z Krassusem. Ten mający wielkie ambicje najbogatszy



człowiek w Rzymie, który dusi każdego, kogo zechce, ponieważ nawet najpotężniejsi są mu winni pieniądze, musi z pewnością zrozumieć ten język.

Oto i Marek Krassus, w swej ogromnej willi, otoczony wianuszkami niewolników i wyzwolenców, proszącymi go o coś pochlebami, młodymi kobietami i chłopcami ofiarowującymi swoje ciała w zamian za pewną sumę. A o kilka kroków dalej ochraniający go strażnicy trzymający dłonie na rękojeści mieczów.

Cezar się zatrzymuje. Potrafił stawić czoło rozbójnikom z Cylicji, greckim łucznikom w Mitylene i żołnierzom Mitrydatesa. Nie boi się Krassusa.

Krassus wstaje, rozpościera ramiona.

- Witaj - mówi. - Co mogę dla ciebie zrobić? - Śmieje się. Dobrze wie, że do niego się przychodzi, aby o coś prosić. - Ty kierujesz naszymi religijnymi kultami - ciągnie. - Słyszałem, jak Cyncero, nasz najlepszy mówca, twierdził... a pewien jestem, że myślał przy tym o tobie... iż przodkowie nasi nigdy nie okazali większej mądrości ani nie poszli bardziej za głosem bogów, niż kiedy postanowili, że ci sami ludzie będą sprawowali nadzór nad ceremoniami religijnymi i zarządzili republiką.

Cezar trwa nieporuszony. Krassus bierze go pod ramię i śmieje się znowu.

- Ale ty jeszcze nie zarządzisz republiką, jesteś jeszcze młody, Gajuszu Juliuszu. Czego chcesz? Czego ci potrzeba?

- Postanowiłem dodać swoją siłę do twojej - mówi Cezar. Krassus wzrusza ramionami. Mruczy „siła... siła...”, potem się odsuwa. Cezar wytrzymuje jego spojrzenie.

- Jesteś winien wiele pieniędzy - mówi Krassus.

- Przyszłość mi wiele da - odpowiada Cezar i odchodzi. Zrobił już kilka kroków. Chce, aby Krassus zawołał za nim, zaoferował mu pieniądze niezbędne do opłacenia wyborców - dzięki temu mógłby zdobyć pierwsze stanowisko: trybuna wojskowego.

Nie odwracając się, dotarł aż na skraj wielkiego basenu zajmującego środek ogrodu. W jego czystej wodzie spostrzega mureny, które prześlizgują się, ocierają o siebie i straszą nawzajem ostrymi zębami. Czy Krassus, tak jak wielu innych, karmi je mięsem niewolników? Powiadają, że mięso muren staje się od tego soczyste, miękkie i elastyczne, nabiera różowego koloru.

- Zaczekaj, zaczekaj, dumny Gajuszu Juliuszu!

Cezar odwraca się. Stoi przed nim Krassus, uśmiechnięty, z otwartymi na nowo ramionami.

- Wiesz, że ja także wierzę w twoją przyszłość - mówi. - Gotów jestem na ciebie

postawić, Gajuszu Juliuszu.

Cezar spogląda na basen. Grzbiety muren muskają lustro wody.

- One nie pozerają się nawzajem - mówi Krassus.

- Bo są najedzone - replikuje Cezar. - Ale głód skłania do okrucieństwa.

## ***Rozdział 12***

Zmusili do ucieczki wiele tysięcy wojska...

Na swego wodza wybrali dawnego trackiego pasterza Spartakusa!

Cezar słucha okrzyków tłumu zgromadzonego na Forum. Krzyżuje ramiona. Stara się nie okazywać żadnych uczuć. Chwila jest jednak wyjątkowa, oto po raz pierwszy wybrano go na urząd republiki rzymskiej, został trybunem wojskowym.

Słucha, jak jego konkurent do urzędu, odrzucony przez elektorów Gajusz Popiliusz zlorzeczy, miota wściekle obelgi, coraz głośniej wyrzekając, że za jego porażką stoją pieniądze Krassusa i że wstyd mu za Rzym, w którym na trybuna wojskowego wybiera się rozpustnika, męską prostytutkę, „królową Bitynii, kochanka wszystkich kobiet i kochankę wszystkich mężów”, bywalca rzymskich lupanarów, zbrojeńca, łysego gacha.

Popiliusz wyciąga ramię i pokazując Emiliusza, krzyczy szyderczo:

- Oto rywal Kornelii, oto małżonka Gajusza Juliusza Cezara, którego wybraliście zamiast mnie!

Nie należy odpowiadać na te obelgi, lepiej odwrócić się ze wzgardą od pokonanego, powstrzymać też Emiliusza, który chce się rzucić na Popiliusza. Cezar raz jeszcze się przekonuje, że walka polityczna jest bardziej bezwzględna niż walka zbrojna.

Zaskakuje go jednak nagły ruch tłumu w kierunku trybuny ustawionej przed komicjum - budynkami, gdzie zbierają się wyborcy. Ludzie z pierwszych szeregów zaczynają rzucać w Gajusza Popiliusza kamieniami. Krzyczą: „Na śmierć!” Wymachują kijami i sztyletami.

Nie wolno dopuścić, aby krew splamiła te wybory. Łaska dla pokonanego, który jest już nikim!

Cezar unosi ręce. Pragnie przemówić do tłumu. Gdy zaczyna mówić, znowu odczuwa przyjemność. Słowa same mu się nasuwają, on wypowiada je tylko na głos. Widzi wykrzywione nienawiścią twarze ludzi, stopniowo jednak tłum się cofa. Padają okrzyki na jego cześć. Cezar szuka wzrokiem swego niedawnego rywala, ale Gajusz Popiliusz najwyraźniej uciekł.

Dopiero teraz te wybory, okrzyki tłumu, sprawiają mu prawdziwą przyjemność.

W eksedrze czeka na niego matka, ściska go.

- Kapłan, teraz trybun wojskowy - powtarza Aurelia Kotta - nikt nie będzie mógł powstrzymać twego pochodu!

Chciałby jej powiedzieć, że nie jest zniecierpliwiony. Ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Nie doszedł jeszcze do wieku, w którym można kandydować na urząd kwestora czy pretora, i w dodatku jest po uszy zadłużony. Będzie musiał się liczyć z lichwiarzem Krassusem i z Wielkim Pompejuszem, obaj mają ogromne ambicje i nie mieści im się w głowie, aby właśnie wybrany trybun wojskowy, młody człowiek, którego jedynym dotychczas laurem jest wieniec dębowy i który jest jednym z szeregowych członków kolegium kapłańskiego, miał obok nich aspirować do rządzenia Rzymem. Gdyby się zorientowali, wpadliby we wściekłość. A przecież jeśli zechcą, mogą go zamordować, on na razie nie ma jeszcze środków, aby im w tym przeszkodzić!

Waha się, czy mówić o tym z matką. Ale Aurelia Kotta uśmiecha się do niego tak, jakby słyszała jego myśli.

- Wiem: Krassus i Pompejusz - mówi półgłosem. - Oni są silni, ale i słabi, ponieważ rywalizują ze sobą. Nienawidzą się nawzajem i szpiegują. Im bardziej jeden z nich stanie się potężny, tym bardziej ten drugi będzie chciał mu dorównać. Dziś nie możesz ich pokonać, ale oni będą ciebie potrzebowali. Działaj jak trucizna, która ich sparaliżuje - kontynuuje. - Zbliź się do nich jak wąż. Każdy z nich będzie sądził, że może się tobą posłużyć przeciwko temu drugiemu. Zniszczą siebie nawzajem, a ty zostaniesz sam na placu boju i wszyscy obywatele przejdą na twoją stronę.

Cezar milczy. Patrzy ze zdumieniem i wdzięcznością na tę starą kobietę, tak wątłą, lecz mającą tak silny głos.

- Bądź cierpliwy - radzi Aurelia. - Oni przyjdą do ciebie. Cezar odprowadza wzrokiem matkę, która na odchodnym jeszcze dorzuca:

- Tylko myśl o twojej przyszłości trzyma mnie przy życiu! Potem jej postać znika w ogrodzie.

Rozpamiętuje każde słowo wypowiedziane przez matkę. To przez nią związany jest z bogami i z królami. A jej ufność w jego przyszłość jest jak przepowiednia, którą potwierdzają wydarzenia.

Krassus chce się z nim jak najszybciej spotkać. Trzeba kazać mu czekać przez wiele dni pod pretekstem obowiązków związanych ze sprawowaniem funkcji trybuna wojskowego. Dowiaduje się przy okazji w sztabie legionu, że w szkole gladiatorów w Kapui wybuchł bunt

i dwustu gladiatorów zbiegło. Z początku za całą broń mieli oni różny i noże skradzione z kuchni. Potem jednak rozbroili milicję wysłaną za nimi w pogoń i za pomocą odebranych jej mieczy zmusili do ucieczki wiele tysięcy wojska. Na swego wodza wybrali byłego trackiego pasterza Spartakusa. Wpadają w egzaltację pod wpływem słów towarzyski Spartakusa, także pochodzącej z Tracji. Przyrzeka im ona zwycięstwo, tańczy przed nimi, celebry obrzędy.

Cezar słucha. Odczuwa niepokój, jaki ogarnia pretorów i senatorów. Wydaje mu się, że zmieniły się spojrzenia niewolników na ulicach Rzymu. Oni także już wiedzą, że zbuntowani gladiatorzy schronili się na zboczach Wezuwiusza i że rozbili oddziały wysłane, aby ich schwytać. I że ze wszystkich stron przyłączają się do nich dalsze tysiące niewolników, że plądrują wille, a nawet położone na uboczu miasteczka i osady. Spartakus i jego czarodziejka rozdzielają zagrabione łupy po równo między wszystkich. Mówią, że Spartakus służył jako najemnik w armii rzymskiej, potem zdezerterował i kiedy został schwyty, sprzedano go na gladiatora. To człowiek odważny i przebiegły. Przyrzeka teraz wszystkim, którzy się do niego przyłączyli, niewolnikom z Galii, Tracji czy Germanii, że zaprowadzi ich do ich krajów rodzinnych, pozostawiając za sobą krwawe pasmo prowadzące przez całą Italię. I jego dzika armia rzeczywiście posuwa się na północ, odpierając legiony wysłane, aby zatrzymać ich pochód.

Cezar jest oburzony: śmierć i strach przenikają aż tutaj, tak blisko Rzymu, wkradają się w jego życie. Czy możliwe, żeby Rzym został pokonany przez ten motłoch?

Udaje się do Krassusa. Ten na jego widok rzuca:

- Gajuszu Juliuszu Cezarze, jesteś trybunem wojskowym, walczyłeś w Azji, pokonałeś i ukarałeś piratów. Chcę, abyś był ze mną! Słyszysz, co robią te wilki?

Spartakus zmusił czterystu jeńców rzymskich do śmiertelnej walki w charakterze gladiatorów.

- Obywatele rzymscy - ryczy Krassus - centurioni zostali zmuszeni przez tych niewolników, aby walczyli jak niewolnicy, jak zwierzęta! I żaden nie przeżył. Zarżnęli wszystkich, którzy pozostali na nogach. - Spaceruje wzdłuż swego basenu. - Rzucę ich murenom na pożarcie - mówi. - Zbiorę dziesięć legionów i stanę na ich czele. Jestem pretorem, ty będziesz ze mną. - Ścisła ramię Cezara. - Ocalę Rzym - mówi. - I Rzym sobie to zapamięta, podobnie jak ja ci nie zapomnę, że mi pomogłeś.

Cwałują po splądrowanej okolicy. Widać z daleka zbliżający się tuman kurzu. To nie wojska Spartakusa, lecz żołnierze rzymscy, którzy uciekają z pola bitwy, porzuciwszy swoje chorągwie, miecze, pancerze i hełmy.

Krassus wydaje rozkazy. Niech ich zgromadzą. Niebawem stoi przed nim pięćuset

wystraszonych i wyczerpanych ludzi.

- Podzielić ich na grupy po dziesięciu! - rozkazuje Krassus. Cezar domyśla się, co Krassus postanowił: decymacja. Nie chce odwracać głowy. Musi się nauczyć okrutnego sposobu, w jaki przywraca się dyscyplinę w wojsku. Ci dezercerzy już. teraz zachowują się jak przerażone zwierzęta, paraliżuje ich strach i oczekiwanie. Centurioni podchodzą do każdej z grup, losują jednego z dziesięciu ludzi, po czym przecinają mu gardło ciosem miecza. Cezar patrzy na te ciała. Pozostali przy życiu z błędnym wzrokiem ustawiają się i na rozkaz ruszają. Krassus nie posiada się z radości.

- Kara przywraca odwagę! Widzisz, Gajuszu Juliuszu Cezarze, nikt inny nie odważyłby się zdziętkować wojska złożonego z tchórzy. A ja to zrobiłem. Teraz będą walczyć jak lwy, a ja stanę na ich czele! I chcę ciebie widzieć u mego boku.

Cezar bierze udział w walce, galopując po prawej stronie Krassusa. Chwilami wojna ta przypomina raczej pościg za dzikimi zwierzętami, kiedy bandy niewolników Spartakusa zostają rozbite i pierzchają w popłochu.

A zresztą, czy to są ludzie: ci rozczochrani niewolnicy, za jedyny ubiór mający skóry zwierząt albo nawet walczący nago, uzbrojeni czasem jedynie w zaostrzone i utwardzone w ognisku kawałki drewna?

Cezar jest zaskoczony ich zawziętością. Widzi, jak jeden z nich, mając nogi przeszyte strzałami, klęcząc, walczy nadal przeciwko dwóm legionistom, z których jednego udaje mu się zabić, i w końcu, gdy jego broń zostaje złamana, wyzywającym ruchem nadstawia szyję pod cios.

Spostrzega Krassusa, który rzuca się odważnie do walki, jego koń zboczony jest krwią stratowanych ludzi. Pretor, ogarnięty jakimś szałem, ryczy, zabija, pociąga swoje legiony do natarcia. To jest wódz, może niezorganizowany, ale narażający własne życie. Bo czy może dowodzić ludźmi ktoś, kto nie potrafi stawić czoła tym samym niebezpieczeństwom co oni?

Należy być takim jak on, ale nie wolno upajać się rozlewem krwi.

Cezar widzi Krassusa przejeżdżającego tam i z powrotem przed tysiącami jeńców, którzy nie mogli bądź nie potrafili zginąć w walce. Chce, aby kara, jaka ich spotka, została raz na zawsze zapamiętana przez niewolników, żeby Rzym nie stanął w przyszłości w obliczu wojny domowej.

- Wzdłuż całej Via Appia między Kapuą a Rzymem mają zostać postawione krzyże! Tyle krzyży, ilu jest jeńców. Te bestie muszą cierpieć!

Cezar posuwa się wolno między dwoma szeregami krzyży, postawionych po obu stronach Via Appia, tak blisko jeden drugiego, że zasłaniają horyzont.

Krassus cwałuje na koniu, to marsz triumfalny. Lecz odór krwi jest tak silny, że Cezar ma odruch wstrętu.

Czy można jednak przywrócić porządek, nie uciekając się do okrucieństwa?

Po powrocie do Rzymu ma wrażenie, że miasto ogarnął szal. Tłumy się radują. Przyszła wiadomość, że Wielki Pompejusz rozgromił jedną z ostatnich band zbuntowanych niewolników, mordując wszystkich, którzy się poddali. Ludzie wylęgają na jego powitanie na Via Valeria i na widok jego chorągwi na ulicach, którymi przejeżdża, wznoszone są okrzyki na jego cześć. Pompejusz jedzie dumnie, obwieszczając: „Krassus pokonał zło, ale ja wyrwałem je z korzeniami!”

Cezar się domyśla, że Krassus jest wściekły, zżera go zazdrość. Senat przyznał Pompejuszowi prawo do odbycia triumfu, gdy tymczasem Krassusowi przyznano tylko prawo do owacji. Czyż to jednak nie on jest prawdziwym pogromcą Spartakusa? Pretor protestuje i uzyskuje tyle, że zostaje mianowany razem z Pompejuszem na stanowisko konsula w roku 70. Plebs cieszy się z pogodzenia dwóch rywali.

Cezar obserwuje ich. Obaj razem odpowiadają na wiwaty ludu, przysięgają, że będą mu służyć i skończą z pozostałościami korzystnych dla senatu praw Sulli.

Entuzjazm plebsu wzmaga się w dwójnasób.

Cezar odchodzi. Idzie aż do bram miasta, tam gdzie zaczyna się Via Appia. Wokół krzyży uwijają się chmary kruków. Śmierć to cena zwycięstwa. Takie jest prawo.

Cezar już teraz wie, że jeśli chce wygrać, to jego droga, podobnie jak Via Appia, będzie usłana trupami.

## ***Rozdział 13***

Mój brat, Katon, ciebie nie lubi, mówi, że jesteś rozpustnikiem, Grekiem, królową Bitynii i że  
chcesz zostać królem w Rzymie...

Cezar w półśnie czuje, że ktoś na niego patrzy. Nie rusza się. Nie odczuwa żadnego strachu. Wyobraźnia podsuwa mu jednak myśl, że to któryś z niewolników z willi, mających dostęp do jego sypialni, albo może któraś z kobiet, które go masują, zanurzy mu w piersi sztylet, a potem popełni samobójstwo, chcąc uniknąć tortur.

Nie wierzy w taki los. Bogowie nie mogą na to pozwolić, jednak od czasu walki ze zbuntowanymi niewolnikami Spartakusa ma wrażenie, że coś się w nim zmieniło. Być może

pogłębiło się przekonanie, że życie jest niczym, zwykłym tchnieniem, które może zostać przerwane żelaznym ostrzem. A człowiek nie jest niczym więcej niż kupą mięsa, którą rozszarpia sępy. A więc wszystkiego należy dokonać w tym życiu, zanim się ono skończy.

Otwiera oczy.

To tylko obserwowała go jego kochanka, Serwilia, wsparta na łokciach, z wygiętym ciałem. Cezar widzi jej ciężkie piersi. Serwilia ma długą szyję, jej czarne włosy przytrzymuje bursztynowy grzebień wysadzany diamentami. Pochyla nieco głowę, odsuwa się od niego na skraj szerokiego łoża, na którym położyli się wczesnym popołudniem. Teraz zapadł już zmrok i lekki powiew wiatru zaczyna unosić zasłony przy drzwiach i oknach, rozpraszając wilgotny upał, który dławiącym ciężarem zalega przez całe lato nad Rzymem.

- Mój brat ciebie nie lubi - mówi Serwilia.

Zbliża się do niego, jakby chciała coś powiedzieć, zadowala się jednak potrząśnięciem głowy, usta ma rozchylone.

- Katon nie lubi nikogo - mruczy Cezar, wstając.

Katon jest chudy, jak to zwykle zazdrośnicy. Ma kościste ciało i gorzkie myśli. Jest senatorem, prawnikiem wielkiego Katona Starszego i pragnie być obrońcą cnoty. Gdy się go słucha, ma się wrażenie, iż Rzym nie jest już niczym więcej niż greckim lupanarem, zepsutym przez rozkosze, przyjemności, pieniądze. Katon uważa się za obrońcę republiki, ale jakiej właściwie republiki? Czy tej rządzonej przez senatorów troszczących się jedynie o własne korzyści, tchórzliwych, trzęsących się o majątki i życie? Tych, którzy zgodzili się wyznaczyć Krassusa i Pompejusza na konsulów, choć ani jeden, ani drugi zgodnie z prawem rzymskim nie mógł zostać wybrany na ten urząd? Cóż jednak znaczą prawa republiki wobec faktu, że Krassus jest najbogatszym człowiekiem w Rzymie, jest wierzycielem każdego Rzymianina i ma na swoim żołdzie legiony! Jeśli zaś chodzi o Pompejusza, to czy można się było sprzeciwiać woli imperatora mającego pod swoją komendą tysiące żołnierzy, człowieka, który niedawno na czele swych legionów przywrócił porządek w Hiszpanii i skończył z bandami Spartakusa?

Tak więc Katon, ów heroiczny stoik i przyrodni brat Serwili, może sobie wygłaszać oracje swym cienkim i piskliwym głosem, ale to Krassus i Pompejusz narzucają swoją wolę, znoszą prawa z czasów Sulli i przywracają władzę trybunów ludowych oraz zmniejszają wpływy senatorów w sądach. I diatryby Katona ani przemowy jego przyjaciela Cyncerona niczego tu nie zmieniają.

Władza przechodzi w ręce tych, którzy dysponują siłą legionów i którzy mogą sobie zjednać poparcie plebsu. Jak Krassus, który jest w stanie przekupić każdego obywatela

Rzymu, albo Pompejusz.

Cezar siada z powrotem, zaczyna pieścić Serwilię. Kocha jej ciało, jej spojrzenie, mimo że każdego dnia obcuje z jakąś nową kobietą, a zdarza się, że i więcej niż z jedną.

Powrócił znowu do życia oddanego rozkoszom. Emiliusz organizuje mu spotkania z młodymi wyzwoleńcami albo dziewczycami, które zostały kupione w prowincjach Azji czy Grecji. A do tego są jeszcze Rzymianki, które go pociągają: Postumia, Lolia, żona Aulusa Gabiniusza, trybuna ludowego, Tertulla, żona Krassusa, i Mucja, żona Gnejusza Pompejusza...

Zdobywając je, czuje coś, co wykracza poza samą tylko przyjemność zmysłową. One są żonami konsulów, senatorów czy imperatora, a przecież tak szybko mu ulegają, jęczą, oddają się na jego usługi jak niewolnice. Same proponują mu pomoc. I on posługuje się nimi, aby zbliżyć się do ich mężów i mieć na nich wpływ.

Zależy mu na tym; aby Pompejusz, tak jak przedtem Krassus, nabrał przekonania, że potrzebuje Cezara i że może on zostać jego sojusznikiem w skrytej rywalizacji z bogaczem i w zamiarze zagarnięcia całej władzy dla siebie. Dlatego musi spotykać się z jego niewierną żoną Mucją, schlebiać jej, uspokajać ją i przekonywać, że Pompejusz nie może nigdzie znaleźć lepszego poparcia niż u Cezara. Musi ją okłamywać, a więc ją oszukiwać... Cóż, to jest walka...

Cezar wyczytuje w oczach Emiliusza zdziwienie, może nawet zazdrość. Pociesza go, szepce mu, że o nim nie zapomniał, i cytuje mu wers z Eurypidesa: „Jeśli trzeba okazać się niesprawiedliwym, to niech to przynajmniej służy rządzeniu. W pozostałych wypadkach praktykujcie litość”.

On chce rządzić. I nie powinien zaniedbywać niczego, co pozwoli mu zdobyć władzę.

Cezar wyciąga się obok Serwili. Ona jest jedną z tych kobiet, do których zawsze powraca. I to, że będąc jego kochanką, jest jednocześnie przyrodnią siostrą Katona, dodaje sprawie dodatkowego smaczku. Podoba mu się, gdy Serwilia, pieszcząc go, powtarza: „Mój brat cię nie lubi. Jesteś rozpustnikiem, Grekiem, królową Bitynii, chcesz zostać królem w Rzymie jak Nikomedes albo Mitrydates albo jakiś faraon w Afryce”.

- Katon nie lubi także Krassusa ani Pompejusza - ciągnie Serwilia. - Podobnie jak ciebie, oskarża ich o zamiar uduszenia republiki... tak, jak to się robi z jeńcami. - Przeciąga paznokciami po jego ciele. - Gotów jest zginąć w jej obronie - dodaje.

- Rzym mnie potrzebuje...

Urywa. Mógłby dopowiedzieć: „Rzym nie potrzebuje już Katona”. I myśli: ja jestem jedynym człowiekiem, który może położyć kres wewnętrznym podziałom i słabościom



Rzymu. Czemu Katon nie może zrozumieć, że imperium rozciągającym się od Oceanu do Pontus Euxinus, od Rodanu do Cylicji nie można rządzić w taki sposób, jak rządzi się jednym miastem albo Italią?

Należy więc zdobyć władzę. A to wymaga wielkiej cierpliwości, droga jest długa i Cezar wie, że nie wolno mu niczego zaniedbać.

Codziennie poddaje się zabiegom golenia, depilowania, masowania, perfumowania, ponieważ w taki właśnie sposób może uwieść kobiety i mężczyzn, których potrzebuje.

A poza tym lubi, gdy jego ciało jest gładkie, szczupłe, napięte.

Czuje na sobie spojrzenia kobiet, młodych mężczyzn. Przyjmuje u siebie i chce zadziwić przepychem tych przyjęć. Potrzeba jednak na to wiele pieniędzy, które pożycza u agentów Krassusa. Nigdy nie spotyka go odmowa. Jest już zbyt mocno zadłużony, aby ścisłano mu gardło. Musi teraz robić dalszą karierę na urzędach, aby mógł kiedyś wreszcie pospłacać długi.

Pożyczają mu zatem na opłacenie wyborców w komicjach, ponieważ postanawia w roku 70 kandydować na urząd kwestora. Jeśli zostanie wybrany, będzie nadzorował finanse Rzymu albo którejś prowincji w roku 69, w roku swych trzydziestych drugich urodzin. To najniższy wymagany wiek. Nie wolno więc niczego pozostawić na łasce przypadku. Płaci Schlebia. Zapowiada, że poprze propozycję prawa o amnestii dla tych, którzy zostali zmuszeni do emigracji, uciekając przed prześladowaniami Sulli. Wśród tych ludzi, z których część schroniła się w Hiszpanii i walczyła u boku Sertoriusza przeciwko Rzymowi, znajduje się także Lucjusz Cynna, brat jego żony Kornelii.

Jeśli zostanie wybrany na kwestora, będzie mógł pełnić inne urzędy, zostać edylem, pretorem, prokonsulem i wejść do senatu.

Często rozmyśla o przebiegu kariery, jaką chciałby zrobić. Czy on mógłby być tylko jednym spośród wielu urzędników w Rzymie? Zdobyć te stanowiska na rok, a potem być jednym z tych senatorów, którzy przemieszczają swoje tłuste cielska między Kurią a łóżem we własnej willi?

Jego życie nie może tak wyglądać. Wie, że na tym nie poprzestanie.

Kazał zburzyć willę w okolicy Rzymu, nad brzegami małego jeziora, którą zanadto pragnął posiadać. Nie chce dać się zamknąć w luksusie i rozkoszy. Władza to rozkosz nad rozkosze i chce, aby to ona wypełniła mu życie. Skoro jednak tak, to musi stać się osobą, na którą lud zwraca spojrzenie. Czyż nie jest potomkiem Mariusza, przeciwnikiem Sulli? Gdy będzie miał lud za sobą, to pozostanie mu już tylko zdobyć dowództwo nad legionami i zostać

imperatorem na polu bitwy. Wówczas będzie mógł się zmierzyć z Krassusem i Pompejuszem!

Nie chce okazać radości, kiedy słyszy owacje witające jego wybór na stanowisko kwestora. Występuje naprzód. Powinien wygłosić mowę, w której zaprezentuje się jako przywódca partii popularów. Człowiek, który został wybrany przez lud, musi go bronić, to oczywiste. Nie chce jednak ograniczać się jedynie do tej roli. Jego rodzina należy do najstarszych nobilew rzymskich, trzeba, aby o tym pamiętano. Jego pochodzenie jest inne niż takiego Pompejusza czy Krassusa. I w odróżnieniu od nich obu nie był nigdy na usługach Sulli, a więc partii optymatów. Dziś Krassus i Pompejusz chcą ograniczyć ich władzę, ale tylko po to, aby bardziej umocnić własną. Chcą być dyktatorami, a nawet królami.

Kiedy wkrótce później bez zaskoczenia dowiaduje się, że zmarła jego ciotka Julia, wzywa Emiliusza. Pragnie jej pogrzeb przekształcić w wydarzenie polityczne. Wygłosi mowę, stojąc na wielkiej trybunie, zwanej Rostra, wznoszącej się trzy metry nad ziemią na Forum, niedaleko komicjum, tam gdzie zbierają się zgromadzenia wyborcze. Właśnie z tej mównicy chce przemówić, aby powiedzieć, kim jest, a więc tym samym powiedzieć także, jakie ma ambicje.

Lud Rzymu musi go zauważyć.

Dopilnował wszystkich szczegółów ceremonii pogrzebowej.

Idzie za rydwanem, na którym spoczywają zwłoki wdowy po Mariuszu. Wcześniej za pośrednictwem heroldów, którzy obeszlą miasto, kazał uprzedzić lud o porze ceremonii. Zgromadził się tłum zafascynowany widowiskiem, płonącymi pochodniami i lamentami płaczek. Aktorzy w woskowych maskach przypominających twarze przodków postępują za łóżem pogrzebowym.

Ale Cezarowi chodziło o coś więcej, przebiega więc go dreszcz, kiedy słyszy krzyki, a potem owacje tłumy, rozpoznającego postać Mariusza, proskrybowanego wodza, obrońcy plebsu, nie żyjącego już od siedemnastu lat.

Każdy poznaje jego portret, każdy wie, że Mariusz został przez senat ogłoszony wrogiem Rzymu i że wystawiać tak jego podobiznę znaczy zgłaszać prawa do dziedzictwa po nim, rzucać wyzwanie senatorom, deklarować wierność pewnemu kierunkowi politycznemu, wybrać rolę rzecznika plebsu.

Teraz Cezar wchodzi wolnym krokiem na mównicę, której nazwa - Rostra - upamiętnia dzioby wojennych okrętów wroga zdobytych w 338 roku podczas bitwy morskiej pod Ancjum.

Cezar patrzy na tłum. Pragnie, by zrozumieli oni, że jest dziedzicem całej historii Rzymu. Mówi:

- Ród mej ciotki Julii po kądzieli od królów się wywodzi, po mieczu zaś z samymi bogami nieśmiertelnymi jest spokrewniony. Od Ankusa Marcjusza pochodzi ród Marcjuszów królów, których nazwisko nosiła matka; od Wenery pochodzą Juliusze, do których rodu nasz dom się zalicza. Jest więc w krwi naszej i majestat królów, którzy najwięcej znaczą wśród ludzi, i świętość bogów, których władzy podlegają sami królowie\*[\* Swetoniusz, *Żywoty cesarów, Boski Juliusz*, 7, przeł. Janina Niemirska-Pliszczyńska, Ossolineum, 1987. Jeśli nie **zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumacza.**].

Wyciąga rękę, pokazuje portret Mariusza. Nie musi nawet wymieniać jego imienia, aby wszyscy się zorientowali, że chce on złączyć z bogami i królami Mariusza, człowieka z plebsu, który stał się panem Rzymu dzięki swej odwadze i polityce.

Ma wrażenie, że zaznaczył w ten sposób swoje oficjalne wkroczenie do polityki rzymskiej. I żaden senator, żaden ze zwolenników Sulli nie ma odwagi wystąpić przeciwko jego inicjatywie. Trzeba więc kontynuować natarcie.

Kiedy wracając pewnego dnia do swej willi w Suburze, zastaje matkę we łzach i słyszy, że zmarła jego żona Kornelia, zamyka się w bibliotece. Trzeba jednak przezwyciężyć ból, wykorzystać także i tę śmierć dla zainteresowania opinii publicznej, organizując uroczystości żałobne równie świetne jak po zgonie ciotki.

Nie będzie już więc wyłącznie rozpustnikiem, prostytutką i łysym gachem, ale małżonkiem, oplakującym swoją młodą żonę, który idzie obok swojej córki Julii i wygłasza mowę pochwalną na cześć ukochanej towarzyszki życia.

I plebs zjawia się licznie, poruszony, pełen współczucia.

Cezar przygląda się tłumowi zgromadzonemu u stóp mównicy. Mężczyźni są poważni, kobiety się litują, niektóre szlochają, dołączając swój płacz do zawodzeń płaczek przyzywających Kornelię, córkę Cynny, ukochaną i nieodżałowaną małżonkę Gajusza Juliusza Cezara.

Jednego jest pewien: lud musi się bać, szanować i kochać tego, kto chce nim rządzić.

## CZEŚĆ V

### *Rozdział 14*

Uświadamia sobie nagle, że w wieku trzydziestu trzech lat Aleksander doszedł już do wielkiej, niemalże boskiej chwały...

Cezar wychyla się z powozu. Widzi zady dwóch koni i idących wolnym krokiem żołnierzy eskorty z mieczami przy boku i włóczniami na ramieniu. Potrząsa drzemiącego Emiliusza i wysiada.

Via Aurelia, którą jadą od Rzymu, wydaje się jak połknięta przez miasteczko, zanika pomiędzy domami z kamieni ciosowych a skalną ścianą, niemal pionowo spadającą do morza. Nędzne chaty wznoszą się piętrami, uczezione zboczy Alp niczym szare muszle, gdziegdzie pokryte mdłą czerwienią dachówek.

Cezar przystaje. Otaczają go centurioni. Słyszy, jak Kmiliusz mówi, że miasteczko to wyznacza granicę między Galią Przedalpejską i Galią Narbońską. Czeka ich jeszcze dziesięć dni drogi, zanim dotrą do Hiszpanii, gdzie propretor Gajusz Antystiusz Wetus oczekuje już nowego kwestora.

Cezar podchodzi do jednego z kamieni granicznych, które wytyczają Via Aurelia: jeszcze jeden krok, a stoczyłby się po zboczu i skończył z życiem. Połyskujące morze go oślepia. Czuje wzbierający niepokój. Czy jego kariera nie zatrzyma się przez ten wyjazd z Rzymu w chwili, gdy całe miasto o nim mówi, gdy podziwiają jego odwagę publicznego przypomnienia Mariusza i chwalą go za miłość do zmarłej małżonki? Jej pogrzeb również był wspaniały i także był aktem odwagi, ponieważ nikt dotąd nie czczył w taki sposób kobiety zmarłej w młodym wieku.

Ile rzeczy może się zdarzyć podczas jego nieobecności! Mogą o nim nawet zapomnieć... Jest jedynie młodym kwestorem, wysłanym do Hiszpanii po to, aby w imieniu namiestnika zbierać podatki i wymierzać sprawiedliwość. Jaką chwałę zyskać można na tych podrzędnych stanowiskach? Może będzie mógł potracić sobie pewną część z zebranych pieniędzy, tak jak to jest przyjęte, i dzięki temu spłaci wierzycieli, którzy w chwili jego wyjazdu z Rzymu zaczynali już szczerzyć zęby? Musiał się spotkać z Krassusem i prosić go, by przykrócił smycz tej chciwej zgrai.

Dociera do pierwszych domostw.

Idąc dalej po kamiennych płytach Via Aurelia, ma wrażenie, jakby wszedł do grotty, tak chłodny jest tu cień, tak wielką przynosi ulgę po wspinaniu się na przełęcz. Odwraca się w stronę Emiliusza. Na twarzy sekretarza maluje się zmęczenie, pogarda i niesmak. To prawda, że te chaty przypominają raczej cuchnące budy.

1 że trzeba przejść spory kawałek, zanim znajdzie się jakiś dom z posążkami larów. Zbliża się do nich chudy człowiek z ciałem owiniętym w poplamioną togę, z bosymi stopami i mówi, że jest edylem tego miasteczka, rzymskim poddanym. Służył kiedyś w armii Mariusza. Czemu więc nie jest obywatelem rzymskim?

Cezar wysłuchuje go. Wiele już razy podczas tego przejazdu przez Galię Przedalpejską zwracano się do niego, domagając się prawa do obywatelstwa Rzymu. Rzuca spojrzenie na Emiliusza. Domyśla się, że jego sekretarz znowu będzie się niepokoił.

- Jestem Gajusz Juliusz Cezar - mówi, kładąc rękę na ramieniu edyla. - Jestem kwestorem. Jadę do Hiszpanii. Ale obiecuję ci, że przekażę twój głos i będę popierał twoje roszczenie. Masz prawo zostać obywatelem Rzymu. Zostaw swe imię mojemu sekretarzowi.

Urzędnik kłania się, jego twarz promienieje. Wszędzie wzdłuż Via Aurelia taka odpowiedź wzbudzała wdzięczność i radość.

Cezar idzie z Emiliuszem aż do wyjazdu z miasteczka. Via Aurelia jest jak długa blizna ciągnąca się od siodła przełęczy w stronę morza.

- Liczy się każdy człowiek - mówi Cezar. - Ludzie z Galii Przedalpejskiej, z Galii Narbońskiej, a za kilka dni także i z Hiszpanii muszą mnie znać, muszą wiedzieć, że będę występować w ich imieniu. Rzym jest głową, a prowincje są jego tułowiem i kończynami. Kto panuje nad ciałem, ten może rządzić Rzymem.

Cezar widzi, że Emiliusz potrząsa głową, wyraźnie ma wątpliwości. Bierze go za rękę i prowadzi aż na skraj przepaści. Ptaki zrywają się z wielkim łopotem skrzydeł.

- Trzeba latać z Rzymu do prowincji i z powrotem na Forum, aby nie dać o sobie zapomnieć. - Odwraca się, wskazuje miasteczko, patrzy na nie długo. - Co do mnie - dodaje - to wolałbym być pierwszy tutaj niż drugi w Rzymie.

Trzeba tę myśl odegnąć. Będzie pierwszy w Rzymie i nic nie powinno osłabiać jego woli. Musi dbać, aby każdy krok przybliżał go do tego celu, żeby każdy napotkany człowiek: żołnierz czy urzędnik zapamiętał go i poczuł się z nim związany.

Pamięta o tym cały czas, gdy kłania się Gajuszowi Wetusowi, witającemu go na progu swojej rezydencji w Korciubie. Trzeba pomagać mu w sposób wzorowy, ale bez służalczości. Tego nie mógłby od Cezara uzyskać, gdyby nawet chciał. A zresztą Cezar spostrzega, że

Wetus traktuje go z szacunkiem, jak młodego człowieka, który dojść może kiedyś do najwyższych godności, rzymskiego arystokratę, którego imię stało się już znane.

Pragnie, aby Wetus został jego wiernym sprzymierzeńcem. Należy więc mu schlebiać, podejmować go wystawnie, wykonywać punktualnie zlecane przez niego zadania i wypłacać mu podatki zebrane w najdalszych miastach, do których w jego imieniu jeździ. I trzeba też słuchać uważnie skarg tamtejszych mieszkańców, przyrzekać im obronę, zawiązywać z nimi przyjaźnie, które mogą się okazać użyteczne na przyszłość. Trzeba także uwodzić kobiety, panny i mężatki, jak choćby tę korpulentną brunetkę, która była przedtem kochanką Antystiusza Wetusa i która mu się oddaje, pomagając mu uzyskać od propretora pozwolenie udania się do świątyni Herkulesa położonej nad brzegiem Oceanu, niedaleko cieśniny.

Cezar bowiem pragnie zobaczyć Słupy Herkulesa, owo miejsce łączenia się jednego morza z drugim, kraniec świata.

Jest w Gadesie. Patrzy, jak długa oceaniczna fala słabnie na plaży. I ogląda postawione przed świątynią Herkulesa popiersie

Aleksandra Wielkiego, zdobywcy świata. Wpatruje się w tę marmurową twarz o rysach stanowczych i młodzieńczych. Uświadamia sobie nagle, że w wieku trzydziestu trzech lat Aleksander doszedł już do wielkiej, niemalże boskiej chwały.

W moim wieku, myśli.

Cezar czuje ciężar na karku. Ma wrażenie, że uginają się pod nim nogi. Oto ma trzydzieści trzy lata i kim jest? Jednym z wielu kwestorów, których Rzym posyła do wszystkich swoich prowincji i którzy wypełniają te same podejrzane zadania. Rysuje się przed nim bardzo długa droga, pełna obowiązkowych etapów. Jak tu osiągnąć sławę Aleksandra?

Spuszcza głowę i czuje, jak łzy napływają mu do oczu. Nie może powstrzymać się od jęku, jakby został poważnie ranny. I w istocie jest. Ma chęć wymiotować, wyrzucić z siebie swoje dotychczasowe życie. Nie dokonał jeszcze niczego godnego pamięci, w wieku, w którym Aleksander podbił już cały świat!

Kiedy się prostuje, widzi, że Emiliusz go obserwuje, na jego twarzy maluje się popłoch. Nie wolno jednak się poddawać, nie wolno dopuścić Emiliusza do głosu. Nikomu nie wolno pocieszać Gajusza Juliusza Cezara! W sobie samym musi odnaleźć siły, aby iść za swoim przeznaczeniem.

Teraz musi szybko powrócić do Rzymu. Nie może pozwolić Krassusowi albo Pompejuszowi, albo Cynceronowi, albo Katonowi czy jeszcze jakiemuś innemu ambitnemu

graczowi na to, aby rozgrywali bez niego swoją partię! Musi być tam, na miejscu, by wykorzystać wszystkie okazje zwrócenia na siebie uwagi plebsu. Wolno mu będzie wyjechać z Rzymu tylko wtedy, gdy dostanie stanowisko związane z dowodzeniem legionami i zarządzaniem jakąś prowincją. Kwestor to urząd zbyt skromny, aby warto było z jego powodu przebywać daleko od Forum, od Kuri, od zgromadzeń obywateli.

Zażąda od Wetusa zwolnienia i opuści swój urząd przed upływem roku.

Namiestnik zgadza się; być może na jego decyzji zaważyło pragnienie oddalenia zanadto przedsiębiorczego kwestora. I teraz podczas tych ostatnich nocy Cezar obsypuje swą korpulentną brunetkę prezentami, stara się jej sprawić przyjemność, obiecuje przyjąć ją w Rzymie. Nie należy bowiem nigdzie pozostawiać za sobą wrogów. Nadzieja na uzyskanie korzyści i na poparcie powinna podtrzymywać sojusze i zaufanie.

Przyzywa Emiliusza. Chce w drodze powrotnej przez Galię Przedalpejską zwracać się do mieszkańców miast położonych wzdłuż Via Aurelia, zaangażować się w uzyskanie dla nich obywatelstwa rzymskiego; na razie bowiem obowiązywało ich prawo łatyńskie. Unikną oni w ten sposób władzy senatu i będą mieli te same prawa co Rzymianie.

Musi do siebie przywiązać mieszkańców Galii Przedalpejskiej: są liczni, zapobiegliwi, waleczni. Będzie mógł z nich potem utworzyć bitne legiony.

Teraz zamyka oczy, zasypia. Śni mu się, że zbliża się do niego kobieta, otwiera ramiona i rozchyła usta. On wchodzi w nią i odczuwa łagodną, lecz intensywną rozkosz. Naraz poznaje twarz kobiety - to jego matka! Aurelia Kotta uśmiecha się do niego, ścisła swe piersi i wytryskujące z nich mleko zalewa go.

Budzi się. Chce przed wyjazdem z Hiszpanii spotkać się z wróżbitami, którzy mogliby mu objaśnić sens tego snu.

Są to trzej starcy. Gdy opowiedział im swój tajemniczy sen, zaczynają między sobą szeptać. Cezar czeka i czuje, że jego ciało się chwieje, jakby jakieś potężne ręce wprawiały je w wirowanie. Opiera się temu ruchowi, który ciągnie go ku ziemi. Pomału odzyskuje równowagę. Patrzy na najstarszego z wróżbitów, ślepcę o wychudłej twarzy, z siwymi włosami spadającymi na ramiona. Mówi on po grecku niskim głosem, który zaskakuje w tym kruchym ciele. Jego głos zdaje się wydobywać z jakiejś pieczary.

- Ten sen - zaczyna - daje ci największe nadzieje, Gajuszu Juliuszu Cezarze, obywatelu Rzymu. - Odwraca swoje niewidzące oczy w stronę dwóch pozostałych wróżbitów. - Stanowi on zapowiedź twojego panowania nad światem - kontynuuje. - Matka, którą widziałeś we śnie pod sobą, to nic innego niż Ziemia, która zrodziła wszystkich ludzi. Umieściłaś w jej ciele swoje nasienie, a ona zalała cię swoim mlekiem.

Cezar wstaje.

Panowanie nad światem...

Nie czuje żadnej radości, tylko napływającą w jego ciało falę gorąca. Znowu kręci mu się w głowie. Chce natychmiast powrócić do Rzymu.

Gdy już odchodzi, jeden z wróżbitów mówi za nim mocnym głosem:

- Pamiętaj, że wszystko ma swoją cenę. Bogowie nie dają niczego za darmo. Jeśli ofiarują ci świat, to pewnego dnia zabiorą ci to, co masz najdroższego.

## ***Rozdział 15***

Sam możesz wybrać swoją drogę, Brutusie.

I powinieneś to zrobić, ale wiedz, że ta droga zaprowadzi cię do mnie...

Cezar przygląda się twarzom ludzi - mężczyzn, kobiet, starców i żołnierzy, którzy otoczyli jego wóz, napierają na jego eskortę, nie uchylają się nawet przed ciosami, jakie rozdają im centurionowie starający się zepchnąć ten tłum ze środka Via Aurelia. Wie, co znaczy ten błędny wzrok, te włosy w nieładzie, pobrużdzone twarze, chowanie głowy w ramionach i uporczywe wpatrywanie się w kamienie pod stopami, bojaźliwe odwracanie się za siebie, jakby z obawy, że ktoś idzie z tyłu.

Ten tłum się boi. Cezar wyskakuje z wozu, odpycha swoich centurionów, wchodzi między uciekinierów, otwiera ramiona, aby powstrzymać tę falę. Ludzie zderzają się z nim, omijają go, lecz potem stopniowo się zatrzymują. Kobiety klękają, żołnierze go otaczają zawstyżeni.

Chwyta jednego z nich, potrząsa nim, mierzy go pogardliwym wzrokiem i krzyczy, chcąc, aby wszyscy usłyszeli:

- Przed kim tak uciekasz, jak kura przed lisem, ty, obywatel Rzymu i żołnierz legionów?

Żołnierz zaczyna cicho szlochać, potrząsając głową.

Cezar przypomina sobie, jak Krassus kazał dziesiątkować legiony, jak widmo śmierci sprawia, że odwaga odradza się na nowo. Wyciąga miecz.

Kobiety lamentują i błagają go o litość. Mówią jedna przez drugą.

- Piraci porwali dziewczęta, dzieci, młode kobiety! - wołają. - Spadli na nas jako stado sępów. Było ich tylu, że ich żagle całkiem zakryły horyzont. Przyplłynęli, wymordowali



naszych żołnierzy i marynarzy, wyważyli drzwi domostw i przechwycili wszystkie okręty stojące na kotwicy w porcie. Załadowali na okręty cały nasz dobytek, porwali nasze dzieci, co nam pozostało, jeśli nie uciekać w stronę Rzymu?

Podchodzi starzec i wznosi pięść.

- Walczyłem z piratami pod wodzą Antoniusza, popłynęliśmy aż na krańce morza, do ich grot, a teraz, gdy jestem stary, oni przyplływają tutaj. Porwali moją córkę! Hańba Rzymowi. Hańba mojemu miastu i wszystkim, którzy nim rządzą, hańba senatowi i wodzom, którzy dopuszczają do tego, że piraci mogą wydrzeć mi serce, mnie, obywatelowi Rzymu, w moim własnym domu, w Ostii!

Cezar opuszcza ramię i trzymając miecz w dłoni, słucha. Wszyscy chcą opowiedzieć, jak wyglądał najazd piratów na port w Ostii. Pojawiają się oni na wybrzeżu już od wielu miesięcy, napadają na powozy na Via Appia czy Via Aurelia, porywają bogatych Rzymian z ich willi nad morzem. Ale nigdy dotąd nie ośmielili się wejść do portu rzymskiego.

- Ostia! - ciągnie żołnierz. - Zostaliśmy pobici, ale było ich mnóstwo!

- Dokąd idziecie? Nazywam się Gajusz Juliusz Cezar, pokonałem piratów. Znam tę plagę. Oni teraz nie wrócą przez wiele miesięcy. I przysięgam wam na bogów, że wydobędę od senatu siły potrzebne do wytępienia tego przekleństwa! Wracajcie do swych domów, obywatele.

Tłum powoli zaczyna odpływać.

Powraca do Rzymu. Jak to możliwe, żeby największe miasto świata tolerowało taką bezczelność u swoich bram? A do tego ci piraci przyplływają z drugiego krańca Morza Śródziemnego, gdzie przecież także panuje Rzym! Jest oburzony. Republika jest chora, skoro znosi takie upokorzenia.

Przemierza ulice, zatrzymuje się na Forum. Te same wyzwiska, bójki, może nawet jeszcze ostrzejsze. Ceny wszystkich produktów, zboża czy tkanin, niepomierne wzrosły.

Spotyka się z Serwilią u niej w domu.

- Okręty kupieckie nie wypływają w morze - tłumaczy mu Serwilią. - A te, które się odważą, są atakowane i zatapiane przez piratów. Wszyscy tutaj o tym wiedzą, lecz senat jest podzielony. Myślą o swoich ambicjach i karierze, a nie o losach Rzymu.

Serwilią jest jeszcze bardziej kochająca, niż ją pozostawił. Cezar ma do niej tyle samo zaufania co do matki.

- Moja własna ambicja jest córką Rzymu - mruczy Cezar. Serwilią zbliża się do niego.

- Tak samo mówią oni wszyscy. Głoszą, że chodzi im o dobro republiki i chwałę

miasta. Ale naprawdę są jak dzikie wygłodniałe bestie, które rozszarpują się nawzajem.

Cezar może to sobie wyobrazić, ale wolałby, żeby Serwilią zamilkła i położyła się przy nim, zamiast mówić o tych szakalach, które uważają się za lwy. Jest oczywiście Krassus, który nie marzy o niczym innym jak tylko o pokonaniu Pompejusza, a z kolei oni dwaj chcą podporządkować optymatów i w tym celu schlebiają plebsowi. Jest Cynceron, najzręczniejszy mówca, który marzy o tym, aby zostać konsulem, i który stał się mającym największy posłuch w senacie obrońcą arystokracji. I są jeszcze ci czujni agitatorzy, którzy nawet nie starają się ukrywać, że nade wszystko spragnieni są bogactwa, że chcą zdobyć władzę, aby dzięki niej dojść do majątku. Wykorzystują oni nastroje plebsu i gotowi są mu wszystko obiecać. Służyli Sulli. Mordowali w jego imieniu, a teraz, kiedy się wzbogacili kosztem swoich ofiar, zabijają, aby utorować sobie drogę do władzy. Nazywają się Klodiusz i Katylina. Oni także twierdzą, że występują w imieniu Rzymu, ale gotowi są rządzić choćby i na ruinach miasta.

Cezar wstaje, przechadza się po rozległych ogrodach willi Serwili. Czasami spotyka tu Katona, który trzyma się na dystans, okazuje wrogość, a nawet pogardę. Ale jakie znaczenie mają uczucia przyrodniego brata Serwili! Cezar kocha to miejsce, ponieważ kocha tę kobietę.

Widzi, jak ona się zbliża. Jej uśmiechnięta, pogodna twarz wyraża dumę. W pierwszej chwili nie poznaje pary młodych ludzi po obu stronach Serwili. Po jej prawej ręce nastolatka o długich włosach, która spuszcza wzrok, fałdy tuniki pozwalają domyślać się pod spodem ciała jędrnego i gładkiego. To Tercja, córka Serwili. Pozostawił ją jeszcze dzieckiem, ale teraz jest już młodą dziewczyną. Czuje się zaskoczony, gdy Serwilia popycha córkę w jego stronę, jakby mu ją ofiarowywała. Niepokoi go to ciało, muskające go lekko, dziewczyna ma jedwabiste włosy i taką świeżą skórę.

Odsuwa się, patrzy teraz na stojącego po lewej stronie matki chłopca. Rysy Marka Brutusa są jakby jeszcze nie wykształcone do końca, zawieszane pomiędzy dumą a wyzwaniem i Cezar ma wrażenie, że w stosunku do jego osoby Brutus waha się pomiędzy podziwem, czy nawet czcią, a buntem.

Podchodzi do niego, ogarnia go silne wzruszenie, gdy dotyka ramion i muskularnego torsu chłopca. A może ten młodzieniec jest jego synem? Czy kiedykolwiek się tego dowie? Trzyma go długo w uścisku.

- Powinieneś wiedzieć, chcę ciebie wybrać na syna. Czuje, jak Marek Brutus drży, potem się poddaje.

- Ty i ja wywodzimy się z początków Rzymu - kontynuuje Cezar. Bierze Brutusa za rękę i zmuszając go, aby przy nim usiadł, obejmuje ramiona chłopca.

Serwilia i Tercja usiadły naprzeciwko nich na ławeczce.

- Adoptując cię, Brutusie, łączę dwa korzenie Rzymu. Moi przodkowie byli bogami i królami, twój zaś przodek, Brutus, obalił monarchię i w trosce o sprawiedliwość ustanowił republikę trzydzieści pokoleń temu. Ty, mój synu, i ja powinniśmy stale myśleć o połączeniu obu tych tradycji Rzymu. Ja posłużę ci za przewodnika.

Cezar czuje, że Brutus sztywnieje. Uśmiecha się.

- Sam możesz wybrać swoją drogę, Brutusie. I powinienes to zrobić, ale wiedz, że ta droga zaprowadzi cię do mnie. Gdyż moja droga jest tą, która prowadzi do chwały Rzymu. A ty przecież także dążysz do tego celu. - Cezar wstaje. - Droga jeszcze długa - konkluduje.

Każdego dnia przekonuje się, że jeszcze nie ma dość siły, aby zmierzyć się z tymi, których musi pokonać, jeśli chce dotrzeć na szczyt władzy. Jest tylko byłym kwestorem, najpokorniejszym, najmniejszym z senatorów. Nie ma sławy Pompejusza ani pieniędzy

Krassusa, ani popularności Cyclerona, ani band agitatorów i siepaczy na swoim żołdzie jak Klodiusz i Katylin.

Czuje jednak do siebie zaufanie, tym większe, im słabsze są jego siły. Bogowie chcą, żeby się czymś wykazał, bogowie chcą go wypróbować, zanim mu dopomogą. Jest mu pisane panowanie nad światem - orzekli wróżbici. Musi okazać się godny tych przepowiedni.

Jest jeszcze słaby? Zgoda. Trzeba więc użyć podstępów i zręczności. Oczarować tych, których nie da się pokonać, a twierdze, których nie udało się zdobyć, otoczyć!

Na początek musi się znów spotkać z tymi wszystkimi ujmującymi małżonkami. Żona Pompejusza, Mucja, zwierza mu się, że jej mąż chce objąć dowództwo legionów walczących z Mitrydatesem. Tylko czy senat się zgodzi? Senatorowie wołają jako wodza Lukullusa, nieudacznika spragnionego sławy i rozkoszy, który za każdą bytnością w Rzymie wydaje uczy tak zbytkowne, że nikt sobie czegoś podobnego dotąd nawet nie wyobrażał.

- Poprzyj Gnejusza Pompejusza, a on poprze ciebie - zapewnia Mucja.

Czy ona mu się oddaje, chcąc się przysłużyć mężowi? Zdradza męża po to, aby każdy z jej kochanków został sojusznikiem imperatora?

Cezar obiecuje swoje poparcie. Obiecuje je także Tertulli, żonie Krassusa. Lecz najpierw musi ją pieścić, sprawić rozkosz tej nienasyconej kobiecie, która wciąż przechodzi od jednego ciała do drugiego, chciałaby posiadać wszystkich napotykanym mężczyzn, chciałaby od zmierzchu do świtu nieustannie jęczeć z rozkoszy.

Może każdemu ze swych kochanków mówi, że jest dla niej tym jedynym niezapomnianym?

Cezar istotnie chciałby, żeby o nim pamiętała, żeby uzyskała dla niego od Krassusa nowe pożyczki, gdyż jego długi narosły, a dochody z kwestury w Hiszpanii są już jedynie wspomnieniem.

Patrzy na nią z pogardą. Mucja maluje się, perfumuje, czesze, mówi:

- Krassus ma do ciebie zaufanie. - Wyciąga do niego rękę. Nie śmieje się, lecz chichocze, jakby gdała. - Ale on ma tylu petentów, co ja adoratorów. - Zamyka powieki, odchyła głowę do tyłu. - Ty, Gajuszu Juliuszu Cezarze, jesteś jedynym, o którym z nim rozmawiam.

Cezar nie daje się nabrać. Nie może być zależny od dobrej woli Tertulli i Krassusa. Oczywiście, na Krassusa, podobnie jak na Cyncerona, Pompejusza, Katylinę czy Klodiusza można wpłynąć; można każdego z nich otoczyć siecią sojuszy albo powstrzymać, ale do tego, aby ich zwyciężyć, trzeba czegoś więcej niż zręczność, podstęp czy poparcie ich żon.

Nie opowiada nic matce. Wie jednak, że Aurelia Kotta przenika jego milczenie, że wystarczy jej spojrzenie, aby odgadnąć, co on czuje.

Dziwi go jednak jej postawa od czasu, gdy wrócił do Rzymu. Z początku bał się, że będzie mu robiła wyrzuty, iż zbyt szybko opuścił swój urząd. Nie odważył się jej też opowiedzieć o swym śnie i przepowiedniach wróżbitów.

Jednak pewnego dnia Aurelia Kotta powiedziała do niego:

- Musisz wznieść się wyżej, a wtedy będziesz mógł się oddalić z Rzymu. Z wysokości, na jaką się wzniesiesz, nie będziesz nigdy tracił Rzymu z oczu.

A więc podziela ona jego pogląd: nie powinien opuszczać Rzymu, dopóki nie otrzyma stanowiska propretora albo prokonsula.

Potrzeba mu więc pieniędzy i poparcia. Trzeba zostać sojusznikiem wszystkich tych, którzy się liczą, wygrywać Pompejusza przeciwko Krassusowi i odwrotnie, posłużyć się Katyliną i Klodiuszem, a także tym trybunem ludowym Aulusem Gabiniuszem, który jest zausznikiem Pompejusza.

Trzeba więc nawiązać ponownie stosunki z żoną Gabiniusza Lolią i w ten sposób zbliżyć się do Pompejusza, związać się z nim i dać do zrozumienia, że chce się go poprzeć.

Wie jednak dobrze, że to nie wystarczy.

Powraca do willi w Suburze. Zatroškany ściska ramię Emiliusza, narzekając, że trzeba jeszcze czasu.

Matka zbliża się do niego szybkim krokiem, jakby wróciła jej dawna żywość ruchów, jej oczy błyszczą. Aurelia odsyła Emiliusza. Cezar czuje, jak jej koścista ręka ściska go za ramię.

- Ożenisz się, Juliuszu - mówi.

Prowadzi go za sobą. Wyjaśnia mu, że udało jej się przekonać dawnego konsula Kwintusa Pompejusza Rufusa, aby oddał swą córkę Pompeję rodowi Juliuszów, a osobiście - Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi.

- Przyszłość należy do ciebie i oni wszyscy o tym wiedzą - szepcze Aurelia Kotta. - Pompeja wniesie ci w posagu pieniądze. Oni są bogaci. Są arystokratami. I jest ona - matka zawiesza głos i uśmiecha się - wnuczką Sulli.

Zdaje jej się, że wyczuwa u niego zdziwienie albo nawet niechęć.

- Sulla chciał cię zabić? Ale ty mu się oparłeś - kontynuuje. - Jesteś bratankiem Mariusza i poślubiłeś Kornelię Kottę. Miałeś odwagę przypomnieć imię Mariusza na pogrzebie twojej ciotki. Nikt nie wątpi w twoje zaangażowanie po stronie plebsu. Ale należysz do nobilów rzymskich, potrzebujesz poparcia także z ich strony. Ty powinienes być tym, który łączy. - Otacza jego szyję ramieniem. - Jeszcze nie jesteś dość silny, aby ich zmusić do posłuszeństwa. Gdy ożenisz się z wnuczką Sulli, twego dawnego wroga, człowieka, który walczył o zwycięstwo optymatów, to ich tym zaskoczysz. Kto chce zwyciężać, musi mieć sojuszników wszędzie! Wolno ci zrywać, Gajuszu Juliuszu Cezarze, tylko z tymi ludźmi, których możesz zabić. Ale gdy już nie żyją, to nawet i z nich powinienes sobie robić sprzymierzeńców.

## **Rozdział 16**

Nawet Cynceron... pretor, który broni nobilów przeciwko plebsowi, wygłasza *mowę na cześć Pompejusza*)

Biorąc Pompeję za rękę i zbliżając się z nią do ołtarza larów, Cezar przypomina sobie Kornelię i ich ślub w tej samej willi w Suburze, a także, jak wiele od tamtej pory minęło czasu: jego córka Julia, zrodzona z tamtego małżeństwa, dziś sama mogłaby już wyjść za mąż.

Na nią właśnie patrzy Cezar. Jest podobna do swej matki. Ma podobnie regularne rysy, bardzo wysokie czoło, smukłą szyję. Trzyma się blisko swej babki w pierwszym rzędzie gości zgromadzonych w willi.

Cezar nie słucha przepowiedni udzielającego ślubu wielkiego kapłana Metellusa Piusa. Wszystko w jego słowach jest takie, jak można oczekiwać. Przypomni pochodzenie obu rodzin i w osobie Gajusza Juliusza Cezara powita jednego z członków kolegium

kapłańskiego. Następnie wezwie Fortunę, aby czuwała nad nowym małżeństwem.

Oczami przebiega tłum gości zebranych w atrium i w ogrodzie. Spieszno mu zakończyć tę ceremonię i przywitać się z każdym z obecnych. To właśnie jest ważne w małżeństwie, a nie uczucia.

Patrzy na Pompeję. Czuje wobec niej jedynie obojętność z niewielką domieszką ciekawości. To młoda dziewczica i Cezar uczyni z niej kobietę być może nie bez przyjemności. Nie widzi jednak w jej oczach żadnego ognia, niczego, co by go pociągało, ani wstydlivosti, którą należałoby pokonywać siłą - co zresztą sprawiłoby mu przyjemność, ani błysku perwersji czy ekscytującego wyzwania pod jego adresem. Ciało tej kobiety nie jest zupełnie bez wdzięku. Zostaje ona jednak jego żoną, dlatego że jej posag pozwala już dziś, jeszcze przed ceremonią ślubu, spłacić najbardziej rozsierdzonych wierzycieli, dzięki czemu będzie można pożyczać od nowa.

Cezar wie, że będzie potrzebował coraz więcej pieniędzy.

Otrzymał urząd kuratora Via Appia, drogi najbardziej uczęszczanej przez Rzymian pragnących przejść przez miasto albo udających się z Rzymu do Kapui. Będzie oceniany wedle tego, w jakim stanie ją utrzyma, czy zastąpi brakujące kamienne płyty, które codziennie wyrywane są kołami wozów. Już postanowił, aby ustawiono posągi Wenus, a także popiersia Mariusza i Cynny oraz rozebrano resztki ostatnich krzyży upamiętniających mękę sześciu tysięcy niewolników z powstania Spartakusa. Będzie musiał opłacić ze swej kieszeni wszystkie te roboty, a także i inne, które planuje. Chciałby na przykład w regularnych odstępach rozmieścić studnie z wodą i zasadzić tak wiele pinii, aby ich cień okrywał drogę jak rok długi.

Cezar puszcza rękę Pompei. Pozostawia dziewczynę Aurelii Kotcie i Juliuszom, swojej rodzinie, wszystkim kobietom, które się wokół niej zebrały. Jest wśród nich wiele takich, których ciała i których występki miał okazję poznać bliżej. Podchodząc do Pompei, rzucają mu teraz porozumiewawcze spojrzenia. Patrzy w ich twarze bez zmrużenia oka. To świat pozorów. Kobiety te są mężatkami, choć ich mężowie najmniej może znają pragnienia swych żon. Ale ci senatorowie, ekwici, urzędnicy wiedzą wszystko o niewierności swych kobiet. Każdy wie o wszystkim, a udaje coś przeciwnego.

Cezar wchodzi w środek tłumy gości z nieprzeniknioną miną, ale ma wrażenie, że gdzieś w środku wszystko trzęsie się w nim ze śmiechu.

Składają mu życzenia, goście przechadzają się pod rękę w cieniu pinii, po wysadzanych cyprysami alejach ogrodu, wyglądają przy tym jak najlepsi przyjaciele, podczas gdy naprawdę przepelnia ich zazdrość i nienawidzą się nawzajem. Niektórzy - ci ekwici,

finansiści Krassusa - trzymają innych w swoich szponach, ponieważ są ich wierzycielami. Wszystko można kupić...

Wita tych finansistów przyjaźnie, a nawet wylewnie. Dobrze wie, że podjęcie robót przy Via Appia nie wystarczy, aby go wybrano na edyla kurulnego. A do tej funkcji dąży, gdyż da mu ona okazję budować w Rzymie pomniki, odnawiać, upiększać targi, na każdym kroku pokazywać plebsowi, czego potrafi dokonać Cezar i jak mu służy.

Najpierw jednak trzeba zostać wybranym, to znaczy wydać tysiące sesterców na wyborców, a potem sfinansować roboty, które należą do zakresu obowiązków edyla kurulnego.

Co mógłby zrobić urzędnik bez majątku?

Cezar uśmiecha się: chyba tylko ktoś bardzo naiwny mógłby sobie wyobrazić, że można zostać wybranym na urząd, nie przekupując wyborców!

Tak wygląda republika! Pozory! Nie można dać się im zwieść. Nigdy! Toteż nie ma znaczenia, że go krytykują, oskarżają o nadmierne przepłacanie plebsu, aby zdobyć jego przywiązanie - kto nie chciałby tego robić? - albo, jak mu doniósł Emiliusz, że mówią, iż nie ma w Rzymie nikogo, kto bardziej od niego byłby skłonny do schlebienia i nadszkiewania ludziom najmniej godnym szacunku. Któż nie szuka przymierza z możliwymi tego świata?

Bierze gości w ramiona, ściska ich jak najlepszych przyjaciół, niemal jak braci.

To także pozory.

Wszystko jest wykalkulowane.

Uśmiecha się do Lolii, której każdy kawałeczek skóry dobrze zna. Przyszła pora, aby przyjemność, jaką jej daje i jaką także z niej czerpie, zaowocowała korzyścią. Podchodzi, wita się z nią, a ona natychmiast się oddala, pozostawiając go, tak jak sobie życzył, sam na sam z jej mężem trybunem, Aulusem Gabiniuszem.

Cezar gardzi tym człowiekiem o prostackiej twarzy, szorstkich ruchach i donośnym głose. Ale Krassus zapewnia, że Pompejusz płaci Aulusowi Gabiniuszowi, aby ten załatwił przegłosowanie prawa dającego imperatorowi nadzwyczajne uprawnienia. Aby rozprawić się z piratami, Pompejusz obejmie na trzy lata dowództwo na wszystkich morzach z 25 legatami, których sam sobie wybierze. Pod jego komendą będzie 500 okrętów, 120 000 piechoty i 50 000 jazdy. Pompejusz będzie także miał prawo kontrolowania wszystkich wybrzeży na odległość dziesiątek tysięcy kroków w głąb lądu. Uprawnienia takie pozwolą mu zaprowadzić pokój na morzach, zostać prawdziwym monarchą!

- Ja będę głosować za waszą ustawą - mamrocze Cezar, ledwie otwierając usta.

Jako były kwestor jest przecież członkiem senatu. Miał okazję widzieć, jak bardzo

optymacy wahają się z przyznaniem tego, czego od nich żąda Gabiniusz. Potrzebują oni Pompejusza jako przeciwwagi Krassusa, Katyliny, Klodiusza, na wypadek zagrożeń wiszących nad Rzymem. Schlebiają zwycięskiemu wodzowi. Ale jeśli przyznają mu na trzy lata tak wielkie uprawnienia, to co pozostanie z ich władzy? Rzym przestanie być ich republiką i stanie się monarchią.

- Głosuję - powtarza Cezar.

Aulus Gabiniusz ujmuje go za ramię ponad łokciem, rzuca silnym głosem:

- Ja ich wszystkich do tego zmuszę! Gdy zajdzie potrzeba, odwołam się do ludu!

Cezar półgłosem go uspokaja: senatorowie się ugną. Zagrożone są bowiem interesy Rzymu, Rzym nie może pozwalać się ośmieszać. A plebs wznieci powstanie, protestując przeciwko zbyt wysokim cenom zboża.

Gabiniusz podnosi głos.

- I trzeba będzie także skończyć z Mitrydatesem, a jeden tylko Wielki Pompejusz będzie umiał z nim zwyciężyć!

Cezar zgadza się, odchodzi.

Wie, że Maniliusz, kandydat do sukcesji po Gabiniuszu na urzędzie trybuna ludowego, przygotował już *rogatio*, projekt ustawy *lex Manilia*, wyznaczającej Pompejusza, aby z chwilą, gdy pokona on piratów, zastąpił Lukullusa na czele legionów. Będzie on mógł prowadzić wojnę tak, jak zechce, i rządzić prowincją Azją obejmującą królestwo Pontu, Bitynię oraz Cylicję.

Kto wówczas będzie mógł przeciwstawić się Pompejuszowi, prawdziwemu władcy, dowódcy legionów? I czy z senatu i z republiki zostanie coś więcej niż pozory?

Cezar wie, że Emiliusz jest zaniepokojony tak silną pozycją Pompejusza: nie dość, że ma on poparcie plebsu, w którego łaski stara się wkraść, że przekupił także trybunów ludowych, to jeszcze na dodatek dysponuje siłą swoich legionów.

Woli jednak milczeć. Nie należy odsłaniać, nawet przed bliskimi, istoty swoich myśli. Nie powinni wiedzieć, że sięga się wzrokiem dalej, niż oni to sobie wyobrażają.

Toteż Cezar stoi ze skrzyżowanymi ramionami i pozwala Emiliuszowi mówić. Młodzieniec opowiada, że Pompejusz czeka już w swojej willi w Albano, aż ustawa Gabiniusza - *lex Gabinia* - zostanie przegłosowana, aby objąć natychmiast dowództwo floty pięciuset okrętów. Wyzaczył już swoich dwudziestu pięciu legatów. Pewien jest przegłosowania ustawy. Potem kupi sobie *lex Manilia*. A bandy Gabiniusza są już gotowe, aby nauczyć rozumu senatorów, gdyby ośmielili się poprzeć przeciwny pogląd.



Jeden z senatorów, który powiedział: Jeśli Pompejusz chce odgrywać rolę Romulusa, niech się spodziewa, że skończy jak Romulus”, został poturbowany, więc inni zamilkli, nawet jeśli dzielają po cichu pogląd, że każdy, kto chce zostać królem Rzymu, musi umrzeć, ponieważ władza musi pozostać w ich rękach.

- Pompejusz przeciera mi drogę - mruczy Cezar.

Wolałby, aby Emiliusz tego nie dosłyszał. Rzuca spojrzenie na swego sekretarza, lecz ten wydaje się całkowicie pochłonięty swoimi myślami, pełen obaw, i spaceruje ze spuszczoną głową.

Może rzeczywiście nie usłyszał... Chyba że on także zachowuje pozory! I może zrozumiał, że należy być sojusznikiem Pompejusza?

Cezar głosuje w senacie tak, jak przyrzekł: za *lex Gabinia* w sprawie piratów i za *lex Manilia* w sprawie wojny z Mitrydatesem. Gabiniusz musiał dla przegłosowania swojej ustawy ustawić pod senatem uzbrojony i rozwrzeszczany tłum.

Jednak z chwilą nominacji Pompejusza ceny zboża w Rzymie spadły. Wiadomo, że pokona on piratów, ponieważ dysponuje ogromnymi siłami. Nawet Ciceron, orator tak bardzo wychwalany przez optymatów, pretor, który broni interesów nobilów przeciwko plebsowi, wygłasza mowę na cześć Pompejusza!

Szybko nadchodzą wieści, że Pompejusz kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa, że umie okazać łaskę dla schwytanych piratów, których osiedla na lądzie, żeby zostali rolnikami. Wszystkie miasta, jak mówią posłańcy, witają go jako triumfatora.

„Im bardziej umiesz być człowiekiem, tym bardziej stajesz się bogiem!” - zawołano do niego w Atenach podczas obchodów na cześć jego sławy i jego boskiej wielkości.

- Pompejusz jest coraz bardziej potężny - mówi Emiliusz. - A każdy następny dzień przynosi mu zwycięstwo. Będzie w Rzymie królem, kiedy tylko zechce.

- Jest daleko od Rzymu - odpowiada Cezar.

Trzeba skorzystać z jego nieobecności, posłużyć się jego sławą i ambicjami, owym nieograniczonym *imperium*, które Pompejusz uzyskał, chcąc osłabić senat. Powstał w ten sposób precedens, na który będzie można się w przyszłości powołać. Trzeba też pozostać blisko niego, ponieważ jest teraz najpotężniejszy, można go wykorzystać jako taran - tak jak robią to żołnierze legionów, gdy rozbijają bramy i mury obleganych warowni.

- On mi pomaga - twierdzi Cezar. Zawraca razem z Emiliuszem. - Jestem jego sojusznikiem - powtarza. - Nic nie może mnie poróżnić z Pompejuszem. - Czuje, że wbrew sobie nie może się powstrzymać od uśmiechu. - Nic takiego, o czym on wie.

Emiliusz odetchnął. Nie jest człowiekiem zdolnym do podstępów i meandrów.

Pompejusz jest prawdziwym rywalem Cezara, chciałby więc mu stawić czoło. Cezar patrzy na niecierpliwego młodzieńca, który pozwala się ponieść emocjom. Emiliusz zanadto wierzy w potęgę i w przyszłość Pompejusza. Jego chęć, aby zaraz, natychmiast z nim walczyć, paraliżuje go.

- Siła przeciwnika może stać się naszą słabością - mówi Cezar.

Senatorowie ugięli się, z żalem wyzbywając się władzy, jaką Gabiniusz i Maniliusz przekazali Pompejuszowi. Nie należy popierać senatorów, ale skoro oni są zaniepokojeni ambicjami Pompejusza, to mogą być użyteczni.

I jest też jeszcze Marek Krassus, wściekle zawistny o sukces Pompejusza, o jego władzę, o zwycięstwa, zdecydowany złamać tę resztkę siły senatu i korzystając z nieobecności Pompejusza, samemu zostać dyktatorem.

Cezar składa mu wizytę w jego luksusowej willi. Krassus otoczony jest kilkoma młodymi nobilami. Są mu posłuszni, ponieważ ma ich wszystkich w kieszeni. Cezar domyśla się, że ten człowiek siedzący w cieniu to Katyлина: chciwiec i dawny zabójca w służbie Sulli.

Trzeba słuchać Marka i pozwolić mu wierzyć, że milczenie oznacza zgodę. Krassus go namawia:

- Będziesz znowu przy mnie. Zostaniesz moim dowódcą jazdy, moim zastępcą, powierzę ci podbój Egiptu. Pomyśl tylko o Egipcie, Gajuszu Juliuszu Cezarze, to spichlerz, staw pełen ryb, ty będziesz tam panem, a ja będę dyktatorem w Rzymie na jego chwałę!

Mówi coraz odważniej. Powtarza, że chce zmniejszyć senat, zabić obu konsulów i tych senatorów, którzy są do niego wrogo nastawieni. Trzeba działać szybko, 1 stycznia 65 roku, jeszcze przed powrotem Pompejusza.

Cezar odchodzi. Przyrzekł dać sygnał dla zamachowców, podciągając wyżej na ramię połą swoją togi.

Wolno spaceruje po ogrodzie willi. Nie powinien dać się wciągnąć za daleko w grę Krassusa, musi myśleć wyłącznie o swoim interesie i stosownie do niego podejmować decyzje. Każdy ruch trzeba przemyśleć i wykalkulować.

Stanie u boku Krassusa przeciwko senatowi i Pompejuszowi, ale nie będzie się narażał na ryzyko przegrania wraz z nim, jeśli walka ta zakończy się niepowodzeniem.

1 stycznia Cezar udaje się do senatu. Spostrzega jednak wzmocnioną straż wokół obu konsulów i senatorów, którzy mieli pierwsi paść ofiarą zamachowców. Ktoś z otoczenia Krassusa musiał donieść...

Milczy, kiedy senatorowie oskarżają o spisek Krassusa i domagają się dochodzenia,

które wyjaśniłoby, kto należał do spisku.

Wówczas wstaje trybun ludowy, człowiek opłacany przez Krassusa. Sprzeciwia się, przypomina, że posiada władzę pozwalającą mu zakazać senatowi podejmowania jakichkolwiek kroków. Żadnego dochodzenia! - woła. I grozi, że wezwie plebs, aby poparł jego żądanie, gdyż prawo takiego zakazu należy do prerogatyw trybuna.

Cezar opuszcza senat. Jest już pewien, że zamach Krassusa się nie udał. Nie warto mu dalej pomagać i się narażać. Roztropność i zręczność to co innego niż tchórzostwo!

5 lutego to nowa data wybrana na zamordowanie konsulów. Cezar jednak nie wykonuje żadnego gestu. Patrzy na zabójców, jakby ich w ogóle nie znał. Nie podniesie poły swej togi, nie da umówionego sygnału.

Chwila do działania jeszcze nie nadeszła.

Krassus i Katylina nie mogą teraz zwyciężyć. Ale można się posłużyć nimi i ich groźbami, wykorzystując ich jak broń i jako straszak. Oni osłabiają senat i Pompejusza.

Cezarowi przypomina się zdanie, które często powtarzała mu matka: Jeśli nie masz jeszcze dość siły, aby kogoś pokonać, to zostań jego sojusznikiem”.

Będzie więc sojusznikiem Pompejusza. Pozostanie także współnikiem Krassusa przeciwko Pompejuszowi. Ponieważ on musi dopiero stopień za stopniem wspinać się w stronę szczytu, na którym obaj rywale już się znajdują.

Udaje się na komicjum. Wygłasza mowę do ludu, obiecuje igrzyska, pomniki, walki gladiatorów. Spozstrzega Emiliusza, który rozdaje pieniądze.

Wszystko jest gotowe. Ma trzydzieści pięć lat, zostanie edylem kurulnym.

## ***Rozdział 17***

Ale Egipt jest naprawdę perłą, spichlerzem. Pełno tam złota i zboża.

Cezar widzi już gladiatorów pośrodku areny. Jest ich tak wielu, że prawie nie widać białego piasku, który niedługo wchłonie przelaną przez nich krew.

Zbliża się. Tłum na trybunach Circus Maximus wrzeszczy. Chodzi o to, żeby ci ludzie dowiedzieli się i zapamiętali, że to on, Gajusz Juliusz Cezar, edyl kurulny, ofiarowuje im te igrzyska, które będą trwały przez dwa tygodnie dzień i noc: te wszystkie walki, wyścigi rydwanów, polowania, tańce, śpiewy i przedstawienia!

Trzeba ich tak olśnić, żeby nigdy nie zapomnieli imienia Gajusza Juliusza Cezara i żeby nie znali imienia drugiego edyla, Marka Kalpurniusza Bibulusa, który już się uskarża, że

pozostawia się go w cieniu. Odchodzi, powtarzając z uśmiechem wykrzywającym jego krągłą twarz: „Podobnie jak świątynia poświęcona bliźniętom Kastorowi i Polluksowi nazywana jest zawsze świątynią Kastora, tak o igrzyskach wydanych przez Cezara i Bibulusa zawsze się mówi jako o igrzyskach samego tylko Cezara”.

Czy Bibulusowi się zdaje, że można się równo podzielić sławą i ambicjami: połowa dla niego, a druga połowa dla Gajusza Juliusza Cezara?

Cezar pozdrawia tłum, potem odwraca się do Emiliusza. Niech przedefilują słonie, trzeba pokazać lwy, żeby gawieź napasała oczy do syta i żeby te igrzyska, uroczystości poświęcone Wielkiej Macierzy Bogów, Kybele, pozostały w pamięci ludu jako najpiękniejsze, najwspanialsze i najkosztowniejsze w całej historii Rzymu.

I niech wiedzą, że Cezar dedykuje je pamięci swego ojca, Gajusza Juliusza. Widzi, że Emiliusz staje mu na drodze. Niebezpiecznie jest przebywać na arenie tuż obok gladiatorów, którzy skazani są na śmierć, mogą się zbuntować jak Spartakus i zanim zostaną zabici, zabić swoich panów.

Cezar odsuwa go jednym gestem. Chce podejść jeszcze bliżej. Czuje już woń tych ludzi. Widzi ich muskuły, ich błyszczącą od oliwy skórę. Chciał, aby mieli srebrne pancerze i najpiękniejszą broń w całym Rzymie. Srebro i broń roztacza blask, który olśniewa gawieź. Zapamiętają to sobie! W porównaniu z tym faktem cóż znaczy, że aby zapłacić za te pancerze, tarcze, hełmy, trójzęby, miecze i skórzane nagolenniki, musiał znowu się zapożyczyć u Krassusa i bankierów z jego otoczenia. Pożyczyli mu tysiące talentów, ponieważ stawiają na jego sukces i na popularność, jaką mu taka rozrzutność zapewni u plebsu.

Jest już o krok od pierwszej pary gladiatorów. Jest tych par trzysta dwadzieścia, więcej niż kiedykolwiek Rzym mógł zobaczyć w jednych igrzyskach! To więcej niż kohorta żołnierzy! Wystarczyłoby ich na to, aby wziąć szturmem Kurię i przejąć władzę. I tego właśnie obawia się senat... Katon, Cynceron i Katulus zażądali, aby ograniczyć liczbę gladiatorów, którym wolno jednocześnie przebywać w Rzymie. Musiał się więc zadowolić tylko trzystu dwudziestoma parami.

Cezar muska torsy tych ludzi. Doświadcza przyjemności bardziej intensywnej i palącej, niż gdyby ofiarowywało mu się nagie ciało. Rozkosz ta jest równie dojmująca jak ból, ponieważ wie, że niektórzy z tych ludzi mają chęć rzucić się na niego i go zabić. Ale coś ich powstrzymuje. Nie są zdecydowani. Nieczęsto spotyka się ludzi potrafiących odrzucić istniejący porządek rzeczy i popełnić świętokradztwo.

Zatrzymuje się. Zmusza tych ludzi, by spuścili wzrok.

On jest wolny! Może zostać, kim zapragnie! Oni zaś są gladiatorami przeznaczonymi do tego, aby zginąć na arenie. Kupił ich tak samo, jak kupił dzikie zwierzęta, mają sobie nawzajem wypruwać wnętrzności, służąc jego chwale, chwale Gajusza Juliusza Cezara!

A teraz, niech się te walki, igrzyska poświęcone Jowiszowi, Kybele, Junonie, Minerwie i Wenus, nareszcie rozpoczną!

Niech gladiatorzy zarzynają się nawzajem, a ich ciała niech zostaną rzucone drapieżnikom!

Przebiega go dreszcz, kiedy słyszy wycie tłumu przetaczające się przez cały amfiteatr i zalewające wszystko jak potężna czerwona fala.

Teraz już jest pewien, że plebs tego nie zapomni.

Kiedy przechodzi ulicami Subury albo gdy udaje się do Kurii, ludzie podążają za nim, otaczają go, wnoszą okrzyki na jego cześć. Wysłuchuje ich prośb, przestróg i pochlebstw. Te wszystkie słowa są jak morze, które go unosi i pozwala poruszać się do przodu, ale on musi być jak dziób okrętu, który nie pozwala, aby zatrzymały go fale.

Wkracza do senatu. Odwracają się w jego kierunku, obserwują go. Boją się go. Myślą, że może podburzyć plebs. Przypuszczają, że maczał palce w spisku Krassusa, ale nikt nie ośmiela się go oskarżyć wprost. Mówią coś do siebie, potem spuszcza wzrok. Pierwszy raz w życiu może się tak rozkosznie napawać strachem i lękiem, jaki wzbudza. Trzeba ten moment wykorzystać!

Pompejusz nadal przebywa z dala od Rzymu. Toczy z powodzeniem wojnę przeciwko Mitrydatesowi. Kiedy powróci w glorii chwały i zwycięstw, senat będzie mógł się nim posłużyć. Cezar musi więc zgromadzić jak najwięcej przed jego powrotem.

A w tym celu trzeba ludowi dać coś więcej niż same uroczystości i igrzyska.

Przechodzi przez Forum. Chce, aby przed komicjum, tam, gdzie gromadzi się plebs, wzniesiono portyki. Niech wiedzą, że szanuje ich głosy.

Wchodzi na Kapitol. U jego stóp leży miasto spowite gęstą mgłą emanującą z ciepła setek tysięcy ciał ludzkich. Większość obywateli pogrążona jest w nędzy i żyje tylko dzięki rozdawaniu zboża za darmo. Mogą oni zapomnieć o zwierzęcych warunkach swej egzystencji tylko dzięki monumentalnym budowlom, w cieniu których wegetują, ale które dają im poczucie piękna i wielkości, oraz dzięki igrzyskom, w trakcie których widzą, jak umierają ludzie jeszcze bardziej od nich naznaczeni przez los. To ich fascynuje i podnieca.

Ci nędzarze, obywatele Rzymu posiadający prawo głosu, dysponują jednak potężną władzą! Na nich także należy się opierać.

Daje rozkaz, aby na Kapitolu wzniesiono ponownie posąg Mariusza, pogromcy

Teutonów i Jugurty, proskrybowanego przez senat. I niech ktoś się tylko ośmieli potępić go za to, teraz, gdy plebs go popiera i uwielbia!

Czy powinien posuwać się szybciej i pójść jeszcze dalej? Wyższy urząd będzie mu wolno objąć dopiero za dwa lata... Jest, zniecierpliwiony - do tego czasu do miasta powróci już Pompejusz ze swoimi legionami. I będzie panem Rzymu.

Cezar czuje, jak jego ciało drętwieje. Zaciska szczęki aż do bólu. Wie, że nie pogodzi się z imperium Pompejusza. Trzeba więc teraz powiększyć swoją przewagę, dopóki tamten jest nieobecny. Trzeba walczyć z nim taką bronią, jaką ma do dyspozycji: wygrywać poparcie plebsu, strach senatorów. I wzbudzić zazdrość Krassusa.

Spotyka się znowu z Tertullą. Żona Krassusa jest wciąż tak samo chciwa, lubieżna, niewierna i rozwiązła. Postarzała się, jej ciało zwiotczało, lecz trzeba jej nadskakiwać, zdobyć jej poparcie.

- Pomóc tobie, Gajuszu Juliuszu - szepcze Tertulla. Uśmiecha się. - W jaki sposób mogłabym ci pomóc - ciągnie - skoro to ty jesteś najbardziej uwielbianym przez lud człowiekiem w Rzymie?

Głaszcze go po twarzy.

Trzeba się do niej umizgać, pozwolić jej powtarzać, że Cezar jest tylko prostytutką, nie reagować, gdy powtarza swym ochryłym głosem: „Gajusz Juliusz, kochanek wszystkich żon i nałożnica wszystkich mężów”.

Wybuchają nagle śmiechem.

- Ty i Krassus!

Nie czuje się dotknięty jej obelgami i paplaniną. Słowa spływają po nim jak woda po skórze. Liczy się tylko to, żeby spotkać się z Krassusem i żeby przyjął go on jako sojusznika i współnika, nie żywiąc urazy o ostrożne zachowanie Cezara podczas nieudanego spisku przeciwko konsulom i senatowi.

- Jesteśmy razem, ty i ja. Mamy wspólnych wrogów. Tertulla mi powiedziała...

Wygląda na to, że Krassus wie wszystko o niewierności swej żony, a nawet wydaje się zadowolony, że naganiana ona do niego mężczyźni, których przyjmuje w swoim łóżku. Być może Krassus uważa, że dzięki temu są oni podatniejsi, łatwiejsi do oszukania i wykorzystania?

W trakcie rozmowy Cezar obserwuje Krassusa, siedząc na skraju basenu z murenami. Zmierch zabarwia wodę na kolor krwi. Życie zawsze się tak kończy, czy ktoś jest gladiatorem, niewolnikiem czy imperatorem.

Przymyka oczy. Te myśli nie są gorzkie. Trzeba po prostu wiedzieć, jaki jest kres życia, aby móc się nim cieszyć i poznać wszystkie jego smaki.

Obaj dyskutują tak aż do północy. Niewolnicy zapalili pochodnie i woda przybrała kolor złota.

- Egipt - przypomina Krassus - oto, co by ci się przydało, Gajuszu Juliuszu. - Pochyla się ku niemu.

- I mógłbym cię wtedy spłacić - odpowiada, uśmiechając się, Cezar.

Krassus odchyła się do tyłu i wybucha głośnym śmiechem.

- Wcale się o to nie martwię - mówi. - Ale Egipt jest naprawdę perłą, spichlerzem. Pełno tam złota i zboża. I dzikie bestie na twoje igrzyska, Gajuszu Juliuszu. Krokodyle, słonie, lwy, węże! - Urywa. - Często przypominasz mi węża, Gajuszu Juliuszu.

Twarz Cezara pozostaje niewzruszona. Lubi to zwierzę, które wślizguje się do łóżka i dusi, albo śmiertelnie kąsa tego, kogo chce zabić.

Egipt...

Ale czy senat zgodzi się powierzyć mu nadzwyczajne zadanie podporządkowania króla Ptolemeusza XI Auletesa i uczynienia z Egiptu prowincji Rzymu? Któż się nie domyśli, że ma to być sposób, aby osłabić Pompejusza i przyćmić jego sławę, przyłączając Egipt, nabytek bogatszy niż prowincje Azji?

Mimo to należy spróbować, przy poparciu Krassusa, który jest cenzorem, a przede wszystkim wierzycielem wielkiej liczby senatorów. Jednak zaraz po tym, jak Cezar skończył mówić, wstaje

Katon, potem Cynceron, dalej Katulus i inni, którzy odrzucili wniosek.

Pewnego dnia trzeba będzie im wszystkim ścisnąć gardło, żeby się w końcu uciszyli, mając do wyboru zgodę albo uduszenie!

Ale jeszcze nie pora. Są na razie zbyt silni. Nie wolno dać się złapać i zamknąć do ich saka. Należy natomiast przekonywać lud, że optymaci, tacy jak Cynceron i Katon, uczepieni są jedynie własnych majątków, że są egoistami, którzy przedkładają własne bogactwo ponad dobro Rzymu i szczęście jego obywateli.

Cezar przypomina sobie ustawy proponowane przez braci Grakchów, Mariusza. Domaga się prawa agrarnego, rozdzielenia ziemi między najbiedniejszych, żeby wyszli z nędzy i odnaleźli smak pracy w koloniach wydzielonych z publicznych terenów, które przywłaszczyli sobie senatorowie. Cynceron występuje przeciwko projektowi, wyróżniając się w ten sposób w oczach plebsu. Będą mu to pamiętać.

Trzeba także zdobywać popularność poza Rzymem, w prowincjach, ponieważ właśnie stamtąd pojawią się może pewnego dnia zbrojne oddziały, legiony, które zmuszą Rzym do poddania.

Cezar występuje w imieniu mieszkańców Galii Przedalpejskiej, którym obiecał interweniować w senacie w sprawie przyznania im obywatelstwa rzymskiego. Senat odmawia. Cezar nie protestuje. Trzeba uśpić wroga. Pozwolić mu ufać w swoje siły.

Jest jak myśliwy, który musi wypłoszyć zwierzynę, strzec się skoków zwierza, wykorzystać wszelkie podstępny, zasadzki, posłużyć się przynętą, wabikami wszelkiego rodzaju.

Zostaje sędzią kryminalnym, *iudex quaestionis*. I oskarża zwolenników Sulli o to, że zabijali obywateli Rzymu wyłącznie dla osobistej korzyści. Czyż nie widziano, jak Katylina przyniósł Sulli głowę, którą dla niego uciął?

Plebs ciśnie się do siedziby trybunału niedaleko od Forum. Cezar przemawia głośno. Tłum go oklaskuje. Jeszcze raz ośmiela się przypomnieć minione waśnie. Oskarża Sullę i jego siepaczy.

W spojrzeniu swego sekretarza dostrzega niezrozumienie. Katylina jest przecież także sojusznikiem Krassusa i przeciwnikiem senatu. Czemu go zwalczać?

Emiliusz żyje wśród prostych pojęć. Nie rozumie, że trzeba lawirować pomiędzy jednym a drugim obozem, zmieniać szybko skórę, aby tak jak wąż nie odróżnić się od otoczenia.

Nie należy procesu przeciwko Katylinie doprowadzać do końca. Lepiej, żeby został on uniewinniony niż skazany. Będzie za to wdzięczny. A ponieważ jest przeciwnikiem Cyncerona, kandydata do konsulatu na rok 63, będzie też użyteczny.

W ogrodach willi w Suburze Cezar ujmuje Emiliusza za rękę.

- Oni się ciebie boją, Gajuszu Juliuszu - martwi się młodzieniec. - Mówią, że jesteś bardziej niebezpieczny od kobry albo skorpionia i że jeśli pozostawią ci swobodę działania, to ich wszystkich ukąsisz. Nie ośmielają się już występować przeciwko tobie otwarcie. Czekają, aż wróci Pompejusz.

Cezar z czułością ściska jego dłoń.

- Ale to jest dopiero początek. Na razie jeszcze nic nie osiągnąłem. Czy ty wiesz, czego chcę?

Milknie. Może jeszcze za wcześnie, by odsłaniać plany przed Emiliuszem. Zmarł właśnie Metellus Pius, wielki kapłan, *pontifex maximus*, człowiek, który jest dożywotnim wcieleniem religii rzymskiej, zwierzchnikiem państwowych kultów religijnych, przewodniczy



ceremoniom i wstawia się u bogów. Jednym z członków kolegium kapłańskiego jest Cezar. I chciałby zająć miejsce zmarłego. Będzie musiał stoczyć trudną walkę o to, aby to właśnie jego wyznaczono. Potrzeba mu będzie wiele pieniędzy oraz wielu przyjaciół.

- Boję się ciebie - szepcze Emiliusz. - Tak, Gajuszu Juliuszu. Ale jeszcze bardziej boję się o ciebie. Jesteś taki sprytny, taki przebiegły. Działasz jak bóg. Rozpętujesz burze, aby zatoneśli twoi wrogowie.

Cezar uśmiecha się. Zawsze jest wzruszony szczerością swego sekretarza. To prawda, że chce, aby chaos w Rzymie jeszcze się pogłębił, chcąc na tym skorzystać.

Jeśli plebs będzie się burzył, jeśli mieszkańcy Galii Przedalpejskiej powstaną przeciwko senatowi i jeśli Cezar zostanie *pontifex maximus*, to otworzy się może okazja do zdobycia najwyższego urzędu! Czyż nie będzie już zwierzchnikiem religijnym?

- Obawiam się, byś pewnego dnia - ciągnie Emiliusz - sam nie został wciągnięty w burzę, którą rozpętałeś. I żeby wiatr, który sam wznieciłeś, nie rozdarł twoich żagli, nie połamał twoich wioseł i masztów.

- Rzym to wielki okręt... - Cezar kładzie rękę na ramieniu Emiliusza. - Chcę, żeby popłynął daleko i żeby był niezwyciężony - kontynuuje. - A nawet jeśli wiatr porwie mnie, Gajusza Juliusza Cezara, to jakie to ma znaczenie, skoro okręt przepłynie bezpiecznie pomiędzy skałami?

- Boję się o ciebie - powtarza Emiliusz.

- Kocham twój lęk - mruczy Cezar. Bierze Emiliusza w ramiona, całuje go.

## **Rozdział 18**

Matko, dziś wieczór ujrzysz mnie wielkim kapłanem albo od razu pójdę na wygnanie...

Cezar rozkłada dłonie, opiera je na udach. Wolno oddycha. Chce, aby każdy mięsień jego ciała był mu posłuszny. Musi się opanować, nie wolno mu ulec niecierpliwości, która sprawia, że miałby chęć skoro świt opuścić willę w Suburze i popędzić w stronę Forum, stanąć u wejścia do Komicjum i starać się wpłynąć na każdego z wyborców. Mógłby też ulec pokusie, aby pójść na spacer wzdłuż Via Sacra aż do tzw. Regia, gdzie będzie mieszkał, jeśli zostanie dziś wybrany na urząd najwyższego kapłana.

Ma wrażenie, jakby całe chmary owadów cięły jego skórę. I tak było przez całą noc.

Krzyżuje ramiona wolnym ruchem. Chce jeszcze tak pozostać nieruchomo z wyprostowanym karkiem i półprzymkniętymi oczami. W takiej pozycji może sobie najlepiej wyobrazić, jakie będzie odtąd jego życie, jeśli dziś wieczór zostanie wybrany. Musi zostać

wybrany przez zgromadzenie obywateli należących do siedemnastu tribus, wybranych spośród trzydziestu pięciu obejmujących lud rzymski. Zostanie najwyższym kapłanem, *pontifex maximus*. Zamieszka nieopodal świątyni Westy, bogini miasta. Regia znajduje się blisko domu westalek, dziewiczych kapłanek Westy.

Zostanie wywyższony ponad innych ludzi! On, Gajusz Juliusz Cezar, choć dotąd zajmował jedynie podrzędne stanowiska i nie odniósł żadnego wielkiego zwycięstwa, a wierzyciele trzymają go za gardło, w wieku trzydziestu ośmiu lat zdobędzie urząd zwierzchnika kultów religijnych w Rzymie. Będzie dysponował władzą nie mającą sobie równej, władzą wieczną. Pójdzie w ślady królów Rzymu, Numy i swego przodka Julusa, syna Eneasza, który z kolei był synem bogini Wenus.

Rozplata ramiona i zdaje mu się, jakby musiał rozrywać więzy, tak bardzo jest dziś napięty. Wstaje, przechadza się po ogrodzie rozjaśnianym już pierwszym blaskiem jutrzeńki. W tej chwili czuje pewność, że bogowie nie mogą odmówić mu tej godności. Ale kto może znać zamysły bogów? Należy postępować tak, jakby się nie oczekiwało pomocy ze strony owych zblazowanych widzów krwawej rozgrywki, jaką jest ludzkie życie.

Cezar znowu siada. Zmusza się do tego, aby nie roztrząsać w myślach od nowa tych ostatnich tygodni, decyzji, jakie musiał podjąć, i posunięć, które zrobił po to, aby ten rozpoczynający się dzień był dla niego dniem konsekracji.

Naraz ma wrażenie, że coś chwyta go za gardło i dusi.

Nie może złapać oddechu. Może źle zrobił, ufając Labienusowi. Ten trybun ludowy jest poplecznikiem Pompejusza. Ale przecież to on wprowadził zmiany do procedury wyznaczania najwyższego kapłana.

Cezarowi staje przed oczyma tamta scena na Forum. Podeszedł do Labienusa. Przypomniał mu wspólne przeżycia. Czyż nie walczyli razem przeciw piratom z Cylicji? Wziął go pod rękę i poprowadził w stronę Kurii, zwracając mu się, że kandyduje do godności najwyższego kapłana i że dwaj jego rywale, Publiusz Serwiliusz Izaurycki, a przede wszystkim Katulus, princeps senatu, mają wszelkie szanse na wybór, jeśli to kolegium kapłańskie miałyby głosować.

Labienus zgodził się wystąpić jako trybun ludowy w obronie zasady, że głosować mają przedstawiciele siedemnastu losowo wybranych tribus.

- Ale w takim razie trzeba będzie przekupić wszystkich - dodał Labienus. - Z trzydziestu pięciu tribus, Gajuszu Juliuszu!

Cezar się uśmiechnął.

Teraz przypominają mu się dni spędzone na spotkaniach z finansistami, szakalami

Krassusa i z samym Markiem. Oraz godziny, które musiał poświęcić Tertulli i innym kobietom. A także obietnice rozdawane wszystkim naokoło. Labienusowi, Krassusowi, Tertulli, przedstawicielom każdego okręgu, każdemu z wyborców spotkanych na Forum. I pożyczone pieniądze, podpisywane weksle. I wydane pieniądze.

Niczego nie żałuje, ale ma wrażenie, że każdy mięsień jego ciała drży, tak wielkie jest trzymające go napięcie. Spędził bezsenną noc. Słyszał każdy dźwięk. Słyszał, jak powoli cichnie harmider w willi, i kilka razy zdawało mu się, że ktoś usiłuje wślizgnąć się do jego sypialni.

Zna poglądy optymatów na swój temat. Są zaniepokojeni, ponieważ lud go kocha, ponieważ jest zręczny w prowadzeniu zakulisowych intryg i nie wiadomo dokładnie, jaką rolę odgrywa w zawiązujących się spiskach ani kim są jego sojusznicy. Pompejusz? Krassus? Może nawet Katylina? Z wszystkich tych powodów nie życzą sobie, aby został wybrany.

Słyszał, jak Cynceron mówił pod pretekstem nawiązywania do historii Rzymu: „To dzięki religii pokonaliśmy cały świat”. I w zwróconych na siebie spojrzeniach senatorów Cezar widział jedynie niepokój albo nawet nienawiść.

Gdyby tylko mogli, gdyby zdobyli się na odwagę, toby go zabili!

Sądził, że chciano go tej nocy zamordować. W Rzymie jest wystarczająco wielu łajdaków, byłych żołnierzy, wyzwoleńców, młodych rozpustnych nobilew, klientów domów gry i lupanarów, żeby nie było trudności ze zwerbowaniem zabójców. Może wynajął ich jego rywal, Katulus? Kiedy bowiem Cezar odmówił pierwszemu spośród senatorów przyjęcia sumy, jaką tamten proponował za wycofanie się Juliusza z wyborów, wyczytał w jego oczach żądę mordu.

To jednak nie tyle strach trzymał go przez całą tę bezsenną noc w napięciu, choć jego dłoń często zaciskała się na rękojeści miecza, ile myśl, że stawia w tych wyborach całe swe życie.

Jeśli zostanie wybrany, nikt nie będzie go już w stanie osiągnąć, jako syna królów i bogów, jako wielkiego kapłana mieszkającego w Regii, w sercu świętego czworoboku. Kusi go myśl, aby wezwać bogów, żeby go wysłuchali i sprawili, iż to on zostanie wybrany.

Prostuje się. Nie wolno mu ulegać słabości. Bogowie będą go osądzać za to, co osiągnął dzięki sobie samemu. I za to, kim jest. Jeśli zostanie najwyższym kapłanem i zamieszka w legendarnej siedzibie króla, gdzie zgromadzone są święte tarcze, archiwa kapłanów, kto będzie mógł zaprzeczyć, że jest on powołany do tego, aby być ucieleśnieniem Rzymu? Jeśli zostanie wybrany, napisze zaraz epos sławiący jego przodka Julusa, którego ojciec pochodził od bogini Wenus.

Nikt już mu nie przeszkodzi rozwinąć skrzydeł.

Lecz jeśli wygra jego przeciwnik Katulus, wszystkie szakale rzucą się na niego. Wierzycciele zażądają spłaty tego, co im się należy, a Krassus nie będzie miał już żadnego powodu, aby wstrzymać swoje dzikie bestie. Zostanie oskubany i dalsza kariera na bardzo długi czas, a może nawet na zawsze, będzie przed nim zamknięta.

Nie chce myśleć o takiej ewentualności, nie może jednak się jej nie obawiać.

Odwraca się na dźwięk kroków. W niebieskawej jasności świtu widzi zbliżającą się matkę, lekki powiew unosi jej szaty. Przypomina mu się kazirodczy sen z Hiszpanii, przepowiednie, wróżbici. Ale czy można być pewnym przepowiedni? Bogowie zastawiają czasem pułapki, a wróżbici bywają bardziej zaślepieni od innych.

Podchodzi do niej, chwyta ją za rękę.

- Matko - mówi - dziś wieczór ujrzysz mnie wielkim kapłanem albo od razu pójdę na wygnanie.

## **Rozdział 19**

Jest najwyższym kapłanem, synem bogów i królów.

Kiedy działa w swoim imieniu, występuje w imieniu Rzymu...

Cezar kroczy wolno wśród tłumu zebranego na Via Sacra. Chce smakować każdą chwilę, czuć pod stopami każdy kamień tej drogi, która obok świątyni Westy prowadzi go do jego nowej siedziby.

Już od kilku tygodni jest najwyższym kapłanem, a wciąż, gdziekolwiek się pojawi, otacza go zaraz orszak ludzi. Wznoszą okrzyki na jego cześć. Witają go z szacunkiem. Zaczepiają. Słucha ludzi, którzy skarżą się na korupcję, złodziejstwo, władzę pieniądza i luksusy niweczające rzymskie cnoty.

Zatrzymuje się przed regią. Słyszy okrzyk: „Trzeba oczyścić Rzym, Gajuszu Juliuszu Cezarze, na co czekasz?”

Ucisza tłum jednym gestem. Wystarczyło, że w wyborach siedemnastu tribus uzyskał więcej głosów niż jego dwaj rywale, by natychmiast odczuł, jak zmienił się stosunek do jego osoby.

W oczach mężczyzn i kobiet z plebsu wyczytuje podziw, ich spojrzenia działają na niego kojąco jak pieszczota. Odczuwa także przyjemność, widząc strach senatorów, ich trwogę, kiedy się dowiadują, że został najwyższym kapłanem, ich złość, kiedy publikuje biografię swego przodka Julusa, umiejscawiając się w ten sposób pośród potomków bogów i

królów.

Wie, że przygnębiła ich wiadomość, iż zamieszkał w świętyrrii obszarze. Teraz każdy, kto by na niego napadł, winny byłby świętokradztwa.

Nie ma jednak złudzeń. Słyszał, jak Katulus oburzał się na wyniki wyborów, a stoik Katon wyrażał zaniepokojenie pismami nowego wielkiego kapłana, który utrzymuje, że jest potomkiem królów. Republika nigdy się nie zgodzi na panowanie króla! - groził Katon.

Jaka republika? Czy ci optymaci, zaślepieni egoizmem albo żyjący przeszłością, nie widzą, że Rzym jest już tylko chorym miastem?

W atrium przyjmuje kilku młodych ludzi zaniepokojonych przyszłością Rzymu. Oni także potępiają zbytek, rozwiązłość kobiet popisujących się bezwstydem, mężczyzn, którzy się prostytuują, domy gry i lupanary. Jeden z nich, Salustiusz, o twarzy jak ostrze noża, mówi ochrypłym głosem:

- Po raz pierwszy jesteśmy świadkami, że armia rzymska zaczyna gustować w kobietach, winie, posągach, obrazach, pasjonuje się rzeźbionymi wazami, zabiera wszystko z prywatnych domów i z publicznych gmachów, rabuje świątynie, podnosi zbrodniczą rękę na przedmioty zarówno święte, jak i świeckie...

Cezar krzyżuje ręce i mówi, że istotnie należałoby zadbać, by prowincje i sprzymierzeńcy, a nawet kraje pokonane nie były już narażone na grabież ze strony legionów, którym trybunowie i prokonsulowie nie potrafią już narzucić posłuchu dla władzy.

Chce, aby myślano przy tym o Pompejuszu, który rządzi w pokonanych przez siebie prowincjach Azji. Napisał do senatu, donosząc, że Mitrydates, opuszczony przez wszystkich, zażył truciznę. A jeden z Galów z jego świty zasztyletował go, chcąc mu skrócić agonię. Następnie przybyli zabójcy nasłani przez Farnakesa, najmłodszego syna Mitrydatesa, i z kolei oni naszpikowali ciosami włóczni zwłoki starego króla, które nie zdążyły jeszcze ostygnąć. Pompejusz dodawał, że spodziewa się powrócić do Rzymu po obejrzeniu i pogrzebaniu ciała Mitrydatesa.

Cezar wyobraża to sobie.

Pompejusz powróci na czele legionów. Będzie chciał być władcą. I senatorowie go nim obwołają, ponieważ są tchórzami i będą się bali żołnierskich mieczy, wierności weteranów wobec imperatora oraz entuzjazmu plebsu. Cezar jest pewien, że urządzi Pompejuszowi Wielkiemu triumf, że będą mu schlebiać, mówić, że zaprowadził pokój, i że spróbują się nim posłużyć przeciwko partii popularów. Będą także usiłowali dopaść tych, których się obawiają.

A szczególnie mnie, Gajusza Juliusza Cezara, pomyślał.

Przechodzi przez Forum. Udaje się do Kurii albo do Komicjum. Nigdy jeszcze nie doświadczył takiego poczucia władzy, on, człowiek tak jeszcze przecież młody. Finansiści sami przychodzą go prosić, aby u nich pożyczał pieniądze. Gotowi są mu dać tyle tysięcy sesterców, ile sobie zażyczy.

Chwilami ma wrażenie, że wszystko jest możliwe. Jest dożywotnim kapłanem! Wystarczy, żeby wziął udział w wyborach ośmiu pretorów na rok 62, aby został jednym z nich.

Przekroczony został nowy próg. Jako pretor będzie miał obowiązek czuwania nad obyczajnością i wymierzania sprawiedliwości. A po roku spędzonym na tym urzędzie będzie mógł zostać prokonsulem, zarządcą jakiejś prowincji. Miałby wówczas pod swoją komendą legiony, zbierałby daniny w imieniu Rzymu. I mógłby przygotować swój powrót do miasta na stanowisko konsula.

Ale jakie stanowisko obejmie Pompejusz? Co zrobią Krassus, Cynceron, który został właśnie wybrany na konsula, czy Katylina, który przegrał w tych wyborach i spiskuje na oczach wszystkich, zbiera wokół siebie ludzi skorumpowanych, zrujnowanych arystokratów, wszystkich tych, którzy mogą się poważić na zamach stanu? A być może dzięki Pompejuszowi senatorowie odzyskają wszystkie swoje dawne prerogatywy.

Zmusza się, aby trwać w bezruchu, z szyją i tułowiem nieruchomym jak u posągu. Przerażony Emiliusz krąży wokół niego jak brzęczący owad, mówi, że Katylina otoczył się zbrodniarzami wszelkiego autoramentu stanowiącymi coś w rodzaju jego osobistej ochrony.

- Czy wiesz, Cezarze, co mówi Salustiusz? Znasz go, to nie jest pomimo młodego wieku ktoś skłonny do przesady! Dostał się między zauszników Katyliny, chcąc się czegoś dowiedzieć. Oni zamierzają zamordować konsula Cyncerona, rozpętać wojnę w Etrurii i zdobyć władzę. Chcą zabić każdego, kto im stanie na drodze! Mają zamiar działać, zanim powróci Pompejusz.

Emiliusz nachyla się w stronę Cezara. Jego głos drży, jest denerwujący jak trzepotanie skrzydeł owada.

- Co postanowisz, Gajuszu Juliuszu Cezarze? Znasz Katylinę, to wcielony występki i żądza zemsty! Rozpustnicy, cudzołożnicy, ludzie, którzy przepuścili rodzinne majątki na hazard, uczyty i kobiety, którzy pozaciągali olbrzymie długi, próbując odkupić swoją hańbę albo przestępstwa, a także cała zgraja ojcobójców i świętokradców, recydywistów, zbrodniarzy, których czyny przerażają nawet sędziów, ludzi wzbogaconych dzięki

zabójstwom podczas wojny domowej i składaniu fałszywych świadectw... słowem, wszyscy, których dręczy nędza i wyrzuty sumienia, to, według Salustiusza, są najbliżsi zausznicy Katyliny! - Emiliusz postępuje o parę kroków, oddala się, potem wraca: - Przyciąga on do siebie i deprawuje zwłaszcza młodych ludzi. Czy wiesz, co im mówi? „To nas, dzielnych i energicznych, arystokratów i plebejuszy, traktuje się jak wyrzutków, nie mamy ani zaufania, ani wpływów, jesteśmy niewolnikami ludzi, którzy powinni się nas bać! Ponieważ to oni posiadają władzę, zaszczyty, pieniądze, wszystko należy do nich i do ich przyjaciół! Nam pozostawiają tylko porażki, niebezpieczeństwa, wyroki, nędzę. Jak długo będziecie na to pozwalać, najdzielniejsi wśród dzielnych?” Oto, co mówi Katylina, to jest jego siła! - ciągnie Emiliusz.

Podszedł tak blisko, że Cezar czuje na swoim uchu jego oddech.

- Co postanowisz, Gajuszu Juliuszu Cezarze?

Wyciąga się wygodnie, przywołuje niewolników, gestem nakazuje im, aby pachnącymi olejkami namaścili mu ciało, potem pozwala, by ich palce i dłonie sprawnymi ruchami rozluźniały napięte mięśnie. Zamyka oczy, może się zastanowić. Cezar leży bez ruchu.

Czekanie jest wprawdzie rozropne, ale inni, tacy jak Katylina, są niecierpliwi. Mogą podburzyć tłum. Emiliusz też mówił, że podsycają oni urazy i nadzieje biedaków za pomocą mrzonek. Przyciągają młodzież, ludzi o wybujałych ambicjach. Obiecują zniesienie wszystkich długów.

A który Rzymianin nie czuje zębów wierzyciela wbitych w swój kark? Dłużnikom grozi utrata wszystkiego: ich mieszkań, dzieci, które mogą zostać sprzedane w niewolę, splotków ziemi, a nawet życia. Czy mogą nie posłuchać Katyliny, który im obiecuje, że ich uwolni od długów? Który kusi ich perspektywą zemsty i zysku? Obiecuje, że obejmie proskrypcją bogaczy, a urzędy i stanowiska kapłanów powierzy najbiedniejszym i oczywiście liczyć mogą na grabież, która zawsze towarzyszy przemocy.

Cezar odwraca się, odsyła masażystę.

Trzeba działać. Nie pozwolić zatriumfować Katylinie, gdyż byłoby to obrzucenie Rzymu błotem.

Przypomina mu się, jak to za czasów Sulli Katylina był zwykłym mordercą. Przyniósł uciętą głowę dyktatorowi na Forum. Grabił, zabijał. Teraz gromadzi bandy rozpustników i zbrodniarzy.

A jednak, jednak...

Cezar spaceruje po atrium. Burza, jaką wywołuje Katylina, może osłabić rządzących,

*potestates*, i może dzięki temu udałoby się przed powrotem Pompejusza przejąć władzę. Fale rozpętane przez burzę niosą okręty dalej i szybciej niż wtedy, gdy morze jest gładkie i spokojne. Jeśli Katylina jest taką burzą, to czemu Cezar nie miałby być okrętem?

Wzywa Emiliusza.

- Postanowiłeś, Cezarze?

Jego głos wyraża niepokój. Trzeba mu odpowiedzieć obojętnym i spokojnym tonem, że na razie jest jeszcze za wcześnie. Że zanim wybierze się drogę, trzeba spróbować ustalić, dokąd ona prowadzi.

- Chcę wiedzieć wszystko - mówi Cezar.

Czeka na powrót Emiliusza, obchodząc wolno pokoje. Widzi stąd kolumnadę świątyni Westy i dalej perystyl domu Westalek. Wszystkie święte pamiątki Rzymu są tutaj, i on, Gajusz Juliusz Cezar, jest ich depozytariuszem. Jego los splata się z losem miasta. Musi nim kierować, dbać o jego zdrowie, ratować je przed wszystkimi, którzy je osłabiają, dążą do podziałów, którym marzy się tylko to, żeby zgromadzić wokół siebie ugrupowanie tak silne, by zwyciężyło wszystkie pozostałe.

Jest jedynym, który o tym myśli, który wie, czego potrzeba Rzymowi. Kiedy działa w swoim imieniu, występuje w imieniu

Rzymu. Kto powstaje przeciwko niemu, jest także wrogiem Rzymu!

Widzi zbliżającego się Emiliusza. Gestem zabrania mu mówić.

- Wszystko, co robi i co postanawia Cezar - mówi - służy wielkości Rzymu. Nigdy o tym nie zapominaj, Emiliuszu!

Daje sekretarzowi znak, aby przy nim usiadł.

- Chcę wiedzieć wszystko - powtarza.

- Oni postanowili zamordować Cyncerona - zaczyna Emiliusz. - Ich bandy są w stanie gotowości. Wymieniają twoje imię, Cezarze, jako jednego z tych, którzy ich popierają. Uzbroidli oddziały w Etrurii. Jednak optymaci wiedzą wszystko o tych przygotowaniach. Rozpowiadają o nich kobiety. Sempronia... - Emiliusz urywa i pyta ciszej: - Znasz ją, Cezarze?

Piękna Sempronia, która recytuje i śpiewa greckie oraz łacińskie poematy, a nawet sama pisze, która umie ze swego ciała zrobić lirę. Któż z najpotężniejszych ludzi Rzymu nie starał się jej zdobyć? I kto potrafił się oprzeć jej wdziękowi, mistrzostwu, z jakim się oddaje, uczona i rozpustna zarazem? Lecz jest ona także współniczką zabójców, sama zadłużona po uszy.



- Ona jest z Katyliną - dodaje Emiliusz. - Gada za dużo. Ale to nie ona zdemaskowała plan spisku. Inne kobiety napisały do Cyncerona, wydając swoich kochanków, i mówi się, że niebawem na Katylinę i jego współników spadnie zemsta senatu. - Emiliusz podnosi głowę. - Cezarze, oni chcą cię oskarżyć o współudział w spisku Katyliny. Mają listy, które cię obciążają!

Cezar podnosi uspokajająco rękę. ' - Jestem najwyższym kapłanem - mówi. Nie odważą się wskazać na niego jako na winnego. Znadto się go boją. Nie rozpoczną z nim wojny przed powrotem Pompejusza. Należy więc ich uprzedzić i sprzymierzyć się z Pompejuszem, to ich osłabi. Nie ma sensu kompromitować się udziałem w skazanym już na niepowodzenie spisku Katyliny, ale trzeba spróbować zgromadzić wokół siebie tych ludzi, których przyciągnęły jego obietnice.

Udając się do senatu, spostrzega małe grupki uzbrojonych młodych ekwitów. Stan rycerski, widząc, że Katyliną nie wygra i trzeba w takim razie przyłączyć się do zwycięskiego obozu, oddał się w służbę Cynceronowi i partii optymatów.

Cezar rozgląda się dokoła. U jego boku kroczy Emiliusz z ręką zaciśniętą na rękojeści miecza. O kilka kroków za nimi idzie straż złożona z najwierniejszych niewolników.

Nie odczuwa żadnego lęku. Jeśli bogowie zechcą, aby zginął, to nic nie będzie mogło w tym przeszkodzić. Ale wtedy Rzym zatonie. Naprawdę republika jest już martwa, nawet jeśli zachowuje pozory życia, i nic nie pomoże, że Cynceron ogłasza, iż uczestnicy sprzysiężenia zostali aresztowani, Katyliną uciekł, ale wydadzą mu bitwę.

Cezar wchodzi do Kurii, zasiada na swojej ławce.

Republiki już nie ma... Senat jest już tylko zgromadzeniem, którego władzy zagrażają spiski awanturników w rodzaju Katyliny albo miecz jakiegoś imperatora. I w ten sposób to Wielki Pompejusz uzyska pełnię władzy.

Republiki już nie ma! I nikt nie jest w stanie jej wskrzesić. Ale koniec republiki wcale nie musi oznaczać upadku Rzymu, przeciwnie, może być początkiem nowej chwały miasta i całego imperium, którym ono włada. A on, Cezar, będzie mężem opatrnościowym tego odrodzenia.

Chce przemówić.

Powinien potępić Katylinę i jego współników, ale tak, aby zarazem zyskać przychylność tych, którzy byli po jego stronie, i nie ściągnąć na swoją głowę gromów ze strony senatu. Trzeba myśleć o przyszłości. Wykorzystywać zrećźnie wszystkie siły do pokonania tego, co stoi na drodze jego przeznaczeniu.

Zaczyna od stwierdzenia, że nie chce śmierci spiskowców.

Czeka, aż pomruki i obelgi ucichną.

- Moim zdaniem - ciągnie - majątki uczestników sprzysiężenia należy skonfiskować, a ich samych uwięzić w municypalach mających dobrze wyposażone więzienia. I niech nikomu nie będzie wolno wnieść ponownie ich sprawy przed senat albo zgromadzenie ludowe. A ten, kto postąpiłby inaczej, niechaj zostanie uznany przez senat za zagrożenie dla dobra wspólnego oraz za wroga republiki!

Siada z powrotem. Nie reaguje na podnoszącą się falę gniewnych okrzyków. Senatorowie zrozumieli, że propozycja łagodnej kary jest bronią wymierzoną przeciwko nim, oni bowiem domagają się śmierci spiskowców.

Cezar obserwuje, jak Katon wstaje i mówi:

- Dziś nie chodzi już o to, czy żyjemy dobrze, czy źle ani o to, by zapewnić państwu rzymskiemu wielkość i chwałę, ale o to, żebyśmy mieli pewność, czy dobra, które są jeszcze w naszych rękach, nadal w nich pozostaną, czy też razem z naszymi osobami dostaną się w ręce naszych wrogów!

Katon odwraca się i Cezar napotyka jego twardy i pełen gniewu wzrok. To przeciwnik, który nigdy nie przejdzie na jego stronę. Taki, którego trzeba będzie zabić.

- I oto znajdują się ludzie - ciągnie Katon - którzy w tej sytuacji mówią o łagodności i bogobojności... Dopiero co z elokwencją i swadą zalecał je nam Cezar!

Pójdą za Katonem. Przegłoszą śmierć dla współników Katyliny, wtrąconych już do Tullianum.

Cezar przypomina sobie owo znajdujące się pod Kapitołem więzienie państwowe. Zwiedził je kiedyś. Jest to podziemny loch, do którego schodzi się po wąskich stopniach. Jest głęboki, bez okien, otoczony ze wszystkich stron grubymi murami i pokryty sklepieniem z dobrze połączonych kamieni ciosowych. Jest tam ciemno, brudno, panuje odrażający smród. Tani właśnie przetrzymuje się, nieraz całymi latami, pokonanych wrogów Rzymu albo tych, na których wyda wyrok senat.

Tam właśnie kaci czynią swoją powinność, gołymi rękami dusząc skazańców.

- *Vixerunt!* - rzuca grzmiącym głosem Cynceron. - Już nie żyją!

Wyrok został więc wykonany. Cezar obserwuje konsula Cyncerona, który puszy się dumny, że w swych przemówieniach oskarżał Katylinę i jego współników.

Cynceron daje upust swej próżności, mówi, że jego mowy przeciwko Katylinie przynoszą zaszczyt republice i będą pamiętane po wsze czasy.

Cezar stara się nie okazywać pogardy. Cynceron jest zwykłym tchórzem. Zwyciężył tylko dlatego, że Katylina i jego współnicy byli pospolitymi chciwymi kanaliami,

demagogami, nie mającymi żadnego programu oprócz tego, aby używać i kraść, zagrabiać cudze majątki, którzy w imię zwycięstwa gotowi byli nawet zdradzić Rzym i sprzymierzyć się z jego wrogami. Czyż Cynceron nie ujawnił treści porozumień zawartych pomiędzy Katyliną a galijskim plemieniem Allobrogów?

Nietrudno pokonać kogoś takiego jak Katyliną i jego wspólnicy, którzy wyszli z rynsztoka, jakby z Cloaca Maxima, głównego kolektora ścieków z całego Rzymu.

Rzym jednak bynajmniej nie został przez to uratowany, a republika należy do przeszłości.

Cezar opuszcza senat. Ledwie zdążył ująć parę kroków, aż tu nagle ze wszystkich stron pojawiają się wokół niego jeźdźcy, ci sami, których zauważył, wchodząc do Kurii. Wymachują mieczami, sztyletami, pałkami. Wyją: „Śmierć Cezarowi! Śmierć rozpustnikowi! Śmierć!” Mają mu za złe jego przemówienie w senacie i próbę ułaskawienia uczestników sprzysiężenia Katyliny, oskarżają go o współudział w spisku.

Widzi, że Emiliusz wyciąga miecz. Także jego strażnicy podeszli i wyciągnęli broń.

Szarża tych jeźdźców napotka najeżone ostrza ich broni. Wkrótce jednak rozlegają się inne okrzyki. Pojawia się plebs, wdziera na Forum, skandując: „Niech żyje Gajusz Juliusz Cezar!”

Tłum ludzi otacza go, wiwatuje. Cezar jest obrońcą plebsu, umie okazać łaskawość, ma odwagę bronić najbiedniejszych, nie zgadza się, aby ich zabijano i proskrybowano jak za czasów Sulli! Jest następcą sprawiedliwych przywódców, Mariusza, Cynny. Samo przywoływanie ich imienia przez długi czas było zakazane przez optymatów, dopiero Cezar oddał im cześć i powoływał się na nich publicznie.

On chce świetności i wielkości Rzymu.

- Niech żyje Gajusz Juliusz Cezar! Nasz pretor! Nasz *pontifex maximus!*

Cezar idzie niewzruszony pośród tłumu.

Nie może jeszcze umrzeć. Jego przeznaczenie dopiero zaczyna się wypełniać.

## CZEŚĆ VI

### Rozdział 20

Może Pompejusz nauczył się w prowincjach Azji, co to znaczy być królem, i chce zaprowadzić monarchię?

Cezar gestem nakazuje dwóm liktorom, aby towarzyszyli mu, gdy wchodzi na wysoką i szeroką trybunę przed Komicjum, zwaną Rostra. Jest ona położona naprzeciw wzgórza Kapitolińskiego i góruje nad Forum.

Chce, aby zgromadzony tłum widział liktorów i pamiętał, że począwszy od tej chwili, Cezar piastuje urząd najstarszego z pretorów, *praetor urbanus*. Występuje więc teraz nie tylko jako najwyższy kapłan, ale również jako urzędnik Rzymu.

Chce także, aby już tego pierwszego dnia obywatele Rzymu wiedzieli, że będzie używał wszystkich prerogatyw, jakie daje mu jego urząd.

Chce również, aby optymaci, *patres* - senatorowie, którzy uważają się za ojców ojczyzny, dostrzegli jego stanowczość i zrozumieli, że nie pozwoli obrzucać się oszczerstwami, oskarżeniami czy pogroźkami. Niech ci, którzy pozwolili na przeprowadzenie kilka tygodni temu napaści na niego, a może nawet skłonili owych jeźdźców do próby zabicia go przed Kurią, wiedzą, że Cezar odda każdy cios.

Trzeba, by Katon, Cynceron, Katulus, wszyscy, którzy utrzymywali, że posiadają jakieś listy, dowody na jego udział w spisku Katyliny, odwołali to, a rzekomi świadkowie tacy, jak L. Wetiusz czy Kwintus Kuriusz, zostali ukarani i uwięzieni. Zapewniają oni, że widzieli imię Cezara na liście spiskowców. Kłamia! Są marionetkami w rękach Katona i tych wszystkich *patres*, którzy boją się Cezara i chcą go dopaść, proskrybować albo i - kto wie? - może nawet zabić.

Czy im się wydaje, że on pozwoli się tak wykrwawiać jak zwierzę ofiarne?

Chce, aby już od pierwszego dnia jego pretury przekonali się, że Cezar nigdy nie ugnie się przed groźbą, nie boi się niebezpieczeństw i gotów jest na wszystko, ponieważ wie, że walka o władzę jest bardziej barbarzyńska niż pojedynki gladiatorów na arenie. Tutaj dozwolone jest wszystko. Nie obowiązują żadne reguły. I trzeba umieć wykorzystać każdą dostępną broń.

Wyciąga ramię, pokazuje wzgórze Kapitolińskie i widzi, jak ludzie zgromadzeni u

stóp trybuny odwracają się w tamtą stronę. Wtedy dopiero zaczyna mówić:

- Kto pamięta rok konsulatu Katulusa...

Był to rok 78. Katulus, dzisiejszy *princeps senatus* i jeden z jego oskarżycieli oraz rywal w wyborach na urząd najwyższego kapłana, a więc Katulus jako konsul obiecał odbudować ruiny zniszczonej pożarem świątyni Jowisza Kapitońskiego.

- Obywatele Rzymu, musicie wiedzieć, że na przeprowadzenie tych robót zostały mu wypłacone tysiące sesterców!

Cezar podnosi głos.

- Poszukajcie świątyni Jowisza na świętym wzgórzu Kapitolu! Katulusie, gdzie są twe dzieła? Katulusie, co się stało z twoimi obietnicami? Gdzie ta świątynia? Widzę tylko ruiny...

Mówi. Grozi. Senatorowie wyobrażali sobie może, że Cezar przyszedł pod Kurię, aby ich pozdrowić. A on tymczasem atakuje. Bierze zgromadzony lud na świadków. Oskarża Katulusa. Słyszy już pierwsze okrzyki rozlegające się z tłumu.

- Niech Katulus się rozliczy! - wołają.

Spostrzega torującego sobie drogę przez tłum starego Katulusa otoczonego przez straż. Podchodzą do trybuny, Katulus chce wejść na górę i udzielić odpowiedzi.

Niech zostanie tam, gdzie jest! Nie wpuszczać go na mównicę!

Przybywają liczni zwolennicy Katulusa wraz ze swymi uzbrojonymi niewolnikami. Przyłączają się do nich senatorowie, a między nimi Katon, którego nienawiść Cezar wyraźnie wyczuwa.

Cóż to za rozkosz słyszeć znowu jego obelgi: „pijak, rozpustnik, prostytutka” i widzieć jego twarz wykrzywioną wściekłością. Oskarża także Cezara, że jest ojcem - jeśli nie rodzonym, to przynajmniej przybranym - jego siostrzeńca Brutusa oraz kochankiem jego siostry Serwili!

W tłumie się biją. Pachołkowie senatorów zdają się brać górę. Cezar pokazuje liktorom, że chce opuścić trybunę, wraca do swej siedziby.

Ludzie się rozstępują, gdy przechodzi. Na jednych twarzach maluje się podziw, na innych wrogość. Ci ostatni są niewątpliwie przekonani, że go pokonali, ponieważ musiał przerwać swoje oskarżycielskie wystąpienie przeciw Katulusowi i nie zdołał uzyskać jego skazania.

Rzuca im pogardliwe spojrzenie. Dopiął jednak swego. Chciał bowiem pokazać tym *patres* i *potestates*, że jest człowiekiem zdolnym do wszystkiego. Że gotów jest stawić im czoło publicznie, na oczach ludu.

- Ale jeśli oni zapanują nad ulicą, to co zrobisz, Gajuszu Juliuszu Cezarze? - pyta Emiliusz.

To prawda, że opłacają uzbrojone bandy, które ciosami pałek i podniesionymi mieczami mogą rozpędzić plebs i zaprowadzić porządek. A niedługo nadciągną weterani Pompejusza, a także wielu obywateli przejdzie na jego stronę, ponieważ jest zwycięskim wodzem i zgarnął na Wschodzie tyle łupów, że może przekupić wszystkich ludzi, z których zechce zrobić sobie zwolenników.

Pompejusz jest już w drodze do Brundyzjum, gdzie wyląduje za kilka tygodni. Jakie są jego zamiary? Jeśli zechce, będzie mógł z pomocą swej armii podbić Italię i Rzym... Tylko czy się ośmieli? Napisał do swej żony Mucji, że ją odprawia, ponieważ głośno już o jej licznych zdradach.

Cezar nie ukrywa rozbawienia. Pompejusz nie powinien mieć mu szczególnie za złe, jest przecież tylko jednym spośród licznych zastępców kochanków Mucji.

Bardziej niepokojące jest to, że Pompejusz czyni starania u Katona, aby otrzymać rękę jednej z jego siostrzenic. Czyżby szukał sojuszu z partią optymatów? Mieliby oni wprowadzić chęć schronić się pod opiekę Pompejusza, lecz zarazem są wobec niego nieufni, obawiają się jego siły, bogactwa i żądzy władzy. Może Pompejusz poznał w prowincjach Azji, co to znaczy być królem, i chce zaprowadzić monarchię?

Trzeba brać pod uwagę wszystko: bandy łobuzów, którzy ustanawiają prawa na ulicy i mogą sterroryzować plebs, manewry senatu oraz cień Wielkiego Pompejusza, który się zbliża i niebawem zakryje całą scenę.

Nie można się w tej sytuacji wyrzec żadnego sojusznika.

Cezar jeszcze raz zwraca uwagę na młodego nobila, niejakiego Klodiusza, który często przychodzi do jego siedziby. Ma ujmującą dziewczęcą twarz oraz żywe, lubieżne spojrzenie chciwej prostytutki. Co robi w atrium? Cezar śledzi go wzrokiem. Zdaje się, że czeka, aż przejdzie Pompeja w otoczeniu swych niewolnic... Stara się chyba przyciągnąć jej uwagę, lecz za każdym razem wkracza między nich Aurelia Kotta, która ma oko na synową.

Na widok tych powtarzających się sztuczek Cezar doświadcza dziwnej przyjemności. Klodiusz chce chyba zostać kochankiem Pompei? Sama ta myśl jest mu obojętna, bawi go raczej. Już zdążył zapomnieć, jaki jest smak ciała jego żony, nie może jednak dopuścić, aby godność najwyższego kapłana została pokalana jej niewiernością! Chce się dowiedzieć, wypytuje, kim jest ten młodzieniec, którego żywość, nieostrożność, a także uroda zwracają jego uwagę.

- To zdeprawowany łajdak! - twierdzi Emiliusz. - Człowiek sprzedajny...

Może to jeden z tych młodych wykołajeńców z otoczenia Katyliny? Niewątpliwie sprzedał Cynceronowi dowody spisku, kiedy zrozumiał, że Katylina nie może zwyciężyć. Niektórzy zapewniają nawet, że podobno należał on do osobistej straży Cyncerona, w czasie gdy konsulowi groził zamach ze strony zabójców Katyliny.

- Żądny rozkoszy, pieniędzy, zbrodni i krwi... - ciągnie Emiliusz. Cezar zerka ukradkiem na swego sekretarza. Bawi go jego oburzenie. Czy jest ktoś, kto nie szuka rozkoszy i pieniędzy i kto pragnąc do nich dojść oraz zdobyć władzę, która też często toruje drogę do rozkoszy i pieniędzy, wahałby się zabijać? Gdzie jest taki ktoś? Czemu więc się przerażać, że ktoś wciela w życie to, co robią wszyscy?

Ludzie różnią się od siebie nie pragnieniami czy sposobami, jakich gotowi są użyć, aby je zaspokoić, lecz wielkością stawianego sobie celu.

Cezar przerywa Emiliuszowi. Chciałby mu wytłumaczyć, że należy wykorzystywać wszelkie namiętności, nawet zbrodnicze, czy chodzić będzie o Klodiusza, czy o Krassusa, czy o żądę władzy Pompejusza, aby przywrócić jedność i świetność Rzymu. Mówi jednak tylko, że chce wiedzieć wszystko na temat tego Klodiusza.

- Chcę, Emiliuszu, aby Rzym był potężny i zjednoczony.

Jest pewien, że jedynie on tego pragnie. Los Rzymu łączy się z jego własnym.

- Kiedy się wznosi świątynię - ciągnie - wykorzystuje się kamień i marmur. Ale potrzebna jest także zaprawa murarska, choć przypomina błoto. Klodiusz i inni będą naszą zaprawą.

Przyjmuje więc Klodiusza, który przechwala się i mizdrzy jak dziewczyna, która chce się podobać. Zapewnia, że może zebrać wokół siebie wiele dziesiątków młodych ludzi gotowych się bić.

- Daję ci ich, Gajuszu Juliuszu Cezarze! - wykrzykuje.

Cezar nie chce odpowiedzieć, dopóki nie pozna ceny tej oferty: czego w zamian zażąda Klodiusz? Prawa, by zostać kochankiem Pompei? Cezar się uśmiecha. Byłaby to rozsądna cena, a Klodiusz należy do ludzi, którym płaci się w taki sposób. Mówią, że był kochankiem jednej ze swoich rodzonych sióstr, poślubionej Lukullusowi - temu samemu, który karmi mureny mięsem niewolników. A jego druga siostra, Klodia, oddaje się każdemu, kto tylko zechce, w swoim domu nad brzegiem Tybru za zgodą swojego męża, senatora. Mówią, że nawet Cynceron nie pozostaje nieczuły na wdzięki Klodii.

Taki jest Klodiusz! I za pomocą takiego błota należy odbudowywać Rzym.

- Czego chcesz? - pyta Cezar tak cicho, że Klodiusz musi się pochylić.

Musi powtórzyć pytanie.

- Czego żądasz w zamian za przyjaźń? Uśmiech Klodiusza jest radosny, ale przelotny.

Mówi, że chce zostać trybunem ludowym. Ale do tego trzeba być plebejuszem, podczas gdy on jest nobilem. Konieczne jest więc, aby go adoptował jakiś plebejusz. Zaręcza, że potem będzie już umiał zdobyć głosy elektorów, a gdy zostanie wybrany na trybuna ludowego, będzie sojusznikiem Cezara.

- Nikt sobie nawet nie wyobraża, do czego będziemy mogli dojść, działając razem - mruczy.

Cezar odwraca głowę. Zaprawa jest niezbędna, by połączyć bloki marmuru i kamienia, lecz z koloru przypomina błoto i brudzi ręce. Trzeba poprzeć sprawę adopcji Klodiusza przez jakiegoś plebejusza i skorzystać z usług tego młodego łajdaka o dziewczęcej twarzy.

Lecz przede wszystkim trzeba pilnie zapobiec zawarciu przez senat przymierza z Pompejuszem. Należy więc uprzedzić senatorów, popierając trybuna ludowego Neposa, człowieka Pompejusza, który domaga się rychłego powrotu imperatora wraz z jego armią do Italii. Nepos chce, aby senat przegłosował idące w tym kierunku prawo, mimo że tradycja i zasady nakazują, aby wódz rozpuścił swoje legiony przed wkroczeniem na terytorium Rzymu.

Cezar stoi na mównicy obok Metellusa Neposa, który przemawia do tłumu, wzbudzając aplauz dla swego projektu. Tłum wykrzykuje imię Pompejusza.

Lecz oto na trybunę wstępuje Katon i zabiera głos, odmawiając zgody na zmiany w prawie. Stwierdza, że senat, ojcowie Rzymu, nigdy nie ustąpi i że choć wita w osobie Pompejusza zwycięskiego wodza, nie chce widzieć w nim człowieka, który sam stanowiłby prawa jak monarcha.

Cezar krzyżuje ręce na piersi, patrzy na tego człowieka odważnego, lecz trzymającego się kurczowo martwej przeszłości. I za każdym razem, gdy obaj mierzą się nawzajem wzrokiem, spostrzega, że senator jest jego zaprzysięgłym wrogiem i że nienawiść ta ma nie tylko polityczne podłoże. Katon nienawidzi go z powodu Serwili i Brutusa.

Katon nie rezygnuje. Obwieszcza dobitnie, że korzysta ze swojego prawa weta wobec projektu Neposa, popieranego także przez pretora Cezara.

Ustawa nie będzie więc głosowana.

Widzi, jak tłum zrazu się waha, potem jednak młodzi ludzie, gladiatorzy i uzbrojeni niewolnicy na żołdzie Neposa, a także inni pod komendą Klodiusza zaczynają ciskać w Katona kamieniami, spieszą pod trybunę, otaczają go, zaczynają się unosić pałki, na starca



spadają ciosy.

Cezar cofa się, trzyma na uboczu, ze skrzyżowanymi ramionami. Na każdego przychodzi kolej, senatorowie chcieli go przecież zabić! Nie należy jednak dopuścić do tego, aby Katon zginął. Ma tylko otrzymać nauczkę, żeby wiedział, że i on może wpaść w zasadzkę i że jego przeciwnicy także mogą wykorzystać bandy do rządzenia Rzymem.

Daje znak. Niech pozwolą Katonowi uciec i schronić się w świątyni Kastora.

Domyśla się jednak, widząc groźne spojrzenia schodzącego z trybuny Katona, słysząc wyzwiska rzucane przez jego ludzi, że *patres* zechcą się zemścić i wykorzystać ten incydent - gwałt zadany senatorowi - jako pretekst, aby spróbować go osłabić.

Cezar jest spokojny. Kilka dni później do jego pokoju wpada zdyszany i przerażony Emiliusz, mówiąc, że senat właśnie uchwalił złożenie z urzędu trybuna ludowego Metellusa Neposa oraz jego współnika, pretora, Gajusza Juliusza Cezara.

Przygląda się sekretarzowi, który spuszcza z zakłopotaniem głowę. Jak mężczyzna może do tego stopnia stracić zimną krew? Czuje dla Emiliusza litość, ale też odrobinę pogardy.

- Co robi Metellus Nepos? - pyta Cezar.

Emiliusz zaczyna mówić głosem zdyszany z emocji:

- Nepos opuścił Rzym, porzucił swój urząd. Ruszył na spotkanie Pompejusza, swego protektora i przyjaciela, na rzecz którego zgłosił ten projekt... To człowiek Pompejusza - dodaje z niepokojem.

- My także jesteśmy sprzymierzeńcami Pompejusza - mówi Cezar. - I nie dopuszczamy do tego, by senat zawarł z nim sojusz. - Wstaje, zawiązuje powoli pas swojej togi. - Pamiętaj, Emiliuszu, kiedy człowiekowi zagrażają dwie dzikie bestie, to trzeba je na siebie napuścić, niech jedna rozszarpuje drugą. I trzeba czekać, obserwując ich walkę; kiedy w końcu jedna z nich zostanie pokonana, to często i druga jest już poraniona. Wtedy wystarczy podejść i ją dobić.

Zbliża się do Emiliusza i opuszkami palców gładzi go po policzku, wzruszony pełnym oddania spojrzeniem młodzieńca.

- Dzikie bestie, Emiliuszu - ciągnie Cezar - są już tak ukształtowane przez naturę, że patrzą tylko na ziemię i są niewolnikami swego żołądka.

Gajusz Juliusz wraca do łoża, kładzie się i wyciąga ramię w kierunku Emiliusza.

- I tak samo, jak pierwsze lepsze zwierzę, zachowuje się też wielu ludzi. Ale kto chce nad nimi panować, kto chce ich ujarzmić i prowadzić, ten musi wiedzieć, że siła czynu bierze się przede wszystkim z duszy, z myśli. Pierwszeństwo i władza należą się duszy. Ciało

natomiast ma być posłuszne.

Emiliusz nadal stoi nieruchomo, zmieszany i onieśmielony.

- Nie obawiaj się, Emiliuszu... - Cezar gestem zachęca go, aby się zbliżył. - Chcę, abyś był mi posłuszny - szepcze.

Cezar budzi się ze wzdrygnięciem. Słyszy okrzyki tłumu skandującego jego imię. Odkąd senat pozbawił go funkcji pretora, nie czynił nic, by podburzyć plebs. Odesłał nawet swoich dwóch liktorów, chcąc pokazać senatorom, że pogodził się z ich decyzją. W pewnych momentach trzeba umieć schronić się przed burzą. Zamknął się więc w swej siedzibie i opuszczał ją jedynie, udając się do świątyni westalek. Zaznaczał w ten sposób, że wciąż jest najwyższym kapłanem, którego autorytet jest wyższy nad wszelkie napaści. Jako *pontifex maximus* jest osobą nietykalną. Aby pozbawić go tego stanowiska, musieliby go zabić. A tego nie ośmiela się jeszcze teraz zrobić, ponieważ wie, że dysponuje poparciem plebsu oraz Klodiusza, który wraz ze swoimi bandami krąży z pewnością po ulicach, podburzając do rewolty przeciwko decyzji senatu o złożeniu z urzędu trybuna Korneliusza Neposa i pretora Cezara.

Cezar wychodzi z Domus Publica.

Tłum jest ogromny. Wznosi okrzyki na jego cześć. Woła, że gotów jest mu przyjść z pomocą:

- Jesteś pretorem! I pozostaniesz pretorem!

Chce ich uspokoić, jest człowiekiem porządku.

- Należy szanować instytucje Rzymu!

Patrzy na cizbę, która pomału się rozchodzi. Wie, że uspokajające słowa, jakie właśnie wypowiedział, zostaną powtórzone senatorom. Pomyślał także, że cały plebs gotów jest powstać w jego obronie.

Toteż nie jest bynajmniej zdziwiony, gdy wkrótce przybywają bardzo podnieceni Emiliusz i Klodiusz, informując, że senat cofnął decyzję i wzywa go do Kurii, chcąc pochwalić jego zachowanie i przywrócić wszystkie jego prerogatywy jako pretora.

Cezar zwraca się do Emiliusza.

- Człowiek, który potrafi polować, który umie wykorzystać wszystkie swoje możliwości, zawsze będzie silniejszy od dzikiej bestii. Pamiętaj o tym, Emiliuszu!

Uśmiecha się, widząc dumne spojrzenie, jakie młodzieniec rzuca w stronę Klodiusza, zupełnie jak dziewczyna wyróżniona przez mężczyznę, którego pragnie.

## **Rozdział 21**

Na moich bliskich, na żonie Cezara nie powinien i nie może ciążyć choćby cień podejrzenia!

Cezar rozgląda się dookoła. Jest sam pośrodku atrium wielkiej willi w Suburze. Słyszy, jak w ogrodzie matka wydaje rozkazy niewolnikom swym niemal zawsze już ochryłym, starym głosem. Aurelia Kotta wróci za chwilę i zapyta go, co postanowił. Jednak jeszcze zanim wyszła z atrium, powiedziała mu już, jaka powinna być jego decyzja.

- Ty, Gajuszu Juliuszu Cezarze, nie możesz się na coś takiego zgodzić! - Idąc już do perystylu, rzuciła mu jeszcze: - To nie ty zostałeś obrażony, Juliuszu, lecz bogowie. A to przecież ty masz pilnować, aby okazywano im szacunek!

Cezar siada obok niszy kryjącej posążki bóstw larów. Patrzy na ten dom, w którym nie mieszka już na stałe, ale teraz spędził w nim dwa dni. Zna tutaj każdy kamień posadzki, każde pomieszczenie i każde malowidło na ścianie. Z tym domem wiążą się wspomnienia jego pierwszych marzeń. I miłości. Tutaj odbyły się zaślubiny z Kornelią i z Pompeją.

I właśnie o tę ostatnią teraz chodzi.

Aurelia Kotta nie oszczędziła żadnego szczegółu. Ona, jako najstarsza z kobiet wysokiego rodu w Rzymie, matka najwyższego kapłana, wywodząca się od bogów i ludzi, wyznaczona została do pokierowania obchodami ku czci Dobrej Bogini. Bona Dea była bóstwem płodności i obfitości. Drogą losowania na miejsce ceremonii wybrano dom Cezara. Uczestniczyć w święcie mogą wyłącznie kobiety, które dopełniają świętych obrządków, libacji i tańców, a potem ich ciała łączą się wśród ciepła, muzyki i zapachu perfum, składając hołd Wenus oraz Dobrej Bogini, zapewniającej im płodność i czyniącej z nich źródła rozkoszy, z których czerpią mężczyźni, by odzyskać siłę.

Żadnemu mężczyźnie nie wolno asystować przy tej świętej orgii. Nawet Cezar opuścił regię i przeniósł się aż do zakończenia obchodów do willi w Suburze.

Do domu Cezara jednak przedostał się mężczyzna. Przebrany był za kobietę i miał przy sobie lirę. Z twarzy przypominał młodą dziewczynę. Poprosił on o spotkanie z Pompeją, żoną Cezara, a potem, zniecierpliwiony, zamiast czekać w pokoju, do którego zaprowadziła go służąca, zaczął błąkać się po korytarzach i powiadomiona o tym Aurelia Kotta rozpoznała pod kobiecymi szatami Klodiusza, młodego utracjusza i rozpustnika, tego samego, który kręcił się w pobliżu Pompei i którego oddaliła, dziwiąc się pobłażliwości Cezara.

Uroczystości zostały przerwane, kobiety rozpierzchły się z okrzykami oburzenia, niczym ptaki spłoszone przez kota, który zakradł się do woliery.

Cezar wstaje, spaceruje dokoła atrium. Nie czuje się dotknięty. Nie jest oburzony ani

nawet zdziwiony. Czy któraś żona jest nie do zdobycia? Jego żona ma także ciało i jak każda jest zwierzyną łowną. Przecież Klodiusz nie ukrywał swoich zamiarów. To osobnik drapieżny, którego duszą rządzi żołądek. Czego można się po nim spodziewać?

Ale już są plotki i będą się dalej rozchodzić. Kobiety już gadają. Będą z niego szydzili, że „łysy gach”, kochanek wszystkich rzymskich żon, teraz sam został rogaczem. Będą się z niego śmiali! Senat uchwyci się tego incydentu, nada mu większy rozgłos. Klodiusz będzie sądzony za świętokradztwo. Czyż nie ośmielił się on złamać zakazu, wchodząc w dniu święta Dobrej Bogini do domu, który był wtedy zarezerwowany wyłącznie dla kobiet?

Cezar wie: ci wszyscy, Katonowie, Cynceronowie, którzy go tak nienawidzą, będą starali się jeszcze raz go utracić. Zwrócą się być może do Pompejusza, który właśnie wylądował ze swymi legionami w Brundyzjum i wolno posuwa się w stronę Rzymu. Imperator postanowił rozwiązać swoją armię i podporządkować się prawu, aby w ten sposób uspokoić senat. Czy przyłączy się do obozu senatorów?

Trzeba szybko działać!

Cezar idzie w kierunku ogrodu. Widzi czekającą na niego pośrodku perystylu matkę. Podchodzi do niej.

- Oddalę ją.

- Musi wiedzieć o tym każdy obywatel Rzymu - mówi na to Aurelia Kotta. Klaszcze w dłonie i przybiegają niewolnicy. - Gajusz Juliusz Cezar oddała swoją żonę Pompeję! - rzuca matka głosem, który nagle stał się z powrotem czysty.

Cezar wraca do domu i natychmiast po przyjsciu wydaje rozkaz, aby usunięto Pompeję. Czy oddała się Klodiuszowi? Nie chce znać odpowiedzi. Ona nic go nie obchodzi. Naprawdę dręczy go nie to, ale proces o świętokradztwo, jaki toczy się przeciwko Klodiuszowi. Nie wolno mu wpaść w pułapkę: Klodiusz jest tu jedynie przynętą, prawdziwą ofiarą ma być on, Gajusz Juliusz Cezar.

Idzie na Forum i wchodzi do Kurii. Udaje, że nie słyszy szemrania senatorów. Odwraca oczy, by nie widzieć ich ironicznych spojrzeń.

Wydaje się zajęty wyłącznie przygotowaniem do wyjazdu na prowincję. Z końcem kadencji pretora wyznaczono go bowiem na urząd propretora, gubernatora Hiszpanii Dalszej, Hispania Ulterior, pasa ziemi rozciągającego się w zachodniej części Półwyspu Iberyjskiego z północy na południe wzdłuż brzegu Oceanu.

Tylko czy będzie mógł wyjechać z Rzymu?

Przy wyjściu z senatu otaczają go wierzyciele i żądają swych należności. Zna każdą z

tych chciwych twarzy, są jak psy, które zatapiają kły w jego ciele, ponieważ się obawiają, by zwierzyna im się nie wymknęła. Jeśli wyjedzie z Rzymu, to czy uda się im uzyskać spłatę długów? Są zaniepokojeni.

Trzeba ich się pozbyć. Ale nie są to ludzie, którzy łatwo się poddają. To prawdziwe sępy, są znacznie bardziej niebezpieczni niż Katonowie i Cynceronowie, gdyż stać ich na przekupienie wszystkich, zabójców i pospólstwa, senatorów i trybunów, a nawet konsulów.

Musi ustąpić, wybrać się do Krassusa i przekonać go, aby udzielił nowej pożyczki na spłatę starych długów. Czy Krassus nie wie, że Pompejusz zbliża się do Rzymu, że zbierają się wokół niego żołnierze z całej Italii i że dzięki temu, choć rozpuścił on swoją armię, to i tak towarzyszy mu ogromne wojsko.

- Nie można mu się przeciwstawić w pojedynkę - kontynuuje Cezar.

Chce, aby Krassus zrozumiał, że propretor Cezar w Hiszpanii będzie dowodził legionami i w ten sposób stanie się przeciwwagą dla Pompejusza. Ale najpierw musi wyjechać z Rzymu do Hiszpanii, a w tym celu trzeba spłacić wierzycieli.

- Ty, Krassusie, możesz im przemówić do rozsądku, leży to w twoim interesie.

Bogacz spłaca długi. Lecz żąda, aby zagwarantowana mu została część pieniędzy, jakie Cezar zgromadzi w Hiszpanii Dalszej, oczywiście musi też być sprzymierzeńcem Krassusa przeciwko Pompejuszowi.

- I być po stronie Pompejusza przeciwko senatowi - mamrocze Cezar.

Ale odgaduje, że Krassus nie rozumie. Nie czas jeszcze mu to wyjaśniać. Na razie trzeba się udać do trybunału, gdzie sądzony jest Klodiusz.

Mówi się, że Klodiusz przekupił większość sędziów i zostanie uniewinniony. Czekają się na zeznania Cezara, które mogłyby zmienić bieg zdarzeń. Cezar unosi rękę. Przysięga wierność bogom i ludowi rzymskiemu, potem wpatruje się w Klodiusza. Piękny młodzieniec pod maską dezynwoltury ukrywa lęk, nadający bladości jego twarzy o grubych wargach. Uwolnić go od winy to będzie znaczyło przywiązać go do siebie.

- Ja nie oskarżam Klodiusza! Nic nie wiem na temat tego, co się stało w regii. Wierzę w szczerść i niewinność Klodiusza.

Oburzają się. Dziwią. Czyż Cezar nie odprawił swojej żony Pompei? Czy sam ten fakt nie jest już najcięższym oskarżeniem przeciwko Klodiuszowi?

Cezar powoli omiata spojrzeniem całą salę trybunału. Chce, żeby na jego twarzy widać było pogardę i lekceważenie. - Jestem najwyższym kapłanem - ciągnie silnym głosem. - Na moich bliskich, na żonie Cezara nie powinien i nie może ciążyć choćby cień podejrzeń!

I powoli wychodzi, zarzucając na lewe ramię połę togi.

## **Rozdział 22**

Zostaje jeszcze tylko zdobyć sławę.

A do tego potrzeba wojny, która przyniesie także obfite łupy...

Cezar rozsuwa zasłonki lektyki. Słyszy urywany oddech niosących ją niewolników i cofa się ze wstrętem. Odór ich potu jest obrzydliwy. Spuszcza z powrotem zasłonki. Wyciąga się ponownie i odwraca. Widzi profil Masynty, młodego księcia Numidii, którego wybrał sobie na towarzysza w tej długiej podróży - która potrwać może ze trzydzieści dni, zanim z Rzymu dotrą do Korduby, stolicy prowincji Hispania Ulterior, gdzie będzie mieszkał.

Przymyka oczy. Zna Kordubę. Mieszkał tam nawet parę lat temu - minęło już niemal osiem lat! - w pałacu namiestnika. Ale wtedy był tylko kwestorem. Teraz będzie propretorem, najważniejszym człowiekiem w prowincji.

Próbuje pohamować niecierpliwość, choć miałby ochotę podnieść zasłonki i rozkazać, by maszerowano szybciej, a może nawet powinien zostawić to łóżce i jego ospałe kołysanie, dosiąść konia i pocwałować aż do Hiszpanii. Im wcześniej zacznie sprawować swoje funkcje, do których należy także, po raz pierwszy, dowodzenie dużą armią, tym szybciej zgromadzi majątek, łupy, jakie spodziewa się wydrzeć nieposłusznym ludom. Pozwoliłoby mu to wydobyć się z bagna długów, w którym tkwi po uszy. Krassus wypłacił mu osiemset trzydzieści talentów, jest to ogromna suma, którą będzie trzeba mu oddać.

Pochyla się nad Masyntą. Uwielbia zapach brązowej skóry Numidyjczyka, jego delikatne rysy. Nie może powstrzymać się od uśmiechu, zadając sobie pytanie, czy źródłem przyjemności, jaką odczuwa, jest tylko owo młode ciało leżące obok niego, czy także to, że rzucił wyzwanie senatorom, zapraszając księcia, aby mu towarzyszył w drodze do Hiszpanii w chwili, gdy król Juba I z Numidii, sojusznik senatorów, żądał od Rzymu wydania Masynty. Nie wiadomo.

Rozkosz to szeroka rzeka, łącząca wiele dopływów. Nie sposób ustalić, skąd napłynęły wody płynące jej nurtem.

Muska policzek Numidyjczyka. Masynta wzdycha, lecz się nie budzi. Cezar zamyka oczy. Ma wrażenie, że każda z części jego ciała dostarcza mu radości.

Co wieczór na postoju, kiedy zanurza się do wody, wpierw gorącej, potem zaś lodowato zimnej, którą nalewają do misy niewolnicy, i kiedy go potem masują, sprawia mu rozkosz poczucie, że skóra ściśle okrywa mięśnie. Jego ciało jest twarde, pozbawione

tluszczu. Przeciąga rękami po swoim torsie, sam namaszcza czoło i policzki perfumowanym olejkiem. Cieszy się, że jego twarz jest chuda i koścista, tryska z niej energia, nie ma nalanych i gnuśnych rysów, jak tylu Rzymian splugawionych przez rozkosze i zbytek. Cezar pije i je niewiele. Chce przypominać ostry miecz. Przecież dopiero teraz, w wieku czterdziestu lat, przyjdzie mu stoczyć najcięższe i najbardziej decydujące bitwy.

Jego ciało napina się na samą myśl, że nareszcie będzie dowodził legionami. Będzie dysponował w Hiszpanii Dalszej dwunastoma tysiącami żołnierzy, to znaczy dwoma legionami, czyli dwudziestoma kohortami. Dalsze sześć tysięcy żołnierzy powołać chce spośród Hiszpanów, tych wieśniaków, których widział przy pracy na równinie rzeki Betis\*[\* Dzisiejszy Gwadalkiwir.] wokół Korduby. Wraz z tą armią spacyfikuje obszary na wybrzeżach Oceanu. Przyszło mu bowiem dowodzić na krańcu świata! Chciałby tam jak najszybciej dotrzeć i jak najszybciej powrócić do Rzymu, w wieńcu sławy, mając spłacone długi i pełne *skrzynie* bogactw. Plebs nie zapomni, *co Cezar* dla niego zrobił. Zawsze będzie dla nich najwyższym kapłanem, Klodiusz także będzie mu zawsze oddany. Jeśli zaś chodzi o Pompejusza i Krassusa, to ci dwaj będą się ze sobą kłócić, zazdrośni jeden o drugiego, i w ten sposób panem gry pozostanie senat. Albo jeden, albo drugi odwoła się do niego... Krassus, ponieważ będzie chciał odzyskać wypłacone sumy; Pompejusz, ponieważ znajdzie się sam przeciwko Krassusowi i senatowi.

Cezar szeroko oddycha, stara się zmniejszyć usztywniające go napięcie. Chciałby, żeby już był koniec tego roku i żeby wrócił zwyczajnie do Rzymu. Senat nie będzie mógł mu wtedy odmówić przyznania triumfu oraz będzie wreszcie kandydatem na konsula!

Aby jednak wszystko to się powiodło, musi każdego dnia mieć w głowie tylko swój cel, całe jego postępowanie musi do niego prowadzić, każda decyzja, jaką podejmie, musi być jak strzała wystrzelona w tym jednym kierunku.

Nie zapomina o nim, gdy w Kordubie i w Gades przyjmuje Hiszpanów przychodzących mu przedstawić skargi mieszkańców ich miast. Przygląda im się. Właściwie czemu nie mieliby oni zostać zrównani w prawach i obowiązkach z obywatelami Rzymu?

Przyrzeka im, że zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, aby tak właśnie się stało. Na bliskiego doradcę bierze jednego z Hiszpanów, Lucjusza Korneliusza Balbusa, który sam już jest obywatelem rzymskim. W miastach prowincji muszą wiedzieć, że Gajusz Juliusz Cezar uważnie wsłuchuje się w głosy wyrażające potrzeby ludności. Że broni jej przeciwko egoizmowi senatu.

Przejeżdża ulicami zakurzonych miast południowej Hiszpanii, gdzie panuje duszący upał. Tłum jest tak samo hałaśliwy jak w Rzymie i lichwiarze - czasami są to rzymscy ekwici

- są tu równie chciwi, trzymając swoich dłużników za gardło i sprzedając ich w niewolę po ograbieniu ze wszystkiego.

Stara się chronić biednych, nakazuje edyktem, by wierzyciele na spłatę długów zabierali każdego roku tylko dwie trzecie majątku dłużnika, w ten sposób umożliwiając przeżycie wszystkim.

Rozmyśla przy tym o plebsie rzymskim, który będzie trzeba chronić w taki sam sposób. Przypomina mu się, co powiedział mu młody Salustiusz: „Pieniądze narażają młodzież na zamięłowanie do zbytku i chciwość. Kiedy pieniądź jest w łaskach i pozwala zdobyć sławę, autorytet oraz nieograniczoną władzę, cnota słabnie, ubóstwo staje się hańbiące, bezinteresowność uważa się za złośliwość”.

Cezar podziela ten pogląd. Należy przywrócić cnoty przodków. Daje znak Emiliuszowi, że chce wysłuchać raportu o sytuacji Hiszpanii Dalszej.

Jego sekretarz zabiera się do tego z entuzjazmem. Trzeci legion jest już utworzony, składa się z hiszpańskich wieśniaków, ludzi silnych i walecznych. Jest on już w drodze, aby połączyć się z dwoma pozostałymi, które kierują się ku zachodowi i północy w celu spacyfikowania Luzytanii\*[\* Dzisiejsza Portugalia.

], której przylądki wrzynają się w Ocean, a następnie Galicji, gdzie, odwrotnie, to Ocean wdziera się w głąb lądu. Żołnierze - mówi - są żądni podbojów. Spodziewają się wziąć łupy.

- Pieniądze - wzdycha Cezar - to choroba, ale bez choroby nie ma zdrowia.

Skrzyżował ramiona na piersi, nie patrząc na Emiliusza. Wie, że spotka go ze strony tamtego niezrozumienie. Powierza Emiliuszowi zadanie uzyskania od miast okupu pod groźbą splądrowania ich przez armię. Trzeba dobrze opłacić żołnierzy, kupić broń i zapłacić za ładunki zboża i oleju, które płyną w górę rzeki Betis. Trzeba także zgromadzić pieniądze na spłatę długów i utworzyć sobie skarbiec konieczny do tego, aby po powrocie do Rzymu przekupić wyborców i opłacić bandy Klodiusza, dzięki czemu będzie mógł zostać wyznaczony na konsula w roku 59.

- Można zrobić dobry użytek z pieniędzy... - dodaje Cezar. Emiliusz objaśnia, że miasta posłusznie wypłaciły tysiące sestercji, sztaby złota. I że gromadzi się coraz więcej darów dla propretora Gajusza Juliusza Cezara. Kufry pełne są już złotych monet!

Zostaje jeszcze tylko zdobyć sławę. A do tego potrzeba wojny, która przyniesie także obfite łupy.

Cwałuje wzdłuż górującego nad Oceanem brzegu półwyspu. Czuje intensywną radość, jadąc na czele legionów, wśród chorążych. Lubi ten przynoszący deszcze wiatr od Oceanu,



wiejący z nieznanego świata, do którego nikt jeszcze nie dotarł.

Wjeżdża do morza na koniu i dzieli ze zwierzęciem jego dreszcz. Potem galopuje po plaży w rozbryzgach piany. Czuje na sobie spojrzenia tysięcy ustawionych w szeregi ludzi.

Ściska udami boki wierzchowca, który staje dęba i rży. To rozkosz dla całego ciała ujarzmić to zwierzę, przy którego narodzinach był obecny. Koń ten ma rozszczepione kopyta i Cezar sprowadził wróżbitów, aby wyjaśnili, co znaczą kopyta końskie w kształcie palców.

„To znak, że jego pan będzie władał światem” - orzekli wieszczkowie. Cezar wie, że żołnierze powtarzają sobie tę przepowiednię i podchodzą do konia z respektem, swego rodzaju świętym lękiem. Przygląda się im. W taki właśnie sposób przewodzi się ludziom. Muszą wierzyć w boskość tych, którzy rozkazują im ginąć. A wodzowie muszą umieć narażać swoje życie, wystawiać się na niebezpieczeństwo.

Lecz panem świata - to znaczy panem Rzymu - zostać może tylko ten, kto przeprowadzi zwycięską wojnę. Cezar pragnie więc tej wojny całym sercem. Ona uczyni go równym Mariuszowi i Pompejuszowi. Jest potrzebna, aby mógł się w niej wykazać odwagą, zdecydowaniem, odpornością, a także by mógł pokazać, że potrafi być bezlitosny i okrutny. Nie może się zadowolić zaprowadzaniem pokoju. Chce podbijać i eksterminować.

Ściga górali z północnej Hiszpanii, zmusza ich do opuszczenia gór Herminium i schronienia się na wybrzeżu. Depcze im po piętach, zmusza do walki, do ucieczki na wyspę na Morzu Kantabryjskim. Mógłby się zadowolić tym, że skazał ich w ten sposób na bezsilność, ale to mu nie wystarczy.

Cezar wygłasza przemowy do legionów. Nigdy nie doświadczał podobnie silnych wrażeń. Tysiące ludzi wznosi miecze. Wsiada wraz z kohortami na okręty flotylli, którą sprowadził do Gades, i jest wzruszony, gdy bryza znad Oceanu, który znaczy kres świata, chłoszcze go po twarzy.

Na wyspie wyrzyna górali do nogi. Jego żołnierze, kiedy powraca do nich na półwysp, witają go okrzykami i przyznają mu tytuł imperatora.

Podchodzi do Emiliusza, bierze go pod ramię.

- Każdy człowiek, który się stara, aby uznano go za istotę wyższą od innych stworzeń - mówi - musi dokonać najwyższego wysiłku, aby zdobyć rozgłos i nie spędzać życia jak zwierzę.

Teraz musi i może wrócić do Rzymu. Ma prawo do triumfu i chce zostać konsulem.

Opuszcza Hiszpanię. Rozpoznaje to poszarpane śródziemnomorskie wybrzeże, nad którym zawieszona jest Via Aurelia. Nie chce ulegać niecierpliwości, ale wie, że każdy dzień się liczy.

Lecz musi jednak wstrzymać marsz wojsk, które mu towarzyszą. Aby wejść do Rzymu ze swymi legionami i odbyć tam triumf, musi mieć zgodę senatu. Dowiaduje się, że Katon, wraz z innymi *patres*, usilnie zabiega o opóźnienie głosowania w tej sprawie. Aż w końcu odbędą się wybory na stanowisko konsula na rok 59, a tylko kandydat, który będzie obecny w Rzymie, może zostać wybrany.

Chodzi tam i z powrotem między żołnierzami. To pułapka zastawiona na niego przez Katona. Albo będzie mógł obchodzić triumf i nie zostanie wybrany na konsula, albo powróci do Rzymu i weźmie udział w wyborach, ale wówczas musi zarzucić myśl o triumfie.

Trzeba wybierać.

W Rzymie sytuacja jest napięta. Krassus sprzymierzył się z Katonem i z senatem, aby pokonać Pompejusza. Pompejusz jest więc sam i potrzebuje sojusznika.

- To nie może być nikt inny, tylko ty, Gajuszu Juliuszu Cezarze! - powtarza Emiliusz.

Cezar powstrzymuje go gestem dłoni. Młodzieniec przecenia jego siły, Cezar jeszcze nie może dyktować swoich warunków. Jeszcze nie nadeszła chwila, aby uderzeniem miecza przecinać rzymskie intrygi. Trzeba napuścić na siebie rywali, Pompejusza, Krassusa, Katona, pilnując, aby się w tej walce jak najbardziej wyczerpali. Tylko wtedy, gdy będzie to sprzyjać jego karierze, Cezar może dopomóc któremuś z nich.

- Trzeba na razie być cierpliwym - stwierdza.

Powinien więc sam powrócić do Rzymu, podporządkować się prawu, porzucając myśl o odbyciu triumfu. Trzeba wybrać urząd konsula.

- Sam? - wykrzykuje Emiliusz zatrwożonym głosem.

- Ja sam jestem armią - mówi Gajusz Juliusz Cezar.

## **Rozdział 23**

Jeśli my trzej będziemy działać razem w triumwiracie, to nikt nie będzie mógł narzucić nam  
swej władzy!

Cezar rozkłada szeroko ramiona, dłonie ma otwarte. Zwraca głowę kolejno w stronę Pompejusza i Krassusa, ale ani jeden, ani drugi nie wykonuje żadnego ruchu. Ignorują jego gest, jakby nie dostrzegali dwóch miejsc naprzeciwko siebie po dwóch stronach stołu nakrytego czerwoną serwetą, na którym piętrzą się stosy owoców i dzbany chłodnego wina. Cezar obserwuje ich przez chwilę. Wyglądają jak dwa dzikie zwierzęta wpuszczone na arenę.

Pompejusz ma władczy wygląd wodza armii, stoi na rozstawionych nogach, z uniesionym podbródkiem i ramionami skrzyżowanymi na piersi. To lew pewien swej siły.

Wie, że popierają go tysiące weteranów, którzy brali udział w kampaniach na Wschodzie pod jego dowództwem. Ma także poparcie niektórych senatorów. Również plebs nie pozostaje obojętny na jego sławę i oklaskuje jego triumfy.

W porównaniu z nim Krassus wydaje się niski, niemal zupełnie niepozorny, lecz z jego dużej głowy zagłębionej w szerokich ramionach emanuje niepokojąca siła. Rysy twarzy wyrażają chciwość, okrucieństwo i pogardę. Nie patrzy na Pompejusza, ale Cezar czuje, że gotów jest skoczyć jak lampart;.

Cezar robi krok do przodu. Gdyby pozostawił tych dwóch ludzi sam na sam, skoczyliby sobie do gardeł i żeby ich rozdzielić, trzeba byłoby im poucinać głowy.

Kłania się, raz jeszcze powtarzając swój gest i pokazując rozłożonymi ramionami ich miejsca, potem zasiada w fotelu, który kazał umieścić pośrodku sali, w równej odległości od obu swoich gości.

- Jesteście dwoma potężnymi filarami Rzymu - zaczyna. Zwraca się do Pompejusza. - Czy ktoś może podawać w wątpliwość twoją sławę, imperatorze? Czy ktoś może zabronić weteranom, aby cię kochali? A jednak tobie, wodzowi, który wraz ze swymi legionami podbił Azję, odmawia się możliwości nadania swym żołnierzom ziemi, do której mają prawo.

Pompejusz waha się, potem siada, ramiona ma jednak wciąż skrzyżowane.

Teraz Cezar patrzy na Krassusa, który z zaciętą twarzą i z odętymi wargami także w końcu zajmuje swoje miejsce.

- Ty, Krassusie, możesz kupić cały Rzym. Bez ciebie nic się w mieście nie może odbyć. A jednak nie przyznają ci chwalebne dowództwa, które by ci się należało. - Wstaje, zaczyna chodzić po sali, pokazuje na kolumny perystylu i widoczny za nimi ogród z wielkimi piniami o szerokich koronach. - Wszyscy trzej - ciągnie - dobrze służyliśmy Rzymowi, ja jako najwyższy kapłan, *pontifex maximus*, oraz imperator i wy, którzy byliście już konsulami i bez których Rzym zostałby pokonany, a plebs byłby głodny i skory do buntu. Ale czy ktoś pamięta, że to wy rozgromiliście bandy niewolników i ukrzyżowali te dzikie zwierzęta, które szły za Spartakusem? - Urywa, siada z powrotem. - I oto my trzej, którzy zaprowadzaliśmy porządek w prowincjach, ukročiliśmy powstanie niewolników i napaści piratów, my, których oklaskuje plebs i legiony, musimy spotykać się tutaj, poza *pomerium*, poza granicami Rzymu, jak osoby podejrzane. Czy to jest sprawiedliwe?

Milknie. Słychać szmer fontann. Klaszcze w dłonie i do sali wchodzi niewolnicy, napelniają kielichy winem, podają je Krassusowi i Pompejuszowi, po czym wychodzą.

- Jeśli można nas tak znieważać - ciągnie Cezar - i nie przyznawać nam tego, co nam

się należy, to tylko dlatego, że nie jesteśmy zjednoczeni i można prowadzić grę z każdym z nas oddzielnie. - Zwraca się do Pompejusza. - Cynceron ci schlebia, Pompejuszu, ale wszędzie opowiada, że wystarczy złożyć ci jakieś obietnice, abyś stał się łagodny jak tresowany pies. Czyż nie podporządkowałeś się i nie rozwiązałeś swej armii? A senat i tak odmawia uznania prowincji wschodnich, które podbiłeś...

Pompejusz spuszcza głowę. Cezar patrzy teraz na Krassusa.

- Ty...

Krassus jednym skokiem wstaje i zaczyna chodzić po sali.

- Co proponujesz, Gajuszu Juliuszu Cezarze? - przerywa mu. - Zapraszasz nas tutaj, przychodzimy cię wysłuchać, a ty mówisz nam o nas! Dobrze wiemy, kim jesteśmy, jakie są nasze siły i słabości.

Podchodzi do Cezara. Jest brzydki, przez twarz przebiegają mu skurcze, oczy ukryte ma pod krzaczastymi brwiami.

- My możemy ci powiedzieć o twoich siłach i słabościach! - ciągnie. - Plebs cię kocha, to fakt. Bandy twego sojusznika, Klodiusza, krążą po Suburze. Wzbudzają powszechny strach. Jesteś imperatorem i najwyższym kapłanem. Ale to już wszystko i nie jest tego wiele! Nie masz nawet dość złota w swoich skrzyniach, żeby kupić głosy, które pozwoliłyby ci zostać konsulem... - Nachyla się nad Cezarem. - I to jest to, czego potrzebujesz! Ja mogę ci pożyczyć pieniądze - śmieje się - mam ich więcej niż trzeba. Mogę kupić wszystkie urzędy w Rzymie. Ale co ty mi możesz zaoferować?

Cezar gestem nakłania go, by usiadł z powrotem. Krassus chwilę się waha, jakby otrzymał policzek. Wraca jednak na miejsce.

Zwierzę jest już wytresowane. Cezar doświadcza wspaniałego poczucia siły.

- Tobie, Krassusie, nie oferuję niczego - mówi. - Także tobie, Pompejuszu, nie oferuję niczego. I o nic nie proszę żadnego z was z osobna. - Wstaje, powoli krzyżuje ramiona na piersiach. - Ale nam trzem, jeśli się zjednoczymy, oferuję wszystko! W Rzymie nie będzie się mogło wydarzyć nic, co mogłoby się nie spodobać któremuś z nas trzech. - Unosi zaciśniętą prawicę. - Jeśli my trzej będziemy działać razem w triumwiracie, to nikt nie będzie mógł narzucić nam swej władzy!

Zwraca się znowu do Pompejusza.

- Ty, Pompejuszu, któremu Cynceron schlebia i którego zarazem obraża, będziesz dysponował ziemią, którą rozdzielił między weteranów.

Robi teraz kilka kroków w stronę Krassusa.

- Ty, Krassusie, sądziłeś, że znalazłeś w Katonie sojusznika, teraz widzisz, że on cię na każdym kroku oszukuje i że zabiega tylko o jeden cel: o rządy *patres*, o ich zwycięstwo nad tobą i nad Pompejuszem, i nade mną. Katon jest wrogiem nas trzech. Teraz, Krassusie, będziesz miał swoje dowództwo i będziesz mógł sobie wynagrodzić wszystkie wydatki, jakie poniosłeś na Rzym. - Rozkłada palce swej ciągle uniesionej ręki, po czym zaciska je znowu. - Ale musimy się zjednoczyć. We trzech jesteśmy niezwyciężeni. Możemy rządzić Rzymem.

Wskazuje Pompejusza.

- Ty, Wielki Pompejuszu, masz sławę i swoich żołnierzy. Pokazuje na Krassusa.

- Ty dysponujesz potęgą pieniądza i masz w sobie odwagę żołnierza i okrucieństwo wodza.

Cezar siada.

- Ja... - Uśmiecha się. - Przyszliście tutaj, podporządkowaliście się prawu nadanemu przez senat i spotykacie się ze mną poza *pomerium*, znaczy to więc, że wiecie, kim jestem i co mogę.

Krassus wybucha nagle śmiechem, podchodzi wielkimi krokami do stołu, napełnia swój kielich winem i wypija długi haust.

- Ja nawet wiem, czego ty chcesz, Cezarze. Chcesz zostać wybrany na konsula w roku 59.

- Jeśli zostanę konsulem... - zaczyna Gajusz.

- Zostaniesz konsulem! - mówi Pompejusz. - Ja cię poprę. A jeśli Krassus dorzuci swoją siłę do mojej, to kto inny będzie mógł zostać wybrany?

Cezar spuszcza głowę. Będzie konsulem, wie o tym. W wieku czterdziestu dwóch lat zdobędzie najwyższy urząd w republice. Będzie miał *imperium*, władzę. Będzie kierował armiami Rzymu, a gdy jego kadencja dobiegnie końca, zostanie prokonsulem i obejmie jedną z prowincji. A potem będzie mógł powrócić i zostać jedynym panem Rzymu. Jedynym władcą, bogiem i królem, jakiego temu miastu potrzeba, odkąd panuje ono nad światem.

- Jako konsul - stwierdza - będę tym, który was jednoczy. - Zaciska pięść. - Będziemy rządzić Rzymem.

Pompejusz i Krassus wstają, podchodzą do siebie. Cezar się do nich przyłącza. Wszyscy trzej wyciągają ramiona, splatają ze sobą ręce.

Jest lato roku 59- Nużący i szary upał okrywa Rzym grubym woalem. Cezar siedzi w atrium, najchłodniejszym miejscu w całym domu.

Minęło zaledwie parę godzin, odkąd został wybrany na urząd konsula. Spuszcza głowę, oczy ma zamknięte. Słyszy wiwaty tłumu, który nie chce opuścić Via Sacra, tłoczy się

przed willą i skanduje: „Niech żyje konsul, Gajusz Juliusz Cezar!”

Wzdłuż całej trasy między Kurią a regią plebs cisnął się wokół niego, pomimo że u jego boku maszerowała straż złożona z dwunastu liktorów.

Słyszy jakiś hałas, podnosi powieki: Emiliusz chce do niego wejść. Cezar odsyła go jednak skinieniem głowy. Wie, co sekretarz chce zakomunikować. Że drugim konsulem wybranym razem z nim na rok 59 nie został przewidziany na to stanowisko człowiek Pompejusza, lecz Marek Kalpurniusz Bibulus, ten sam, który był razem z nim edylem kurulnym, jego wróg i rywal, a przyjaciel i kandydat Katona.

Będzie więc musiał dalej czuć na sobie robactwo intryg, posuwać się tak, by uniknąć pułapek, udaremniać spiski. Katon nie dał za wygraną! Czy kiedyś przyjdzie taki dzień, że nie będzie już miał wrogów? Jowisz sam rządzi na szczycie Olimpu.

Trzeba więc znaleźć się na szczycie, skąd będzie można spoglądać, jak bóg albo król, na trzęsawiska w dole, w których roi się od zawistnych ludzi bez przeznaczenia.

Naraz Cezar czuje chłodny powiew i za chwilę krople deszczu zaczynają wpadać w otwór nad atrium, *compluvium*. Rozpętuje się burza. Szybko zapada ciemność, rozdzielana przez następujące jedna po drugiej błyskawice, ziemia się trzęsie.

Chce poczuć tę boską wodę na twarzy. Wychodzi do ogrodu. Przetacza się grzmot, błyskawice przecinają zygzakami horyzont, łącząc niebo ze wzgórzem Kapitolu. Tak przemawiają bogowie, na swój sposób witają jego wybór na stanowisko konsula.

Niewolnicy biegają we wszystkie strony, krzycząc, że Tyber wylewa, że woda porwała łodzie w Ostii i most Sublicius, że błotniste nurty niosą ze sobą całe drzewa z korzeniami, że zmiotły amfiteatr w budowie i że pozawalały się domy, grzebiąc pod cegłami i błotem setki mieszkańców.

Bogowie przemawiają. Zapowiadają przemoc, śmierć i wojnę.

Cezar podnosi głowę. Deszcz spływa po jego twarzy. Gotów jest stawić czoło wszystkim burzom.

## **Rozdział 24**

W Rzymie wałęsa się pełno dzikich psów!

Są wychudzone i zgłodniałe.

Jestem konsulem, mogę je nakarmić...

Cezar, nieruchomy ze skrzyżowanymi rękami, obserwuje haruspików, którzy swymi zakrzywionymi laskami wykreślają na ziemi granice świętego obszaru, gdzie będą sprawować

ofiarę.

Spuszcza oczy i czuje przyływ dumy na widok purpurowego szlaku bramującego jego białą togę.

Jest konsulem, osiągnął swój cel. Posiada *imperium*, będzie rządził Rzymem i dowodził jego armiami. Musi zadbać, aby rok 59 - rok, w którym kończy czterdzieści dwa lata - nie był jedynie świetnym epizodem jego życia, który dobiegnie kresu wraz z upływem rocznej kadencji na stanowisku konsula. Musi podczas tych miesięcy położyć fundament pod przyszłe rządy nad Rzymem. Temu zadaniu należy wszystko podporządkować.

Trzeba być bezlitosnym. Musi powiększyć swoje wpływy, zmusić patrycjuszy do posłuchu i zdominować swoich dwóch sprzymierzeńców, Pompejusza i Krassusa - widzi ich w pierwszym szeregu tłumu cisnącego się w świątyni Jowisza Kapitońskiego.

Odwraca się. Napotyka spojrzenie Bibulusa. Trzeba zmusić tego człowieka do spuszczenia wzroku, żeby zrozumiał, że będzie musiał się ugiąć, wcale nie będzie sprawował funkcji konsula co drugi miesiąc tak, jak to nakazuje prawo. Trzeba zepchnąć w cień drugiego konsula. Cezar musi rządzić samodzielnie.

Bibulus, jakby nie chcąc pokazać, że unika konfrontacji, ucieka wzrokiem, postępuje o krok do przodu, zbliża się do granicy świętego obszaru, gdzie haruspikowie wymachują wnętrznościami i wątrobą kurcząt. Wypina pierś, mówi głośno, składa dzięki bogom. Jakby bogowie pozwalali odgadywać swe zamiary z dymiących wnętrzności zwierząt! Są oni bardziej skryci i przebiegli!

Trzeba jednak udawać. Cezar staje obok Bibulusa, który cofa się nagle, gdyż pojawiają się niewolnicy trzymający za rogi i ogon czarnego byka o szerokiej białej piersi. Nogi zwierzęcia są spętane, mimo to wierzga i szoruje racicami o kamienne płyty. Z pyska cieknie mu ślina, a oczy nabiegły krwią.

Jeden z haruspików wbija nagle zwierzęciu w szyję krótki miecz aż po rękojeść. Byk trzęsie się, rzuca, potem jego przednie nogi uginają się i pada.

- Chwała Jowiszowi! - woła haruspik.

- Niech tak samo zginą wrogowie Rzymu - dodaje Cezar. Wpatruje się w Bibulusa. Chce, żeby tamten wyczytał w jego wzroku pogroźkę. Oto los, jaki zgotuje tym, którzy mu staną na drodze!

Cezar wraca do domu, otoczony swiątą dwunastą liktorów, wśród owacji tłumu. Patrzy na tych ludzi niosących na lewym ramieniu *fascēs* - wiązkę różeg z wystającym toporem związaną czerwonym rzemieniem - to symbol *imperium* konsula. Kiedy będzie rządził Bibulus, to on będzie dysponował liktorami oraz władzą. I w każdym miesiącu swoich

rządów będzie mógł zmienić decyzje z poprzedniego miesiąca. Co pozostałoby po Cezarze na koniec sprawowania urzędu konsula, gdyby tak na bieżąco usuwać ślady jego działalności?

Trzeba zamknąć Bibulusowi usta. A na początek przeprowadzić postanowienie, że konsulowie będą dysponowali oznakami swej władzy nawet w miesiącach, gdy nie sprawują urzędu.

Emiliusz dziwi się i nie może zrozumieć. Czy to nie znaczy, że przyznaje się Bibulusowi władzę, którą przecież Cezar, jak się zdaje, chciał mu odebrać?

- Niedługo Rzym zapomni, że Bibulus jest konsulem - odpowiada Cezar. - Może nawet on sam o tym zapomni.

Nie podoba mu się głupkowaty uśmiech Emiliusza, kiedy w końcu młodzieniec pojął, że liktorowie zawsze będą u boku Gajusza

Juliusza Cezara, nawet w tych miesiącach, gdy zgodnie z prawem będzie on przekazywał władzę Bibulusowi. Chce, żeby Emiliusz zrozumiał, że walka będzie okrutna i być może poleje się krew, jak ta niemal czarna posoka, która trysnęła z przebitego gardła ofiarnego byka.

- Oni mnie jeszcze nie znają! - mówi Cezar.

Zamyka oczy. Czuje w sobie taką siłę woli, takie pragnienie dojścia do władzy, że ma wrażenie - którym przez chwilę jest nawet zaniepokojony - iż nie zna jeszcze sam siebie.

Przyjmuje Klodiusza. Tamten wie, po co się go wzywa. Jest drapieżnikiem, wilkiem bądź szakalem, którego zawsze potrzebuje człowiek u władzy. Cezar patrzy na tę twarz o subtelnych rysach, na której gnuśność, rozpusta, zazdrość i okrucieństwo wycisnęły już piętno.

- Należę do ciebie, Gajuszu Juliuszu Cezarze... Rozkazuj, a tak się stanie. Mogę być panem wszystkich ulic Rzymu, jeśli tego zechcesz. Ty jesteś konsulem, ja będę twoim mieczem!

Cezar uśmiecha się, podchodzi do niego. Trzeba dotknąć ramienia tego zwierzęcia, uznać je za część samego siebie. Bo czym jest władza, jeśli brak jej ostrza, które zabija, i szczęk, które rozszarpują?

- Bądź zawsze ze mną, Klodiuszu. Sam będziesz umiał osądzić, co powinieneś zrobić.

Obejmuje i ściska Klodiusza.

- Muszę zwyciężyć. Dla Rzymu i dla jego ludu. A także dla ciebie. Senatorowie tego nie chcą. A ja nie mogę... Rzym nie może się zgodzić, aby oni się sprzeciwiali moim postanowieniom.



Robi kilka kroków, potem odwraca się znowu do Klodiusza, którego ręka zaciska się na rękojeści miecza.

- Odwołam się przeciwko nim do zgromadzenia ludu. Ale oni nie będą chcieli dopuścić, aby lud się wypowiedział, będą starali się na niego wpłynąć. Opłacą zbrojne bandy, chcąc go zastraszyć. Wiesz o tym, Klodiuszu?

Młodzieniec o przydomku Pulcher, Piękny, pogardliwie wydyma wargi.

- Wpadniemy we wściekłość - mówi. - Ty przecież jesteś konsulem. Ty masz *imperium*. Doprowadzimy razem z tobą do tego, że zapanuje prawo.

Cezar znowu mu się przypatruje. Ten człowiek jest psem, który potrzebuje pana, trzeba go nagradzać, rzucając mu kawał mięsa.

- Nadal pragniesz zostać trybunem ludowym? Oczy Klodiusza nagle rozbłyskują.

- Oni nigdy się na to nie zgodzą - ciągnie Cezar - ale ja tego chcę.

- Należę do ciebie, Gajuszu Juliuszu Cezarze - zapewnia Klodiusz na odchodnym.

Cezar gestem przywołuje Emiliusza, potem Balbusa. Ma pełne zaufanie do tego Hiszpana, obywatela rzymskiego, oddanego i inteligentnego jak Emiliusz, ale potrafiącego też gryźć i rozszarpać jak Klodiusz.

- Potrzebna mi jest banda - objaśnia Cezar. - Patrycjusze mają swoich zbirów. Nasi powinni być groźniejsi i liczniejsi.

- Klodiusz... - zaczyna sekretarz. Cezar podnosi rękę, przerywa mu.

- Do polowania potrzeba wielu psów.

- Jest Publiusz Watyniusz, trybun ludowy - proponuje Balbus.

Podobnie jak Krassus i Pompejusz będzie on należał do jawnych stronników, bez których nie można by było przeprowadzić zwycięskiej kampanii w senacie, pokonać Bibulusa, Katona, Cyncerona, wszystkich tych optymatów, patrycjuszy uczeplonych własnych przywilejów, majątków, władzy i swoich skostniałych pojęć. Ale żeby wdrzeć się do twierdzy i ich osłabić, potrzebni są ludzie tacy jak Klodiusz.

- W Rzymie wałęsa się pełno dzikich psów! - ciągnie Cezar. - Są wychudzone i zgłodniałe. Jestem konsulem, mogę je nakarmić.

Odwraca się do Balbusa, ujmuje Emiliusza pod ramię.

- Potrzebna mi jest banda - powtarza. - Chcę mieć psy o ostrych kłach, zdolne skoczyć do gardła na moje jedno spojrzenie. Chcę, żeby umiały one także leżeć, warować i czekać na odpowiednią chwilę. Chcę ludzi gotowych na wszystko, Balbusie!

- Będziesz ich miał, Gajuszu Juliuszu.

Emiliusz kłania się. Cezar kładzie dłoń na karku młodego człowieka.

- Dowiedzą się, kim jestem! - Głaszcze Emiliusza po włosach. - Ty już wiesz - szepcze. Czuje dreszcz przebiegający po ciele młodzieńca.

- Zostań - rzuca, ruchem dłoni odsyłając Balbusa. Przyciąga Emiliusza do siebie. Trzeba rozkoszować się wszystkim.

Odczuwa przyjemność, widząc przygnębione i nienawistne twarze *patres*, kiedy proponuje im przegłosowanie ustawy przeciwko zdzierstwom. Namiestnikom nie będzie wolno przyjmować od podległych im mieszkańców sum przekraczających dziesięć tysięcy sesterców. W tej chwili większość patrycjuszy, którzy powołują się na cnoty republikańskie, bogaci się albo zwraca sobie koszty poniesione na wygranie wyborów.

Widzi, jak kurczą się na ławie. Czy mogą odmówić przegłosowania tej ustawy albo innej, w myśl której obrady senatu stałyby się jawne, ponieważ publikowano by sprawozdania z posiedzeń? Obywatele mają prawo wiedzieć.

Spostrzega wśród senatorów Bibulusa. Konsul gestykuluje, ma zaczerwienioną twarz. Powinien im wyjaśnić, że nie mogą się sprzeciwić tym posunięciom pod groźbą napaści plebsu na Forum.

Boją się. Dostrzegają swoją bezsilność. Trzeba więc uderzyć jeszcze mocniej.

Cezar występuje naprzód. Mówi, że trzeba nadać ziemię weteranom Pompejusza, którzy dobrze służyli Rzymowi, oraz wszystkim obywatelom, którzy nie mogą wyżyć z darmowego rozdawnictwa zboża i jałmużny. Proponuje przyznanie działek ziemi w Kampanii dwudziestu tysiącom żołnierzy i plebejuszom. W półmroku Kurii domyśla się, jak marszczą się z goryczą twarze senatorów. Słyszy szemranie. Nie jest zaskoczony, gdy wstaje Katon i mówi, że ma prawo wyjaśnić, dlaczego jest przeciwny *lex Iulia agraria*.

Katon zaczyna wolno przemawiać, a czas płynie. Cezar czuje przyływ lodowatej wściekłości. Ten konserwatysta chce najwyraźniej perorować aż do zachodu słońca, kiedy trzeba będzie przerwać posiedzenie bez głosowania.

- Oni mnie nie znają!

Nachyla się do Emiliusza. Niech liktorowie schwytają Katona, mają go na rozkaz konsula wyprowadzić z Kurii i trzymać w areszcie!

Senatorowie muszą go poznać. Muszą zobaczyć, na co stać Gajusza Juliusza Cezara, kiedy jest konsulem. Tego właśnie potrzeba.

Widzi, jak Katon szarpie się, ale w końcu ulega i pozwala się wyprowadzić liktorom.

Powie im z całą pogardą, jaką czuje wobec tych ludzi, że postanowił, iż ustawa rolna

zostanie przegłosowana przez lud, zebrany na komicjach. I niech wtedy spróbują się jej sprzeciwić! Klodiusz nie będzie nawet musiał spuszczać na nich swoich psów. Plebs sam na nich skoczy.

- *Patres* - zaczyna Cezar - powołałem was na sędziów i arbitrów tego projektu, żeby ktoś spośród was potem nie zarzucał, że został on przedstawiony ludowi, zanim uzyskał waszą aprobatę. Nie raczyliście jednak nawet rozpocząć głosowania. Wobec tego, senatorowie, lud sam zadecyduje.

Wychodzi na trybunę Forum. Mówi: „Ziemia należy do obywateli Rzymu!” Słyszysz owacje.

Katon - znowu on! - ledwie co wypuszczony z więzienia zaczyna przemawiać i pomstuje przeciw konsulowi uważającemu się za króla. Cezar widzi, jak Klodiusz jednym skinieniem głowy spuszcza swoje psy. Uzbrojeni ludzie ściągają Katona z trybuny. A kiedy Bibulus krzyczy: Ja jestem konsulem! Tej ustawy nie będzie, jeśli konsul Rzymu, Bibulus, równy Cezarowi, nie wyrazi zgody! A ja się nie zgadzam! Ta ustawa nie przejdzie w tym roku, nawet gdybyście wszyscy tego chcieli...”, Cezar trzyma się z tyłu nieporuszony. Należy uciszyć Bibulusa. Rzuca spojrzenie Klodiuszowi i jego ludzie ruszają, łamią różgi liktorów otaczających Bibulusa, wznoszą pałki, a rozszalały plebs wylewa na drugiego konsula wiadra gnojowicy. On i jego stronnicy, pokaleczeni, brudni i pokonani, zostają wśród obelg zmuszeni do ucieczki.

Ustawa zostanie przegłosowana.

Krassus i Pompejusz podchodzą do Cezara. Pierwszy potwierdza swoje poparcie, a drugi donośnie obwieszcza: Jeśli ktokolwiek ośmieli się wyciągnąć w tej sprawie miecz, ja wezmę swoją tarczę!”

- Nikt nie może się przeciwstawić naszym połączonym siłom - mówi Cezar.

Teraz czuje to i widzi: boją się go. Milkną, kiedy przechodzi obok. Zgadzają się na jego propozycje. Przeprowadza sprawę organizacji prowincji po myśli Pompejusza. Reformuje wymiar sprawiedliwości tak, aby nie tylko arystokraci mieli coś do powiedzenia w trybunałach. Od tej pory głosować będą poszczególne stany i także ekwici będą mieli udział w decyzjach. Cezar chce się oprzeć właśnie na nich - ludziach, którzy założyli spółki finansowe, którzy pożyczają pieniądze na lichwiarski procent i którzy jako publikanie, dzierzawiący od senatu prawo zbierania podatków, rozdzielili między siebie prowincje państwa rzymskiego.

Tutaj są pieniądze, a więc jedno ze źródeł władzy: obok siły zbrojnej, sławy, boskiego zrządzenia oraz strachu, jaki wszystko to wywołuje u ludzi. Cezar zaś potrzebuje pieniędzy.

Musi bowiem zwrócić resztę długów Krassusowi i opłacić bandy Klodiusza. Postanawia więc, że pobierający podatek publikanie będą mogli zatrzymać dla siebie o jedną trzecią wpływów więcej. Cezar ma udziały w ich spółkach, podobnie jak Krassus. Tak więc i drugi sojusznik został nagrodzony - przedtem Pompejusz uzyskał nadanie ziemi dla swoich weteranów oraz uznanie swych wschodnich podbojów.

Kto ośmieli się wystąpić przeciwko Cezarowi? Bibulus?

- Zamknął się u siebie - donosi Klodiusz. - Jest przerażony. Wie, że jesteśmy zdolni do wszystkiego. Już nie odważa się wychodzić na miasto, nawet w towarzystwie swoich liktorów. Ale gada, złorzeczy. To opłacani przez niego ludzie rozklejają każdej nocy na murach nowe afisze z oszczerstwami i zniewagami pod twoim adresem, Gajuszu Juliuszu Cezarze! Co mamy zrobić?

Cezar nie chce odpowiadać Klodiuszowi. Trzeba umieć pokazać psom z jego własnej sfory, że ich pan jest tak silny, że może nie zwracać uwagi na oszczerstwa.

Naprawdę szczerze gardzi Katonem, Cyceronem i Bibulusem, którzy chodzą i rozprowadzają, że Cezar wraz Krassusem i Pompejuszem utworzył „dziewkę o trzech głowach”, że Cezar jest „stajnią Nikomedesa”, „burdelem bityńskim”, że „Pompejusz jest królem, a Cezar królową!”

Nie powinien jednak pozostawać bierny. Każdego ranka przed afiszami zbiera się tłum, ludzie plotkują, że Cezar podarował Serwili perłę wartą sześć milionów sesterców i że ona oprócz własnego ciała oddała mu także ciało swej młodej córki, Tercji.

Oczywiście tłum szydzi z Bibulusa, z tego konsula, który nic nie robi i tylko chowa się tchórzliwie, tak samo zresztą jak Cyceron! Ludzie żartują, że rok 59 nie jest rokiem konsulów Cezara i Bibulusa, ale „Cezara i Juliusza”.

Trzeba jednak mimo to odpowiedzieć. Nie wolno nigdy zapominać o wrogach. Dopóki nie są martwi albo się nie poddali, mogą być niebezpieczni. A patrycjusze czekają teraz, aż skończy się rok, chcą bowiem anulować wszystkie podjęte przez niego decyzje, a jego samego postawić w stan oskarżenia.

Nie wolno się zatrzymywać w połowie drogi na szczyt.

Trzeba działać przeciwko nim, a w tym celu musi zdobyć jeszcze więcej pieniędzy, aby przekupywać ludzi.

Przeprowadza w senacie uznanie faraona Egiptu za sojusznika i przyjaciela ludu rzymskiego. A Ptolemeusz XII Auletes wypłaca w zamian sześć tysięcy talentów, ponieważ poparcie Rzymu wzmacnia jego władzę wobec rywali.

- Proszę - mówi Cezar, pokazując Krassusowi skrzynie wypełnione złotem.

W ten sposób trzyma przy sobie tego chciwca.

Pozostaje jeszcze Pompejusz, którego nie ogarnia taki niepoohamowany śmiech, gdy zanurza dłonie w skrzyniach złota. Trzeba przywiązać go do siebie innymi więzami niż finansowe...

- Jesteś samotny - mówi do Pompejusza. - Jak ktoś taki jak ty może nie mieć żony?

- A ty - dziwi się wódz - kto czuwa nad twoimi larami?

- Mógłbym ci odpowiedzieć, że moja matka Aurelia Kotta i córka Julia - mówi Cezar.

- Ale pierwsza jest bliska śmierci, a druga powinna wyjść za mąż. Ja także się ożenię.

Istotnie, postanowił poślubić Kalpurnię, córkę Kalpurniusza Pizona, który będzie konsulem w roku 58.

- Będzie on naszym sojusznikiem - dodaje Cezar. - Gdy ja będę z dala od Rzymu, pełniąc funkcję prokonsula jednej z naszych prowincji, on będzie czuwał nad swoją córką i nad moimi interesami. Naszymi interesami.

- Zawierasz sojusz - mruczy Pompejusz.

- Małżeństwo jest sojuszem.

Podchodzi do wodza. To silny mężczyzna, niemal korpulentny. Jest od niego o sześć lat starszy.

- Ofiaruję ci Julię - mówi Cezar, biorąc go pod ramię. Pompejusz odwraca się, wytrzeszcza oczy.

- Moją córkę Julię, wnuczkę Cynny. Moją córkę, Pompejuszu! Ofiarowuję ci ją w dowód przypieczętowania naszego przymierza. - Cofa ramię. - Ma siedemnaście lat. Jesteś od niej o trzydzieści lat starszy. Daję ci zielony owoc.

Wie, że Pompejusz nie może odmówić. Uprzedził już wcześniej Julię, odsunął od niej narzeczonego, człowieka oddanego, który zaangażował się w walce z Bibulusem i Katonem. Ale przecież bogowie są niewdzięczni, a ktoś, kto chce im dorównać, kto podejmuje ich wyzwania, stara się o uśmiech Fortuny, musi się zachowywać podobnie jak oni. Czy można więc przepuścić okazję uczynienia z Pompejusza Wielkiego, imperatora Pompejusza, swego zięcia? Julia będzie go trzymała na smyczy i on już nie ugryzie.

Cezar czyta w jego oczach, że on także kalkuluje swoje korzyści. Musi sobie myśleć, że pozostając w Rzymie, kiedy konsul po zakończeniu urzędowania wyjedzie zarządzać prowincją, będzie cały czas dysponował jego poparciem, będzie zięciem najwyższego kapłana. Cezar oddała się o parę kroków. Nie chce okazywać zbytnej pewności siebie. Wie, że udało mu się już położyć podwaliny pod przyszłe lata. Krassus został kupiony, Pompejusz

związany małżeństwem, konsul Pizon będzie musiał go popierać, ponieważ będzie jego teściem, a Klodiusz zostanie trybunem ludowym i będzie trzymał ostrze miecza senatorom na gardle.

Odbyły się oba śluby. Cezar wie, że Katon rozpowszechnia diatryby, w których mówi: „Niedopuszczalne jest frymarczenie władzą publiczną za pomocą małżeństw i posługiwanie się kobietami w celu podzielenia się z kompanami prowincjami, wojskiem i władzą”, dodaje też, że „z Cezarem lud sam wpuścił tyrana do cytadeli”. Także Cynceron potępia „wyrzucanie pieniędzy pełnymi garściami”.

Ci patrycjusze za wiele gadają. Deklamują o cnotach, podczas gdy sami myślą jedynie o własnych majątkach, a nie o losach Rzymu.

Trzeba ich uciszyć.

Chce się widzieć z Balbusem, Klodiuszem i Emiliuszem. Jak na razie pewien jest tych trzech tak różnych ludzi. Być może Klodiusz jest najbardziej przebiegły i najokrutniejszy z całej trójki, a więc jest takim człowiekiem, jakiego mu potrzeba.

- Pamiętasz Wetiusza? - pyta Cezar.

Klodiusz marszczy czoło, co oznacza wielkie zaniepokojenie.

- Zawodowy donosiciel - mruczy Klodiusz. - Ten, który wydał spiskowców Katyliny i utrzymywał, że ty należałeś do spisku. Tak, Wetiusz...

- Posłuż się nim. Klodiusz pochyla głowę.

- Cynceron, Katon, Bibulus, a także inni - ciągnie Cezar - ludzie, którzy nas nienawidzą, mogą pragnąć nas zamordować, a Wetiusz jest człowiekiem, którego się najmuje do takiej roboty.

Klodiusz odrzuca głowę do tyłu, śmieje się cicho.

- Wyobrażam go sobie na Forum - mówi. - Ma przy sobie sztylet. Zatrzymują go. Mówi, że chce zabić Cezara...

- Pompejusza - wtrąca Cezar.

- ...Pompejusza i że został opłacony przez... Cezar go powstrzymuje:

- Zrobisz, co zechcesz. Ale człowiek sprzedajny może służyć zarówno jednemu, jak i drugiemu, zależnie od tego, kto mu zapłaci. Może też wydać swoich zleceniodawców.

- Człowiek martwy nic już nie jest wart - mówi Klodiusz. - Jest niemy.

Cezar pochyla głowę.

Czeka. Trzeba zmusić do ustąpienia tych patrycjuszy, którzy przydzielili mu terytorium nazywane prowincją „kniei i ścieżek”, które nie ma nawet wytyczonych granic pomiędzy Galią Przedalpejską a Ilirią.

Stara się pohamować wściekłość, choć miałby chęć udać się do senatu i z pomocą band Klodiusza rozgonić tych patrycjuszy. Uspokaja się jednak. Gdy Wetiusz oskarży Bibulusa, Katona i Cyserona o to, że zapłacili mu za zamordowanie Pompejusza, senatorowie, nawet jeśli się zorientują, że to intryga, staną się bardziej ulegli. Szczególnie gdy się dowiedzą, że znaleziono Wetiusza uduszonego w więzieniu Tullianum.

Czeka więc cierpliwie.

Trybun ludowy Publiusz Watyniusz organizuje głosowanie, na którym lud ma przyznać Cezarowi urząd prokonsula Galii Przedalpejskiej oraz Ilirii i dowództwo nad trzema legionami z prawem mianowania swoich legatów. Urząd prokonsula ma zostać mu przyznany nie na rok, lecz na pięć lat.

Działania Watyniusza okazały się skuteczne. Plebs jest entuzjastyczny. Katon nie jest wcale zaskoczony, kiedy się dowiaduje, że senat zaakceptował tę nominację. A nawet że przyznano Cezarowi dodatkowo namiestnictwo Galii Narbońskiej i jeszcze jeden legion. Strach skłania do uległości.

- Znaleziono zwłoki Wetiusza - informuje Cezara Balbus. Uśmiecha się. - Miał podejrzięte gardło - dodaje.

Cezar w towarzystwie Emiliusza kieruje się do Kurii.

Rządził Rzymem przez rok jak władca mający wszelkie prawa.

Teraz staje na czele czterech legionów. Przyznano mu nawet prawo zakładania kolonii w prowincjach, którymi będzie zarządzał. Są one ludne i bogate w zboże. Osiedli pięć tysięcy osadników w Como. Utworzy nowe oddziały. Będzie przebywał o kilka dni marszu od Rzymu, gdzie nikt nie ośmieli się postawić go w stan oskarżenia. Kto rzuciłby wyzwanie prokonsulowi dysponującemu siłą legionów i chronionemu prawem? Który na dodatek pozostawił w Rzymie swoich sojuszników: jego teść, Pizon, będzie jednym z konsulów; zausznik Pompejusza, Gabiniusz, drugim, a Klodiusz trybunem ludu.

Nie okrył się jeszcze sławą związaną z wielką kampanią wojskową, podobną do tej, jaką zdobył Pompejusz dzięki wojnie z Mitrydatesem. Chciałby wyruszyć na wojnę przeciwko Burebiście, królowi Daków, ale ten zmądrzał. Pozostaje jeszcze oczywiście Galia Zaalpejska - kraj plemion mieszkających po drugiej stronie Alp, przylegający do Galii Narbońskiej.

A dalej za nimi jest jeszcze Germania. Lecz król germańskich Swebów, Ariowist, ogłosił niedawno, że jest przyjacielem ludu rzymskiego.

Czy więc Cezar nie zdobędzie sławy wojennej, sławy zdobywcy, bez której nie można zostać ani bogiem, ani królem?

W chwili wejścia do Kurii odwraca się do Emiliusza.

- Oni mają jeszcze nadzieję, że przeszkodzą mi w zdobyciu sławy zwycięzcy! - mówi.

- A wojna się gdzieś schowała, Emiliuszu. Ale już my ją zmusimy do wyjścia z jaskini i nie spoczniemy, aż ją zabijemy, „aby spełnić nasze przeznaczenie i przynieść chwałę Rzymowi.

Patrzy na patrycjuszy, których twarze wyrażają gnuśność, strach i tchórzostwo. Nawet Katon, Cynceron czy Bibulus nie odważyli się wystąpić przeciwko przyznaniu mu stanowiska prokonsula, które uczyni z niego pana Galii Przedalpejskiej i Narbońskiej.

Teraz może im powiedzieć, co czuje po upływie tego roku, podczas którego oni usiłowali mu przeszkadzać.

- Pomimo waszego oporu - zaczyna - pomimo waszych zawodzeń uzyskałem to, czego pragnąłem, dla siebie, dla Rzymu, i mogę teraz... - rzuca im wyzywające spojrzenie - ...mogę teraz chodzić wam wszystkim po głowach!

Z półcienia dobiega cienki ironiczny głos:

- To nie będzie łatwe dla kobiety! Cezar śmieje się. Zmusza się do śmiechu.

- Semiramida rządziła Babilonem - woła - Amazonki panowały niegdyś nad wielką częścią Azji. Czegóż to nie potrafi dokonać kobieta rzymska!

Oddala się wolnym krokiem, po czym kładzie dłoń na ramieniu Emiliusza.

- Nigdy nie okazuj wrogowi, że udało mu się ciebie zranić - szepcze. - I nie pozostawiaj go przy życiu, chyba że masz jakiś interes w tym, żeby go nie zabijać.



## CZEŚĆ VII

### Rozdział 25

Niech przyjdą po Cijusza Juliusza Cezara, prokonsula Galii Przedalpejskiej i Narbońskiej  
oraz Ilirii!

Cezar lubi ten zimny wiatr od Alp, który ułosi połę jego szerokiego czerwonego płaszcza wodza.

Podmuchy są tak silne, że kołyszą sztandarami i orłami trzymanymi wysoko ponad lasem włóczy przez, dowódców i centurionów.

Zatrzymuje się przed ustawionymi w szeregi legionami. Tak jak co dnia, w chwili przeglądu wojsk zrywa się ulewa, której towarzyszy ryk grzmotów. Cezar stoi nieporuszony. Ponad głowami żołnierzy spogląda na pasmo Alp, które z tej odległości wydają się czarną ścianą spowitą w niskie chmury.

Odwraca się do swoich legatów. Podoba mu się ich ogorzała cera, ich twarze wychudzone od marszów, które nakazuje im codziennie. A on stoi na ich czele, z ciałem chłostanym przez wichry ostre niczym chmury strzał.

Podchodzi do Labienusa - bez wątpienia najbardziej zahartowanego w bojach, ale i syn Krassusa, Emiliusz, a także Mamurra, tak zręczny w budowaniu fortyfikacji, wykazują się dzielnością. Pokazuje na legionistów: każdy z nich na lewym ramieniu trzyma włócznię, prawą dłoń ma zaciśniętą na rękojeści krótkiego miecza, tułów opięty kolczugą, czoło ukryte pod hełnem.

- Oni będą potrafili się bić, nawet skąpani w perfumach - mówi.

Odwraca się do Mamurry, który wytrzymuje jego wzrok. On i bez perfum jest pociągający.

Ale to nie czas na oddawanie się rozkoszom.

Cezar chwyta połę swego płaszcza. Wielkimi krokami przechodzi przed frontem legionów. Chce przejść przed każdą kohortą, zatrzymać się przed każdym manipulem i centurią. Pamięta już imiona niemal wszystkich centurionów.

Wyczytuje w ich oczach szacunek. Aby legiony były posłuszne, trzeba od siebie wymagać tyle samo co od żołnierzy. Maszerował z nimi całe dnie, przekraczał wezbrane rzeki, szedł w górę lodowatych potoków. Pod ich spojrzeniami ćwiczył się we władaniu

bronią.

Ma wrażenie, jakby tworzył z nimi jedno ciało. Ci ludzie są przedłużeniem jego ramienia, są pancerzem dla jego duszy. Już nie obawia się intryg rozgrywających się nadal w Rzymie, gdzie trybunowie Domicjusz Ahenobarbus i Gajusz Memmiusz usiłowali go niedawno postawić w stan oskarżenia. Przez trzy dni przemawiali w senacie, mimo że Cezarowi sprzyja dwóch konsulów, Pizon i Gabiniusz, a także Krassus i Pompejusz. Mnożyli oskarżenia. Twierdzili, że Gajusz Juliusz Cezar złamał prawo. Zachowanie tej „królowej Bitynii” urąga obyczajności i cnocie. Dodawali, że wyjechał on z Rzymu z pieniędzmi króla Ptolemeusza Auletesa. A także dopomógł w adopcji Klodiusza przez plebejusza, dzięki czemu ten rozpustnik mógł zostać trybunem ludowym. Ujawnili przy tym, że przybrany ojciec Klodiusza to jego utrzymanek, dwudziestoletni młody i zepsuty człowiek, który został „ojcem” czterdziestoletniego mężczyzny! Oto kim jest Gajusz Juliusz Cezar!

Potem pojawił się Klodiusz ze swymi bandami i pięścią zamknął usta oskarżycielom, a także Bibulusowi, który miał ochotę wygłosić mowę oskarżycielską. Musieli zamilknąć.

Jakie to wszystko odległe! Niech przyjdą po Gajusza Juliusza Cezara, prokonsula prowincji zwanej *Gallia Togata* - w todze, a także Galii Przedalpejskiej, Ilirii oraz Galii Narbońskiej, urodzajnej jak równina nad Padem, gdzie można w ciągu kilku dni rekrutować legiony, tak liczna jest tu bowiem ludność, tak silna i waleczna.

Cezar powraca do swej willi. Musi czekać na znak, który mu da

Fortuna. Ma przed sobą pięć lat sprawowania funkcji prokonsula, ma armię, którą powiększy o nowych rekrutów, nie zważając na to, że jest to niezgodne z prawem. Niech ci senatorowie spróbują przyjść tutaj i go skazać! A przez te pięć lat trzeba zadbać, aby to on dyktował prawa, zamiast im podlegać!

Do tego celu potrzebna jest wojna, która w oczach obywateli Rzymu będzie uchodziła za sprawiedliwą i pozwoli wykazać się mu odwagą, uczyni z niego, Cezara, wodza równego największym zdobywcom, jak Aleksander, o którym tyle razy marzył, zrobi z niego zwycięzcę, uwieńczonego przez Fortunę! Zwycięstwo na wojnie stanowi bowiem jedyny dowód przychylności bogów. Dzięki niemu zostaje się królem.

Słucha kupców rzymskich przybyłych z Galii Narbońskiej. Siedzą dokoła niego w eksedrze willi nad brzegiem jeziora Como, gdzie teraz mieszka. Opowiadają o *Gallia Comata* - Galii Zaalpejskiej, położonej po tamtej stronie Alp.

Cezar odwraca się i spogląda na jezioro: za nim są góry i przełęcz prowadzące do kraju Helwetów, jednego z plemion Galii Zaalpejskiej.

- Zresztą w Galii jest ponad sześćdziesiąt plemion - mówi jeden z kupców. - Nic ich nie łączy, ani kapłani, druidowie, ani wodzowie. Galowie są zazdrośni, rozdarci konfliktami i rywalizacją między plemionami. Ale bogaci.

Cezar obserwuje tych ludzi, którym błyszczą oczy, na ich twarzach maluje się chciwość.

- Przejeżdżamy przez równiny pełne dojrzałego zboża - opowiadają - stoki porosłe są winoroślą, w dolinach pasą się setki koni. Nawet w najmniejszych miastach znajdują się sanktuaria, świątynie wypełnione ofiarami, złotem. Spichrze napelnione są po brzegi, kobiety dorodne, mężczyźni liczni. Nie sposób przejść tysiąc kroków, nie napotykając wioski. Tam kupujemy naszych niewolników i ziarno, a nawet broń! Ci ludzie są zmyślni.

W końcu milkną.

- Opowiadajcie jeszcze - zachęca Cezar.

Marzy o tym kraju, wydaje mu się on dopełnieniem Galii Narbońskiej, której tak często zagrażają najazdy galijskie. Chciałby dojść aż do Oceanu, zobaczyć znów ten nieznany bezmiar, po którym żeglował, kiedy toczył wojnę z ludami z północy, prowincji *Hispania Ulterior*. A poza tym można by dzięki temu odepchnąć Germanów, tak samo jak Swebów, którzy przekraczają Ren i zmuszają Galów do chronienia się na terenie Galii Narbońskiej, nazywanej po prostu prowincją.

- Najdzielniejsi ze wszystkich Galów - dorzuca jeden z kupców - są Belgowie.

Kupiec waha się, spogląda na Mamurrę i Emiliusza siedzących po obu bokach Cezara.

- Są oni najbardziej oddaleni od Prowincji - ciągnie - od jej luksusów i wymyślnych zwyczajów. Rzadko jeździmy do nich sprzedawać pachnidła, tkaniny i klejnoty... rzeczy, które osłabiają duszę. Mieszkają oni w pobliżu Germanów zajmujących drugi brzeg Renu, z którymi znajdują się w stanie ciągłej wojny.

Spojrzenie Cezara gubi się na chwilę w toni rozciągającego się za willą jeziora, którego czarne wody zdają się łączyć z niebem. Podbić Galię Zaalpejską, dodać następną prowincję do posiadłości rzymskich, oto, co przyniosłoby mu sławę, bogactwo, dziesiątki tysięcy niewolników, złoto, kobiety, a także możliwość rekrutowania Galów - tak walecznych - wedle tego, co mówią kupcy, do wojsk pomocniczych, do piechoty i jazdy. Niektóre plemiona galijskie już teraz są sojusznikami Rzymu: Lingonowie, Remowie, a zwłaszcza Eduowie, których określa się jako „braci i krewnych Rzymu”. A skoro tych sześćdziesiąt plemion między Renem a Oceanem jest podzielonych i rywalizuje między sobą, to będzie można wygrywać jednych przeciwko drugim, wykorzystać ich strach przed Germanami, aby ich sobie podporządkować.

- Cała Galia podzielona jest na trzy części\*[\* To słynny początek *Wojny galijskiej* Cezara {*Gallia est omnis dwisa in partes tres...*} - jeden z pierwszych tekstów, jakie poznaje każdy, kto uczy się łaciny.] - wyjaśnia jeden z kupców. - Jedną zamieszkują Belgowie, drugą Akwitańczycy, a trzecią ci, którzy sami nazywają siebie Celtami, a przez nas zwani są Galami. Są to Arwernowie, Sekwanowie, Paryzjowie, Biturygowie, Senonowie, Allobrogowie i wielu innych, a także Helwetowie... - Kupiec pokazuje na góry po drugiej stronie jeziora. -

Helwetowie, mieszkający najbliżej Galii Przedalpejskiej, górują odwagą nad wszystkimi innymi Galami, ponieważ muszą stałe toczyć wojny z Germanami, raz ich odpychając, raz atakując...

Cezar każe dolać kupcom wina. Wstaje, spaceruje wokół nich, czując na sobie ich zaciekawione spojrzenia.

Chce, mówi nagle, stając pośrodku sali, aby go poinformowano o wszystkim, co wiadomo na temat wrogości pomiędzy różnymi plemionami galijskimi oraz wewnątrz samych plemion.

- Ty chcesz wojny i podboju, konsulu - zauważa jeden z kupców.

- Pragnę wielkości i pokoju dla Rzymu, bogactw, jakie posiadają te rozliczne plemiona.

- Walczą oni zawzięcie i dobrze - mówi kupiec. - Ich miasta są ufortyfikowane, umieją wznosić mury. Niektórzy z tych Galów to świetni jeźdźcy. Wszyscy są odważni. Wymieniają pomiędzy sobą zakładników, stanowiących gwarancję traktatów zawartych pomiędzy plemionami, ale bez wahania ich poświęcają. Walczą aż do ostatniego tchnienia. Są hardzi. - Pochyla głowę. - Trudno będzie ich pokonać...

- Sprzedawaj swoje tkaniny i pachnidła, kupcze, swoje amfory i klejnoty - mówi Cezar. - I nie staraj się rozumieć tego, co zbyt wysokie i zbyt ci obce.

Daje znak ręką, aby kupcy wyszli. Teraz ich obecność go irytuje. Pośle do Galii szpiegów, swoich ludzi, i nie będzie już słuchał tych strachliwych gadułów.

Stoczy wojnę i ją wygra. Ale trzeba poczekać na okazję, na jakiś pretekst i wówczas spaść na Galów jak drapieżny ptak.

Patrzy na Mamurrę w taki sposób, że ten spuszcza wzrok. Emiliusz wstaje i wychodzi. Cezar wyciąga rękę do Mamurry.

## Rozdział 26

Nareszcie ma pod komendą tysiące unoszących włócznie żołnierzy.

Rozmieszcza ich na zboczu wzgórza...

Nareszcie!

Cezar sznuruje wargi. Ale i tak ma wrażenie, że to słowo, którego nie chce wymówić głośno, mimowolnie mu się wymknie, tak bardzo niecierpliwość wypełnia całe jego ciało.

Nareszcie! Nareszcie!

Opiera na udach dłonie zaciśnięte w pięści, jakby w ten sposób mógł zatrzymać to słowo, tak żeby stojący przed nim człowiek nie mógł go usłyszeć.

Cezar opanowuje się. Chce wydawać się niewzruszony i obojętny, jakby wcale nie słuchał tego Allobroga, który wciąż od nowa zaczyna swoją relację, ponieważ nikt chyba nie przywiązuje wagi do jego słów.

Tym lepiej. Trzeba, by ten Gal ruszył z powrotem w stronę Genawy - miasta nad brzegiem jeziora Leman, przez które przepływa Rodan - przekonany, że legiony nie ruszą się z miejsca, Rzymianie nie zareagują na podjętą przez Helwetów decyzję, aby opuścić swoje wioski i miasta i dotrzeć do kraju Santonów w Akwitanii.

Nareszcie! Nareszcie! Jest dobry pretekst do wojny, która musi wydawać się sprawiedliwa, aby obywatele Rzymu byli przekonani, iż Cezar działa tylko w obronie bezpieczeństwa i wielkości republiki, chroni jej interesy i mści jej honor.

Ponieważ właśnie Helwetowie w roku 107, a więc niemal pięćdziesiąt lat wcześniej, zabili rzymskich obywateli: konsula Kasjusza i legata Pizona, przodka teścia Cezara.

Rzym nie zapomina niczego!

Cezar odsyła szpiega. Patrzy, jak człowiek ten oddala się ciężkim, kołyszącym się krokiem niedźwiedzia. Waha się przez chwilę, potem podnosi rękę z zaciśniętą pięścią i kciukiem do dołu. Strażnicy natychmiast rzucają się na Gala. Słysząc odgłosy walki, Cezar odwraca głowę. Człowiek, który szpieguje swoich współplemieńców, który ich zdradza, może zdradzić także tych, którym się zaprzedał.

Cezar wstaje. Teraz nie musi już dłużej powstrzymywać niecierpliwości. Wydaje rozkazy. Niech mu dadzą jego konia! Niech się zgromadzą dowódcy! Niech legaci przekażą legionom rozkaz wymarszu! Niech Labienus obejmie dowództwo X legionu i maszeruje jak najszybciej do Genawy!

Cwałuje konno. Deszcz, śnieg, urwiste ścieżki, szczyty ginące we mgle. Odwraca się.

Legioniści także są zanurzeni w tej szarej lodowatej wacie, która tłumi głuchy odgłos kroków i szczęk tarcz uderzających o siebie.

Trzeba chwycić los za grzywę, myśli Cezar. Trzeba się kurczowo trzymać Fortuny, aby mogła go za sobą pociągnąć.

Patrzy na Emiliusza, na Mamurrę, na trybunów i legatów cwałujących obok niego.

- Helwetowie - objaśnia - spalili dwanaście swoich miast, czterysta wiosek i wszystkie zbiory, których nie mogli ze sobą zabrać. Teraz maszerują z kobietami, dziećmi i starcami w kierunku Genawy. Chcą przekroczyć most, który Rzymianie zbudowali na Rodanie. Będą prosili o prawo przejścia, ale Rzym nie może pozwolić wejść na swoje terytorium całemu plemieniu liczącemu kilkaset tysięcy ludzi, i to plemieniu wojowników! Rzym nie może ponosić konsekwencji działań Swebów i ich wodza Ariowista. Spychają oni Helwetów w stronę Rodanu, Galii Narbońskiej. Zniszczymy most i w ten sposób przeszkodzimy Helwetom. - Cezar wyciąga ramię, pokazuje zbocza gór. - Lecz oni spalili swoje domy i pola. Będą więc usiłowali przejść inną drogą, prowadzącą przez góry Jury. Dotrą do kraju Sekwanów i Eduów. Zaczną grabić... - Eduowie jednak są braćmi i krewnymi Rzymu. Mają prawo do naszej ochrony.

Nie dodaje, że Fortuna dała mu nareszcie pretekst, aby wszcząć wojnę w Galii i rozpocząć podbój tego bogatego kraju zamieszkanego przez liczne plemiona.

Jadąc teraz wzdłuż brzegu Rodanu, czuje się tak, jakby wszystko, o czym decyduje i co robi, wszystko nawet, co mówi, przychodziło do niego gotowe z jakiegoś innego świata, gdzie już wytyczony został jego los. Wystarczy, że podniesie głowę, jakby chcąc popatrzeć na niebo, a widzi wyraźnie, co ma robić, jakby czytał to, co zostało zapisane w gwiazdach.

Nie waha się ani chwili.

Widzi zbliżającą się do niego grupę Helwetów, najznacniejszych przedstawicieli tego narodu. Są wysocy, dumni. Mówią spokojnym głosem, w którym nie pobrzmiwa ani strach, ani żądanie.

- Nie mając żadnej innej drogi, Helwetowie chcieliby przejść przez prowincję, nie wyrządzając w niej żadnych szkód. Proszą o pozwolenie na przejście.

Cezar wysłuchuje ich. Trzeba zyskać na czasie, aby zdążyć zniszczyć most na Rodanie, zgromadzić w Galii Przedalpejskiej dwa nowe legiony, wykopać fosę od jeziora Lemana do gór Jury, potem usypać wał wzdłuż brzegu Rodanu, blokując im całkowicie drogę w kierunku Galii Narbońskiej. W ten sposób zostaną zmuszeni do przejścia przez góry na terytoria Sekwanów i Eduów.

Wie, że Dumnoryks, jeden z wodzów plemienia Eduów, zawarł z Helwetami sojusz i

pragnie bez wątpienia zerwać więzy łączące jego pobratymców z Rzymem. Chce zostać wodzem plemienia i odsunąć od władzy swojego własnego brata, Dywicjaka, który przebywał w Rzymie i mimo że jest druidem, pozostaje wierny republice.

Fortuna pędzi na koniu. Cezar czuje, że tym razem się z nią zabierze.

8 kwietnia ponownie przyjmuje u siebie starszyznę helwecką. Teraz jednak fortyfikacje są ukończone. Pięć legionów zostało przegrupowanych. Może więc odpowiedzieć, że rozkazuje Helwetom wrócić w ich góry i że taka jest wola prokonsula, Gajusza Juliusza

Cezara, który występuje w imieniu Rzymu, największego mocarstwa świata.

Dobrze wie, że Helwetowie nie mogą się na to zgodzić.

Nareszcie, nareszcie, a więc będzie wojna! Helwetowie idą drogą przez góry Jury, grabią kraj Sekwanów i Eduów. Trzeba z nimi walczyć, zaskoczyć ich strażę tylną w chwili, gdy plemię kończy się przeprowiać przez Arar\*[\* Dzisiejsza Saona.] na tratwach i połączonych barkach.

Cezar patrzy na masakrę Helwetów z okręgu tyguryńskiego, którzy, obławani jukami i starymi kobietami, nie są w stanie się bronić. Rzymianie wyrzynają część z nich, reszta ucieka do lasów jak dzikie zwierzęta ścigane obławą.

To są ci sami Tygurynowie, którzy niegdyś pokonali Rzymian i wziętych do niewoli jeńców, obywateli Rzymu, przepędzili pod jarzmem, a potem zabili. Cezar unosi rękę. Czekaj, aż zapadnie cisza, niech legiony słuchają:

- I oto przypadkiem, czy też z woli bogów nieśmiertelnych, ta właśnie część plemienia Helwetów, która zadała ciężką klęskę narodowi rzymskiemu, pierwsza poniosła karę\*[\* Cezar, *Wojna galijska*, przeł. Eugeniusz Konik, Ossolineum, Wrocław 1978 r., s. 17]. Zabili oni konsula Kasjusza i przodka mego teścia, Pizona. Dziś odpokutują za tamte zbrodnie.

Cezar zgadza się jednak przyjąć poselstwo Helwetów. Przewodzi mu długowłosego starzec o dumnej postawie. Mówi, że nazywa się Dywikon, dowodził kiedyś wojskami, które z powodzeniem prowadziły wojnę przeciwko Rzymianom.

- Jeśli naród rzymski zawrze z Helwetami pokój - zaczyna ochryłym głosem - to pójdą oni, gdzie Cezar zechce. Jeśli nie...

Grozi. Mówi o „pewnym nieszczęściu, jakie kiedyś przytrafiło się Rzymianom”. Zaciska dłoń na rękojeści swego długiego miecza.

- Niech Cezar się strzeże - konkluduje. - Miejsce, w którym się zatrzymali, może otrzymać nazwę od nowej klęski narodu rzymskiego.

Bezczelność! Zaślepienie!

Cezar krzyżuje ramiona na piersi.

- Bogowie nieśmiertelni - odpowiada - chcąc odmianę Fortuny uczynić bardziej bolesną, zsyłają na jakiś czas powodzenie i szczęście ludziom, których zbrodnie chcą ukarać.

Jak Helwetowie mogli przypuszczać, że Rzym puścił ich zbrodnie w niepamięć! Teraz poczują ciężar jego gniewu.

Nazajutrz posyła przeciwko nim jazdę, ale Helwetowie dobrze się biją. A legionom brakuje zboża. Cezar o tym wie. Nie można zwyciężyć o pustym żołądku. Eduowie, którzy obiecali dostarczyć ziarna, teraz się wykręcają. Trzeba działać, Cezar przyjmuje Dywicjaka, sojusznika Rzymu wśród Eduów, grozi mu i schlebia na przemian, aż ten wybuch płaczem i przyznaje, że jego własny brat, Dumnoryks, zawarł pakt z Helwetami.

Cezar bierze Dywicjaka za rękę, pociesza, prosi, aby przestał lamentować. Mogąc tak trzymać tych barbarzyńskich wodzów w swojej mocy, Cezar doznaje poczucia dumy i siły. On reprezentuje tu Rzym, miasto najpotężniejsze, Rzym, który rządzi światem! Jest panem życia i śmierci tych ludzi.

Każę zawezwać Dumnoryksa. Ostrzega go, aby na przyszłość nie dawał żadnych powodów do podejrzeń. Dumnoryks musi wiedzieć, że jeśli Cezar wybacza mu przeszłe postęпки, to tylko na prośbę jego brata Dywicjaka.

Teraz trzeba skończyć z Helwetami, zdobyć główne miasto Eduów, Bibrakte\*[\* Dziś Mont Beuvray. (przyp. aut.)], ponieważ pełno w nim zboża, złota i różnych bogactw, żołnierze muszą coś jeść i potrzebne są wozy wyładowane łupami. Helwetowie nie uciekli. Cezar spostrzega chmury kurzu wzbijane przez maszerujące plemię.

Teraz przyszła pora starcia.

Nareszcie! Nareszcie ma pod komendą tysiące unoszących włócznie żołnierzy. Rozmieszcza ich na zboczu wzgórza, naprzeciwko Helwetów.

Siedzi na koniu. Ale potem zeskakuje na ziemię, odsyła wierzchowca na tyły i rozkazuje całej jeździe pójść za swoim przykładem. Niebezpieczeństwo musi być jednakowe dla wszystkich i nikt nie może liczyć na to, że będzie mógł uniknąć bitwy.

Podnosi swój miecz, woła: „Za Rzym!” Zaczyna walkę.

Od czasu do czasu wśród krzyków i szczęku broni spogląda na chylące się ku zachodowi słońce, ale bitwa nie słabnie. Żaden z Helwetów nie ucieka. Biją się ukryci za swoimi wozami albo stojąc na nich. Prześlizgują się między kołami. Trzeba ich zabijać pojedynczo, jednego po drugim. W końcu przysyłają delegację, chcą negocjować poddanie,



rzucają się na kolana i płaczą.

Muszą dać zakładników, oddać broń i niewolników, którzy się u nich schronili. I nie wolno im się ruszyć z tego miejsca.

A jednak z zapadnięciem nocy Cezar dowiaduje się, że sześć tysięcy Helwetów uciekło. Trzeba ich odnaleźć, zgromadzić w jednym miejscu i wymordować wszystkich, których nikt nie będzie chciał na niewolników!

A reszta niech wraca do swojego kraju, taki rozkaz wydaje im Gajusz Juliusz Cezar. Ponieważ jest łaskawy, więc zezwala, aby Allobrogowie dali im trochę zboża, umożliwiając przetrwanie do najbliższych zbiorów.

Cezar patrzy na swój czerwony płaszcz, teraz jeszcze bardziej czerwony od krwi pokonanych. Daje znak centurionom, aby złożyli przed nim zapisane greckim pismem tabliczki, które znaleźli w obozie Helwetów.

Odczytuje je. Podają one, że swój kraj opuściło 368 000 Helwetów, w tym 92 000 mężczyzn w wieku zdatnym do noszenia broni.

Spośród tych ostatnich - legaci ułożyli ich listę - pozostało ledwie 10 000 dusz. A z całego ludu zaledwie 100 000. Reszta zginęła albo została sprzedana w niewolę.

Cezar kładzie się, zamyka oczy. Mocno trzymał w swych dłoniach grzywę Fortuny i oto doprowadziła go ona do pierwszego wielkiego zwycięstwa.

Trzeba dopilnować, aby Rzym się o tym dowiedział. Opisz przebieg walk i opowie, jak ujarzmił wojowniczy lud.

Muszą także poznać jego odwagę podczas bitwy i bezlitosną surowość wobec wroga, który mu rzuca wyzwanie, ale także łaskawość wobec pokonanych, którzy mu się poddają.

Wreszcie odzyskał spokój.

Nareszcie może znaleźć odpoczynek albo oddać się rozkoszy. Wśród nowych niewolników nie brak młodych i pięknych ciał.

## ***Rozdział 27***

Arwernowie i Sekwanowie sprowadzili do Galii germańskich najemników.

Piętnaście ich tysięcy przepравиło się przez Ren...

Cezar wchodzi do nisko sklepionej sali. Na posadzce stoją pootwierane skrzynie. Przystaje. Z trudem przychodzi mu powstrzymać uśmiech, a chce, żeby jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Czuje, że centurionowie, którzy stoją na straży w czterech rogach sali, obserwują go. Oni dostali swoją część łupów pochodzących z grabieży galijskich

sanktuariów, świątyń oraz domów Bibrakte.

Wiedzą, że te wszystkie naszyjniki, sztaby, posążki, złote i srebrne monety oraz klejnoty należą do niego, prokonsula Galii. Cezar stoi bez ruchu. Nie należy okazywać tego poczucia siły i radości, jakie go opanowuje. Nie powinien w ich oczach być taki sam jak ci rzymscy urzędnicy, chciwi i wykrwawiający dla własnej korzyści podbite kraje. Jest najwyższym kapłanem, *pontifex maximus*. Jest Rzymem. Jego ambicje stanowią z ambicjami republiki jedno.

Wychodzi z sali.

Wie, że jego wrogowie z senatu, a nawet z otoczenia Pompejusza każą go szpiegować. Chcą zebrać materiał do oskarżeń przeciwko niemu i przyćmić w ten sposób jego sławę. I to agenci Cycerona i Katona, a może ludzie Pompejusza, rozpowszechniali po Rzymie pamflet, którego kopię kazał mu przesłać Klodiusz - obecnie trybun ludowy. Cezar zna każde słowo tego paszkwilu. Te zdania go nie dotyczą, lecz świadczą o tym, że chce się go zniszczyć.

*Pięknie, bezwstydni, wyglądacie w parze, Obaj świntuchy, Mamurro, Cezarze! I nic dziwnego. Ten /ormiańską plamę, A ten ma miejską - obie takie same, Głęboko wżarte, zmyć nie ma sposobu. Jedna choroba dotknęła ich obu, W jednym łóżeczku wspólnie się spieszyli. Dwaj towarzysze, sławni kobieciarze, Pięknie, bezwstydni, wyglądacie w parze!\**[\* Katullus. *Poezje*, przeł. A. Świderkówna, Wrocław 1956, wiersz LVII.]

Oskarża się Mamurrę o to, że jest „bezwstydy, zachłanny i gra nałogowo” i że jako współnik Cezara chce „rozgrabić całą Galie”.

Są tylko dwa sposoby, by zmusić do milczenia tych wrogów ukrytych w zgromadzeniach Rzymu: albo zwycięstwo wojenne i sława, albo zabicie tych, którzy starają się nie dopuścić wybrańca bogów do szczytów władzy.

Cezar chodzi po obozie. Aby pokonać przeszkody, posłuży się swoją sławą.

Spostrzega Dywicjaka, wodza Eduów, który w otoczeniu innych galijskich przywódców zbliża się do niego. Poprosili Cezara o pozwolenie na odbycie spotkania w Bibrakte. I teraz wystarczy na nich spojrzeć, żeby zrozumieć, iż przychodzą jako pokorni błagalnicy. Ich dusze stanowią część łupów wojennych.

Z zapadnięciem zmierzchu Cezar przyjmuje ich w wielkim namiocie. Czuje się wyższy od tych ludzi, którzy płaczą, rzucają mu się do stóp, proszą, aby nie mówił nikomu o tej rozmowie ani o tym, co mu powiedzą, gdyż w przeciwnym razie byłiby narażeni na najgorsze tortury.

W ich imieniu głos zabiera Dywicjak. Wyjaśnia, że Arwernowie i Sekwanowie

sprowadzili do Galii germańskich najemników. Piętnaście ich tysięcy przeprowało się przez Ren.

Druid spogląda po innych wodzach Galów.

- Tym dzikim nieokrzesanym Germanom - ciągnie - do gustu przypadły galijskie dostatki i w jeszcze większej liczbie przybyli do

Galii. Można ich teraz naliczyć blisko sto dwadzieścia tysięcy, a ich wódz Ariowist zamieszkał u Sekwanów po tym, jak ich pokonał. Zawładnął trzecią częścią ich ziem, które są najlepsze w całej Galii. A teraz nakazał, aby oddać mu następną jedną trzecią pod pretekstem, że musi rozdać ziemię dwudziestu czterem tysiącom Harudów, przybyłych do Galii kilka miesięcy wcześniej.

Dywicjak rozkłada bezradnie ręce, jego głos przybiera płaczliwy ton.

Cezar chce pozostać niewzruszony, pozwala Galom wyrazić ich zaniepokojenie groźbą ze strony Germanów, którzy usiłują zawładnąć całą Galią.

- Ariowist - kontynuuje Dywicjak - to człowiek okrutny, nieokrzesany, skory do gniewu, arogancki. Każę poddawać straszliwym torturom dzieci z najszlachetniejszych rodów, które przetrzymuje jako zakładników.

Galowie szlochają, błagają go o utrzymanie tego spotkania w tajemnicy, gdyż w przeciwnym razie Ariowist zemści się na zakładnikach.

- Tylko autorytet Cezara, potęga jego siły zbrojnej, blask jego zwycięstw, szacunek, jaki budzi naród rzymski, powstrzymać mogą napór Germanów i uchronić Galię od zdzierstw Ariowista - kończy Dywicjak, kłaniając się, a potem chwytając Cezara za rękę.

Cezar odsuwa wodzów galijskich. Pragnie ich uspokoić. Zażąda od Ariowista, aby ten wycofał się na drugą stronę Renu. Niech sobie ci Galowie wyobrażają, że robi to, by uchronić Galię, gdy tymczasem chce on wykorzystać okazję podsuwaną mu przez Fortunę... Zepchnąć Ariowista za Ren, to znaczy poddać Galię władzy Rzymu, którą on tu reprezentuje. A musi przecież chronić Eduów oraz inne plemiona sojusznicze wobec Rzymu.

Posyła do Ariowista swojego wysłannika: „Niech Ariowist nie sprowadza już do Galii nowych grup Germanów”. Spokojnie czeka na odpowiedź Germanina. Spędza czas w swoim namiocie, leżąc w towarzystwie Emiliusza i Mamurry. Czasami przysyłają im niewolnika, o którym, gdy idzie w półmroku, zawinięty w szaty, nie sposób orzec, czy jest młodą dziewczyną, czy chłopcem.

Cezar się odwraca, myśli o reakcji Ariowista. Najlepiej, żeby ten barbarzyński król odpowiedział beczelnie i wyzywająco. W ten sposób zachowane zostałyby pozory i

odpowiedzialność za konflikt spadłaby na barbarzyńcę, a nie na konsula Rzymu.

Nachyla się do Mamurry.

- Wojna musi *kroczyć* w masce pokoju... - Odwraca się do Emiliusza. - Ariowist może liczyć na poparcie moich wrogów w Rzymie, wszystkich, którzy mają nadzieję na moją klęskę. Chcą mnie oskarżyć o to, że kieruję się wyłącznie ambicjami osobistymi. Są wciąż potężni. Moja sława budzi w nich przerażenie. A Klodiusz, choćby nawet udało mu się przepędzić z Rzymu Katona i Cyncerona, nawet jeśli jego bandy plądrować będą wille patrycjuszki i nawet jeśli będzie miał poparcie plebsu, któremu zapewni darmowe rozdawnictwo zboża, to i tak nie może odnieść trwałego zwycięstwa. - Przeciąga się. - Musi nam dopomóc Fortuna - mruczy.

Kiedy otrzymuje od Ariowisty wyzywającą i pełną buty odpowiedź, już wie, że Fortuna postanowiła mu pomóc.

„Nikt jeszcze nie walczył z Ariowistem bez własnej zguby. - pisze Germanin. - Jeżeli Cezar chce, niech uderza: wówczas przekona się, czego potrafią dokonać dzięki swej waleczności najwspanialej wyćwiczeni we władaniu bronią, niezwycięzeni Germanowie, którzy od czternastu lat nie wchodzili pod dach”.

Teraz należy działać, wyprzedzić grupy Germanów, które wedle Eduów nadal przepływają przez Ren, jeszcze liczniej niż dotychczas, grabiąc, mordując i biorąc w niewolę mężczyzn, kobiety i dzieci. Cezar zwołuje trybunów i legatów. Daje rozkaz skierowania się forsownym marszem, trwającym dzień i noc, do Wesontio\*[\* Dzisiejsze Besancon.], chcąc przeszkodzić Ariowistowi w zajęciu tego miasta.

Idzie na czele legionów. Wchodzi na ziemie, gdzie nawet w pełni lata roku 58 mgła gęstymi kłębami zalega aż do późnego ranka. W końcu wkracza do miasta, gdzie znajdują się liczne spichrze wypełnione obficie zbożem. Tutaj będzie można czyhać na okazję, aby skoczyć na Germanów.

- To dzikie bestie! - ostrzega Emiliusz. - Ledwie można ich odróżnić od niedźwiedzi czy wilków. Galowie to ludzie, nawet jeśli stoją niżej od Greków i od nas, obywateli Rzymu. Ale Germanie...

Cezar przygląda mu się uważnie. W jego oczach, za każdym razem, gdy wymawia słowo „Germanie”, ukazują się strach. A trybunowie i legaci raportują, że żołnierze, a nawet centurionowie są zaniepokojeni perspektywą zmierzenia się z istotami, które Galowie opisują jako „budzących lęk gigantów, posługujących się bronią z niewiarygodną zręcznością i walczących z nadzwyczajną odwagą”. Galowie utrzymują, że „nigdy nie zdołali ich pokonać

ani nie mogli znieść ich groźnego wyglądu, dzikiego blasku w ich wzroku”.

Cezar dowiaduje się, że trybunowie i dowódcy jazdy usiłują wymknąć się z obozu albo wyrzekają i piszą testamenty! Mamurra jest zaniepokojony, donosi mu, że niektórzy centurionowie twierdzą, iż jeśli Cezar wyda rozkaz ruszenia na wojnę z Ariowistem, oni go nie posłuchają. Sztandary nie ruszą się z miejsca.

Cezar zaciska pięści. To największe zagrożenie.

- Bezczytność wyniszcza ludzi, armie i państwa!

Wyda rozkaz zwinięcia obozu. Pomaszerują na Ariowistę. Ale najpierw niech się zbiorą manipuły, kohorty i legiony, wygłosi do żołnierzy przemówienie. Każe zbudować trybunę. Wchodzi na nią. Jego mowa musi rozwiać strach, pobudzić energię i przywrócić dyscyplinę tych ludzi, bez których skazany jest na bezsilność.

- Ci, którzy ukrywają strach pod pozorem rzekomych obaw o zaopatrzenie i żywność - woła - i o ciasne przejścia na drogach, zachowują się bezczelnie, ponieważ, jak się zdaje, albo nie mają zaufania do swego wodza, albo ośmielają się udzielać mu rad.

Patrzy po twarzach żołnierzy. Nikt już nie śmie podjąć wyzwania. Kontynuuje:

- Oczywiście wiem, że żołnierze mogą odmówić posłuszeństwa dowódcy nieudolnemu, któremu nie dopisało szczęście, albo nieuczciwemu. Ale całe moje życie świadczy o mojej prawości, a wojna przeciwko Helwetom dostatecznie dowiodła, jak bardzo sprzyja mi Fortuna...

Teraz podniesie głos. Czuje, że teraz ich dusze są gotowe, aby się przed nim ukorzyć.

- Obóz zostanie zwinięty jeszcze tej nocy o czwartej straży. Chcę się jak najszybciej przekonać, co u żołnierzy weźmie górę: honor i obowiązek czy strach. Jeśli nawet nikt za mną nie pójdzie, to i tak pójdę naprzód na czele mojego dziesiątego legionu, którego jestem pewien. To będzie moja gwardia przyboczna. To mój ulubiony legion. Ma on moje pełne zaufanie!

Słyszy za sobą ich kroki. Ujarzmił ich dusze i wszystkie legiony maszerują za nim. Nie brakuje ani jednego żołnierza. Teraz musi im jeszcze pokazać, że wojnę wybiera jedynie z musu. Należy więc się zgodzić na spotkanie z Ariowistem, który je sam zaproponował. Z pewnością jest zaniepokojony.

Oto i on na wzgórzu, w otoczeniu kilku jeźdźców. Reszta jazdy została u stóp wzgórza. Cezar zbliża się, przygląda temu aroganckiemu barbarzyńcy z długimi jasnymi włosami spadającymi mu na ramiona, z oczami błyszczącymi pasją. Ma wrażenie, że Ariowist go nie słucha, że jak najszybciej chce mu powiedzieć, iż ma sojuszników w Rzymie.

- Jeśli zabiję Cezara - zapewnia wódz Swebów - sprawię przyjemność wielu

szlachetnym i wybitnym osobistościom w Rzymie! Ich wysłannicy mnie zapewnili, że mogę sobie w ten sposób zaskarbić ich wdzięczność i przyjaźń.

Cezar ściąga wodze swego konia. Chce pozostać nieruchomo, nie reagując na pogroźki Ariowista ani na jego propozycje. Barbarzyńca ten, zręczniejszy, niż się wydawało, mówi:

- Jeśli Cezar się wycofa i pozwoli' mi zawładnąć Galią, to ja mu się sowicie za to odplacę i nie będę mu przeszkadzał w zdobywaniu innych rejonów.

Cezar chce mu odpowiedzieć, gdy naraz słyhać krzyki. Podjeżdża centurion i mówi, że jazda germańska atakuje żołnierzy rzymskich u stóp wzgórza.

Trzeba przerwać tę komedię, wykorzystać ten incydent dla zelektryzowania legionów. Powiedzieć im, że Ariowist nie respektuje żadnego prawa, żadnych obietnic, że kazał zakuć w łańcuchy dwóch rzymskich wysłanników, że wobec tych dzikich ludzi jest tylko jedno wyjście: należy ich pokonać!

Wśród legionów podnosi się i narasta okrzyk wojenny. Żołnierze wymachują sztandarami, mieczami i włóczniami. Nadeszła chwila starcia. Są u stóp Wogezów. W oddali, we mgle płynie Ren.

Niech armia sformuje trzy szeregi! I niech ruszają na tych barbarzyńców, którzy ustawili na tyłach wozy wypełnione kobietami, zaklinającymi swoich mężczyzn, aby walczyli do końca i w ten sposób zaoszczędzili im hańby sprzedania w niewolę.

Cezar zsiada z konia, rzuca się naprzód. Widzi Germanów biegnących na spotkanie rzymskim legionom i słyszy uderzanie mieczy o tarcze. Całe ciało zbroczone ma krwią barbarzyńców. Czas jakby przestał płynąć, aż wreszcie, pod koniec dnia, Germanie zaczynają uciekać w stronę Renu, niektórzy przeprawiają się przez niego w pław, inni wykorzystują jakieś barki. Jest wśród nich bez wątpienia i Ariowist...

Cezar ociera twarz skrajem swego czerwonego płaszcza. Widzi jazdę rzymską objeżdżającą pole bitwy i dobijającą wszystkich, którzy nie uciekli, czasem biorącą do niewoli jeńców, wśród których znalazła się jedna z córek Ariowista, dziewczyna o okrągłej twarzy i długich jasnych kędziorach spływających na ciężkie piersi.

Pomiędzy trupami znajdują dwóch wysłanników rzymskich. Obaj żyją! Cezar podchodzi. Fortuna mu wyraźnie sprzyjała. Z daleka, na drugim brzegu Renu, widzi pierzchający tłum niedobitków armii i plemienia Ariowista. Na placu boju zostawili oni osiemdziesiąt tysięcy poległych.

Ale odtąd granicą Galii jest Ren.

Dopiero poza nim zaczyna się kraj barbarzyńców.

Galia Zaalpejska, kraj po tej stronie, musi należeć do mnie - myśli Cezar.

## **Rozdział 28**

Ze wszystkich plemion Galów najodważniejsi są Belgowie - mówi Cezar.

- Pochodzą oni od Germanów...

Cezar jedzie wzdłuż rzeki po wysokiej błotnistej skarpie. Odwraca się i we mgle dostrzega chorągwie dwóch idących za nim legionów: trzynastego i czternastego. Słyszy, jak dudnią tysiące kroków, błoto tryska spod nóg. Zatrzymuje się na niewielkim wzniesieniu i patrzy, jak maszeruje dwanaście tysięcy legionistów, potem idą tysiące żołnierzy wojsk pomocniczych, które sam zebrał. Musiał z własnych pieniędzy opłacić ich hełmy, kolczugi, broń, miecze i włócznie, a dla jeźdźców konie. Ponieważ senat z pewnością by się nie zgodził na dalsze powiększenie jego armii liczącej już dziewięć legionów.

Pada deszcz, ale żołnierze podnoszą twarze w jego kierunku. Lubi patrzeć na to wojsko posuwające się zwartymi szeregami, ramię przy ramieniu, każdy żołnierz z plecakiem zawierającym zboże i kociołek, na którym można gotować podczas postoju. Dalej jadą wozy, których wielkie koła złośliwie w pulchnej ziemi głębokie koleiny.

Stoi nieruchomo. Musi w oczach żołnierzy być twardy jak miecz, by mieli do niego zaufanie i uważali, że bogowie mają go pod swą opieką.

Przymyka powieki. Jest zadowolony, że tegoroczna zima dobiega końca, i chce, aby ten czterdziesty czwarty rok jego życia, który zaczyna się zimną i deszczową wiosną, był rokiem nowego zwycięstwa. Nie ma zresztą wyboru. W Galii nie zapanował pokój. Labienus, pozostający w kraju Sekwanów na leżach zimowych wraz z legionami, które odniosły zwycięstwo nad Germanami, doniósł mu niedawno, że belgijskie plemiona Swessionów, Nerwiów, Atrebatów, Bellowaków i Atuatuków zjednoczyły się, na znak jedności wymieniły się zakładnikami i postanowiły ruszyć na wojnę przeciwko Rzymowi. Nie chcą się pogodzić z obecnością legionów w Galii, obawiają się ambicji Cezara. Wybrali króla Bellowaków, Galbę, na wodza, który ma ich poprowadzić do walki.

Cezar wie także, że u jego wrogów w Rzymie odżyły znowu nadzieje na jego porażkę. Katon powtarza, iż plemię Nerwiów, „które zakazuje wstępu do swego kraju kupcom, nie pozwala wprowadzić u siebie ani wina, ani luksusowych potraw, ponieważ wedle ich opinii słabnie od nich dusza, a odwaga maleje”, w pełni zasługuje na zwycięstwo nad Gajuszem Juluszem Cezarem, skorumpowanym prokonsulem i godnym pogardy rozpustnikiem. Rzymscy patrycjusze rozplývają się nad zaletami „straszliwych i mężnych” Nerwiów.

Trybun ludowy Klodiusz nic na to nie może poradzić. Jego bandy nie są w stanie zapanować nad Rzymem. Pompejusz i senatorowie uzbroili własne oddziały pod dowództwem pewnego zbira imieniem Milon. Z wygnania wrócił Cynceron. Także Katon wrócił do Rzymu po okresie zarządzania Cyprzem. Przedtem mieli oni nadzieję na zwycięstwo Ariowista i jego Germanów, teraz życzą zwycięstwa Belgom.

- Ze wszystkich plemion Galów najodważniejsi są Belgowie - mówi Cezar. - Pochodzą oni od Germanów. To jedyne plemię, które potrafiło powstrzymać inwazję na swoje terytorium Cymbrów i Teutonów pustoszących Galię. Wspomnienie tego czynu sprawiło, że mają wysokie zdanie o swej odwadze i talentach wojskowych.

Czeka na deszczu, aż przejdą ostatnie kohorty. Lubi, gdy ulewa chłoszcze mu twarz, przenika przez jego czerwony płaszcz i oblepia tkaninę wokół jego szczupłego i muskularnego ciała.

Teraz, gdy podjeżdżają wozy, ruszy znowu, dołączy do czoła tych dwóch legionów, które dwa tygodnie temu opuściły Galię Przedalpejską, wspięły się na przełęcz alpejskie, przeszły nad przepaściami i teraz wzdłuż biegu rzek Matrony\*[\* Dzisiejsza Marna.] i Aksony\*[\* Dzisiejsza Aisne.] wkraczają do kraju Belgów.

Trzeba zbudować obóz i przygotować się do walki. Wiadomo, że siły przeciwnika liczą ponad trzysta tysięcy i aby je pokonać, należy walczyć z nimi po kolei, a więc trzeba je rozdzielić i poszukać oparcia w plemionach, które nadal chcą pozostać sojusznikami Rzymu.

Cezar przyjmuje dwóch wysłanników plemienia Remów, Ikejusza i Antebrogiusza, podczas gdy w ciemności słychać głosy żołnierzy rozpalających ogniska i uderzenia młotków wbijających w ziemię paliki. Obaj posłowie są potężnego wzrostu, jak wszyscy Galowie, którzy jednak, choć Rzymianie sięgają im zaledwie do ramienia, nigdy nie zdołali z nimi wygrać!

Obaj Remowie pochylają zresztą głowy, jakby chcieli zaznaczyć swoją pokorę i pomniejszyć swój wzrost, obawiając się obrazić prokonsula.

Cezar daje znak, by mówili.

Stwierdzają oni, że Remowie wraz ze wszystkim, co posiadają, oddają się pod opiekę i władzę narodu rzymskiego. Odcinają się od reszty Belgów, oni nie spiskowali przeciwko Rzymowi. Gotowi są dać zakładników, słuchać rozkazów, otworzyć swoje twierdze, dostarczyć zboża i wszystkiego, czego Gajusz Juliusz Cezar zechce. Wszyscy pozostali Belgowie chwycili za broń.

Cezar krzyżuje ramiona. Musi okazać pewność siebie, nieomal obojętność. Jest tu przedstawicielem Rzymu, posiada najwyższą władzę! Nic nie może przyprawić o strach



prokonsula, obywatela Rzymu, syna bogów i królów, najwyższego kapłana, wybrańca Fortuny.

Żąda, by Remowie dostarczyli mu wszelkich informacji, jakie tylko mają.

W głosach wysłanników pobrzmiwa niepokój.

- Germanie, którzy mieszkają za Renem, także dołączyli do Belgów! - wyjaśniają.

Atmosfera jest tak gorąca, że Remowie nie byli w stanie przeszkodzić w tym, aby do przeciwników Rzymu przyłączyli się Swessionowie, najbliżej z nimi spokrewnieni i respektujący te same co oni prawa i autorytety. Wśród przeciwników są Nerwiowie, najdziksi z Belgów, Bellowakowie, Atuatukowie, Ambienowie, Moryni, Menapiowie, Kaletowie, Welokasowie, Weromanduowie, Kondrusowie, Ceresowie, Eburonowie.

Cezar wyciąga rękę. Uśmiecha się. Chce okazać przychyłność. Ale żąda gwarancji z ich strony.

- Niech cała starszyzna plemienia Remów zgromadzi się przy mnie - mówi mocnym głosem - i niech przyprowadzą także w charakterze zakładników dzieci najważniejszych osobistości miasta.

Remowie padają na kolana. Będą posłuszni. Ale ich miasto Bibraks\*[\* Dziś VieuxLaon.] oblężone jest przez Belgów. Czy Gajusz Juliusz Cezar może je wyzwolić?

Należy ich uspokoić, pokazać siłę, wzmocnić w ten sposób sojusz z Remami. Cezar odwraca się do Mamurry i Hmiliusza.

- Niech natychmiast wyruszą jeźdźcy numidyjscy, kreteńscy łucznicy i balearscy procarze! - mówi.

Wychodzi z namiotu. Przygląda się obozowi, który żołnierze kończą budować. To Rzym obejmuje w posiadanie nowe terytoria i wytycza dwie biegnące pod kątem prostym drogi, które są oznaką ładu i organizacji rzymskiej: Via Principale i Via Decumana. Czuje się dumny. Nie może zostać zwyciężony.

Cezar wychodzi poza obóz.

Spostrzega w niedużej odległości na wzgórzach i w dolinkach, między którymi płynie Aksona, dym i ogniska obozów sprzymierzonych plemion belgijskich. Wydaje się, że jest ich ogromnie dużo, gdy zrywa się wiatr, dobiega stamtąd zawołanie ich barbarzyńskich śpiewów.

Chodzi otoczony legatami i trybunami, napięty jak cięciwa łuku, i wydaje rozkazy. Trzeba wykopać rowy wokół obozu, posłać zwiadowców na rekonesans, posłać lekkie oddziały numidyjskie, procarzy i łuczników, trzeba nękać nieprzyjaciela, a przede wszystkim

go podzielić!

Podbiega zwiadowca i raportuje, że Bellowakowie opuścili obóz Belgów i samotnie się wycofują.

Cezar toczy powoli wzrokiem po twarzach ludzi ze swego otoczenia. Fortuna, a więc bogowie, raz jeszcze przyszedli mu z pomocą. Wysłać za nieprzyjacielem w pogoń jeźdźców i trzy legiony!

Potem czeka, chodząc po obozie, dokonując inspekcji kohort, wołając po imieniu do centurionów, wygłaszając mowy do żołnierzy tłoczących się wokół niego. Zwycięstwo jest pewne! - grzmi Cezar.

Przybywa pokryty kurzem i krwią Labienus. Jest zdyszany. Bellowakowie bili się mężnie, ale część spośród nich wpadła w panikę i rzuciła się do ucieczki.

- Nasi żołnierze -' mówi Labienus - wyróżnili ich tyłu, na ile dzień pozwolił. O zachodzie słońca przestali walczyć i zgodnie z rozkazem, jaki im wydałeś, Gajuszu Juliuszu Cezarze, wracają do obozu.

To pierwsza bitwa i już pierwsze zwycięstwo. Teraz wydaje rozkaz ruszenia forsownym marszem do Nowiodunum\*[\* W pobliżu Soissons.], największego miasta Swessionów.

Otoczyć miasto, zbudować wieże i ruchome zasłony dla szturmujących wojsk!

I oto Swessionowie wychodzą z miasta, ogłaszają kapitulację, dają zakładników, wśród nich znajduje się nawet dwóch synów króla Galby. Niedobitki Bellowaków także się poddają i z murów swego miasta, Bratuspantium\*[\* Dzisiejsze Beauvais. (przyp. aut.)], kobiety i dzieci wyciągają ręce, błagając o pokój...

Trzeba być bezlitosnym, ale i łaskawym, silnym, lecz wspaniałomyślnym. Cezar żąda sześciuset zakładników i okazuje łaskę Bellowakom.

Wysłuchuje podziękowań Dywicjaka, wodza Eduów, który 'wstawiał się za Bellowakami, ponieważ, jak mówił, zawsze „byli oni sojusznikami i przyjaciółmi Eduów”.

Cezar przerywa druidowi: chce, żeby przysłał mu on żołnierzy konnych i pieszych, z których sformuje oddziały pomocnicze przy najbliższej bitwie - która z pewnością będzie najtrudniejsza - bitwie przeciwko Nerwiom.

Cezar posuwa się na czele legionów. Maszerują w stronę Sambry. Jej brzegi porasta gęsty las, z którego w każdej chwili może się wyłonić nieprzyjaciel.

Trzeba zacząć budowanie obozu. Cezar przeczuwa, że bitwa jest już bliska, że te puszcze stanowią dla nich zagrożenie. Nasłuchuje i słyszy głuchy pomruk, szcęk, a potem

krzyki: to Nerwiowie, wymachując mieczami i włóczniami, napadają na obóz.

Czuje się tak, jakby wylano na niego jednocześnie wrzącą i lodowatą wodę.

Trzeba robić wszystko naraz: rozwinąć sztandar na znak alarmu, kazać dąć w trąbki, wezwać robotników, zawrócić do obozu tych, którzy wyruszyli w poszukiwaniu materiałów, ustawić do bitwy oddziały, wygłosić do nich mowę i dać rozkaz ataku... A także powstrzymać wojska, które przestraszone, zaczynają się rozpierzchać. Widzi jeźdźców trewerskich i inne wojska pomocnicze, jak uciekają z obozu z ciurami, Numidyjczykami i procarzami.

Trzeba stawić czoło atakowi, zatrzymać tych uciekinierów!

Nie ma tarczy. Chwyta więc tarczę jakiegoś żołnierza z ostatniego szeregu i rzuca się naprzód. Nie boi się niczego! Czuje się niesiony przez Fortunę, chroniony przez bogów. Musi zwyciężyć. Wokół siebie ma żołnierzy ze swego dziesiątego legionu, wkrótce dołączają do nich legiony siódmy i dwunasty.

Uderza szerokimi ciosami miecza. Spostrzega ciurów, którzy teraz, nawet bez broni, biegną w kierunku zdjętego paniką nieprzyjaciela. Trupy napastników ścielą się gęsto. Nerwiowie jednak nadal walczą. Niedobitkowie wdrapują się na stosy trupów własnych wojowników i z ich wysokości, stojąc na ciałach swoich pobratymców, miotają strzały i rzucają włócznie.

Zostają jednak pokonani.

Starcy przychodzą błagać o łaskę. Klękają przed Cezarem ze spuszczoneymi głowami. Mówią:

- Z sześciuset starszyny naszego plemienia przy życiu pozostało tylko trzech; z sześćdziesięciu tysięcy ludzi zdolnych do noszenia broni przeżyło ledwie pięciuset...

Cezar patrzy na nich. Chce im okazać łaskawość.

Odwraca się do Emiliusza: niech wszędzie zostanie obwieszczony rozkaz Cezara. Mówi powoli, nie patrząc na Nerwiów.

- Gajusz Juliusz Cezar, prokonsul rzymski, pozostawia temu ludowi jego ziemie i miasta i rozkazuje sąsiadom powstrzymać się od wszelkiej przemocy oraz wszelkiej niesprawiedliwości w stosunku do bezbronnych Nerwiów.

Żeby dokończyć rozprawy ze związkami plemion belgijskich, trzeba jeszcze pomaszerować na miasto Atuaturów, Namur. Rozkazuje Mamurze rozpocząć oblężenie, wzniesić wieże, wykopać rowy i podsunąć blisko murów ruchome osłony.

Lecz nim jeszcze taran zdążył uderzyć w mury miasta, Atuaturowie rzucają swą broń do fos. Jest tego tak wiele, że stosy mieczy, włóczni, tarcz i hełmów wznoszą się niemal na wysokość umocnień miasta.

Cezar robi objazd miasta. Czy możliwe, żeby ten lud, potomkowie Cymbrów i Teutonów, poddał się tak bez walki? Trzeba się mieć na baczności, wystawić liczne posterunki i w razie najmniejszego alarmu rozpalać ogień.

W nocy nie śpi. Słyszy jakieś krzyki. Widzi strzelające w górę płomienie. Kilka tysięcy barbarzyńców usiłuje opuścić miasto. W blasku ognia widzi, jak walczą z legionistami, padają od strzał i włóczni. Ginie ich niemal cztery tysiące.

Należy ukarać tych, którzy nie dotrzymali słowa! Niech wyważą bramy miasta i wszystko, co się w nim znajduje, tak ludzie, jak dobytek, ma zostać sprzedane za jednym zamachem! Pięćdziesiąt trzy tysiące barbarzyńców zostanie niewolnikami.

Teraz Cezar może powrócić do Galii Przedalpejskiej. Zamieszkuje w dużej willi w pobliżu Rawenny. Dowiaduje się, że w Rzymie nadal trwają zamieszki, że codziennie ścierają się ze sobą bandy Klodiusza i Milona. Pompejusz, któremu senat polecił zaopatrzyć miasto w żywność, gdy zbiory okazały się niewystarczające, wyruszył przez morze na Sycylię, chcąc opróżnić tamtejsze spichrze na rzecz Rzymu.

Pompejusz dumnym głosem oświadczył w senacie:

*- Navigare necesse est, vivere non necesse!*

Cezar chce, aby Emiliusz powtórzył mu to zdanie: „Żeglowanie jest koniecznością, a życie nią nie jest”.

Cóż za zwiędła myśl! Jak bardzo Pompejusza zaślepiła ta śmiechu warta pycha. Konieczne jest nie żeglowanie, lecz zwycięstwo - aby powiększyć chwałę Rzymu, zostając jego panem.

Cezar siada.

Będzie pisał, ułoży relację o wszystkich kampaniach, jakie prowadził w Galii. Chce, żeby komentarze na temat tej wojny zapewniły mu sławę. Senat już został zmuszony do zadekretowania dwutygodniowych modłów dziękczynnych dla uczczenia jego zwycięstwa nad Belgami.

- Jesteś pierwszy, Gajuszu Juliuszu Cezarze! - wykrzykuje Emiliusz, kłaniając się. - Nikomu dotąd w Rzymie nie przyznano takiego zaszczytu. Nikt jeszcze nie został uznany za godnego takich uroczystości dziękczynnych!

Cezar go odpycha, nie chce, by ogarnęło go upojenie. Ten hołd stanowi także zasadzkę. Chcą w ten sposób przytępić ostrze jego ambicji. Jak Emiliusz może tego nie rozumieć? Ludzi tak łatwo oszukać! Czy on nie wie, że Pompejusz zazdrości zwycięstw odniesionych w Galii przez swego teścia? Z powodu tych więzów rodzinnych i z powodu siły

legionów Cezara nie ośmiela się nic zrobić, ale zbliżył się ostatnio do senatu. Czy to nie on zbiori bandy Milona, rywalizującego z Klodiuszem? A Katon i Cyncero starają się wysuwać na pierwszy plan innych senatorów, wrogo nastawionych do Cezara, takich jak Domicjusz Ahenobarbus. Chcą, by ten ostatni został konsulem na rok 55, a gdy obejmie on ów najwyższy urząd, będzie starał się o *imperium* nad Galami.

- Już nie będę pierwszy - mówi Cezar, przybliżając się znów do Emiliusza. - Będę zwykłym obywatelem rzymskim pozbawionym władzy i wtedy oni mnie zaatakują.

Gładzi po włosach Emiliusza, który spuścił głowę i przybrał minę skruszonego i przyznającego się do winy chłopca. Wygląda teraz jak nastolatek, który coś przeszkrobał.

- Musisz zrozumieć, że ten, kto chce władzy, musi ją przejąć w całości, tak żeby już niczego nie zawdzięczać ludziom. Sam musi być źródłem swej władzy i sławy.

Cezar wyciąga rękę, pokazuje stół, na którym rozłożone są zwoje z pierwszymi linijkami *Wojny galijskiej*.

- Każde zdanie musi być kolejnym kamieniem pomnika na moją cześć. Rzymianie i sprzymierzeńcy złożą przed nim pokłon. A moi wrogowie w Rzymie i wśród barbarzyńców będą patrzyli na niego ze strachem.

Zasiada za stołem, przygotowuje się do pisania, potem zwraca się do Emiliusza.

- Jeśli nie możesz wzbudzać miłości - mówi - wzbudzaj lęk.

## **Rozdział 29**

Trzeba prowadzić wojnę w imię wielkości Rzymu, by dołączyć do jego ziem Galię  
Zaalpejską...

Cezar siedzi w willi w Luce. Przybył tu, jadąc po drogach Ilirii, trzeciej prowincji, nad którą rozciąga się jego *imperium* jako prokonsula. Nie ma garnizonu ani miasta, gdzie by go nie przyjmowano jak wodza, któremu Fortuna ozdobiła czoło wieńcem zwycięstwa i sławy.

A jednak jest zatroskany. Labienus i legaci, którzy pozostali wraz z legionami w Galii, przysłali posłańców. Obawiają się oni powstania Wenetów, zamieszkujących obszar w pobliżu Oceanu - Armorykę mającą swe naturalne przedłużenie w miriadzie wysp, z których każda może udzielić schronienia i stać się osobną twierdzą. Wenetowie posiadają liczną flotę i chcą, jak się zdaje, zjednoczyć pod swoją władzą wszystkie ludy morskie od Morynów na północy do Santonów na południu, od Belgii - znów ta Belgia! - aż do Akwitanii.

Nigdy się nie skończy z tą Galią!

Pisze kilka linijek:

„Galowie spragnieni są na ogół odmiany i zaczynają wojnę równie lekkomyślnie, co pospiesznie, wiedząc zresztą, że wszyscy ludzie skłonni są z natury miłować wolność i nienawidzić poddaństwa”.

Jest pewien, że będzie musiał wrócić do Galii, podjąć znowu wojnę i dokończyć podboju tego kraju. Wszyscy w jego otoczeniu nalegają, aby już ruszać. Ale czas jeszcze nie nadszedł. Najpierw trzeba się upewnić, czy z Rzymu, podczas gdy on będzie zajęty walką, wrogowie nie cisną mu włócznią w plecy.

I dlatego właśnie znalazł się w Luce, mieście Galii Przedalpejskiej położonym najbliżej Rzymu, aby spotkać się tu z ludźmi, którzy mogą się stać albo być nadal jego sprzymierzeńcami.

Cezar siedzi nieruchomo, z przymkniętymi oczami i skrzyżowanymi ramionami, wysłuchując senatorów, którzy przybyli tu z Rzymu złożyć mu hołd. Podają imiona protegowanych, prosząc go o przychylność i poparcie w zamian za - jak mówią - swoją wierność.

Nie szczędzi im względów. Kiedy tylko może, daje im to, o co proszą. Oddalają się, zapewniając go o swej wdzięczności.

Cezar nie odpowiada, nie odprowadza nawet wzrokiem odchodzących gości. Schlebiają mu, ponieważ boją się jego potęgi - tej, którą daje mu sława zwycięzcy, jak i tej, której źródłem są łupy zagrabione w tyłu miejscach i pieniądze uzyskane ze sprzedaży tysięcy niewolników, ale najbardziej boją się jego największej potęgi: dziewięciu znajdujących się pod jego komendą legionów, do czego należy jeszcze dodać oddziały pomocnicze, Galów z plemienia Eduów i z Galii Przedalpejskiej, piechotę z Ilirii oraz jeźdźców z Galii Narbońskiej.

Wychodzi z willi. Ulice Luki, tej na co dzień małej miasteczka, wypełnia tłum, który zdumiewa mieszkańców. Zatłoczone są lektykami senatorów, przechodzi nimi także stu dwudziestu liktorów przybyłych złożyć hołd prokonsulowi Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi, najwyższemu kapłanowi Rzymu.

Emiliusz chodzi od jednych do drugich, ustala godziny posłuchań, szepcze imiona, objaśnia senatorowi zabiegającemu o audiencję, że jest on już dwusetnym członkiem Kurii, który przybył tu przedstawić się Cezarowi.

- Jesteś pierwszy - mówi z uśmiechem do Cezara. - Świadczą o tym wszystkie te wizyty. Wszyscy przyjeżdżają do ciebie.

Cezar nie odpowiada.

Przyjmuje Krassusa, który skarży się na Pompejusza i wyraża żal, że triumwirat

stopniowo się rozpadł.

Cezar go obserwuje. Gdy wymawia imię Pompejusza, na jego twarzy pojawia się gorycz i zawiść.

- Jedność to nasza siła - zapewnia Cezar.

Wstaje, bierze go poufale pod ramię. Już nie jest tamtym zadłużonym człowiekiem, który prosił Krassusa o pożyczanie mu pieniędzy potrzebnych na kampanie wyborcze. Teraz jego skrzynie są pełne. Ma dość pieniędzy, aby zebrać i uzbroić dwanaście tysięcy ludzi: dwa nowe legiony. A kiedy dokończy podboju Galii, splądruje miasta wrogów, ich domy i świątynie, sprzeda do niewoli tysiące mieszkańców, będzie co najmniej tak samo bogaty jak Krassus, a przy tym bardziej sławny i dysponujący większą siłą wojskową.

- A oto i Pompejusz - mruczy Cezar.

Idzie w stronę zięcia, którego straż rozpędza tłum zebrany pod willą.

- Przyjechał? - zdziwionym tonem pyta Krassus.

Tak samo jak my dwaj - myśli Cezar - nie jest w stanie pokonać dwóch pozostałych, toteż musi się z nami sprzymierzyć.

Ścisła serdecznie Pompejusza, prowadzi go w głąb willi. „Pompejusz z uczuciem mówi o Julii. Kłania się przed Cezarem. Zaznał z córką Gajusza Juliusza Cezara spokoju. Jest ona młodą żoną, jakiej potrzebował. To kobieta rozsądna, umiejąca mężowi doradzić i wierna.

Cezar dziękuje. Pragnął tych więzów rodzinnych, aby mocniej związać ze sobą Pompejusza. A teraz trzeba odnowić triumwirat, zbliżyć do siebie Krassusa i Pompejusza, aby dzięki jedności trzech najpotężniejszych ludzi w Rzymie nakreślić przyszłość i narzucić ją patrycjuszom, uzyskując poparcie większości, a zwłaszcza największych demagogów, takich jak Ciceron, który zawsze wyczuwa, skąd wiatr wieje.

- Bądźmy zjednoczeni - apeluje znów Cezar.

Obserwuje przy tym Krassusa i Pompejusza. Obaj nie patrzą na siebie, lecz twarze mają odwrócone w jego stronę. Cezar jest panem gry, zwornikiem sklepienia.

- Zostańcie obaj konsulami na rok 55. Rzym zrozumie wtedy, że jesteśmy sprzymierzeni, a tym samym niezwyknięci.

Nareszcie tamci dwaj wymieniają między sobą spojrzenia.

- A co potem? - pyta Krassus. - Konsulat trwa tylko rok, wiesz o tym dobrze, Cezarze. I wart jest tyle, ile prowincja, której prokonsulem zostaje się później. Czym byłbyś dzisiaj bez

Galii Narbońskiej, Galii Przedalpejskiej, Ilirii?

Cezar pochyla głowę. Musi odsłonić Krassusowi część prawdy.

- I chcę nadal zatrzymać te prowincje, przedłużyć moje *imperium* nad nimi, zakończyć podbój Galii i pozostać prokonsulem aż do czasu, gdy będę mógł ponownie ubiegać się o wybór na konsula. Dlatego was potrzebuję. Jeśli wy będziecie konsulami...

Pompejusz wstaje, zaczyna chodzić po sali.

- Dziesięć lat - mówi - zgodnie z prawem pomiędzy jednym okresem pełnienia urzędu konsula a drugim upłynąć musi dziesięć lat.

- W 48 roku ten okres dobiegnie końca.

- I aż do tej pory Galowie! - rzuca ze śmiechem Krassus. - Masz apetyt. A co ze mną, czy sądzisz, że mój żołądek zadowolony jest jednym rokiem pełnienia urzędu konsula?

- Weź potem Syrię, poprowadź wojnę przeciwko Partom i będziesz sławny!

Widzi, jak twarz Krassusa rozjaśnia się w uśmiechu, który stara się jednak ukryć, odwracając się do Pompejusza.

- Spośród nas trzech, Pompejuszu - dorzuca Cezar - twoje czoło zwieńczone jest największą liczbą triumfów. Co powiedziałbyś na to, aby po okresie konsulatu zarządzać dwiema prowincjami Hiszpanii? Nie trzeba ich nawet przyciskać, by dawały złoto. Znasz Balbusa, mego wiernego Hiszpana z Gades? On powie ci wszystko, co zechcesz wiedzieć na temat twoich Hiszpanów.

Pompejusz wypina się dumnie, uśmiecha.

- Moich Hiszpanów - powtarza. - Rozporządzasz przyszłością, jakbyś był panem Rzymu! Skąd wiesz, że zostaniemy wybrani na konsulów i że potem będą nam przyznane prowincje Syrii i Hiszpanii, a tobie przedłużenie rządów w Galii?

Teraz z kolei wstaje Cezar, podchodzi do Pompejusza i dotyka jego ramienia, potem kieruje się do Krassusa, który nadal siedzi, i ten sam gest powtarza także wobec niego.

- To nie ja - odpowiada. - Ja sam nie mogę dokonać niczego. Ale razem możemy wszystko. Czy znamy w Rzymie kogoś, kto może sprzeciwić się temu, czego my zechcemy? Senatorowie się podporządkują, a Cyceron, używając swego talentu wielkiego oratora, wyjaśni im w pięknych okresach, że nie można dokonać lepszego wyboru.

Pompejusz i Krassus wybuchają śmiechem.

Cezar wyciąga przed siebie złączone ręce, aby Krassus i Pompejusz mogli do nich dołożyć swoje.

Podchodzą. Splatają swoje dłonie z jego dłońmi.

Stara się, żeby na jego twarzy nie było widać radości, żeby Pompejusz i Krassus



wyobrażali sobie, że porozumienie, które właśnie zawarli, jest dla wszystkich sprawiedliwe.

Jak oni mogą nie dostrzegać, że Krassus zostanie wskutek tego wciągnięty w wojnę przeciwko Partom, prowadzoną z dala od Rzymu, przez co nie będzie mógł odgrywać żadnej roli w mieście - a w dodatku wcale nie jest powiedziane, że zwycięży z tym silnym ludem. Co się z kolei tyczy Pompejusza, to na jakie laury może on liczyć w obu tych Hiszpaniach, gdzie wszystkie ludy są już ujarzmione i do których nie można dojechać inaczej niż przez Galię Narbońską i Przedalpejską?

Przez moje prowincje! - myśli Cezar.

Ujmuje Krassusa i Pompejusza pod ramię. Mówi im, że musi prowadzić wojnę w imię wielkości Rzymu, aby dołączyć do jego ziem Galię Zaalpejską. Wyposażył na swój koszt legiony. Życzy sobie, aby skarb państwa wziął na siebie ciężar utrzymania czterech spośród nich. Mówi o tym roztargnionym głosem, jakby decyzja nie miała specjalnego znaczenia. Krassus i Pompejusz zgadzają się bez wahania.

Patrzy na nich badawczo. Już pogrążyli się w swoim śnie o władzy, zapominając, że zawsze trzeba się mieć na baczności, nie wolno się upajać sukcesem.

Oni już sobie wyobrażają chwilę, gdy zostaną wybrani, uroczystości, jakie wtedy wyprawia w Rzymie.

- Otworzę uroczyście mój amfiteatr! - wykrzykuje Pompejusz. - Chcę, żeby tego dnia zabito pięćset lwów i dziesiątki słoni. Chcę, żeby przelana krew dzikich bestii dała Rzymianom pojęcie o naszej potędze i dumie z przynależności do tego miasta!

Cezar kiwa głową. Słucha z kolei Krassusa, który przyrzeka, że uczci objęcie urzędu konsula igrzyskami z udziałem setek gladiatorów.

On tymczasem będzie się bił w Galii. Podaruje Rzymianom nową prowincję. I plebs go będzie sławił.

Patrzy na Pompejusza i Krassusa, którzy prześcigają się w planowanych wspaniałościach i już liczą, ile trupów dzikich zwierząt i gladiatorów ofiarują Rzymowi.

Pozwala im odjechać. Krassus i Pompejusz nawet się do niego nie odwracają.

Gdy bogowie chcą człowieka zgubić, sprawiają, że staje się próżny, to znaczy ślepy i głuchy, niepomny siły innych ludzi.

## ***Rozdział 30***

Teraz na czele X legionu maszeruje wzdłuż rzeki Liger...

Cezar zaplata ręce na plecach, prostuje się w siodle, ścisną kolanami boki konia i

cwałuje, pobudzając go uderzeniami pięt do galopu. Lubi przejeżdżać w ten sposób wzdłuż kohort maszerujących równym krokiem. Jego napięte ciało tworzy całość z wierzchowcem. Cezar czuje, że żołnierze odprowadzają go wzrokiem. Pragnie jechać jeszcze szybciej, zadziwić ich.

Wie, że zdumiewa swoich żołnierzy, wykazując więcej wytrzymałości od nich. Nowi legionieści są niezmiennie zaskoczeni na widok jego chudości, wąskich ramion i bezkrwistej cery. Ci mocni ludzie o skórze spalonej słońcem i ogorzałej od wiatru i deszczu myślą z początku, że jest on jeszcze jednym z tych chudych i rozwiązłych konsulów, którzy obawiają się niepogody, których wyczerpują długie marsze i którzy oglądają swe legiony z daleka, wydają im rozkazy, lecz sami nigdy się nie narażają na niebezpieczeństwo. A potem widzą, jak ich wódz śmiało obok nich przejeżdża, jego czerwony płaszcz łopoce i smaga koński zad. Słyszą też opowieści centurionów, jak to Gajusz Juliusz Cezar zawsze znajduje się w najbardziej niebezpiecznym miejscu bitwy, wyrywa uciekającym żołnierzom chorągwie i miecze, powraca do obozu z płaszczem i kolczugą zbroczonymi krwią.

Cezarowi jest potrzebny ich podziw. Legiony muszą być oddane swemu wodzowi, muszą uważać go za człowieka odważnego, który prowadzi ich do zwycięstw, pozwala im zdobyć sławę oraz łupy. Każdy żołnierz musi wiedzieć, że będzie miał swój udział w zdobyczach wojennych i w zyskach ze sprzedaży dziesiątków tysięcy niewolników.

Cezar zatrzymuje się i zeskakuje z konia, z żołnierzami przeprowi się przez rzekę. Oni muszą widzieć, jak wspólnie stawiają czoło lodowatym wirom, jak przywiązany do bukłaków napęcznionych powietrzem przepływa na drugi brzeg. Muszą widzieć, że tak samo jak oni dygocze z zimna na lodowatym wietrze, który przynosi posępne chmury znad Oceanu.

Wchodzi do chaty galijskiego chłopa, szukając schronienia przed nawałnicą. Dom o jednej izbie z klepiskiem zamiast podłogi jest tak ciasny, że położyć się w nim może tylko jedna osoba.

Cezar rozgląda się po towarzyszących mu ludziach. Widzi, że jeden z nich, Oppiusz, ma gorączkę i pokryty jest potem, przywołuje go więc, by to on położył się tu na noc.

- Co najzaszczytniejsze, to należy oddać najzacniejszym - mówi, wychodząc z izby - ale co najkonieczniejsze, najslabszym\*[\* Plutarch z Cheronei, *Żywoty sławnych mężów*, przeł. Mieczysław Brożek, Wrocław 1955, s. 690.].

On sam ułoży się w wozie, pod skórą, o które bębni deszcz.

Spostrzega Emiliusza, który z opadającą mu na piersi głową siedzi oparty plecami o jedną z żerdzi wozu. Patrzy na to znużone i sponiewierane ciało. Czemu płomień energii tak szybko przygasa u większości ludzi?

Nie będzie Emiliuszowi przeszkadzać, sam usadowi się pod niewielkim okapem, przywoła tam jednego z sekretarzy, których trzyma przy sobie stale, dzień i noc, czy jednie lektyką, czy wozem, aby móc w każdej chwili podyktować listy do Balbusa czy Klodiusza, czuwających w Rzymie nad jego interesami.

Zdarza się nawet, że dyktuje, siedząc na koniu, podczas gdy dwaj sekretarze idą po obu stronach wierzchowca. Odwraca się po kolei to do jednego, to do drugiego, rzucając każdemu odpowiednie zdanie, dając im czas na zapisanie i nie gubiąc nigdy wątku obu tekstów, a gdy któryś z szacunkiem prosi o jakieś uściślenie, Cezar bez zniecierpliwienia powtarza brakujące słowo.

Wódz niełatwo unosi się gniewem. Bogowie obdarzyli go bowiem duszą uporządkowaną jak wojskowy obóz; leżą w niej osobno idee, słowa, gotowe do podyktowania teksty - wszystko rozmieszczone jak kohorty jednego legionu porozdzielane alejkami wytyczonymi pod sznurek.

Wyciąga się na ziemi, owija płaszczem. Obok niego, w ciemności, znajduje się legionista, którego zadaniem jest nie odstępować go na krok, nosić jego miecz oraz tarczę i ochraniać go.

Cezar czuje, że wrogowie nigdy nie zarzucą myśli o zemście. Zamyka oczy, nie może zasnąć. Przed oczami przesuwiają mu się twarze...

Tak, jak przewidywał, w Rzymie Cynceron przeszedł na stronę triumwiratu. Tchórzostwo i słabość człowieka, który tylko z pozoru jest silny! To wielki orator i pisarz, zepsuty jednak pochlebstwami. Także Cezar będzie musiał mu schlebiać, ponieważ Cynceron jest mu potrzebny. Nie wolno zaniedbywać niczego, jeśli chce się zdobyć władzę.

Cezar posłał do Rzymu kohorty urlopowanych legionistów, aby zapewnić wybór Krassusa i Pompejusza na konsulów w roku 55. I dzięki niemu rzeczywiście tak się stało, Krassus zaś i Pompejusz mogli, tak jak sobie wymarzyli, zaofiarować ludowi wielkie igrzyska. Na otwarciu amfiteatru Pompejusza w ciągu kilku godzin zabito pięćset lwów i siedemnaście słoni, walki gladiatorów zakupionych przez Krassusa trwały przez wiele dni. Wkrótce jednak ten rok pełnienia przez nich urzędu konsula dobiegnie końca, Pompejusz wyjedzie do prowincji hiszpańskich, Krassus zaś do Syrii. Czy będzie to odpowiedni moment, aby zacząć działać? Czy też, przeciwnie, należy jeszcze poczekać? Cierpliwość nie powinna się przeradzać w nadmierną ostrożność. Trzeba być zawsze gotowym na schwytanie zdobyczy - jak te orły, które widuje się podczas przeprawy przez Alpy: szybują w górę i

wydają się nieruchome, a potem nagle spadają z szybkością rzuconego kamienia, porywają w swych szponach jagnię, unoszą je i oddalają się, znowu nieosiągalne i niezwycięzone.

Orzeł to emblemat Rzymu. Mój znak...

Cezar podnosi się, przywołuje sekretarza. Będzie dyktował przez całą noc. Zdania muszą być niezrozumiałe, aby w razie gdyby listy zostały przechwycone lub zgubione, nikt nie potrafił uchwycić ich sensu.

Mówi nieco wolniej, podstawiając jedno słowo zamiast drugiego. Jest pewien, że będzie pamiętał ten szyfr, który teraz wymyśla. Klucz do niego podyktuje innemu sekretarzowi i wyśle go do Rzymu za pośrednictwem innego posłańca.

Przestaje dyktować, kiedy zaczyna świtać. Słyszy obozową krzątanicę, od ognisk dobiega go zapach *puls*, papki zbożowej.

Nie jest jednak zmęczony, przeciwnie, to beczyność sprawia, że czuje się tak, jakby głowę ścisnęły mu kleszcze, wzrok mu się potrafi mącić, a kilka razy zdarzyło mu się słać na nogach, jakby ziemia go ciągnęła do siebie. Kiedy jednak jest w ruchu, galopuje, walczy, wszystkie te dolegliwości znikają i ma wrażenie, że jego ciało jest odporne jak najtwardsza z tarcz. Zdaje się, że ani włócznia, ani ostrze miecza, ani strzała nie mogą go zranić.

Teraz na czele X legionu maszeruje wzdłuż rzeki Liger\*ż\* Dzisiejsza Loara.ś. Wydał rozkaz, żeby zbudowano tu galery, zwerbowano pilotów, wioślarzy i majtków i gdy okręty zostaną już zbudowane, popłyną nimi w dół rzeki aż do Oceanu. Tam zmierzą się z okrętami Wenetów - dzięki swej flocie ów krnąbrny lud kontroluje cały handel, panuje nad Armoryką i skupia wokół siebie inne plemiona nadmorskie, potrafi się buntować, a nawet wziął do niewoli trybunów wojskowych wysłanych przez Labienusa w celu zakupu zboża.

Czy prokonsul rzymski może zignorować taką bezczelność?

W namiocie, ustawionym pośrodku wzniesionego przez żołnierzy obozu, Cezar zbiera swoich trybunów i legatów.

- Decyzje Galów - mówi - są niespodziewane i nagłe.

Nie jest zdziwiony, że Wenetowie, idąc od północy Galii aż do Akwitanii, mogli wokół siebie zgromadzić plemiona Morynów, Diablintów, Menapiów, Ambiliatów, Namnetów, Leksoniów, Oyzmiów i Koriozolitów, a nawet plemiona owej wielkiej wyspy Brytanii, chronionej morzem. Ale coraz bardziej się przekonuje, że pewnego dnia trzeba będzie tam pozostawić ślad rzymskiej stopy.

- Trzeba zwyciężyć - kontynuuje. - Należy wydać bitwę na morzu, ponieważ miasta często bronią przypiły Oceanu. Wystarczy jedno zwycięstwo, aby ta koalicja się rozpadła. - Robi kilka kroków, patrzy w stronę rzeki. Poznał już charakter plemion galijskich. Nie

odwracając się, dodaje: - Tak jak temperament Galów jest żywy i szybko chwytają oni za broń, tak duszę mają słabą i brak im siły, aby znieść klęskę.

Cezar wyprowadza armię z obozu i rozmieszcza ją na klifach, wzgórzach i wszystkich wzniesieniach górujących nad morzem. Wschodzi właśnie słońce i morze oślepiająco lśni jak zwierciadło. Wieje rześki wiatr.

Cezar stoi nieruchomo jak jeden z tych kamieni, wokół których plemiona galijskie odprawiają ofiary pod przewodnictwem swoich kapłanów, druidów. Nie ma chęci przyzywać w tej chwili bogów. Oni jako władcy i tak widzą i decydują o wszystkim.

Całe jego ciało się napina. Oto ukazuje się dwieście okrętów Wenetów. Mają wysokie dzioby i rufy. Ich żagle zrobione są z miętko wyprawionych skór zwierzęcych. To ciężkie okręty zbudowane z grubego dębowego drewna, zdolne wytrzymać zderzenia, uderzenia ostrymi dziobami okrętów nieprzyjaciela i burze na oceanie.

Odwraca głowę: tam płynie flota rzymska. Okręty są niskie, szybsze i lżejsze. Dowodzi nimi Brutus. Kiedy podpływają do okrętów Wenetów, są tak nisko, że Galowie zarzucają je strzałami i pociskami, podczas gdy rzymscy łucznicy i włócznicy mogą jedynie uderzać w wysokie dębowe burty nieprzyjacielskich okrętów. Również zastrzone dzioby rzymskich okrętów są nieskuteczne przeciwko masywnym kadłubom okrętów Wenetów.

Nagle jednak spostrzega, jak legionieści i marynarze rzymscy wysuwają w stronę olinowania galijskich okrętów ostre kosy na długich żerdziach. Chwytają nimi żagle i liny nieprzyjaciela, jednocześnie wioślarze mocno naciskają na wiosła i reje Galów padają. Ciężki okręt zostaje unieruchomiony. Wystarczy go wtedy otoczyć wieloma okrętami rzymskimi.

Cezar widzi, jak żołnierze z impetem wpadają na pokład nieprzyjaciela. Większość okrętów Wenetów, by nie wpaść w ręce Rzymian, zaczyna opuszczać zatokę.

Naraz wiatr cichnie.

Cezar podnosi głowę. Bogowie zadecydowali. Okręty Wenetów zostają unieruchomione, są teraz na łasce rzymskich galer. Może zostać tu aż do końca dnia, dopóki słońce nie zanurzy się w Oceanie, i być świadkiem ich klęski. Jedynie kilku okrętom nieprzyjacielskim udało się uciec.

Cezar stoi nieruchomy, ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc na niedobitków Wenetów, którzy przybywają błagać o litość. Oddają się w jego ręce wraz ze wszystkim, co posiadają. Klękają przed nim. Błagają o łaskę prokonsula Rzymu.

Trzeba jednak to plemię ukarać za napaść na wysłanników Rzymu, którzy przybyli do nich jako ambasadorowie, bez broni, w celu zakupu zboża. Aby na przyszłość barbarzyńcy

wiedzieli, jaką cenę muszą zapłacić ci, którzy podnoszą rękę na przedstawiciela Rzymu.

- Cały senat Wenetów ma zostać skazany na śmierć! - rozkazuje Cezar. - A plemię Wenetów sprzedane do niewoli!

Może ocenić wartość tego triumfu, patrząc na skarby, jakie wpadły w ręce jego wojskom. Są tego pełne skrzynie. Wenetowie kontrolowali handel od Hiszpanii aż do Brytanii. Kazali opłacać się kupcom, często byli nimi Grecy. Gromadzili zyski ze swoich podatków i z grabieży. Teraz całe wybrzeże należy do Rzymu. Publiusz, syn Krassusa, ujarzmił plemię z Akwitanii Sotiatów. Opowiada Cezarowi, że najwyższy wódz tego ludu, Adiatuanos, był otoczony sześcioma setkami żołnierzy, Söldurów, którzy nigdy go nie odstępowali i albo wraz z nim zginęli w walce, albo sami sobie zadawali śmierć, gdy przeżyli bitwę.

Krassus jednak zwyciężył.

Pozostaje tylko pomaszerować do regionów położonych nad Morzem Północnym, aby podbić Morynów i Menapiów.

Posuwają się przez kraj puszczy i bagien. Żołnierze zapadają się w ziemi nasączoną wodą. Nieprzyjaciel się wymyka, potem zniemacka wychodzi z lasu, zaskakując żołnierzy zajętych budowaniem obozu, po czym znowu wycofuje się do lasu, gdzie nie mogą go ścigać.

Cezar bierze swój miecz. Niech legionisści pościnają drzewa! Należy zbudować szańce z pni, niech pracują dzień i noc, aby w tym lesie wyrąbać dużą polanę, na którą nieprzyjaciel nie ośmieli się zapuścić.

Nagle nadchodzi burza. Deszcz zalewa ziemię, nasacza płótno namiotów, przenika przez nie do środka.

Nieprzyjaciel jakby rozpląnął się we mgle i deszczu. Trzeba opuścić ten kraj, pozostawiając za sobą jedynie spustoszenia i spalone wioski.

- Żeby nie został ani jeden dom galijski! - woła Cezar.

Słyszy uderzenia toporów o belki, płomienie strzelają w górę pomimo padającego deszczu, dym miesza się z mgłą.

Cezar patrzy na przechodzące legiony. Każdy żołnierz odwraca głowę w jego kierunku. Wyczytuje w ich oczach wdzięczność. Nie pozwolił, żeby gnili tu przez całą zimę, tkwili w tym bagnie, gdzie miesza się ziemia, woda i niebo.

Aż do wiosny rozłożą się garnizonem w miastach podbitych ludów.

Cezar nie jest pod presją czasu. Krassus i Pompejusz jeszcze przez parę miesięcy będą konsulami w Rzymie, niedawno przeprowadzili zresztą ustawę, która przedłuża jego urzędowanie na stanowisku prokonsula o cztery lata.

Pewien jest, że do końca swej kadencji zdobędzie i ujarzmi całą Galię. Wtedy przyjdzie czas pomyśleć o Rzymie. Dziś wieczór może sprowadzić Emiliusza, Mamurę i młodych niewolników.

### ***Rozdział 31***

Widział tego młodego Arwerna o dumnym wejrzeniu, Wercyngetoryksa, syna króla  
Celtyllusa.

I uznał Celtyllusa za przyjaciela Rzymu...

Cezar gestem zaprasza Gala, wysłannika plemienia Menapiów, aby usiadł i mówił. Wysoki mężczyzna przysięga, że jest wiernym sojusznikiem Rzymu.

Cezar słucha ze spuszczoną głową. Nie ma zaufania do tego człowieka, który zaledwie parę miesięcy wcześniej wraz z innymi wojownikami ze swego plemienia walczył przeciwko legionom rzymskim. Gal zdaje się jednak nie pamiętać o tych bezlitosnych walkach. Powtarza, że chce służyć Rzymowi. Jest zbyt gadatliwy i taki jak wszyscy Galowie: zmienny, zapalający się łatwo do wszelkich nowinek, odważny, ale lekkomyślny, zbyt szybko przechodzący od entuzjazmu do przygnębienia, jeszcze wczoraj wróg, a dziś przyjaciel.

- To Uzypetowie, Tenkterowie, Germanie. Są ich całe tysiące - twierdzi Gal. - Przeprowadzają się przez Ren, rabują, chcą zabrać nasze ziemie. Uciekają przed Swebami, których ty pokonałeś, Gajuszu Juliuszu Cezarze, ale są tak liczni, że zakrywają ziemię, jest ich więcej niż drzew w Germanii. Kto może pokonać tych Swebów? Żywią się mlekiem i mięsem! Są to przede wszystkim wojownicy, ziemię uprawiają tylko co drugi rok; ziemia należy u nich do wszystkich. Za cały ubiór mają tylko skóry tak niewielkie, że znaczna część ich ciała pozostaje naga. Nie powstrzymuje ich ani zimno, ani rzeki. Teraz Uzypetowie oraz Tenkterowie zamieszkali u nas razem ze swymi kobietami i dziećmi. I my, Menapiowie, prosimy ciebie o pomoc, Gajuszu Juliuszu Cezarze.

Cezar wstaje. Przechadza się tam i z powrotem po namiocie. Odkąd wrócił do Galii, niemal codziennie przyjmuje galijskich wodzów. Wysłuchuje ich. Ocenia. Trzeba się znać na ludziach.

Widział tego młodego Arwerna o dumnym wejrzeniu, Wercyngetoryksa, syna króla Celtyllusa. I uznał Celtyllusa za przyjaciela Rzymu. Tak samo postąpił z Kawarynusem, królem Senonów, Tazgecjuszem, wodzem Karnutów, oraz Kommiuszem, wodzem Atrebatów i Morynów. Przekonany jest, że można rządzić Galią, jedynie opierając się na tych królach nawzajem zawistnych o swoją pozycję i obawiających się Germanów. A teraz Menapiowie

proszą o pomoc.

- Będę waszym mieczem i tarczą - mówi Cezar do Gala, ten zaś wylewnie dziękuje i prosi, by rzymskie legiony natychmiast skierowały się na linię Renu, aby powstrzymać napływ uciekających plemion germańskich.

- W dniu, który sam wybiorę - odpowiada Cezar.

Chce zostać sam. Chodzi po obozie, rozbitym niedaleko Renu. Patrzy na zalegający prawy brzeg rzeki cień, z którego zdaje się rodzić puszcza.

Żaden jeszcze prokonsul, żaden legion nie maszerował po tym barbarzyńskim terytorium, z którego bez końca wylaniają się nowe hordy. Ten, komu udałoby się podbić ów kraj, zdobyłby wielką sławę, a Galii zapewnił bezpieczeństwo, gdyż dzięki przesunięciu granic na wschód znalazłaby się ona wewnątrz posiadłości rzymskich. Należałoby też ujarzmić tę wielką wyspę, Brytanię, której plemiona pomagały Wenetom i gdzie, jak mówią, znaleźć można perły tak wielkie jak jajo i gdzie są złoża metali: cyny, srebra, złota i miedzi.

Cezar chodzi sam po obozie. Rozmyśla o tym, jaką potęgę dałyby mu takie podboje, skarby i ludy, które można by sprzedać w niewolę. Mógłby na te tereny zabrać ze sobą pomocnicze galijskie oddziały: jazdę i piechotę, które w walce przeciwko barbarzyńcom mogłyby się wykazać odwagą i zapalem. Jako przeciwnicy barbarzyńców Galowie bliżej związałyby się z Rzymem! Natomiast zwycięstwa i łupy wojenne przywiązałyby mocniej legiony do ich wodza.

Czyli do mnie, Gajusza Juliusza Cezara.

W ten sposób Galia, chroniona nowymi podbojami w Germanii i na wyspie Brytanii, stałaby się klejnotem wśród posiadłości Rzymu, mając zapobiegliwą i liczną ludność, szerokie rzeki i żyzne ziemie pod uprawę zboża, a także miasta ze spichrzami wypełnionymi ziarnem.

Mój majątek!

- Trzeba odpowiedzieć na apel Menapiów - oświadcza po wejściu do namiotu trybunów wojskowych. - Trzeba przegonić Germanów z Galii, zmusić ich do wycofania się z powrotem za Ren. - Urywa. Nie chce ujawniać swoich zamiarów. - Jesteśmy przecież także sojusznikami Ubiów, plemienia germańskiego, które również prosi nas o pomoc przeciwko Swebom i Sugambrom.

Czuje się teraz, jak zawsze wtedy, gdy podejmie decyzję, pewny siebie, jakby nie pozostawało nic więcej, tylko zatopić ostrze miecza w odsłonięte ciało pokonanego już wroga.



Wydaje rozkaz, by załadowano zboże na wozy i powołano pod broń galijskich jeźdźców, którzy będą służyli jako zwiadowcy. Potem zwiną obóz, pomaszerują w kierunku Mozy i dalej, w stronę Renu.

Tej wiosny niebo nad Galią ma kolor bladobłękitny, okryte jest lekkim białym woalem.

Cezar cwałuje z rękami założonymi na plecach. Teraz trzeba będzie się bić. Słucha wysłanników plemion germańskich, którzy z wielkim uszanowaniem tłumaczą, że zostali wygnani przez Swebów i Sugambrów. Proszą, by Rzymianie ich nie atakowali. Pragną pokoju.

Jeden z nich występuje naprzód i przemawia czystym głosem.

- Weszliśmy do Galii wbrew naszej woli - mówi. - Niech dadzą nam ziemię, a będziemy użytecznymi sojusznikami Rzymian. Uzypetowie i Tenkterowie są wierni swoim sprzymierzeńcom. Są dzielnymi wojownikami, ale nawet nieśmiertelni bogowie nie mogą stawić czoła Swebom i oprócz nich samych nikt na świecie nie może ich pokonać!

Cezar odwraca się od nich. Potrzebuje wojny.

- Gdy się nie potrafi obronić swojego kraju, to nie ma się prawa wkraczać do cudzego!  
- oświadcza. - W Galii nie ma wolnych terenów. Wracajcie za Ren. Może Ubiowie będą mogli was przyjąć...

Gestem odmawia, gdy proszą o trzy dni rozejmu, aby poczekać na odpowiedź starszyny Uzypetów i Tenkterów.

Nie ma do Germanów zaufania. Zresztą co dałby mu taki rozejm? Należy ich zniszczyć, a ich klęska powinna posłużyć za naukę dla innych plemion, które mogłyby myśleć o przekroczeniu rzeki.

Trzeba kontynuować marsz.

Nagle widzi nadjeżdżających jeźdźców galijskich. Zostali zaatakowani z zasadzki przez ośmiuset Germanów, którzy zjechali ze zboczy na swych małych, szybkich konikach. Podczas walki jeźdźcy zeskakiwali na ziemię i przebijali mieczami brzuchy galijskich koni, siejąc postrach.

Żadnej litości! Oto jest pretekst do wojny. Zaatakować obóz Germanów. Schwycić wysłanników Uzypetów i Tenkterów, zaatakować ich obóz i wybić wszystkich do nogi!

Przygląda się walce. Przypomina ona raczej rzeź niż bitwę. Kobiety i dzieci uciekają z obozu. Niech jazda ściga ich i wszystkich wytnie!

Czuje podnoszący się z ziemi odór krwi. Podobna woń napęlnia arenę po zabiciu dzikich zwierząt. Germanie, przerażeni widokiem masakry swoich najbliższych, porzucają

broń, zostawiają swe znaki i uciekają.

Zwycięstwo zawsze wyrasta z krwi nieprzyjaciela i z okrucieństwa.

Cezar posuwa się naprzód. Widzi Germanów, którzy dopadłszy ujścia Mozy do Renu, zatrzymują się, nie wiedząc, dokąd uciekać. Widzi błyski mieczy legionistów, którzy podrzynają im gardła. W zapadającej ciemności spostrzega nielicznych niedobitków, którzy dotarli do rzeki. Biją ramionami wodę i toną pokonani strachem, zmęczeniem i siłą prądu rzeki.

Ani jeden Rzymianin nie zginął.

Z czterystu trzydziestu tysięcy nieprzyjaciół przeżyła jedynie garstka jeńców. Puścić ich wolno! Nie stanowią już żadnego zagrożenia. Uzypetowie i Tenkterowie już nie istnieją.

Cezar przemierza obóz wzniesiony na wzgórzu górującym ponad Renem. Patrzy na szeroką rzekę o czarnych wodach. Chce być pierwszym konsulem Rzymu, który przekroczy tę granicę i wejdzie do Germanii.

Kiedy wydaje rozkaz zbudowania mostu, czuje, że patrzą na niego i słuchają go z respektem i podziwem, ale też z domieszką lęku. Jest przecież człowiekiem, który nakazał wybić cały naród.

Sprawia mu to przyjemność.

Niech każdy wie, że jest wodzem nie znającym litości i że wróg musi zostać zastraszone, nie może się spodziewać żadnej litości ani dla siebie, ani dla swoich starców, kobiet czy dzieci. Nieprzyjacielskie plemię musi zostać złożone w ofierze na ołtarzu zwycięstwa Rzymu.

Ale czasem, w pewnych okolicznościach, nawet plemię wrogów może stać się sojusznikiem.

To ja, Gajusz Juliusz Cezar, o tym decyduję...

Odwraca się do Mamurry.

- Zbudujemy ten most na Renie!

Potrzebne są maszyny do wbijania pali w dno rzeki. Pary pali zostaną umieszczone ukośnie, aby stawały opór prądowi rzeki. Utworzą coś na kształt odwróconej litery V; nasady pali będą od siebie oddalone o kilka kroków. Gruba pozioma belka będzie je utrzymywać na miejscu. Na to położone zostaną podłużne legary tworzące przęsła. A z przodu mostu zostaną wbite dodatkowe pale, izbice, aby osłabiały prąd i amortyzowały uderzenia kłód i łodzi, które barbarzyńcy mogliby puszczać rzeką, by popsuć konstrukcję.

Wchodzi Emilusz ze zwojem papirusu; jest to list od Balbusa, przyniesiony właśnie

przez posłańca z Rzymu. Cezar siada. Każe Emiliuszowi czytać.

Balbus informuje, że plebs jest zachwycony odniesionym w Galii zwycięstwem nad plemionami germańskimi. W senacie zgłoszono propozycję uchwalenia nowych modłów publicznych na cześć Cezara, ale Katon gwałtownie się temu sprzeciwił. Powiedział...

Emiliusz urywa, podnosi wzrok, ociąga się z dalszym czytaniem. Cezar gestem nakazuje mu kontynuować.

- ...że zamiast głosować nad uroczystościami i obchodami ku czci Cezara, należałoby go wydać barbarzyńcom, aby oczyścić się od tej wojny, do której on dążył, odrzucając rozejm, od tej masakry, jakiej dokonał na plemionach Uzypetów i Tenkterów. Ludy te prosiły go jedynie o prawo osiedlenia się w Galii. Przekleństwo, jakie Cezar ściągnął w ten sposób, spaść powinno nie na Rzym, lecz tylko na niego samego! Cezar wstaje.

- Most musi zostać ukończony w ciągu dziesięciu dni.

Bierze zwój papirusu, drze go. *On* jest zwycięską siłą. Jest wybrańcem Fortuny. Katon pewnego dnia pozałuje swoich słów.

- Jestem okrutny i jestem łaskawy - mruczy. - Nikt nie może mi dyktować, co mamy robić. Nikt nie może mnie osądzać.

Nadchodzi dziesiąty dzień i już nie słychać hałasu ciężarów spadających z góry na pale, aby wbić je w dno rzeki, ani krzyków drwali i cieśli ścinających drzewa i tnących je na deski.

Cezar wychodzi z namiotu. Most już stoi, szeroki jak owe drogi, które są znakiem Rzymu na każdym podbitym przez niego terytorium.

Gdy Cezar się zbliża, pracujący przy budowie żołnierze rozstępują się i tworzą orszak podążający za nim.

Wchodzi na most pierwszy. W ciszy słychać jedynie dudnienie kroków po deskach; gdy dochodzi już do środka mostu, zatrzymuje się, patrzy na nurt porozdzielany konstrukcją i rzuca silnym głosem:

- Ujarmiliśmy rzekę! Chwała Rzymowi! Wtedy podnoszą się okrzyki żołnierzy.

Dochodzi aż na drugi brzeg. Teraz armia może przekroczyć Ren.

Na czele legionów zagłębia się w puszcze Germanii, gdzie wciąż zalega cień, panuje zimno i wilgoć, jakby nadal trwała zima. Jedynie na rzadka rozsianych polanach i polach można sobie przypomnieć, że jest już lipiec roku 55.

Cezar ma czterdzieści sześć lat. Jest pierwszym konsulem stawiającym stopę na tej wrogiej ziemi, którą barbarzyńcy, jak się zdaje, opuścili.

Gdzie są Sugambrowie i Swebowie? Czy przygotowują się do tego, żeby nagle wyjść z puszczy?

Cezar gratuluje sobie pomysłu, by straż przy moście powierzyć wielu kohortom umieszczonym po jego obu stronach. Nie chce ryzykować. Nie tylko w ewentualnej porażce mógłby stracić legiony, ale wie, że hieny z senatu rozszarpałyby go na strzępy.

Wydaje rozkaz, aby palić wszystkie wioski i siedziby ludzkie, aby niszczyć uprawy. Wyczuwa zaniepokojenie żołnierzy, że wróg im się wymyka. Sam także nie potrafi pozbyć się lęku ściskającego mu gardło i skronie.

Postanawia udać się do Ubiów, jedyne spośród plemion germańskich, które deklaruje się jako sojusznik Rzymu. Ich wodzowie wyciągają ramiona, pokazują lasy. Kobiety, dzieci i starcy Swebów znajdują się tam, w głębi puszczy, razem z całym dobytkiem. Uciekli, gdy tylko pierwsze pale mostu zostały wbite w dno Renu. A wszyscy mężczyźni z plemienia Swebów zebrali się w głębi kraju i przygotowują się do stoczenia bitwy.

Nigdy nie wolno pozostawiać inicjatywy po stronie przeciwnika, lecz należy go zaskakiwać!

Cezar patrzy na niebo, zaczyna się już pora burz. A nim nadejdzie zima, pragnie jeszcze postawić stopę w innym barbarzyńskim kraju, gdzie dotąd żaden Rzymianin nie zatknął znaków swoich legionów - na wyspie Brytanii.

Wydaje więc legionom rozkaz ruszenia w drogę powrotną w kierunku mostu na Renie, chcąc dotrzeć do Galii i do jej północnego wybrzeża.

Patrząc na szybki krok żołnierzy, domyśla się, jaką czują teraz radość, jakby nagle zostali uwolnieni od strachu. On także czuje, że niepokój stopniowo rozluźnia swój uścisk. Zostaje jednak na prawym, germańskim brzegu rzeki, aż do chwili, gdy przekroczy ją ostatni manipuł. Dopiero wtedy wchodzi na deski, mając świadomość, że zgodnie z jego rozkazem po przejściu ostatniego Rzymianina cieśle będą niszczyli listwy, pale i przęsła mostu.

Patrzy na belki porywane przez prąd. Wzywa jednego ze swych sekretarzy. Nie wolno dopuścić, aby jego przeciwnicy w Rzymie mogli pomyśleć, że opuścił Germanię, uciekając przed zagrożeniem ze strony Swebów. Naród rzymski musi być przekonany, że także te osiemnaście dni stanowi zwycięstwo Gajusza Juliusza Cezara.

„Cezar (...) cele, dla których postanowił przeprowadzić wojsko, w pełni osiągnął, mianowicie napędzenie strachu Germanom, ukaranie Sugambrów i wyzwolenie Ubiów spod ucisku, po spędzeniu łącznie osiemnastu dni za Renem i po uznaniu, że dość zrobiono dla chwały i dobra narodu rzymskiego, powrócił do Galii, a most zerwał”\*[*Wojna galijska*, op. cit., s. 124.].

## Rozdział 32

Chce, aby w Rzymie nie powątpiewano w jego zwycięstwo w Brytanii i aby uczczono jego wyprawę za Ren...

Cezar patrzy na szare morze. Niskie chmury zlewają się z horyzontem. Lato dobiega końca. Już wie, że jest za późno, aby podejmować podbój tej wielkiej wyspy, o której niemal nic nie wiadomo.

Chodzi po skraju wysokiego brzegu. Przypomina sobie kupców, których o nią wypytywał po swoim przybyciu do Portus Itius\*[\* Dzisiejsze Boulogne.]. Ledwie byli mu w stanie cokolwiek powiedzieć o wybrzeżu Brytanii położonym najbliżej Galii. Nic jednak nie wiedzieli na temat plemion zamieszkujących wyspę, ich ustroju i sposobu walki.

Cezar przystaje, obserwuje rozkołysane fale. Nie chce odwoływać teraz ekspedycji, nawet jeśli ma to być jedynie rekonesans. Obok przejścia Renu i wkroczenia do Germanii potrzebne jest mu lądowanie na tej wielkiej wyspie. Chodzi o to, by w Rzymie wiadano, że Cezar jest jednocześnie panem Renu i Oceanu. Żaden Katon nie będzie w stanie przeszkodzić, by ponownie został uhonorowany wieńcami chwały.

A do tego dochodzą bogactwa Brytanii: metale, perły, niewolnicy. Bardzo chce zgromadzić nowe skarby, aby kupić w Rzymie tereny, na których każe zbudować forum i świątynie. Dzięki temu w świętym obwodzie miasta, *pomoerium*, zapisane zostanie jego imię i jego potęga, wszyscy obywatele Rzymu zobaczą, że jest on wybrańcem Fortuny. Ale w tym celu trzeba przepłynąć się przez morze, pokonać te wysokie szare fale.

Widzi, jak do portu wpływa osiemdziesiąt okrętów, które umożliwią przekroczenie cieśniny Oceanu, wraz z dwoma legionami. Podnosi rękę, wzywa do siebie Emiliusza, który miał wypytać legata Woluzenususa wysłanego na okręcie wojennym w celu zbadania wybrzeży i ustalenia, gdzie są zatoki i ustronne plaże nadające się do wylądowania.

- Nic - mówi Emiliusz.

Woluzenus widział jedynie wysokie klify. Emiliusz robi pogardliwy grymas.

- Woluzenus nie zszedł z okrętu. Nie mógł więc nawiązać kontaktów z miejscową ludnością.

Brytowie jednak są i tutaj. Przepłynęli morze na małych łodziach z wikliny, przypominających koszyki, którymi można kierować i które pływają na falach jak konie biorące przeszkody.

Mówią wolno jednym z języków galijskich, a Kommiusz, król Atrebatów\*[\* Region Arras.], sojusznik Rzymian, tłumaczy Cezarowi. Brytowie mówią, że śledzili ruch legionów

rzymskich rok po roku. Widzieli, jak zbliżają się one do wybrzeża, jak pokonują Wenetów, i wiedzą, że pewnego dnia będą musieli im się poddać. Są na to gotowi. Godzą się dać prokonsulowi Rzymu zakładników jako poręczenie przyjaźni.

Należy ich uspokoić, niech im się zdaje, że Cezar ma do nich zaufanie, niech wracają na swoją wyspę w towarzystwie Kommiusza, należy twierdzić, że Rzym chce im jedynie przynieść pokój.

Ale gdy tylko Brytowie odpłynęli, każe załadować żołnierzy na okręty transportowe i wydaje rozkaz wyposażonym w maszyny oblężnicze galerom wojennym, aby podnosiły kotwice.

- Pokój jest dzieckiem siły - zwraca się Cezar do Emiliusza. - Najpierw trzeba rzucić barbarzyńców na kolana, a i potem, kiedy się poddadzą, także nie wolno im ufać. - Odchodzi. - Kto chce zdobyć władzę - mówi do siebie - może ufać tylko sobie.

Od chwili, gdy wypłynął w morze z pierwszymi okrętami transportowymi, ma uczucie, że bogowie obserwują go, lecz nie chcą mu pomóc. Statki przewożące jazdę są opóźnione i kiedy o czwartej godzinie dnia dostrzega już brzegi Brytanii, dysponuje jedynie piechotą.

Staje na dziobie okrętu. Na wszystkich okolicznych wzgórzach widać uzbrojonych żołnierzy. Niski brzeg jest tak wciśnięty pomiędzy klify, że narażony jest na strzały i pociski z góry.

Nie można tu lądować. Odwraca się. Trzeba mówić spokojnym głosem, centurionowie i żołnierze muszą widzieć, że wódz nie ma wątpliwości.

- Czekamy - mówi.

Obserwuje horyzont, na którym powinny się pojawić pozostałe statki przyplływające z Galii. I o dziewiątej godzinie dnia, kiedy wiatr i przyływ są korzystne, wydaje rozkaz ruszenia w dalszą drogę.

Należy płynąć wzdłuż wybrzeża. W końcu dostrzega płaski i odkryty odcinek brzegu. To tu\*[\* Między dzisiaj Walmer a Deal.].

Czuje wstrząs. Kadłuby okrętów uderzają o dno. Nie można się bardziej zbliżyć. Cezar daje znak: niech ludzie opuszczą okręty i płyną wplaw albo idą do brzegu. I naraz rozlegają się okrzyki. Barbarzyńcy śledzili okręty Rzymian. Nadjeżdżają na małych konikach, wchodzą nawet do morza. Atakują żołnierzy i ich rozpraszają. Wobec tego niech okręty wojenne zaczną ostrzeliwać barbarzyńców z katapult.

Cezar skacze do wody, chcąc dołączyć do walczących, pociągnąć ich do przodu. Słyszy, jak chorąży niosący orła X legionu zachęca żołnierzy pozostałych na pokładzie do

rzucenia się w kierunku brzegu: „Skaczcie, towarzysze broni, jeśli nie chcecie oddać wrogom legionowego orła; przynajmniej ja wypełnię swój obowiązek wobec Rzeczypospolitej i naczelnego wodza”[\* *Wojna galijska*, op. cit., s. 131.].

Cezar obawia się chaotycznej bitwy, w której legiony nie mogą sformować szyku i gdzie każdy na własną rękę walczy tak, jak umie. Podnosi miecz, rzuca się do przodu. Trzeba zwyciężyć! Wreszcie udaje mu się postawić stopę na brzegu i stopniowo barbarzyńcy się wycofują. Lecz to zwycięstwo nie przynosi chwały, Cezar odczuwa gorycz. Nie okazuje tego jednak, każe legionistom zbudować obóz.

Siada na gołej ziemi. W spojrzeniu Emiliusza dostrzega z wąpienie i lęk - jeździe nie udało się wylądować. Wiozące ją okręty zostały zniesione przez sztorm i zmuszone do powrotu do Galii. Wiatr i fale niszczą też statki, na których przyplęnęła piechota.

Właśnie wtedy, gdy człowieka zewsząd otaczają przeciwności, bogowie mogą ocenić jego prawdziwą wartość.

Cezar dokonuje inspekcji obozu. Żołnierze są niespokojni. Bagaże legionów i zapasy żywności nie wylądowały. Trzeba więc wysłać kohorty na pola, aby skosiły zboże i przywiozły je do obozu. Trzeba także naprawić okręty uszkodzone podczas sztormu. Zdarza się, że żołnierze powracają do obozu wystraszeni, z paniką w oczach.

Cezar ich wypytuje. Patrzy na weteranów tyłu bitew, którzy wstydzą się tego, że uciekli. Z szeregu występuje jeden z centurionów, podchodzi i mówi, nie śmiąc podnieść oczu:

- Brytownie atakują z zaskoczenia. Zabijają żołnierzy rozproszonych na polach. Wymalowani na niebiesko, korzystają z wozów bojowych[\* *Esseda*; wozy te wyposażone były w szprychowe koła z żelaznymi obręczami. Wynalazek ten dzięki Celtom rozpowszechnił się w całej Europie.], rzucają włóczniami, rażą strzałami, łączą ruchliwość jazdy z wytrzymałością piechoty. Potrafią zapanować nad końmi, nawet zjeżdżając po bardzo stromym zboczu, i wykonać błyskawiczny zwrot. Widzi się ich, jak podbiegają po dyszlu wozu, stają na jarzmie i stąd zasypują nas pociskami. Co możemy na to poradzić, Cezarze?

- Zwyciężyć! - odpowiada wódz.

Owija się w swój czerwony płaszcz. Każe wyjść legionom z obozu, ustawia je w szeregu i sam staje na ich czele. Podnosi miecz.

- Zwyciężyć! - woła.

Legiony maszerują za nim. Odwraca się. Żołnierze idący ramię w ramię tworzą

najeżony żelazem mur, który zetrze w proch barbarzyńców, potem spali się zboże i wioski i zniszczy wszystko na rozległym obszarze.

Barbarzyńcy uciekają, potem proszą o pokój, wydają nowych zakładników. Można więc wracać do Galii, nim rozpoczną się jesienne sztormy.

Na statku, a potem w lektyce, w której niosą go do obozu legionów założonego w pobliżu Amiens, Cezar przez cały czas dyktuje. Ponieważ chce, aby w Rzymie nie wątpiono, że odniósł zwycięstwo w Brytanii, i żeby zarówno jego przekroczenie Renu i bitwy w Germanii, jak i wyprawa za Ocean zostały oficjalnie uczczone.

Należy więc schlebiać ludziom, którzy urabiają opinię publiczną, jak tchórzliwy i zmienny Cynceron. Trzeba mu pożyczyć pieniędzy, aby mógł nadal luksusowo żyć w swoich willach. Zadekretuje mu traktat o stylu, *De analogia*, aby mógł się pysznić jak paw. Niech wreszcie przestanie się sprzeciwiać rządowi triumwiratu. Według tego, co doniósł Balbus, Cynceron powiedział: „Nasi przyjaciele triumwirów z całą pewnością rządzą i nie ma żadnych widoków, aby miało się to zmienić za życia naszego pokolenia”.

Cezar jest pewien, że to on będzie panem.

Ludzie, nawet ci, którzy wydają się zdecydowani, są w istocie słabi. A najbardziej ambitni, pokroju Cyncerona, są czasami najmniej zdeterminowani. Lubią chodzić tylko łatwymi drogami, nie potrafią stawić czoła burzom. Mieszka w nich strach i tchórzostwo. Można ich łatwo obalić, jak drzewa, których pień jest pod korą spróchniały, wydrążony chorobą.

- Pisz - mówi Cezar do Emiliusza. Zakończy czwartą księgę *Wojny galijskiej*. Trzeba podyktować ludziom, co powinni myśleć.

Kiedy kilka tygodni później przybywa do Galii Przedalpejskiej, by założyć tam *hiberna*, obóz zimowy, dowiaduje się, że senat postanowił uczcić jego zwycięstwa nad Renem i na wyspie Brytów dwudziestodniowymi modłami, które mają dać wyraz wdzięczności Rzymu wobec bogów.

W obecności Mamurry i Emiliusza nie daje nic po sobie poznać. Lecz kiedy zostaje sam, nie może się powstrzymać od uśmiechu. Te dwadzieścia dni modłów dziękczynnych - o pięć więcej niż po jego zwycięstwach w roku 57 - stanowi najbardziej smakowity owoc jego przedsięwzięć!

Cezar potrząsa głową. Nikt, żaden Galowie, Germanie czy Brytowie, nikt, ani Pompeusz, ani Krassus, ani Katon, ani żaden inny z senatorów nie będzie w stanie przeszkodzić w spełnieniu się jego losu.



## Rozdział 33

Postanowił użyć słonia, którego kazał przetransportować z Galii do Brytanii...

Cezar zaciska szczęki. Nie chce dać się ponieść złości. Zmusza się do tego, aby powoli, z rękami na plecach, spacerować wokół basenu położonego pośrodku wielkiego atrium willi w Rawennie, gdzie mieszka od września 53 roku.

Podnosi głowę. Jest już styczeń 52 roku, pełnia zimy, niemal codziennie pada lodowaty deszcz i już kilka razy zdarzyło się, że w basenie zamarzła woda.

Wyobraża sobie, ile śniegu musi leżeć w Alpach, utrudniając przekroczenie przełęczy. A jednak czuje, że za kilka dni, najdalej tygodni, trzeba będzie opuścić Rawennę i pomaszerować na czele legionów nad przepaściami, przejść góry pomimo śniegu i lodu, aby dotrzeć do Galii, która wciąż nie jest do końca ujarzmiona.

Zaciska szczęki tak mocno, że aż bołą. Chciałby zmiażdżyć te krnąbrne plemiona, które już od niemal siedmiu lat wciąż nie przestają się buntować. Ta nadchodząca kampania musi być ostatnia, Galia musi się w końcu pogodzić z tym, że należy do Rzymu. I może to pomyślnie zrządzenie bogów, że tak wiele zamieszkujących ją plemion: Karnutowie, Senonowie, Trewerowie, Eburonowie, Nerwiowie, zebrało się w świętym gaju Karnutów w pobliżu Orleanu, aby zdecydować o wybuchu powstania przeciwko Rzymowi. Jeśli zbuntują się wszyscy naraz, to zostaną rozbici w jednej bitwie i w Galii będzie można zaprowadzić pokój.

Zatrzymuje się. Musi odnieść sukces, w przeciwnym razie nie będzie mógł pokazać się w Rzymie, nie obroni się przed wrogami, którzy nie przestali go zwalczać.

Wchodzi do sali recepcyjnej i się kładzie. Podchodzi Emilusz: goście czekają. Senatorowie, siepacze, urzędnicy, wszyscy cisną się u bram willi. Trzeba ich przyjmować, wysłuchiwać, schlebiać im, obsypywać złotem, udzielać pożyczek na długi termin i w ten sposób uniezależniać ich od Krassusa, od senatu, od Pompejusza.

Wszystko bowiem wskazuje na to, że Wielki Pompejusz jest jego rywalem. Na razie jest jeszcze ostrożny, ale jego zamiary są jasne: chce zostać pierwszym człowiekiem w Rzymie, *princeps*, jak pisze Cycero.

Cezar zamyka oczy.

Przypomina sobie wrzesień 54 roku. Niecałe dwa lata temu.

Najpierw ścigał po Lesie Ardueńskim germańskie plemię Trewerów znad brzegów Renu. Ich król Inducjomarus zebrał przy sobie wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni i zaczęli napadać na kohorty i pojedynczych żołnierzy. Jak jednak znaleźć

Inducjomarusa w tych wrogich puszczech?

Trzeba było starać się go odizolować, prowadząc pertraktacje z jego zięciem Wercyngetoryksem. Trewerowie zdawali się zgadzać na pokój. Jednak aby to osiągnąć, Cezar musiał zmobilizować cztery legiony i ośmiuset jezdnych. I jeszcze przyrzec każdemu żołnierzowi udział w łupach wojennych.

Skrzynie się opróżniły. Potrzebował także złota i pieniędzy, aby znaleźć sojuszników wśród nobilów rzymskich. Toteż postanowił jeszcze raz spróbować podbić tę bogatą wyspę, Brytanię.

Widzi znowu owe osiemdziesiąt okrętów, wiozących pięć legionów i dwa tysiące jazdy, które udało mu się zbudować, zgromadzić i doprowadzić aż do brzegu tej wyspy, na której w roku 55 mógł przebywać tylko przez trzy tygodnie.

Tym razem udało mu się wejść na czele legionów w głąb pagórkowatego kraju, przebyć rzeki i ograbić wioski, pomimo oporu Brytów i ich króla Kasywelaunusa.

Pod gradem strzał Cezar razem ze swoimi żołnierzami przepłynął wpław na lewy brzeg Tamizy. Widząc silny opór tych barbarzyńców, którzy malowali swoje ciała na niebiesko i walcząc wydawali głośne okrzyki albo atakowali legiony na swoich wozach bojowych, Cezar postanowił użyć słonia, którego kazał specjalnie przetransportować z Galii do Brytanii. Okryte żelazną łuską zwierzę niosło na grzbiecie wielką wieżę z dobrymi łucznikami i procarzami. Słoń wszedł do rzeki, z wieży leciały strzały i kamienie.

Na widok słonia Brytowie na rydwanach i wozach rzucili się hurmem do ucieczki, ich konie ze strachu stawały dęba.

Splądrowano doszczętnie wioski i spalono uprawy, a po kilku dniach walk Kasywelaunus się poddał.

Cezar nie mógł jednak dłużej pozostać na wyspie, gdyż posłańcy donieśli, że w Galii Eburonowie, Nerwiowie, Atuatukowie i Karnutowie znowu się przygotowują do wojny. Należało skorzystać ze spokojnej pogody i wrócić do Portus Itius. Tam przyjął posłańca od Pompejusza, który przekazał wiadomość, że Julia, małżonka Pompejusza i córka Gajusza Juliusza Cezara, zmarła w połogu.

Cezar odesłał Emiliusza i Mamurrę, chciał pozostać sam. Jakie zamiary mieli bogowie, zsyłając śmierć Julii? Czy starali się zniszczyć przymierze, jakie zawarł poprzez nią z Pompejuszem, aby przyszły zięć nie występował przeciwko niemu?

Gdy myślał o Julii, czuł, że utracił jakąś część własnej osoby. Przez wiele dni odczuwał ogromne zmęczenie, jakby żelazne obręcze ścisnęły mu głowę, a maszerując, czasami miał wrażenie, że ziemia go do siebie ciągnie, że zaraz upadnie na wznak, aby się z

nią złączyć.

Potem stopniowo zapanował nad sobą. Śmierć jest częścią życia. Trzeba się pogodzić z wyrokami bogów i nadal postępować tak, aby wypełnić swe przeznaczenie. Tylko wtedy Fortuna, Venus Victrix, zwycięska bogini, oraz Jowisz uznają go za godnego ich zaufania.

Stawiając czoło powstaniu licznych plemion galijskich, starał się jednocześnie przez wiele tygodni przekonać Pompejusza, aby podtrzymywał z nim więzy rodzinne, zakład ich sojuszu. Lecz posłańcy, których wyprawił do Rzymu, zgodnie donosili mu o odmowie Pompejusza. Odrzucił on projekt poślubienia Oktawii, nie zniżając się nawet do tego, by wyjaśnić, czemu wnuczka siostry

Cezara nie wydała mu się godna małżeństwa. Zignorował też prośbę, by jedna z jego córek wyszła za mąż za Cezara. Cóż za afront dla prokonsula Galii i najwyższego kapłana! A jednak w listach Pompejusz okazywał wierność triumwiratowi. Zaproponował nawet Cezarowi, że pošle mu trzy legiony, aby dopomóc w stłumieniu powstania w Galii.

- On cię zdradza - powiedział Emiliusz. - Chce pokazać swoją wyższość nad tobą.

Cezar podniósł rękę. Nie chciał, aby te słowa naładowane nienawiścią wypowiedziane zostały na głos. Należało poczekać, pozwolić Pompejuszowi brnąć dalej drogą sojuszu z senatorami i wtedy dopiero go potępić.

Potem nadeszła wiadomość o klęsce legionów rzymskich w walce z Partami i śmierci Krassusa, który nimi dowodził. Partowie nalali mu do ust roztopionego złota, potem rzucili jego zwłoki na pożarcie zwierzętom, oświadczając, że wszystkich spragnionych łupów Rzymian spotka ten sam los co ich prokonsula, że przepali ich płomień tego złota, którego tak bardzo pożądamy. Nieco później wysłannik Balbusa przywiózł nowinę, że Pompejusz ożenił się z wdową po Krassusie, córką Metellusa Scypiona, jednego z najbardziej wpływowych przedstawicieli arystokratów.

- On powstaje przeciwko tobie, Gajuszu Juliuszu Cezarze - powtórzył Emiliusz - rzuca ci wyzwanie.

- Niech podniesie miecz! - odpowiedział spokojnie Cezar.

Nie może pierwszy grozić dostojnikowi Rzymu... Uderzy dopiero wtedy, gdy Pompejusz i senatorowie mu zagrożą. W oczach obywateli chce uchodzić za człowieka, który przestrzega prawa i którego jedyną troską jest zaprowadzenie w prowincjach, w nieposłusznej Galii i w sąsiedniej Germanii, pokoju rzymskiego - *pax Romana*.

Wydał rozkaz, aby nadal posyłano do Rzymu złoto, za które w mieście wzniesione zostaną budowle - dar Gajusza Juliusza Cezara. Forum zostanie rozbudowane! Niech

wybudują bazylikę, a także wielką kolumnadę z kolumnami z marmuru, gdzie lud będzie mógł się pod dachem gromadzić przed komicjami w czasie głosowania.

Tak powinni zapamiętać Cezara. Powinien się wydawać Rzymianinem troszczącym się o wielkość swojego miasta. W tym celu musi odnosić zwycięstwa.

Te dwa lata, 54 i 53, pełne były ciężkich chwil. Miał wrażenie, że niemal każdego dnia w jakimś regionie Galii wybuchają niepokoje. Ledwie tylko udało mu się ugasić albo choć opanować jedno ognisko buntu, jego płomień natychmiast pojawiał się w jakimś innym miejscu, jeszcze silniejszy. Trzeba było skazać na śmierć Dumnoryksa z plemienia Eduów, który przed wyprawą do Brytanii usiłował przeciągnąć na swą stronę jazdę galijską.

- Celem Cezara jest wygubienie w Brytanii całej galijskiej szlachty, wszystkich, których nie ośmielił się wydać na śmierć tutaj, pod okiem Galów! - ogłosił Dumnoryks, uciekając. I kiedy został w końcu otoczony, wołał silnym głosem: - Jestem wolny, jestem synem wolnego plemienia!

Powtarzał te słowa aż do chwili, gdy centurion poderżnął mu gardło. Wyglądało to jednak tak, jakby od brzegów Mozy i Renu aż po Sekwanę i Loarę, wszędzie te ostatnie słowa Dumnoryksa zostały usłyszane i uznane za sygnał do powstania.

Karnutowie z Cenabum\*[\* Obecnie Orlean.] zamordowali swojego króla Tazgecjusza, wiernego Rzymianom. Trewerowie Inducjomarusa wyszli ze swoich kryjówek w Lesie Ardueńskim i ośmielili się oblegać obozy, w których legiony rozłożyły się na zimę.

Cezar słyszał ryk wydawany przez Galów, gdy wygrywali. Wysłuchał relacji niedobitków, którzy opowiadali, jak Eburonowie z wodzem Ambioryksem na czele wciągnęli w zasadzkę legatów Sabinusa i Kottę. Rzymianie uznali bowiem łątwowiernie, że ci barbarzyńcy przestrzegać będą danego słowa.

Otoczono Sabinusa, a następnie ugodzono go śmiertelnie. Jego żołnierze walczyli aż do zapadnięcia zmroku, potem „utraciwszy wszelką nadzieję, wszyscy co do jednego sami sobie zadali śmierć”.

Do Ambioryksa i Ebiironów przyłączyli się Nerwiowie. Heroldowie galijscy jeździli wokół obozów rzymskich, nawołując do dezercji: „Każdy Gal, każdy Rzymianin, który przejdzie na naszą stronę, może to zrobić aż do godziny trzeciej. Ale nie później!”

Wszędzie odbywały się zgromadzenia galijskie, na które zwoływano wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Ten, który przybywał ostatni, był na oczach wszystkich pozostałych poddawany najgorszym mękom. Śmierć Inducjomamsa, do którego przyłączyli się legioniści Labienusa, także nie ugasiła pożogi. Przeciwnie! Odciętą głowę Inducjomamsa położono na ziemi pośrodku obozu.

Jak tu jednak cieszyć się tym zwycięstwem, skoro w oczach zgromadzonych wokół niego trybunów wojskowych Cezar wyczytywał strach. Wszędzie przygotowywano się do wojny. Nerwiowie, Atuatukowie, Menapiowie, Germanie znad Renu, Eburonowie, a nawet Senonowie zrywali się z Kamutami i Trewerami. Ambioryks pozostawał nieuchwytny, ukryty gdzieś w Lesie Ardueńskim.

Cezar musiał próbować jakoś zdusić pożogę, starał się przekonywać, zanim uderzy. Prowadził więc rozmowy z przedstawicielami Galów zebranych na jego żądanie w Lutecji\*[\* Dzisiejszy Paryż.].

Zatrzymywał się przed każdym z wodzów, chwalił przed nimi wielkość i wspaniałość Rzymu, przekonywał, jak wiele zyskali, przyłączając się do niego i stając się sojusznikiem narodu rzymskiego. Czuł jednak, że jego słowa nie docierają do tych ludzi, trafiają w próżnię.

Zobaczył, jak Akkon, wódz Senonów\*[\* Zamieszkiwali region dzisiejszego Sens.], wstaje pierwszy. Krzyczał, że nie może się zgodzić na pokój rzymski. Cezar natychmiast kazał go aresztować i uwięzić jako jeńca.

Rzym przestrzega jedynie własnych praw, wyższych niż wszystkie inne. Galowie i barbarzyńcy muszą im podlegać! Dał legionom rozkaz wymarszu, przerzucenia znowu mostu przez Ren, aby skończyć wreszcie z Ambioryksem i plemieniem Eburonów. Posłał wysłanników do wszystkich sąsiednich plemion. Niech wszyscy pomyślą o wielkich łupach, jakie mogą zdobyć, idąc u boku legionów i plądrując kraj Eburonów.

Widział, jak zjawili się pierwsi jeźdźcy galijscy. Nie pomylił się, licząc na właśnie wśród nich i chciwość tych barbarzyńskich plemion. Podczas tej ogromnej inwazji trzeba wymordować całe plemię Eburonów, żeby ich imię znikło na zawsze! Rozkazał, aby Galowie pierwsi wkraczali do lasów tego dzikiego kraju, wołał bowiem, aby to oni ginęli od strzał Eburonów niż jego własne kohorty.

Patrzył na zniszczone pola, spalone wioski, zgromadzone łupy. Rozdzielił te bogactwa między swoich legionistów, pozostawiając Galom resztki łupów i pola, na których zboże już wylęgało przewrócone przez deszcze. Obiecał także dziesięciokrotny udział w łupach jako nagrodę za schwytanie Ambioryksa.

Jednak Ambioryksowi wciąż udawało się wymykać pod osłoną nocy; wciąż zmieniał miejsce pobytu wraz z eskortą złożoną jedynie z czterech jeźdźców. Tylko im odważył się powierzyć swoje bezpieczeństwo. Znał okoliczne lasy i musiał ukrywać się gdzieś w grotach górujących nad Mozą lub Renem.

Trzeba jednak, aby wódz buntowników zginął.

Cezar kazał więc przyprowadzić Akkona, owego Senona, który na zebraniu w Lutecji odmówił podporządkowania się Rzymianom i został aresztowany.

Nadeszła godzina kary.

Rozebrać go z szat! Przywiązać do pala! Wsadzić mu głowę w widły i zasieć go na śmierć różgami, a potem odciąć trupowi głowę!

Zdawało się, że spokój zostaje przywrócony, choć pod ciągle gorącym popiołem buntu tliły się jeszcze węgle.

Cezar powrócił do swej willi w Rawennie jesienią roku 53, starając się od razu dowiedzieć, co się dzieje w Rzymie wokół osoby Pompejusza. Pompejusz był wciąż ostrożny, ale jego przymierze z senatem z każdym dniem stawało się silniejsze.

Na początku stycznia 52 roku do Rawenny przybył posłaniec zboczony krwią. Zdołał uciec z Rzymu, gdzie toczyły się walki. Kiedy plebs się dowiedział, że Publiusz Klodiusz Pulcher został zamordowany przez bandy Milona, podłożył ogień pod Kurię i Pompejusz został mianowany samodzielnym konsulem z zadaniem zaprowadzenia porządku.

Cezar zaciskał tylko szczęki.

Śmierć Klodiusza była kolejnym silnym ciosem. Klodiusz był jego wiernym sojusznikiem w Rzymie, a teraz zginął... I sam Cyncero bronił przed senatem jego zabójcy!

Pompejusz był teraz panem. Nic nie stało na przeszkodzie, by senat wycofał się z podjętych wcześniej zobowiązań, z już przegłosowanych rozporządzeń. Postanowiono na przykład, że kadencja prokonsula Gajusza Juliusza Cezara wygaśnie w marcu 50 roku i nie będzie on mógł wystawić swej kandydatury na konsula - po raz drugi w życiu - wcześniej niż w roku 49.

Podczas tej kilkumiesięcznej przerwy Cezar byłby praktycznie bezbronny, narażony na wszelkiego rodzaju oskarżenia i procesy. Nie dysponowałby już siłą swoich legionów. Pompejusz stałby się jedynym władcą. Cezar musiał mu w tym przeszkodzić, żądając, by jego kadencja prokonsula trwała aż do 31 grudnia 49 roku i by, nie będąc obecny w Rzymie, mógł zostać wybrany na konsula i objąć ten urząd od 1 stycznia roku 48. W ten sposób byłby przez cały czas chroniony przywilejami urzędu oraz siłą legionów.

Jednak w tym celu w ciągu dwóch lat, jakie pozostały do owej chwili, Galia musiała zostać definitywnie podbita. Żeby nie pojawiło się tam już żadne zarzewie buntu.

Tymczasem ciągle jednak coś się tli!

Cezar zmuszony jest znowu tłumić pożar, na początku roku 52 opuszcza Rawennę i udaje się do Galii.

## CZEŚĆ VIII

### Rozdział 34

Ci Galowie są dzielni, a nawet nieustraszeni!

Wercyngetoryks usiłuje ich zdyscyplinować, toteż *są* niebezpieczni...

Cezar rozsuwa skóry przyczepione do słupków lektyki, które chronią ją od wiatru. Wychyla się: śnieg już nie pada. Mgła, która przez cały czas wspinała się po zboczach Alp przesłaniała kohorty i ich znaki, teraz się rozwiła. W słońcu ukazały się nagle oblodzone ściany skalne i śnieg pokrywający drogę. Połyskują hełmy legionistów, którzy za pomocą włócznie sondują białą pokrywę, aby sięgnąć kamiennych płyt drogi, przecierając w ten sposób szlak, po którym będą mogli następnie przejechać jeźdźcy na koniach. Trzeba *posuwać się szybciej*, Cezar wydaje rozkaz, *by podwoić liczbę* żołnierzy wytyczających szlak!

Widzi legionistów odłączających się od kohort, biegnących na czoło pochodu i zabierających się do pracy. Czuje dumę. Kto może pokonać legiony rzymskie? Kto może stawić czoło tej maszynie potężniejszej niż wszystkie balisty, niż wszystkie katapulty miotające strzały i włócznie?

Wychyla się ponownie. Przyzywa skinieniem ręki sekretarzy, chce podyktować rozkazy dla Labienusa dowodzącego legionami w garnizonie Agedincum\*[\* Dzisiejsze Sens.] w sercu galijskiego kraju Senonów, między Loarą a Marną. Trzeba też, aby trybuni wojskowi dowodzący legionami zimującymi w Andematunum\*[\*Dzisiejsze Langres.] w kraju Lingonów, powiadomieni byli o jego zamiarach. Musi jednak pisać szyfrem, ponieważ zwiadowcy galijscy śledzą wszelkie przesmyki, a manewry legionów powinny być dla wodza powstańców kompletnym zaskoczeniem.

Mówi urywanym głosem, powtarzając od czasu do czasu słowa uniesione wiatrem wiejącym od morza. Mówi Emiliuszowi, że te listy mają zostać wręczone kilku posłańcom, tak aby przynajmniej jeden z nich dotarł do Labienusa i trybunów.

Pozwala opaść zasłonom, zamyka oczy. Wie, że to nowe powstanie w Galii będzie najtrudniejsze do stłumienia. Przypomina sobie Arwerna Wercyngetoryksa, który przez kilka miesięcy przebywał w sztabie legionów. To niewiele ponaddwudziestoletni młodzieniec, wysokiego wzrostu, bardzo energiczny, chępliwy, ale dzielny, jak to Galowie. Jest synem Celyllusa, najznakomitszego przedstawiciela swego plemienia, którego ziomkowie skazali

jednak na śmierć, podejrzewając, iż chce zostać królem.

Dziwny i dumny lud z tych Arwernów; zamieszkują sam środek Galii, dotąd jednak nigdy się nie buntowali przeciw legionom. A teraz zaczęli wymachiwać mieczami i, jak się zdaje, Wercyngetoryks stanął na czele tego buntu.

Od wyruszenia z Rawenny dotarło do niego wielu posłańców z Galii Zaalpejskiej i Narbońskiej. Cezar ma wrażenie, że wielu z nich jest jeszcze przed nim. Niektórych zapraszał do swej lektyki, innych wysłuchiwał, jadąc na koniu albo nie przestając maszerować na czele kohort.

Za każdym razem patrzył im potem w oczy i mówił:

- Zapomniałeś już o wszystkim, co mi tu powiedziałaś!

Nie musiał dodawać, że nietrudno zostać znalezionym z podejrzanym gardłem.

Pierwszy z posłańców opowiadał, że w świętym gaju Karnutów, plemienia ze środkowej Galii, druidowie przyzywali swego boga Teutatesa, nawołując do zjednoczenia wszystkich Galów przeciwko Rzymianom. Było to zaledwie kilka tygodni temu, w połowie stycznia 52 roku. Wodzowie galijscy zapewniali, że w Rzymie wybuchły zamieszki i że Cezar nie może powrócić do Galii, by objąć dowództwo legionów.

- Rozpalali się nawzajem swoimi słowami - powiedział posłaniec. - Wszyscy powtarzali, że już dłużej nie ścierpią jarzma władzy Rzymu. Druidowie ich zapewniali, że Teutates i wszyscy bogowie Galów będą ich ochraniać, i zagrzewali ich do buntu.

Cezar przypomina sobie, jaki strach obleciał posłańca, gdy trzęsącym się głosem dodał, jakby wypowiadał coś obraźliwego:

- Powiedzieli: „Lepiej zginąć w walce, niż nie odzyskać wolności i dawnej chwały wojennej, jaką przekazali Galom ich przodkowie!”

Najbardziej zdecydowani byli Karnutowie: „Skoro nie można jeszcze - stwierdzili - wymienić się zakładnikami dla zagwarantowania tajemnicy, to niech wszyscy złożą solenną przysięgę na wszystkie święte znaki plemienne, że nie porzucą rozpoczętej walki!”

Następni posłańcy opowiadali, jak Karnutowie dokonali masakry obywateli rzymskich mieszkających w ich mieście Cenabum.

Zdarzyło się to rankiem 23 stycznia. Kupcy rzymscy, ufni w prawa gościnności, zostali zamordowani przez rozwścieżonych Karnutów, a ich dobytek rozgrabiony.

- I Karnutowie ośmielili się zabić ekwitę, Gajusza Fufiusza Cy-tę, któremu powierzyłeś, Gajuszu Juliuszu Cezarze, zaopatrzenie w żywność!

Cezar przypomina sobie, jak w owej chwili poczuł pieczenie na całym ciele, jakby został wysmagany biczem.



Galowie muszą zapłacić życiem za to świętokradztwo i dopóki ta krwawa zniewaga nie zostanie pomszczona, Cezar wie, że nie znajdzie spokoju.

Chcieli go upokorzyć! Chcieli rzucić cień na jego chwałę, a więc i na chwałę Rzymu!

- Wiadomość o tym rozeszła się po całej Galii w kilka godzin - dodał inny z posłańców.

Cezarowi zdaje się, że słyszy krzyki Galów, którzy porozstawiani na wzgórzach, a czasami na szczytach wież wzniesionych w najwyższych punktach, porozumiewają się między sobą.

- Nim pierwsza straż dobiegła końca - kontynuował posłaniec - Arwernowie już wiedzieli, co się wydarzyło o wschodzie słońca w odległym o sto sześćdziesiąt mil Cenabum.

Na to wspomnienie Cezara ponownie ogarnia złość: te galijskie plemiona: Senonowie, Paryzjowie, Piktonowie, Kadurkowie, Turonowie, Aulerkowie, Lemowikowie, Andowie\*[\* Senonowie: między Loarą i Marną; Paryzjowie: wokół Lutecji; Piktowie: region Poitiers; Kadurkowie: region Lot i Cahors; Turonowie: region Tours; Aulerkowie: między Sekwaną a Loarą, w regionie Evreux i Le Mans; Lemowikowie: region Limoges; Andowie: wokół Angers (przyp. aut.)], a także ci mieszkający nad Oceanem, wszystkie pokonane przez niego już plemiona teraz powstają, jakby wieści przychodzące z Cenabum i przykład Karnutów wprawiał ich w entuzjazm.

A Wercyngetoryks z plemienia Arwernów, którego swego czasu miasto Gergowia\*[\* W pobliżu ClermontFerrand (przyp. aut.)] wyгнаło poza swoje granice, nie zgadzając się na powstanie przeciwko Rzymowi, teraz zostaje wodzem Galów! Zgromadził po wsiach otaczających Gergowię, na żyznych równinach Limagne, na płaskich wzgórzach Velay, gdzie pasą się wielkie stada, cały tłum nędzarzy i włóczęgów, którym marzą się łupy i wojna. Następnie wszedł do Gergowii. Zabito albo wygnano dostojników, ludzi ostrożnych i chwiejnych. Wysłał misje do wszystkich plemion galijskich i Arwernowie uczynili go królem. Wercyngetoryks chce zwyciężyć.

Cezar przypomina sobie tego impulsywnego młodzieńca, który chciał wszystko wiedzieć na temat organizacji i taktyki legionów. Czyni sobie wyrzuty, że nie odgadł w tym Arwernie człowieka, który chce wykraść wiedzę przeciwnikowi, aby pewnego dnia dorównać mu i umieć go pokonać.

Ostatni z posłańców powiedział, że Wercyngetoryks, korzystając ze swej władzy, wszędzie żąda zakładników, każe zbierać wojska i wyznacza ilość broni, jaką musi wyprodukować każde miasto, jak też termin jej dostarczenia. Chce mieć liczną, zdyscyplinowaną i bojową jazdę. Sam ją ćwiczy.

- Jest okrutny i bezlitosny - relacjonuje dalej wysłannik. - Ludziom chwiejnym grożą najsurowsze kary! Natomiast w razie poważnego wykroczenia każe winnym obcinać uszy albo wylubić oko. I tak ukaranych odsyła z powrotem do ich kraju, aby służyli tam innym za odstrasżający przykład.

Potem Cezar otrzymał listy od Labienusa podsumowujące raporty szpiegów. Tylko Eduowie, Lingonowie, Remowie i Sekwanowie pozostają poza koalicją Galów i odmawiają podporządkowania się władzy Wercyngetoryksa, pozostając wierni Rzymowi. Ale czy na długo?

Trzeba działać szybko, Wercyngetoryks posłał bowiem jednego ze swych zastępców, Drappesa, aby zablokował legiony Labienusa w Agedincum, podczas gdy drugi, Lukteriusz, wódz Kadurków, został skierowany na południe w stronę Galii Narbońskiej, by pozyskać Nicjobrogów i Gabalów\*[\* Nicjobrogowie: region Lot, Agen; Gabalowie: region Gevaudan (przyp. aut.)], i nie ma najmniejszych wątpliwości, że chce na rozkaz Wercyngetoryksa wdrzeć się do Prowincji i zdobyć miasto Narbo Martius\*[\* Obecnie Narbona.].

Nie wolno tracić czasu, pożar się rozszerza. Także Biturygowie\*[\* Region Bourges (przyp. aut.)] przyłączyli się do Wercyngetoryksa, który stoi teraz na czele armii liczącej osiemdziesiąt tysięcy ludzi i kontroluje miasta Gergowię, Cenabum i Awarikum\*[\* Obecnie Bourges.].

Uczucia, jakich doznaje Cezar, oscylują pomiędzy niepokojem a gniewem i pogardą. Ci Galowie potrafią być dzielni, a nawet nieustraszeni! Wercyngetoryks usiłuje ich zdyscyplinować, toteż stają się naprawdę niebezpieczni. Jeśli go pokonają, to może zapomnieć o władzy w Rzymie.

Zgrupowali się oni na zachód od Alp, aby przeszkodzić mu w połączeniu się z legionami Labienusa i legionami zimującymi w Andematunum. Żeby połączyć się z resztą armii, musi stoczyć walkę. Ale czy może być pewny wierności Lingonów i Eduów? Albo Sekwanów?

Zatrzymuje lektykę, zeskakuje na ziemię. Niech przyprowadzą mu konia. Czeka ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc w horyzont, w to morze, w którym zanurzone są góry. Trzeba działać szybko. Popędzi z częścią jazdy do Narbony. Ważne jest, żeby Prowincja nie została zaatakowana, najechana przez Galów Lukteriusza. Trzeba więc opanować strach, który, jak donoszą posłańcy, zaczyna paraliżować nie tylko tamtejszą ludność, ale nawet żołnierzy. Galowie nie biorą bowiem jeńców, lecz odcinają przeciwnikom głowy i wieszają je u szyi swoich koni, aby po powrocie zawiesić je u wejścia domu jako trofeum. Najpilniejszym zadaniem jest więc uspokojenie Prowincji, trzeba tam rozstawić posterunki

obronne we wszystkich punktach graniczących z terytorium nieprzyjaciela. A kiedy Galia Narbońska zostanie już zabezpieczona, należy zaatakować wroga jak orzeł spadający z nieba, w miejscu, gdzie się tego najmniej spodziewa.

Po kilku dniach spędzonych w siodle Cezar widzi wokół siebie mieszkańców Narbony, jak tłoczą się i wznoszą na jego cześć okrzyki. Słucha ich podziękowań. Wiedzą już, że został wydany rozkaz zbudowania umocnień na granicy Prowincji. A wojska z Galii Narbońskiej, jak też oddziały rekrutów przybyłe razem z Cezarem z Italii, zgromadziły się gotowe do marszu na północ.

Cezar dokonuje ich inspekcji. Przejeżdża konno przed olbrzymimi jeźdźcami germańskimi, których powołał do oddziałów pomocniczych. Przygląda się ich pokrytym bliznami twarzom, wokół głowy mają długie warkocze włosów, przeważnie koloru blond. Ci Germanie zawsze zwyciężali Galów. Tym razem będą jednak walczyć nie dla siebie, lecz w imieniu Rzymu!

Przystaje. Pokazuje na północ, na góry pokryte śniegiem i tworzące biały mur na błękitnym niebie. Po ich drugiej stronie jest Velay, kraj Arwernów, i jak mu mówiono, nikt nigdy nie przekroczył tej naturalnej bariery. Szpiedzy zapewniają, że na równinach i na płaskowyżu Arwernowie nie przestrzegają żadnych zasad bezpieczeństwa, tak bardzo czują się bezpiecznie ukryci za grzbietami Sewennów i Vivarais. Sam Wercyngetoryks znajduje się teraz w kraju Biturygów. Ma nadzieję, że uda mu się zniszczyć legiony Labienusa, zdobyć Agedincum, przystąpić do oblężenia Gorgobiny\*[\* SaintParizeleChstetel, gdzie Allier wpada do Loary.] i pewnie mu się wydaje, że Gajusz Juliusz Cezar pozostanie w Galii Narbońskiej, aby jej bronić!

Dopiero pozna Cezara!

Jest najzimniejsza pora roku. Kraj Helwiów u stóp Sewennów i Vivarais przemiatany jest zimnym wiatrem, wiejącym po zaśnieżonych stokach gór.

Cezar czuje, że żołnierze tracą pewność siebie, patrząc na te fortyfikacje utworzone przez naturę. Wjeżdża na stromą pochyłość. Tutaj pod śniegiem nie ma rzymskich dróg. Patrzy na żołnierzy, którzy przekopują białą pokrywę i otwierają wąskie przejście, którym jeden za drugim jadą jeźdźcy, ocierając się ramionami o śrziejne ściany wyższe niż człowiek na koniu.

Powietrze jest ostre jak miecz. Cezar ma wrażenie, że jakaś koścista i lodowata ręka ściska jego ciało pod czerwonym płaszczem. Trzeba jednak sforsować tę przeszkodę. Odwraca się. Spozstrzega długą kolumnę piechoty i jazdy rysującą się czarną linią na śniegu.

Podnosząc wzrok, widzi wciąż tylko niebo ponad śniegiem, aż nagle otwiera się przed nim przestwór horyzontu i w dali widać jakieś ciemne plamy, doliny i równiny wcinające się w płaskowyż niczym zatoki. Tam daleko, w odległości zaledwie kilku godzin konnej jazdy, śnieg już się stopił. To kraj Arwernów z bogatymi gospodarstwami, pastwiskami, sanktuariami. Cezar mocniej ściska boki swego wierzchowca. Trzeba spaść na nieprzyjaciela, siejąc grozę, spalić jego cały dobytek, domy i uprawy, zabijać, masakrować wszystko, co żyje!

Unosi rękę. Zaczyna się wojna, zemsta Rzymu musi być nieubłagana. Wszyscy muszą wiedzieć, że kto rzucił wyzwanie Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi, jest człowiekiem, którego życie zależy już tylko i wyłącznie od woli Cezara.

Wyciąga ramię. Pokazuje pierwszą wioskę Arwernów. Niech tę ziemię pokryją popioły i niech nasiąknie ona krwią!

Widzi przerażenie w oczach kobiet i dzieci, wieśniaków z plemienia Arwernów. Nawet nie próbują się bronić. Rozbiegają się jak ptactwo gospodarskie, które drapieżny ptak chce złapać w swoje szpony. Wiedzą, że są bezsilni. Niektórym udaje się jednak uciec i Cezar powstrzymuje jeźdźców chcących ich ścigać.

Chce, żeby szerzyła się panika, niech naoczni świadkowie wszędzie krzyczą, że Gajusz Juliusz Cezar i jego żołnierze dokonali niemożliwego i przekroczyli ścianę, której nikt jeszcze nigdy nie pokonał zimą. Niech wezwą na pomoc Wercyngetoryksa, niech błagają go, by przyjechał ich bronić, i przypominają mu, że jest jego obowiązkiem bronić plemienia Arwernów, skoro jest ich królem...

Cezar patrzy na sylwetki przerażonych ludzi, którzy biegną, sami się dziwiąc, że jeszcze żyją!

Wercyngetoryks ich usłucha, ulegnie ich błaganiom i rozluźni uchwyt wokół Agedincum, dzięki czemu legiony Labienusa odzyskają swobodę ruchów i będzie można się z nimi połączyć.

Cezar chce zostać na chwilę sam, chodzi po dymiących jeszcze popiołach, odsuwa nogą zwłoki. To humus wojny, to z niego wyrasta chwała i potęga.

Czy kiedykolwiek w życiu miał tak silną pewność, że zdobędzie władzę? Zmusi Galię do posłuszeństwa. Aby to osiągnąć, żadnej litości! Musi być chytry jak lis, żarłoczny jak wilk, silny jak królewski orzeł, szybki jak rumak, a do tego inteligentny, zdradliwy i odważny jak człowiek!

Wskakuje na konia. Trzeba wykorzystać panikę, jaka zapanowała w obozie

Arwernów, aby przejąć inicjatywę.

Wzywa do siebie Brutusa. Kocha tego syna Serwili. Lubi kłaść dłoń na jego młodym silnym ramieniu, czując za każdym razem dreszcz, jakby rozpoznawał własne ciało. Brutus z pewnością jest jego synem. Ma zaufanie do jego szczerzej twarzy, tego spojrzenia prosto w oczy. Brutus jest odważny. To on przejmie dowództwo na kilka dni.

- Wyślij jazdę na wszystkie strony kraju - rozkazuje Cezar.

Trzeba wywołać u Arwernów poczucie, że obrona jest daremna, gdyż dziesięć legionów rzymskich przeszło przez Sewenny.

Kładzie dłoń na ramieniu Brutusa, potem przyciąga go do siebie i ściska.

- Jedź, Brutusie.

Patrzy za siebie, wystarczy mu tylko niewielka eskorta jazdy. Będą cwałować dzień i noc i zatrzymywać się tylko po to, żeby konie wypoczęły.

Dojeżdżają do Rodanu, do Wienny\*[\* Stolica Allobrogów (dzisiejsze Yienne).].

Tutaj, wjeżdżając do obozu, gdzie zgromadziły się legiony, które w końcu dotarły z Italii, czuje się nareszcie spokojny. Kto może marzyć o zwyciężeniu tej armii, na której czele teraz się znajduje?

Żadnych odpoczynków. Forsowne marsze przez dolinę Rodanu, potem Saony, w nocy i w dzień, w wietrze i w deszczu, który jak ostre strzały przenika ubrania.

Przekraczają kraj Eduów, potem docierają do ziem Lingonów. Wchodzą do obozu dwóch połączonych legionów w Andematunum. Cezar zbiera natychmiast trybunów i legatów. Widzi w oczach tych ludzi zdumienie i podziw. Tak, dotarł tutaj, do nich, razem ze swymi legionami, nic go nie mogło powstrzymać: ani góry, ani Galowie!

Fortuna, Venus Victrix i Jowisz go poprzedzają, mają go w swej opiece. Tak postępują bogowie wobec ludzi, którzy są ich wybrańcami.

A on jest przecież najwyższym kapłanem Rzymu, *pontifex maximus*

Wysłuchuje raportu oficerów. Wercyngetoryks oblega Gorgobinę, miasto Bojów\*[\* Pochodzili z Bohemii, osiedleni przez Cezara w roku 58 na ziemiach Fxluów (przyp. aut.).]. Czy powinno się pozostawiać Eduów bez obrony? Ale czy można się zapuszczać w niepewny kraj zimą, gdy trzeba się przemieszczać razem z wozami wyładowanymi zapasami żywności? Jest się wówczas łatwym celem ataków... Co robić?

Patrzy po twarzach trybunów i legatów. Czekają na jego decyzję. Lubi czuć ich niepokój i w ten sposób potwierdzać swoją władzę.

- Ludy zaprzyjaźnione muszą liczyć na naszą ochronę - twierdzi. - Tak samo będzie z

Bojami, znajdującymi się pod opieką Eduów, naszych sprzymierzeńców. Niech w Andematunum zostaną dwa legiony i taborz całej armii. Reszta niech rusza w drogę!

Lubi patrzeć, jak centurioni rozbiegają się po obozie legatów, słyszeć głosy wydające rozkazy. Lubi jechać na koniu, lubi wkraczać do kraju Senonów i oblegać Wellaunodunum\*[\* Montargis.] - nie wolno przecież pozostawić w rękach wroga twierdzy, która mogłaby zagrozić ich tyłom i odciąć drogę konwojom z zaopatrzeniem.

Niech cała armia bierze się do budowy szańców.

Wystarczą dwa dni. Senonowie wydają sześciuset zakładników, broń, juczne zwierzęta.

Mogą więc ruszać w dalszą drogę. Wercyngetoryks odstąpił od oblężenia Gorgobiny, można teraz pomaszerować w stronę Cenabum, aby pomścić zniewagi i zbrodnie Karnutów.

Już widać to miasto położone nad Loarą. Wkrótce jednak zapadnie noc, jest już za późno na atak.

Cezar posuwa się brzegami rzeki w gęstniejącym mglistym półmroku. Należy rozpalić wszędzie ogniska, aby napędzić strachu, żeby Karnutowie znajdujący się w Cenabum wiedzieli, że miasto zostało otoczone.

Wyciąga rękę, pokazuje most na Loarze. Niech to przejście będzie pozostawione w ciemności. Żeby było wejściem do pułapki, w którą przerażeni mieszkańcy miasta sami się zapędzą. I niech legiony będą w gotowości.

Północ. Słychać głuchy odgłos. To zbliżają się Menapiowie.

- Ludność opuszcza miasto przez bramę wiodącą w kierunku mostu - mówi Cezar.

Nadszedł odpowiedni moment.

Wskakując na konia, Cezar czuje unoszącą go radość. Atakować, spalić, a potem sforsować bramy!

Wchodzi do miasta jeden z pierwszych. Tłum ludzi usiłuje uciekać, ale most jest zbyt wąski, aby wszyscy zdołali po nim przejść. Żołnierze, jeźdźcy wycinają już w ciżbie krwawą bruzdę.

Cezar wchodzi na pagórek. Wstaje dzień i mgły stopniowo się rozpraszają. Nie czuje zimna ani wilgoci.

Rozkazuje splądrować miasto. Niech żołnierze podzielą się łupami i niewidoma pozostałymi przy życiu niedobitkami, a potem niechaj pożar wypali to miasto i ten buntowniczy lud!

Nie wolno zwlekać, chcąc wykorzystać zwycięstwo, trzeba się toczyć jak narastająca

lawina. Teraz należy ukarać Biturygów, wejść do ich kraju. I już jedno z ich miast, Nowiodunum\*[\* NeuvysurBarangeon lub NouanleFuzelier (położenie sporne).], zostaje otoczone: mieszkańcy sami zaczynają oddawać broń, konie, zakładników.

Cezar pozostał na zewnątrz murów. Widzi nagle centurionów, którzy z mieczem w ręku bronią się przed atakiem mieszkańców, udaje im się jednak wyjść z miasta.

Przyłącza się do nich. Centurionowie pokazują kurz, który stopniowo zakrywa całe niebo: to zbliża się armia galijska! Oto już nadjeżdża straż przednia, z uniesionymi mieczami, wydając okrzyki.

Cezar podnosi ramię i do ataku rzuca się jazda rzymska. Słychać wycie walczących i rannych, walka jest bezładna, Rzymianie zdają się cofać.

Wtedy Cezar zwraca się ku Germanom, którzy czekają w gotowości jak psy wężące zwierzynę. Wypuścić ich!

Wystarczy kilku minut, aby Galowie ulegli, ich zwłoki zasłały ziemię, konie bez jeźdźców uciekały galopem z pola walki, a za ich przykładem znikają w kurzu także nieliczne niedobitki jazdy galijskiej.

Nadchodzą mieszkańcy Nowiodunum i sami przyprowadzają winnych napaści na centurionów. Potem klękają i składają hołd.

Winnych zamordować, tych, którzy uznają władzę Rzymu - ułaskawić! Tak orzekł Gajusz Juliusz Cezar, prokonsul Rzymu. Legaci, trybunowie, centurionowie gromadzą się wokół niego. Cezar prostuje się, odrzuca poły swego czerwonego płaszcza. Woła:

- Awarikum to największe i najpotężniejsze z Biturygów! Słyszysz hałas. Odczuwa drżenie przenikające żołnierzy, którzy go otaczają i którzy już marzą o łupach, o masakrze, o mieszkańcach sprzedanych w niewolę.

- Awarikum położone jest wśród najbardziej żyznych terenów - kontynuuje.

Gdy to miasto padnie, wtedy Biturygowie się poddadzą.

- Pójdziemy na Awarikum! - rzuca.

I gdy wrzask otaczających go żołnierzy rozchodzi się jak wściekła nawałnica po całej armii, Cezar czuje, jak przebiega go dreszcz, tak silny, jakby zamknął młode ciało w uścisku.

## ***Rozdział 35***

Pewnej nocy zwiadowcy donoszą, że wojska Wercyngetoryksa wyszły ze swego obozu.

Podstęp? Ucieczka?

Cezar ściąga wodze, ściska udami boki konia. Chce, musi go koniecznie szybko

okiełznać. Panika i strach są bardzo zaraźliwe. Mogą udzielić się innym wierzchowcom, a nawet żołnierzom, których szemrania słyszy z tyłu za sobą.

W końcu udaje mu się stanąć i zapanować nad wierzchowcem. Odwraca się. Trybunowie i legaci usiłują utrzymać swe konie, które także stają dęba i skaczą. Za nimi widzi twarze centurionów, chorążych, legionistów i jeźdźców germańskich.

Wszyscy oni wpatrują się w horyzont, gdzie ze dwadzieścia wielkich pożarów barwi niebo kolorami złota i krwi. Jest marzec 52 roku. Wystarczy przyjrzeć się wzgórzom, zazielenionym już wiosenną trawą, aby dostrzec jeszcze inne płomienie, kule ognia strzelają ze strzech wiejskich chat, słoma zapala się i unosi, porwana prądem gorącego powietrza.

Wszystko płonie! Pojedyncze domy i całe wioski. Białe plamy na pastwiskach to zarżnięte bydło.

Cezar pokazuje pożar wyciągniętym ramieniem.

- Nie spalą Awarikum! - rzuca tak donośnym głosem, jak tylko może. - Ono będzie należeć do nas i to my zadecydujemy, czy je zniszczyć, jeśli taka będzie nasza wola. Ale najpierw pomścimy Rzym i wszystko weźmiemy. - Rozkłada ramiona, jakby zbierał w ten sposób rozlegające się okrzyki aprobaty.

Teraz mogą znów ruszać w drogę. Żołnierze zapomnieli o strachu, gdyż myślą o perspektywie łupu. Nawet konie się uspokoiły, jakby pod wpływem opanowania ludzi.

Być może to Cezar jest najmniej pogodny z całej armii. Przypomina sobie, co mówił mu pewien człowiek z plemienia Eduów, który przedostał się do obozu Wercyngetoryksa i słyszał, jak wódz Arwernów przez całą noc przemawia do zebranych wojowników. Człowiek ów jeszcze teraz drży na wspomnienie tego, co wtedy usłyszał.

- Wercyngetoryks chce pozbawić twe legiony, Gajuszu Juliuszu Cezarze, żywności i paszy. Chce codziennie zabijać rozproszonych żołnierzy, którzy będą musieli oddalać się w poszukiwaniu zboża i siana.

Arwern jest pewien, że mieszkańcy obszarów, na których będzie się toczyć wojna, zadbają o jego aprowizację.

- A ty - zapytał Cezar - jesteś tego pewien?

Człowiek ów zaczął się trząść, powtarzał, że Eduowie są wiernymi sojusznikami Rzymu. Czyż on sam nie narażał się na wszelkie niebezpieczeństwa, aby zdobyć dla Cezara wiadomości i wyjawić mu najskrytsze zamiary Wercyngetoryksa?

Cezar mu się przyglądał. Trzeba będzie go zamordować, kiedy już wszystko powie, ponieważ ma na twarzy wypisany strach, a to oznacza zdradę. Może nawet Wercyngetoryks



pozwoił mu wyjść z obozu Galów, żeby szerzył strach w samym sercu legionów?

Na razie Cezar zachęcił go, by kontynuował opowieść.

- Wercyngetoryksa słuchają oni jako wodza wybranego przez bogów - podjął relację Gal. - Powiedział on: „Trzeba spalić wszystkie wioski, wszystkie domy, w każdym miejscu, gdzie tylko mogą się pojawić Rzymianie w poszukiwaniu zaopatrzenia. Trzeba także spalić wszystkie miasta, których umocnienia albo ukształtowanie terenu nie chronią dostatecznie przed niebezpieczeństwem, tak by nie mogły posłużyć za schronienie dla tych, którzy usiłują się wykręcić od służby zbrojnej, ani nie dały Rzymianom okazji do zdobycia łupów i zapasów. Kiedy chodzi o dobro publiczne, prywatny interes nie ma znaczenia! Może się to wydawać bezwzględne i okrutne... Ale jeszcze trudniej byłoby znieść, że nasze żony i dzieci sprzedawane są w niewolę albo same się zabijają. A taki jest nieuchronny los pokonanych!” I wojownicy się z nim zgodzili.

Cezar odniósł wrażenie, że szpieg, mówiąc to wszystko, przestawał się bać, jakby niemal wbrew swej woli, wpadał w entuzjazm, dając się porwać słowom Wercyngetoryksa. Bystry i zdeterminowany przeciwnik z tego Arwerna! Koniecznie trzeba go schwytać i zabić.

- Awarikum? - zapytał Cezar. Szpieg potrząsnął głową.

- Biturygowie - opowiadał - rzucili się do stóp innych Galów, błagając: „Nie zmuszajcie nas, abyśmy własnymi rękami podkładali ogień pod Awarikum, najpiękniejsze miasto w całej Galii, obronę i zarazem ozdobę naszego kraju. Będzie nam łatwo go bronić, gdyż jest tak usytuowane, że wokół jest woda i bagna, a do miasta prowadzi jedna tylko, bardzo wąska droga”.

Cezar nachylił się do szpiega.

- I Wercyngetoryks posłuchał Biturygów, czy tak?

Domyślał się tego, liczył na to. Cezar chce zdobyć Awarikum dla siebie! Byłoby zwycięstwem Galów, gdyby sami potrafili zniszczyć to miasto. Jego obrona stanie się ich klęską, ponieważ zostaną pokonani. I jeśli Wercyngetoryks ugiął się w obliczu błagań Biturygów, jeśli nie przeprowadził do końca swego planu spalania domów, wiosek, miast, to znaczy, że mimo swej inteligencji i odwagi jest on człowiekiem słabym.

A co może działać wódz, który zmienia swoje postanowienia z powodu współczucia i litości?

- No więc? - nalegał.

- Wercyngetoryks długo się opierał - powiedział szpieg - w końcu pozwolił się jednak przekonać.

Cezar się podniósł. Czuł się teraz o tyle wyższy od tych barbarzyńców. On jest

nieugięty, jest Rzymianinem, nazywa się Gajusz Juliusz Cezar!

Ruchem głowy pokazał centurionom swojej straży, że mogą zabić człowieka z plemienia Eduów. I teraz, w chwili gdy ukazują się wysokie mury Awarikum, przypomina mu się błędny wzrok

Gala, jego otwarte usta, z których nie wyrwał się żaden krzyk, gdy żołnierze wyciągali go poza namiot.

Cezar objeżdża dokoła to miasto zbudowane na niewielkim wzgórzu, lecz bronione przez rzeki, bagna, stawy. Wspiąwszy się na szczyt jednego ze wzgórz, widzi ściśnięte ciasno domy. Mają łupkowe dachy, mury są z kamienia. Widać nawet forum. Miasto musi być bogate i Cezar rozumie, czemu Biturygowie błagali Wercyngetoryksa, by nie nakazywał go niszczyć. A zatem Galowie będą go bronić. Zwiadowcy donieśli mu, że armia Wercyngetoryksa obozuje niedaleko od miasta, na miejscu położonym w górze, chronionym przez lasy i bagna.

Widzi podjeżdżającą grupę jeźdźców i centurionów. Niektórzy z żołnierzy są zakrwawieni, inni mają złamane miecze, kolczugi pogięte i porozdzierane.

- Śledzą nas, atakują, gdy tylko próbujemy zbierać paszę albo zboże - jęczy jeden z nich.

Należy zachować niewzruszoną minę w obliczu ich strachu. A jednak niepokój jest także w nim i wokół niego. Obiecane przez Eduów konwoje z żywnością nie nadchodzą. Bez wątplenia plemię to nie jest pewne, czy warto się zaangażować po stronie Rzymian. Donoszą mu, że niektórzy wodzowie Eduów skłaniają się do przejścia na stronę Wercyngetoryksa.

Trzeba spróbować zdobyć to miasto jak najprędzej, zanim powstanie cała Galia.

Cezar zbliża się do murów ukryty za osłoną, którą kazał przysunąć blisko wałów obronnych. Trzeba wznieść rampę oblężniczą na wysokości murów wroga. Ma mieć sto metrów na trzysta i ponad dwadzieścia metrów wysokości, dzięki czemu żołnierze będą mogli wskoczyć do miasta.

Trzeba także zbudować wieże wyższe od wież Galów, podsunąć maszyny oblężnicze, katapulty, balisty, tarany, kosy. Słyszy jednak głucho uderzenia Galów, którzy drążą tunele pod murami i atakują maszyny rzymskie, podpalają osłony i wieże. Chwytają kosy w sieci i wciągają je za pomocą lin do wnętrza twierdzy. Przeszkadzają w dokończeniu robót przykopowych, rzucając w odsłonięte miejsca pale opalone w ogniu, ciężkie kamienne bloki, lejąc wrzącą smołę. A ich mury, zbudowane z drewnianych belek i kamieni, są tak dobrze spojone i zamocowane, że opierają się zarówno ogniom, jak i uderzeniom taranów.

Cezara ogarnia niepokój.

Pewnej nocy zwiadowcy donoszą, że wojska Wercyngetoryksa wyszły ze swego obozu. Podstęp? Ucieczka? Trzeba wydać rozkaz wymarszu pomimo ciemności, by zaatakować opuszczony przez nieprzyjaciela obóz. Jednak o świcie widzą Galów ustawionych w szyku bojowym, cofniętych na jedno ze wzgórz. Musieli więc zostać uprzedzeni o nocnych ruchach Rzymian. Kto im doniósł?

Słyszysz okrzyki centurionów unoszących miecze, zdziwionych, że nie atakują Galów odległych zaledwie o rzut włócznią, ośmielających się rzucać takie wyzwanie armii rzymskiej.

To moment, gdy dowódca musi umieć powściągnąć wodze, powstrzymać wojsko *od* walki, aby jutro uderzyć mocniej. Trzeba jednak stawić czoło złości żołnierzy, gdy zarządza odwrót. Idzie w ich stronę. Musi do nich przemówić.

- Jakich poświęceń - zaczyna - śmierci ilu bohaterów byłoby trzeba, by odnieść teraz zwycięstwo? Jak wielkiej nieprawości byłbym winien, gdybym chcąc powiększyć swą chwałę, wykorzystał waszą gotowość niecofania się przed żadnym niebezpieczeństwem, wybierając ofiarę waszego życia zamiast koniecznej rozważności? Niebawem zwyciężymy. Lecz dziś trzeba schować miecz do pochwy.

Czuje, że żołnierze są rozgoryczeni, upokorzeni tym, że muszą wracać bez walki do obozu, podczas gdy Galowie wznoszą okrzyki, w których jakby miesza się zawód, że nie doszło do starcia z legionami, z radością, że są świadkami ich wycofywania się.

Kilka dni później szpieg, który powrócił od Galów, donosi, że wodzowie robią Wercyngetoryksowi wyrzuty, że był nieobecny, nie wyznaczył wodza na swoje miejsce i że myśli może nawet o porozumieniu z Gajuszem Juliuszem Cezarem. Arwern odpowiedział, że pewien jest zwycięstwa Galów. Kazał przyprowadzić jeńców rzymskich, ciurów obozowych, których przedstawił jako legionistów, i ludzie ci zapewniali, że Cezar postanowił odstąpić od oblężenia Awarikum za trzy dni.

Szpieg milknie, wpatruje się w Cezara, który samym tylko skinieniem powiek w nieruchomej twarzy każe mu kontynuować.

- Wercyngetoryks powiedział: „Dzięki mnie wielka zwycięska armia jest już niemal unicestwiona przez głód i nie musicie prawie wcale przelewać krwi. Zrobiłem to, co konieczne, aby podczas żalosego odwrotu nie znalazła ona schronienia w żadnym kraju, u żadnego ludu”. Galowie zaczęli wykrzykiwać: „Wercyngetoryks jest najlepszym z wodzów! Nikt nie ma prawa wątpić w jego dobrą wiarę!”

Cezar zaciska pięści. Trzeba wytępić tych gadatliwych Galów, tę rasę ludzi szczególnie uzdolnionych w naśladowaniu tego, co zauważą u innych. I ten Wercyngetoryks usiłujący stworzyć armię równie zdyscyplinowaną jak rzymskie legiony!

Trzeba z nim szybko skończyć, złamać tę pychę, to zarozumiałstwo!

Trzeba jednak najpierw zapewnić sobie zdecydowanie legionów.

Cezar udaje się między żołnierzy, pracujących dzień i noc nad umocnieniem tarasu i wież oblężniczych, nad osłonięciem przejść, tak aby legionieści mogli podejść do murów galijskich, nie narażając się na strzały i włócznie.

Widzi zmęczenie tych wychudzonych ludzi, którym od wielu dni brakuje chleba i którzy żywią się jedynie niewielkimi ilościami mięsa z nielicznych sztuk bydła, jakie udało się przyprowadzić z niektórych wiossek. I za każdym razem trzeba było gasić pożary i unikać zasadzek Galów!

Cezar chce porozmawiać z każdym legionem oddzielnie.

Wpatruje się w twarze zebranych wokół niego żołnierzy.

- Jeśli zanadto cierpicie z powodu głodu, gotów jestem odstąpić od oblężenia.

Żołnierze spoglądają po sobie. Najstarsi z centurionów występują o krok do przodu. Cezar zna ich imiona, ich odwagę.

- Gajuszu Juliuszu Cezarze, ty nas obrażasz! - mówi jeden z nich. - Od lat służymy pod twoimi rozkazami i nigdy jeszcze się nie wycofaliśmy, dopóki nie wykonaliśmy naszego zadania!

Trybun gestem ucisza centuriona. Należy jednak pozwolić żołnierzom mówić.

- Lepiej znieść wszystkie wyrzeczenia - ciągnie centurion - niż nie pomścić obywateli rzymskich.

Cezar się im przygląda. Żołnierze nie ośmielają się głośno powiedzieć, że nie tylko pragną ukarać to, co nazywają galijską perfidią, ale chcą także zdobyć łupy, które znajdują się za murami Awarikum.

Nagle rozlegają się okrzyki, widać płomienie. Galowie podpalili *agger*, rampę oblężniczą.

Cezar widzi, jak wychodzą przez dwie bramy miasta i pojawiają się wokół wież oblężniczych. Rzucają pochodnie z suchego drewna na rampę. Inni leją smołę i palne substancje. Trzeba kontratakować, wycofać rampę, bronić wież oblężniczych. Cezar jest zafascynowany widokiem galijskich wojowników, którzy zmieniają się w walce, na miejsce zmęczonych przychodzą nowi ze świeżym zapasem sił.

Widzi Gala stojącego przed jedną z bram i miotającego w kierunku wieży kule z łożu i smoły. Wysoki wojownik zdaje się nie zważać na pociski, które koło niego przelatują. Trzeba go zabić. Cezar wskazuje go legionistom, którzy uzbrajają katapultę, i niebawem wyrzucona z niej strzała uderza Gala w prawy bok. Gal pada. Jeden z jego sąsiadów przeskakuje przez poległego i zajmuje jego miejsce. Z kolei i on zostaje trafiony. Zastępuje go następny. I ginie tak samo jak poprzednicy.

Ci Galowie walczą tak, jakby rozstrzygały się tu losy Galii. Muszą zostać pokonani, zabici. Rzym musi zwyciężyć. Niech zginą wszyscy jego wrogowie, zwłaszcza gdy są dzielni!

Cezar wycofuje się do namiotu. Wokół panuje cisza. Galowie zostali odepchnięci, zapadła noc. Jest uspokojony, jego ciało ogarnia znużenie. Drzemie. Te walki zaspokajają go fizycznie, jakby znajdował w nich ujście dla całej swej energii, dostarczają mu odczuć nie mniej silnych niż rozkosz wchodzenia w jakieś ciało. Pozostaje mu potem jedynie potrzeba łagodności, apetyt na pieszczoty. Wstaje. Zawoła Emiliusza albo Mamurrę, albo młodego niewolnika...

Naraz jednak podnoszą się ostre krzyki, a nawet wycia od strony Awarikum. Rozpoznaje głosy kobiet. Wstaje w chwili, gdy u wejścia do namiotu pojawia się legat.

Zdyszany żołnierz opowiada, że kobiety galijskie wyszły na mury, krzycząc i lamentując, że ich mężowie mają zamiar opuścić miasto i zostawić je same z dziećmi.

Cezar bierze miecz.

- Są zgubieni - mówi. - Gotowi są porzucić swoje żony, dzieci, ojców. Strach sprawia, że dusza człowieka staje się nieprzystępna dla litości. I kobiety swoimi krzykami przeszkodziły im w ucieczce. Należą oni do nas!

Wychodzi z namiotu. Wydaje rozkaz zgromadzenia legionów, choć potoki deszczu zalewają obóz i miasto.

- Bogowie dają nam teraz okazję! Osłania nas zesłany przez nich deszcz.

Trzeba użyć podstępów, niech myślą, że pogoda przeszkadza w ataku, podejść pod osłoną aż do murów Awarikum i wykorzystując burzę, zeskoczyć z wież i rampy oblężniczej na teren, gdzie z pewnością nie ma wartowników, ponieważ schronili się przed deszczem.

Mówi cicho do trybunów i legatów, by przyrzekli nagrody tym, którzy pierwsi wdrą się na mury. Przygląda się walce zaczynającej się w świetle księżyca. Żołnierze rzucają się na przerażonych Galów, którzy rzucają broń, usiłują uciekać. Patrzy na tłumy kobiet, starców, dzieci, które jego jazda masakruje u bram miasta. Niedługo zostają po nich strzępy trupów. Legioniści nawet nie myślą o rabunku, zabijają każdego, kto się rusza.

Woda deszczowa płynie strumykami po uliczkach, czerwona od krwi.

Ilu jest tych, którym udało się zbiec i dotrzeć do obozu Wercyngetoryksa? Zaledwie kilkuset, najbardziej tchórzliwych.

Miasto liczyło czterdzieści tysięcy mieszkańców.

Rzym został pomszczony. Ludność Awarikum, miasta galijskiego, już nie istnieje.

Nikt nie może rzucać wyzwania Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi!

## **Rozdział 36**

Elawer została przekroczona.

A Wercyngetoryks się wymyka.

Teraz role się odwróciły i to on jest ścigany!

Cezar dyktuje, chodząc ze skrzyżowanymi ramionami po ciemnym, nisko sklepionym pomieszczeniu. Sekretarz siedzi na jednej z długich skrzyń z czarnego drewna, które stanowią jedyne umeblowanie tego domu w Awarikum.

Przestaje dyktować. Myśli o swoim domu w Rzymie, o błękitnawym świetle zalewającym atrium, o zasłonach unoszonych podmuchem wiatru, o słodczy przenikającej wszystko, o pieszczotach, których nie skąpią młode niewolnice. Tu, w Awarikum, wszystko jest prymitywne i szorstkie. Jedynymi cennymi przedmiotami są złote puchary stojące na skrzyniach, pochodzą zresztą z Grecji.

Kontynuuje:

„Krótko, z ogólnej liczby około czterdziestu tysięcy mieszkańców zaledwie ośmiuset, usłyszawszy pierwszą wrzawę bitewną, zdołało ująć z miasta i dotrzeć do [obozu] Wercyngetoryksa. Ten przyjął owych uciekinierów cichcem późną nocą, ponieważ obawiał się, że ich pojawienie się w obozie oraz współczucie dla nich ze strony ogółu mogłyby wywołać zaburzenia...”

Trzeba jutro pchnąć posłańców do Rzymu i do Galii Przedalpejskiej z relacją o tym zwycięstwie, żeby senatorowie i wszyscy urzędnicy, a także plebs wiedzieli, iż Cezar ponownie zmusił plemię Galów do posłuszeństwa i że krew Biturygów zmyła krew przelaną przez obywateli rzymskich w Cenabum. Należy przypomnieć stronnikom Pompejusza, że Cezar stoi na czele dziesięciu legionów i po stłumieniu powstania Galów trzeba się będzie bardzo poważnie liczyć z jego siłą.

Robi kilka kroków. Z całego miasta dobiega głuchy szum, przerywany od czasu do czasu odgłosem śpiewów albo krzykami trwogi. Może sobie wyobrazić obzarstwo żołnierzy.

Awarikum jest miastem zasobnym, pełnym żywności, zboża, tkanin. Domy są niewielkie, ciemne. Większość galijskich przedmiotów jest toporna, ale często są ze złota. I kobiety, które przeżyły, są młode. Legioniści wiedzą, kogo oszczędzać podczas rzezi.

Milczy. Nie potrzebuje przy sobie uległego ciała ani w swym łożu zręcznego i perwersyjnego towarzysza. Być może już sama walka, zwycięstwo i projekty, jakie snuje, dają mu tak wiele rozkoszy, że nie musi szukać innych.

Słucha wrzasków i śmiechów. Żołnierze po wyrzeczeniach i trudach mają prawo objadać się, brać wszystko, co zechcą. Jutro będą musieli pomaszerować na nieprzyjaciela, wykurzyć go z lasów i bagien, będą musieli zdobywać inne miasta.

Cezar wychodzi z izby, przecina westybul. Ten dom jest najobszerniejszy w Awarikum. Być może należał do dowódcy wojskowego, kupca albo druida, jednego z tych, których zwłoki ciury i niewolnicy usunęli poza obręb miasta, gdzieś na bagna i do lasów.

Patrzy na błękitne niebo. Zima dobiega końca. Pora roku zachęca do wojaczki, a Wercyngetoryks nie został przecież pokonany. Przeciwnie, wydaje się, że z każdą klęską jego autorytet jeszcze bardziej się umacnia. Upadek Awarikum pozwolił mu przypomnieć, że on chciał miasto spalić, podczas gdy Biturygowie przysięgali, iż je obronią. A potem pozwolili je zdobyć Rzymianom. Wercyngetoryks żąda więc, aby go na przyszłość słuchano. I inne plemiona galijskie oddają się pod jego rozkazy.

Szpiedzy donieśli, że Nicjobrogowie - zamieszkujący nad brzegami rzeki Oltis - i ich król Teutomat przybyli wraz z silnym kontyngentem jazdy. Wercyngetoryks rozkazał wyszukiwać i przysyłać mu łuczników z całej Galii. Nawet Eduowie, sojusznicy Rzymu, są podzieleni. Trzeba interweniować, aby władza pozostała w rękach Konwiktolitawisa, który twierdzi, że pozostaje wierny wobec Gajusza Juliusza Cezara. Ale na ile można ufać Galowi, nawet jeśli jest z plemienia Eduów?

Cezar wraca do siebie. Należy przestać pisać komentarze do wojny, trzeba ją prowadzić. Niech posłaniec rusza do Eduów i zażąda w imieniu prokonsula przysłania całej jazdy i dziesięciu tysięcy piechoty, potrzebnych mu do ochrony konwojów!

Potem wzywa do siebie trybunów i legatów. Ci ludzie wyglądają, jakby zbyt wiele ucztowali, od wielu już bowiem dni sycą się wiktuałami znalezionymi w skrzyniach domów Awarikum. Musi ich wziąć trochę w garść, zatapia w ich oczach nieubłagane spojrzenie. Trzeba ich obudzić, przypomnieć im silną intonacją, że znowu zaczyna się wojna i nie czas teraz na bekanie, trzeba mordować.

Pragnie, by Labienus na czele sześciu legionów opuścił Agendikum i poszedł na północ podbić lud Paryzjów oraz by stanął na drodze Atrebatom pod wodzą króla

Kommiusza, którzy także przeszli na stronę Wercyngetoryksa. Trzeba zapobiec temu, aby Belgowie i Bellowakowie poszli na południe, i zniechęcić wciąż buntowniczo nastawionego Ambioryksa do połączenia swych sił z Arwernami.

- Najpierw musimy zniszczyć Arwernów - dodaje Cezar. - Pomaszerujemy na ich miasta z sześcioma legionami.

Opuszczają Awarikum. Idą w górę rzeki Elawer. Na drugim brzegu, nieco z tyłu, widzą armię Wercyngetoryksa, która także ruszyła w drogę.

Cezar staje. Ma wrażenie, że całe jego ciało koncentruje się w spojrzeniu i we wzroku. Trzeba działać szybko i przeprowić się przez Elawer, mimo że Galowie zniszczyli wszystkie mosty. Należy ich oszukać, niech myślą, że legiony poszły dalej, a kiedy armia Galów oddali się, sądząc, że postępuje w ślad za Rzymianami, trzeba naprawić jeden z mostów, przejść na drugi brzeg i okrążyć w ten sposób armię galijską. A potem zmusić ją do walki.

Cezar skacze na konia. Odnajduje to uczucie lekkości i siły, którego dostarcza mu cwałowanie na skrzydle, potem na czele legionów. Wydaje rozkazy. Te kohorty, manipuły, legiony są jak części jego ciała, może je cofać albo nimi uderzać tak, jak zechce. Elawer została przekroczona. A Wercyngetoryks się wymyka. Teraz role się odwróciły i to on jest ścigany!

Nagle wyrasta przed nimi Gergowia, stolica Arwernów, położona na płaskowyżu o rozmiarach tysiąca pięciuset kroków na pięćset. Wały miasta są przedłużeniem skraju płaskowyżu. Trzeba rozbić obóz u stóp murów.

Cezar czuje napięcie żołnierzy i widzi wojska galijskie rozmieszczone na łańcuchu wzgórz ponad obozem rzymskim. Chce zachowywać spokój i pewność zwycięstwa, ale ta armia, złożona z tylu plemion galijskich ustawionych w niewielkich odległościach od siebie, może zaniepokoić. Czy uda się ją przepędzić, zniszczyć? Przypatruje się Galom. - Przerażające widowisko - szepcze do Mamurry.

Najpierw należy podbić jedno ze wzgórz i założyć drugi obóz w bezpośredniej bliskości Gergowii.

- Chcę, aby wykopano rów szerokości dwunastu stóp łączący oba obozy. Chodzi o to, żeby żołnierze mogli przechodzić z jednego obozu do drugiego, nie narażając się na zasadzki, nawet gdy idą w pojedynkę.

Jest to konieczne, ponieważ Galowie z każdym dniem stają się coraz bardziej zuchwali. Wercyngetoryks, jakby chcąc zaprawić swoich ludzi do walki i przyzwycząić ich do starć z Rzymianami, wysyła wciąż niewielkie oddziały złożone z jazdy i łuczników. Trzeba z tym szybko skończyć, nim Galowie nabiorą doświadczenia, które pozwoli im stawić



czoło legionom.

Cezar gotów jest już wydać rozkaz natarcia, gdy przybywają Eduowie i proszą o przyjęcie.

Wystarczy spojrzeć na tych młodych galijskich arystokratów, jak ów Eporedoryks, który będzie przemawiał, by zrozumieć, że przynoszą złą wiadomość. Jeden z wodzów ich plemienia, Litawikkus, usiłuje właśnie pociągnąć za sobą dziesięć tysięcy żołnierzy oraz obiecaną Cezarowi jazdę, aby połączyli się z armią Wercyngetoryksa.

Musi pozostać niewzruszony. Jednak trzeba reagować szybko.

Bo jeśli także Eduowie wezmą udział w powstaniu, to wówczas niemal cała Galia zostanie ogarnięta rebelią, Wercyngetoryks zaś będzie dysponował setkami tysięcy ludzi.

Należy szturm na Gergowię odłożyć na później i pocwałować na czele czterech legionów, wysyłając przeciwko Eduom jazdę z rozkazem, by ich jednak nie zabijać.

Patrzy na otoczonych Eduów, porzuconych przez Litawikkusa, który uciekł i niewątpliwie przyłączył się do Wercyngetoryksa. Eduowie wyciągają ręce w geście poddania, rzucają broń i proszą o łaskę.

Czy można mieć do nich zaufanie? Kto raz zdradził, zrobi to ponownie! Trzeba jednak udawać. Cezar zapewnia sojuszników, że wszystko im wybacza, nawet i to - o czym się właśnie dowiedział - że zabili obywatele rzymskich, zrabowali ich dobytek, napadli na trybuna wojskowego w drodze do jego legionu.

Cezar występuje naprzód i woła:

- Zaślepienie i głupota motłochu nigdy nie skłonią mnie do tego, by potraktować z surowością cały lud Eduów, i nie będą mogły nigdy odmienić przychylności, jaką wobec niego odczuwam!

Trzeba umieć ukrywać swoje myśli, poddawać się prawom konieczności. Eduowie są liczni i wahają się. Trzeba się więc z nimi obchodzić oględnie. Kara przyjdzie potem...

Cezar oddała się. Jest napięty. Trzeba albo zdobyć szybko Gergowię, albo odstąpić od oblężenia i wyciągnąć Wercyngetoryksa w jakieś inne miejsce, gdzie można byłoby wydać mu bitwę i pokonać go, nie będąc zagrożonym powstaniem Eduów.

Waha się. Zgaduje, że żołnierze pragnęliby zdobyć Gergowię, ponieważ marzą o łupach i grabieży.

Jak silne jest to pragnienie, może ocenić, gdy zdobywają jedno ze wzgórz i zagrażają obozowi jednego z plemion galijskich, Nicjobrogów, a ich król Teutomat pozostawia w swym namiocie broń i szaty, tak szybko musiał uciekać. Cezar wydaje wówczas legionom rozkaz

zatrzymania się i trąbienia do odwrotu. Jednak tylko legion X jest posłuszny, jego chorążowie zatrzymują się. Reszta, pomimo rozkazów trybunów i legatów, spieszy pod mury Gergowii, ożywiana nadzieją na szybkie zwycięstwo i zdobycie łupów oraz perspektywą grabienia i mordowania bezbronnej ludności miasta.

Co robić?

Słyszy mieszkańców krzyczących ze strachu. Widzi wychylające się z wysokości murów matki, zrzucające z góry szaty, pieniądze i obnażające piersi. Słyszy, jak błagają one Rzymian, aby oszczędzili mieszkańców, nie postępowali tak, jak w Awarikum, gdzie nie było zmiłowania ani dla dzieci, ani dla kobiet. Widzi, jak niektóre, pomagając sobie rękami, ześlizgują się na dół i oddają żołnierzom... Spostrzega, jak Lucjusz Fabiusz, centurion z VIII legionu, wraz z trzema żołnierzami wspina się po murze.

Ogarnia go złość. Wodza należy słuchać! Ale może tylko pozwolić toczyć się wypadkom, nie wolno mu opuścić legionów w chwili, gdy następuje atak ze strony coraz liczniejszych Galów powracających do Gergowii. I pojawienie się Eduów, mimo że są to sojusznicy, napędza strachu legionistom.

Czuje, że armię zaczyna ogarniać lęk. Widzi zwłoki Fabiusza zrzuczone przez Galów z murów miasta. Wydaje rozkaz pójścia do przodu X legionowi. Wyciąga miecz, wstaje. Trzeba przeszkodzić Galom w pościgu za legionistami, którzy teraz wycofują się w nieładzie. Trzeba wziąć Rzymian z powrotem w garść, rozkazać legionom przygotować się do walki. Widzi jednak, że Wercyngetoryks wstrzymuje swe wojska, uchyla się od bitwy i wycofuje po odniesieniu zwycięstwa.

Można więc policzyć zabitych: czterdziestu sześciu centurionów i siedmiuset żołnierzy. Narasta w nim pewność, że musi odstąpić od oblężenia Gergowii, choćby miało to sprawiać wrażenie porażki. Nie tutaj będzie można rzucić Wercyngetoryksa na kolana.

Najpierw przemówi do legionów.

Żołnierze stoją ustawieni obok swoich sztandarów. Trzeba ich skrzyczeć. Wódz bez zdyscyplinowanego wojska jest tylko śmiesznym straszidłem. Żołnierze muszą drzeć ze strachu przed swoim dowódcą, muszą dokładnie wykonywać jego rozkazy! Legioniści winni są nieposłuszeństwa, zaatakowali w nieodpowiednich warunkach.

- Byliście nieostrożni! Zaślepiła was chciwość! Wasi dowódcy określili, co należy robić i jak daleko się posunąć. Nie zatrzymaliście się, słysząc sygnał do odwrotu. Nie słuchaliście ani trybunów wojskowych, ani legatów. Mimo że ja, Gajusz Juliusz Cezar, wyjaśniłem im dokładnie niedogodność naszego położenia. - Podnosi głos jeszcze bardziej. -

O ile godna podziwu jest odwaga tych, których nie zdołały powstrzymać ani szanice obozu nieprzyjaciela, ani wysoka góra, ani grube mury miasta, o tyle godna potępienia jest ich samowola i zadufanie, że lepiej są przygotowani do decydowania o następnych krokach i odniesieniu zwycięstwa niż sam wódz. Należałoby sobie życzyć, aby żołnierz miał nie mniej posłuszeństwa i opanowania niż odwagi i męstwa!

Milknij na długą chwilę.

Cezar nie chce karać, ale legiony muszą obawiać się kary, muszą pamiętać, że potrafi być nieubłagany.

Trzeba także umieć okazać łaskawość. Potrzebuje tych ludzi. Chce, żeby każdy z legionistów w najbliższych dniach przeszedł sam siebie, żeby czuł się zobowiązany pokazać swemu dowódcy, że jest wojownikiem bohaterskim i zdyscyplinowanym.

Robi krok do przodu. Czuje strach żołnierzy stojących w pierwszym szeregu, może nakazać ich zdziękowanie.

- Wróg - kontynuuje - jest silny jedynie dzięki waszym błędom, dzięki złym pozycjom, jakie zajęliście. Słuchajcie Gajusza Juliusza Cezara, a on was zawsze poprowadzi do zwycięstwa. Będziecie prowadzeni przez Fortunę i Venus Victrix!

Żołnierze przez chwilę stoją jak skamieniali, a potem wydają ryk radości i ulgi.

Będą posłuszni. Będą się bili, ponieważ będą bali się kary i będą wdzięczni za wybaczenie.

Bo Cezar jest pewien, że najzacieklejsze walki dopiero nadejdą. Trzeba zwinąć obóz pod Gergowią i przyłączyć się do czterech legionów Labienusa, które pod Lutecją pokonały Galów dowodzonych przez Kamulogenusa, lecz musiały stawić czoło rewolcie Senonów i Bellowaków. Ile plemion nadal jest wiernych Rzymowi? Remowie, Trewerowie, Lingonowie. Zdrada Eduów w końcu się dopełniła. Zamordowali rzymskich kupców z Nowiodunum\*[\* Senonowie: region Sens; Bellowakowie: Beauvais; Kernowie: wokół Reims; Trewerowie: region Trewiru; Lingonowie: wokół Langres; Nowiodunum: Nogent, blisko Nevers (przyp. aut.)]. Podzielili między siebie ich majątek, pieniądze, konie. Wzięli też wraz ze wszystkimi plemionami galijskimi udział w zgromadzeniu w Bibracte (na górze Beuvray), gdzie wyznaczono Wercyngetoryksa na wodza armii galijskiej.

Cezar wysłuchał szpiegów, którzy trzęsąc się ze strachu, powtórzyli mu słowa Wercyngetoryksa. Arvern miał oświadczyć, że nadeszła godzina zwycięstwa, że Rzymianie opuszczą Galię tak, jak Cezar odstąpił od oblężenia Gergowii po tym, jak został pokonany. Zażądał, aby plemiona galijskie dostarczyły mu piętnastu tysięcy jeźdźców, chce mieć olbrzymią armię liczącą trzysta tysięcy żołnierzy. Wodzowie galijscy przysięgli mu

posłuszeństwo, krzycząc jednym głosem: „Trzeba, aby każdy zobowiązał się najbardziej uroczystą przysięgą, że nie wróci do siebie, nie zbliży się do swoich dzieci ani żony, ani rodziców, jeśli dwa razy nie przejedzie przez szeregi wrogów!”

Cezara ogarnia pogarda i złość. Cóż sobie wyobrażają ci zuchwali barbarzyńcy? Że Gajusz Juliusz Cezar ucieka? Próżność zaślepia Wercyngetoryksa. Każe mu wierzyć w to, czego pragnie.

Chce pozostać sam. Potrzebuje ciszy, aby przemyśleć odpowiedź. Wykorzysta w swej grze próżność Arwerna, wciągnie go w pułapkę, jak to się robi z głupim zwierzęciem.

Pewnie, że ten barbarzyńca wykazał się odwagą i inteligencją, zarówno walcząc, jak i unikając walki, próbując zdyscyplinować swą krzykliwą i bezczelną hordę. Ale Wercyngetoryks wpadnie w upojenie i straci wszelki rozsądek, kiedy jego zwiadowcy przechwycą posłańców rzymskich i z ich listów wyczyta, że Cezar zarządza odwrót.

A gdy zostanie złapany na haczyk, będzie można go zabić.

Cezar rozkazuje, aby dziesięć legionów przepравиło się przez Loarę. Bród jest głęboki, trzeba nieść broń ponad głową, woda sięga do ust. Za wzgórzami zbiera nowych jeźdźców germańskich, których sprowadził zza Renu, ponieważ są niezwykłymi wojownikami. Ich obecność przerazi Galów.

Przejeżdża między nimi. Towarzyszy im piechota, walcząca u ich boku. Ich konie są jednak małe i cherlawe. Niech dadzą im wierzchowce jazdy rzymskiej, a w razie potrzeby nawet konie trybunów wojskowych!

Teraz należy wciągnąć go w pułapkę, podchodząc pod Alezję\*[\* Obecnie AliseSainteReine. Lokalizacja miasta Alezja jako dzisiejsze AliseSainteReine jest podawana w wątpliwość przez niektórych, choć niezbyt licznych historyków, którzy z powodu pewnych znalezisk sytuują Alezję w Jurze. Będziemy trzymać się poglądu przyjmowanego najczęściej (przyp. aut.).]. Jest to twierdza i galijska metropolia religijna. Chodzi o to, by Wercyngetoryks przybył się tam schronić, przekonany, że tak jak pod Gergowią uda im się zmusić legiony do odwrotu.

Niech wierzą więc, że Gergowią była poważną klęską Rzymian. I że legiony są teraz poturbowane i wystraszone.

Cezar z wysokości wzgórza patrzy na armię galijską, która postępuje w ślad za nim. Jeźdźcy galijscy są bezczelni. Czuje się urażony tą zarozumiałością Wercyngetoryksa, której się domyśla, jego pewnością, że rozbił armię rzymską.

Ściska rękojeść miecza. Wercyngetoryks się jeszcze przekona, kim jest Gajusz Juliusz Cezar!

Cezar obserwuje tych samych jeźdźców, którzy atakują i wdzierają się w linie jazdy rzymskiej. Podnosi rękę: niech szarżują Germanie! Widzi, jak rozbijają oni szeregi galijskie, sieją postrach, tną, zapędzając się nawet na wzgórze, gdzie sądząc po otaczającej świcie, powinien znajdować się Wercyngetoryks. Wkrótce wszyscy Galowie uciekają.

Cezar doświadcza uczucia triumfu. Armia galijska nie została wprowadzie w, tej bitwie zniszczona, ale jest pewien, że po porażce jazdy Wercyngetoryks może jedynie zamknąć się w Alezji i czekać, aż inne plemiona galijskie przyślą mu armię na odsiecz.

Idzie tam, gdzie chciałem, myśli.

Cezar podnosi miecz.

Niech ścigają tylne straże Galów, niech ich masakrują i niech forsownymi marszami idą za armią Wercyngetoryksa kierującą się ku Alezji!

Odczuwa wielką radość. Teraz Wercyngetoryks znalazł się w pułapce.

Widzi ten wysoki płaskowyż, górę Auxois, na której zbudowana jest Alezja. Tu skoncentruje się osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy Wercyngetoryksa.

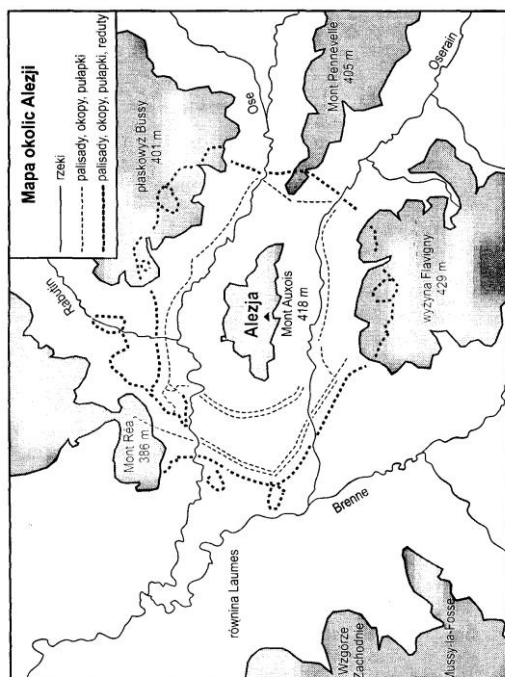
Jutro będzie trzeba zbadać każdą piędź terenu. Jutro obejrzy, jak zacisnąć pętlę Galom na szyi. Na razie niech legionieści zbudują obóz.

Cezar wchodzi na kopiec. Chce przemówić do żołnierzy, zachęcić ich, by gorliwie pracowali przy konstrukcjach oblężniczych, które od jutra rozkaże im budować.

- Niech każdy się przygotowuje! - mówi.

Wyciąga ramię, pokazuje górę i otaczającą ją równinę, którą przecinają rzeki.

Tutaj zginie Galia.



## Rozdział 37

Są od nas liczniejsi.

I mogą ich tu nadejść z całej Galii setki tysięcy!

Cezar chce objechać każdą piędź terenu, poznać każde z czterech wzgórz, które tworzą coś na kształt stopni amfiteatru wokół góry centralnej, gdzie za murami miasta zamknęło się osiemdziesiąt tysięcy Galów Wercyngetoryksa.

Wspina się na zbocza w otoczeniu legatów i trybunów. Musi wiedzieć, jakiego terenu będą bronili żołnierze jego jedenastu legionów oraz jazda germańska. Przejeżdża równiny, które przecinają dwie rzeki oblewające ze wszystkich stron Mont Auxois i łączące się na zachodzie za Alezją, niby na obszernej arenie.

Ogarnia wzrokiem każdą dolinkę, każdy pagórek. Potem galopuje po równinach i słyszy łopot swego obszernego płaszcza unoszonego wiatrem. Mimo że jest dopiero połowa sierpnia 52 roku, jesień daje już o sobie znać krótką, lecz gwałtowną ulewą.

Zatrzymuje się pośrodku zachodniej równiny. Tutaj rozegrają się starcia konnicy. Wyobraża je sobie. Wyciąga miecz i kreśli na ziemi dwa koncentryczne koła.

- Chcę - mówi - utworzyć dwie nieprzekraczalne linie, które ścisną gardło wszystkim Galom. Chcę, żeby ci zamknięci w Alezji nie mogli nigdy przekroczyć pierwszej z nich i żeby dusili się za murami, wewnątrz tej linii. I chcę także, aby Galowie, którzy zapragną przyjść

Alezji z odsieczą, nie mogli sforsować drugiej linii.

Nasze legiony zostaną rozmieszczone pomiędzy obiema liniami, w tej koronie utworzonej z kamieni, żelaza i drewna. Dosiada znowu konia.

- Oto, czego chcę! - woła. - Niech wszyscy ludzie zabierają się do pracy, każdy zbudowany kawałek palisady to jeden więcej zabity wróg. Trzeba będzie wybudować wieże, ze dwadzieścia redut, które będą punktami oporu. Będą w nich stacjonować jednostki straży ochraniające pracujące oddziały i odpierające ataki ze strony Galów. - Jego wierzchowiec staje dęba. - Ponieważ oni przyjdą nas nękać! Wiedzą teraz tak samo dobrze jak my, że gra się toczy o sławę Rzymu, a więc i o losy Galii. Czy ktoś może sobie jednak wyobrazić, żeby Fortuna, Wenus Zwycięska oraz Jowisz Najwyższy i Najlepszy zapomnieli o Gajuszu Juliuszu Cezarze?

Jedzie wzdłuż brzegu rzeki płynącej od strony północnej, Ose. Z umocnień Alezji spada na niego grad strzał i słychać okrzyki nienawiści. Prostuje się, galopuje z rękami założonymi na plecach, jak na paradzie. Woła, nie odwracając się, że sam zainstaluje się na górze południowej, najwyższej, i że chce, aby wszystkie wzgórza zostały zajęte i jak najszybciej ufortyfikowane.

Zatacza konno półkole.

- Oni zginą! - dodaje. - Przeżyją tylko ci, co do których postanowimy, że ich życie jest dla nas bardziej użyteczne niż śmierć!

Myśli o wodzu Arwernów, Wercyngetoryksie, o którym szpiedzy i zbiegowie mówią z takim strachem i respektem. Ten człowiek, którego Cezar dobrze pamięta, któremu zaofiarował przyjaźń w imieniu Rzymu i który wybrał rebelię, będzie musiał za swoje winy drogo zapłacić.

Wielu galijskich wodzów go naśladowe: Atrebata Kommiusz i Werkazywelaunus z plemienia Arwernów, kuzyn Wercyngetoryksa, a także Lukteriusz, wódz Kadurków - wszyscy są zdecydowani walczyć. Nawet Eduowie dali się wciągnąć do tej wojny. Jedynie Remowie i Lingonowie oraz plemiona z Galii Narbońskiej - ci pozostali wierni.

A pozostali zapomnieli, co mi są winni, myśli z goryczą.

Cezar dotarł do szczytu wzgórza południowego. Widzi stąd całą Alezję. Kiedy wiatr wieje od północy, słyszy nawet ryk bydła zamkniętego w twierdzy, wysokie głosy kobiet i ochryple śpiewy żołnierzy.

Ta twierdza, jak mówią jeńcy, stanowi miejsce kultu, jest świętym miastem poświęconym bogom galijskim: Alizanosowi, Ukuetisowi, Berguzji, Moristiagusowi...

Nieważne! Ci barbarzyńscy bogowie są bezsilni wobec bóstw opiekujących się Rzymem. Zamieszkujące zaś Alezję plemię Mandubiów powinno być wdzięczne, ponieważ było pod opieką i w sojuszu z Gajuszem Juliuszem Cezarem.

To ja dałem im wolność!

Odwraca się w stronę Emiliusza, potem patrzy długo w kierunku Alezji.

- Ale sam widzisz, Emiliuszu, że poczucie wdzięczności ani przyjaźń nie liczy się już wcale u Galów. Tak wielka jest ich wola odzyskania niepodległości i dawnej sławy wojennej.

- Robi kilka kroków, zatrzymuje się na skraju pochyłości, która opada ku rzece płynącej od południa, Oserain. - Wszyscy poświęcają w tej wojnie całe swe siły i wszelkie swoje zasoby!

Wzywa do siebie trybunów i legatów.

- Są od nas liczniejsi. I mogą ich tu nadejść z całej Galii setki tysięcy! My mamy tylko pięćdziesiąt tysięcy piechoty i siedem tysięcy jazdy, ale jesteśmy Rzymianami, a waszym wodzem jest Gajusz Juliusz Cezar! Zdusimy ich i zabijemy! Najpierw pokonają ich głód i strach. Będziemy ich spychać z powrotem do nory, za każdym razem, gdy zechcą się wydostać. Będą osaczeni jak zwierzęta i nie pozwolimy, aby jakakolwiek horda przyszła im z odsieczą.

Wyciąga znów swój miecz.

- Chcę, aby przed obiema liniami obrony, tą, która zwrócona jest ku Alezji, i tą drugą, zwróconą na zewnątrz...

Urywa, ostrzem miecza żłobi dziurę w ziemi.

- ...wykopano rowy, urządzono pułapki na ludzi, w których będą się oni nadziewali na pale, które będą ich chwytaly i rozszarpywały jak gigantyczne ciernie, rozcinające nogi i ręce, przebijające i okaleczające stopy. Chcę, by tych pułapek było bardzo wiele, w pięciu rzędach, tak żeby nikt nie mógł przez nie przejść i żeby nie można było przykryć ich faszyną, plecionką czy zwłokami własnych żołnierzy. A gdyby Galom udało się jakimś cudem przejść przez tę linię, to muszą stanąć przed palisadą, stanowiącą prawdziwy mur zwieńczony wieżami, najeżony ostrzami, skąd będą w nich ciskane włócznie, procarze będą strzelać kamieniami, będą na nich spadać głazy miotane przez nasze balisty...

Spogląda po twarzach ludzi cisnących się wokół niego. U niektórych wyczuwa zdziwienie, a nawet niesmak. Nie lubią walczyć w taki sposób. Uważają, że nieszlachetnie jest korzystać z takich pułapek.

- Trzeba zabijać wroga, to dzikie bestie!

Chce więc, by pułapki na ludzi rozmieszczone były wszędzie, tu będą wilcze doły, na których dnie umocowane będą ostre oszczepy, tam *tribuni* - rodzaj żelaznych cierni, które



rozdzierają skórę, wykluwają oczy, żłobią w ciele krwawe bruzdy, tam znów *cippi* („nagrobki”) - ostrza tuż nad ziemią, a tam znów *stimuli*, „bodźce” i „lilie” - podniesione ostrza.

- Chcę, by to wszystko - powtarza - zostało w wielu szeregach rozmieszczone w pięciokąt. Tak, żeby nikt nie mógł przejść! Niech żołnierze wytną pale i utwardzą w ogniu ich końce i niech się zaraz zabierają do pracy. Jazda! Jazda!

Nie potrafi wypoczywać. Ledwie się położy, a już wstaje, idzie na skraj wzgórza i patrzy na tę naturalną arenę walki.

Widzi galijskich jeźdźców wyjeżdżających przez zachodnią bramę Alezji i pędzących z podniesionymi mieczami w kierunku wielkiej równiny. Ten obłok kurzu, jaki się wzbił, to jadąca im na spotkanie kawaleria rzymska, słychać hałasy, krzyki, odgłosy walki.

Przygląda się, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami.

Wercyngetoryks chce w ten sposób przeszkodzić w dokończeniu robót. Trzeba natychmiast odepchnąć ich jazdę: niech ruszają Germanowie, gdyż Rzymianie słabną!

Pod kopytami koni Germanów ziemia się trzęsie. Wystarczy jedna ich szarża i Galowie zostają zmuszeni do odwrotu. Ale konnica pędzi za nimi jak lawina. Galowie usiłują schronić się za murami miasta, lecz Wercyngetoryks każe zamknąć bramy, by jego wojownicy nie wychodzili i nie zostali zmasakrowani.

Nad równiną usłaną martwymi ciałami czuć odór krwi. Cezar nie opuszcza punktu obserwacyjnego, dopóki mrok nie zapadnie. Teraz jest pewien, że wszystkie starcia skończą się w taki sposób.

Należy bezustannie prowadzić roboty oblężnicze, nie wolno zostawić Galom jakiegokolwiek możliwości ucieczki.

Sądzi z początku, że zdrzemnął się tylko na parę chwil, i budzi się z nerwowym podskokiem. Musiał jednak przespać kilka godzin, ponieważ jest znowu biały dzień i znajduje się tu Emiliusz w towarzystwie trybunów wojskowych. Otaczają grupkę Galów zboczonych krwią. Mają związane ręce i nogi. Inni Galowie mogą się swobodnie poruszać, ich oczy błyszczą. Gestykulując, mówią, że chcą służyć Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi, że bogowie Galii opuścili Wercyngetoryksa, że popycha on naród Galów na skraj przepaści, tak jak dawniej pędziło się konie, i że oni się na to nie zgadzają, chcą wrócić na drogę sojuszu z Rzymem.

Wysłuchuje ich.

Klękają, wyciągają ręce w geście poddania. Cezar patrzy na jeńców, którzy, jak

świadczą krwawe plamy, walczyli przeciwko rzymskim legionom.

Ci mają zginąć! Resztę ułaskawić i dobrze traktować.

- Mówcie - rozkazuje.

Wyjawiają, że Wercyngetoryks wysłał całą swoją jazdę z Alezji, chcąc, jak tłumaczył, uratować ich, zanim Rzymianie zamkną pierścień wokół miasta. Mają oni jeździć po wszystkich plemionach Galii i zabiegać o to, by na odsiecz jak najszybciej ruszyła ogromna armia licząca milion ludzi! Zapasy żywności, jakimi dysponuje Wercyngetoryks, nie starczą bowiem dłużej niż na miesiąc i musi on wydzielać skąpe racje zboża.

- Oni nadejdą - mruczy Cezar. - Nie będzie ich może milion, ale będą setki tysięcy. I nadzieją się na nasze oszczepy, miecze, pułapki.

Żegna zbiegów. Potrzebni mu są ci ludzie, ponieważ musi wiedzieć, dzień po dniu, co robi Arwern.

Aby zwyciężyć, trzeba na wskroś przejrzeć duszę wroga. Wercyngetoryks to człowiek dumny, marzący o wolności i sławie dla swego ludu, pragnie on zjednoczyć pod swym berłem Galię, uczynić z niej kraj, który mógłby rywalizować z Rzymem.

Lecz na ziemi nie ma miejsca na dwa królestwa, Jowisz króluje na Olimpie niepodzielnie! Gajusz Juliusz Cezar musi być jeden.

Aby tak było, trzeba złamać Wercyngetoryksa. Będzie to zarazem sposób, aby przepędzić Pompejusza z Rzymu...

- Obrońców gnębi głód - opowiada Gal stojący przed Cezarem. - Czekają na nadejście armii swoich ziomków. Cały czas jej wypatrują. Mają nadzieję, ale głód doskwiera im coraz mocniej. Zebrali się na radę. Jedni mówili, że trzeba się poddać...

Cezar trwa nieporuszony, gdy Gal sprawdza, jakie wrażenie wywarły jego słowa, potem relacjonuje dalej:

- ...inni mówili, że trzeba spróbować wydostać się z miasta, dopóki jeszcze żołnierze mają dość siły.

Gal pochyła się i zniża głos.

- Krytognatus - szepcze, jakby obawiał się głośno wymieniać imię tego Arwerna, wywodzącego się z jednego z najlepszych rodów swego ludu - otóż Krytognatus powiedział, że to ze strachu przed armią, która nadejdzie z całej Galii, kazałeś, Gajuszu Juliuszu Cezarze, pracować bez wytchnienia przy budowie umocnień. Krytognatus odrzucił myśl poddania się albo wyjścia z miasta: „Nie ściągajcie przez waszą głupotę, zuchwałość czy bojaźliwość zguby na całą Galię, nie skazujcie jej na wieczne niewolnictwo...”

Cezar wstaje. Ta dzika samowola Galów, to ich poczucie przynależności do jednego narodu za każdym razem zaskakują go i irytują. Wercyngetoryksa czekają najpierw długie męczarnie, a potem będzie musiał zapłacić życiem za to, że rozbudził czy nawet zrodził w umysłach Galów pragnienie wspólnej ojczyzny.

Słucha dalej zbiega z obozu galijskiego.

- Krytognatus podał przykład Galów, którzy pokonali Cymbrów i Teutonów. Powiedział: „Zmuszeni zamknąć się w twierdzach i cierpiąc podobny głód, żywili się ciałami tych, którym wiek nie pozwalał już walczyć, ale nie poddali się wrogowi”. Oto, co zaproponował!

Cezar zamyka oczy. To dzikusy! Gotowi się nawzajem pozjadać, niestraszne im świętokradztwo! Gal ciągnie:

- Krytognatus dodał: „Rzymian zżera chęć...”

- Zamilknij! - woła Cezar.

Może sobie wyobrazić, co takiego powiedział Krytognatus, że zbiegowi zaczął drzeć głos. Wódz Arwernów, jak wszyscy inni przywódcy Galów, mówił pewnie o niepodległości Galii i o tym, że Rzymianie chcą zrobić niewolników ze wszystkich ludów, których odwagi, cnoty i wielkości się obawiają. Powiedział pewnie, że Galia Narbońska, wczoraj jeszcze niepodległa, dziś jęczy pod rzymskim jarzmem, skazana na wieczne poddaństwo.

Cezar odsyła Gala. Chce zostać sam.

A więc zbocza wzgórz, brzegi rzek i sama Alezja muszą zostać usłane tysiącami galijskich trupów, aby ci ludzie zrozumieli i wreszcie pogodzili się z tym, że Rzym oraz Gajusz Juliusz Cezar zostali wybrani, by stać się ich panami.

Słyszy jakieś krzyki, błagania, szlochy. Wychodzi przed namiot.

Spostrzega tłum kobiet i dzieci, a także mężczyzn bez broni wypędzonych przez Galów z Alezji. Należą do Mandubiów, plemienia z tych stron, schronili się przed wojną w obrębie murów, ale Wercyngetoryks uznał ich widocznie za bezużytecznych i nie chcąc ich dłużej karmić, wygnał w stronę Rzymian.

Podchodzi Emiliusz.

- Widzisz ich, Cezarze? Załamują ręce, błagają, aby przyjąć ich na niewolników. Płaczą. Pokazują swoje dzieci i kobiety, których piersi są płaskie, pozbawione mleka. Proszą o coś do jedzenia. Gotowi są nam służyć. Chcą być naszymi niewolnikami.

Nie należy odpowiadać. Ci mężczyźni, kobiety i dzieci zostali skazani przez samych bogów, którzy ich umieścili pomiędzy dwiema walczącymi armiami.

- Ty wyzwoliłeś ich lud, Cezarze - kontynuuje Emiliusz - obiecałeś im ochronę,

przymierze z Rzymem! Dlatego Wercyngetoryks im nie dowierza i ich przepędził.

- Wercyngetoryks musi umrzeć - mruczy Cezar.

- A co z tymi ludźmi, czy ich wysłuchasz? - woła Emiliusz. Cezar wraca do namiotu.

Nie słyszy już krzyków i płaczów.

Odgaduje, że Emiliusz przyszedł za nim. Odwraca się.

- Ani ziarenka zboża dla nich - mówi. - Odepchnąć ich siłą, gdyby się zbliżyli. Ciała umierających z głodu nie gniją. Ich zwłoki wyschną i mieszają się z ziemią.

Kładzie się.

- Chciałbyś, żebyśmy mieli duszę słabszą niż Wercyngetoryks? Skoro on będzie musiał umrzeć, to i oni tak samo.

Wyciąga rękę do Emiliusza.

- Chodź tu. Ty wciąż jesteś taki delikatny jak młoda dziewczyna.

## **Rozdział 38**

Świszczą strzały. W Alezji rozlegają się dźwięki trąb. Wercyngetoryks wyprowadza swe  
wojska z miasta...

Cezar podchodzi wolnym krokiem ku skrajowi południowego wzgórza. Centurionowie się rozstępują, nawet trybunowie patrzą na niego z trwożnym wyczekiwaniem. Podchodzi Labienus.

- Są tam - mówi, pokazując ręką.

Na równinie pełno jest jeźdźców. Na jednym ze wzgórz, od zachodu, o niecałe tysiąc kroków dalej, stanął duży oddział wojowników galijskich, musi ich być blisko trzy tysiące. Zapłonęły obozowe ogniska. Oto więc nadeszła z odsieczą armia złożona z wszystkich plemion galijskich. Z wałów Alezji rozlega się ryk radości.

W twarzach centurionów Cezar wyczytuje strach, może nawet przerażenie.

Nie wolno dopuścić do tego, by duch w nich całkiem podupadł. Trzeba rzucić na równinę jazdę i zaatakować Galów.

Cezar postępuje jeszcze dalej do przodu. Także on zafascynowany jest tą ruchomą i bezmierną jak ocean ludzką masą. Może się nawet wydawać, że przeleje się ona przez rzymskie umocnienia, lecz w rzeczywistości nie uda jej się ich przekroczyć, tego jest pewien. Nachyla się do Labienusa. Niech zaraz szarżuje jazda. Jego słowa przeistaczają się w żołnierzy ścierających się tam w dole, na równinie, podczas gdy ze wszystkich stron, ze

wzgórz i z murów Alezji ludzie krzyczą, zagrzewając swoich.

Konnicy galijskiej towarzyszy lekka piechota i łucznicy. Wielu jeźdźców rzymskich zostaje rannych, zanim *zdążą* dotrzeć do Galów!

Walka rozpoczęła się w południe i choć słońce zdążyło się już zniżyć, wciąż pozostaje nierozstrzygnięta. Teraz należy rzucić do boju czarną masę jazdy germańskiej.

Germanowie wbijają się jak gigantyczny miecz w ciało galijskiej armii, jeźdźcy uciekają, a porzuceni piechurzy i łucznicy zostają zmasakrowani.

Cezar schodzi ze swego posterunku obserwacyjnego. Nie ma już potrzeby śledzić dalej sytuacji: Galowie, którzy wyszli z miasta, próbując pomóc swoim ziomkom, uciekają teraz, ścigani aż do bram Alezji.

Cezar wraca do namiotu.

Ta pierwsza bitwa odcisnie piętno na wszystkich następnych. Trzeba było ją wygrać! Bogowie zechcieli tak zrządzić.

Dzień już się kończy. Na zachodnim wzgórzu hordy Galów falują, ale nic się nie dzieje. Będą więc atakować dziś w nocy.

Cezar czeka, chodząc wzdłuż skraju wzgórza. Zapada jasna noc, księżyc białym całunem powleka każdy szczegół krajobrazu, gdy nagle na równinie rozlegają się krzyki. Galowie rzucają plecionki na pułapki, obrzucają kohorty kamieniami miotanymi z proc. Świszczą strzały. W Alezji rozlegają się dźwięki trąb. Wercyngetoryks wyprowadza swe wojska z miasta.

Trzeba stawić opór! Cezar nie odczuwa niepokoju. Galowie będą się nadziewali na pale, ich ciała będą kaleczone i rozdierane przez metalowe kolce, ostre belki, „lilie”, „nagrobki”. Nie zdołają pokonać tych przeszkód i nawet po trupach własnych żołnierzy nie uda im się przejść zapór i dotrzeć do palisady, zza której będą na nich leciały strzały, włócznie i kamienie z balist.

I rzeczywiście. Noc jeszcze się nie skończyła, a oni już się cofają. Nie słychać już wściekłych i buńczucznych okrzyków żołnierzy idących do natarcia, tylko jęki umierających i mordowanych.

To druga wygrana bitwa.

Cezar wycofuje się do namiotu. Należy się spodziewać ostatniego zrywu, Galowie rzucają się jak zraniony dzik, który zanim umrze, może w ostatnim spazmie wściekłości i siły zranić myśliwego.

Wzywa Labienusa.

- Wybiorą najlepszych wojowników - mówi. - Podczas tych dwóch bitew dowiedzieli się, jak walczymy. Wybiorą miejsce, w którym jesteśmy najsłabsi. Może wzgórze północne? A może to południowe, na którym jesteśmy? Wercyngetoryks wyjdzie z Alezji.

Urywa i wpatruje się w Labienusa.

- To musi być ich ostatnia walka.

Nagle słychać ryk. Chmary Galów z armii przybyłej na odsiecz rzucają się do natarcia na wzgórze północnowschodnie. I jak echo tamtego rozlega się ryk Galów z Alezji: wychodzą z miasta, niosąc ze sobą żerdzie, maty, kosy, wszystko, co może pomóc w pokonaniu pułapek. Cezar owija się swoim czerwonym płaszczem dowódcy. Wyciąga z pochwy miecz. To będzie ostatnia bitwa, musi objechać stanowiska, przemówić do żołnierzy, osobiście poprowadzić legiony do ataku.

Chce i musi brać udział w walce.

Widzi Galów prowadzonych przez Werkazywelaunusa, którzy kierują się w stronę wzgórza północnowschodniego i przystępują do natarcia, a także wspinające się na zbocze wzgórza południowego oddziały Wercyngetoryksa. Słychać szczęk broni, wrzaski Galów, krzyki rannych. Jedzie w stronę kohort, które wprowadzi do walki Labienus, tam gdzie zagrożenie ze strony Galów jest największe.

Przemawia, stojąc na skale, przekrzykując odgłosy walki.

- Dziś musimy zwyciężyć! - woła. - Inaczej zmarnowane zostaną wszystkie nasze dotychczasowe zwycięstwa. - Podnosi miecz. - Do was należeć będzie chwała i łupy! Każdy żołnierz dostanie jednego Gala na niewolnika.

Zeskakuje ze skały. Widzi żołnierzy Wercyngetoryksa: wspinają się po zboczu wzgórza, zasypują rowy ziemią i zakrywają je plecionkami, wyrąbują kosami wyłomy w palisadach, otaczają wieże, których obrońcy ustępują pod gradem strzał i oszczepów.

To chwila, aby na czele trzydziestu dziewięciu kohort Labienusa samemu ruszyć do boju. Zarówno legioniści, jak i Galowie muszą widzieć jego czerwony płaszcz w pierwszym szeregu, dzięki temu będą wiedzieli, że to decydująca bitwa. Wydaje rozkaz, by jazda germańska szarżowała na tyły Galów.

To ich koniec, nie pomoże cała ich zawziętość. Cezar czuje, że niebawem złamią się niczym dąb rażony piorunem, niektórzy już zaczynają uciekać. Widzi, jak centurioni biorą do niewoli jednego z wodzów, to Werkazywelaunus. Nie poległ w boju, zostanie więc uduszony.

Cezar patrzy na piętrzące się u jego stóp insygnia plemion i oddziałów galijskich: jest

ich w sumie siedemdziesiąt cztery. Kiedy podnosi wzrok, widzi wszędzie na zboczach oddziały rzymskie, a na równinie jazda ściga uciekinierów, dobija ich albo dołącza do grup jeńców pędzonych jak stada.

Wraca do swego namiotu. W powietrzu unosi się słodka wy zapach krwi. Nie czuje radości, ale ma poczucie, że wypełnił swe przeznaczenie. Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby nie determinacja, inteligencja, ale i zwykłe zaślepienie Wercyngetoryksa. Jak ten Arwern mógł pomyśleć, że uda mu się przepędzić z Galii Gajusza Juliusza Cezara i jego legiony?

Podczas gdy on zmuszony był toczyć tu wojnę, w Rzymie Pompejusz ugruntował swoją władzę. Teraz trzeba będzie pomyśleć o Pompejuszu.

Cezar jest wściekły. Nie ma końca z tą Galią! Posłańcy informują, że niedobitki Galów z armii przybyłej na odsiecz wracają teraz do swych plemion i mają zamiar wzniecić powstanie. Co oni sobie myślą? Niech wojska ścigają ich i zabijają! Ten kraj będzie można ostatecznie pokonać, jedynie wykorzystując podziały wewnętrzne i opierając się na niektórych plemionach... Rozkazuje, by oddzielono od reszty jeńców z plemion Eduów i Arwernów i odesłano ich do domu. Ludzi tych trzeba dobrze traktować, może nawet zaciągnąć ich jako wojska pomocnicze do armii rzymskiej. Pozostałych jeńców rozdzielić pomiędzy żołnierzy, tak jak obiecał: po jednym dla każdego legionisty!

A teraz trzeba przyjąć wysłanników przybywających z oblężonej Alezji.

Wojownicy przebywający w mieście chcą się poddać - oświadczają emisariusze. Wercyngetoryks złożył swój los w ich ręce. Mogą go zabić albo wydać Cesarowi. Teraz więc Gajusz Juliusz Cezar może zadecydować.

- Niech pokonany wódz przybędzie się ukorzyć! I niech wydadzą mężczyzn i broń.

Wydaje rozkazy, aby na umocnieniach przed obozem wybudowano osobne podium, na które wchodzi się po stopniach. Będzie siedział tam na szczycie, jak w sanktuarium. Czyż on, Gajusz Juliusz Cezar, nie jest najwyższym kapłanem Rzymu? Owija się swoim purpurowym płaszczem. Widzi orły legionów i znaki kohort, a dalej mury Alezji, wzgórza, usłaną trupami równinę, nad którą szybują kruki. Na zboczach wzgórz jak na stopniach amfiteatru stłoczyło się pięćdziesiąt tysięcy legionistów, oblepione są nimi także wieże i palisady.

Lecz oto otwierają się bramy Alezji i na koniu wyjeżdża samotny Wercyngetoryks. Wydaje się ogromny, jego ciało okrywa złota zbroja, bransolety i naszyjniki nadają jego postaci wygląd zdobywcy i odświętny. Jedzie stępa, jego broń i ozdoby połyskują w słońcu.

Nagle przechodzi w kłus, zataczając koło wokół podium. Cezar miałby chęć wodzić za nim wzrokiem, nie wolno mu się jednak poruszyć, trzeba zignorować barbarzyńcę. Jest przecież rzymskim bogiem, a Wercyngetoryks popełnił świętokradztwo, które zmazać może tylko jego upokorzenie i śmierć.

Wódz Galów zatrzymuje się wreszcie. Rzuca broń, zeskakuje z konia, wchodzi po stopniach, klęka i wyciąga ręce w geście poddania.

Cezar mu się przypatruje. Czy ten Gal sądzi, że wystarczy się poddać, aby świętokradztwo zostało puszczone w niepamięć? A może sobie wyobraża, że to chwalebne poddać się po dzielnym stawaniu w boju!

Cezar czuje się sprowokowany, ten klęczący człowiek o dumnej postawie nie spuszcza oczu, jakby rzucał mu wyzwanie.

- Zdradziłeś Gajusza Juliusza Cezara, który gościł cię u siebie...

Wercyngetoryks nie robi żadnego ruchu i Cezar ledwie się powstrzymuje, by nie kazać od razu na miejscu zabić tego człowieka, żeby jego krwią zmyć całą zuchwałość Galów.

Jednak nie! Należy pozostawić go przy życiu aż do dnia, gdy w Rzymie będzie obchodzony jego triumf i pokonany, poniżony Wercyngetoryks zostanie wystawiony w kajdanach na pokaz ludowi jako wódz, niedoszły król Galii.

Dopiero potem się go zabije.

Cezar odwraca głowę. Niech centurionowie zabiorą Gala do aresztu.

## ***Rozdział 39***

Wercyngetoryks to już tylko udręczone ciało leżące w klatce, wiezione na wozie w ślad za legionami...

Cezar rozgląda się dokoła, lecz domy Bibrakte, nawet te najbliższe, toną we mgle, która jak szare, zimne morze zakrywa cały pejzaż, zasnuwa rzeki i zbocza wzgórz, wystają z niej jedynie pojedyncze szczyty tworzące oddzielne wyspy. Na równinie rozlegają się stłumione hałasy: głosy żołnierzy, stukot młotów kowali, którzy w obozie legionów kują miecze. Czasami słychać także śpiewy, które zdają się prześlizgiwać po zboczach Mont Beuvray, docierając aż tu, do tego miasta Eduów, którego ulice teraz przemierza.

Wie, że nie może sobie pozwolić na spokojny odpoczynek. Właśnie teraz należy wykazać czujność, mimo dopiero co odniesionego zwycięstwa i mimo tego, że skępowany i skurczony Wercyngetoryks przebywa w klatce ustawionej pośrodku obozu, rzuca mu się



jedzenie jak dzikiemu zwierzęciu, które za jakiś czas będzie wypchnięte na arenę. Ale tak to już jest, że blisko szczytu groźba upadku jest największa. I na nic cała przebyta dotychczas droga, jeśli upadek nastąpi na kilka kroków przed celem.

Nie ma więc mowy o wypoczynku. Pisze. Chce dokończyć siódmą księgę *Wojny galijskiej*, w której relacjonuje wojnę z Galami, tę wojnę, która powinna stać się dla niego ostatnim szczeblem do władzy w Rzymie.

Chce, aby urzędnicy i plebs, w Galii Przedalpejskiej i w Italii, w każdym municypium i w Rzymie, dzięki tej książce poznali jego czyny. Kto będzie mógł wtedy dorównać mu sławą? Pompejusz? Jego zwycięstwa są już niemal zapomniane. I nawet senat zmuszony był ogłosić dwadzieścia dni modłów dla uczczenia zwycięstwa pod Alezją i schwytania Wercyngetoryksa.

Nie wolno jednak poddawać się upojeniu. Ostatnie kroki, jakie zostały do przejścia, są najtrudniejsze i najbardziej ryzykowne. Czuje znużenie żołnierzy, mimo że zostali oni wszyscy jego klientami i każdy z nich odsprzedał przypadającego mu jako niewolnika galijskiego jeńca. Kolumny niewolników ruszyły więc w kierunku wybrzeży Morza Śródziemnego. Ale także żołnierze, Emiliusz, Mamurra, trybunowie i legaci, wszyscy chcieliby pomaszerować na południe, przynajmniej aż do Galii Przedalpejskiej, do spokojnych miast pełnych tawern i lupanarów. Zamiast tego musieli jednak forsownymi marszami pójść do zatopionego w mgłach kraju Eduów, zbudować obóz u stóp Mont Beuvray i zadowolić się wałęsaniem po ciemnych i wilgotnych uliczkach Bibrakte.

Cezar natyka się tu na swoich żołnierzy. Za kilka dni trzeba będzie znów ruszyć w drogę, po trwającym nieco ponad dwa miesiące wypoczynku, który spędził, pisząc i przyjmując hołdy Eduów i Arwernów, ogłoszonych przez niego sojusznikami Rzymu. Eduowie stali się obok Remów i Lingonów jednym z państw sfederowanych, a Arwernowie zostali państwem wolnym. Przyjął od nich zakładników mających gwarantować sojusz, odebrał przysięgi wodzów, jak ów Arwern Epatnakt, który obiecał Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi wydać wszystkich, którzy będą buntować się przeciwko Rzymowi.

Cezar słucha. Wprawdzie wielkiego powstania Galów już nie będzie, ale tu i ówdzie płoną jeszcze ogniska buntu. Musi w środku zimy opuścić Bibrakte i pomaszerować na zachód, do centralnej Galii, do regionu zamieszkanego przez plemiona Biturygów i Karnutów. Tam kiedyś w Cenabum zabito pierwszych obywateli rzymskich, a teraz podobno jeden z przywódców tamtych zajęć, Gutuar z plemienia Karnutów, chwycił ponownie za broń.

Trzeba rozsypać i zdeptać te rozżarzone węgle, zanim wiatr szaleństwa i galijskiej pychy poroznosi je na wszystkie strony Galii.

Cezar przemawia do żołnierzy. Każdy z nich otrzyma dwieście sesterców, a centurionowie tysiąc. Legaci i trybunowie dostaną o jeden udział więcej w rocznej kontrybucji wysokości czterdziestu milionów sesterców, którą musi wypłacać Galia. W ten sposób można przywiązać tych ludzi do siebie, a bez wiernych i silnych legionów niczego się nie działo.

Odbiera listy od Balbusa przebywającego w Rzymie. Wrogo nastawieni senatorowie nie tylko nie złożyli broni, lecz Katon chodzi wszędzie i głosi, że gdy tylko Cezar opuści armię, trzeba będzie postawić go w stan oskarżenia za nielegalne działania podczas pełnienia przez Cezara urzędów konsula i prokonsula.

Na szczęście plebs jest innego zdania. Nigdy żaden imperator nie był tak bardzo podziwiany. Lud czeka na oficjalny triumf. Mile jest polectany tym, że owoce swego zwycięstwa, łupy zagrabione w miastach i zrabowane w świątyniach, Cezar przeznaczył na rozpoczęcie i doprowadzenie do końca budowy na Forum dwóch gigantycznych bazylik, Emilia i Julia, położonych naprzeciwko siebie. Plebs czeka na uroczystości z okazji jego powrotu, wiadomo powszechnie, że kazał rozdawać zboże za darmo, że jest tak bajecznie bogaty jak kiedyś Krassus; wierzyciele i finansisci pożyczają mu pieniądze na pokrycie jego wszystkich długów.

Jesteś oczekiwany w Rzymie, Gajuszu Juliuszu Cezarze, plebs chce cię uwieńczyć!” - kończy list Balbus.

Cezar drży. Maszeruje na czele legionów, które ponownie wyruszyły w drogę. Pada ulewny deszcz, a wiatr go unosi jakby po to, by mógł tym ostrzej siec po twarzach. Jednak w ostatnich tygodniach grudnia roku 52 i w styczniu 51 roku - w roku jego pięćdziesiątych urodzin - to nie zimno wywołuje u niego dreszcze. Cezar myśli o przyszłości, która stopniowo odsłania się i przybliża. Oto bogowie Fortuna, Wenus Zwycięska i Jowisz doprowadzili go aż do tego miejsca. Jest zwycięzcą. Jest bogaty, jest imperatorem. Wercyngetoryks to już tylko udręczone ciało leżące w klatce, wiezione na wozie w ślad za legionami. To Rzym jest jedynym celem godnym jego chwały. I właśnie to go trapi.

Przyspiesza kroku. Nie dba o to, że jego purpurowy płaszcz łopocze wokół ciała, wystawionego na deszcz i wiatr.

Trzeba skończyć wreszcie z tym galijskim powstaniem, kierowanym przez wodzów dawniej sprzymierzonych z Wercyngetoryksem, którzy teraz kontynuują jego walkę, jak Lukteriusz, wódz Kadurków; Drappes, wódz Senonów; Dumnakus, wódz Andów; Gutuar, wódz Karnutów; Sur z plemienia Eduów; Kommiusz, wódz Atrebatów; Korreusz, wódz

Bellowaków; Ambioryks, wódz Eburonów\*[\* Lukteriusz, wódz Kadurków: region Lot; Drappes, wódz Senonów: region Sens; Dumnakus, wódz Andów: region Angers; Gutuar, wódz Karnutów: region Orleanu; Sur, wódz Eduów: region Bibrakte i Nevers; Kommiusz, wódz Atrebatów: region Arras; Korreusz, wódz Bellowaków: region Beauvais; Ambioryks, wódz Eburonów: region Mozy i Renu, Liege (przyp. aut.).].

Zna wielu z tych ludzi - to uparci barbarzyńcy, tacy jak Ambioryks, którzy zdołali wymknąć się ze wszystkich obław. Nie wolno im jednak dawać wytchnienia. Trzeba pomaszerować na Cenabum, na kilka tygodni zainstalować się w ruinach miasta, grabić i rabować wsie Karnutów, zabijając, a na koniec zażądać, aby cała ludność szukała, schwytała i wydała Gutuara.

Oto i on, związany i złożony przed Cezarem jak zwierzę. Lecz spojrzenie Gala pozostaje wciąż żywe. Gutuar należy do tych, którzy od samego początku kierowali powstaniem.

Nie będzie dla niego żadnej litości! Trzeba go przykładowo ukarać.

Przywiązują go. I każdy żołnierz, który ucierpiał z winy tego barbarzyńcy, może siekać go różgami, mieć swój udział w zemście, swoją część krwi Gutuara.

Cezar siedzi. Zgromadzona jest cała armia. Legioniści po kolei podchodzą, chwytają różgi, uderzają. Tryska krew i ciało Gutuara staje się niebawem jedną wielką raną, bezwładną kupą mięsa. Na koniec odrąbują mu toporem głowę.

Teraz maszerują na północ i na wschód, ścigając Atrebatę Kommiusza, Bellowaka Korreusza i Eburona - Ambioryksa.

Cezar czuje, jak żołnierzy ogarnia wściekłość. Chcieliby wreszcie skończyć z tą wojną, która ciągnie się w nieskończoność, mają dosyć plemion, które wciąż nie przestają się buntować. Pałą więc, grabią i mordują. Korreusz zostaje zabity, Kommiuszowi udaje się wraz z kilkoma ludźmi uciec do Brytanii, Ambioryks stawia jeszcze opór. Niech ani skrawek jego kraju nie zostanie oszczędzony, zniszczone ma być wszystko: drzewa, uprawy i domy, ludzie zaś wszyscy bez żadnej różnicy - mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy - pozabijani. Żadnej litości! Jednak Ambioryks, podobnie jak Kommiusz, zdołał zbiec, musiał schronić się na wygnaniu.

Cezar przejeżdża stępą te wioski obrócone w perzynę; czasami końskie kopyta zapadają się w krwawą miazgę, w jaką zamieniło się czyjeś ciało. Nie można zwlekać, teraz w upale, który pali skórę, trzeba maszerować z północy na południe. Lato roku 51 jest suche, Lukteriusz, wódz Kadurków, schronił się między rzekami a górami południowego zachodu i chciałby wraz z Drappesem z plemienia Senonów wdrzeć się do Galii Narbońskiej, aby

grabić i niszczyć w krótkich konnych wypadach.

Ścigają ich, zamykają w bezlitosnym okrążeniu w twierdzy Uksellodunum\*[\* Capdenac, w okolicach Dordogne.] i odcinają im wodę, odwracając bieg rzek i źródeł. Cezar czuje, że ożywia go jeszcze bardziej niespożyta energia niż podczas oblężenia Gergowii czy Alezji. Objężdża fortyfikacje wokół góry, na której szczycie znajduje się wciąż stawiające opór Uksellodunum.

Trzeba kopać dziury w ziemi, dotrzeć aż do źródeł i zaczekać, aż strach i pragnienie zmuszą Galów do błagania o łaskę, do uznania, że Gajusz Juliusz Cezar jest w przymierzu z bogami.

W końcu Galowie się poddają.

Defilują przed nim rozczochrani jeńcy. Zastanawia się, co z nimi zrobić. Mógłby okazać im łaskawość, jak wobec Eduów i Arwernów, ale czy ktoś ma jeszcze wątpliwości, że Cezar potrafi być łaskawy? Pokazywał przecież nieraz, że potrafi wybaczać, nie musi więc koniecznie robić tego znowu. Teraz, przeciwnie, chodzi o to, by zdławić rebelię. Musi więc zastraszyć inne plemiona, dając przerażający przykład.

Wydaje rozkaz, aby zgrupować wszystkich jeńców. Żołnierze zbierają to milczące stado Galów patrzących błędnym wzrokiem.

Przyzywa centurionów: niech ustawią katowskie pieńki i odetną ręce wszystkim, którzy nosili broń, ale niech pozostawią ich przy życiu, aby mogli pokazywać wszędzie swoje kikuty i opowiadać, jak Gajusz Juliusz Cezar karze buntowników!

Słyszy pierwsze głuche uderzenia toporów i mieczy roztrzaskujących kości, pierwsze krzyki.

Oddala się.

Dowiaduje się, że Drappes, wódz Senonów, towarzyszy Lukteriusza, wzięty do niewoli zagłodził się na śmierć, obawiając się z pewnością męczarni, jakie mu obiecano.

Lukteriuszowi udało się zbiec. Tropią go, licząc na sojuszników, którzy powinni dać dowody swej lojalności. Gal zmienia jednak co noc miejsce schronienia. Czy zdoła uciec, jak Ambioryks i Kommiusz? Jakkolwiek potoczą się jego losy, powstanie galijskie zostało już stłumione. Choć gdyby udało się go ukarać, to trwoga, którą Cezar tak często obserwuje w oczach Galów, jeszcze bardziej by się powiększyła.

Pewnego dnia widzi ze zdziwieniem zbliżającego się wodza Arwernów Epatnakta w otoczeniu gromadki jeźdźców. Między nimi znajduje się zakuty w kajdany jeniec przywiązany do koni. To Lukteriusz.

- Jestem przyjacielem narodu rzymskiego - mówi Epatnakt, popychając w stronę

Cezara jeńca, którego centurionowie zamaszystymi uderzeniami włóczni po nogach zmuszają do ukłęknięcia.

Wsadzić go do klatki z Wercyngetoryksem i zachować przy życiu aż do dnia triumfu.

Cezar objeżdża Galię od krańca do krańca, od Galii Narbońskiej do kraju Belgów i Atrebatów, potem odwiedza municypia i kolonie w Galii Przedalpejskiej. I za każdym razem, gdy wjeżdża do miast, gdy jedzie po brukowanych kamiennymi płytami ulicach, czuje się jak u siebie. Marzy mu się, by ta Galia Zaalpejska, w której spędził tyle lat i którą w końcu ujarzmił, stała się kiedyś podobna do Galii Przedalpejskiej albo Galii Narbońskiej.

Witają go owacje. Przyjmowany jest przez urzędników z szacunkiem, wyczytuje na ich twarzach jednocześnie podziw i obawę. Trzeba umieć wzbudzać w ludziach oba te uczucia, chcąc nimi rządzić.

Przejeżdża pod łukami triumfalnymi. Bramy miast są udekorowane. Teraz, gdy Galia Zaalpejska została podbita, a Galia Przedalpejska i Narbońska pełne są dla niego podziwu, co jeszcze mogłoby przeszkodzić jemu, Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi, w sięgnięciu po najwyższą władzę? Dysponuje przecież nie tylko poparciem ludności, ale także siłą legionów. Rozmyśla o jeździe galijskiej, Arwernach i Eduach, których zaciągnął jako oddziały pomocnicze i których odwagę oraz waleczność wykorzysta dla siebie i dla Rzymu.

Wraca do swojej kwatery głównej w mieście Nemetocenna\*[\* Dziś Arras.].

Ma pięćdziesiąt lat. I wie, że jest niezwyciężony.

## CZEŚĆ IX

### Rozdział 40

Nie pozwoli się zawrócić z drogi ku władzy, którą z wyboru bogów kroczy od chwili swych  
narodzin...

Cezar czuje lodowaty deszcz spływający mu po karku, czole, policzkach i szyi. Woda nasącza powoli jego wielki purpurowy płaszcz, który staje się coraz cięższy. Powinien jednak stać nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami na trybunie, kiedy po wielkiej, przewiewanej wiatrem równinie otaczającej Nemetocennę defiluje przed nim osiem legionów. Sprowadził je tu, do północnej Galii, chcąc utrzymać Galów, a szczególnie Belgów, w szachu i zapewnić pokój.

Pragnął, by odbyła się ta parada, z lasem orłów i znaków, z miarowym uderzaniem kroków o ziemię, od czasu do czasu zagłuszonym dźwiękiem cymbałów, trąbek i bębnow.

Przebiega go dreszcz, kiedy przechodzące przed nim kohorty wołają: *Ave Caesar!* Szorstkie głosy toczą się niczym grzmot.

Kto mógłby stanąć na drodze tej wiernej, oddanej, zaprawionej w bojach armii, w której każdy żołnierz wie, że sławę i pieniądze zawdzięcza Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi? Stojąc na jej czele, podbił osiemset miast i miasteczek, zabił przeszło sto dwadzieścia tysięcy Galów i ponad milion sprzedał do niewoli. Armia zrobiła z niego imperatora, uczyniła go bogatym i wreszcie to dzięki niej senat przyznał na cześć jego zwycięstw więcej dni modłów niż kiedykolwiek przedtem.

Czeka, aż przejdzie ostatnia kohorta, po czym odwraca się do Emiliusza i trybunów wojskowych tłoczących się na trybunie.

Wystarczy na nich spojrzeć, aby wyczytać w ich oczach, że się zastanawiają. Co robić? Czy legiony zostaną i będą tu bezużytecznie gniły, skoro Galia rzucona jest już na kolana? Czego możemy oczekiwać od przyszłości?

Cezar schodzi powoli z trybuny, odsuwa giermka, który chce mu pomóc przy dosiadanu konia. Ma pięćdziesiąt lat, ale jest pełen energii, elastyczny i ostry jak miecz.

Puszcza konia stępa.

Czego może się spodziewać? Otrzymał wszystko, tytuł konsula, prokonsula,

imperatora. Jest najwyższym kapłanem, *pontifex maximus*. Teraz już tylko może zostać władcą Rzymu, królem, *princeps*. Właśnie tego zresztą potrzeba republice - Oto wyzwanie, które musi podjąć. To jedyny wybór zgodny z jego *dignitas*, tą wielkością i chwałą, którą obdarzyli go bogowie. Czy Jowisz, Venus Victrix, Fortuna wyróżniali go po to, by on, Gajusz Juliusz Cezar, pozwolił się teraz upokorzyć i by nie udało mu się uratować Rzymu?

Bo możliwe jest, że mu się nie powiedzie. Wie o tym. Codziennie z Rzymu posłańcy przywożą wieści o nowych manewrach i kombinacjach Pompejusza, konsula Klaudiusza Marcellusa, Katona czy Scypiona - teścia Pompejusza, a także co ważniejszych optymatów, senatorów. Chcieliby oni pozbawić go tytułu i armii, aby móc go oskarżyć i skazać. Ponieważ chcą zachować władzę, to, co nazywają *libertas*, wolnością, a w praktyce prawo do rządzenia Rzymem wedle swej woli, nie troszcząc się o to, jakie konieczności stoją przed miastem w obecnej sytuacji, gdy stało się ono centrum ogromnego imperium.

Na szczęście Cezar ma sojuszników!

Wchodzi do małego ciemnego domu, który zajmuje centrum Nemetocenny. Pozwala się rozebrać, owinąć ciepłymi prześcieradłami, wymasować i zaprowadzić do gorącej kąpieli. Unosząca się para zaciera sylwetki krzątających się wokół młodych niewolników. Myją go. Perfumują. Cezar zamyka oczy.

W Rzymie może liczyć na trybuna ludowego Kuriona. To człowiek młody, zręczny i przebiegły. Drogo go kosztował: całe dziesięć milionów sesterców! Ale ten cyniczny rozpustnik, ożeniony z wdową po Klodiuszu, jest sprytny, a jako trybun plebsu może zgłaszać weto do rozporządzeń senatu. Optymaci z pewnością jeszcze się nie połapali, że Kurion jest na jego służbie. Kurion się nie zdradził. Teraz jednak trzeba, aby zadziałał brutalnie, aby ogłosił, komu służy. To samo dotyczy konsula Lucjusza Paulusa, który również go drogo kosztował: tysiąc pięćset talentów!

Czas, by ci dwaj zrzucili maski, ponieważ senatorowie oraz Pompejusz mnożą pogróżki i ataki.

Cezar żwawo wychodzi z kąpieli. Chce, by go nacierano mocniej, pragnie, by jego skóra zaróżowiła się od szczotek z włosia.

Wkłada z powrotem togę.

Niech wezwą sekretarzy Emiliusza i Hircjusza. Pragnie wiedzieć, jakie są ostatnie manewry jego wrogów. Posłańcy z Rzymu z listami od Balbusa, Kuriona i Paulusa powinni już nadjechać.

- Chcą cię rozbroić - mówi Emiliusz.

Stoi obok łoża, na którym Cezar leży z policzkiem opartym na prawej dłoni.

- Jeśli tylko tyle masz mi do zakomunikowania... - Wódz odwraca się do Hircjusza.

- Nie ma dnia, by nie rzucali ci wyzwania - zapewnia Aulus Hircjusz - by nie starali się jakoś cię poniżyć, sprowokować, nie pozostawiając ci innego wyboru, jak tylko wyrzeczenie się sił, jakimi dysponujesz, albo złamanie prawa. Chcą cię do tego zmusić. Podporządkować cię swej władzy albo zepchnąć do roli wroga republiki.

Cezar nie chce pozwolić sobie na wybuch gniewu. Emiliusz i Hircjusz powtarzają mu to, co sam już wie! Mógłby im nawet wyjaśnić, jakie kroki poczyni Pompejusz wraz z senatem. Pompejusz w swej zarozumiałości i próżności sam się do tego przyznał: otóż nie zgodzi się on, by Cezar był wodzem armii i konsulem. Jest bowiem w zwyczaju, że prokonsul po raz drugi zostaje konsulem. Pompejusz chce jednak zachować prawdziwą władzę tylko dla siebie. Będzie więc próbował razem z Katonem, Scypionem i większością senatorów zadekretować, że Cezar nie będzie mógł zostać prokonsulem, a więc nie będzie miał tym samym *imperium*, władzy oraz ochrony, jaką zapewnia godność prokonsula. Wszyscy oni zgodni są co do tego jednego punktu: chcą, by Cezar pozostawał przez kilka miesięcy bez urzędu, bez władzy, bez armii i bez ochrony prawa, różnią się jedynie w kwestii daty: jedni mówią o 1 marca roku 50, drudzy o 1 stycznia 49 roku. W tym okresie Cezar już nie będzie prokonsulem, a jeszcze nie zostanie wybrany na konsula. Dobiorą się wówczas do niego jako do zwykłego obywatela, pozbawionego ochrony, oskarżą o złamanie prawa, osądzą i ogłoszą wrogiem Rzymu, zmuszając do ucieczki.

Czemu Cezar miałby się na to zgodzić, i to w chwili, gdy Rzym potrzebuje rządów silnej ręki, rządów człowieka sprawdzonego, którego wybrali bogowie, człowieka olśniewającego swoją *dignitas*, który potrafi, jeśli trzeba, dowieść swego okrucieństwa, ale także okazać swoją *humanitas*, człowieczeństwo, oraz *clementia*, łagodność, człowieka, który jako prokonsul przyłączył do Rzymu wielką, bogatą w miasta i ludną prowincję, Galię Zaalpejską? Wodza, który podczas wojny galijskiej potrafił eksterminować całe plemiona, gdy należało przerazić wroga, ale potrafił także wybaczać...

Nie pozwoli się zawrócić z drogi ku władzy, którą z wyboru bogów kroczy od chwili swych narodzin.

Trzeba jednak, jak zawsze, działać rozsądnie i zanim sam wyciągnie miecz i ruszy do szturm, trzeba pozwolić, aby nieprzyjaciel odsłonił swoje manewry.

- Co oni robią? - pyta Cezar cichym, nieomal obojętnym głosem.

- Każdego dnia Marcellus, korzystając ze swej władzy konsula, stara się ciebie ugodzić. Popierają go w tym naturalnie, a nawet popychają do działania, także Katon i Scypion, a po cichu Pompejusz - kontynuuje Emiliusz.



- Co oni robią? - powtarza Cezar.

Chce słyszeć o faktach, a nie aluzjach czy zamiarach.

Hircjusz podchodzi do jego łóża, nachyla się. Cezar ma do niego zaufanie. Powierzył mu napisanie ósmej księgi *Wojny galijskiej*, która będzie opowiadać o ostatnich operacjach w wojnie przeciwko Galom, już po Alezji.

- Konsul Marcellus kazał wychłostać mieszkańca Novum Comum[\* Dzisiejsze Como.], jednego z tych, którym przyznałeś obywatelstwo. Chce zademonstrować, że to, co zrobiłeś, zresztą za zgodą senatu, nie obowiązuje. Marcellus zażądał także twego odwołania. Szczęściem drugi konsul, Emiliusz Paulus, nasz przyjaciel, sprzeciwił się tej propozycji. Ale Marcellus powrócił na urząd, nadal żądając twego odwołania. Chcą oni, jak wiesz, pozbawić cię *imperium*, aby móc cię osądzić. I twoje skazanie jest już przygotowane! Wtrąca się Emiliusz:

- Pompejusz żąda, aby twoje *imperium* skończyło się z dniem 13 listopada 50 roku.

Cezar nie chce ani tego komentować, ani się poruszyć. Ale wojna jest już o krok, tak samo pewna, jakby stało przed nim całe plemię barbarzyńskie. Pompejusz i senatorowie chcą jego zguby.

- Co poza tym? - pyta.

- Żądają jednego twego legionu - mówi Hircjusz.

Cezar zamyka oczy. Dotykają żywego ciała. Czy już należy przejść do kontrataku?

- Utrzymują - dodaje Hircjusz - że potrzebny im ten legion na wojnę przeciw Partom. Zapewniają, że zażądają zbrojnego wkładu także od Pompejusza.

Cezara zaskakuje okrzyk Emiliusza.

- Czy ty wiesz, czego od ciebie żąda Pompejusz? - mówi sekretarz. - Tego legionu, który posłał ci w czasie powstania galijskiego! Odda go na wojnę przeciw Partom, a ty w ten sposób, Gajuszu Juliuszu Cezarze, stracisz całe dwa legiony!

Cezar wciąż się nie porusza. Trzeba pozwolić im pójść jeszcze dalej, żeby sami weszli do pułapki, jaką na siebie zastawiają. Cezar jest bowiem pewien, że te dwa legiony nie zostaną wysłane do walki z Partami. Będą skierowane do Kapui, tam, gdzie przebywa Pompejusz. Chcą jednocześnie osłabić Cezara i wzmocnić swoją armię w obliczu zbliżającego się starcia, wojny domowej.

Powoli się podnosi.

- Bądźmy posłuszni senatowi. Niech piętnasty legion wyruszy z Rawenny do Rzymu i niech legion Pompejusza wróci do niego.

Spogląda po kolei na Emiliusza i Hircjusza, którzy wydają się zaskoczeni, zbici z

tropu.

- Zgadzasz się? - pyta Emiliusz. - Pozwalasz sobie zabrać...

Cezar ma wrażenie, że został spoliczkowany. Piorunuje wzrokiem Emiliusza, który jąka się, milknie i spuszcza głowę. Cezar robi kilka kroków.

- Zbierzesz centurionów i żołnierzy - mówi do Hircjusza. - Przemówię do nich.

Nagle czuje wzbierającą radość! Ma wrażenie, że wykopał dół pod swoimi przeciwnikami. Ruszą do przodu i nadzieją się na pal wbity pośrodku pułapki.

Ma zamiar wyjaśnić legionistom, że odsyła ich, ponieważ skrupulatnie przestrzega prawa Rzymu, zgodnie z którym, jak utrzymują senatorowie, wyruszą oni walczyć przeciwko Partom. W ten sposób każdy centurion i żołnierz będą mogli stwierdzić, kto zdradził Rzym! On, Gajusz Juliusz Cezar, był szczęśliwy, dowodząc tak dzielnymi ludźmi. I dlatego każe im wypłacić dwuletni żołd z góry, z własnych pieniędzy, chcąc im okazać wdzięczność za ich odwagę.

A w to miejsce powoła nowe wojska, piechotę z Akwitanii, dziesięć tysięcy jazdy spośród Arwernów i Eduów oraz łuczników z plemienia Rutenów.

Chwyta Emiliusza za ramię.

- Ty śmiesz wierzyć, przypuszczać, że ja, Gajusz Juliusz Cezar, zgodziłbym się podporządkować!

Ściska mocno jego ramię. Zagłębia palce w jego ciało i widzi grymas bólu na twarzy Emiliusza.

- Będziemy mieli jeszcze więcej żołnierzy - mruczy ze ściśniętymi szczękami. Uwalnia jego ramię. - A ci, których pošlemy Pompejuszowi, i tak w większości pozostaną nam wierni.

Odwraca się do Hircjusza. Niech centurionowie tych legionów przekażą Pompejuszowi i senatorom, że armia Cezara jest wyczerpana i nie pragnie już niczego, jak tylko zostać rozwiązana.

- Będą im wierzyć, ponieważ tego właśnie pragną. Każe sobie przynieść swój purpurowy płaszcz.

- Odjeżdżamy do Rawenny! Zbierz trzynasty legion, Hircjusz. Hircjusz uśmiecha się, kłania.

Trzynasty legion jest obok dziesiątego najostrzejszą bronią Cezara.

## ***Rozdział 41***

Proponuje, że zrezygnuje z dowództwa legionów, jeśli Pompejusz uczyni to samo.

Zobowiązuje się spędzić rok ^9 z dala od Rzymu...

Każdego ranka, wstając i chodząc po swoim pokoju, Cezar czuje narastającą niecierpliwość bliską rozgorączkowaniu, które jednak musi opanować i z którego nikt nie zdaje sobie sprawy.

Zmusza się, aby nie wykonywać żadnych gwałtownych gestów, narzucając spokój albo wręcz milczenie ludziom ze swego otoczenia.

Czuje, że jego zauszniczy - Emiliusz, Mamurra i Hircjusz, który odbywa częste podróże z Rawenny do Rzymu i zawsze wraca stamtąd zaniepokojony - nie wiedzą, co myśleć o tej bezczynności. Wszystko bowiem, co do nich dochodzi: listy Balbusa, relacje Hircjusza i kwestora Antoniusza, wieści przynieszone przez posłańców od trybuna Kuriona i konsula Paulusa - potwierdza determinację senatorów oraz konsula Marcellusa, Pompejusza i jego teścia Scypiona, by osłabić i zdezwuować Cezara.

Trzeba okazywać spokój i pewność siebie godną boga, który zna przyszłość.

Czasem, gdy nerwy go ponoszą, cwałuje po otaczającej Rawennę równinie, która w zimowych mgłach roku 50 zlewa się w jedno z morzem.

Za każdym razem Cezar przyłapuje się na tym, że zapuścił się dalej na południe, w kierunku Rubikonu, rzeczki granicznej, poza którą zaczyna się terytorium republiki rzymskiej - gdzie żadnemu prokonsulowi nie wolno wkraczać razem z wojskiem.

Zatrzymuje się. Wie, że w dniu, gdy zdecyduje się przekroczyć Rubikon, rozpocznie się gra o jego losy. Albo zostanie władcą Rzymu, albo zostanie proskrybowany i ścigać go będą śmierć i hańba.

Wraca do Rawenny, tuż za nim podąża straż. Zakłada ręce na plecach, prostuje się w siodle. Jeśli nie przekroczy Rubikonu, to co mu pozostanie z życia? Jego przeciwnicy tak bardzo prą do konfrontacji z nim, tak bardzo chcą go zmusić do jakiejś reakcji, że właściwie nie ma wyboru.

Zawierzy w tej sprawie swemu instynktowi, który jest głosem bogów. Zaczeka na odpowiedni moment. Sam go wybierze.

Jest grudzień, miesiąc ulewnych deszczy i zimnego wiatru wiejącego od Alp.

Hircjusz przyjeżdża z Rzymu. Nie może opanować deszczy, co sprawia, że głos mu drży.

- Oni są jak wściekłe psy - mówi. - Przewodzi tej zgrai konsul Marcellus. Przedłożył pod głosowanie w senacie propozycję złożenia ciebie z urzędu prokonsula, podczas gdy Pompejusz zachować ma całą swą władzę!

Czy nadeszła już pora działania?

Hircjusz odzyskuje oddech. Jego głos staje się pewniejszy.

- Lecz na drugi dzień za sprawą Kuriona trzystu siedemdziesięciu senatorów postanowiło, że obaj *imperatores*, zarówno ty, Gajuszu Juliuszu Cezarze, jak i Pompejusz, złożycie swe namiestnictwa jednocześnie. Tylko dwudziestu dwóch głosowało przeciw.

- Kurion jest zręczny - mruczy Cezar. - Ale powiedziałaś, że oni są wściekli. Przystąpią więc zaraz, a pierwszy Marcellus, do oblężenia Pompejusza, a ten, ponieważ się mnie boi i pragnie dla siebie całej władzy, ustąpi im.

- Co robić? - pyta Emiliusz.

- Czekać.

Ma wrażenie, jakby armia nieprzyjacielska podeszła trochę bliżej. A on chce ją przypościć jeszcze bliżej, nim każe strzelać łucznikom, piechurom miotać włócznie, a procarzom - kamienie.

Choć wróg jest coraz bliżej.

Marcellus twierdził przed senatem, że Cezar na czele dziesięciu legionów przekroczył Alpy i przygotowuje się do marszu na Rzym. Udał się do Pompejusza, do Kapui, i zaproponował mu objęcie dowództwa legionów w Kapui oraz innych garnizonów w Italii wraz z upoważnieniem do prowadzenia nowego zaciągu.

- Pompejusz się wahał - konkluduje Hircjusz.

- Trzeba go skłonić, by zrzucił maskę! Ja chcę do ostatniej chwili pozostać po stronie prawa.

Dnia 26 grudnia pisze do senatu. Proponuje, że zrezygnuje z dowództwa legionów, jeśli Pompejusz uczyni to samo. Zobowiązuje się do czasu objęcia konsulatu przebywać z dala od Rzymu i od Galii Przedalpejskiej, w Ilirii, z jednym tylko legionem. Czy nie jest to dowód jego dobrych intencji?

Dobrze jednak wie, że oni się na to nie zgodzą, ponieważ chcą jego zguby, chcą go sprowadzić do pozycji zwykłego obywatela, aby wtedy zadać mu cios.

Oto znowu Cezar pędzi w stronę brzegów Rubikonu, czekając na powrót Hircjusza, który po raz kolejny wyprawił się do Rzymu. W tych pierwszych dniach stycznia roku 49 często wieją wiatry i niebo się przeciera, nabierając intensywnie błękitnej barwy, niczym ostrze miecza zahartowane w płonących węglach.

Kiedy Cezar powraca do atrium willi w Rawennie, zebrani tam trybunowie, urzędnicy i kilku senatorów rozstępują się przed nim z pośpiechem ujawniającym oprócz zwykłego respektu również strach. Po chwili widzi, że u boku Hircjusza znajdują się Kurion i Antoniusz.

Nie powinien okazać zniecierpliwienia, najwyżej ciekawość. Pyta więc:

- Wszyscy wyjechaliście z Rzymu?

Kurion występuje naprzód i zaczyna mówić władczym tonem trybuna ludowego.

Cezar przerywa mu już przy pierwszych słowach.

- Jesteś cały zabłocony, Kurionie, trzęsiesz się z zimna i zmęczenia! Mamy czas, odpocznij, weź ciepłą kąpiel...

Nikommu, nawet najwierniejszemu i najbliższemu sojusznikowi, nie wolno nigdy pozwolić nabrać przekonania, że ma nad tobą władzę i że jesteś od niego zależny.

Hircjusz i Antoniusz równie dobrze jak Kurion mogą mu opowiedzieć, co się stało.

- Słucham cię - mówi Cezar.

Zabiera Hircjusza do perystylu, potem do ogrodu, gdzie wiatr zgina cyprysy.

- Gajuszu Juliuszu Cezarze - zaczyna mówić Hircjusz i urywa. Cezar uśmiecha się.

- Wiem. Złożyli mnie z urzędu, nie jestem już prokonsulem. Kto ma mnie zastąpić?

- Przegłosowali to 7 stycznia - ciągnie Hircjusz. - Wybrali Lucjusza Domicjusza Ahenobarbusa.

Cezar czuje, jakby jego usta wypełniała gorzka ślina. Wybrali więc Ahenobarbusa, starego rywala sprzed ponad dziesięciu lat, tak jakby dla nich nic się od tamtej pory nie wydarzyło, jakby nie było podboju Galii, jakby można było w dalszym ciągu zestawiać Gajusza Juliusza Cezara z Domicjuszem Ahenobarbusem i jeden mógł zastąpić drugiego!

Czuje się zraniony, ugodziło go to boleśnie.

- Kurion - mówi Hircjusz - zgłosił weto jako trybun ludowy, ale senat przeszedł nad tym do porządku dziennego, ogłaszając *senatus consultum ultimum*.

Cezar oddala się na parę kroków od Hircjusza. Zatem zdecydowali się na wojnę. Są tak zaślepieni nienawiścią, tak bardzo pragną zachować swe przywileje, że nie martwią się nawet o losy Rzymu i konsekwencje, jakie pociągnie za sobą wojna domowa!

- Pompejusz? - pyta Cezar.

- Przybył do Rzymu 4 stycznia. Mówią, że obok Katona i Scypiona to właśnie on stał za decyzją senatu, by odrzucić weto Kuriona.

- Proklamowali mnie więc wrogiem publicznym Rzymu - mruczy Cezar.

Hircjusz, spuszczać głowę, potakuje.

Cezar kładzie dłoń na ramieniu wiernego oficera.

- To my przestrzegaliśmy prawa, oni je złamali. Daliśmy Rzymowi prowincję ludną i bogatą we wszelakie dobra, a oni są gotowi skąpać republikę we krwi i ogniu! I jeszcze mają czelność mówić, że my jesteśmy zagrożeniem dla *libertas!* Mamy prawo i bogów po naszej stronie. I mamy także siłę!

Jeszcze nie wie, kiedy będzie trzeba jej użyć. Ale czy ktoś w Rzymie wierzy, że Cezar pozwoli się proskrybować?

- Niech dwa legiony, ósmy i dwunasty, które są w garnizonie Matisco\*[\* Miasto Eduów, dziś Mftcon.], przybędą tu do mnie, do Rawenny, forsownym marszem! I niech także ruszają w drogę dwadzieścia dwie kohorty zorganizowane tutaj, w Galii Narbońskiej.

- Czy przekroczymy Rubikon? - pyta Hircjusz.

Jeszcze za wcześnie na odpowiedź. Nie trzeba jeszcze przesądzać, mimo że tym razem Cezar ma wrażenie, że wróg podszedł tak blisko, iż można rozróżnić jego rysy, wyczytać nienawiść w jego wzroku. Nieomal słyszy świst strzał i włóczy.

Oddala się.

Chcą go zabić.

Jakby można było jeszcze zatrzymać bieg losu i to w chwili, gdy ma się spełnić.

## CZEŚĆ X

### Rozdział 42

Najpierw należy pokonać armię Pompejusza, popieraną przez senat i liczącą może nawet trzydzieści tysięcy żołnierzy...

Cezar odwraca się, spogląda na błotniste odmęty Rubikonu, który właśnie przekroczył.

*Alea iacta est.*

Kości zostały rzucone, lecz mimo to nie odczuwa żadnego niepokoju. Przeciwnie, nigdy nie czuł się tak bardzo pewny siebie, jakby wszedł na szeroki trakt, którym teraz wystarczy tylko podążać.

*Alea iacta est.*

Przypominają mu się słowa Salustiusza. Ów elokwentny młodzieniec o pałającym wzroku precyzyjnie się do niego w Rawennie, odpychając Emiliusza, Mamurrę oraz strażników, i rzucił mu głosem pełnym egzaltacji: „Proszę cię i błagam, prześwietny imperatorze, abyś teraz, gdy ujarzmiłeś lud Galów, nie dopuścił, żeby wspaniały i niezwyciężony naród rzymski załamał się i pogrzyżył w wewnętrznych niesnaskach... Jeśli uda ci się uchronić od ruiny najslawniejsze i najpotężniejsze z miast, to czy na całym świecie znajdzie się wódz, który ośmieliłby się uważać za większego i bardziej zwycięskiego od ciebie?”

Chce zostać takim wodzem i teraz, znajdując się po drugiej stronie Rubikonu i maszerując w kierunku miasta Ariminum, gdzie czekają żołnierze trzynastego legionu, którzy przeprawili się nocą przez rzekę, wie, że tylko on może być tym człowiekiem: on, Gajusz Juliusz Cezar, *imperator, pontifex maximus*, przekroczył Rubikon ku większej chwale Rzymu, chcąc wyrzeć go z rąk tych, których Salustiusz nazywa „nikczemnymi kreaturami”.

Musi przemówić do żołnierzy, tłoczących się wokół niego na uliczkach Ariminum, po których hula słony wiatr od morza.

Podsadzają go na jakiś murek. Widzi szare fale toczące się na piasek pobliskich plaż. Wokół niego zwarta ruchoma masa orłów i znaków legionów, hełmów, kolczug, mieczów i włóczni, do niego należy trzymanie ich w garści, uczynienie z nich broni, która ma być naprawdę groźna.

Mówi mocnym głosem:

- Uczyniłem Pompejusza swoim dziedzicem. Oto testament - wymachuje zwojem papirusu - na mocy którego przekazuję mu wszystko, co posiadam, a zwłaszcza zadanie ratowania Rzymu! I co on z tym zrobił? Czym stało się prawo? Czym stali się Rzymianie pod rządami Pompejusza i tych chciwych starców, którzy są jego sprzymierzeńcami? Pozbawieni zostali swego dziedzictwa, zmuszeni do życia w próżniactwie i gnuśności! Naród, który dawniej rządził wszystkimi innymi narodami, pogrążył się w upadku i wszyscy zajmują się jedynie tym, jak jeszcze bardziej powiększyć jego niewolę! - Przez chwilę słucha szumu fal. Patrzy na napięte twarze wokół. - Pompejusz i ci, którzy go popierają - ciągnie - chcą zniweczyć wasze zwycięstwa! Czym będziecie, jeśli oni nadal pozostaną u władzy w Rzymie? Żebrakami? Ich sługami i niewolnikami? Nie zgadzam się, aby wasza odwaga, poświęcenie i sława, godne prawdziwych Rzymian, zostały zapomniane, złożone w ofierze nikczemnym kreaturom, zazdrosnym o waszą chwałę i ochronę, jakiej mi udzielają bogowie!

Widzi, jak miecze, włócznie, orły i znaki legionów unoszą się w jego kierunku. Żołnierze wiwatują na jego cześć.

- Trzeba ich pokonać i uratować Rzym, zdobywając najwyższą chwałę! - mówi jeszcze. - Uratujcie go ze mną, a przypadnie wam zwycięstwo i bogactwa! My jesteśmy prawem Rzymu, które zostało pogwałcone. I przyjmujemy w swoich szeregach łaskawie wszystkich, którzy do nas przyjdą, którzy pożałują swych błędów. Naszym jedynym celem jest wielkość Rzymu!

Schodzi z murku. Ma wrażenie, że głosy otaczających go żołnierzy unoszą go w górę, że zanoszą go aż na szczyty władzy. Legioniści mówią, że tak samo jak zawsze gotowi są pójść za nim wszędzie tam, dokąd on uzna za konieczne ich poprowadzić.

Jeden z wiarusów, stary centurion o twarzy pokrytej bliznami, przypomina przeprawy przez burzliwe nurty Rodanu i Renu. Inny mówi, że pokonał fale Oceanu i wraz z Gajuszem Juliuszem Cezarem postawił stopę tam, gdzie nigdy jeszcze nie dotarł żaden Rzymianin, na wyspie Brytanii. Wielu wspomina puszcze Germanii, walki pod Gergowią i Alezją. Czyż ci, którzy przysparzali tyle chwały Rzymowi i Cezarowi, mogliby nie chcieć wkroczyć do Rzymu razem z nim i wziąć udziału w jego triumfie? Daje się słyszeć nawet jakiś odosobniony, lecz silny głos: „Będziesz królem, Gajuszu Juliuszu Cezarze!”

*Aha iacta est.*

Wzdryga się. Nie chce już dłużej tego słuchać ani im odpowiadać. Najpierw należy pokonać armię Pompejusza, popieraną przez senat i liczącą może nawet trzydzieści tysięcy żołnierzy, a jeszcze więcej poza Italią. Pompejusz jako zręczny strateg może pozostawić



Rzym i Italię, stając na czele legionów w Hiszpanii, Grecji, Afryce, Azji. Wówczas będzie trzeba go ścigać za morzami, w prowincjach będących spichlerzem Rzymu.

Trzeba działać szybko!

Wydaje rozkazy, by kohorty kierowały się w stronę Pisaurum, Fanum, Ankony, Arretium, dzięki czemu kontrolować będą wybrzeże Adriatyku oraz Via Cassia i Via Aurelia. Następnie będzie trzeba pomaszerować na Brundyzjum, gdzie Pompejusz będzie chciał się zaokrętować, jeśli rzeczywiście chce dotrzeć do Grecji, Azji albo Afryki.

Widząc poważną minę Emiliusza, Cezar domyśla się od razu, że czeka go zła nowina. Jest jednak gotów. Droga przed nim jest wprawdzie prosta, lecz skierowana pod górę.

- Tytus Labienus - mówi jedynie Emiliusz.

Cezar się odwraca. Nie chce, by widoczny był grymas jego ust, zmarszczki, które pogłębiają się na wieść o tej zdradzie. Labienus, najlepszy z jego trybunów wojskowych, który tak często odnosił zwycięstwa w Galii, przyłączył się do Pompejusza.

- Pozostaje nadal Rzymianinem - odpowiada Cezar.

Chodzi z rękami założonymi na plecy. Mówi, że trzeba uderzyć jak grom, lecz zarazem okazywać łaskawość i szlachetność. Nie wolno im zapominać, że walczą nie z barbarzyńcami, lecz z obywatelami Rzymu, którym trzeba zaoferować wybaczenie. Jeśli zechcą, mogą przyłączyć się do legionów Gajusza Juliusza Cezara! Zresztą Cezar chce, aby do Pompejusza i senatu wysłano posłańców, którzy im przypomną, że pragnie negocjować. A jednocześnie trzeba uderzać, nie okazując żadnej słabości!

Wystarczy zaledwie kilku dni, aby Italia została podbita. Opór stawia jeszcze jedynie Domicjusz Ahenobarbus, z czterema tysiącami rekrutów zamknięty w mieście Korfinium.

Wojska Pompejusza maszerują w tym czasie w kierunku Brundyzjum z zamiarem opuszczenia Italii. Jego stronnicy w senacie uciekają w popłochu do Kapui albo Brundyzjum, kłócąc się o lektyki, wozy i okręty. Rzym stoi otworem! Rzymu nikt już nie broni!

Cezar ma wrażenie, że zwycięstwo przyszło mu zbyt łatwo i zbyt szybko. Nie chce narażać się na niepotrzebne ryzyko. Zanim pójdzie na Rzym, trzeba zmusić do kapitulacji Domicjusza Ahenobarbusa, a w tym celu należy otoczyć Korfinium, przerazić jego obrońców, a następnie obiecać im darowanie życia.

Słyszy protesty Emiliusza, Hircjusza, Mamurry, Antoniusza, wszystkich swoich zauszników. Ahenobarbus to zdeklarowany wróg. Czemu więc pozostawiać go przy życiu, zwracać mu majątek i pozwalać odjechać wolno? Ahenobarbus nie przestanie walczyć. Z pewnością znajdzie się w szeregach armii Pompejusza!

- Łaskawość także jest bronią - mówi Cezar. - Osłabia wroga jak rdza trawiąca żelazo.

Kilka dni później żołnierze Ahenobarbusa proszą o przyjęcie ich do oddziałów Gajusza Juliusza Cezara. Przybywają także posłańcy z innych miast italskich, ogłaszając, że przechodzą na stronę Cezara, otwierają przed nim swe bramy.

Teraz można wreszcie pójść na Brundyzjum i spróbować przeszkodzić Pompejuszowi w wyruszeniu do Grecji wraz z legionami.

Pędzi na południe co koń wyskoczy. Nie czuje zmęczenia. Jakby jego ciało przestało istnieć i wszystko w nim się przekształciło w wolę i pragnienie osiągnięcia celu. Ciało żołnierzy również muszą być podporządkowane temu wspólnemu celowi! W końcu dostrzega w dali maszty okrętów i odgaduje, że obłoki kurzu kryją wsiadające na nie legiony Pompejusza. Na innych okrętach na pełnym morzu płyną już z pewnością w stronę Dyrrachium senatorowie z rodzinami, skarbami i niewolnikami. Posuwa się naprzód. W jego stronę leci chmura strzał wystrzelonych z trzypiętrowych wież, które Pompejusz kazał zbudować na kilku zakotwiczonych w pobliżu brzegu okrętach. Nie można już ich dosięgnąć ani przeszkodzić legionom w opuszczeniu Italii!

Trzeba za to stawić czoło rozczarowanym trybunom wojskowym. Cezar wygłasza do nich mowę.

- Italia i Rzym należą do nas! - mówi. - Nie można jednak rabować ani mścić się!

Słyszy szemranie, wyczuwa rozczarowanie z ich strony. Żołnierzom marzyły się łupy... Trzeba im więc przyrzec, że kiedy już znajdą się w Rzymie, dostaną zwiększony żołd, ale trzeba im też powtarzać, że po drugiej stronie stoją także Rzymianie i nie wolno dopuścić, aby rzeka przelanej krwi, tak jak za czasów Sulli, znów podzieliła naród. Należy okazywać łagodność, by umocnić potęgę Rzymu.

W ten sposób będzie można odłączyć od partii Pompejusza tych ludzi, którzy gdy nie będą musieli obawiać się zemsty, zatroszczą się o własny interes i wybiorą stronę silniejszego.

Nie jest specjalnie zaskoczony, otrzymując list od Cyncerona, który mu gratuluje, że potrafił okazać łaskawość Domicjuszowi Ahenobarbusowi i jego żołnierzom. Cezar odpowiada, schlebając temu wpływowemu, lecz zarazem tak tchórzliwemu człowiekowi!

„Nic nie jest mi bardziej obce niż okrucieństwo - pisze do

Cyncerona. - I twoja aprobatą sprawia mi wielką radość. Nie boję się, że zobaczę, iż ci, których pozostawiłem na wolności, na nowo chwytają za broń przeciwko mnie. Pragnę, by każdy pozostał sobą. Jeśli zaś chodzi o ciebie, Cynceronie, to pragnę, byś nadal mieszkał u

bram miasta, żebym mógł, jak to często czyniłem, odwoływać się do twoich rad i twojej pomocy...”

Byłoby jednak dobrze, gdyby Cynceron zgodził się udać do Rzymu na posiedzenie senatu zwołane z zachowaniem form prawnych na 1 kwietnia, gdyż do siły legionów oraz do tej broni, jaką stanowi przebaczenie, należy koniecznie dodać jeszcze aprobatę prawa!

Wątpi, by Cynceron się zgodził. Przyszłość jest wciąż niepewna. Pompejusz wraz ze swymi legionami z Hiszpanii, Grecji, Afryki i Azji może wydawać się dostatecznie silny, aby odnieść zwycięstwo. Cezar powinien jednak spróbować przekonać Cyncerona i w tym celu udaje się do niego, do jego wielkiej willi w Formiach.

Cynceron jest uprzedzająco grzeczny. Wiele mówi. Cezar słucha go, nie dając się wziąć na lep pochlebstw literackich.

- Twoje *Komentarze do wojny galijskiej* są rzeczowe, proste i eleganckie - zauważa Cynceron - są wolne od oratorskich chwytów jak strój pozbawiony niepotrzebnych ozdób. Ja ci to mówię, Gajuszu Juliuszu Cezarze, odebrałeś innym ochotę na pisanie, gdyż nie ma nic przyjemniejszego w historii niż czysta i klarowna zwięzłość.

Cezar podnosi głowę.

- Przyjdź do senatu - mówi za całą odpowiedź - i wygłoś mowę za pokojem. Ciebie posłuchają.

Cynceron mizdrzy się:

- Czy będę mógł powiedzieć wszystko, co uznam za słuszne? - Jak mógłbym się ośmielić komuś takiemu jak ty wydawać instrukcje?

Cynceron potrząsa głową.

- Nie możesz się zgodzić, jeśli powiem, że senat nie powinien udzielać ci pełnomocnictwa na wyjazd do Hiszpanii ani na wyprawę wojskową do Grecji. Ani gdy będę oplakiwał losy Pompejusza. Sam widzisz, że lepiej będzie, jeśli tu pozostanę.

Cezar wstaje. Chce wydawać się obojętny, a nawet pogardliwy.

- Twój ogród jest pełen kwiatów, Cynceronie! Ale będziesz może żałował, że nie przyjechałeś wdychać woni Rzymu.

Czuje, że Cynceron jest zakłopotany, obawia się, że wykazał nadmierną ostrożność. Po chwili gospodarz się opanowuje.

- Jestem tylko ogrodnikiem, przycinam zdania tak, jak inni krzaki róży...

Cezar odchodzi. Chce, by Cynceron drżał o swoje bezpieczeństwo.

- Zwrócę się do innych doradców - ucina rozmowę Cezar. Odchodzi, nie odwracając się więcej.

Wie, że zachowanie Cyncerona jest zapowiedzią postawy senatorów, którzy pozostali w Rzymie. Będą robić uniki, bo nadal obawiają się Pompejusza. Przyłączą się dopiero wtedy, gdy Pompejusz zostanie pokonany.

Cezar wkracza teraz do Rzymu, który opuścił blisko dziesięć lat temu. Ma wrażenie, że chodzi tylko o pewien przejściowy etap. Musi się bowiem spieszyć z pokonaniem Pompejusza, inaczej nigdy nie zdobędzie władzy w Rzymie, nawet gdyby zamieszkał w mieście, a jego żołnierze dyktowali tu prawo i nawet gdyby obsadził wszystkie urzędy swoimi stronnikami. Dopóki miecz Pompejusza nie zostanie ostatecznie złamany, ostrożni i tchórze, czyli w sumie niemal wszyscy, nie będą uznawać Gajusza Juliusza Cezara za władcę.

Obchodzi wolno Forum, ogląda bazylikę i portyki komicjów, za których budowę zapłacił. Plebs ciśnie się wokół niego. Cezar go potrzebuje, każe więc mu rozdawać zboże i pieniądze. W ten sposób kupuje się ludzi, a utrzymuje ich przy sobie za pomocą siły i strachu, a także dlatego, że lojalność leży w ich interesie, oraz dzięki temu, że czują podziw wobec swego przywódcy.

Siedzący jednak przed nim senatorowie są ludźmi majątynymi, którzy nie chcą narażać stanu swego posiadania. Mówi do nich o konieczności pokoju. Mówi, że chce paktować z Pompejuszem, że trzeba będzie posłać do Dyrrachium poselstwo złożone z senatorów. Żaden z nich się nie zgłasza. Są już i tak w oczach Pompejusza mało wiarygodni, ponieważ nie wyjechali za nim. Pojechać tam teraz z jakąś misją byłoby samobójstwem z ich strony!

Cezar nie nalega. Zmusza ich jednak do przyjęcia ustawy nadającej obywatelstwo rzymskie mieszkańcom Galii Zaalpejskiej - tak jak przyrzekł Galom. Będzie mógł spośród tego silnego ludu rekrutować nowych żołnierzy, uzupełnić stan legionów, a także utworzyć nowe. Ponieważ ostatecznie to siła o wszystkim rozstrzygnie.

Potrzebuje zatem pieniędzy. Dowiaduje się, że uciekający w pośpiechu konsulowie pozostawili skarb złożony na przechowanie w świątyni Saturna.

Oto jest znak od bogów!

Przechodzi Forum otoczony przez centurionów. Na stopniach świątyni rozpoznaje trybuna ludowego Metellusa, który próbuje chronić skarbu. Odpycha go. Metellus krzyczy, upiera się. Niech go zabiją, jeśli będzie stawiał opór! Żołnierze unoszą miecze, trybun się wycofuje.

Cezar wchodzi tylko z kilkoma ludźmi. Wydaje rozkaz, aby wyważyć drzwi, które w końcu ustępują.

Wchodzi do środka. W półmroku dostrzega szerokie i wysokie błyszczące piramidy

ułożone ze sztabek złota i srebra. Zajmują one niemal całe pomieszczenie. Są tu także całe skrzynie sesterców.

Przez chwilę czuje upajającą radość, gdy żołnierze go informują, że naliczyli piętnaście tysięcy sztabek złota i trzydzieści tysięcy srebra. A do tego trzydzieści milionów sesterców. To warte wszystkich zwycięstw!

Teraz chodzi już tylko o to, aby pokonać Pompejusza i jego zastępców. I już nic mu w tym nie może przeszkodzić. Niech Kurion popłynie na Sycylię i do Afryki, aby zabezpieczyć te dwie prowincje oraz ich zbiory zboża. Dolabella ma za zadanie utworzyć flotę i kontrolować Adriatyk pomiędzy Brundyzjum i Dyrrachium. Fabiusz wraz z trzema legionami niech przejdzie Pireneje.

Najpierw należy podbić Hiszpanię, gdyż tam stacjonują najbardziej zaprawione w boju legiony Pompejusza, pod komendą trybunów wojskowych Afraniusza, Petrejusza i Terencjusza Warrona... Cezar także wyruszy z Rzymu do Hiszpanii. Kiedy pokona znajdujące się tam siedem legionów Pompejusza i dołączy Hiszpanię do swoich podbojów: do Galii Narbońskiej i Zaalpejskiej oraz Italii, czy ktoś w Rzymie ośmieli mu się jeszcze przeciwstawić?

## ***Rozdział 43***

Jednak Massalia się nie poddaje!

A okręty Pompejusza zostały przyjęte przez mieszkańców miasta z entuzjazmem...

Dzień i noc pędzą co koń wyskoczy do Hiszpanii, zatrzymując się tylko wtedy, gdy konie ślaniają się ze zmęczenia i nic już nie daje bicie ich piętami po bokach.

Cezar zeskakuje z wierzchowca. Nie rzuca nawet jednego spojrzenia na liczący dziewięćset jeźdźców oddział jego osobistej gwardii, Germanów i Galów, tworzących wokół niego nieprzebyty mur mięśni i żelaza.

Wzywa Emiliusza i Hircjusza.

Niech pchną posłańców, by się dowiedzieli, jak jest ostatecznie z Massalia. Czy mieszkańcy otworzyli bramy miasta, czy też pod pretekstem dawnych przywilejów swego miastapaństwa wymawiają się od udziału w zaczynającej się wojnie domowej?

Cezar chodzi wśród koni, które marzną i są nacierane przez jeźdźców. Jest koniec marca 49 roku i wieje zimny wiatr. Przełęcz alpejskie pokryte były jeszcze śniegiem, a tu, w Galii Narbońskiej, pada lodowaty deszcz.

Rośli germańscy jeźdźcy rozstępują się, gdy Cezar się zbliża, jakby się go lękali.

Galowie robią to samo - z odrobiną dezynwoltury. To Gajusz Juliusz Cezar, zwycięski imperator, wybraniec bogów, ten, którego purpurowy płaszcz widzieli w tyłu bitwach.

Żadna strzała, włócznia ani miecz nie zdołały go nigdy osiągnąć! Cezar pragnie im dzięki swej energii pokazać, że jest człowiekiem innego rodzaju niż oni sami. Unosi ramię i oddziały ruszają dalej. Chce przybyć pod Massalię i podbić to miasto, jeśli tylko będzie mu wrogie albo niechętne, dopiero potem ruszy dalej do Hiszpanii, gdyż nie może pozostawiać za sobą potężnego i bogatego portu, który odmawia podporządkowania się.

Dowodzący wojskami pod Massalią legat Gajusz Treboniusz przysłał niepokojące wieści. Okręty floty Pompejusza dowodzone przez Domicjusza Ahenobarbusa weszły do portu.

Wojska Cezara cwałują dalej. Przebywają w bród rzeki, przed którymi konie stają dęba, nie chcąc wejść do lodowatej i spienionej wody. Musi dawać przykład i wchodzi do wody pierwszy. Kiedy się odwraca, widzi, jak jego dziewięciuset jeźdźców ciągnie swe konie, prując pierściami spienione fale. I po chwili wspinają się już na drugi brzeg. Widać wysokie mury Massalii.

- Massalczycy sprowadzili z okolicznych gór ludzi z plemion Albików - informuje Treboniusz. - Są to dzicy wojownicy, nękają nas! A łucznicy nie pozwalają nam blisko podejść. Na nasze maszyny oblężnicze spuszczone kamienne bloki...

- Chcę się spotkać z piętnastką najznacniejszych obywateli Massalii - mówi Cezar. - Zapewniam im bezpieczeństwo.

Pojawiają się przed nim nazajutrz, pełni fałszywej pokory, spoci której wyraźnie przebija pycha.

Massalczycy wiedzą, że naród rzymski jest podzielony, zaczyna najstarszy z nich. Nie mają oni uprawnień ani władzy pozwalającej rozstrzygnąć, kto ma rację. Przywódcy dwóch stronnictw nazywają się Pompejusz i Cezar, obaj są patronami ich miasta, pierwszy dał im tereny Wolków i Helwiów, drugi zaś dzięki podbojowi Galii pozwolił im zwiększyć dochody. Ich obowiązkiem jest okazać jednakową wdzięczność wobec obu dobroczyńców. Nie mogą pomagać jednemu przeciwko drugiemu ani przyjmować w mieście bądź jego portach żadnego z nich.

Należałoby ich właściwie uwięzić i skazać za perfidię i kłamstwa, gdyż okręty Pompejusza wpływają do portu. Musi jednak popróbować z nimi jeszcze pertraktacji, nie chce pierwszy zaczynać wojny.

Czeka i coraz bardziej się niecierpliwi. Każdy mijający dzień działa na korzyść

Pompejusza, który umacnia się wokół Dyrrachium i którego legiony umacniają swe panowanie w Afryce i w Hiszpanii.

W końcu postanawia rozpocząć oblężenie Massalii! Każe zbudować wieże, przenośne zasłony i zamówić w Arelate dwanaście okrętów wojennych, które spłyną w dół Rodanu i zaatakują!

Potrzebne jest jednak drewno na maszyny oblężnicze i do budowy okrętów. Niechaj żołnierze pracują jako drwale i ścinają drzewa we wszystkich okolicznych lasach.

Cezar nie może usiedzieć w jednym miejscu. Objeżdża szańce wzniesione przez legionistów pod murami Massalii. Czasami widzi, jak w ich kierunku toczą się ogromne skalne bloki i rozżarzone pnie dębowe, zmuszając legionistów do wycofania, zapalając wieże oraz zasłony. Massalczy, ci Grecy, są sprytni i pełni determinacji.

Zapuszcza się w ostępy leśne. Chce swą obecnością zmobilizować legionistów do szybszej pracy. Staje obok nich, czekając, aż podcięty pień zacznie trzeszczeć. Postępuje wśród zwalonych, ściąganych drzew. Nagle zapada cisza. Żaden z żołnierzy się nie rusza. Jeden z centurionów mruczy niewyraźnie, że to święty gaj i że przekleństwo spadnie na tych, którzy dotkną tych drzew.

Cezar patrzy na drzewa, wysokie i proste.

Chwyta za topór i wchodzi do świętego gaju. Zatrzymuje się przy dębie szerokim jak wielka kolumna. Podnosi głowę, wierzchołek drzewa zdaje się dotykać nieba! Zaczyna uderzać, rozłupywać to drzewo. Potem wręcza topór centurionowi.

- Żeby teraz żaden z was nie obawiał się ścinać tu drzew, to ja popełniłem świętokradztwo!

Oddala się, słysząc, jak za nim znowu się rozlega odgłos uderzeń toporów. Żołnierze dokonali wyboru pomiędzy gniewem bogów a gniewem Gajusza Juliusza Cezara.

Massalia się jednak nie poddaje! Mieszkańcy przyjęli z entuzjazmem okręty Pompejusza, mimo że wzbraniają wstępu do portu. Oblężenie będzie długie.

Trzeba pozostawić pod Massalia Treboniusza z trzema legionami i szybko ruszać do Hiszpanii.

Cezar przemierza całą Galię Narbońską, a potem, wśród śnieżnych zawiei, przekracza Pireneje przełęczą Perthus. Przez wiele dni słyszy jedynie rżenie koni, okrzyki dziewięciuset jeźdźców germańskich i galijskich oraz tętent kopyt o ziemię.

Pięć legionów pod dowództwem Afraniusza i Petrejusza, trybunów Pompejusza, schroniło się do miasta Herda i na zbocza wzgórz górujących nad doliną rzeki Segre. W ten sposób kontrolują oni jedyny most na tej rzece.

- To obywatele Rzymu... - mówi Cezar.

Trzeba ich pokonać, ale tak, by potoki przelanej krwi nie przeszkodziły w przyszłym pojednaniu.

Czuje jednak, że wśród jego centurionów narasta gniew. Legaci przekazują mu słowa oficerów: co to za wojna, podczas której nie można zdobyć łupów? Miasta otwierają bramy, lecz Cezar bierze je pod ochronę... Na przykład Korduba i Gades. Żołnierze chcieliby rabować, sprzedawać ludność w niewolę, dzielić się łupami, tak jak to czynili w Galii. A nie wolno im nawet zabijać wrogów i zabierać im ich broni, hełmów i kolczug! Czują się oszukani. Cezar musi im jednak narzucać takie zachowanie. Zwycięstwo nad Pompejuszem, a zwłaszcza późniejsze rządzenie Rzymem nie będzie możliwe, jeśli nie nastąpi pojednanie.

Wydaje mu się, że tylko on jeden to rozumie. Ani Emiliusz, ani Hircejusz, ani Fabiusz nie potrafią się pogodzić z polityką odstępowania od ataku, wypuszczania jeńców, goszczenia żołnierzy Pompejusza w swoim obozie.

- To nasza siła! - zapewnia ich Cezar.

W następnych dniach przybywają ranni legionieści i opowiadają, że gdy Petrejusz odkrył, iż jego żołnierze bratają się z żołnierzami Cezara, a nawet goszczą ich w swoich namiotach, kazał tych, którzy przestali walczyć, wydać na śmierć z rąk jego barbarzyńskiej gwardii. Zaskoczeni żołnierze Cezara zostali publicznie zabici.

- Ta surowość - mówi Cezar - to oznaka ich słabości!

On nie zmienia zdania. Przeciwnie, rozkazuje, by każdy centurion, każdy jeździec Pompejusza, który postanowi nie wracać do swego obozu, zachował swój stopień w legionach Cezara.

Afraniusza i Petrejusza należy otoczyć i odciąć od zaopatrzenia w żywność i paszę. Ale ich nie atakować!

Słyszy protesty centurionów, a nawet trybunów i legatów. Czy tylko on jeden troszczy się o przyszłość i potrafi ją sobie wyobrazić?

- To nie są barbarzyńcy - powtarza. - Jeśli ich oszczędzimy, poddadzą się, poproszą o ułaskawienie i wygramy bez użycia siły.

Jednym spojrzeniem ucisza wszelkie szemrania. Kiedy jednak postanawia przyjąć Afraniusza, który przyparty do muru, złożył kapitulację, czuje znowu dezaprobatę swojego obozu. Żąda więc, by pompejańczyk wytłumaczył się przed obiema połączonymi armiami. Potrzebny jest spektakl publicznego poniżenia i wybaczenia.

Cezar siedzi. Afraniusz stoi samotnie przed frontem legionów.

- Nie należy mieć za złe - mówi - ani mnie, ani moim żołnierzom, że staraliśmy się



dochować wierności naszemu wodzowi Pompejuszowi. Wypełniliśmy nasz obowiązek w wystarczającym stopniu. Zostaliśmy zamknięci jak dzikie zwierzęta, nasze ciała nie mogą już dłużej znieść tych cierpień, nasze dusze zaś tego wstydu! Uznajemy się za zwyciężonych i prosimy, błagamy Cezara, jeśli litość ma jeszcze do niego przystęp, by nie skazywał nas na śmierć!

Cezar wstaje. Musi być surowy i wspaniałomyślny zarazem. Oskarży Afraniusza i Petrejusza, uniewinni żołnierzy.

- Jedyne wodzowie brzydzili się pokojem - grzmi twardo. - Kazali z największym okrucieństwem mordować łatwowiernych żołnierzy... Teraz przydarza im się to, co czeka zawsze ludzi nadmiernie upartych i zarozumiałych: muszą zabiegać i starać się o coś, co niegdyś napełniało ich jedynie wzdardą...

Zbliża się do Afraniusza, który spuścił głowę. To publiczne upokorzenie jest potrzebne, by rozgniewana z powodu takiego bezkrwawego zwycięstwa armia poczuła się usatysfakcjonowana i pogodziła się z łagodnym potraktowaniem przeciwnika.

- Nie chcę powiększać moich sił - podejmuje Cezar. - I choć w walce ze mną naruszane są prawa Rzymu, ja wszystko cierpliwie zniosę. Żądam jedynie, aby armie, które były posłuszne Pompejuszowi, opuściły Hiszpanię i by ich dowódcy rozpuścili żołnierzy na granicy Galii Narbońskiej, nad brzegiem Varu. Jeśli to uczynią, nikomu nie stanie się nic złego. Taki jest jedyny i ostateczny warunek zawarcia pokoju z mojej strony!

Żołnierze Afraniusza i Petrejusza po chwili rozterki klękają, niektórzy zaczynają wznosić okrzyki na cześć Cezara, żądając, aby on był arbitrem w sporze pomiędzy nimi a ich dowódcami. Żądają dla siebie żywności i zaległego żołdu.

Cezar wyciąga ramię. Musi być człowiekiem, który rozsądza i zaprowadza pokój, jednoczy i doprowadza do pojednania.

- Żołnierze mają zostać opłaceni - mówi. - Należy rozdać im żywność, a nawet oddać przedmioty, które zostały zabrane podczas walk, wypłacając też odszkodowania tym żołnierzom moich legionów, którzy te przedmioty zdobyli.

Teraz, gdy Hiszpania została spacyfikowana i najważniejsze miasta, Gades i Kordoba, oraz wszystkie municypia odnawiają przysięgi wierności, Cezar może już wracać, po drodze przyjmując kapitulację Massalczyków, których rozwój sytuacji w Hiszpanii przekonał o rychłej klęsce Pompejusza.

Cwałuje otoczony dziewięcioma setkami jeźdźców swojej osobistej gwardii. Kończy się lato roku 49. W Galii Narbońskiej znów padają deszcze, ale cóż znaczą niepogody! Nie może sobie pozwolić na postój, kurier oznajmił mu bowiem właśnie, że lud Rzymu z

inicjatywy konsula Lepidusa wyznaczył go na dyktatora. Otrzymuje więc w majestacie prawa władzę w Rzymie na czas nieograniczony!

Przekracza Alpy, wraca do Galii Przedalpejskiej. Deszcze nie ustają, kopyta koni ślizgają się po kamiennych płytach Via Cassia. Nie zwraca uwagi na ulewy. Nie czuje zmęczenia. Rozmyśla o tym, co zrobi, kiedy znajdzie się w Rzymie, będzie to zapewne początek grudnia roku 49. Mianuje wtedy swoich zaufanych ludzi: Lepidusa, by zarządzał Hiszpanią, a Decymusa Brutusa na prokonsula Galii. Postara się też uregulować kwestię długów, które przyniatają większość obywateli Rzymu. Chce rozwiązania korzystnego dla zadłużonych, które jednak zarazem nie zrujnuje wierzycieli. Chce zaprowadzić pokój, odbudować zaufanie, uspokoić najbiedniejszych, odczuwających skutki zwyżki cen zboża spowodowanej tym, że obfitujące w zboże prowincje znalazły się w rękach Pompejusza.

Zrobi to wszystko jako dyktator, potem zaś każe się wybrać na konsula. I jako urzędnik pełniący oficjalną funkcję wyruszy do Brundyzjum, stamtąd zaś popłynie pokonać Pompejusza w Grecji.

Takie są jego plany.

Pewien jest ich realizacji. Czyż w ciągu kilku zaledwie miesięcy nie przepędził zwolenników Pompejusza z Italii i z Rzymu, nie ujarzmił jego sił w Hiszpanii i nie podporządkował sobie wszystkich miast, włącznie z najbardziej krnąbrną Massalią, która pozbawiona została teraz całej swej potęgi, utraciła niepodległość i okupowana jest przez dwa legiony? Rzym raz jeszcze pokonał spadkobierczynię Grecji!

Czuje się dumny ze swych zwycięskich kampanii, przeprowadzanych z szybkością błyskawicy, a przy tym bez użycia niepotrzebnej siły.

To dzięki niemu po dziesięcioleciach zamieszek Rzym odzyska pokój i jedność, wielkość i chwałę.

Naraz widzi chorążego i dwóch legatów jadących mu na spotkanie. Są zdyszani i oblepieni błotem. Natychmiast otaczają ich jeźdźcy germańscy i galijscy z jego gwardii. Czemu chcą?

- Twoje legiony, Gajuszu Juliuszu Cezarze, które niedawno przybyły z Hiszpanii, zbuntowały się i grożą przejściem na stronę Pompejusza! Zwłaszcza legion jedenasty i legiony stacjonujące w Placencji, które przeznaczyłeś na twe przyszłe kampanie...

Pragnie być niewzruszony, siedzi na koniu z rękami założonymi na plecach. Jaką to nową próbę zsyłają na niego bogowie? Czy chcą mu pokazać, że nic nie zostało zdobyte raz na zawsze, a każdy śmiertelnik jest tylko zabawką w ich rękach?

Bo skoro nie może już być pewien tych legionów, to sam już nic nie znaczy. Zawsze dbał, aby im dogadzać, suto je opłacać, obsypywać honorami i nagrodami za każdy akt odwagi. Czują się pewnie rozgoryczeni, żal im, że nie mogli grabić miast w Hiszpanii ani mordować przeciwników, by zagarnąć ich majątek, że ominęły ich ogromne bogactwa Massalii, że musieli uszanować życie i dobytek jej mieszkańców. I już nie chcą wyruszać na odległe pola bitew, gdzieś za morzami.

Nie może się na to zgodzić! Ci żołnierze muszą poznać, co znaczy gniew Cezara!

Ściąga cugle i jedzie do Placencji.

Stoją tu zgromadzeni przed nim centurionowie i legioniści. Był wobec nich hojny, a oni w zamian zaprzysięgli mu wierność. I teraz pogwałcili swoją przysięgę, buntują się, mówią, że nie opuszczą Placencji, nie zaokrętują się w Brundyzjum, by płynąć do Dyrrachium. A może ich niezadowolenie podsycali agenci Pompejusza i senatorowie, którzy do niego uciekli?

Przejeżdża między szeregami żołnierzy. Już przeprowadził wywiad. Wraz z legatami i trybunami zidentyfikował stu dwudziestu prowodyrów, a wśród nich z tuzin najważniejszych przywódców buntu. Ludzi tych należy ukarać, nie okazując najmniejszej słabości. Nie ma tu miejsca na pobłażliwość, zostaną skazani na śmierć!

Najpierw należy do nich przemówić, dając upust pogardzie i wzburzeniu.

- Chcecie zdezerterować! - woła. - A nawet chcecie przyłączyć się do armii człowieka, który ściąga niebezpieczeństwo na Rzym? Dobrze więc, porzućcie moje znaki, wy... nie wiem nawet, jak was nazwać! Kto chciałby trzymać takich żołnierzy! Lecz nie wyobrażajcie sobie, że Gajusz Juliusz Cezar pozwoli wam postępować wedle waszego widzimisię! Interesy republiki muszą być zabezpieczone. Podobnie jak i moje interesy, które zresztą nie różnią się od interesów republiki. Hańba wam!

Patrzy na tych odważnych ludzi, którzy naraz wydają się wystraszeni, klękają, błagają o wybaczenie.

Musi karać. Nakazuje ciszę. Odczyta sto dwadzieścia imion buntowników i każe spośród nich wylosować dwunastu, którzy zostaną skazani na śmierć.

- Taka jest kara i tak daleko sięga moja łaska! Jedynie dwunastu spośród was zostanie ukaranych. Dziesiętkowani zostaną tylko uczestnicy buntu!

Trybun wojskowy wręcza mu listę, na której zaznaczone są już przysze ofiary.

On decyduje o życiu i śmierci. Skazani na śmierć występują z szeregu, spuszczaają głowy. Jeden z nich krzyczy coś i gestykułuje. Woła, że nie było go w obozie podczas buntu, że padł ofiarą zemsty centuriona!

- Niech to zbadają - mówi Cezar. - I ten, który skłamał, zginie. Żołnierze wiwatują na jego cześć.

Tak się właśnie przewodzi ludziom.

Opuszcza Placencję po wydaniu legionom rozkazu marszu do Brundyzjum, gdzie wsiądą na okręty do Grecji, aby tam pokonać Pompejusza. Wie, że ma tylko kilka dni na realizację swoich projektów w Rzymie. Ale kto ośmieli mu się przeciwstawić? Ani nobilowie, którym nie wolno będzie posiadać więcej niż piętnaście tysięcy sesterców, ani wierzyciele, mimo że Cezar postanowił oszacować dobra ich dłużników według ceny, jaką osiągnęły na początku wojny domowej, tak żeby nie było można wszystkiego przejąć za bezcen.

Chce przejść pieszo przez Forum w otoczeniu swej gwardii osobistej, pozwalając plebsowi wyrażać podziw i wznosić wiwaty. Lud zbiera się w komicjach. Wybiera go na konsula na rok 48, drugim konsulem będzie Publiusz Serwiliusz Izauryk.

Odtąd Cezar reprezentuje prawo Rzymu. Wszyscy, którzy mu się sprzeciwiają, są buntownikami! Będzie dyktatorem zaledwie przez jedenaście dni. Może - nie budząc oporu - zawładnąć wszystkimi zgromadzonymi w świątyniach ofiarami, będzie je można sprzedać albo przetopić. I chce, żeby wybito monety z jego imieniem oraz wizerunkiem, na jednej stronie ma być napis IMP II - imperator po raz drugi.

- Pragnę - mówi do Emiliusza - żeby mój wyjazd z Rzymu obchodzony był z takim przepychem jak triumf!

Potrzuje teraz wdzięczności ludu.

Trzeba rozdawać zboże, pieniądze. Tłum ciśnie się na Forum, gdzie augurowie wypatrują sprzyjających znaków. Nie ma więc znaczenia, gdy kania wypuszcza z dzioba wieniec laurowy prosto na głowę jednego z Galów z jego gwardii osobistej. Gdy jednak byk przeznaczony na ofiarę ucieknie, stanowi to dowód siły Gajusza Juliusza Cezara!

Cezar słucha owacji i okrzyków plebsu. On, konsul Rzymu, imperator i *pontifex maximus*. Pokona Pompejusza. Czyż wówczas nie będzie dorównywał królom, a nawet bogom?

Opuszcza Forum, a za nim idzie tłum, który odprowadza go aż do bram willi. Dziewięciuset jeźdźców gwardii tworzy pomiędzy nim a tłumem silną barierę.

Lubi ciała tych Germanów i Galów, których podbił i którzy teraz mu służą, ku jego chwale i ku chwale Rzymu.

## **Rozdział 44**

Za całą broń mamy tylko kamienie.  
Cesarze! A tam są tysiące łuczników!

Cezar obchodzi nabrzeża portu w Brundyzjum, gdzie przycumowane są galery. Często przystaje. Wyobraża sobie tych centurionów, piechurów, jeźdźców, jak będą się ładować na okręty. Przygląda się falom, które są tak wysokie, że przelewają się ponad falochronami, okręty unoszą się i ich kadłuby z głuchym odgłosem zderzają o siebie nawzajem. Cezar idzie dalej, schylony, smagany porywistym wiatrem pierwszych dni stycznia roku 48.

Jest od dwóch dni w Brundyzjum. Przypomina sobie okrzyki ludu rzymskiego, który biegł za jego eskortą, skandując *Pax Pax*. Plebs nie chce wojny domowej. Boi się głodu, podwyżek cen zboża, bezkarnych hord żołnierzy, którzy będą kraść, zabijać i gwałcić. A zaraz po przyjeździe tutaj odczuł niechęć żołnierzy.

Przemierzył aleje obozu, w którym zgromadziło się dwanaście legionów i cała jazda. Centurionowie, nawet ci najbardziej zaprawieni w bojach, nie ukrywali swoich obaw. Pokazywali niskie chmury, ciemne, ciężkie fale i okręty Pompejusza pojawiające się o kilka kabli od brzegu. Blisko sześćset takich okrętów pruje fale Adriatyku między Italią i Grecją, a dowodzi nimi Bibulus, zdecydowany zemścić się za wszystkie upokorzenia, jakich doznał, gdy był konsulem razem z Cezarem.

Cezar wskakuje na jedną z galer. Chwyta się takielunku, wchodzi na mostek i wpatruje w horyzont, gdzie łączy się morze i niebo.

Jeśli nie podejmie ryzyka przeprawy i nie stawi czoła Pompejuszowi, to jaki sens miało wszystko, co osiągnął do tej pory? Skoro bogowie pozwolili mu zejść tak daleko, to on miałby teraz zrezygnować tylko dlatego, że wiatr jest silny, morze wzburzone, a flota nieprzyjaciela groźna?

Chodzi po pokładzie. Nie zdoła zaokrętować całego swego wojska, uda się może zabrać piętnaście tysięcy piechoty i pięciuset jezdnych. Jeśli jednak przepłynie, pomimo sztormów i czatujących nań okrętów Bibulusa, to dowiedzie wszystkim, że chronią go bogowie Jowisz, Fortuna i Venus Victrix.

Zwraca się do legionów zebranych na placu obozowym. Z wysokości mównicy góruje nad masą żołnierzy zgromadzonych wokół swych orłów i znaków, wyczuwa niepokój tych ludzi. Musi ich upewnić, pociągnąć za sobą, rozbudzić ich fantazję.

- Zbliżamy się już do kresu naszych prób i wyrzeczeń. Mamy zamiar zaproponować pokój. Musimy jednak w tym celu przepłynąć przez morze. Postanowiłem tak, ponieważ wiem, że bogowie nam sprzyjają... Zostawcie tutaj, w Italii, niewolników i bagaże, gdyż

okrętując się bez obciążenia, umożliwicie przetransportowanie większej liczby żołnierzy. W ten sposób zapewnimy przestrzeganie prawa Rzymu. Ufajcie w zwycięstwo i w moją hojność!

Cisza, gdy skończył, zdaje się trwać zbyt długo. Potem nagle słychać głos jednego z centurionów, po chwili przyłączają się do niego tysiące innych głosów.

- Niech Cezar rozkazuje, co zechce! Wszystko, co rozkaże, zostanie bez najmniejszego wahania wykonane.

Noc. Wiatr. Fale... I naraz brzeg Epiru rozjaśniony wschodzącym słońcem. Ani jednego nieprzyjacielskiego okrętu na horyzoncie. Podnoszą żagle, by wykorzystać bryzę wiejącą w stronę lądu. Żołnierze krzyczą z radości, zeskakują na pustą rozległą plażę. Trzeba wysłać jazdę na zwiady. Znajdują się w pobliżu Palaeste.

- Uformować kohorty! - woła Cezar.

Jego straż zebrała się wokół niego. Pomaszerują w stronę Dyrrachium i otoczą Pompejusza. Zmuszą, by walczył albo się poddał.

Cezar cwałuje z wysoko podniesioną głową. Nawet się nie odwraca, kiedy Emiliusz informuje go, że flota Bibulusa płynie wzdłuż brzegu i atakuje galery.

- Jesteśmy już tutaj - mruczy Cezar. - Bogowie otworzyli nam przejście.

- Bibulus zgromadził razem wszystkie załogi okrętów, które wpadły mu w ręce, i wszystkich, niewolników, mężczyzn, nawet dzieci, poddał najokrutniejszym torturom, a potem kazał zamordować.

Cezar nie czuje nic. Bibulus się mści. Szaleje, że nie udało mu się przeszkodzić legionom Cezara w lądowaniu w Epirze. Ale to nie ma żadnego znaczenia.

Imperator patrzy na Emiliusza: wie, że zaskoczy go, dyktując mu list do Pompejusza, który obmyśla już od chwili wyjazdu z Rzymu, odkąd słyszał tłum wołający: „Pokój! pokój!”, odkąd dostrzegł znużenie swoich legionów. On, który reprezentuje prawo Rzymu, powinien wszystkim pokazać, że chce uniknąć wojny domowej. Czy Emiliusz pojmie, że Pompejusz, przekonany o zwycięskim dla siebie zakończeniu tej wojny, i tak odmówi?

Dyktuje:

„Pompejuszu! Powinniśmy obaj, ty i ja, położyć kres naszemu zatargowi, odłożyć broń i nie kusić już Fortuny. Poniesione straty powinny posłużyć nam za lekcję i przestrożę wystarczającą, aby obawiać się dalszych... Nadszedł czas, by pomyśleć wreszcie o republice i naszym własnym losie! Najlepszy moment do negocjacji pokojowych to ten, gdy przeciwnicy czują się jeszcze równi pod względem nadziei i sił. W interesie republiki i w naszym własnym leży, aby się zobowiązać przysięgą, a także przed ludem do rozpuszczenia wojsk w ciągu

trzech dni...”

Urywa, spogląda na Emiliusza, który wpatruje się w niego ze zdziwieniem w oczach.

„Aby lepiej przekonać Pompejusza - kontynuuje - byłbym gotów zwolnić całą moją armię lądową, włącznie z garnizonami miejskimi”.

- Ty, Gajuszu Juliuszu Cezarze, ty? - wykrzykuje Emiliusz.

Mógłby mu się przyznać, że ten list i te propozycje stanowią jedynie podstęp i że trzeba nie tylko rozpocząć marsz w kierunku Dyrrachium, ale także poprosić Antoniusza, który pozostał w Brundyzjum, by on także spróbował się przeprawić z posiłkami przez morze. Woli jednak milczeć, daje tylko znak wojsku, by ruszało w drogę.

Nie należy się jednak z góry wyrzekać możliwości zwycięstwa bez walki. Przemierza linie okopów i umocnień, które kazał zbudować na długości przeszło trzydziestu mil wokół pozycji Pompejusza. Opuścił on miasto Dyrrachium i rozłożył się w Petreli na równinie, którą płynie rzeka Apsus. Wie, że jego żołnierze rozmawiają z żołnierzami Pompejusza i że uzgodnili, żeby podczas tych rozmów nie atakować się nawzajem. Cezar chce pójść jeszcze dalej. Wojna domowa podzieliła przecież krewnych i towarzyszy broni, wszystkich obywateli Rzymu! Niech się spotkają! Sam przygląda się ze wzgórza tym pertraktacjom. Wśród zwolenników Pompejusza rozpoznaje Labienusa i przeczuwa, że nie zostanie zawarta żadna ugoda. Labienus zdradził go na rzecz Pompejusza, musi więc najbardziej obawiać się pokoju. Nie ma gorszego wroga niż dawny przyjaciel.

Cezar nie jest więc zdziwiony, gdy z obozu przeciwnika zaczynają lecieć strzały i kamienie. Słyszy też głos Labienusa, który woła: „Przestańcie wreszcie mówić o pokoju! Pokój mógłby zostać zawarty jedynie za cenę głowy Cezara!”

Trzeba więc walczyć.

Cezar dziwi się, czemu dotąd nie dotarł Antoniusz z posiłkami. Czemu nie wypłynęli z Brundyzjum? Obawiali się sztormu czy floty Bibulusa? A może legiony, które zostały w Italii, odmówiły wyruszenia za morze, gdy się dowiedziały, że w Afryce wojska Kuriona zostały pokonane, a on sam zabity przez legiony Pompejusza. Ludzie wierzą tylko w siłę.

Musi się dowiedzieć, co się stało, uda się sam do Brundyzjum.

To nierozważne, bo morze jest wzburzone, a patrole nieprzyjacielskie liczne. Mimo to jednak wsiada z garstką ludzi na okręt. Zawinięty w płaszcz siedzi na rufie jak żołnierz wśród innych żołnierzy. Fale są jednak gwałtowne, okrętowi grozi zatonięcie, kapitan waha się, czy płynąć dalej. Wtedy wtrąca się Cezar:

- Niczego się nie bój - mówi. - Masz na swoim pokładzie Gajusza Juliusza Cezara, którego strzegą bogowie. Płyn, przeżyjesz, ponieważ ja tu jestem.

Lecz morze jest zbyt wzburzone. Trzeba zawrócić.

Wraca do obozu i tu czuje się naprawdę zaniepokojony. Dowiaduje się, że dwaj jeźdźcy z plemienia Allobrogów, którzy służyli mu od początku wojny w Galii, razem z oddziałem jazdy galijskiej przeszli na stronę Pompejusza. Co im obiecano? Czy byli znużeni wyrzeczeniami, brakiem łupu, skąpym pożywieniem, w którym zamiast chleba żołnierze dostają mieszankę roztartych korzonków i mleka? A mimo to większość legionistów powtarza, że „wolą jeść korę z drzew, niż pozwolić Pompejuszowi się wymknąć”! Jednakże ci szlachetni Galowie nie dochowują wierności, służą po prostu temu, kto da więcej. Pompejuszowi nie brak zboża i pieniędzy, toteż sądzą niewątpliwie, że to on wygra. A że mogą mu odkryć sekrety umocnień Cezara, z pewnością zapłacono im dużo.

Na szczęście przybywają w końcu posiłki z Antoniuszem! Uciekli flocie Pompejusza i mówi się, że Bibulus zmarł, ponieważ po raz drugi nie udało mu się wywiązać z misji patrolowania morza.

Cezar nie czuje się jednak spokojny. Zdaje mu się, że bogowie chcą go znowu wystawić na próbę.

Dokonuje inspekcji umocnień. Ma wrażenie, że nie udaje mu się natchnąć żołnierzy ufnością. Ludzie nie mają odwagi spojrzeć mu w oczy, jakby się bali, że ich spojrzenie ujawni cały ich strach.

Wspina się na wzniesienie, aby lepiej obejrzeć całość frontu. I niebawem zaczyna słyszeć okrzyki niesione przez wiatr od morza. To wojska Pompejusza atakują w miejscu, gdzie fortyfikacje nie są jeszcze ukończone. Chce się tam udać, musi jednak poruszać się pod prąd tłumy uciekających legionistów, którzy krzyczą, że żołnierze Pompejusza przybyli na lekkich statkach, że nic ich nie

- Ty, Gajuszu Juliuszu Cezarze, ty? - wykrzykuje Emiliusz.

Mógłby mu się przyznać, że ten list i te propozycje stanowią jedynie podstęp i że trzeba nie tylko rozpocząć marsz w kierunku Dyrrachium, ale także poprosić Antoniusza, który pozostał w Brundyzjum, by on także spróbował się przeprowadzić z posiłkami przez morze. Woli jednak milczeć, daje tylko znak wojsku, by ruszało w drogę.

Nie należy się jednak z góry wyrzekać możliwości zwycięstwa bez walki. Przemierza linie okopów i umocnień, które kazał zbudować na długości przeszło trzydziestu mil wokół pozycji Pompejusza. Opuścił on miasto Dyrrachium i rozłożył się w Petreli na równinie, którą



płynie rzeka Apsus. Wie, że jego żołnierze rozmawiają z żołnierzami Pompejusza i że uzgodnili, żeby podczas tych rozmów nie atakować się nawzajem. Cezar chce pójść jeszcze dalej. Wojna domowa podzieliła przecież krewnych i towarzyszy broni, wszystkich obywateli Rzymu! Niech się spotkają! Sam przygląda się ze wzgórza tym pertraktacjom. Wśród zwolenników Pompejusza rozpoznaje Labienusa i przeczuwa, że nie zostanie zawarta żadna ugoda. Labienus zdradził go na rzecz Pompejusza, musi więc najbardziej obawiać się pokoju. Nie ma gorszego wroga niż dawny przyjaciel.

Cezar nie jest więc zdziwiony, gdy z obozu przeciwnika zaczynają lecieć strzały i kamienie. Słyszy też głos Labienusa, który woła: „Przestańcie wreszcie mówić o pokoju! Pokój mógłby zostać zawarty jedynie za cenę głowy Cezara!”

Trzeba więc walczyć.

Cezar dziwi się, czemu dotąd nie dotarł Antoniusz z posiłkami. Czemu nie wypłynęli z Brundyzjum? Obawali się sztormu czy floty Bibulusa? A może legiony, które zostały w Italii, odmówiły wyruszenia za morze, gdy się dowiedziały, że w Afryce wojska Kuriona zostały pokonane, a on sam zabity przez legiony Pompejusza. Ludzie wierzą tylko w siłę.

Musi się dowiedzieć, co się stało, uda się sam do Brundyzjum.

To nierozważne, bo morze jest wzburzone, a patrole nieprzyjacielskie liczne. Mimo to jednak wsiada z garstką ludzi na okręt. Zawinięty w płaszcz siedzi na rufie jak żołnierz wśród innych żołnierzy. Fale są jednak gwałtowne, okrętowi grozi zatonięcie, kapitan waha się, czy płynąć dalej. Wtedy wtrąca się Cezar:

- Niczego się nie bój - mówi. - Masz na swoim pokładzie Gajusza Juliusza Cezara, którego strzegą bogowie. Płyn, przeżyjesz, ponieważ ja tu jestem.

Lecz morze jest zbyt wzburzone. Trzeba zawrócić.

Wraca do obozu i tu czuje się naprawdę zaniepokojony. Dowiaduje się, że dwaj jeźdźcy z plemienia Allobrogów, którzy służyli mu od początku wojny w Galii, razem z oddziałem jazdy galijskiej przeszli na stronę Pompejusza. Co im obiecano? Czy byli znużeni wyrzeczeniami, brakiem łupu, skąpym pożywieniem, w którym zamiast chleba żołnierze dostają mieszankę roztartych korzonków i mleka? A mimo to większość legionistów powtarza, że „wolą jeść korę z drzew, niż pozwolić Pompejuszowi się wymknąć”. Jednakże ci szlachetni Galowie nie dochowują wierności, służą po prostu temu, kto da więcej. Pompejuszowi nie brak zboża i pieniędzy, toteż sądzą niewątpliwie, że to on wygra. A że mogą mu odkryć sekrety umocnień Cezara, z pewnością zapłacono im dużo.

Na szczęście przybywają w końcu posiłki z Antoniuszem! Uciekli flocie Pompejusza i

mówi się, że Bibulus umarł, ponieważ po raz drugi nie udało mu się wywiązać z misji patrolowania morza.

Cezar nie czuje się jednak spokojny. Zdaje mu się, że bogowie chcą go znowu wystawić na próbę.

Dokonuje inspekcji umocnień. Ma wrażenie, że nie udaje mu się natchnąć żołnierzy ufnością. Ludzie nie mają odwagi spojrzeć mu w oczy, jakby się bali, że ich spojrzenie ujawni cały ich strach.

Wspina się na wzniesienie, aby lepiej obejrzeć całość frontu. I niebawem zaczyna słyszeć okrzyki niesione przez wiatr od morza. To wojska Pompejusza atakują w miejscu, gdzie fortyfikacje nie są jeszcze ukończone. Chce się tam udać, musi jednak poruszać się pod prąd tłumy uciekających legionistów, którzy krzyczą, że żołnierze Pompejusza przybyli na lekkich statkach, że nic ich nie może powstrzymać, że hełmy owinęli wikliną, co chroni je przed kamieniami. A jeden z żołnierzy woła:

- Za całą broń mamy tylko kamienie, Cezarze! A tam są tysiące łuczników!

Cezar rozkłada ramiona, usiłując zatrzymać ogarniętych paniką, uciekających ludzi. I to mają być jego legioniści, chorążowie, centurionowie! Podbiega do jednego, wrywa mu sztandar, ale żołnierz zaczyna walczyć, używając drzewca jak broni. Cezarowi grozi więc śmierć zadana ręką jednego z jego własnych żołnierzy... Nagle jednak człowiek ów osuwa się z podciętych gardłem. Zabił go jeden z centurionów gwardii. Cezar posuwa się dalej. Widzi trupy swoich żołnierzy piętrzące się w rowach. Nie zostali zranieni w walce, zostali stratowani przez swoich towarzyszy broni albo konie pędzące bez jeźdźców w panice. Trzeba się wycofać, by nie ryzykować dostania się do niewoli. Odczuwa wzbierające w nim jednocześnie uczucia wstydu i wściekłości.

On nie może jednak zostać pokonany! Właśnie w wieczór po przegranej bitwie poznaje się wartość wodza.

Zbiera wojska. Musi wydawać się spokojny i pewny siebie. Żołnierze muszą czuć, że nie opuściła go zwykła ufność w Fortunę.

- Dobro wyniknie ze zła - woła - tak jak było pod Gergowią! I tchórze sami będą prosili, aby iść do walki! Przypomnijcie sobie Alezję! Ja potrafię wybaczać - mówi. - Ale ci, którzy porzucili swoje znaki, muszą zostać ukarani! Nie będą już mieli zaszczytu noszenia rzymskich orłów.

Zwraca się do jednego z centurionów, któremu udało się zbiec z obozu Pompejusza:

- Opowiedz, co widziałeś tam, skąd przybywasz... Żołnierz waha się. Cezar go zachęca, słucha.

Chce, aby strach przed nieprzyjacielem był tak wielki, że żołnierze będą woleli zginąć, niż dostać się do niewoli.

- Labienus - mówi Cezar, powtarzając głośno relację centuriona - człowiek, który mnie zdradził, postarał się, aby dostali mu się wszyscy jeńcy. Znał wcześniej niektórych spośród nich i nazywał ich „towarzyszami”. Kazał im defilować przed sobą, natrząsał się z nich, pytając, czy zwyczajem weteranów jest rzucać się do ucieczki. A potem na oczach wszystkich kazał ich zamordować.

Pozwala, by nad obozem zapadła cisza. Po chwili któryś z centurionów woła: „Musimy się zemścić, zaatakujmy ich natychmiast!”

Podnosi się fala okrzyków, żołnierze wymachują mieczami. Cezar unosi rękę.

- Po Gergowii Alezja. Ale trzeba na to czasu...

Wojska Cezara opuszczają obóz w Petrze i idą na południe. Cezar odwraca się: obłok kurzu zakrywający słońce od zachodu, od strony morza, oznacza, że postępują za nimi wojska Pompejusza. Tak jak w Galii armia Wercyngetoryksa.

Trzeba maszerować szybciej, wysłać kurierów z rozkazami, aby wszystkie legiony zgromadziły się na równinie Farsalos, nad rzeką Eripeus. Tam właśnie zostanie wydana bitwa.

Wkraczają do Tesalii, zatrzymują się pod murami pierwszego miasta Gomfi. Trzeba przywrócić tym wygłodniałym żołnierzom wiarę w siebie. Trzeba im zaofiarować łupy, dobra i kobiety.

- Weźcie to miasto! - woła. - Jest bogate, pełno tam żywności. Wasz podbój sprawi, że wszystkie inne miasta Tesalii będą się bały i same otworzą przed wami bramy, bo od czasu waszej ucieczki nikt się już was nie boi.

Żołnierze rzucają się z rykiem do szturm. Kto mógłby oprzeć się ich furii, ich apetytowi? Widzi Germanów, którzy pierwsi wkraczają do miasta, potem słyszy okrzyki trwogi, uderzenia toporów w bramy.

Trzeba zostawić żołnierzom czas na obżarstwo, picie wina i gwałcenie kobiet, które często kończy się poderżnięciem gardła albo rozpruciem brzucha.

Wydaje rozkaz odjazdu. Kohorty formują się powoli. Żołnierze zataczają się, lecz nadal piją wino. Przymyka na to oczy. Wino sprawi, że zapomną o porażce! Będą wspominali zdobycie Gomfi, a nie niesławną ucieczkę.

Tak się właśnie dowodzi armią.

A teraz na równinie Farsalos przejeżdża powoli przed osiemdziesięcioma kohortami

ustawionymi w szeregi. Chciałby móc popatrzeć prosto w oczy każdemu z tych dwudziestu dwóch tysięcy ludzi. Chce ich początkowo ustawić w trzech liniach, ale potem wydaje rozkaz, aby z każdego legionu wycofać jedną kohortę i utworzyć z nich skośną linię czwartą, która zaskoczy nieprzyjaciela.

Cofa swego konia, bierze głęboki wdech. Jego głos musi dotrzeć aż do ostatniej linii, musi słyszeć go każdy żołnierz.

- Zwycięzycie, powiększając *dignitaf* Gajusza Juliusza Cezara i narodu rzymskiego. Jest z wami Venus Victrix, która nigdy mnie nie opuściła! Wiecie także, że zawsze o was dbałem, jeszcze macie w ustach smak wina z Gomfi! Podobnie jak wiecie też, że nigdy nie przelewałem na próżno krwi moich żołnierzy, waszej krwi. Zawsze dążyłem do pokoju. Lecz za całą odpowiedź otrzymaliśmy grad strzał. A kiedy okazałem łaskawość, zamordowano waszych towarzyszy! Teraz trzeba więc wygrać!

Okrzyki, niecierpliwość żołnierzy, którzy unosząc włócznie i miecze, robią krok do przodu, uspokajają go. Czeka, aż zapanuje znów cisza, potem rzuca:

- Uderzajcie wroga w twarz, a nie, jak to się zwykle robi, w nogi czy uda jeźdźców! Ci piękni tancerze, przystrojeni kwiatami, zazdrośnie dbają, by zachować swe twarze nienaruszone, nie zniosą więc błysku żelaza tak blisko swoich oczu. Żołnierze, uderzajcie w twarze!

Ruchem głowy daje znak, aby dąć w trąby. Widzi, jak podchodzi do niego centurion z dziesiątego legionu, Krastynus - dobrze znany mu z imienia i odwagi. Krastynus odwraca się do żołnierzy swojej centurii, krzyjąc:

- Wy, którzy byliście moimi żołnierzami, chodźcie za mną i okażcie zapał, jaki przyrzekliście naszemu wodzowi! Ta walka, ostatnia, jaką przychodzi nam stoczyć, jemu przywróci należne miejsce, a nam wolność! - Występuje o krok: - Imperatorze! Żywy albo martwy, dziś zasłużę na twoją pochwałę, Gajuszu Juliuszu Cezarze!

Po czym pierwszy rzuca się do ataku na prawym skrzydle, a za nim żołnierze jego centurii.

Cezar czuje, że unosi go potężna energia. Zwycięży! To będzie dzień klęski Pompejusza, tu, pod Farsalos w Tesalii, 9 sierpnia 48 roku.

Każe na nowo zadąć w trąby i daje rozkaz natarcia, tymczasem wojska Pompejusza pozostają ustawione w szyku, nieruchome. Pompejusz nie zrozumiał, że trzeba wykorzystać porywczosć i entuzjazm żołnierzy i że dźwięk trąbek oraz krzyki pobudzają ich do ataku.

Cezar idzie za wojskiem o kilka zaledwie kroków z tyłu. Rzuca rozkaz, aby się na

chwile zatrzymali dla nabrania oddechu, potem znowu ruszają, a trąbki ciągle grają!

Widzi, że lewe skrzydło kawalerii Pompejusza wreszcie się poruszyło, usiłując powstrzymać zalew napastników. Udaje im się to, zanurzają się w szyki jazdy Cezara i zaczynają brać górę.

Niech szarżują kohorty czwartej linii! Jazda Pompejusza zostaje powstrzymana. Zaczyna uciekać. Panika jest jak epidemia, która się rozprzestrzenia od lewego skrzydła armii po prawe, oddziały Pompejusza są w rozsypce. Nie wolno się teraz zatrzymywać!

- Żołnierze! Centurionowie! Wykorzystajcie okazję, jaką wam daje Fortuna, idźcie za Venus Victrix, trzeba zdobyć obóz Pompejusza!

Wszyscy pędzą w tamtym kierunku, obóz jest broniony jedynie przez barbarzyńskie wojska pomocnicze, Traków i kilku centurionów, którzy wkrótce znikają za pobliskimi górami.

Gdzie Pompejusz, Labienus, Katon, Marek Brutus, syn Serwili? Tego ostatniego należy oszczędzić, żeby włos mu z głowy nie spadł! To syn Gajusza Juliusza Cezara.

Cezar ogląda obóz Pompejusza. W namiotach wódzów odkrywa wielką ilość srebrnych naczyń. Obozowe aleje upiększają pawilony, podłoga namiotów pokryta jest świeżą darnią, niektóre namioty mają girlandy z bluszczu chroniące przed palącym słońcem.

Cezar czuje pogardę dla ludzi, którzy tak bezczelnie wierzyli w swoje zwycięstwo, że bardziej się troszczyli o to, by żyć w zbytku i wyrafinowaniu, niż by się przygotować do bitwy.

Ale to są obywatele Rzymu. Kiedy zostali już pokonani, należy im raczej okazać łaskawość.

Cezar rozkazuje żołnierzom Pompejusza, którzy schronili się w górach, aby zeszli na równinę i złożyli broń. Są posłuszni. Kłaniają się, z pokorą wyciągają ręce, błagając Gajusza Juliusza Cezara, by darował im życie.

- Jesteście obywatelami Rzymu, a ja jako konsul, imperator, *pontifex maximus*, i syn bogów pragnę jedynie wielkości Rzymu! Pozostawię was przy życiu ku większej chwale republiki.

Oddala się. Idzie między poległymi, których żołnierze ogoławają z broni, hełmów, kolczug. Ilu Rzymian poległo, może z piętnaście tysięcy? Pokazują mu przebite wieloma ciosami ciało Domicjusza Ahenobarbusa. To jedyny z wódzów po stronie Pompejusza, który zginął w walce. A oto czterech centurionów niesie zwłoki Krastynusa.

Cezar podchodzi bliżej. Trzeba zbudować stelę dla tego najdzielniejszego z żołnierzy i

niech cała armia zgromadzi się wokół jego szczątków, żeby wódz osobiście mógł go pośmiertnie uwieńczyć.

Wraca do obozu Pompejusza. Wchodzi do namiotu tego, który już się uważał za zwycięzcę. Tutaj w skrzyniach spoczywają wszystkie archiwa Pompejusza, listy z wyrazami poparcia od rzymskich senatorów, dowody zdrady jednych i sprzedajności innych. Wszystkie te dokumenty pozwoliłyby mu ścigać setki Rzymian swoją zemstą, proskrybować ich i skazywać - jak to czynił ze swoimi wrogami Sulla.

Ale on nie chce tego robić. Wzywa centurionów. Niech wyniosą archiwa, rozpalą wielkie ognisko i spalą to wszystko! Trzeba zakończyć wojnę domową, wszyscy powinni się pojednać i skupić wokół niego... Cezar będzie mógł wówczas poprowadzić Rzym, w którym zapanował pokój, ku jeszcze większej chwale.

Aby jednak osiągnąć ten cel, trzeba teraz, gdy wojna domowa jest wygrana, zgnieść do końca wszelkie zarzewie buntu. Należy ścigać Pompejusza, dopaść tych, którym - jak Katonowi czy Labienusowi - udało się zbiec i którzy nadal chcą walczyć.

Cezar siedzi w namiocie Pompejusza. Otwiera ramiona przed Markiem Brutusem, który przeszedł na jego stronę, który nareszcie wydaje się przekonany, że trzeba porzucić sprawę Pompejusza.

Oto Grecy, przedstawiciele miast Azji, którzy przybywają z wyrazami hołdu i opowiadają, że w świątyniach Antiochii, w Ptolemais i w Tralles w dzień bitwy pod Farsalos bogowie dali znak. Posągi się poruszyły, odwracając się w kierunku tesalskiej równiny. Słyszano także szczęk broni i dźwięk trąbek. „W świątyni Zwycięstwa”, informuje jeden z Greków, „wznosi się twój posąg, Cezarze! Ziemia na placu otaczającym świątynię jest zbita i do tego jeszcze wyłożona twardym kamieniem. I ujrzeliśmy, Gajuszu Juliuszu Cezarze, jak z tej ziemi wyrasta palma w stronę piedestału twojego posągu!”

Słucha. Jest równy bogom. Czemu miałby się jeszcze obawiać ludzi?

Wsiada na pokład niewielkiego okrętu, który wypływa na otwarte morze w otoczeniu kilku lekkich jednostek. Chce z tymi niewielkimi siłami dogonić Pompejusza, który, jak zapewniają szpiedzy, kieruje się w stronę Azji, Cypru, Egiptu.

Nie ucieknie, nic go nie będzie w stanie uratować!

Pełniący wachtę marynarz krzyczy, że ściga ich eskadra dziesięciu rzymskich okrętów.

Niech wykonują zwrot i kierują się w stronę jego okrętu! Jest zwycięskim konsulem i trybun dowodzący eskadrą musi mu się podporządkować.

- A jeśli odmówi - niepokoi się Emiliusz - jesteśmy tacy słabi, jego flota może nas

wszystkich zniszczyć...

- Kto wątpi, ten już jest pokonany - odpowiada Cezar. Idzie na dziób i woła donośnym głosem: - Jestem Gajusz Juliusz Cezar, imperator, konsul, *pontifex maximus* i zwycięzca Pompejusza. Trybunie, rozkazuję ci przejść na pokład mego okrętu i oddać twoją flotę pod moje rozkazy!

I trybun się ugina.

Cezar może teraz płynąć dalej w stronę Ilionu, gdzie znajdują się ruiny Troi. Jest w miejscu, gdzie urodzili się i żyli jego przodkowie. Kroczy wśród lasu kolumn i bloków marmuru. Przystaje, spuszcza głowę. Chce podziękować bogom za to, że dali życie jego rodowi i go chronili.

- Ogień przywieziony z tego miejsca nadal jeszcze płonie na ołtarzach Rzymu. Jestem potomkiem Juliuszów i kłaniam się przed waszymi ołtarzami, ja, *pontifex maximus* Rzymu, miasta, które wy założyliście...

Ma wrażenie, jakby każdy element, z którego składa się świat, znajdował swoje właściwie miejsce, tak aby mógł wreszcie zapanować porządek.

I on jest w centrum tego świata, jako pełniący najwyższą godność w najpotężniejszym z państw. Jak król? Wie, że obywatele Rzymu nie cierpią tego słowa i tej godności, ale tu, w miastach, do których przybył, szukając śladów Pompejusza, w Efezie, w miastach na Rodos czy na Cyprze, Grecy z Azji Mniejszej przyjmują go jak władcę, wielkiego kapłana, potomka bogów.

Na Cyprze dowiaduje się, że Pompejusz wyruszył w stronę Egiptu. Pewnie liczy na poparcie faraona Ptolemeusza XII, któremu pomógł kiedyś odzyskać tron. Czy nie wie, że faraon nie żyje od ponad trzech lat, a jego następcą, Ptolemeusz XIII, to trzynastoletni chłopiec, który jest w konflikcie ze swą siostrą Kleopatrą, starszą od niego o siedem lat, oraz ze swym bratem Ptolemeuszem XIV, a także najmłodszą siostrą Arsynoe. W praktyce decydujący wpływ na rządy mają jego doradcy: eunuch Potejnos i wódz Achilles.

- Oni go nie przyjmą - twierdzi Cezar - ja jestem zwycięzcą, będą się więc obawiali zemsty z mojej strony. Boją się, żebym się nie włączył do ich rozgrywek, i odrzucą prośby Pompejusza. Albo mi go wydadzą.

Decyduje się skierować swoją flotę w stronę Aleksandrii. Dnia 2 października 48 roku w czerwonej połodze jesiennego zmierzchu widzi port w Aleksandrii, gigantyczną latarnię morską, pałac faraona, wielkie budynki teatru i biblioteki. Ma wrażenie, że odkrył miasto równie wielkie jak Rzym, i czuje w związku z tym coś w rodzaju zawrotu głowy, złożonego z mieszaniny zdumienia i pożądania. Od dawna już uważa, że to miasto i cały Egipt muszą

zostać podporządkowane Rzymowi, aby nie został ślad dawnej wielkości tego miasta i tego państwa.

Schodzi na ląd w eskorcie liktorów, którzy mają torować mu drogę przez wrogi tłum. Wkracza do królewskiego pałacu. Widzi, jak zbliża się do niego mały człowieczek, zachowujący się służalczo, ale zarazem dumnie przemawiający. To sofista Teodotos, doradca faraona.

- Twój rywal Pompejusz nie żyje - obwieszcza mu w rozmowie. Cezara ogarnia radosne zdumienie. Jest więc panem! Wojna domowa dobiegła końca, będzie panował w Rzymie.

- Oficerowie rzymscy zamordowali go na oczach jego małżonki, tutaj, w porcie, na łodzi, która wiozła go na brzeg - ciągnie Teodotos.

- Rzymianie? - mruczy Cezar.

Teodotos kiwa głową. Niewątpliwie byli to Rzymianie na służbie faraona.

- Mówisz tak - kontynuuje Cezar - ale słowa nieść mogą zarówno prawdę, jak i kłamstwo. Kto pozwoli mi rozstrzygnąć, co z prawdy jest w tym, co mówisz?

Teodotos wzywa niewolnika, który ustawia przed Cezarem niewielkich rozmiarów pudełko. Cezar je otwiera. Odruchowo cofa się ze wstrętu. To głowa Pompejusza, już zgniła! Jest tu też jego pierścień, z lwem trzymającym w łapie miecz. Cezar bierze pierścień. Trzeba będzie go posłać do Rzymu, aby rozproszyć wątpliwości co do śmierci Pompejusza.

Potem się odwraca, nie chce już patrzeć na tę głowę. Gestem odpędza Teodotosa, tego „złoczyńcę”. Powinien okazać smutek na wieść o śmierci wielkiego Rzymianina. Powinno się rozejść, że był wstrząśnięty i powiedział, iż każe szukać zabójców Pompejusza.

Mówi głosem pełnym przejęcia:

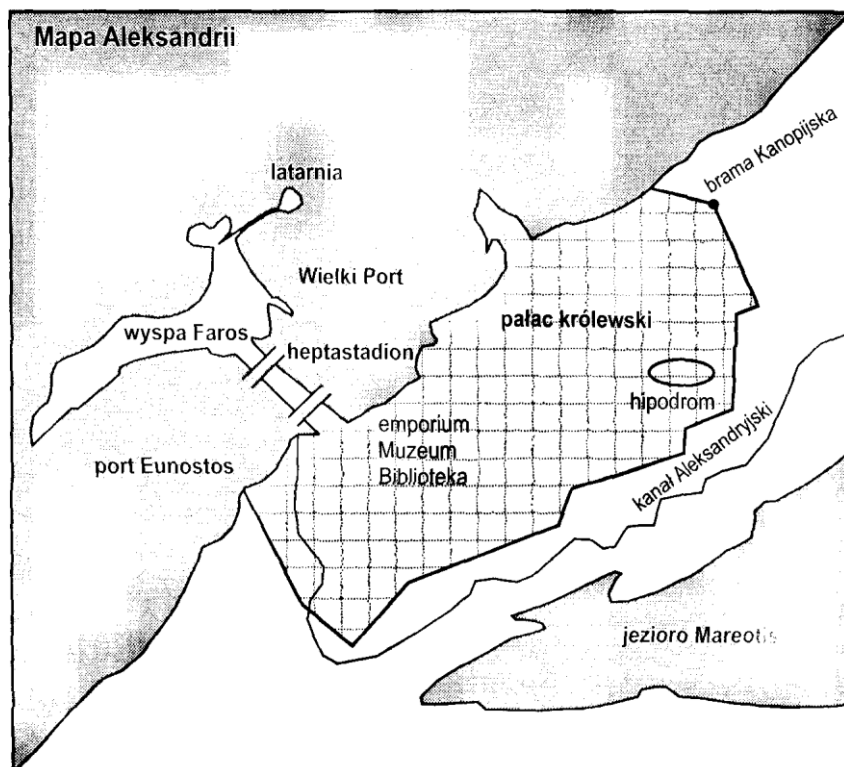
- Ta zdradziecka śmierć zostanie pomszczona...

Wolałby mieć okazję do okazania łaski w stosunku do Pompejusza. Ich pojednanie wzmocniłoby republikę. Trzeba głowę Pompejusza pochować w świątyni Nemezis, bogini zemsty.

Wpatruje się w brązowe wody Nilu. Chodzi po wielkich salach pałacu królewskiego z ogromnymi kolumnami. To ziemia, która była świadkiem narodzin bogów i królów.

Czuje się tu dobrze. Czyż sam nie jest jednym spośród nich?





## Rozdział 45

Jej ramiona są nagie, poruszając nimi tanecznym ruchem wokół ciała, mówi, że jest  
Kleopatry, siostrą Ptolemeusza XIII...

Cezar chce poznać Aleksandrię, miasto założone przez zdobywcę, o którego kolejach losu tak często rozmyślał. Ma świadomość, że dorównuje już teraz sławą królowi Macedonii. Czując z tego powodu coś w rodzaju spokojnego upojenia.

Wychodzi z pałacu. Natychmiast gromadzi się tłum, z którego w jego stronę zaczynają lecieć kamienie. Wydaje straży rozkaz rozpędzenia zbiegowiska. Nie wolno pobłażać aleksandryjskiemu motłochowi, który morduje zabłąkanych legionistów i daje schronienie zbiegłym niewolnikom oraz dezerterskim z legionów. Egipt wciąż pozostaje niezależnym królestwem, więc mogą się tu ukrywać ludzie ścigani przez rzymskie prawo. To powinno się zmienić. Ten, kto podporządkuje sobie Egipt, będzie miał w ręku ogromne bogactwa tego kraju o licznych świątyniach, będzie też kontrolował jeden ze spichlerzy Rzymu.

Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego Cezar przekonany jest, że musi podbić królestwo faraonów i to miasto: ponieważ on sam wywodzi się z dynastii założycieli cesarstwa, on także pochodzi od bogów. Przemierzając Aleksandrię podzieloną na kwartały długimi, przecinającymi się pod kątem prostym ulicami, Cezar ma wrażenie, że idzie w ślady

swych sławnych poprzedników, wielkich faraonów i Aleksandra. Czuje, że ogarnia go atmosfera tego wyzłoczonego jesiennym słońcem miasta.

Jedzie do bramy Kanopijskiej. Ogląda ogromny hipodrom i kanał biegnący wokół miasta. Potem wraca tą samą drogą, jedzie wzdłuż nabrzeży dwóch portów osłanianych przez wyspę Faros. Są one oddzielone od siebie groblą, na której mieszczą się wielkie budowle heptastadionu. Po obu krańcach grobli dwa wielkie mosty łączą wybrzeże z wyspą Faros. Okręty przepływają pod ich przęsłami między portem Eunostos (Gościnnym) a Wielkim Portem. Z Faros wąski falochron pozwala dotrzeć na małą wysepkę, gdzie wznosi się gigantyczna, stumetrowa latarnia morska.

Cezar nie potrafi przestać myśleć o Aleksandrze. Wchodzi do Muzeum i Biblioteki, liczącej wedle zapewnień starych Greków, których o to indaguje, przeszło czterysta tysięcy zwojów. Robi na nim wrażenie bogactwo różnych towarów w emporium, widoczna na każdym kroku świetność. Oczarowany jest także urodą tego miejsca i łagodnością powietrza.

Jest w mieście Aleksandra. Pragnie je zdobyć, uczynić z niego element swojej potęgi i źródło swego bogactwa, dzięki niemu bardziej podporządkować sobie Rzym, ale i zarazem przydać republice jeszcze jedną prowincję o wielkim znaczeniu. Morze Śródziemne stanie się odąd morzem rzymskim, „naszym morzem”, *mare nostrum*.

W tym celu należy jednak działać z determinacją i zręcznością, nie dać się zwieść grzecznościami okazywanymi przez doradców faraona: Potejnosa, Achilasa, Ganimedesa i Teodotosa. Należy zażądać przysłania posiłków z Azji w sile kilku legionów. Nawiązać stosunki z Żydami Antypatrem i Hirkanem, administratorem i wielkim kapłanem Judei, którzy byli wrogami Pompejusza od czasu, gdy tamten zburzył Jerozolimę. Należy także odwołać się do barbarzyńskich wojsk przybyłych z królestwa Mitrydatesa. Bo do pięciuset tysięcy wrogo nastawionych mieszkańców Aleksandrii dodać należy armię Achilasa, liczącą dwadzieścia tysięcy żołnierzy, często dawnych żołnierzy rzymskich, którzy zapomnieli o Rzymie i rzymskiej dyscyplinie, w większości pożenili się tutaj i mają dzieci. Do tego dochodzi jeszcze zbieranina złodziei i rozbójników z Syrii, Cylicji i sąsiednich krain, zbiegłych niewolników, zbrodniarzy skazanych na karę śmierci i proskrybowanych. A on, by stawić czoło temu motłochowi i armii, ma u boku zaledwie sześć tysięcy żołnierzy.

Przetrzymuje Ptolemeusza XIII w pałacu królewskim. Każe zbudować szańce, podczas gdy tłum nęka legionistów, otacza pałac i buntuje się przeciwko temu obcemu, który przetrzymuje faraona jako zakładnika. Cezar siedzi w ogromnej ciemnej sali, z której widać latarnię morską.

Mógłby Ptolemeuszowi XIII przeciwstawić jego siostrę i rywalkę Kleopatę, a w razie potrzeby osadzić ją na tronie wraz z młodszym bratem Ptolemeuszem XIV, łącząc ich węzłem małżeńskim, jak to jest w zwyczaju tego kraju. Pozbyłby się w ten sposób Ptolemeusza XIII i drugiej siostry, Arsynoe...

To niełatwa rozgrywka, lecz należy ją prowadzić. Na początek próbuje wysłać Ptolemeusza w inne miejsce, aby uspokoić i rozproszyć ciżbę przed pałacem.

Widzi jednak, że tłum wraz z wojskami Achillasa spieszy na szanice i blokuje wszystkie wyjścia! Trzeba rozerwać to oblężenie, ponieważ zaczyna brakować żywności, a oblegający zaczęli dolewać wody morskiej do wodociągów zaopatrujących pałac w wodę pitną. Pałac królewski w każdej chwili może zostać zdobyty przez napastników!

Przypatruje się portom. Kto posiada wyspę Faros i latarnię, ten kontroluje oba porty. Lecz w Wielkim Porcie pełno jest egipskich okrętów biorących udział w oblężeniu i przeszkadzających w dotarciu do wyspy. Cezar zbiera centurionów.

- Ogień - mówi - trzeba spalić okręty za pomocą zapalanej smoły!

Czeka, aż zmierzch zapadnie na dobre, i w chwili, gdy niebo jest już ciemne, ale można jeszcze rozróżnić maszty i kadłuby okrętów, wydaje rozkaz strzelania belkami z zapaloną smołą.

Przecinają one niebo jak spadające gwiazdy i wkrótce Wielki Port płonie. Z wielkim trzaskiem padają maszty statków. Płomienie strzelają w górę, lecz nagle się pochylają, ponieważ zerwał się wiatr wiejący w stronę miasta. Języki ognia zaczynają się pojawiać także w pobliżu pałacu królewskiego, pożar ogarnia Muzeum i Bibliotekę, które zamieniają się w ogromne pochodnie płonące w samym środku miasta.

Cezar długo patrzy na płomienie.

Czteryście tysięcy zwojów poszło z dymem... Nie czuje jednak nic. Przeszłość to tylko popioły. Jedynie przyszłość się liczy. Trzeba było zniszczyć ogniem egipskie okręty, aby dostać się na wyspę Faros i zdobyć latarnię. I to się udało.

Teraz chciałby wraz z kilkoma tysiącami centurionów przejąć kontrolę nad groblą heptastadionu, bo stamtąd można będzie panować nad jednym i drugim portem i ochronić w ten sposób pałac królewski przed atakami z morza. Od strony morza będą mogły napływać posiłki i żywność, nawet gdyby trwało oblężenie od strony lądu.

Cezar rzuca się do szturmu na czele legionistów. Trzeba zdobyć groblę i mosty, które umożliwiają okrętom przepływanie z jednego portu do drugiego. Najpierw myśli, że wystarczy jedno uderzenie. Ale spadają na nich tysiące żołnierzy dowodzonych przez

Ganimedesa i Cezar zostaje otoczony ze wszystkich stron. Widzi, jak legionieści uciekają, porzucając broń, rzucają się do morza, aby wplaw dotrzeć do rzymskich okrętów.

Odpina płaszcz dowódcy. Zanurza się w wodzie. Słyszy wokół siebie świst padających w wodę strzał, szybko płynie do rzymskiej galery i wspina się na jej pokład. Ledwie go tu rozpoznają! Okręt jest przeładowany i legionieści oraz wioślarze wydają się ogarnięci paniką.

Ma pewność, że ten okręt zatonie. Nie ma się co zastanawiać, trzeba działać. Wskakuje znowu do wody i płynie w kierunku wyspy Faros. Słyszy jakieś krzyki, na chwilę się odwraca. Widzi, jak okręt, z którego wyskoczył, pogrąża się w wodzie, a po jego pokładzie biegają przerażone figurki.

Płynie dalej, nie czując zmęczenia. Bogowie znów go uratowali, ale chcieli mu także pokazać, że nadal jest w ich rękach. Nie powinien się spodziewać, że to, co go czeka, będzie łatwe i proste.

W końcu znowu czuje grunt pod nogami, jest na wyspie. Otaczają go centurionowie. Na heptastadionie zginęło przeszło ośmiuset legionistów, mosty pozostały w rękach żołnierzy Ganimedesa.

- Ten eunuch... - rzuca z pogardą Emiliusz.

- Wygrał - mruczy Cezar.

Egipcjanie będą więc mogli z mostów heptastadionu atakować okręty rzymskie, gdy te zechcą przepłynąć z jednego portu do drugiego.

Z heptastadionu poprzez szum fal dobiegają jakieś krzyki. Cezar spogląda w tamtą stronę. Na szczycie pospiesznie zbudowanego pomnika zwycięstwa widzi swój czerwony płaszcz dowódcy, wystawiony na znak jego klęski. Zaciska szczęki aż do bólu. Czy zaznał kiedykolwiek takiego upokorzenia, on, dla którego w greckich miastach buduje się stele, gdzie nazywany jest królem, cesarzem i potomkiem bogów?

Pokazuje wyciągniętą ręką miasto i pałac królewski.

Ma wrażenie, jakby coś popychało go do przodu i kazało mu działać, zdobyć ten oporny Egipt. Pokonał Wercyngetoryksa i Pompejusza, tym bardziej więc jakiś egipski eunuch czy paru greckich doradców, którzy dziecko obwołali faraonem, nie zdołają mu przeszkodzić w osiągnięciu celu!

Wróci do pałacu królewskiego i tam zaczeka na posiłki. Patrzy w twarze otaczających go centurionów.

- Kto wierzy, że pokonał mnie i Rzym, przypłaci to złudzenie głową! - mówi silnym głosem.

Zdołał wrócić do pałacu królewskiego, przepływając galerią przez Wielki Port. Ale po drodze od wyspy Faros do pałacu znajdował się pod nieustannym ostrzałem egipskich łuczników. Teraz jest sam w jednej z pałacowych sal. Gmach wciąż jest okrążony przez wojska Ganimedesa, można do niego dotrzeć jedynie od strony portu. Wszelkie próby przełamania linii egipskich się nie powiodły.

Za każdym razem na odsiecz armii przybywa wzburzona ludność Aleksandrii, wołając, że chce przepędzić tych intruzów, Rzymian, aby Ptolemeusz XIII mógł podjąć obowiązki władcy.

Trzeba więc czekać.

Centurionowie gwardii wchodzą do sali. Prowadzą dwóch ludzi niosących zwinięty i związany dywan. Kładą go przed nim na ziemi. Jeden z nich występuje naprzód, mówiąc, że nazywa się Apollodor z Sycylii i z pomocą bogów udało mu się właśnie dokonać czynu, który odmienić może losy świata i jego, Gajusza Juliusza Cezara.

Pochyla się, przecina sznury oplatające dywan i rozwija go.

W środku leży młoda kobieta, ubrana na biało, o smukłym ciele i nieco ciężkich rysach twarzy. Mówi, że jest Kleopatram, siostrą Ptolemeusza XIII, wygnaną przez niewdzięcznego brata uzurpatora. Skorzystała z tego podstępnie, by przedostać się przez linie wojsk i dotrzeć do Gajusza Juliusza Cezara.

- Jestem królową Egiptu - mówi - jeśli tego zechcesz, będę rządziła tym królestwem oraz będę sojuzniczką twoją i Rzymu. - Postępuje krok w jego kierunku, muska go długimi pomalowanymi paznokciami. - Znam wszystkie sale tego pałacu - dorzuca.

Cezar trwa nieporuszony. Czy to Wenus przysłała mu tę wysłanniczkę? Przypomina mu się, jak doradcy Ptolemeusza XIII mówili mu o niej jako o kobiecie wyniszczonej rozpustą, koronowanej dziwce, Afrodycie, która przywiązuje do siebie swoje ofiary. Te wszystkie ostrzeżenia rodzą w nim teraz ogień pożądania.

Ledwie unosząc rękę, daje znak centurionom i Apollodorowi z Sycylii, by opuścili salę.

Kleopatra siada u jego stóp. I muska go znowu.

Cezar ma wrażenie, że bije od niej coraz bardziej intensywne ciepło.

Jak dawno nie dotykał młodego ciała? Ciała jednej z tych doświadczonych kobiet, które potrafią owinać się tak ciasno wokół ciała kochanka, że czuje on już tylko jedno wspólne ciało o spletanych razem rękach i nogach, złączone ustami?

Czuje, jak mięknie i kruszy się stwardniała skorupa, która otacza go od miesięcy i

której potrzebuje podczas walk, by chroniła go przed strzałami, włóczykami, ciosami miecza, nienawiścią i wściekłością nieprzyjaciela. Czuje, jak odradza się i rozwija tak długo tłumione pożądanie.

Ma pięćdziesiąt trzy lata, a Kleopatra zaledwie dwadzieścia.

Lecz posiadała ona słodycz i pamięć, całą miłosną wiedzę Orientu. Jest jak bogini Wenus!

- Czego chcesz?

- Być królową i dać ci wszystko, co potrafię...

Pozwala jej oprzeć głowę na swoich kolanach i głaskać dłonią uda. Stara się pozostać w bezruchu, nie dopuszczając do wybuchu rozkoszy.

Zastanawia się nad przyszłością. Ta kobieta, która się mu ofiarowuje, ta Wenus, która oplata ma nogi, mogłaby rzeczywiście zostać królową Egiptu, podporządkowanego oczywiście Rzymowi. Tak jak myślał, można by ją wydać za jej młodszego brata Ptolemeusza XIV, a on, Gajusz Juliusz Cezar, byłby protektorem królewskiej pary i prawdziwym władcą królestwa nad Nilem.

Należałoby w tym celu pokonać tych wszystkich Ganimedesów i Achillesów, wojska oblegające pałac królewski, zabić Ptolemeusza XIII i odsunąć od władzy drugą z sióstr, Arsynoe. Wówczas Egipt wraz ze swymi spichrzami i skarbami należałby do Rzymu. A także Kleopatra, podobnie jak cały kraj, należałaby do niego!

Wstaje. Kleopatra pozostaje opleciona wokół jego nóg jak sprężyste pnącze.

- Oprowadź mnie po swym pałacu - mówi Cezar.

Kleopatra wstaje, ocierając się o niego. Bierze go za rękę i prowadzi. Cezar ogląda sale o wyłożonych boazeriami sklepieniach, pełne dywanów, z pachnącymi łóżami.

Rankiem ma wrażenie, że jego ciało przestało nareszcie być tylko masą mięśni stwardniałych w długich marszach i nie kończących się konnych jazdach do pól bitewnych Galii, Hiszpanii czy Epiru, jest teraz jak napięta cięciwa łuku, drżąca na wspomnienie rozkoszy, jakich dała mu zaznać tej nocy Kleopatra.

Ona spoczywa obok niego na łożu znużona i tajemnicza jak bogini w swojej świątyni.

Cezar chce, by została ona królową Egiptu, posłuszną jego ambicji i pragnieniom. Jest pewien zwycięstwa! Zbiera trybunów wojskowych. Dowiaduje się, że nadeszły posiłki z Azji, na południe od Aleksandrii znajduje się armia Mitrydatesa z Pergamonu, Żydzi Antypatra i Hirkania gotowi są także się do niego przyłączyć.

- Ruszamy tej nocy! Przygotować galery!

Okraży linie egipskie. Po zmroku przy zapalonych pochodniach wsiądzie wraz z wojskiem na okręty, a potem, już bez świateł, wylądują za jeziorem Mareotis, okrążą Aleksandrię, dołączą do obozu Mitrydatesa i wydadzą bitwę. A gdy wróg zostanie już pokonany, Cezar wróci do Aleksandrii i podporządkuje sobie miasto. Kleopatra i Ptolemeusz XIV zostaną nowymi władcami Egiptu.

- Ty będziesz panem królestwa - szepcze Emiliusz. - Ale kto okiełzna tę kobietę?

- Najpierw jednak trzeba pokonać mężczyzn.

Egipcjanie są tu, na szczycie wydmy, całkowicie zaskoczeni widokiem wyłaniających się legionów oraz wojsk Mitrydatesa z Pergamonu, z którymi Rzymianie się połączyli, tak jak było zaplanowane.

Cezar wydaje rozkaz ataku pod górę po tych stromych zboczach, ponieważ chce swoją determinacją i brawurą przerazić nieprzyjaciela. Egipcjanie ulegają panice, uciekają w stronę brzegów Nilu, aby próbować uciec na swoich statkach. Zostają jednak dogonieni i zmasakrowani przez jazdę germańską i galijską. Ilu zginęło? Przeszło dwadzieścia tysięcy. A wśród poległych odnaleziono ciało młodego Ptolemeusza XIII w złotej zbroi.

Teraz, w lekkim marcowym słońcu 47 roku, Cezar cwałuje w kierunku Aleksandrii, zamierzając zająć od tyłu oddziały oblegające nadal pałac królewski.

Czuje się uskrzydłony zarówno pragnieniem zwycięstwa, jak i pragnieniem ponownego spotkania się z Kleopatram.

Od momentu wjazdu do miasta każe demonstrować złotą zbroję. Wieść o zwycięstwie nad Nilem oraz śmierci Ptolemeusza XIII szerzy się szybko. Mieszkańcy klękają z pokorą, unoszą posągi egipskich bóstw, błagają Gajusza Juliusza Cezara o łaskę, wołają, że się poddają. Wygrał! Szańce wokół pałacu królewskiego opustoszały. Egipt należy do niego tak samo jak Kleopatra.

Wraca do pałacu.

Ma wrażenie, że powraca jego młodość, gdy całymi dniami i nocami dawał się nieść rzece życia od przygody do przygody, od ciała młodego chłopca do zabawy w lupanarze, od ciała jakiejś dziewczyny do wieczorów spędzanych na leniwym słuchaniu pieśniarzy, poetów czy filozofów.

Znów, tak jak wtedy, nie liczy upływających dni. Pozwala nieść się wioślarzom i wiatrowi w kierunku górnego Egiptu.

Jest kwiecień 47 roku. Oddaje się rozkoszom, od chwili gdy wraz z Kleopatram weszli na tę królewską barkę, której rufę zajmuje wielka kajuta weselna, *thalamos*.

Rzadko zostawia Kleopatrze, wciąż widzi ją obok, jak leży, przykryta zasłonami ledwie skrywającymi jej młodzieńcze ciało. Nie nużą go ani jej pieszczoty, ani szczebiot jej głosu. Ona mówi po łacinie, po grecku, po egipsku albo po hebrajsku. Używa też czasem innych języków, zna ich bowiem osiem. W marcu i kwietniu dni są ciepłe, noce są jasne i nieco chłodniejsze, powiew wiatru unosi zasłony.

Już od ponad dziesięciu lat nie zaznał tak wielkiego spokoju. Ani takiej rozkoszy. Jakby sam sobie przyznał prawo do święcenia intymnego triumfu, bez wieńca na głowie, bez orszaku i okrzyków tłumu. Za ich łodzią płyną inne statki. Niewolnicy dbają starannie o wszystko. Smakuje nowych, zaskakujących potraw. A Kleopatra umie grać na jego ciele jak na lirze.

Chce o niej wiedzieć jak najwięcej, tak jak chce jak najwięcej wiedzieć o Egipcie, gdyż zarówno ta kobieta, jak i królestwo należą do niego. Wstaje, rozsuwa zasłony, patrzy, jak przesuwiają się wielkie świątynie, czerwone sfinksy i piramidy.

W Aleksandrii zwiedził grobowiec Aleksandra, nie tylko bez poczucia, że nie może dorównać młodemu zdobywcy, lecz przeciwnie, z przeświadczeniem, że dokonał już więcej niż Macedończyk. Ponieważ jego podboje: Galia, a teraz Egipt, pozostaną jako jego dziedzictwo, będą trwale należeć do Rzymu. A on sam jest, zostanie władcą republiki.

Przymyka oczy: czy będzie królem? Wie, że będzie musiał przekonywać plebs i nobilów, aby uznali w nim władcę równego faraonom albo królom azjatyckim. Czy jednak republika zdoła przetrwać, jeśli nie zostanie poddana woli jednego władcy, który nie będzie jak obecni konsulowie zdany na nieprzewidywalne głosowania przekupionego elektoratu i zmuszony do ustąpienia po upływie roku?

Obserwuje wielkie kamienne posągi i gigantyczne grobowce władców, którzy równi byli bogom. Czy nie tego właśnie trzeba Rzymowi? A kto mógłby zostać takim władcą, jeśli nie on?

Słyszy głos Kleopatry wołającej go do siebie. Kleopatra rozchyła szaty i otwiera przed nim ramiona. Zbliżając się do niej, ma wrażenie, że jest ona źródłem wiecznej młodości, ofiarowaną mu przez bogów Wenus, córką Fortuny i Venus Victrix, która z jego woli i woli bogów stała się królową Egiptu oraz żoną dziesięcioletniego Ptolemeusza XIV.

Bierze ją w posiadanie. Tak jak Egipt. Potem patrzy, jak wzdłuż brzegu przesuwiają się kolejno Memfis, Teby, Luksor, Karnak.

Wszystko to - i ona, i ten kraj - należy do niego.

Mijają już dwa miesiące egipskiej wiosny i tej podróży po Nilu. Przebywa na tej ziemi w sumie przeszło osiem miesięcy. Często przerywa długie wieczorne uczty przeciągające się



wśród jasnej nocy, by wydać rozkaz albo przyjąć posłańca.

Chce, aby odesłać do Rzymu Arsynoe, siostrę Kleopatry. Gdy opuści Egipt, pozostawi tu trzy legiony pod dowództwem Rufia, syna wyzwolenca, do którego ma pełne zaufanie. Życzy sobie, aby Żydzi zostali uhonorowani: Antypater ma zostać obywatelem rzymskim, a wielki kapłan Hirkan ma być uznany za przyjaciela Rzymu. Pozwala też w końcu Żydom zbierać się w synagogach i wybudować mury obronne wokół Jerozolimy.

Ich barka dopływa do pierwszej katarakty na Nilu, za nią rozciągają się ziemie nieznane jak Ocean. Trzeba zawrócić i popłynąć w dół rzeki, trzeba będzie pomału rozstać się z pełnym rozkoszy pokojem i iść na spotkanie wojny.

Posłańcy donoszą o klęsce legionów w Azji, na brzegach Pontus Euxinus, gdzie Farnaces, prawowity syn Mitrydatesa, przyłączył się do powstania.

Trzeba wyruszać. Nie można bowiem przestać walczyć i zwyciężać, te dwa miesiące na Nilu były darem bogów, teraz jednak żądają oni od niego, by znowu wziął miecz do ręki.

W Aleksandrii jest ciepło. Kleopatra chodzi wolno po pałacu z wielkim brzuchem. Podtrzymuje go złączonymi rękami. Mówi: „To twój syn. Nazwę go Ptolemeusz Cezar Cezarion”.

Rozmarza się na chwilę, patrząc na nią. Syn króla Rzymu i królowej Egiptu...

Potem się odwraca. Jeszcze nie czas myśleć o następcy. Rzym nie jest jeszcze gotów się zgodzić, żeby na czele republiki po ojcach nastawali synowie. Musi też jeszcze pokonać swych zawziętych nieprzyjaciół, takich jak Katon, który schronił się w Afryce, a także innych, jak Labienus i Scypion, którzy byli u boku Pompejusza i nie przestali ani z Cezarem walczyć, ani go nienawidzić. Należy też rozgromić nowych przeciwników, którzy, tak jak Farnaces, wyobrażają sobie, że mogą wykorzystać wojnę domową rozdzierającą Rzym, aby według swych upodobań wykrawać z pozostałości republiki królestwa dla siebie.

Trzeba więc wyruszać.

Patrzy na zarysy pałaców Aleksandrii na tle purpurowej poświaty. Niebawem zapada noc i na horyzoncie świeci jak oko cyklopa wielka latarnia morska.

A więc wojna.

Chce ujarzmić miasta. Ateny, które przedtem opowiedziały się po stronie Pompejusza, teraz, rzucone na kolana, przysyłają swych najstarszych i najświetniejszych mieszkańców, by błagali Cezara o łaskę.

Mierzy ich pełnym pogardy wzrokiem.

- Chyba już zawsze tak będzie, że choć tak bardzo zasługujecie na śmierć, swe ocalenie zawdzięczacie jedynie pamięci waszych przodków!

Będzie musiał zawsze pilnować, by kiedyś z kolei Rzym nie został pokonany przez nowe imperium i nie stał się miastem ujarzmionym, błagającym o łaskę i oszczędzanym jedynie przez pamięć przeszłej świetności. A w tym celu nie wolno dopuścić, by wrogowie stawali się silni. Jak na przykład ten Farnaces, który pustoszy królestwo Pontu, będące przecież prowincją rzymską.

Posłańcy opowiadają z przerażeniem, że wszyscy obywatele rzymscy, którzy wpadną w ręce jego żołnierzy, są torturowani, okaleczani, ćwiartowani i paleni, a ich dobra zostają zagrabione.

Trzeba więc forsownym marszem iść do Żeli, fortecy w królestwie Pontu, gdzie schronił się Farnaces i odbudowuje mury tego starożytnego miasta. Wystawić go na pokusę, rozkładając obóz o niecałe tysiąc kroków. Próżność, a może także bogowie, mogą czasem zaślepić człowieka. Farnacesowi także może się to przydarzyć.

Jest tak, jak Cezar przeczuwał. Nie może się powstrzymać od uśmiechu, gdy widzi rydwany uzbrojone w kosy, jazdę i piechotę Farnacesa, jak rzucają się do ataku po stromych zboczach, na których ludzie i konie szybko się męczą.

Wystarczy ich zepchnąć, odrzucić do rowów położonych u stóp wzniesienia, gdzie tłocząc się, przygniotą jedni drugich.

Widzi, jak legioniści ich wyrzynają, oszczędzając jedynie kilku mężczyzn. Wskazuje ręką miasto.

- Cały łup dla żołnierzy - rzuca.

Jego słowa przyjęte są okrzykiem radości, legioniści rzucają się w stronę miasta.

Jest 2 sierpnia 47 roku. Wojna była krótka, trwała zaledwie pięć dni. Bogowie sprzyjali!

Odwraca się do Emiliusza. Mówi:

- *Veni, vidi, vici*. Przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem! Może wracać do Rzymu.

## **Rozdział 46**

Senat przyznał mu na pięć lat tytuł konsula oraz dożywotnio godność i prerogatywy trybuna...

Czego chce Cynceron?

Cezar słucha go i obserwuje. Nie był zaskoczony, widząc go w otoczeniu niewolników, wyzwolenców i straży na nabrzeżu w Tarencie. Cynceron wyczekiwał tu od wielu dni na przybycie galery Cezara, poinformowany zapewne przez któregoś ze swych klientów - ma ich wszędzie po trochu w prowincjach i w legionach. Pospieszył więc do niego

z otwartymi ramionami. Czy mógł się z nim nie uściskać na powitanie, nie okazać mu serdeczności i podziwu, nie zaprosić go, aby dalszą podróż do Rzymu odbył w jego lektyce?

- Październik - zapewnia Cynceron - jest najpiękniejszą porą na południu naszej Italii. Powracasz do Rzymu, Gajuszu Juliuszu Cezarze, po dwudziestu jeden miesiącach nieobecności, w glorii nowych wielkich podbojów! Mówią... - Pochyliła się, aby ująć wodza za ramię. - Mówią, że królowa Egiptu, Kleopatra, nie jest może niezrównaną pięknnością, ale rozmowa z nią jest tak miła, że nie sposób nie znaleźć się pod jej wrażeniem.

Cezar nie odpowiada. Odwraca głowę, gdy Cynceron wychwala go za zwycięstwa nad Nilem i pod Żelą. Nie wymienia natomiast Pompejusza ani bitwy pod Farsalos. I to przemilczenie jest znamienne. Cynceron, jak zwykle, nie chce się odcinać od żadnego obozu. Z pewnością wie, że Katon, Labienus, Afraniusz, Petrejusz, a także Scypion, teść Pompejusza oraz jego synowie spotkali się w Afryce i że mają poparcie króla Numidii, Juby I, który swe wojska zorganizował na wzór rzymskich legionów. Jego kraj obfituje w zboże, a legiony pompejańczyków są zaprawione w bojach i liczne, jest ich może więcej niż dziesięć. Cynceron uważa po cichu, a wielu optymatów w Rzymie z pewnością podziela ten pogląd, że pomimo śmierci Pompejusza i podboju Egiptu ich sprawa nie jest jeszcze bynajmniej stracona. Mają nadzieję, że Cezar może zostać pokonany w Afryce. A może nawet Labienus czy Katon, Scypion bądź Gnejusz Pompejusz, rzucając mu wyzwanie, wylądują tu, w Italii.

Cezar ma wrażenie, jakby słyszał kryjące się za słowami Cyncerona myśli i rachuby. Milczy jednak. Spieszno mu do Rzymu. Jest połowa października roku 47. Przygląda się spokojnemu pejzażowi rozciągającemu się po obu stronach Via Latina. Przychodzą mu na myśl surowe krajobrazy wokół Żeli, suche pustynie Egiptu przecięte jedynie dobroczynną brzdą Nilu. Rzym jest zaprawdę miastem wybranym przez bogów, leżącym w Italii niby klejnot w szkatułce.

- Mówi się, że niebawem znowu wyruszysz na wojnę - podejmuje Cynceron. - Plotka o tym obiegła Forum, a następnie rozeszła się wśród weteranów twoich legionów. Czy sądzisz, że oni są gotowi na nową kampanię?

A zatem Cynceron wie, że żołnierze z dziesiątego legionu się zbuntowali. Obrzucili kamieniami wysłanników Cezara przywożących rozkazy, aby przygotowali się do wyruszenia w kierunku Sycylii, skąd mieliby popłynąć do Afryki.

Krzyczeli, że nie wykonają rozkazów, że chcą otrzymać - zgodnie z obietnicami Gajusza Juliusza Cezara - działki ziemi i nagrody. Chcą, aby ich oddziały rozwiązano. Mają już dosyć wojny. Swoje udziały w łupach wojennych zdążyli już przejeść, przepić i przetracić na kobiety w lupanarach. Ich sakiewki świecą pustkami. Chcieliby je teraz napełnić na nowo,

nie narażając życia. Wystarczy, że walczyli w Galii i pod Farsalos!

- Będą gotowi - odpowiada Cezar. - A ty sądzisz, że brakuje rekrutów? Kto mógłby odmówić służenia pod rozkazami Gajusza Juliusza Cezara, skoro wiadomo, że daje on swoim legionom zwycięstwa, a więc i łupy?

Cyceron skłania głowę.

- Jesteś najslawniejszy, Gajuszu Juliuszu Cezarze, wszystko nagina się do twojej woli.

To prawda. Z pozoru tak to wygląda. Senat przyznał mu na pięć lat tytuł konsula oraz dożywotnio godność i prerogatywy trybuna. Sam może więc decydować o pokoju i wojnie. I faktycznie to on wyznacza wszystkich urzędników.

Plebs wznosi na jego cześć okrzyki. Cezar oświadcza, że chce ludowi ofiarować pieniądze i zboże, igrzyska i sławę. Wystarczy mu jednak spojrzeć na Cycerona, by w jego oczach - które przeważnie są spuszczone, jakby obawiał się czymś zdradzić - wyczytać zazdrość, a może nawet nienawiść.

Wielki orator nie jest odosobniony. Cezar spotyka się z senatem i te same uczucia dostrzega na twarzach optymatów. A czy może być pewny najuboższych obywateli? Stara się wprowadzić odurzyć i zadławić plebs za pomocą rozdawnictwa zboża, walk gladiatorów, igrzysk dostępnych dla wszystkich, ale plebs żąda ciągle więcej: umorzenia wszelkich długów i moratorium na czynsze...

Nie zgadza się na zniesienie wszystkich należności. Pragnie znaleźć takie rozwiązanie, które chroniłoby interesy wierzycieli, ale i nie rujnowało dłużników, tak żeby po ulicach Rzymu nie grasowały już zwalczające się bandy tych, którzy żądają uwolnienia od swych wierzycieli, i tych, którzy chcą poszanowania swoich praw.

Bo czy można się zgodzić na taką sytuację w mieście, które rządzi światem? Czy można pozwolić, by trybun ludowy, Publiusz Korneliusz Dolabella, stał na czele jednej z band i żeby dowódca konnicy, *magister equitum*, Marek Antoniusz, musiał w celu przywrócenia porządku zabijać ponad ośmiuset obywateli rzymskich?

Zna zresztą obu tych młodzieńców. Pamięta, że służyli mu wiernie w Galii, a w Epirze byli zdecydowanymi przeciwnikami Pompejusza. Ale czy naprawdę może na nich liczyć?

Pierwszy z nich, Dolabella, jest zięciem Cycerona. Zaniedbuje jednak swoją żonę Tullię, zdradzając ją z żoną Antoniusza, spryciarą, która zdążyła już być żoną Klodiusza i Kuriona i która przechodzi z rąk do rąk. A z kolei Antoniusz przywłaszczył sobie majątek i niewolników Pompejusza. Jego pazerność, skłonność do rozkoszy i rozpusty, uganie się za kobietami i chłopcami, nadużywanie wina wywołują powszechne zgorzenie. Czy z taką

reputacją Antoniusz może wzbudzić posłuch wśród zbuntowanych żołnierzy, którzy myślą raczej o tym, aby iść w jego ślady, niż walczyć?

Cezar przypomina sobie słowa, z jakimi zwrócił się do niego kiedyś Salustiusz:

- Poświęć szczególną uwagę odrodzeniu dobrych obyczajów... - powiedział. - Największe bowiem dobro, jakie możesz wyświadczyć swemu krajowi, współobywatelom, sobie samemu i twoim dzieciom, krótko mówiąc całemu rodzajowi ludzkiemu, to wyplenić miłość pieniądza albo przynajmniej zmniejszyć jej siłę... Gdyż chciwość jest jak wściekła bestia, jak potwór pożerający wszystko po drodze, siejący spustoszenia... Nie uszanuje niczego: ani rzeczy boskich, ani ludzkich. Nie może jej się oprzeć żadna broń ani mury. Gotowi jesteśmy dla niej poświęcić dobre imię, honor, ojczyznę, rodzinę. Odbierz jednak pieniądzom ich siłę, a wówczas bez trudu zatriumfują dobre obyczaje...

Salustiusz robi sobie złudzenia. Ludzi trzeba brać takimi, jacy są, należy wykorzystywać ich chciwość i zachłanność, aby stawali się posłuszni i wierni temu, kto potrafi ich sobie podporządkować, człowiekowi wybranemu przez bogów - jemu, Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi. On będzie umiał posłużyć się nimi ku większej chwale Rzymu, która łączy się także z jego chwałą.

Szuka nowych ludzi, na których mógłby się oprzeć. Wyznacza kandydatów do rozmaitych urzędów i nikt nie śmie mu się sprzeciwić. Nie zwraca uwagi na zacięte twarze senatorów, kiedy się dowiadują, że powiększył z dwóch do dziesięciu liczbę pretorów, powiększył także liczbę kapłanów, którzy sprawują kult bogów i towarzyszą urzędnikom, albo że zdecydował, by na konsula w roku 46 wybrano Lepidusa.

Jeśli chce sprawować władzę, musi panować nad wszystkim! Jeśli pragnie naprawiać obyczaje i zjednoczyć obywateli Rzymu, to musi być władcą niekwestionowanym, a w tym celu musi się oprzeć na ludziach oddanych, choćby nawet musiał ich w tym celu przekupić... I tak samo jest z plebsem.

Nie wolno mu tolerować żadnego oporu, musi więc zmiażdżyć do końca stronnictwo Pompejusza, które ma wciąż w Rzymie swoich zwolenników, nawet jeśli na razie nie ośmielają się oni wystąpić jawnie i skrywają nienawiść pod fałszywymi pochwałami.

Musi więc jechać do Afryki i skończyć z Katonem, Gnejuszem Pompejuszem, Labienusem i innymi dowódcami wojskowymi, którym się wydaje, że mogą mu jeszcze stawić czoło. A do tego celu powinien naostrzyć swój miecz, co oznacza, że zbuntowani żołnierze muszą zostać z powrotem wzięci w karby.

Pojawia się sam, bez broni i bez osobistej straży, na Polu Marsowym, gdzie

zgrupowali się buntownicy z dziesiątego legionu. Patrzy na ten hałaśliwy i wzburzony tłum, który jeszcze go nie zauważył. Nagle go jednak spostrzegli. Pierwsze szeregi zafalowały. Wznoszą okrzyki, gardłują, zgłaszają żądania. Wołają, że nie chcą już dłużej służyć w wojsku, nie chcą płynąć na Sycylię i do Afryki. Walczyli zbyt dużo, zbyt wiele zniesli trudów i zbyt wiele przeszli! Niech Cezar ich zwolni.

Cezar wskazuje na mur. Jest teraz zdany na łaskę tłumy. Wystarczy jeden rzut kamieniem.

- Rozpuszczam was - ogłasza mocnym, lecz spokojnym głosem. Nagle zapadła cisza. Trzeba wykorzystać chwilę, napiętnować ich. - *Quirites!* Obywatele!

Nie są już dla niego *milites* - żołnierzami.

- *Quirites*, dam wam to wszystko, co obiecałem, kiedy będę wraz z żołnierzami obchodził mój triumf. *Quirites*...

To słowo musi uderzać jak obelga ludzi, którzy uważają się za *milites*.

Wyczuwa i widzi ich zdziwienie. Krzyżuje ramiona. Z ciżby wyrywa się okrzyk:

- *Milites*, żołnierze, wciąż jesteśmy żołnierzami!

Cisną się po chwili wokół niego, przysięgają mu wierność. Chcą walczyć. Pójdą za nim, gdzie tylko zechce. Wyciąga ramię, krzyczy:

- Jesteście znowu *milites!* Podnosi się owacja.

Nie będzie teraz nikogo karał. Podczas wojny jest jednak tyle sposobów, by posłać na śmierć buntowników. Zapamięta sobie ich imiona. I wyznaczy do ataku w pierwszej linii, tam, gdzie nawet bogowie nie będą mogli uratować ich od śmierci.

Opuszcza Pole Marsowe.

Może razem ze swymi legionami ruszać na Sycylię, a stamtąd popłynąć do Afryki.

## **Rozdział 47**

Przesypując piasek w dłoni, rzuca: „Afryko, mam cię w rękę”.

W dali, za wydmami górującymi nad plażą Cezar spostrzega pióropusze palm. Rozpycha legionistów tłoczących się na pokładzie galery i przechodzi na dziób.

Chce pierwszy zeskoczyć z okrętu na ziemię Afryki, która od wielu już dni zdaje się przed nimi ukrywać.

W chwili wyjazdu z Lilybaeum, na południowozachodnim wybrzeżu Sycylii, wszystko zapowiadało się pomyślnie. Sześć legionów i dwa tysiące jazdy zaokrętoowało się, nie tylko zachowując porządek, ale nawet wykazując pewien pośpiech, jakby żołnierze

chcieli, by ich bunt oraz niechęć do wyruszania na wojnę pущzone zostały w niepamięć. Ale zanim jeszcze zaczęły bić bębny nadające rytm wioślarzom, augurowie zażądali, aby złożyć w ofierze byka, który stał spętany na przedzie okrętu dowódcy. Kiedy kapłani podeszli do zwierzęcia, chcąc je zarznąć, byk w przypiływie strachu zerwał pęta i wywracając żołnierzy, wyskoczył do morza. Widziano, jak popłynął w stronę brzegu, wystawiając nad wodę czarny łeb z białą gwiazdką pośrodku.

Natychmiast zaległa cisza i Cezar poczuł na sobie wystraszone wzroki żołnierzy. Kilku z nich zostało poranionych przez zwierzę. Odwrócił się. Ujrzał zakrwawione ciała rozciągnięte na pokładzie.

Augurowie zamilkli, jakby nie ośmielając się głośno zinterpretować tego wypadku jako złowieszczonego znaku, na ich twarzach jednak malowała się trwoga.

Cezar wszedł na mostek.

- Bogowie nas ostrzegają! - zawołał. - Armia, która nie słucha rozkazów, to armia pokonana. Nie chciałem ukarać buntowników. Bogowie sami to uczynili. Bogowie są ze mną.

Poczuł niepewność żołnierzy, wydał rozkaz, by zaczęto bić w bębny, i galera zaczęła się ślizgać na falach.

To był pierwszy dzień. Skierowali się w stronę królestwa Numidii, gdzie Juba I zgromadził cztery własne legiony obok dziesięciu legionów pod wodzą Metellusa Scypiona, Gnejusza Pompejusza, Katona, Afraniusza, Petrejusza i Labienusa. Mieli wylądować w Hadrumetum. Ale drugiego dnia podróży o świcie rozpięta się sztorm, niebo tak się ściemniło i spadł tak obfity deszcz, że stracili z oczu pozostałe galery floty. A gdy w końcu znów się roz pogodziło, większość okrętów znikła - zatoneły bądź zeszły z kursu.

I teraz, na chwilę przed postawieniem stopy na afrykańskiej ziemi, Cezar rozgląda się po pozostałych okrętach: na ich pokładzie jest ponad trzy tysiące piechoty i pięciuset jezdnych. Nie należy jednak czekać, aż dotrze tu pozostała, nie zatopiona podczas burzy część armii. Trzeba wziąć wroga przez zaskoczenie.

Gdy tylko kadłub galery zgrzyta przeciągle o dno morza, Cezar daje znak, by rzucono trap. Idzie śmiało naprzód i gdy już zeskakuje na ląd, czuje, że zaraz upadnie. Stara się powstrzymać upadek. Wyobraża sobie, co pomyślą żołnierze, w ich oczach będzie to po ucieczce byka i po burzy kolejna zła wróżba.

Jest za późno, poddaje się więc impetowi, ale chce, by upadek wyglądał jak zamierzony. Przewraca się na kolana i pozostaje tak, zanurzając ręce w wilgotnym piasku, jakby chciał przygarnąć tę ziemię do siebie. Przesypując piasek w dłoni, rzuca: „Afryko, mam

cię w rękę”.

Podnosi się i szybkim krokiem idzie na szczyt wydmy. Przygląda się krajobrazowi o barwie ochry, tak wygląda sceneria jego przyszłych zwycięstw. Odwraca się; kohorty zgromadziły się wokół swoich znaków. Podnosi ramię. Trzeba skierować się na południe, w stronę Tapsus, gdzie się zgromadziły legiony Metellusa Scypiona, potem pójść na Utykę, twierdzę, w której zamknął się Katon.

Maszerują pomimo ataków jazdy Labienusa. Maszerują, nie zważając na upał, który w marcu 46 roku mocno już dokucza. Cierpią też pragnienie i głód, gdyż zaczyna im brakować żywności. Trzeba karmić konie odsolonymi morskimi porostami. Cezar czuje, jak w żołnierzach wzbiera gniew zaprawiony rozpaczą. Rozkazuje, by kohorty zatrzymały się naprzeciwko miasta Tapsus.

Zauważa, że nie tylko zmęczenie, znużenie i gniew trapią jego żołnierzy, ale także strach. Rozglądają się wokół z przerażeniem. Boją się wojsk króla Juby I, które tak okrutnie torturują jeńców, że lepiej już zginąć w walce.

Zwraca się do kohort:

- Musicie wiedzieć, że wkrótce król stanie przed wami na czele armii liczącej dziesięć legionów, trzydzieści tysięcy jazdy, sto tysięcy lekkiej piechoty i trzysta słoń. - Urywa. Trzeba wymienić przyczyny strachu, by łatwiej go pokonać. - A więc niech niektórzy spośród was przestaną samodzielnie dociekać i prowadzić spekulacje, niech odwołają się do moich informacji, gdyż inaczej każę ich wsadzić na najstarszy z moich okrętów i niech płyną, dokąd ich wiatry poniosą. - Pokazuje horyzont. - Pozostałych, dzielnych *milites*, czekają sława i fortuna, bogate łupy, skarby Numidii, broń żołnierzy wroga i działki na tej ziemi bogatej w zboże! Tych żołnierzy niech mają w opiece bogowie! Fortuna, Jowisz i Venus Victrix są u mego boku!

Słyszy, jak podnoszą się okrzyki, lecz nagle zaczyna mieć wrażenie, jakby ziemia zaczęła się poruszać, przybliżając się do niego. Czuje, że ślania się na nogach, że jego ciało jednocześnie drży i staje się sztywne. To atak, jakiego doświadczył już dwa albo trzy razy w życiu. Stara się nie upaść albo sprawiać wrażenie, że celowo osunął się na ziemię.

Czuje, że jego gardło się zaciska, że za chwilę nie będzie już mógł mówić, jakby język w ustach mu się wywracał i dusił go. Zamyka oczy, woła Emiliusza.

- Zanieś mnie do jednej z wież - mówi.

Ich budowa nie została jeszcze ukończona. Są one ledwie zaczątkiem umocnień, które rozkazał zbudować wokół Tapsus.



Kładą go. Słyszcy wokół siebie gwar głosów. Legaci żądają, by niezwłocznie przysłać szturm na Tapsus; centurioni i *milites* chcą, by Cezar się pokazał.

Potrząsa głową. Nie chce natychmiastowego ataku. Trzeba dokończyć kopanie rowów, zbudować wieże, które zamkną Tapsus i legiony Scypiona w okrążeniu. Słyszcy jednak nagle ostre fanfary trąb.

- Kohorty nie czekały na rozkazy! - woła Emiliusz. - Ruszyły do ataku!

Cezar wstaje. Musi zapanować nad swoim ciałem, dosiąść konia i stanąć na czele legionów. Rzuca słowo: *Felicitas!* Szczęście! To będzie hasło zbiórki.

Oto wojska Scypiona. Na prawym skrzydle rozstawione są słonie. Cezar pędzi w ich stronę, daje rozkaz, by łucznicy i procarze strzelali bez przerwy do tych zwierząt. Trzeba doprowadzić do furii, wywołać ich panikę.

W końcu widzi, jak słonie się odwracają i miażdżą szeregi piechoty Scypiona, siejąc panikę, biegną z głuchym dudnieniem w stronę obozu Tapsus. W ślad za nimi ucieka piechota, a potem mauretańska jazda. Nic już nie może uratować Scypiona!

Cezar przytrzymuje konia. Widzi centuriona, którego słoń chwycił trąbą i podnosi z ziemi. Człowiek ów, nie tracąc zimnej krwi, wali zaciekle mieczem w zaciśniętą trąbę, aż w końcu zwierzę pokonane bólem rozluźnia uchwyt i rzuca się do ucieczki.

Cezar szuka wzrokiem legatów i trybunów wojskowych. Woła, by oszczędzać przeciwnika. To rozkaz.

Lecz wszędzie czuć już odór krwi. Legioniści przypominają wygłodzone bestie, które wreszcie dopadły ofiarę. Zabijają, nie zwracając uwagi, czy ktoś stawia opór, czy się poddaje. Grabią. Grożą nawet swoim oficerom, gdy ci usiłują ich powstrzymać i przekazują im rozkaz Cezara, by nie zabijać pokonanych.

Legioniści wymachują mieczami. Cezar zbliża się do nich. Wyglądają groźnie. Nie chcą pozostawić nikogo przy życiu. Widzi, jak grupa żołnierzy Scypiona salutuje podniesionym ramieniem, przypominając, że przecież oni także są obywatelami Rzymu. Po chwili jednak padają pod ciosami mieczy i włóczni.

Nie ma zmiłowania. Śmierć i rabunek.

Tacy są ludzie! Dzikie bestie na arenie, bez końca toczące ze sobą pojedynki na śmierć i życie.

Cezar posuwa się stępą na koniu. Chciałby, żeby to się już wreszcie skończyło. Jego zwycięstwo nie powinno otwierać drogi do zemsty. Musi rządzić, gromadząc wszystkich wokół siebie. Chce pojednania, by w ten sposób umocnić dominację i chwałę Rzymu.

Dowiaduje się, że w Utyce Katon popełnił samobójstwo, przebijając się mieczem.

Słucha Emiliusza, który opowiada, że Katon spędził ostatnią noc, czytając dialog Platona *Fedon* o nieśmiertelności duszy. Miał podobno powiedzieć: „Cnoto, jesteś jedynie słowem”.

Cezar spuszcza głowę. Myśl człowieka może pracować jedynie, dopóki krew krąży w jego żyłach. Co jest potem, to sprawa bogów i tylko oni wiedzą, co się z nim dzieje.

Ale skoro po Pompejuszu zginął teraz i Katon, to z wojny domowej została już tylko kupka rozwianego popiołu. Labienus wraz z synem Pompejusza uciekli do Hiszpanii, trzeba będzie ich ścigać. Zięć Pompejusza, Scypion, zakończył życie, przebijając się ciosami sztyletu. A król Juba I urządził śmiertelny pojedynek z Petreuszem i, tak jak tego pragnęli, zginęli obaj. Afraniusz padł w walce.

Myśli o Labienusie, kiedyś swoim zastępcy, który dziś stał się najbardziej nieprzejednanym z jego wrogów. Co do innych, to nie musiał nawet podnosić miecza nad ich gardłem.

- O, Katonie, zazdrozczę ci śmierci - mruczy Cezar. - Pozbawiłeś mnie w ten sposób okazji, bym cię ułaskawił i darował ci życie.

Wróci zatem do Rzymu. Bogowie byli wspaniałomyślni, pozwolili mu wygrać. A jego wrogowie zginęli, zanim jego ręka zdążyła się splamić ich krwią.

Patrzy z mostka galery, jak ładują skrzynie ze skarbami króla

Juba I. Królestwo tego władcy stało się nową rzymską prowincją: Africa Nova. Trzyma ją w garści tak samo mocno jak Egipt.

Myśli o Kleopatrze, o długiej żegludze po Nilu wśród rozkoszy. Życzy, sobie, by królowa Egiptu przyjechała do Rzymu i wzięła udział w jego triumfie. Bo teraz, gdy z przeciwników pozostał mu już tylko Labienus, może spokojnie urządzić triumf. Skupia w swych rękach całą władzę! Ziemię w Numidii rozdał w nagrodę weteranom legionów, już i tak bogatym dzięki łupom. Ustalił kontrybucję z miast Numidii. Będą musiały dostarczać zboże, oliwę, złoto i srebro.

Gestem ręki każe bić w bębny. Afryka pozostaje w tyle...

Miał rację, że nie pozwolił się powstrzymać z powodu owych znaków, które wszyscy dokoła uważali za złowieszcze. Jest przekonany, że bogowie pozwalają człowiekowi samodzielnie wybierać spośród wielu dróg, które się przed nim otwierają. Ci, którzy się pomylą, zostają przez nich opuszczeni i skazani na zgubę.

Lecz pomagają temu, kto wybiera dobrą drogę. Człowiek musi zdecydować sam.

Dokonał właściwego wyboru. I bogowie go ochraniali.

Patrzy na czarną linię na horyzoncie: to Afryka. Za kilka tygodni, pod koniec lipca 46

roku, będzie już z powrotem w Rzymie.

Ma pięćdziesiąt pięć lat.

## **Rozdział 48**

Należało ustalić nową długość roku: powinien on liczyć 365 dni...

Cezar wychyla się z lektyki. Widzi karki niewolników pokryte potem. Kołyszą biodrami, aby wykorzystać przejście, jakie strażnicy i liktorowie otwierają w hałaśliwym tłumie zebranych na Forum. Zewsząd podnoszą się ostre okrzyki, przechodzące niemal w wycie: „Cezar imperator! Cezar, Cezar imperator!”

Cezar cofa się w głąb lektyki, pozwala opaść zasłonom ukrywającym jej wnętrze. Lecz krzyki nie słabną. Jest z nich zresztą zadowolony. Od 25 lipca 46 roku, dnia swego przybycia do Rzymu, nie zdążył się jeszcze znużyć oznakami uwielbienia ze strony ludu.

- Jesteś równy bogom! - zawołał ktoś nawet. A Cynceron z zaciśniętymi ustami skomentował:

- Sławy, jaką zdobyłeś, Cezarze, nie dzielisz z nikim... Ponownie odchyła skórzaną zasłonę. Każe iść prędzej. Spieszno mu wrócić do ogromnej willi na drugim brzegu Tybru, położonej pośrodku rozległych ogrodów, która teraz należy do niego. Tam właśnie zamieszkała Kleopatra z jego synem, któremu dała na imię Cezarion i o którym z dumą mówi, że jest synem króla Rzymu i królowej Egiptu.

Spieszno mu do niej wrócić. Ona jest żywym świadectwem wszystkiego, co przeżył z dala od Rzymu, wśród lubieżnego orientalnego przepychu i w chwale swoich zwycięstw. Co oni tu mogą wiedzieć o owych dziesięciu latach spędzonych na wojnach w różnych prowincjach, od puszczy Germanii aż po Ocean, od Pontus Euxinus po Słupy Herkulesa i od Aleksandrii po Wielką Brytanię?

Cynceron ma rację, swojej sławy nie dzieli z nikim! I senatorowie muszą mu ją przyznać. Robią to zresztą, ponieważ należy do niego władza i bogactwa. Nakazali wyryć jego imię na frontonie świątyni Jowisza Kapitońskiego. To sprawiedliwy wyraz uznania jego zasług dla Rzymu, a zarazem hołd złożony jego rodowi.

Nie okazuje żadnego wzruszenia, gdy Emiliusz obwieszcza mu, że w tej świątyni Jowisza postanowiono umieścić jego posąg z brązu...

- Twój posąg, Gajuszu Juliuszu Cezarze! Powozisz na nim rydwanem umieszczonym na globie. Czy wiesz, jaki wybrano napis?

Cezar nadal ma zamknięte oczy, ramiona skrzyżowane.

- Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi, półbogu.

Doznaje przyływu dumy. Został władcą Rzymu, mianowano go dyktatorem na dziesięć lat, zasiada w senacie pomiędzy dwoma konsulami i może zawsze zabrać głos pierwszy. Kiedy porusza się po Rzymie, towarzyszy mu siedemdziesięciu dwóch liktorów. To on daje sygnał rozpoczęcia wyścigu rydwanów w Circus Maximus, otwiera walki gladiatorów. Przyznano mu nowy tytuł stróża obyczajów, *praefectus morum*. W imię obyczajności nakazał ograniczyć prawo do używania lektyk, jak też do noszenia purpurowych szat i strojów ozdobionych szlachetnymi kamieniami. Być może uda się dzięki temu przywrócić dawne rzymskie cnoty, nie pozwalając panować pieniądзом i zepsuciu.

Ustanawia prawa i przepisy dla innych, sam bowiem należy do innej rasy, jest potomkiem bogów. Nikomu nie wolno go osądzać ani do czegokolwiek zmuszać. Cezar postępuje wedle swej woli i dla dobra Rzymu.

Wkracza do ogrodów willi.

Wie, że mają mu za złe związek z Kleopatram, którym się afiszuje, nikt jednak nie ośmiela się krytykować go głośno. Nie ma już Katona, który może miałby śmiałość go zaatakować w senacie, oskarżając, że chce na modłę orientalnych monarchów wprowadzić wielożeństwo i poślubić Kleopatram, choć nadal żyje jeszcze Kalpurnia, jego rzymska małżonka.

Zastanawia się nad tym, to prawda. Kto by mu przeszkodził, gdyby się zdecydował? I czy nie byłby to najlepszy sposób, by z Egiptu uczynić istotną część imperium rzymskiego? A przy okazji także część swego osobistego majątku, własność Gajusza Juliusza Cezara! A gdyby został królem, władcą Egiptu i Rzymu, to czy nie łatwiej byłoby mu się przeciwstawić królowi Partów, który nadal nie przestaje zagrażać prowincjom rzymskim w Azji? Jak bowiem inaczej można narzucić władzę azjatyckim ludom, skoro one szanują jedynie królów?

To prawda, że w Rzymie idea monarchii natrafia na opór. Trzeba będzie go przezwyciężyć. Walka w tej sprawie będzie bardzo podstępna, przeciwnicy będą starali się go izolować i przesadnymi pochlebstwami skompromitować w oczach plebsu, który także niechętnie myśli o poddaniu się władzy królewskiej, ponieważ woli obecną sytuację, gdy może sprzedawać swe głosy kandydatom do urzędu konsula czy trybuna, zmuszonym go przekupywać, schlebiać, rozdawać korcami zboże i sypać pieniędzmi.

On też to robi. Postanowił, że z okazji jego czterech triumfów na pamiątkę zwycięstw w Galii, w Egipcie, w królestwie Pontu przeciw Farnacesowi i w Afryce - *triumphus Gallicus*, *Alexandrinus*, *Ponticus*, *Africanus* - ustawione zostaną dwadzieścia dwa tysiące stołów,

podane zostanie sześć tysięcy muren, a na każdym dziewięciu obywateli przypadnie amfora wybornego wina z *ager Falernum* w Kampanii, aby wszyscy mieli powody kochać go i wiwatować na jego cześć. Ponadto każdy otrzyma dodatkowo dziesięć korców zboża, dziesięć litrów oliwy, sto sesterców oraz roczny czynsz za mieszkanie! Każdy *miles* dostanie pięć tysięcy sesterców, a każdy centurion dwakroć tyle! Weterani otrzymają ziemię. Pragnie także zadziwić Rzymian igrzyskami na gigantyczną skalę. Zostanie utworzone sztuczne jezioro, na którym bitwę morską stoczą okręty o czterech tysiącach wioślarzy. Z Afryki sprowadzi czterysta lwów, aby plebs mógł na własne oczy zobaczyć polowanie. I oczywiście odbędą się walki wielu setek gladiatorów!

Widzi zbliżającą się Kleopatę w otoczeniu niewolnic. Ma włosy upięte w wysoki kok, by jej twarz wydawała się subtelniejsza, choć jej rysy są grube. Cezar zatrzymuje się, pozwalając jej podejść. Uwielbia jej sposób poruszania się. Kiedy ona wyciąga w jego kierunku ręce i spod rozchylających się szat ukazuje się brązowa skóra jej ramion, Cezarowi przypominają się owe dni i noce, często tak splątane ze sobą, że trudne do rozróżnienia, gdy ich okręt płynął w górę Nilu. Później żadna kobieta nie potrafiła zatrzeć w jego pamięci tamtych chwil, wspomnienia miłosnej biegłości Kleopatry, jej pomysłowości, jej naiwnej szczerości w perwersji oraz rozkoszy, jaką dzięki niej zaznał, ostrej aż do bólu.

Żadna kobieta...

Podczas gdy Kleopatra, nie spuszczać z niego oczu, składa przed nim ukłon, Cezar myśli o Serwili, która się postarzała, i jej młodej córce Tercji, którą matka wprowadziła pewnej nocy do jego sypialni. Serwilia się wycofała, a Tercja zbliżyła, zsuwając tunikę i stając przed nim naga. Pociągnęła go w niej i oczarowała młodzieńcza niezgrabność, którą pokrywała zapalem i chęcią sprawienia mu przyjemności. Ale gdzie jej było do Kleopatry! Jeśli Serwilia, tak jak inne rzymskie kobiety, wyobrażała sobie, że wystarczy mu podsunąć jakieś młode, dziewicze ciało, ciemną Numidyjkę czy Hiszpankę o harmonijnych ruchach albo jasną barbarzyńską niewolnicę o rzeźbionych kształtach, aby odwrócił się od Kleopatry, to się pomyliła!

Kleopatra wyciąga do niego ręce. Cezar je chwyta, ona pociąga go za sobą. Idzie obok niej. Spędzi z nią kilka godzin tego skwarne letniego dnia, gdy upał, nawet w ogrodach nad brzegami Tybru, jest jeszcze bardziej przytłaczający, wilgotny i duszny niż w Numidii czy nad Nilem.

Po powrocie do siebie, tu, gdzie jest najwyższym kapłanem, imperatorem, dyktatorem na dziesięć lat i stróżem obyczajów, wysłuchuje Emiliusza.

- Szemrają przeciwko tobie - mówi jego sekretarz. - Plebs daje posłuch tym, którzy cię

oskarżają o zachowanie na modłę orientalnego króla, o to, że zapomniałeś, iż przede wszystkim jesteś rzymskim urzędnikiem, małżonkiem Kalpurnii, przybranym ojcem Marka Brutusa oraz pełnisz godność przewodniczącego kolegium kapłanów, *pontifex maximus*...

Emiliusz urywa. Cezar czuje niepewne spojrzenie sekretarza, jakby tamten nie ośmielał się kontynuować. Spuszcza głowę i mówi cicho:

- Emiliuszu, jeśli mnie kochasz, powiedz wszystko, co słyszysz, wszystko, co wiesz. Słyszałem świst tylu strzał, tylu włóczy, widziałem tyle grożących mi mieczy, czy myślisz, że mogę się wystraszyć słów paru obywateli Rzymu?

Emiliusz uśmiecha się i kontynuuje:

- Mówią, że niedobitki stronnictwa Pompejusza, jego synowie Gnejusz i Sekstus oraz Labienus i Warus zgromadzili w Hiszpanii trzynaście legionów. I że mogą ciebie pokonać. Senatorowie mają jeszcze nadzieję!

Cezar nawet na to nie odpowiada. Ma pewność, że nikt go nie może pokonać na polu bitwy. Nawet słonie Juby I, a także jego nie znający litości mauretańscy jeźdźcy uciekli przed nim pod Tapsus.

- Co jeszcze? - pyta.

Emiliusz nagle zaczyna mówić z uniesieniem, jakby potok przedarł się przez spiętrzone przeszkody w postaci lęku przed tym, że swymi słowami rozgniewa go i zrani.

- Posągi, jakie kazałeś postawić, twój posąg w świątyni Jowisza Kapitońskiego i posąg Kleopatry w świątyni Venus Genetrix, Wenus Rodzicielki... I jeszcze ten napis: „Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi, półbogu”...

Cezar przymyka oczy.

Być może Rzymianie nigdy nie zrozumieją, że ich miastem nie można już rządzić tak, jak w czasach jego założenia. Nie znają własnej potęgi. Nie wiedzą, czym jest Rzym dla ludzi żyjących pod jego władzą w Kordubie, Bibrakte, Efezie czy Aleksandrii. Rzymski plebs, a jeszcze bardziej przywiązani do przeszłości optymaci zadowoleni są, kiedy czerpią korzyści z podbojów, lecz nie chcą ich konsekwencji wpisać w instytucje państwa.

Wstaje. Z perystylu widzi Forum Iulium z jego długą kolumnadą - wybudował je za skarby przywiezione z Galii i Azji. A do tego świątynia Wenus Rodzicielki oraz wielka *basilica hilia*, hala posiedzeń sądowych, która jest już na ukończeniu. No i gmach senatu, *Curia Iulia*. Jest to cały nowo wybudowany Rzym, każdy obywatel podziwiać może jego portyki, spacerować przed sklepami otwartymi na Forum Iulium czy pokłonić się bogom w nowych świątyniach i bazylikach. Zawdzięczają to wszystko jemu, Gajuszowi Juliuszowi

Cesarowi.

- Zmieniam Rzym - mówi, odwracając się do Emiliusza. - I zmieniam świat.

Nie chce już dawnego sposobu rządzenia. Niech zostanie jako pusta skorupa pozbawiona treści! Trzeba jednak zlikwidować klany i partie, które się potworzyły. Władza senatorów musi zostać ograniczona i rozdzielona. Wystarczy do tego powiększyć ich liczbę; kiedy będzie ich dziewięciuset, staną się już tylko hałaśliwym i bezsilnym zbiegowiskiem!

Rzym potrzebuje jednego władcy w osobie Gajusza Juliusza Cezara, który sam będzie rozstrzygał o interesie państwa, ponieważ pokazał on wiele razy wrogom, że jest wybrańcem bogów i że oni go chronią.

On, Cezar, w odpowiednim czasie wyznaczy swego następcę, może syna swej siostrzenicy, Oktawiusza, który ujął go swą urodą, powściągliwością, zdecydowaniem, a nawet mądrością, mimo że młodzieniec ten nie ma jeszcze dwudziestu lat.

- Zmieniam Rzym, Emiliuszu! - powtarza Cezar.

Nie chce jednak, tak jak ci, którzy przed nim byli dyktatorami - jak Mariusz i Sulla - być reprezentantem jednego tylko obozu. Nie chce służyć biednym przeciwko bogaczom czy dłużnikom przeciwko wierzycielom. Chce stworzyć sprawiedliwą równowagę, która dobrze się przysłuży chwale i wielkości Rzymu.

Przed kilkoma dniami przyjął Salustiusza, zawsze tak samo zdeterminowanego i przekonanego o swych racjach.

- Powinieneś rzucić wyzwanie lichwiarzom - perorował Salustiusz - ludziom, którzy nie potrafią spędzić nocy bez prostytutki w swym łóżu, a także tym, którzy napychają swój brzuch dwa razy dziennie, upodlili oni bowiem swego ducha. Musisz czuwać, aby lud, zdemoralizowany przez różne dary i rozdawnictwo zboża, miał pracę, która dostarczałaby mu zajęcia i odwracała jego uwagę od działalności szkodliwej dla społeczeństwa. Trzeba, aby nasza młodzież nabrała upodobania do pracy i cnoty, zamiast lubować się w ekstrawagancjach i zachłanności.

Cezar nie odpowiedział. Salustiuszowi się wydaje, że można ludzi podbić za sprawą cnoty.

- Musisz karać nieobyčajność - ciągnął tamten - wytepić u naszej młodzieży złe namiętności...

Owszem, Cezar próbował to robić. Wydał rozporządzenia, aby bogactwo okazywano mniej ostentacyjnie: bez lekytk, purpurowych szat, szlachetnych kamieni. Wie dobrze, że żadne z tych rozporządzeń nie jest przestrzegane! Ale byłby szalony, posyłając straż, by karać

tych, którzy je naruszają! Człowiek tak już jest skonstruowany, że chce się cieszyć tym, co posiada, że chce mieć to, co może sobie kupić, i że rozkosz oraz pragnienie użycia są jego prawem.

Aby osiągnąć jedność i pokój wśród obywateli Rzymu, wybrał drogę pojednania. Uznaje to nawet jego przeciwnik Cynceron - hipokryta, tchórz i zarazem pochlebca:

- Jesteś, Gajuszu Juliuszu Cezarze, jedynym... mówię to bardzo głośno... którego zwycięstwo przypłacili życiem jedynie ci, którzy bezpośrednio uczestniczyli w walce! Do tego, co musieliśmy zawsze wycierpieć ze strony zwycięzców w wojnie domowej, nie doszło, gdy ty zostałeś zwycięzcą.

Będzie mógł zmienić Rzym. I świat. Cały świat, od Renu po Ocean, od Wielkiej Brytanii po Pontus Euxinus, potrzebuje jednego prawa - prawa Rzymu. I trzeba doprowadzić do tego, aby wszystkie ludy, zjednoczone pod jego władzą, żyły w zgodnym rytmie.

Zwołuje astronomów z Aleksandrii, uczonych z Rodos, którzy śledzą ruchy planet i wiedzą, kiedy Księżyc będzie w pełni oraz ile trwa bieg Słońca w różnych porach.

- Chcę zmienić świat - obwieszcza. - Zaprowadzić porządek. Trzeba skończyć z kalendarzem regulowanym według gwiazd.

Słucha Sosigenesa, astronoma z Aleksandrii, który mu wyjaśnia, że trzeba wyznaczyć nową długość roku: powinien on liczyć 365 dni, ponieważ długość roku słonecznego, wynosi 365 dni i jedna czwarta. Co cztery lata można by nadrabiać opóźnienie, dodając dodatkowy dzień; taki rok byłby rokiem przestępnym.

- Twoje imię będzie na zawsze, po wsze czasy, związane z tym kalendarzem, ponieważ jest to jedyny możliwy kalendarz - mówi Sosigenes. - Ale najpierw musisz zlikwidować błędy. Wystarczy, abyś w obecnym roku 46 dodał 67 dni pomiędzy listopadem a grudniem, tak żeby 1 stycznia 45 roku stał się początkiem nowego ładu w odmierzaniu czasu.

Cesarowi podoba się ten pomysł. Rok 46 liczyłby 445 dni! Kiedyś zapomną może o Gajuszu Juliuszu Cezarze, zwycięzcy spod Farsalos i Tapsus, ale zawsze będą pamiętać o jego kalendarzu!

- Zmieniam oblicze Rzymu i świata, Emiliuszu! - woła.

Jest półbogiem, cokolwiek by sądzili na ten temat jego przeciwnicy. A gdy pokona ostatnich niedobitków partii Pompejusza, będzie miał w rękach całą władzę i będzie mógł robić, co tylko zechce! Czy mógłby ich nie pokonać?

Stoi na rydwaniu ciągniętym przez cztery białe konie. To wielki przywilej, gdyż jedynie Jowisz przedstawiany jest jako woźnica podobnego zaprzęgu. Odziany jest w purpurową szatę dawnych królów Rzymu. Na skroniach ma wieniec laurowy, a niewolnik



trzyma oburącz nad jego głową złoty wieniec Jowisza.

Obchodzi swój poczwórny triumf pośród tłumu zebranego na Polu Marsowym i Kapitolu, który wiwatuje na jego cześć. Najpierw idą powoli senatorowie i urzędnicy otwierający orszak. Potem nadchodzą setki trębaczy, napelniając ostrym dźwiękiem swej muzyki cały Rzym. Dalej na setkach wozów jadą skarby zrabowane ze świątyń i zabrane nieprzyjacielskim królom. Można naliczyć blisko trzy tysiące złotych koron! Następnie maszerują wojska, niosąc swe znaki i orły, w zbrojach i lśniących hełmach. W końcu nadchodzi siedemdziesięciu dwóch liktorów.

Cezar patrzy na poprzedzający go orszak.

W prawej dłoni trzyma berło w kształcie orła, w lewej ręce gałązkę wawrzynu.

Słyszy przeszywający dźwięk fletów i kitar, na których grają idący za nim muzycy. Następnie kroczą niewolnicy z nagimi torsami i ramionami, trzymając misy z płonącym kadzidłem. A dalej białe byki przeznaczone na ofiarę oraz skuci w łańcuchy jeńcy rzućeni na kolana: Wercyngetoryks, który zostanie uduszony w więzieniu Tullianum po zakończeniu uroczystości, oraz Arsynoe, siostra Kleopatry.

Czasami z szeregów żołnierzy dobiegają sprośne piosenki, które tłum powtarza pośród wybuchów śmiechu. Tacy już są Rzymianie, skłonni do świętokradztwa.

*Obywatele, żon strzeżcie, gacha tysego wieziemy. Złotośpożyczył, by w Galii na swe obłapki roztrwonić.*

Cezar trwa nieporuszony. Pozwala cwałować czwórce białych koni. W pewnej chwili słyszy dziwny hałas i rydwan przechyła się na lewą stronę, stronę złych znaków. Oś się złamała. Cały orszak się zatrzymuje.

I głosy żołnierzy słysząc teraz jeszcze wyraźniej, z jeszcze większą bezczelnością śpiewają:

*Cezar to Galię zniewolił, zaś Nikomedes Cezara. Cezar dziś triumf odnosi, ten, który Galię zniewolił, nie Nikomedes bynajmniej, który zniewolił Cezara.*

Cezar ma wrażenie, że jego ciało jest tak naprężone, że w każdej chwili może pęknąć. Nie należy jednak pokazywać, że zostało się ugodzonym, stara się sprawiać wrażenie, jakby nie słyszał. Musi być jak wysoka skała, o którą rozbijają się fale. Im większa wściekłość żywiołu, tym wspanialsza skała!

Piana służy temu, co jest mocne.

Zeskakuje z rydwanu. Za nim niewolnik niosący koronę ze złota.

Teraz tłum jest cichy, podobnie jak żołnierze, którzy przestali śpiewać. Jedyne trąbki, flety i kitary nadal grają.

Cezar kieruje się w stronę Kapitolu. Aby rządzić narodem, trzeba go nakłonić do posłuszeństwa, ale trzeba także pokazać, że samemu umie się być posłusznym bogom, którzy są ponad nami, a także że *się* szanuje tradycje. Jeśli chce się, by inni byli posłuszni, trzeba umieć być pokornym.

Cezar klęka. I na kolanach zaczyna wchodzić, stopień za stopniem, na wzgórze Kapitolu do świątyni Jowisza, gdzie wyryte jest jego imię.

## **Rozdział 49**

Postanowił udać się do Hiszpanii z armią liczącą osiemdziesiąt kohort i osiem tysięcy jazdy...

Cezar kładzie ręce na plecach. Chciałby rozprostować kości, lecz lektyka, umieszczona na wózku zaprzężonym w dwa konie, jest na to zbyt ciasna. Żyje w takich warunkach już dwadzieścia siedem dni, od chwili wyjazdu z Rzymu w ostatnim dniu listopada 46 roku podczas ulewnego deszczu. Ma wrażenie, że całe jego ciało jest obolałe. Czy kiedykolwiek w ciągu tych wszystkich lat wojny odczuwał takie zmęczenie? Może jest już za stary? Niedługo skończy pięćdziesiąt sześć lat! A może to dlatego, że kazał maszerować, robiąc jedynie krótkie postoje, aby dotrzeć już wreszcie do Hiszpanii, gdzie dwaj synowie Pompejusza, Gnejusz i Sekstus, a wraz z nimi Labienus i Wams, kontynuują wojnę domową, oblegają miasta i atakują legiony prokonsulów wiernych Cezarowi. Zgromadzili oni przy sobie trzynaście legionów, tysiące jezdnych i sześć tysięcy lekkiej piechoty. Nie wolno tak pozostawić otwartej i ropiejącej rany.

Gnejusz Pompejusz oraz jego stronnicy mordują, grabią i kaptują nowych zwolenników, ponieważ są bezkarni. Echa ich wyczynów dochodzą do Rzymu. Oto Cynceron - skłonny zawsze słuchać plotek i gotów do zdrady, marzący wciąż o tym, że uda się przywrócić władzę senatu i zyskać przy okazji chwałę oraz korzyści - oto więc Cynceron sławi w swoich pismach Katona, opowiada o samobójstwie „wielkiego cnotliwego”, „stoika” z Utyki. „Wszystko w nim - utrzymuje - było większe niż jego reputacja”.

Cezar chce skończyć z opozycją, zarówno zbrojną, jak i tą niejawną. Właśnie dlatego, nie zważając na zimowe deszcze, na śniegi utrudniające przejście przez alpejskie i pirenejskie przełęcze, postanowił udać się do Hiszpanii z armią liczącą osiemdziesiąt kohort oraz osiem tysięcy jazdy.

Przez całą drogę ignorował interwencje Emiliusza, trybunów i legatów, którzy często, niemal codziennie, przychodzili z wieściami, że żołnierze sarkają, że marsze w tym okrutnym

deszczu i chłodzie są zbyt wyczerpujące, że podczas krótkich postojów *milites* za cały dach nad głową mają tylko podarte namioty, które nie osłaniają ich przed niepogodą. Cezar zapowiedział tylko, że po odniesionym zwycięstwie żołnierze mają wolną rękę: mogą do woli rabować majątek i uprowadzać kobiety, że nie będzie żadnej litości dla pokonanych, dla tych zatwardziały buntowników. I kazał maszerować dalej.

Dyktuje przykucniętemu w nogach lektyki sekretarzowi.

Z początku, przez pierwsze dni, układał poemat o tej podróży zatytułowany *Iter*, „Droga”: tyle razy przemierzał Via Aurelia, że nawet nie musi otwierać oczu, by zobaczyć otaczający ją krajobraz, przesłonięty zresztą teraz deszczem. Szukanie słów, odpowiednich do lekkiego w tonie opisu podróży i deklamowanie ułożonych wierszy jest dla niego w tej chwili sposobem na powściągnięcie gniewu.

Czuje jednak, że gniew w nim narasta i w końcu bierze górę. Nie może darować tym ludziom, którzy przeciągają wojnę, osłabiając Rzym. Muszą oni zostać pokonani i zostaną! Czy ci ślepcy mają jakieś wątpliwości co do wyniku bitwy? Czy nie wiedzą, że rozgromił Galów, oddziały Pompejusza Wielkiego, Egipcjan, Numidyjczyków Juby I? Czy chcą, by spotkał ich los Pompejusza albo Katona Utyceńskiego?

Oburza się. Po co niepotrzebne walki, które tylko wykrwawiają Rzym w chwili, gdy zagraża mu król Partów i gdy trzeba wspólnie wystąpić przeciwko temu potężnemu i pysznemu barbarzyńcy? Czy obrońcom starego porządku zdaje się, że odrodzi się jeszcze arystokratyczna republika rzymska? Czasy się zmieniły!

Ma za złe Cynceronowi, że nadal wypisuje peany na cześć Katona, robiąc z niego bohatera godnego legendy: Katon Utyceński!

Cezar zaczyna dyktować pamflet zatytułowany *Antykaton*, chce, by wiadano, że ten cnotliwy Katon był także zepsuty, zaślepiąły go namiętności, szukał rozkoszy, był człowiekiem w masce: nadając sobie oblicze filozofa, w istocie był porywczy, ambitny i zazdrosny!

Dyktuje bezbarwnym głosem.

Czuje gniew, a nawet wściekłość, że po tylu zwycięstwach musi od nowa toczyć wojnę przeciwko tym samym wrogom, którzy go dręczą, szarpią jego ciałem bardziej niż wyboje na drodze.

Dwadzieścia siedem dni w drodze... Nigdy nie maszerował tak szybko! Nigdy nie był tak bardzo zdeterminowany!

To już ostatnie kroki, zanim dotrze do szczytu swego życia.

Wóz zatrzymuje się. Cezar zeskakuje na ziemię. Niebo się przetarło. Są w Obulco, niedaleko stąd są Korduba i Ateuga, dwa ostatnie miasta w posiadaniu wojsk Gnejusza Pompejusza.

- Przystąpić do oblężenia Ateugi! - rzuca. - Zabijać wszystkich, którzy będą stawiali opór! Kurierom Pompejusza, jeśli uda się ich schwytać, ucinać ręce, a potem puszczać ich wolno. Niech żołnierze wroga widzą ich krwawe kikuty, niech to będzie przesłanie świadczące o nastroju Gajusza Juliusza Cezara.

Chce błyskawicznego zwycięstwa i ostatecznego zakończenia tej wojny domowej, którą po Farsalos i śmierci Pompejusza uważał za rozstrzygniętą, a która teraz wybucha na nowo tu, w Hiszpanii.

Słyszy krzyki mieszkańców Ateugi, mordowanych przez żołnierzy Pompejusza - zapewne chcieli się poddać. Jakby to okrucieństwo mogło coś pomóc! Trzeba będzie zmusić ich szybko do kapitulacji i otwarcia bram miasta.

Należy ich wszystkich potraktować jak bandytów, rozbijać i zarzynać! Już nie czas na wspaniałomyślność Cezara, *clementia Caesaris*... Zabijać ich! Ścigać niedobitków i wycinać w pień!

Staje na czele legionów. Kierują się w stronę Mundy w regionie Korduby. Wojska Pompejusza, Labienusa i Warusa rozmieszczone na zboczach wzniesienia górują nad dziesiątym i piątym legionem, które stoją na prawym i na lewym skrzydle wojsk rzymskich. Cezar objeżdża ich szeregi.

Nie wydaje jednak rozkazu do ataku, gdyż jego ciało ogarniają nagle silne drgawki, zaczyna szcząkać zębami, pokrywa go pot. Oczy zamykają mu się wbrew woli. Czyżby to ciało, od którego wymagał tak wiele, maszerując po wilgotnych puszcach i skwarnych pustyniach, płynąc w morzu w porcie w Aleksandrii albo przekraczając w bród lodowate rzeki Galii i Germanii, ta machina, mocna jak oblężnicza katapulta, teraz miałoby zawieść?

Niosą go. Kładą. Zaciska szczęki do bólu.

Ledwie docierają do niego słowa trybunów wojskowych i legatów, którzy mówią, że centurioni chcą atakować pomimo złej pozycji wyjściowej, zmuszającej ich do wspinania się pod górę. Nie byłoby tak jednak po raz pierwszy.

Cezar siedzi przez chwilę wsparty na rękach, potem powoli wstaje. Idzie, lekko się zataczając. Czuje na sobie ciężar wszystkich spojrzeń. Przystaje. Jego dusza i wola są jak oszczep, który podpiera ciało, ono zaś musi być jak ostrze miecza. Wyciąga rękę, chwyta za broń. Podnosi ją. Niechaj bitwa się rozpoczyna!

Słyszy teraz bojowe zawołania legionów, potem, gdy wychodzi z namiotu, dobiegają

go już krzyki walczących płynące ze zbocza na równinę Mundy, uderzenia tarczy o tarczę, miecza o miecz. Jest 17 marca 45 roku.

Widzi, jak kohorty cofają się przed szarżą jazdy i żołnierzy Pompejusza. Pewnie tym szturmem dowodzi Labienus. Rozpoznaje sprytny i odważny sposób walki swego dawnego towarzysza, tak cennego podczas wojny w Galii. Trzeba odepchnąć jego oddziały.

Cezar rzuca się w stronę pierwszych linii. Już nie czuje słabości, chwyta tarczę jakiegoś żołnierza, wymachuje nią i trzyma mocno, kiedy uderzają w nią pierwsze włócznie. Pociąga za sobą kohorty.

Uderza, zabija. Bije się jak nigdy dotąd. Słyszając rozlegające się wokół i napelniające jego głowę okrzyki żołnierzy, czuje, że oni także walczą jak nigdy dotąd, ponieważ ta bitwa jest ostatnia.

Depcze po ciałach poległych albo rannych, którzy zostaną dobiti. Opuszczając lekko tarczę, widzi, że walczące na zboczach wojska Pompejusza zaczynają się wycofywać w stronę grzbietu. Wydaje rozkaz: rzucić do walki kawalerię! Nadeszła odpowiednia chwila, kiedy wola zwycięstwa i oporu słabnie, wystarczy teraz jeszcze jeden wysiłek, aby pękła, jak kielich, na którym była niewidoczna skaza.

Zabijać! Zabijać!

Słyszy, jak powtarzają to słowo. Legioniści doganiają uciekających, którzy klękają jak ujarzmione zwierzęta, pogodzone już ze swym losem. Ilu poległo w tej bitwie? Ponad trzydzieści tysięcy, a wśród nich Labienus i Warus. Gnejuszowi Pompejuszowi udało się uciec. Widziano jednak, że był ranny w ramię i w piętę. Wystarczy go wytropić, osaczyć jak zwierzę ukryte w gromadzie, a potem poderznąć mu gardło. Cezar wie, czuje, że tak będzie!

Toteż wcale nie jest zaskoczony, kiedy kładą przed nim odciętą głowę Gnejusza. Po głowie ojca głowę syna.

Patrzy na nią długo. Mówi cicho:

- Często walczyłem, żeby odnieść zwycięstwo, dziś po raz pierwszy walczyłem o swoje życie.

Ma pewność, że bogowie poddali go tej ostatniej próbie, aby mógł dotrzeć do celu dopiero po wygraniu najkrwawszej i najbardziej niebezpiecznej bitwy.

Niedobitki sił nieprzyjaciela schroniły się w Mundzie. Cezar zwraca się do legatów i trybunów.

- Przypomnijcie sobie Galów - mówi. - Zanim przypuścili szturm na jakieś miasto, ustawiali wokół niego piki z nabitymi na nie trupami wrogów. Zróbmy tak samo!

Nadzoruje *milites*, którzy budują wokół Mundy palisadę z trupów żołnierzy

Pompejusza. Przebijają ciała mieczami i pikami, na końcu włóczni umieszczają odcięte głowy obrócone twarzą w stronę murów miasta.

Dzięki temu wróg będzie wiedział, jaki los go czeka!

Munda nie broni się długo. Niebawem poddają się także wszystkie inne miasta, które stały po stronie Pompejusza: Gades, Korduba i Hispalis.

A ostatni buntownicy popełniają samobójstwo albo jak młodszy syn Pompejusza, Sekstus, uciekają, by błąkać się bez żadnej przyszłości.

Cezar wkracza po kolei do każdego z tych podbitych i rozgrabionych miast; większość ich mieszkańców została zabita bądź sprzedana w niewolę. Pozostali przy życiu będą musieli zapłacić słony okup.

Udaje się do świątyni Herkulesa w Gades. Przygląda się posągowi Aleksandra, przed którym kiedyś, w latach młodości, ogarnęła go rozpacz na myśl, że nigdy nie zdoła dorównać macedońskiemu zdobywcy... Teraz może patrzeć na ten posąg, nie spuszczać przed nim wzroku!

Może nawet rzucić wyzwanie tamtemu wspomnieniu. Rozkazuje, aby wszystkie cenne wota złożone w tej świątyni zostały zabrane jako jego łupy.

Jest lato roku 45. Wojna była krótka, wygrał. Cezar rusza w drogę powrotną. Który obywatel rzymski ośmieli się teraz wystąpić przeciwko niemu? Któż w Rzymie, w senacie będzie miał czelność sprzeciwić się jego projektom? Kto się przed nim nie ugnie, skoro po wzięciu Mundy legiony po raz trzeci przyznały mu tytuł imperatora? Kto nie przyłączy się do piątego triumfu, który zamierza zorganizować na cześć klęski ostatnich zwolenników Pompejusza?

Może teraz wolno jechać w stronę Rzymu, przewodnicząc zebraniom w mijanych miastach, wydając decyzje o założeniu kolonii, które będą żywym śladem Gajusza Juliusza Cezara. Osiądną w nich weterani, którzy dostaną działki ziemi. Powstaną w ten sposób Olisipo, Carthago Nova, Tarraco - ich mieszkańcy będą mieli te same przywileje co obywatele Rzymu.

Wjeżdża do Galii Narbońskiej i widzi zbliżającego się doń Marka Juniusza Brutusa. Wyciąga do niego ręce. Jego przybrany syn dobrze rządził Galią, odkąd przeszedł na stronę Cezara. Słucha jego zapewnień o wierności Rzymowi.

Cezar pochwała to. Wie jednak, że Marek Brutus poślubił Porcję, córkę Katona i wdowę po konsulu Bibulucie, swoim dawnym rywalu i zdeklarowanym sojuszniku Pompejusza. Odgania jednak od siebie te myśli. Trzeba wreszcie zakończyć walki obywateli

rzymskich pomiędzy sobą! Gajusz Juliusz Cezar jest władcą, wszyscy więc powinni się skupić u jego boku.

Gajusz Juliusz Cezar nie chce już mieć wrogów w Rzymie.

Kto zresztą by się ośmielił?

## ***Rozdział 50***

Twierdzą, że chcesz być królem.

Mówią nawet, że chcesz pojechać się koronować do Aleksandrii...

W sierpniu roku 45 nie spieszy mu się z powrotem do Rzymu. Panuje tam pewnie przytłaczający upał, gdy tymczasem powietrze Kampanii jest bardziej rześkie, miasta podejmują go jak króla, postanawia więc spędzić parę tygodni w tutejszych ogrodach, w cieniu wielkich parasolowych pinii.

A poza tym woli kazać na siebie czekać, chce, by niepewność co do jego zamiarów wywoływała niepokój... Teraz każdy senator, urzędnik, a nawet najskromniejszy obywatel wie, że Gajusz Juliusz Cezar jest najpotężniejszym człowiekiem w Rzymie, a więc i w świecie. Że nie obawia się już nikogo. Stoi na czele armii złożonej z dwudziestu sześciu legionów i jest najbogatszy w całej republice. Jeszcze raz powtarza sobie: „A więc i w świecie”.

Na parę tygodni zamieszka w swej willi w Labicum.

Chodzi wolno alejkami parku. Jest ciepło, wieczorna bryza od morza kołysze krzewami laurowymi i ugina gałęzie pinii, czasami wiatr pochyła nawet wierzchołki cyprysów.

Siada. Słucha Emiliusza, który przybywa z Rzymu, gdzie udał się na przespiegi. Zebrał wszystkie plotki, o wszystko wypytał. Mówi, że zaraz po ogłoszeniu zwycięstwa pod Munda, 20 kwietnia, senatorowie postanowili przyznać mu nowe honory: pięćdziesiąt dni modłów, prawo do noszenia tytułu imperator jako przydomka. Dla uczczenia jego zwycięstwa co roku 21 kwietnia, w dniu założenia Rzymu, zostanie zorganizowany wyścig rydwanów. Cezar nie reaguje. Rzym to on.

- Kilka dni temu - ciągnie Emiliusz - senatorowie obchodzili święto zwycięstwa na twoją cześć, Gajuszu Juliuszu Cezarze. Zostałeś posągiem z kości słoniowej na czele orszaku, tej samej wielkości co posąg Romulusa, założyciela Rzymu!

Emiliusz urywa niepewny, czy mówić dalej. Cezar spogląda na niego pytająco.

- Widzowie byli oszołomieni tym widokiem - podejmuje Emiliusz. - W milczeniu

obserwowali przejazd twego posągu.

Cezar nie jest tym zaskoczony, plebs niezbyt kocha królów! Ale boi się bogów. Trzeba więc sprawić, aby stał się równy bogom. Czy nie jest wyzwolicielem, niezwykłym wodzem równym Aleksandrowi, ojcem ojczyzny: *Imperator, Liberator i Pater patriae*? Czyż przez całe życie nie znajdował się pod opieką bogiń Fortuny i Felicitas, czy nie prowadziła go Venus Victrix? Należy sprawić, aby czczono go z tego powodu, aby składano hołd *victoria Caesaris*, uznano *genius Caesaris*, zadekretowano, aby cieszył się taką samą nietykalnością jak bogowie i aby powołać kapłanów sprawujących jego kult.

- Postanowili, że Quinctilis, miesiąc twoich urodzin, Cezarze, będzie nosił twoje imię, Julius, i będzie miesiącem wielkich świąt trwających jedenaście dni. Będziesz nosił purpurową i złotą togę, będą cię zawsze poprzedzali liktorzy, będziesz zasiadał na złotym tronie. I wolno ci będzie godność najwyższego kapłana przekazać twemu spadkobiercy.

Cezar wstaje. Zmierzch barwi niebo na czerwono. Przechadza się. Tylko śmierć może go zatrzymać... Musi i o niej pomyśleć, a więc o swoim następcy. Zdecydował się już, chce teraz wykorzystać te kilka spokojnych dni dla zredagowania testamentu. Uczyni swoim głównym spadkobiercą Gajusza Oktawiusza, wnuka swej siostry. To on odziedziczy większość majątku Cezara. Trzeba będzie przyznać mu także godności, dzięki którym będzie mógł go w swoim czasie zastąpić. Cezar chce go usynowić.

Jeśli zaś chodzi o Marka Brutusa, syna Serwili, który już jest jego przybranym synem, to i on dostanie swój udział, ale mniejszy. W spojrzeniu Marka Brutusa jest bowiem czasami coś, jakby wahanie, wątpliwość, a może marzenie o przywróceniu władzy senatu? Przecież Brutus przeszedł w swoim czasie na stronę Pompejusza? To człowiek łatwo ulegający wpływom. Ale kto dziś może zagrozić Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi?

Cezar odwraca się do Emiliusza, idącego o dwa kroki z tyłu.

- Mam więc w Rzymie samych sojuszników... Emiliusz się zbliża.

- Obsypują cię zaszczytami! Czczą cię jak boga i króla. Ale boją się ciebie, Cezarze. Chcą cię zadusić pod wieńcami laurowymi. Mają nadzieję, że zazdrość i zawiść przerodzą się w bunt przeciwko tobie. Wynoszą cię jak można najwyżej, abyś był wystawiony na ostrzał wszystkich tych w Rzymie, którzy nie chcą króla. Uważają, że im wyżej się znajdziesz, tym łatwiej będzie spowodować twój upadek. Ukrywają ze strachu nienawiść, jaką czują do ciebie, ale jest ona przez to jeszcze silniejsza. Strzeż się!

- To bogowie decydują, Emiliuszu.

A on pokłada zaufanie w bogach. Czyż nie jest ich potomkiem? Czy Rzymianie nie



uznali, że jest im równy? Przyznano mu określenie *Deus Invictus*, niezwyciężony bóg, któż więc ośmieli się podnieść na niego rękę? Cezar nie wyobraża sobie, aby w Rzymie mógł znaleźć się ktoś zdolny do popełnienia takiego świętokradztwa.

Czemu zresztą mieliby się przeciwko niemu buntować? Ograniczył wprowadzić władzę polityczną optymatów, ale nie tknął ani ich majątków, ani godności. Nadał weteranom działki ziemi w Kampanii, w Hiszpanii, w Afryce, na Sycylii. Mieszkańcy utworzonych przez niego kolonii - ostatnie to Arelate i Forum Iulii leżące w Galii Narbońskiej - korzystają z *ius Latii*. Pragnął jednak, aby Rzym pozostał wyjątkowym klejnotem w koronie.

Kiedy w październiku 45 roku wkracza do swego rodzinnego miasta, kiedy przemierza Forum, kiedy ogląda nowe budowle wyrastające z ziemi z jego inicjatywy i dzięki jego darowiznom, ma przeświadczenie, że wpłynął na oblicze Rzymu.

Przecina Pole Marsowe, poprzedzany przez liktorów, w eskorcie straży złożonej z centurionów z Hiszpanii. Chce wybudować w Rzymie więcej niż dotychczas, oprócz Forum Iulium, świątyn i bazylik, pragnie powstania teatru i biblioteki, które przyćmiłyby sławne budowle Aleksandrii. Bo Rzym stanowi centrum świata.

Zanurza dłonie w skrzyniach pełnych monet z jego podobizną.

On jest tym mężczyzną o szczupłej twarzy i długiej szyi, na której rytownik zaznaczył fałdy skóry - postarzałym łysym mężczyzną, którego mocne kości policzkowe i wysokie czoło, częściowo przysłonięte wieńcem laurowym, świadczą o zdecydowaniu. Niech ktoś spróbuje go zaatakować!

W tym październikowym dniu 45 roku rzuca wyzywające spojrzenia na senatorów i trybunów, którzy biorą udział w triumfie dla uczczenia zwycięstwa w Hiszpanii. To jego piąty triumf.

Stoi na swym rydwaniu przyodziany w purpurową togę, trzymając berło zwieńczone orłem. Dobrze wie, że wśród wstających na jego powitanie optymatów wielu jest takich, którzy żałują zwycięstwa Cezara. Jego triumf nie tylko upamiętnia krwawą wojnę Rzymian przeciwko Rzymianom, ale często senatorowie ci byli zwolennikami Pompejusza... Muszą się jednak z tym pogodzić. I powinni się cieszyć, że Cezar nie ma ochoty mścić się na nich w żaden sposób, gotów jest pojednać się z dawnymi przeciwnikami z okresu wojny domowej, jeśli tylko wyrażą skruchę.

Naraz dostrzega lukę w białej linii trybun. Jeden z trybunów nie wstał z miejsca, manifestując w ten sposób swoją dezaprobatę.

Chce wiedzieć, kto to jest, nie żeby się na nim zemścić, kazać go zabić czy proskrybować - a byłoby to łatwe, wystarczyłoby jedno jego spojrzenie - lecz aby okazać mu

swoją pogardę, pokazać mu, że czasy się zmieniły i że teraz Gajusz Juliusz Cezar jest władcą.

Podchodzi do trybuna, odgadując gmatwaninę sprzecznych porywów odwagi i strachu kłębiących się w tym człowieku.

- A ty, trybunie Poncjuszu Akwilo, czego chcesz?

Akwila nie odpowiada, zastygły, jakby go zamurowało.

- No dobrze, zażądaj ode mnie, abym przywrócił republikę! - kontynuuje Cezar.

Odwraca się do innych trybunów i senatorów. Ogłasza, że wyda dekret, *lex Iulia municipalis*, pozwalający na tworzenie nowych kolonii...

- Oczywiście jeśli tylko - dodaje szyderczym tonem - zezwoli mi na to trybun Akwila!

Senatorowie i trybunowie wybuchają śmiechem. Poncjusz Akwila spuszcza głowę.

Człowieka nie trzeba zabijać, aby go pokonać.

Macha na Emiliusza ręką, jakby chciał się opędzić od dokuczliwego owada. Ale w atrium zmuszony jest go wysłuchać, Emiliusz idzie bowiem obok niego z poważnym obliczem i mówi stłumionym głosem, rzucając na wszystkie strony spojrzenia, jakby bał się, że ktoś usłyszy.

Cezar w końcu przystaje, tracąc nadzieję, że uwolni się od swego oddanego i upartego sekretarza.

- Czego chcesz?

- Ostrzec cię ponownie, Gajuszu Juliuszu Cezarze! Zadajesz rany, lecz nie dobijasz wroga... Pamiętaj jednak, że człowiek, tak samo jak zwierzę, pod wpływem bólu i upokorzenia może wpaść w szał. Wielu jest takich, których rani twoja władza! Utrzymują, że chcesz zostać królem. Mówią nawet, że chcesz pojechać się koronować do Aleksandrii, że chcesz przenieść tam stolicę z Rzymu. Powtarzają, że jeśli powrócisz zwycięsko z wojny, jaką chcesz wydać Partom, to nic cię już wtedy nie powstrzyma i zostaniesz królem na modłę azjatycką!

Cezar przysiada na bloku marmuru naprzeciwko ołtarza larów. Przypatruje się Emiliuszowi, który nagle zamilkł. Jego cała postawa świadczy o szczerym zaniepokojeniu. Emiliusz nie może sobie wyobrazić, co się czuje i myśli, kiedy się jest imperatorem, panem Rzymu, najwyższym kapłanem, czczonym jak bóg.

- Nikt mi nic nie może zrobić - odpowiada Cezar. - O wszystkim rozstrzygną bogowie. Wiedzą oni, a wraz z nimi i Rzymianie, że cios we mnie to uderzenie w Rzym. Wojna domowa rozpęta się niebawem na nowo! Jakże można, Emiliuszu, przewracać kolumnę, na której spoczywa cały gmach? Nawet moi milczący i urażeni wrogowie to wiedzą.

Wstaje, bierze Emiliusza pod ramię, zabiera do parku Domus Publica, położonego

wśród świętych budowli Rzymu.

- Postanowiłem, że za kilka miesięcy, najprawdopodobniej osiemnastego marca, opuszczę Rzym wraz z szesnastoma legionami i dziesięcioma tysiącami jazdy. Partowie nadal nękają nasze azjatyckie prowincje, chcę wejść do ich królestwa, pójść aż do Armenii, okrążyć Morze Kaspijskie, ujarzmić Dację i dotrzeć do Germanii, pokonać ją i wrócić do Rzymu po przejściu Galii. Długi przemarsz wokół posiadłości Rzymu, aby ostatecznie zaprowadzić pokój na naszych granicach. Kto może mi w tym przeszkodzić oprócz bogów!

- Jaki będzie Rzym, kiedy wrócisz, Gajuszu Juliuszu Cezarze? Cezar się zatrzymuje. - Jeżeli wrócisz...

- Bogowie zadecydują, Emiliuszu. Ale po trzech latach, które zajmie ta kampania...

- Trzech latach? - wtrąca Emiliusz.

- ...uznam, że dokonałem tego, co winien jestem Rzymowi i mojej sławie. - Kładzie poufale rękę na ramieniu Emiliusza.

- Do mego wyjazdu, czego chcesz, żebym się lękał? Postanowiłem nawet poruszać się bez mojej gwardii hiszpańskiej, pozostawiając w ten sposób mój los w rękach Rzymian i bogów.

- Nie bądź arogancki, Gajuszu Juliuszu Cezarze - buntuje się Emiliusz - nie rzucaj wyzwania bogom i twoim wrogom! W Rzymie mówi się po kątach, że niektórzy z tych, którzy ci zazdroszczą, zmawiają się w tajemnicy i planują cię zabić. A ty chcesz chodzić bez straży? Czego szukasz, Cezarze?

Cezar krzyżuje ramiona, idzie powoli przed siebie.

- Nie ma nic gorszego, Emiliuszu, niż stale mieć się na baczności. To dobre dla kogoś, kto zawsze się boi. - Odwraca się do sekretarza trzymającego się o dwa kroki z tyłu. - Nigdy nie odczuwałem strachu. Zawsze wiedziałem, że bogowie będą mnie ochraniać, aż po kres mojej drogi, jeśli tylko będę miał dosyć siły, aby ją wybrać i jej się trzymać.

- Pamiętaj, Gajuszu Juliuszu Cezarze, o wściekłości i nienawiści zranionych bestii! Ten trybun, którego upokorzyłeś...

- Orzeł szybuje, nie zwracając uwagi na sępy.

Przemierza Forum wyciągnięty w lektyce. Plebs tłoczy się wokół, wiwatuje. Podchodzą petenci, wręczają na ręce jego sekretarzy i niewolników zwrócone do niego prośby. Kto ośmieliłby się go zaatakować wśród tego entuzjastycznego tłumu?

Czasami spędza kilka godzin u Serwili, w towarzystwie Tercji, ale szybko czuje zmęczenie, jakby po rozkoszach, jakie mu ofiarowała przemyślna i doświadczona Kleopatra,

kobiety rzymskie, nawet te najmłodsze, nie były w stanie zaspokoić jego pragnień.

Wybiera się do Kleopatry, która przed nim bije pokłony i cała mu się ofiarowuje. Cezar jednak ze zdziwieniem spostrzega, że odczuwa takie samo znużenie jak z Serwilią. Czyżby wkroczył już do królestwa obojętności? Chyba że stał się teraz bardziej wrażliwy na zaszczyty i na ten rodzaj rozkoszy, jaki daje władza.

Opuszcza Rzym w drugiej połowie grudnia roku 45, w chwili gdy miasto przemierzają hałaśliwe orszaki niewolników, wyzwolenców i plebsu obchodzących Saturnalia. Wszyscy krzyczą, grają, tańczą, panowie usługują niewolnikom - na kilka dni odwraca się zwykły porządek społeczny. Ludzie udają się do świątyni, prosząc bogów, aby powróciło słońce, które schowało się pod ziemią, a dni zaczęły się znowu wydłużać.

Ta wrzawa, śpiewy, tańce i libacje, cały ten rozgardiasz go nuży.

Spędza ten czas w Kampanii, w willi Lucjusza Marcjusza Filipusa, ojczyma Oktawiana, w Puteoli, niedaleko domu Cyncerona. Nie mógł uciec przed wszystkimi pochlebami, którzy setkami cisną się wokół niego na każdym kroku. Pełno ich w sąsiednich willach, ogrodach, na plaży, gdzie lubi spacerować w pianie rozpryskujących się fal. Często kąpie się w morzu, długo pływa i czując, jak ręce i nogi rozgarniają zimną grudniową wodę, doznaje wrażenia pełni i potęgi.

Uwielbia, gdy niewolnicy masują jego zmarznięte na kość ciało, owijają je w gorące prześcieradła, gdy olejek z pachnidłami wnika w każdy z porów skóry. Ma wtedy wrażenie, jakby po wysiłku pływania wchodził w nowe, oczyszczone i odmłodzone ciało.

Składa wizytę Cynceronowi i przyjmuje zaproszenie na ucztę. Gospodarz domu jest usłużny, lecz jego spojrzenie zdradza, że ma się wciąż na baczności.

Stoły są ogromne, dania podaje wielu młodych niewolników. Cezar słucha, jak orator utrzymuje, że nie obchodzi go literatura ani filozofia. Należy mu odpowiedzieć, odsuwając na bok wszelkie tematy polityczne; udawać, ponieważ takie są reguły gry.

Nie okazuje emocji, kiedy posłaniec przynosi wiadomość o śmierci Mamurry. Niedbałym skinieniem ręki odprawia intruza. Śmierć to tylko zmarszczka na powierzchni życia, które nadal bije jak morze o skały.

Tak samo jest z jego własną śmiercią...

Wraca do Rzymu. To już ostatnie dni roku 45, w którym skończył pięćdziesiąt sześć lat. Często sam się dziwi przemożnemu pragnieniu, by jak najprędzej, kiedy tylko legiony się zgromadzą, opuścić miasto. Termin wyjazdu ustalił na 18 marca. Chciałby już się znaleźć wśród dziewiczych krajobrazów, słyszeć znowu zawołania wojenne i czuć, że nadeszła chwila, gdy bogowie muszą wybrać, kto wyjdzie z bitwy zwycięsko.

Idzie wtedy do przodu, z odsłoniętą piersią, mieczom i włóczniom naprzeciw. Życie nabiera intensywności!

Tutaj, 31 grudnia na Polu Marsowym, może tylko przewodniczyć zgromadzeniom wyborczym. Oczywiście wszystko jest ustalone. Na trzy miesiące na konsula wyznaczony zostanie Fabiusz Maximus. A on sam, Cezar, zrzekł się pełnienia tej godności w ostatnim trymestrze roku 44! Słysząc jakieś szemrania, jakby plebs i senatorowie poczuli się upokorzeni, że tak lekceważy tę najważniejszą funkcję w państwie. Jednak on czuje się wyższy ponad tę zwyczajową rozgrywkę. Co dla niego znaczy stanowisko konsula?

Podchodzi posłaniec: konsul Fabiusz Maximus umarł dziś rano. Należy więc zastąpić go kim innym... Czemu miałby respektować te przestarzałe zasady, procedury, gdy i tak każdy wie, że elektorów się kupuje?

Trzeba zerwać maski, skończyć wreszcie z hipokryzją. On jest władcą! Już postanowił, że konsulowie będą zasiadali na swym stanowisku jedynie przez trzy miesiące. Dobrze, wobec tego wyznaczony konsula na czas do 1 stycznia 44 roku, to znaczy na pół dnia. Będzie nim jeden z jego oficerów, Kaniniusz Rebilus.

Czym stało się głosowanie? Co z augurami, odczytywaniem auspicjów i całym rytuałem towarzyszącym wyborom na konsula? Czy to znaczy, że Cezar ma w pogardzie instytucje Rzymu?

Wyczuwa raczej, niż słyszy, te pytania i zarzuty. Czyta w spojrzeniach dezaprobatę i gniew. Ale cóż oni mogą zrobić? To on, Cezar, jest władzą, najwyższym kapłanem, imperatorem! Jeśli uważa, że godność konsula jest już jedynie czczym tytułem i pozorem, to czemu miałby tego nie okazywać? Rzym będzie się musiał przyzwyczaić do nowej organizacji władzy, będzie musiał się zgodzić na jednego władcę, równego królowi i bogom, który będzie także wyznaczał swego następcę, tak jak on to uczynił w wypadku Oktawiana.

I nie ma znaczenia, czy ten człowiek, czyli ja, Gajusz Juliusz Cezar, nazywany jest tytułem *rex*, król!, myśli.

W owocu najbardziej liczy się jego miąższ i sok, a nie barwa skórki.

Wraca do domu. Emiliusz czeka na niego, nadal zmartwiony.

- Ktoś... - zaczyna.

- Kto?

- Jakaś anonimowa ręka - kontynuuje sekretarz - umieściła na głowie posągu w świątyni Jowisza Kapitońskiego diadem i laurowy wieniec.

- Kto? - pyta znowu Cezar.

Jego wrogowie, chcąc podburzyć plebs przeciwko niemu, mogą obsypywać go

przesadnymi bądź przedwczesnymi pochwałami.

- Trybuni ludowi wydali rozkaz usunięcia diademu i wieńca, gdyż czyniłyby cię one równym królowi i bogu Dionizosowi.

Cezar nie odpowiada. Ludzkie intrygi nic nie znaczą wobec woli bogów. To oni o wszystkim decydują. Doprowadzili go aż do tego miejsca. Czemu mieliby go opuścić właśnie teraz?

Czuje, że powinien wyjechać z Rzymu, stoczyć swoją ostatnią wojnę, nie pozwolić się wplątać w matnię intryg, spisków i jałowych rozgrywek tego miasta, które wciąż jeszcze nie wie, że reprezentuje świat i ma obowiązek nim kierować.

## ***Rozdział 51***

Myśli o Kasjuszu i o Brutusie; w sennym koszmarze widział, jak do niego podchodzą...

Koń Cezara rży, potrząsa długą białą grzywą i ponosi, rozdrażniony okrzykami tłumu, który 26 stycznia 44 roku tłoczy się na Forum. Rozpięto łańcuchy mające powstrzymywać plebs czekający na orszak najwyższego kapłana, imperatora, dyktatora i konsula w jednej osobie, Gajusza Juliusza Cezara, który w otoczeniu liktorów powraca z podróży po Wzgórzach Albańskich. Odwiedził Arpinum, Albę, Praeneste, Tibur i Tusculum. Wszędzie przyjmowany był z entuzjazmem i z czcią, jako potomek bogów i założycieli Rzymu.

Koń staje dęba i Cezar ściska boki swego wierzchowca, czując z przyjemnością ciało zwierzęcia, ową białą górę mięśni i energii. Upajają go także okrzyki tłumu.

Rozsuwa poły swej haftowanej złotem purpurowej togi. Na nogach ma trzewiki z czerwonej skóry, zdobne w złocone arabeski.

Opanowawszy konia, odwraca się. Spozrzega długi orszak, w którym znajdują się senatorowie, urzędnicy i jego najbliżsi, Balbus, Emiliusz. Przed nimi postępują fletniści. Rozpoznaje urzędników Antoniusza i Dolabellę, którzy pełnią tego roku urząd konsulów. Widzi także Decymusa Brutusa Albinusa, któremu obiecał konsulat na rok 42. Ma zaufanie do tego człowieka, który pod rozkazami Treboniusza brał udział w oblężeniu Massalii. Sam Treboniusz był podczas wszystkich wojen odważnym trybunem wojskowym, skutecznym i zręcznym. Ma on nadzieję, że Cezar wyznaczy go na namiestnika Azji. Dalej są bracia Kaśka - obu im pomagał, pożyczając pieniądze.

Zauważa idącego o kilka kroków przed tą grupą Gajusza Kasjusza Longinusa i Brutusa, którzy walczyli pod Farsalos u boku Pompejusza. Jednemu dał preturę, drugiemu zaś - swemu przybranemu synowi - obiecał konsulat. Według Emiliusza, są ze sobą skłóceni,

gdyż Kasjusz jest zazdrosny o Marka Brutusa.

Obok nich idzie ów trybun, Poncjusz Akwila, który odmówił powstania z miejsca podczas triumfu na cześć zwycięstw Cezara w Hiszpanii. Dlaczego kroczy u boku Brutusa i Kasjusza? Czy biorą wspólnie udział w jednym z tych spisków, o których tyle plotkuje się w Rzymie - mieście, gdzie mówi się wszystko i wszystko jest możliwe?

Cezar patrzy na defilujących senatorów i urzędników, którzy kłaniają się ceremonialnie i nawet Poncjusz Akwila spuszcza głowę. Który spośród tych ludzi nie marzy, aby mu odebrać władzę i godności, jakie zmuszeni byli mu przyznać?

Nagle ponad wrzawę wznosi się czyjś silny głos.

Cezar przygląda się twarzom i postaciom ludzi stłoczonych za łańcuchami, odpychanych przez żołnierzy.

Podnosi się na nowo okrzyk: „*Rex*\ Król! Jesteś królem, Gajuszu Juliuszu Cezarze”.

Słychać też inne głosy: „*Rex*\ Król!”

Cezar drży. Nagle zapada cisza, jakby specjalnie po to, aby ów człowiek mógł znowu zawołać: „Król, jesteś królem...”

Wówczas jednak przez tłum przebiega szmer dezaprobaty.

Czy to pułapka, którą zastawiają na niego wrogowie, aby móc go oskarżyć przed ludem, że dąży do władzy królewskiej, że chce złamać prawa Rzymu, że pragnie zostać orientalnym despotą? W takiej sytuacji tyranobójstwo byłoby krokiem legalnym!

Ale kto ośmieli się podnieść na niego rękę? Który bóg na to pozwoli?

Lecz jeśli zbrodnia mimo wszystko się dokona, będzie to znaczyło, że tak postanowili bogowie, a w takim razie, czemu przejmować się zabójcami? Choć nie powinien także ułatwiać im zaudania.

Prostuje się. Woła:

- Jestem Gajusz Juliusz Cezar, nie jestem królem!

Słychać wrzawę, jakieś krzyki. Widzi, jak przez tłum przeciskają się trybunowie ludowi Flawiusz i Marullus i zatrzymują jednego z obywateli. Może istotnie chodzi o człowieka, który wyrażał szczere pragnienie!

Nie może pozwolić, aby miano go osądzić i skazać. Zażąda od senatu, żeby złożył z urzędu tych dwóch trybunów, jego przeciwników.

I senat się ugnie.;

Kilka dni później, 14 lutego 44 roku, w Rzymie pada ulewny deszcz. Cezar patrzy, jak senatorowie w togach nasiąkniętych wodą wchodzą do świątyni Wenus.

Siedzi nieporuszony. Stojący obok niego Korneliusz Balbus schyla się i mówi:

- Jeśli nie wstaniesz, aby ich powitać, Gajuszu Juliuszu Cezarze, zostaną upokorzeni, uznają, że jesteś arogancki. Znienawidzą cię jeszcze bardziej. Uważaj, Cezarze, bo często właśnie ci sami ludzie, którzy wszystko ci zawdzięczają, którym wybaczyłeś zdradę, są twoimi największymi wrogami!

Cezar jednak się nie rusza. Będzie siedział i niewiele go obchodzi, że delegacja senatorów uzna go za aroganta, że będzie chodziła i powtarzała w całym Rzymie, iż potraktował ich jak niewolników albo dłużników przychodzących błagać o pieniądze. Czy ci ludzie o duszach niewolników wyobrażają sobie, że równi są Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi i że on winien jest im jakieś względy? A jeśli się poczują oburzeni jego zachowaniem, to może dzięki temu zobaczą, kim są oni, a kim stał się on!

Pozwala im podejść bliżej. Senatorowie składają przed nim wykonaną ze złota i srebra tabliczkę, na której wygrawerowana jest uchwała przyjęta pod jego nieobecność przez senat, mianująca go *dictator in perpetuum*, dożywotnim dyktatorem.

Cezar nie odpowiada na ich hołdy, wzrok ma nieruchomy. Chce, by jego spojrzenie nic nie wyrażało, by jego ciało było jak posąg boga. Senatorowie muszą zrozumieć, że nastąpiła inna epoka. On, Gajusz Juliusz Cezar, założył podwaliny pod nowy okres w historii Rzymu.

Jest boskim Juliuszem, *divus Julius*. Wojna, jaką chce przedsięwziąć, planując wyjazd 18 marca z Rzymu do Azji, zwycięstwa, które odniesie nad Partami, Dakami i Germanami, przyniosą temu nowemu Rzymowi stabilne granice, bogactwa, ludzi, terytoria, jeszcze większą chwałę.

Zdaje się nie zauważać senatorów, którzy w milczeniu opuszczają świątynię Wenus.

Wraca do domu. Czuje się znużony. Ma wrażenie, jakby głowa, ściśnięta żelaznymi pięściami, miała mu zaraz pęknąć. Słania się, bliski omdlenia. Z rozkoszą zanurza się w cieplej kąpieli, potem pozwala się masować, namaszczać olejkiem, podczas gdy Korneliusz Balbus i Emiliusz relacjonują mu pełne oburzenia słowa senatorów i szerzące się plotki, w których dzień po dniu powtarzają się i nasilają te same elementy. Mówi się, że augurowie mieli oświadczyć, iż tylko król może pokonać Partów. Z tego powodu Gajusz Juliusz Cezar chce się koronować jeszcze przed wyruszeniem z Rzymu 18 marca. Ceremonia odbędzie się być może w idy marcowe, 15 marca, ponieważ ma on wtedy wziąć udział w posiedzeniu senatu w Kurii Pompejusza, wielkim budynku na Forum. Żywe jest tam jeszcze wspomnienie Pompejusza, ponieważ Cezar nie pozwolił zniszczyć posągu swego przeciwnika. Mówi się także, że Aureliusz Kotta, wuj Cezara, wystąpi z propozycją koronacji. Zapewniają, że Gajusz



Juliusz Cezar zastanawia się, w którym z dwóch miast założyć nową stolicę republiki: czy w Aleksandrii, mieście Kleopatry, czy w Ilionię (Troi), mieście jego przodka Eneasza. Najpierw zaś opróżnić chce skarbcę Rzymu i wyczerpać ludność Italii zaciąganiem do wojska.

- Czy wiesz - mówi Balbus - że Gajusz Kasjusz Longinus odmówił głosowania w senacie za mianowaniem ciebie dyktatorem dożywotnim? Widzi się go często na poufnych naradach z twoim przybranym synem, Markiem Brutusem. Bracia Kaśka, Treboniusz, trybun ludowy Poncjusz Akwila przyłączyli się do nich. Łączą swoje urazy, zazdrości, wspomnienia. Nie zapominaj, Cezarze, że Brutus i Kasjusz byli pod Farsalos po stronie Pompej usza! Pozostawiłeś ich przy życiu, wybaczyłeś im, a oni nie są ci wdzięczni. Przeciwnie! Mówią, że chcą ratować republikę. A Brutus utrzymuje, że jest potomkiem tego Brutusa, który przepędził króla Tarkwiniusza i założył republikę. Wiesz, że poślubił Porcję, córkę Katona. - Korneliusz Balbus potrząsa głową. - Jesteś dla nich wyrzutem sumienia. Nie mają odwagi Katona Utyceńskiego. Jesteś tu, zwyciężyłeś, oni tymczasem przeżyli Pompejusza. Jesteś żywym dowodem ich tchórzostwa. Nie zaznają spokoju, dopóki ty nie umrzesz. Cezar odsuwa masażystów. Czuje się odprężony.

- Czemu chcesz mnie uśmiercić, Balbusie? - Jeśli oni cię zabiją...

- Są tchórzami, sam powiedziałeś!

Spał niewiele, w sennym koszmarze widział Kasjusza i Brutusa, jak do niego podchodzą i mu grożą, a w chwili, gdy usiłował się bronić, Antoniusz i Dolabella, jego zauszniczy, wyciągnęli nagle sztylety w jego kierunku.

Wstaje rankiem 15 marca 44 roku, chcąc skończyć z tymi snami. Jednak zmęczenie, poprzedniego dnia na krótko oddalone dzięki kąpeli i masażom, teraz powraca znowu. Podczas gdy niewolnicy zawiązują mu czerwone i złote trzewiki, podają haftowaną złotem purpurową togę, ogarnia go znowu uczucie, że ziemia umyka mu spod nóg. Czy te sny i zawroty głowy są znakami bogów?

Jeśli jednak bogowie postanowili rzucić mu nowe wyzwanie, on musi je podjąć! Udaje się na Forum, bez eskorty, zasiada na złotym tronie ustawionym na Rostrach. Daleko, na drugim brzegu Tybru, widzi ogrody, po których być może przechadza się o tej porze Kleopatra w towarzystwie swoich niewolnic. Kiedy rozgląda się dokoła, widzi po lewej stronie Forum Iulium, bazylikę Emiliusza (*basilica Aemilia*), po prawej zaś świątynię Saturna, a także zbudowaną na jego rozkaz i z jego funduszy bazylikę Juliusza (*basilica Iulia*). Przed nim rozciąga się Forum Romanum, a w oddali widać Circus Maximus.

Odwraca się. Oto Kuria Pompejusza wsparta z tyłu masywną konstrukcją. 15 marca Cezar znajdzie się tutaj na posiedzeniu senatu. A w trzy dni później, jeśli bogowie zechcą,

stanie na czele szesnastu legionów i dziesięciu tysięcy jazdy zebranych na wojnę przeciwko Partom.

W dniu święta Luperkaliów słyszy pierwsze okrzyki biegaczy o naoliwionych ciałach przepasanych jedynie kozłą skórą na biodrach. Czczą w ten sposób Fauna o przydomku Lupercus, który - jak bożek Pan u Greków - patronuje obrzędowi płodności, chroni pasterzy przed wilkami.

Biegacze zbliżają się, uderzają skórzanymi rzemieniami z kozła wszystkich mężczyzn i kobiety na Forum, którzy chcą mieć dzieci, stada, dobre zbiory.

Cezar rozpoznaje Antoniusza, członka kolegium kapłańskiego, który biegnie w jego kierunku, wspina się na stopnie trybuny. Jego ciało wysmarowane olejkiem wydaje się jeszcze grubsze. Jest zdyszany. Pokazuje przedmioty, jakie mu wręczono. To diadem i wieniec laurowy.

Czego chce Antoniusz?

Cezar przygląda mu się uważnie. Czy korona, którą proponuje mu Antoniusz w dzień Luperkaliów, ma być zastawioną na niego pułapką? A może gestem, który ma go zmusić do przyjęcia królewskiej godności przez zaskoczenie?

Nie robi się niespodzianek Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi!

Cofa się, odsuwa od siebie diadem i wieniec, odpycha Antoniusza.

Po jego zaskoczonym minie widzi, że działał on szczerze, chcąc przymusić los i urzędników rzymskich, cały Rzym i jego lud. Cezar słyszy szemrania wśród tłumu i tylko kilka zdecydowanych krzyków aprobaty dla Antoniusza.

Antoniusz waha się, znowu wyciąga ku niemu diadem i wieniec, będące na Wschodzie symbolami władzy królewskiej.

Jak on może nie pojmować, że Gajusz Juliusz Cezar nie chce być władcą azjatyckim ani hellenistycznym królem, lecz imperatorem rzymskim!

Odpycha znowu te insygnia władzy, a tłum głośnym krzykiem wyraża swój aplauz.....

-

Potem rzuca wieniec laurowy w środek tłumu i silnym głosem stwierdza, że chce, aby diadem został zanieiony na Kapitol do świątyni Jowisza i żeby zapisano, iż Gajusz Juliusz Cezar odmówił przyjęcia godności królewskiej!

Kiedy opuszcza trybunę, Balbus i Emilusz idą u jego boku.

- Mówiłem - mruczy Balbus. - Nie powinieneś ufać Antoniuszowi i Dolabelli...

Cezar, nie odwracając głowy, odpowiada, niemal nie poruszając wargami:

- Nie boję się ludzi tłustych i długowłosych, lecz raczej białych i szczupłych.  
Myśli o Kasjuszu i Brutusie, którzy napadli go w sennym koszmarze.

## Epilog

Jakby noc zapadała nad całym jego życiem...

- *Tu quoque, mi filii* Ty także, mój synu!

Cezar widzi tę otwartą, proszącą dłoń. Czuje, że nie potrafi się oprzeć, że schwyta ją i uściśnie, wolałby uniknąć tego zaproszenia, lecz nie może.

Słyszy jęki Kalpurni. Jego małżonka, tak jak każdej niemal nocy od końca lutego roku 44, ma ciężki sen. Płacze. Skarży się. Boi. Przytula się do niego, jakby chciała go zatrzymać i ochronić. Cezar za każdym razem czuje się tym poruszony. Stara się ją uspokoić, lecz ona nadal jest zatrwożona, cokolwiek jej mówi. Każe mu nasłuchiwać, jak stukają drzwi i okna. Mówi, że widziała we śnie szczyt domu zerwany wiatrem. To prawda, że w pierwszych dniach marca podmuchy wiatru bywają gwałtowne, częste są ulewy, a nawet trąby powietrzne, nocami przechodzą krótkie burze, jak krzyk dobiegający z niebios.

Ujmując tę dłoń, Cezar czuje, że jest miękka i władcza zarazem. Usiłuje wtedy cofnąć swoją, lecz tamta dłoń mu na to nie pozwala, ścisza go mocno i porywa szybko w górę. Kiedy się odwraca, znajduje się już wysoko ponad domem. Widzi, jakby poprzez mury, Kalpurnię, która uniosła się na łożu i go szuka. Widzi regię, gdzie złożone są i czczone tarcze boga Marsa. Słyszy, jak tarcze te uderzają o siebie, i myśli, że to zły znak. I nagle oślepia go wschodzące słońce, leci w jego stronę nad Rzymem i Wzgórzami Albańskimi, ponad morzem. Zdaje mu się, że rozpoznaje wybrzeża i góry Grecji, górę Olimp, i w tej chwili pojmuje, że dłoń, która go trzyma, należy do Jowisza, że bóg zabiera go do niebios, wysoko i daleko od ludzi.

Będzie żył wśród bogów. Umarł dla ludzi.

Budzi się.

Siada na łożu. Kalpurnia leży obok, skurczona. Jej oddech brzmi jak przeciągła skarga przerywana westchnieniami.

Cezar wstaje, ale bolą go nogi. Potyka się, chwieje. Zawroty głowy nawiedzają go niemal każdego ranka. Opiera się o ścianę sypialni. Duszno mu, jego serce bije tak mocno, że nie potrafi odzyskać spokoju i równowagi. Przed oczami staje mu obraz widziany przed chwilą we śnie. To jeszcze jeden znak. Owa apoteoza oznacza, że ma umrzeć, że Jowisz i pozostali bogowie postanowili położyć kres jego życiu.

Kiedy? W jaki sposób?

Kilka dni temu złożył mu wizytę haruspik Spurynna. Nie lubi tego przebiegłego

pretensjonalnego wieszczka, który mówi z półprzymkniętymi oczami i uniesioną głową, jakby słyszał głosy bogów. Spuryrna wielokrotnie to powtórzył, Cezar pamięta dobrze każdy odcień jego głosu:

- Strzeż się, Gajuszu Juliuszu Cezarze, niebezpieczeństwa, które minie dopiero po idach marcowych!

Cezar odprawił go - pamięta także to - pogardliwym gestem. Zauważył jednak twarze Emiliusza i Korneliusza Balbusa, wykrzywione w bólu, jakby zostali ugodzeni strzałą.

- Strzeż się, Cezarze - powtórzył Balbus. - Idy marcowe już niedługo! Tego dnia masz przewodniczyć posiedzeniu senatu w Kurii. Pójdź tam w otoczeniu straży hiszpańskiej...

- Oni chcą twojej śmierci - dodał Emiliusz. - Czy wiesz, co można przeczytać u stóp posągu Lucjusza Brutusa: „Ach, gdybyś żył, Brutusie, ty zabiłbyś tyrana!” Dla nich, Cezarze, jesteś nowym tyranem, dzisiejszym Tarkwiniuszem. Mówi się, że twój przybrany syn, Brutus, każdego dnia dostaje listy, w których przypomina mu się, że jest potomkiem wielkiego Brutusa, założyciela republiki, i powinien stać się godny swego przodka. A jak? Zabijając ciebie, Gajuszu Juliuszu Cezarze, tak jak jego przodek zabił Tarkwiniusza!

Balbus podszedł blisko.

- Wymieniają cię wprost. U stóp posągu ktoś napisał: „Brutus, za to, że przepędził królów, pierwszy został wybrany na konsula. Ten zaś mąż, Cezar, za to, że przepędził konsulów, został królem”. Zaczynj poruszać się w otoczeniu straży, Gajuszu Juliuszu Cezarze!

Czuje się znużony. Czasami zastanawia się, czy te wszystkie zawroty głowy, ociężałość członków - nie są także znakami, że życie z niego uchodzi i że powinien sam się z nim rozstać, nim stanie się już tylko cierpiącym zewłokiem. Nie wezwie straży, by maszerowała obok niego z obnażonymi mieczami. Mówi do Emiliusza:

- Moje ocalenie leży bardziej w interesie państwa niż moim własnym.

Urywa. Często doświadcza teraz znudzenia, jakby wszystko na świecie, nawet ciała Tereji i Kleopatry, spowite było w szarą mgłę, woal, który oddziela i nie pozwala mu odczuwać tak żywych i silnych namiętności jak dawniej.

- Ja - podejmuje - dawno już nasyciłem się potęgą i sławą, ale jeśli stanie mi się coś złego, republika nie zazna spokoju, znajdzie się w znacznie gorszych warunkach i będzie narażona na nowe wojny domowe.

Emiliusz i Balbus wydają się przygnębieni tymi słowami.

- Nikt spośród tych, którzy cię nienawidzą, Cezarze - mówią - nie myśli o tym, co stanie się z Rzymem po twojej śmierci. Nie chcą po prostu dopuścić, abyś został królem. Żałują utraconej władzy. Nie zastanawiają się, czym jest obecnie republika i czy Rzym musi

zmienić ustrój, jeśli chce nadal rządzić podbitymi prowincjami.

- Mówi się wśród plebsu, że przedkładasz barbarzyńców nad Rzymian - mówi cicho Emiliusz - że zakładasz kolonie, w których dawni pokonani stają się obywatelami rzymskimi. Śpiewa się w Rzymie ten refren, posłuchaj go, Gajuszu Juliuszu Cezarze, a ocenisz, jakie zarzuty ci się stawia.

Sekretarz nachyla się i recytuje:

*Galów na triumf wiódł Cezar, teraz zaś wiedzie do kurii, Galowie zrzucili spodnie, szlaki przywdziali szerokie.*

Cezar wyobraża sobie przez chwilę Wercyngetoryksa ubranego w senatorską tunikę z purpurowym pionowym szlakiem. A czemu by nie? Gdyby wódz Galów nie był taki uparty i służył Rzymowi, zamiast stawać na czele powstania, to dziś mógłby rzeczywiście zasiadać w Kurii, nie zginąłby uduszony jak niewolnik w lochu Tullianum.

Przez chwilę milczy. Nie chce w taki sposób umierać, po długim wyczekiwaniu na ostatnią chwilę.

- Nie chcę takiej republiki, jaką ty zbudowałeś - podejmuje Emiliusz. - I nie chcę także ciebie jako króla.

Cezar robi parę kroków.

- Republika jest już tylko pustym dźwiękiem, bez żadnej treści - odpowiada.

Zrobił, co do niego należało, aby to uświadomić i przeprowadzić zmiany, jakie narzuca sama potęga Rzymu. Patrzy na zbudowane przez siebie bazyliki, na Forum. One pozostaną, podobnie jak kolonie zamieszkałe przez rzymskich obywateli, stanowiące we wszystkich prowincjach załączki nowego państwa rzymskiego. Pewien jest, że nie będzie można zapomnieć o Gajuszu Juliuszu Cezarze! A jego spadkobierca Oktawian będzie wiernym następcą. „Po mojej śmierci...” - mruczy do siebie.

Cezar chciałby odegnać od siebie myśl o śmierci, ale każdego dnia zapowiada ją jakiś kolejny nowy znak.

Słucha Korneliusza Balbusa.

- W Kapui koloniści na mocy twego *lex Iulia municipalis* niszczą dawne grobowce, aby zbudować wiejskie domy. Robią to z tym większym zapałem, że w wykopaliskach odkrywają stare, cenne, często greckie wazy. W grobowcu Kapysa, założyciela Kapui, znaleziono spiżową tabliczkę z inskrypcjami po grecku.

Balbus urywa, Cezar czuje na sobie czujny wzrok swego doradcy. Nie należy okazywać wzruszenia.

- Przeczytałeś zapowiedź mojej śmierci.

Odczuwa przelotna radość na widok zdumionej miny Balbusa. Niedbałym gestem, samymi końcami palców, zachęca go, by kontynuował.

- Na tabliczce można przeczytać: „Kiedy zostaną odkryte kości Kapysa, potomek Jula zginie z ręki swych krewnych, wnet potem Italia zapłaci za to wielkimi klęskami”.

Jego przodkiem był Jul.

Myśli o wszystkich znakach, o jakich donoszą mu każdego dnia. Haruspik Spuryinna nadal upiera się przy swojej przepowiedni i powtarza, że idy marcowe są dla Cezara niebezpiecznym dniem! Także stada koni, które Cezar, przekraczając Rubikon, poświęcił bogu rzeki i puścił wolno, jak mu donoszą, od początku marca nie jedzą i płaczą z rzeniem napelniającym niebios. Widziano także otoczonych płomieniami ludzi, jak walczyli ze sobą, a jakiś człowiek włożył rękę do ognia i ogień mu jej nie spalił.

A do tego ów mysikrólik, którego widziano z gałązką wawrzynu w dziobie. Przeleciał aż do Kurii Pompejusza, tam usiadł i w tym samym momencie ptaki różnych gatunków zleciały się z okolicznych drzew i rzuciły na niego, rozszarpując na strzępy.

- Tam właśnie jutro, 15 marca, masz się wybrać, Gajuszu Juliuszu Cezarze - przypomina Emiliusz.

Wieczorem 14 marca każe się zanieść w lektyce do Marka Lepidusa. Wkraczając do sali, gdzie odbywa się uczta, spostrzega, że wszyscy wiedzą tu o znakach, jakie się powtarzały w ostatnich dniach. Wiedzą nawet, że tego popołudnia, składając ofiarę w świątyni Felicitas, nie mógł się doszukać serca w ofiarnym byku, którego krew nie zdążyła jeszcze wyschnąć na posadzce świątyni. Jeden z kapłanów orzekł, że ta niepokojąca anomalia stanowi jeszcze jeden znak.

Cezar wyciąga się przy stole. Inaczej, niż to ma w zwyczaju, pije wino, by nieco zagłuszyć, nie tyle niepokój, ile oczekiwanie na jutrzejszy dzień, idy marcowe.

Naprzeciwko niego znajduje się Decymus Brutus Albinus, o którym mówi się, że należy do tych, co spiskują wraz z Kasjuszem i Markiem Brutusem. Decymus podnosi kielich. W postawie tego człowieka jest wyraźne wyzwanie.

- Jaka śmierć byłaby dla ciebie najlepsza, Gajuszu Juliuszu Cezarze? - rzuca.

Cezar słyszy, jak w tej sali, przed chwilą tak głośniejszą, nagle zapada cisza.

- Czytałem u Ksenofonta - odpowiada - że król Cyrus podczas swej ostatniej choroby wydał dyspozycje co do swego pogrzebu. Nie chciałbym takiej powolnej śmierci, do której człowiek się przygotowuje. Najlepsza śmierć, Decymusie Brutusie, to śmierć niespodziewana.

Powoli podnosi się i opuszcza salę.

Jest już ranek idów marcowych. Znowu ogarniają go zawroty głowy. Chwieje się.

Słyszy jakiś krzyk. To obudziła się Kalpurnia, podbiega i tuli się do niego. Pyta go, czy słyszał, jak trzaskały drzwi i okna? Śniło jej się znowu, że dach domu został zerwany przez wiatr. Kalpurnia jęczy. Cezar głaszcze ją po włosach, czuje się daleki od jej lęków... Należy poddawać się woli bogów, ale zarazem postępować tak, jakby bogowie pozostawiali człowiekowi wolność decydowania o swoim losie.

Słucha, jak Kalpurnia, roztrzęsiona, opowiada swoje sny. Mówi, że tej nocy wzięła go w ramiona, gdy zasnął, i przerażona zdała sobie sprawę, że jego ciało jest całe zakrwawione; po chwili ona także była splamiona krwią.

Kalpurnia klęka, czepiając się poły jego togi. Z płaczem błaga go, zaklina, by nie szedł tego ranka do Kurii Pompejusza na posiedzenie senatu. Cezar nie odpowiada. Jego żona powtarza, że bogowie ostrzegali go na tysiąc sposobów, także przemawiając przez nią. Jeśli Cezar uda się do Kurii, to znaczy, że chce, by spotkała go śmierć.

Waha się. Emiliusz bierze go na stronę i informuje, że Porcja, żona Marka Brutusa i córka Katona, rozesłała posłańców do wielu senatorów. Mówi się, że blisko sześćdziesięciu z nich należy do spisku. Marek Brutus codziennie dostaje listy, które odwołują się do cnót jego rodziny: „Gdzie jest ten wielki Brutus, który uratuje Rzym przed tyranem? - piszą. - Czyś zapomniał o swym przodku?” I jest jeszcze ten senator Tulliusz Cymber, zabiegający o ulaskawienie dla brata, który stał po stronie Pompejusza. Cymber skarży się, że Cezar zapomniał o swojej *clementia*.

Senatorowie zebrali się już o świcie, o godzinie siódmej.

- Cezarze - dodaje Emiliusz - po co idziesz do Kurii? Jest już późno. Nie rzucaj wyzwania bogom, nie lekceważ znaków, które ci posyłają!

Cezar odchodzi na kilka kroków. ‘

Nie boi się bogów ani ludzi. Tak często szedł naprzód, naprzeciw nieprzyjaciela, wystawiając pierś na grad strzał, włóczni i kamieni. Nie doświadcza żadnego lęku. Ale nogi ma ciężkie jak z ołowiu. Ma chęć zostać sam i nie być zmuszonym stawiać czoła spojrzeniom dziewięciuset senatorów zebranych na stopniach Kurii Pompejusza. Stopnie te pozwalają dojść do świątyni Venus Genetrix, a także służą jako ławki dla widzów podczas spektakli teatralnych.

Wyobraża sobie senatorów, w wysokich butach z czerwonej skóry ozdobionych złotym sierpem, w togach z pionowym pasem i złotych pierścieniach na palcach, jak tłoczą się wokół niego, by wręczyć mu swoje prośby. Wśród nich Tulliusz Cymber, starający się o



ułaskawienie brata.

Teraz z kolei Antoniusz także odradza mu wizytę w Kurii. Trzeba pozwolić im gnić we własnym gronie...

- Sami przyczołgają się do ciebie, Cezarze - mówi - po co iść wbrew znakom?

Cezar wciąż się waha. Nie lubi ulegać kapłanom, snom, znakom, przepowiedniom. Bogowie są bardziej dyskretni, niż ludziom się zdaje. I lubią wprowadzać w błąd, sprawdzać odwagę człowieka, którego wybrali.

Jest już po dziewiątej, za późno, by się pojawić w Kurii Pompejusza.

Nie pójdzie...

Słyszy jednak jakieś głosy w westybulu. Cezar podchodzi. Spieszy ku niemu Decymus Brutus, odpychając Kalpurnię i Emiliusza, nie zwracając uwagi na Antoniusza.

- Nie możesz znowu obrazić senatorów! - woła. - Jeśli chcesz odłożyć posiedzenie, którego datę sam wyznaczyłeś na dzisiaj, musisz pójść do nich i sam im to zakomunikować. Nie pozwól, aby pomyśleli, że ty, Gajusz Juliusz Cezar, ustępujesz przed słowami wieszczka albo wierzysz w bajdy kobiet i kapłanów, ty, Cezar, pan świata!

Cezar owija się w togę. Uda się tam w lektyce.

Idzie w kierunku perystylu. I nagle stojący po prawej stronie od wejścia jego posąg, popchnięty być może przez niewolnika, pada i roztrzaskuje się z hukiem.

Kalpurnia tłumi krzyk. Cezar się nie odwraca.

Jeśli bogowie i ludzie chcą go jeszcze raz wypróbować, podejmie wyzwanie.

Wsiada do lektyki i daje czterem niosącym ją niewolnikom znak, by ruszali.

Jest godzina dziesiąta rano w idy marcowe, 15 marca 44 roku.

Cezar opiera się o słupek lektyki. Nie udało mu się odegnać zmęczenia, które się go uczepliło i ciąży mu na ramionach jak niewygodne, brudne szaty. Przymyka oczy. Nie ma ochoty popędzać niewolników niosących lektykę. Zresztą czy mogliby jeszcze przyspieszyć?

Są teraz na clivus Argentarium, ulicze prowadzącej pomiędzy wzgórzami Kapitolu i Kwirynału w stronę wielkiego gmachu, który w roku 55 Pompejusz kazał postawić na swoją cześć. Droga jest wąska. Wokół tłoczy się plebs.

Pochyleniem głowy albo gestem dłoni odpowiada na wiwaty. Nie wykonuje żadnego ruchu, gdy widzi, jak z tłumu wyłania się jakiś nieznamy człowiek, odpycha liktorów, podchodzi i mówiąc kilka słów, wręcza mu prośbę. Po chwili odpychają go idący obok lektyki sekretarze Balbus i Emiliusz.

Lektyka zatrzymuje się. Gęsty tłum tarasuje drogę i liktorzy muszą torować przejście.

Po obu stronach clivus Argentarium znajdują się tawerny i kramy. Podnoszą się okrzyki, gdy Cezar wychyla się z lektyki.

Słyszy słowa „Imperator!”, „Dyktator!” Głosy są ostre. Można by rzec, kobiece. Te okrzyki przypominają mu przez chwilę wojenne zawołania centurionów, kiedy idą na wroga. Już niebawem do nich wróci i z tego powodu jest szczęśliwy. Wciąż ma wrażenie, że dusi się w tym przeludnionym mieście.

Cezar podskakuje, jakiś mężczyzna zbliżył się do lektyki i wręcza mu zwój.

- Mój pan, Artemidor z Knidos, którego znasz, Gajuszu Juliuszu Cezarze, prosi cię, byś przeczytał ten memoriał.

Cezar bierze zwój, chce go dać jednemu z idących obok lektyki sekretarzy. Mężczyzna wyciąga rękę, aby przeszkodzić Cezarowi.

- Przeczytaj to sam i bez zwłoki! Mój pan, Artemidor z Knidos, który cię chronił, kiedy byłeś młodym patrycjuszem, i którego nauk o retorach greckich słuchałeś, prosi cię, byś posłuchał go jeszcze raz. W tym memoriale znajdziesz ważne dla siebie rzeczy. Czytaj, Gajuszu Juliuszu Cezarze!

Głos niewolnika jest stanowczy. Cezar przypomina sobie Artemidora z Knidos, który kiedyś mieszkał w Azji Mniejszej ze swym ojcem; obaj byli słynnymi retorami. Cezar trzyma zwój w ręku. Chciałby go przeczytać. Być może ujawnia on zasadzkę? Ale oto ktoś odezwał się do niego i są już przed wejściem do Kurii.

Liktorzy tworzą szpaler honorowy. Musi wysiąść. Spostrzega wychudłe i blade twarze Kasjusza oraz Marka Brutusa, którzy zdają się na niego czekać, ich postawa i spojrzenia zdradzają jednak zaniepokojenie, gdy do Cezara podchodzi jeden z senatorów, Popiliusz Laenas.

Czego się obawiają? Cezar nawet nie słyszy, co szeptem mu Laenas. Nie może oderwać wzroku od twarzy Kasjusza i Marka Brutusa. Nigdy jeszcze nie widział, aby rysy jego przybranego syna były tak napięte, a cera tak trupio blada.

Robi krok, dostrzega Spurynnę.

- Mówiłeś o idach marcowych - rzuca haruspiłkowi. - Oto nadeszły i nic mi się nie stało!

Spuryinna zagryza wargi, głowę przekrzywia na ramię.

- Nadeszły, Gajuszu Juliuszu Cezarze - odpowiada. - Ale jeszcze nie minęły.

Cezar wchodzi do sali. Widzi władczy posąg Pompejusza. W półcieniu spostrzega

tłum senatorów i idąc w stronę złotego tronu, ma wrażenie, jakby zanurzał się w chaosie groźnym jak przyływ morza, który nieuchronnie przybiera.

Jednak z każdym krokiem ów chaos zdaje się cofać. I Cezar znów czuje się silny, jakby przeszło mu całe zmęczenie i znużenie.

Siada.

Jest godzina jedenasta, 15 marca AA roku.

Nagle odczuwa duszność. Otacza go cała grupa senatorów. Widzi Tilliusza Cymbra klękającego przed nim i chwytającego za skraj jego togi. Słyszy znowu błaganie o ulaskawienie dla brata. Domyśla się twarzy dwóch braci Kaśka i szczupłych twarzy Kasjusza i Brutusa. Są jeszcze inni, Treboniusz i Poncjusz Akwila. Gdzie Antoniusz? Szuka go wzrokiem. Nie odpowiedział Tilliuszowi Cymbrowi...

Tamten nagle gwałtownie się prostuje, chwytając za górną część togi Cezara i unieruchamia mu ramiona.

- To już jest przemoc! - woła Cezar.

Jest wściekły. Usiłuje odepchnąć Cymbra i zmusić go do rozluźnienia uścisku. Słyszy, jak tamten krzyczy.

- Na co czekacie, przyjaciele!

W tym samym momencie czuje ból w plecach, ześlizgujący się wzdłuż łopatki po wierzchu, jakby ostrze musnęło skórę i nie zdołało wbić się u podstawy szyi, w miejscu gdzie można natychmiast zadać człowiekowi śmierć.

Odwraca się. Serwiliusz Kaśka jest przy nim ze sztyletem w ręku, wzrokiem pełnym trwogi, ponieważ nie udało mu się zabić Cezara.

- Zdrajco! Niegodziwco, Kaśka, łajdaku, co robisz! - woła Cezar.

- Bracie, pomóż mi! - krzyczy Kaśka.

Broń, jakąś broń! Cezar wbija rylec do pisania na woskowych tabliczkach w pierś napastnika. Rzuca się do przodu, teraz on z kolei krzyczy. Musi rozerwać ten krąg ludzi wymachujących sztyletami i zaczynających zadawać mu ciosy!

Szarpie się. Chce dotrzeć do drzwi Kurii. Co robią ci senatorowie, z których większość sam przecież mianował? Tchórze! Czuje, jak płynie krew, ostrza się zagłębiają, czuje ostry ból w boku.

Być może zginie.

Opiera się plecami o posąg Pompejusza, aby nie mogli zadać mu ciosu w plecy. Ale ból sięga od pachwiny po brzuch. Tam jest otwarta rana, przez którą ucieka życie.

Nagle u boku Kasjusza widzi twarz Marka Brutusa. Dłoń przybranego syna podnosi

się, ściskając sztylet.

Jakby nad całym jego życiem zapadł mrok, jakby powrócił w swe odległe dzieciństwo, kiedy rozmawiał po grecku. Mówi głuchym głosem:

- *Kaj sy, teknon... Tu quoque, mi fili!* Ty także, mój synu!

Czuje, jak ciepła ciecz rozplywa się po brzuchu, klatce piersiowej, wzdłuż nóg i ramion.

Życie się zamyka.

Trzeba chronić twarz - położą na niej maskę pośmiertną z wosku, która umieszczona w galerii przodków będzie natchnieniem dla rzeźbiarzy, gdy będą cięli marmur na jego posągi i popiersia.

Zawija twarz połą togi.

A więc śmierć to ból, potężne uderzenia gongu, wywołujące cierpienie za każdym razem, kiedy sztylety wbijają się w ciało, rozdzierając nasiąkniętą krwią tkaninę.

Osuwa się wzdłuż posągu Pompejusza.

Wszystko jest czarne.

Nie wolno dopuścić, aby śmierć zastała go w nieprzyzwoitej pozie! Chwyta skraj togi, aby się nie podwinęła. Okrywa nią w ten sposób swe zranione, umierające ciało.

Jest godny.

Ukrył swoją śmierć, która go zabrała

*Przybądź, Jowiszu, oto moja dłoń, weź ją!*

Swetoniusz, autor *Żywotów cesarów*, pisze:

„Tak zakłuty został dwudziestoma trzema ciosami. Po pierwszym tylko jęk wydał, bez słowa... Wszyscy się wnet rozbiegli. Cezar bez życia leżał jakiś czas, aż wreszcie ułożono go w lektyce - jedno ramię zwisało ku ziemi - i tak go ponieśli do domu trzej niewolnicy...

Umarł Cezar w pięćdziesiątym szóstym roku życia i w poczet bogów został zaliczony... W czasie uroczystości, które po raz pierwszy wydał na jego cześć wnet po ubóstwieniu spadkobierca August, przez dni siedem bez przerwy świeciła kometa wschodząca koło jedenastej godziny. Uwierzono, że to dusza Cezara, przyjętego do nieba. Z tej przyczyny przedstawia się go odtąd na wizerunkach z gwiazdą nad głową. Kurię, gdzie został zamordowany, postanowiono zamurować, idy marcowe nazwać „dnem ojcobójstwa” oraz uchwalono nigdy w tym dniu nie odbywać posiedzeń senatu.

Żaden z morderców nie przeżył Cezara dłużej niż trzy lata i nie zginął śmiercią naturalną... niektórzy sami sobie odebrali życie tym samym sztyletem, którym cios zadali Cezarowi”.